

Powieść autorki bestsellerowych
Kiedy odszedłeś i Zanim się pojawiłeś

JOJO

MOYES

Ostatni list
od kochanka

#kochajodwaznie



JOJO MOYES

Ostatni list od kochanka

*tłumaczenie
Anna Gralak*

między
słowami

*Charlesowi,
który zaczął to wszystko wiadomością na papierze*

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Załączam prezent. Mam nadzieję,
że Ci się spodoba [...]

Myślę o Tobie zwłaszcza dzisiaj [...] bo doszłam do wniosku, że choć Cię kocham, to nie jestem w Tobie zakochana. Nie mam poczucia, że jesteś Tym Jedynym. W każdym razie naprawdę mam nadzieję, że prezent Ci się spodoba i że będziesz miał wspaniałe urodziny.

Z listu kobiety do mężczyzny

Prolog

Do miłego X

Ellie Haworth odnajduje przyjaciół w tłumie wypełniającym bar i przeciska się w ich stronę. Rzuca torebkę na podłogę i kładzie telefon na stoliku. Są już dobrze zaprawieni – poznaje to po tonie ich głosów, zamaszystej gestykulacji i donośnym śmiechu, po stojących przed nimi pustych butelkach.

– Spóźniłaś się. – Nicky podsuwa jej pod nos rękę z zegarkiem i grozi palcem. – Nie, tylko nie mów, że musiałaś dokończyć artykuł.

– Wywiad ze skrzywdzoną żoną posła. Przepraszam. Ma się znaleźć w jutrzejszym numerze – odpowiada Ellie, wślizgując się na puste miejsce i nalewając sobie resztkę alkoholu z butelki. Po chwili pokazuje przyjacielom swoją komórkę. – No dobrze. Nowe najbardziej wkurzające sformułowanie wieczoru to „do miłego”.

– Do miłego?

– Na zakończenie esemesa. To znaczy, że odezwie się jutro czy jeszcze dziś? A może to po prostu jakieś okropne młodzieżowe haselko, tak naprawdę pozbawione znaczenia?

Nicky spogląda na podświetlony ekran.

– To „do miłego” i „X”. Coś w rodzaju pożegnania. Powiedziałabym, że do jutra.

– Tak, zdecydowanie do jutra – mówi Corinne i na chwilę milknie. – Albo nawet do pojutra.

– To bardzo niezobowiązujące.

– Niezobowiązujące?

– Mogłabyś tak powiedzieć do listonosza.

– Przesłałabyś buziaka listonoszowi?

Nicky się uśmiecha.

– Może i tak. Mój listonosz to przystojniak.

Corinne analizuje wiadomość.

– Chyba nie macie racji. Może po prostu się spieszył, bo robił coś innego.

– No. Na przykład z żoną.

Ellie rzuca Douglasowi ostrzegawcze spojrzenie.

– No co? – pyta Douglas. – Po prostu wydaje mi się, że etap rozszyfrowywania esemesowego żargonu powinnaś mieć już za sobą.

Ellie pociąga spory łyk wina i pochyla się nad stolikiem.

– Okej, jeżeli mam wysłuchać wykładu, muszę się jeszcze napić.

– Jeśli jesteś z kimś na tyle blisko, żeby uprawiać z nim seks, to chyba nie powinnaś mieć oporów przed poproszeniem, żeby sprecyzował, czy jesteście umówieni na kawę.

– Co jeszcze jest w tej wiadomości? Tylko proszę, nie mów, że coś o seksie w jego biurze.

Ellie spogląda na telefon, przewijając listę esemesów.

– „Lepiej, żebym nie dzwonił z domu. Za tydzień lecę do Dublina, ale na razie brak konkretnych planów. Do miłego X”.

– Zostawia sobie otwartą furtkę – stwierdza Douglas.

– Chyba że... no wiecie... naprawdę nie ma konkretnych planów.

– Gdyby tak było, napisałby: „Zadzwoń z Dublina”. Albo nawet: „Zabiorę Cię do Dublina”.

– Leci z żoną?

– Nigdy z nią nie lata. To podróż służbowa.

– Może zabiera kogoś innego – mamrocze Douglas do kufla.

Nicky w zamyśleniu kręci głową.

– Boże, czy życie nie było łatwiejsze, kiedy ludzie musieli dzwonić, żeby z tobą porozmawiać? Można było przynajmniej wyczuć niechęć w ich głosie.

– O tak – prycha Corinne. – I godzinami siedzieć w domu przy telefonie, czekając, aż zadzwonią.

– Och, te wieczory, które spędziłam...

– ...sprawdzając, czy nadal jest sygnał w słuchawce...

– ...a potem szybko ją odkładając, na wypadek gdyby akurat w tej chwili dzwonił.

Ellie słucha śmiechu przyjaciół, dostrzegając prawdę w ich żartach, a jakaś mała cząstka niej nadal czeka, aż zaświeci się ekranik, sygnalizując nowe połączenie. Połączenie, na które biorąc pod uwagę późną porę i to, że John woli nie dzwonić z domu, raczej nie ma co liczyć.

Douglas odprowadza ją do domu. Tylko on z całej czwórki mieszka z partnerką, ale Lena, jego dziewczyna, jest szycią PR w branży technologicznej i często siedzi w pracy do dziesiątej albo i jedenastej wieczorem. Lena nie ma nic przeciwko temu, żeby jej chłopak spotykał się z dawnymi przyjaciółkami – kilka razy przyszła razem z nim, ale trudno się przebić przez mur starych dowcipów i czytelnych tylko dla nich aluzji, które uzbierały się w ciągu półtorej dekady przyjaźni. Przeważnie puszcza go zatem samego.

– A co u ciebie, duży chłopcze? – Ellie trąca go łokciem, kiedy omijają porzucony na chodniku wózek na zakupy. – Nie opowiadałeś nic o sobie. Chyba że wszystko mnie ominęło.

– U mnie nic nowego – mówi z wahaniem Douglas. Wkłada ręce do kieszeni. – Nie, właściwie to nie do końca. Ehm... Lena chce mieć dziecko.

Ellie spogląda na niego.

– O rany.

– Ja też tego chcę – dodaje pospiesznie Douglas. – Rozmawiamy o tym od

wieków, ale ostatnio doszliśmy do wniosku, że nigdy nie będzie dobrego momentu, więc równie dobrze możemy się do tego zabrać już teraz.

– Ale z was romantycy.

– No i... chyba nawet się z tego cieszę, naprawdę. Lena będzie pracowała, a ja zajmę się dzieckiem. Zakładając, że, no wiesz, wszystko potoczy się zgodnie z planem i...

Ellie stara się zachować neutralny ton.

– I właśnie tego pragniesz?

– No. I tak nie lubię swojej pracy. Nie lubię jej od lat. Lena zarabia fortunę. Chyba będzie całkiem fajnie łączyć sobie całymi dniami z dzieckiem.

– Rodzicielstwo to trochę więcej niż łożenie... – zaczyna Ellie.

– Wiem. Uważaj... na chodniku. – Douglas delikatnie odsuwa ją od przeszkody. – Ale jestem na to gotowy. Nie muszę co wieczór siedzieć w pubie. Chcę przejść do następnego etapu. To wcale nie znaczy, że nie lubię się z wami spotykać, ale czasami naprawdę się zastanawiam, czy nie powinniśmy... no wiesz... trochę dorosnąć.

– O nie! – Ellie łapie go za ramię. – Przeszedłeś na ciemną stronę.

– Cóż, mam inne podejście do pracy niż ty. Dla ciebie praca jest wszystkim, prawda?

– Prawie wszystkim – przyznaje Ellie.

W milczeniu mijają dwie przecznice, słuchając syren w oddali, trzaskania drzwi samochodowych i stłumionych kłótni mieszkańców miasta. Ellie uwielbia tę część wieczoru: pokrzepiła się przyjaźnią, chwilowo wyzbyła się wątpliwości związanych z resztą jej życia. Ma za sobą udany wieczór w pubie, właśnie wraca do przytulnego mieszkania. Jest zdrowa. Ma kartę kredytową z mnóstwem niewykorzystanych środków, plany na weekend i jako jedyna spośród wszystkich przyjaciół nie znalazła jeszcze u siebie siwego włosa. Życie jest przyjemne.

– Myślisz o niej czasami? – pyta Douglas.

– O kim?

– O żonie Johna. Myślisz, że ona wie?

Na wzmiankę o żonie szczęście Ellie przygasa.

– Nie wiem. – Douglas milczy, więc Ellie dodaje: – Na jej miejscu na pewno bym się domyśliła. On mówi, że bardziej interesują ją dzieci niż mąż. Czasami sobie tłumaczę, że może nawet jest jej trochę na rękę, że nie musi się nim przejmować. No wiesz, starać się, żeby był zadowolony.

– To się nazywa myślenie życzeniowe.

– Być może. Ale jeśli mam być zupełnie szczerą, odpowiedź brzmi: nie. Nie myślę o niej i nie mam poczucia winy. Bo wątpię, żeby coś takiego mogło się stać, gdyby byli ze sobą szczęśliwi albo... no wiesz... gdyby łączyła ich prawdziwa więź.

– Wy, kobiety, macie kompletnie chybione wyobrażenie na temat mężczyzn.
– Myślisz, że jest z nią szczęśliwy? – Ellie w skupieniu przypatruje się jego twarzy.

– Nie mam pojęcia. Po prostu wcale nie musi być nieszczęśliwy z żoną, żeby z tobą sypiać.

Atmosfera trochę się zmienia i być może właśnie dlatego Ellie puszcza ramię Douglasa i poprawia apaszkę.

– Myślisz, że jestem złym człowiekiem – mówi. – Albo że on jest złym człowiekiem.

Wreszcie ktoś poruszył ten temat. Fakt, że zrobił to Douglas, najmniej skłonny z grona jej przyjaciół do osądzania innych, naprawdę ją boli.

– Nikogo nie uważam za złego człowieka. Po prostu myślę o Lenie, o tym, ile by dla niej znaczyło urodzenie mojego dziecka, i że miałbym posuwać inną kobietę tylko dlatego, że ona postanowiła poświęcić temu dziecku uwagę, która moim zdaniem należała się mnie...

– Więc jednak uważasz go za złego człowieka.

Douglas kręci głową.

– Po prostu... – Zatrzymuje się i spogląda na nocne niebo. Odpowiada dopiero po chwili. – Ellie, myślę, że powinnaś być ostrożna. Te wszystkie próby rozszyfrowania, co on ma na myśli, czego chce, to zwyczajnie popieprzone. Marnujesz czas. Z mojej perspektywy takie sprawy wyglądają dość prosto. Ktoś ci się podoba, ty się komuś podobasz, zaczynacie ze sobą chodzić i to w zasadzie tyle.

– Doug, żyjesz w fajnym wszechświecie. Szkoda, że nie przypomina prawdziwego.

– Okej, zmieńmy temat. Niepotrzebnie rozmawiamy o tym po kilku drinkach.

– Nie. – W jej głosie pobrzmiewa ostrzejsza nuta. – *In vino veritas* i tak dalej. Wszystko w porządku. Przynajmniej wiem, co o tym myślisz. Dalej pójdę już sama. Pozdrów ode mnie Lenę.

Dwie ostatnie przecznice dzielące ją od domu pokonuje biegiem, nie odwracając się, żeby spojrzeć na starego przyjaciela, którego zostawiła za sobą.

Redakcja „Nation” pakuje się pudło po pudle przed przeprowadzką do nowej siedziby z przeszklonym frontem przy eleganckim odwodnionym nabrzeżu we wschodniej części miasta. Z każdym tygodniem w środku ubywa przedmiotów: tam, gdzie kiedyś piętrzyły się sterty komunikatów prasowych, teczek i zarchiwizowanych wycinków, teraz są puste biurka i zaskakująco lśniąca połacie laminowanej powierzchni wystawione na jaskrawy blask świetlówek. Jak na wykopaliskach archeologicznych wydobyto pamiątki po opisanych dawniej historiach, chorągiewki z królewskich jubileuszy, powgniatane metalowe hełmy z dawnych wojen i oprawione w ramki dyplomy towarzyszące dawno

zapomnianym nagrodom. Pęki kabli leżą odsłonięte, zerwano kawałki wykładziny, a w suficie zieją wielkie dziury skłaniające ekspertów od bezpieczeństwa i higieny pracy do historycznych wizyt oraz przyciągające niezliczonych ludzi z podkładkami z klipssem. Działy reklamy, ogłoszeń drobnych i sportu już się przeniosły na Compass Quay. Dodatek weekendowy, biznes i finanse szykują się do przeprowadzki w najbliższych tygodniach. Dział reportażu, w którym pracuje Ellie, przeniesie się w następnej kolejności razem z działem bieżących informacji, wykonując starannie zaplanowany manewr, dzięki któremu sobotnie wydanie wydobędzie się ze starej siedziby przy Turner Street, ale poniedziałkowe, jak za sprawą czarów, wyskoczy już z nowego adresu.

Budynek, który był dla gazety domem przez blisko sto lat, nie jest już – by użyć tego mało urodziwego określenia – zdatny do użytku. Według kierownictwa nie odzwierciedla dynamicznej, nowoczesnej natury współczesnego dziennikarstwa. Zbyt wiele w nim kryjówek, zauważają z sarkazmem pismaki odrywane od swoich stanowisk niczym czaszołki uparcie uczonepione dziurawego kadłuba.

– Powinniśmy to uczcić – mówi Melissa, szefowa działu reportażu, która siedzi w prawie całkiem opróżnionym biurze redaktora. Ma na sobie jedwabną bordową sukienkę. Ellie wyglądałaby w czymś takim jak w koszuli nocnej swojej babci. Na Melissie sukienka prezentuje się jak wyzywający produkt *haute couture*.

– Przeprowadzkę? – Ellie zerka na swoją komórkę, ściszoną i położoną obok. Otaczający ją redaktorzy działu reportażu milczą, trzymając notesy na kolanach.

– Tak. Niedawno rozmawiałam z jednym z pracowników archiwum. Mówi, że istnieje mnóstwo starych teczek, do których od lat nikt nie zaglądał. Chcę materiału na temat artykułów dla kobiet sprzed pięćdziesięciu lat. Tekstu o tym, jak zmieniają się postawy, moda, troski kobiet. Jedno studium przypadku obok drugiego, na sąsiednich stronach, dawniej i teraz. – Melissa otwiera teczkę i wyjmuje kilka kserówek w formacie A3. Mówi ze swobodną pewnością siebie, właściwą komuś, kto przywykł do tego, że go słuchają. – Oto przykład z naszych stron poradnikowych: „Co, na litość boską, mogę zrobić, żeby moja żona ładniej się ubierała i dbała o swój wygląd? Zarabiam tysiąc pięćset funtów rocznie i zaczynam robić karierę w handlu. Bardzo często dostaję zaproszenia od klientów, ale od kilku tygodni jestem zmuszony się wykręcać, bo moja żona, mówiąc wprost, wygląda fatalnie”.

W pomieszczeniu rozlega się stłumiony śmiech.

– „Próbowałem delikatnie zwrócić jej uwagę. Twierdzi, że moda, biżuteria i makijaż jej nie obchodzą. Szczerze mówiąc, nie wygląda jak żona człowieka sukcesu, którą chciałbym, żeby była”.

Kiedyś John napomknął Ellie, że po urodzeniu dzieci jego żona przestała

dbać o wygląd. Potem natychmiast zmienił temat i nigdy więcej o tym nie wspominał, jakby poczuł, że to, co powiedział, było większą zdradą niż sypianie z inną kobietą. Ellie miała do niego żal o tę odrobinę dżentelmeńskiej lojalności, ale jednocześnie trochę go za nią podziwiała.

Utkwiło jej to jednak w pamięci. Wyobrażała sobie jego żonę: rozmemlaną w poplamionej koszuli nocnej, tulącą niemowlę i robiącą mężowi wyrzuty za jakieś rzekome przewinienie. Miała ochotę mu powiedzieć, że sama nigdy by go tak nie traktowała.

– Można by przekazać te pytania jakiejś współczesnej redaktorce rubryki porad osobistych. – Rupert, redaktor dodatku weekendowego, pochyla się, żeby spojrzeć na pozostałe kserówki.

– Nie jestem pewna, czy to konieczne. Posłuchajcie odpowiedzi: „Możliwe, że twojej żonie nie przyszło do głowy, że powinna być twoją ozdobą. Być może, o ile w ogóle się nad tym zastanawiała, doszła do wniosku, że skoro jest zameżna, bezpieczna i szczęśliwa, to nie musi się wysilać”.

– Aha – odzywa się Rupert. – Bezbrzeżny spokój małżeńskiego łóża.

– „Z moich obserwacji wynika, że podobny proces zachodzi wyjątkowo szybko zarówno wśród dziewcząt, które się zakochują, jak i wśród kobiet zanurzonych w przytulnej atmosferze długoletniego małżeństwa. W jednej chwili są eleganckie jak świeżo położona farba, toczą bohaterski bój o talię, prostują szywy i skwapliwie skrapiają się perfumami. Aż nagle jakiś mężczyzna mówi »kocham cię« i tej zadbanej dziewczynie właściwie przestaje zależeć, zmienia się w kocmołucha. W szczęśliwą flejtuszkę”.

Biuro wypełnia się na chwilę uprzejmym, pełnym uznania śmiechem.

– Co wybieracie, dziewczyny? Bohaterski bój o talię czy los szczęśliwej flejtuszki?

– Chyba niedawno oglądałem film pod tym tytułem – mówi Rupert. Uśmiech zastyga mu na twarzy, gdy uświadamia sobie, że wokół zapadła cisza.

– Z takim materiałem można dużo zrobić. – Melissa wykonuje gest w stronę teczki. – Ellie, mogłabyś trochę poszperać dziś po południu? Sprawdź, co jeszcze uda się znaleźć. Interesuje nas okres sprzed czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Setka byłaby zbyt odległa. Naczelnicy chcieliby, żebyśmy uczcili w ten sposób przeprowadzkę i zatrzymali dotychczasowych czytelników.

– Mam przeszukać archiwum?

– To jakiś problem?

Nie dla kogoś, kto lubi siedzieć w ciemnej piwnicy pełnej pleśniejącego papieru strzeżonego przez aspołecznych panów o stalinowskich umysłach, którzy od trzydziestu lat prawdopodobnie nie wychodzili na słońce.

– Żaden problem – odpowiada wesoło Ellie. – Na pewno coś znajdę.

– Jeśli chcesz, weź do pomocy paru stażystów. Słyszałam, że chowają się

w szafie działu mody.

Ellie nie zauważa złośliwej satysfakcji, która przez chwilę maluje się na twarzy szefowej na myśl o skierowaniu najnowszych kiepskich naśladowców *Anny Wintour* w głębokie trzewia gazety. Pochłania ją coś innego. Niech to szlag, myśli. Pod ziemią nie ma zasięgu.

– A tak na marginesie, Ellie, gdzie byłaś dzisiaj rano?

– Słucham?

– Dzisiaj rano. Chciałam, żebyś zmieniła ten artykuł o dzieciach w żałobie. No więc słucham. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

– Robiłam wywiad w terenie.

– Z kim?

Ellie myśli, że znawca języka ciała od razu zinterpretowałby sztuczny uśmiech *Melissy* jako grymas niezadowolenia.

– Z prawnikiem. Sygnalistą. Liczyłam, że dowiem się czegoś na temat seksizmu w parlamencie. – Słowa wydobywają się z jej ust, zanim zdąży pomyśleć.

– Seksizm na szczytach władzy. Trudno to uznać za przełomowe odkrycie. Jutro postaraj się być przy swoim biurku o właściwej porze. Wątpliwe wywiady przeprowadzaj w wolnym czasie. Dobrze?

– Tak.

– Wspaniale. Chcę rozkładówkę do pierwszego numeru z *Compass Quay*. Czegoś w rodzaju *plus ça change*. – Zapisuje coś w notesie oprawionym w skórę. – Troski, reklamy, problemy... Podrzuc mi kilka stron dziś po południu i zobaczymy, co z tego będzie.

– Załatwione.

Wychodząc z biura w ślad za innymi dziennikarzami, Ellie uśmiecha się najwesелей i najprofesjonalniej ze wszystkich.

Dzisiejszy dzień upłynął mi we współczesnym odpowiedniku czyścica – pisze, przerywając na chwilę, żeby upić łyk wina. – W archiwum gazety. Człowiek zaczyna się tam cieszyć, że na co dzień tylko wymyśla nowe artykuły.

Przesłał jej wiadomość ze swojej skrzynki hotmailowej. Podpisuje się nickiem Pióroposuwacz. Oboje z tego żartują. Ellie podkurcza nogi i z utęsknieniem czeka na sygnał obwieszczający nadejście jego odpowiedzi.

Straszna z ciebie poganka. Uwielbiam archiwa – ukazuje się tekst na ekranie. – Przypomnij mi, żebym na następną gorącą randkę zabrał cię do *British Newspaper Library*.

Ellie się uśmiecha.

Ty to umiesz zapewnić dziewczynie rozrywkę.

Staram się, jak mogę.

Jedyny archiwista z ludzką twarzą dał mi wielką stertę luźnych kartek. Trudno to uznać za ekscytującą lekturę przed snem.

Z obawy, że zabrzmie to sarkastycznie, dodaje uśmiechniętą buźkę, a potem klnie, przypominając sobie, że kiedyś John opublikował w „Literary Review” esej o tym, że uśmiechnięta buźka reprezentuje wszystkie wady współczesnej komunikacji.

To była ironiczna uśmiechnięta buźka – dodaje, przygryzając knykcie.

Zaczekaj. Telefon.

Obraz na ekranie nieruchomieje.

Telefon. Żona? Jest w hotelu w Dublinie. Napisał, że ma widok na wodę. Byłabyś zachwycona. Co niby miała odpisać? Więc następnym razem zabierz mnie ze sobą? Zbyt roszczeniowe. Z pewnością? Brzmiałoby to wręcz sarkastycznie. Tak – odpisała wreszcie, wydając z siebie przeciągłe, nieusłyszane westchnienie.

Przyjaciele mówią, że to wszystko jej wina. Tym razem wyjątkowo jest zmuszona przyznać im rację.

Poznała go na festiwalu książkowym w Suffolk. Wysłano ją tam, żeby przeprowadziła wywiad z pewnym autorem thrillerów, który zbił fortunę, gdy porzucił ambitniejsze gatunki literackie. Nazywał się John Armour, a jego bohater, Dan Hobson, to niemal kreskówkowy amalgamat staromodnych męskich cech. Wywiad przeprowadziła podczas lunchu, spodziewając się dość emocjonalnej obrony gatunku i być może kilku skarg na branżę wydawniczą – wywiady z pisarzami zawsze wydawały jej się dość nużące. Spodziewała się brzuchatego faceta w średnim wieku, kluchowatego po latach spędzonych przy biurku. Wysoki, opalony mężczyzna, który wstał, żeby uścisnąć jej dłoń, był jednak szczupły i piegowaty, przypominał strzaskanego słońcem rolnika z RPA. Okazał się zabawny, czarujący, autoironiczny i uważny. Skierował rozmowę w jej stronę, zadawał osobiste pytania, a potem przedstawił jej swoje teorie na temat pochodzenia języka i wyznał, że jego zdaniem komunikacja przekształca się w coś niebezpiecznie miłego i brzydkiego.

Gdy podano kawę, uświadomiła sobie, że od blisko czterdziestu minut nie zbliżyła długopisu do kartki.

– Ale czy nie uwielbiasz brzmienia języków? – spytała, gdy wyszli z restauracji i skierowali się z powrotem w stronę festiwalu. Był koniec roku i zimowe słońce zaszło za niskie zabudowania przy spokojnej głównej ulicy. Za dużo wypła, dotarła do punktu, w którym jej usta bezczelnie wrywały się do przodu, zanim zrozumiała, co powinna powiedzieć. Nie miała ochoty wychodzić z restauracji.

– Których konkretnie?

– Hiszpańskiego. A zwłaszcza włoskiego. Jestem pewna, że właśnie dlatego uwielbiam włoską operę i nie mogę ścierpieć niemieckiej. Te wszystkie twarde, gardłowe dźwięki. – Zastanowił się nad tym, a jego milczenie zbiło ją z tropu. – Wiem, że to okropnie niemodne – zaczęła się jąkać – ale kocham Pucciniego.

Uwielbiam te intensywne emocje. Uwielbiam drżące „r”, staccato słów... – urwała, słysząc, jak niedorzecznie i pretensjonalnie to brzmi.

Zatrzymał się przed drzwiami, obejrzał się przez ramię, a potem popatrzył na nią.

– Nie lubię opery.

Mówiąc to, spoglądał jej prosto w oczy. Jakby rzucał wyzwanie. Poczwała, jak głęboko w jej żołądku coś pęka. O Boże, pomyślała.

– Ellie – powiedział prawie minutę później. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. – Ellie, przed powrotem na festiwal muszę coś zabrać z hotelu. Pójdiesz ze mną?

Rzucili się na siebie, jeszcze zanim zamknął drzwi do pokoju. Ich ciała się połączyły, usta zwały w łapczywym pocałunku, a ręce wykonywały nagłą, gorączkowy układ choreograficzny rozbierania się.

Potem Ellie wspominała swoje zachowanie i zdumiewało ją ono jak jakieś oglądane z daleka odchylenie od normy. Odgrywała je w myślach setki razy, odzierając ze znaczenia, z silnych emocji, zostawiając jedynie szczegóły. Swoją bieliznę, codzienną, niestosowną, rzuconą na deskę do prasowania; to, że potem chichotali jak szaleni na podłodze, leżąc pod wzorzystą hotelową narzutą ze sztucznego materiału; to, że po południu wesoło i z niestosownym uroczym uśmiechem oddał klucz recepcjonistce.

Zadzwoił dwa dni później, gdy euforyczny szok wywołany tym zdarzeniem przechodził już w coś bardziej rozczarowującego.

– Wiesz, że jestem żonaty – powiedział. – Czytałaś o mnie.

Wygugłałam wszystko, co można znaleźć na twój temat w internecie, odrzekła w myślach.

– Nigdy wcześniej nie byłem... niewierny. Nadal nie potrafię do końca wyartykułować, co się stało.

– Ja winię za to quiche – wtrąciła, krzywiąc się.

– Ellie Haworth, masz na mnie zły wpływ. Od czterdziestu ośmiu godzin nie napisałem ani słowa. – Zamilkł. – Przez ciebie zapominam, co chcę powiedzieć.

No to przepadłam, pomyślała, bo już gdy poczuła na sobie ciężar jego ciała, jego usta na swoich, wiedziała – mimo wszystkiego, co zawsze powtarzała przyjaciółkom na temat żonatych mężczyzn, mimo wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzyła – że po tym, co między nimi zaszło, wystarczy najdrobniejszy gest z jego strony, żeby straciła głowę.

Minął rok, a nawet nie zaczęła myśleć o tym, żeby tę głowę odzyskać.

John wraca na łącza prawie czterdzieści pięć minut później. W tym czasie zdążyła odejść od komputera, zrobić sobie kolejnego drinka, pokręcić się po mieszkaniu, obejrzeć swoją cerę w lustrze w łazience, a potem zebrać porozrzucane skarpetki i wrzucić je do kosza na brudną bieliznę. Na dźwięk przychodzącej

wiadomości rzuca się z powrotem na fotel.

Wybacz. Nie wiedziałem, że to tyle potrwa. Mam nadzieję, że pogadamy jutro.

Żadnych rozmów przez komórkę, zaznaczył. Przysyłali mu do domu szczegółowe billingi.

Jesteś teraz w hotelu? – pisze pospiesznie Ellie. – Mogłabym zadzwonić do pokoju.

Słowo mówione jest luksusem, rzadkością. Ale Boże, po prostu musiała usłyszeć jego głos.

Idę na kolację, moja piękna. Wybacz – już jestem spóźniony. Do miłego X.
I zniknął.

Ellie wpatruje się w ciemny ekran. John pewnie właśnie kroczy przez hotelowy hol, oczarowując personel recepcji, wsiada do samochodu przysłanego przez organizatorów festiwalu. Wieczorem przy kolacji wygłosi błyskotliwą, spontaniczną mowę, a potem jak zwykle będzie dowcipny i trochę melancholijny wśród tych, którzy mieli wystarczająco dużo szczęścia, żeby usiąść przy tym samym stoliku co on. Będzie żył pełnią życia, podczas gdy ona trwa w wiecznym zawieszeniu.

Co ona wyrabia, do cholery?

– Co ja wyrabiam, do cholery? – pyta Ellie na głos, wylogowując się z konta. Wykrzykuje swoją frustrację w stronę sufitu sypialni i opada na olbrzymie puste łóżko. Nie może zadzwonić do przyjaciół: znosili takie rozmowy zbyt wiele razy, a poza tym wie, jak brzmiałaby ich ocena, jedyna słuszna ocena. Zabolało ją to, co usłyszała od Douga. Ale każdemu z nich powiedziałyby dokładnie to samo.

Siada na kanapie, włącza telewizor. W końcu spogląda na leżącą z boku stertę kartek, z wysiłkiem kładzie ją sobie na kolanach i przeklina Melissę. Archiwista powiedział, że to zbieranina różności, wycinki bez daty, nieprzyporządkowane do żadnej konkretnej kategorii. „Nie miałem czasu ich wszystkich przejrzeć. Trafia do nas mnóstwo takich stert”. Był tam jedynym pracownikiem przed pięćdziesiątką. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego nigdy wcześniej go nie zauważyła.

„Niech pani to przejrzy, może coś się przyda”. – Pochylił się konspiracyjnie. „A wszystko, co nie będzie pani potrzebne, proszę po prostu wyrzucić. Tylko niech pani o tym nie wspomina szefowi. W obecnej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na przeglądanie każdej kartki”.

Szybko staje się jasne dlaczego: w stercie znajduje się kilka recenzji teatralnych, lista pasażerów jakiegoś wycieczkowca, karty dań z odświeżonych redakcyjnych kolacji. Ellie przerzuca je, raz po raz spoglądając na telewizor. Nie znajduje wielu materiałów mogących zainteresować Melissę.

Właśnie przegląda zawartość podniszczonej teczki przypominającej

dokumenty medyczne. Zauważa mimochodem, że chodzi o choroby płuc. To coś związanego z górnictwem. Już ma wyrzucić wszystko do kosza, gdy jej spojrzenie pada na błękitny róg kartki. Wyjmuje go, trzymając między palcem wskazującym a kciukiem, i okazuje się, że to odręcznie zaadresowana koperta. Ktoś ją otworzył, a w środku znajduje się list z 4 października 1960 roku.

Moja Najdroższa i Jedyna Miłości,
mówiłem szczerze. Doszedłem do wniosku, że jedynym wyjściem z naszej sytuacji jest podjęcie przez któreś z nas odważnej decyzji.

Nie jestem taki silny jak Ty. Kiedy Cię poznałem, myślałem, że jesteś bezbronną kruszyną, którą powinienem chronić. Teraz wiem, że bardzo się co do nas pomyliłem. To Ty jesteś silna, Ty potrafisz wytrzymać w świecie, który dał nam szansę na wielką miłość i pogodzić się z tym, że nigdy tej miłości nie zaznamy.

Proszę, żebyś nie potępiała mnie za moją słabość. Będę mógł to wytrzymać jedynie gdzieś, gdzie nigdy Cię nie zobaczę, gdzie nie będzie mnie prześladowało niebezpieczeństwo ujrzenia Cię razem z nim. Muszę być gdzieś, gdzie okoliczności będą wymazywały Cię z moich myśli minuta po minucie, godzina po godzinie. Tutaj to niemożliwe.

Zamierzam przyjąć tę posadę. W piątek kwadrans po siódmej wieczorem będę na czwartym peronie na Paddington i nic na świecie nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej, niż gdybyś znalazła odwagę, by wyjechać razem ze mną.

Jeśli się nie zjawisz, będę wiedział, że cokolwiek do siebie czujemy, to za mało. Nie będę miał do Ciebie pretensji, Kochana. Wiem, że przez ostatnie tygodnie żyłaś w nieznośnym stresie, i sam dotkliwie odczuwam jego ciężar. Nie zniósłbym myśli, że mógłbym Cię unieszczęśliwić.

Będę czekał na peronie od za kwadrans siódma. Wiedz, że moje serce i moje nadzieje spoczywają w Twoich rękach.

Twój

B.

Ellie czyta list po raz drugi i czuje, że z jakiegoś niewyjaśnionego powodu jej oczy wypełniają się łzami. Nie jest w stanie oderwać wzroku od dużych, zaokrąglonych liter, bezpośredniość tych słów dopada ją ponad czterdzieści lat po tym, jak je schowano. Odwraca kartkę, szuka jakichś wskazówek na kopercie. Dostarczono ją na adres skrzynki pocztowej numer trzynaście w Londynie. Nie wiadomo, kto jest nadawcą. Co zrobiłaś, skrzynko pocztowa numer trzynaście?, pyta Ellie w myślach.

Potem wstaje, ostrożnie wkłada list z powrotem do koperty i podchodzi do komputera. Otwiera okno poczty i klika „odśwież”. Od czasu wiadomości, którą

dostała za piętnaście ósma, nic więcej nie przyszło.

Idę na kolację, moja piękna. Wybacz – już jestem spóźniony. Do miłego X.

Część pierwsza

Będę mógł to wytrzymać, jedynie gdzieś, gdzie nigdy Cię nie zobaczę, gdzie nie będzie mnie prześladowało niebezpieczeństwo ujrzenia Cię razem z nim. Muszę być gdzieś, gdzie okoliczności będą wymazywały Cię z moich myśli minuta po minucie, godzina po godzinie. Tutaj to niemożliwe.

Zamierzam przyjąć tę posadę. W piątek, kwadrans po siódmej wieczorem będę na czwartym peronie na Paddington i nic na świecie nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej, niż gdybyś znalazła odwagę, by wyjechać razem ze mną.

Z listu mężczyzny do kobiety

1960

– Budzi się.

Rozległ się szelest, ktoś przesunął krzesło, a potem zadźwięczały wpadające na siebie kółeczka od zasłony. Zamruczały jakieś dwa głosy.

– Pójdę po doktora Hargreavesa.

Zapadła krótka cisza, podczas której powoli zaczęła zdawać sobie sprawę z drugiej warstwy dźwięków – głosów stłumionych odległością, warkotu przejeżdżającego samochodu. Co dziwne, wydobywały się jakby spod jej ciała. Leżała, chłonąc to wszystko, czekając, aż się skryształizuje, pozwalając swojemu umysłowi nadrobić zaległości i rozpoznać wszystkie dźwięki po kolei.

Właśnie wtedy poczuła ból. Dotkliwie parł w górę, pokonując kolejne etapy: najpierw po rękę – ostre, piekące doznanie między łokciem a ramieniem – a następnie ku głowie. Tępy, uporczywy. Reszta ciała bolała jak wtedy, gdy...

Jak wtedy, gdy...?

– Za chwilę przyjdzie. Mówi, żeby opuścić rolety.

Bardzo zaschło jej w ustach. Przełknęła z bólem. Chciała poprosić o wodę, ale nie mogła wydobyć słowa. Uchyliła powieki. Wokół niej poruszały się dwa niewyraźne kształty. Ilekroć zaczynało jej się wydawać, że je rozpoznaje, znowu się przemieszczały. Niebieskie. Były niebieskie.

– Wiesz, kogo właśnie przyjęli na dole?

Jeden z głosów zabrzmiał ciszej.

– Dziewczynę Eddiego Cochrane'a. Tę, która przeżyła wypadek. Píše dla niego piosenki. A raczej dla jego upamiętnienia.

– Założę się, że nie jest tak dobra jak on.

– Przez cały ranek byli u niej dziennikarze. Oddziałowa jest u kresu wytrzymałości.

Nie rozumiała, o czym mówią. Ból w jej głowie zaczął pulsować, zmieniając się w szum, który stawał się coraz głośniejszy i bardziej natarczywy, i w końcu jedyne, co była w stanie zrobić, to ponownie zamknąć oczy i czekać, aż odpłynie – on albo ona. Po chwili zalała ją fala bieli. Z pewną wdzięcznością cicho westchnęła i na powrót zanurzyła się w jej objęciach.

– Nie śpisz, kochana? Masz gościa.

Ujrzała nad sobą migoczące odbicie, zjawę, która poruszała się żwawo najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Niespodziewanie przypomniała sobie swój pierwszy zegarek. Jego szkieleto odbijało światło, kierując je na sufit pokoju zabaw, posyłając je tam i z powrotem, na co jej piesek reagował szczekaniem.

Błękit powrócił. Zobaczyła, jak się porusza przy akompaniamencie szelestu. A potem poczuła na nadgarstku czyjaś rękę, krótką iskrę bólu, i jęknęła.

– Z tej strony trochę delikatniej, siostró – rozległ się czyjś karcący głos. – Ona to czuje.

– Bardzo mi przykro, doktorze Hargreaves.

– Ręka będzie wymagała kolejnej operacji. Złożyliśmy ją w kilku miejscach, ale to jeszcze nie koniec.

Jakiś ciemny kształt zawisł w pobliżu jej stóp. Chciała, żeby nabrał ostrości, ale podobnie jak te błękitne, nie chciał tego zrobić. Pozwoliła powiekom opaść.

– Jeśli pan chce, może pan przy niej posiedzieć. Mówić do niej. Będzie pana słyszała.

– A jej... pozostałe obrażenia?

– Obawiam się, że zostanie kilka blizn. Zwłaszcza na tej ręce. Poza tym otrzymała silny cios w głowę, więc może upłynąć trochę czasu, zanim znowu będzie sobą. Zważywszy jednak na powagę wypadku, chyba możemy powiedzieć, że miała szczęście.

Na chwilę zapadła cisza.

– Tak.

Ktoś postawił obok niej misę z owocami. Znowu otworzyła oczy, skupiając na niej wzrok, czekając, aż kształt i kolor okrzepną, i w końcu pojęła, z pewnym zadowoleniem, że jest w stanie rozpoznać, co jest w środku. Winogrona, powiedziała. A potem jeszcze raz, przetaczając to bezgłośnie słowo po wnętrzu głowy: winogrona. Czuła, że to ważne, jakby dzięki temu zakotwiczyła w tej nowej rzeczywistości.

Po chwili znikły, równie szybko, jak się pojawiły, unicestwione przez granatową masę, która utkwiała obok niej. Gdy masa się zbliżyła, poczuła leciutki zapach tytoniu. Głos, który się potem rozległ, brzmiał niepewnie, może nawet był trochę zawstydzony.

– Jennifer? Jennifer? Słyszysz mnie?

Słowa brzmiały głośno, były dziwnie natrętne.

– Jenny, kochanie, to ja.

Zastanawiała się, czy będzie mogła znowu zobaczyć winogrona. Wydawało jej się to konieczne. Były dojrzałe, fioletowe, zwarte. Znajome.

– Jest pani pewna, że ona mnie słyszy?

– Jestem całkowicie pewna, ale na początku komunikowanie się może ją forsować.

Rozległ się jakiś pomruk, którego nie zdołała zrozumieć. A może po prostu przestała się starać. Wszystko straciło wyrazistość.

– Czy... możesz... – szepnęła.

– Ale jej mózg nie ucierpiał w wypadku? Nie będzie żadnych... trwałych konsekwencji...?

– Jak powiedziałem, porządnie oberwała w głowę, ale z medycznego punktu

widzenia nie ma żadnych powodów do niepokoju. – Szelest kartek. – Żadnego pęknięcia. Żadnego obrzęku mózgu. Jednak te sprawy zawsze są odrobinę nieprzewidywalne i każdy pacjent reaguje inaczej. Dlatego po prostu musi pan być trochę...

– Proszę... – Jej głos był tylko szmerem, ledwie słyszalnym.

– Doktorze Hargreaves! Wydaje mi się, że ona próbuje coś powiedzieć.

– ...chcę zobaczyć... – Błagała o winogrona. Chcę tylko znowu zobaczyć winogrona.

– Chce zobaczyć męża! – Pielęgniarka gwałtownie wstała, oznajmiając to zwycięskim tonem. – Chyba chce zobaczyć męża.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem ktoś się nad nią pochylił.

– Jestem tu, kochanie. Wszystko... wszystko w porządku.

Kształt się wycofał, a ona usłyszała odgłos towarzyszący poklepywaniu kogoś po plecach.

– No, widzi pan? Już dochodzi do siebie. Wszystko w swoim czasie, prawda?

– Siostrze? – zabrzmiał znowu męski głos. – Niech pani pójdzie i poprosi oddziałową, żeby zamówiła na wieczór coś do jedzenia. Nic szczególnego. Coś lekkiego i łatwego do połknięcia... A przy okazji mogłaby nam siostra przynieść po filiżance herbaty.

Usłyszała odgłos kroków. Obok nadal rozlegały się ściszone głosy. Mąż?, pomyślała, zanim znowu pochłonęło ją światło.

Później, gdy jej powiedzieli, jak długo leżała w szpitalu, nie mogła w to uwierzyć. Czas się rozczłonkował, znarowił, przychodził i odchodził w chaotycznych zbitkach godzin. Był wtorek, pora śniadania. Po chwili środa, lunch. Najwyraźniej przespała osiemnaście godzin – mówiono o tym z pewną przyganą, jakby w tak długiej nieobecności było coś niestosownego. A potem był piątek. Znowu.

Czasami, kiedy się budziła i było ciemno, lekko przesuwiała głowę w górę na białej wykrochmalonej poduszce, by śledzić kojący ruch nocnego personelu: miękkie szuranie pielęgniarek chodzących po korytarzach, sporadyczne pomruki ich rozmów z pacjentami. Jeśli chce, może oglądać wieczorem telewizję, mówiły. Jej mąż płacił za indywidualną opiekę – mogła mieć niemal wszystko, czego by zapragnęła. Zawsze odpowiadała „nie, dziękuję”. Wystarczająco dezorientował ją niepokojący strumień informacji, nie potrzebowała nieustannej paplaniny z pudła w kącie sali.

Gdy okresy przytomności wydłużyły się i stały częstsze, zaczęła rozpoznawać twarze innych pacjentek niewielkiego oddziału. Salę po prawej zajmowała starsza pani z kruczoczarnymi włosami upiętymi w nienaganną, sztywną i polakierowaną rzeźbę; jej rysy twarzy okrzepły w wyrazie lekkiego,

podszyciego zdziwieniem rozczarowania. Podobno za młodu występowała w filmach – i nie omieszczała o tym informować każdej nowej pielęgniarki. Miała władczy głos i niewielu gości. W sali naprzeciwko leżała młoda pulchna kobieta, która wczesnym rankiem cicho płakała. Co wieczór żwawa starsza kobieta – może niania? – przyprowadzała do niej na godzinę małe dzieci. Dwaj chłopcy wspinali się na łóżko i przytulali do matki, dopóki niania nie kazała im zejść, z obawy, że „zrobią mamie krzywdę”.

Pielęgniarki mówiły jej, jak się nazywają pozostałe kobiety, i czasami przypominały, jak nazywa się ona sama, ale nie mogła tego spamiętać. Przypuszczała, że sprawia im tym zawód.

„Pani mąż”, jak go wszyscy nazywali, przychodził prawie codziennie wieczorem. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur, granatowy albo z szarej serży, zdawkowo cmokał ją w policzek i zazwyczaj siadał w nogach łóżka. Z troską zaczynał pogawędkę, pytając, jak jej smakuje jedzenie, czy chciałaby, żeby coś jej podesłał. Czasami po prostu czytał gazetę.

Był przystojnym mężczyzną, może z dziesięć lat starszym od niej, z wysokim, wypukłym czołem i poważnymi oczami przysłoniętymi przez opadające powieki. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że musi być tym, za kogo się podaje, że ona jest jego żoną, ale dezorientowało ją, że niczego do niego nie czuje, podczas gdy wszyscy w tak oczywisty sposób oczekiwali od niej innej reakcji. Czasami wpatrywała się w niego, kiedy nie widział, i czekała, aż nastąpi jakieś gwałtowne rozpoznanie. Czasami, gdy się budziła, siedział z opuszczoną gazetą i patrzył na nią, jakby czuł coś podobnego.

Doktor Hargreaves, lekarz specjalista, przychodził codziennie, sprawdzał jej kartę, prosił, żeby mu powiedziała, jaki jest dzień tygodnia, która jest godzina, jak się nazywa. Teraz już zawsze udzielała prawidłowych odpowiedzi. Zdołała mu nawet oznajmić, że premierem jest pan Macmillan, i podać swój wiek, dwadzieścia siedem lat. Zmagala się jednak z nagłówkami w gazetach, z wydarzeniami, które nastąpiły, zanim trafiła do szpitala. „To wszystko wróci” – mówił wtedy, klepiąc ją po dłoni. „Nic na siłę. Grzeczna dziewczynka”.

Poza tym była jeszcze jej matka, która przynosiła drobne prezenty, mydło, dobry szampon, czasopisma, jakby to wszystko mogło ją popchnąć z powrotem ku postaci, jaką najwidoczniej kiedyś była. „Tak bardzo się martwiliśmy, kochana Jenny” – powiedziała, kładąc na jej głowie chłodną dłoń. Było to przyjemne. Nie znajome, ale miłe. Czasami matka zaczynała coś mówić, jednak po chwili mamrotała: „Nie, nie powinnam cię męczyć pytaniami. Wszystko wróci. Tak mówią lekarze. Więc nie ma powodu do zmartwień”.

Jenny miała ochotę jej powiedzieć, że wcale się nie martwi. W tej małej bańce czuła się zupełnie spokojna. Po prostu nękał ją nieokreślony smutek, że nie może być osobą, której wszyscy wyraźnie oczekują. W takich chwilach, gdy

wszystko stawało się zbyt zagmatwane, niezmiennie znowu zapadała w sen.

Wreszcie o poranku tak rześkim, że smużki dymu przecinały jasnoblękitne zimowe niebo nad stolicą niczym las patykowatych drzew, powiedzieli jej, że wraca do domu. Wtedy była już w stanie od czasu do czasu spacerować po oddziale, wymieniając się czasopismami z innymi pacjentkami, które gawędziły z pielęgniarkami i niekiedy, jeśli miały taki zwyczaj, słuchały radia. Przeszła drugą operację ręki, która, jak jej powiedziano, dobrze się goiła, lecz Jenny krzywiła się na widok długiej czerwonej blizny w miejscu, gdzie szyba przecięła skórę, i starała się ją ukrywać pod długim rękawem. Zbadano jej wzrok, zbadano słuch, zagoiły się miriady zadrapań zostawionych przez odłamki szkła. Sińce wyblakły, a złamane żebro i obojczyk zrosły się na tyle dobrze, że mogła leżeć w dowolnej pozycji, nie odczuwając bólu.

Twierdzili, że pod każdym względem wygląda „jak dawniej”, jakby powtórzenie tego wystarczająco wiele razy mogło jej przypomnieć osobę, którą mieli na myśli. Tymczasem jej matka całymi godzinami grzebała w stertach czarno-białych zdjęć, by móc na nowo tchnąć w Jennifer jej dawne życie.

Dowiedziała się, że od czterech lat jest mężatką. Nie miała dzieci – sądząc po ściszonej głosie matki, było to dla wszystkich źródłem pewnego rozczarowania. Mieszkała w bardzo eleganckim domu w bardzo dobrej dzielnicy Londynu, z gosposią i szoferem, i ponoć mnóstwo młodych dam byłoby gotowych wiele dać, by mieć połowę tego, co ona. Jej mąż był jakąś ważną postacią w górnictwie i często wyjeżdżał, lecz był jej tak oddany, że po wypadku przełożył kilka „bardzo ważnych” podróży. Słyszając, z jakim szacunkiem wyraża się o nim personel medyczny, domyśliła się, że rzeczywiście zajmuje jakąś bardzo ważną pozycję, a zatem ona także mogła oczekiwać pewnego szacunku, nawet jeśli wydawało jej się to nonsensem.

Nikt nie mówił zbyt wiele o tym, jak trafiła do szpitala, lecz raz udało jej się ukradkiem zajrzeć do zapisków lekarza i dowiedziała się, że brała udział w wypadku samochodowym. Gdy próbowała wydusić z matki, co się stało, ta zrobiła się całkiem czerwona, przykryła dłoń córki swoją pulchną ręką i poprosiła żarliwie: „Nie roztrząsaj tego, kochanie. To wszystko było... strasznie przygnębiające”. Jej oczy wypełniły się łzami i Jennifer, nie chcąc jej denerwować, zmieniła temat.

Pewna gadatliwa dziewczyna w hełmie z pomarańczowych włosów przyszła z innej części szpitala, żeby obciąć i ułożyć włosy Jennifer. Oznajmiła, że dzięki temu pacjentka poczuje się o wiele lepiej. Jennifer straciła trochę włosów z tyłu głowy – ogolono je, żeby zszyć ranę – a ta dziewczyna była ponoć mistrzynią w ukrywaniu takich obrażeń.

Nieco ponad godzinę później zamaszystym gestem uniosła lusterko. Jennifer spojrzała na kobietę, która patrzyła na nią z tafli. Całkiem ładna, pomyślała

z pewnym nieokreślonym zadowoleniem. Posiniaczona, trochę blada, ale przyjemna twarz. Moja twarz, poprawiła się.

– Ma pani pod ręką swoje kosmetyki? – spytała fryzjerka. – Jeśli nadal boli panią ręka, mogłabym panią umalować. Odrobina szminki ożywi każdą twarz. Odrobina szminki i trochę podkładu.

Jennifer dalej wpatrywała się w lusterko.

– Myśli pani, że powinnam?

– O tak. Taka ładna dziewczyna jak pani... Efekt będzie bardzo subtelny... ale doda blasku policzkom. Proszę zaczekać, skoczę na dół po swój zestaw. Mam urocze kolory z Paryża i szminkę Charles of the Ritz, która będzie dla pani idealna.

– Prawda, że wygląda pani zachwycająco? Aż miło spojrzeć na umalowaną damę. Od razu widać, że dochodzi pani do siebie – powiedział doktor Hargreaves jakiś czas później podczas obchodu. – Nie możemy się doczekać powrotu do domu, co?

– Tak, dziękuję – odrzekła uprzejmie. Nie miała pojęcia, jak mu powiedzieć, że nie wie, gdzie jest ten dom.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, być może dostrzegając tę niepewność. Potem usiadł na krawędzi łóżka i położył rękę na jej ramieniu.

– Rozumiem, że to wszystko może się wydawać trochę dezorientujące, że jeszcze nie do końca czuje się pani sobą, ale proszę się za bardzo nie przejmować, nawet jeśli coś wydaje się niejasne. Amnezja po urazie głowy to dość powszechne zjawisko. Rodzina bardzo panią wspiera i jestem pewny, że gdy już znajdzie się pani w znajomym otoczeniu, wróci do dawnej rutyny, przyjaciół, zakupów i tak dalej, przekona się pani, że wszystko znowu jest na swoim miejscu.

Posłusznie pokiwała głową. Dość szybko zauważyła, że gdy to robi, wszyscy wydają się szczęśliwsi.

– No, chciałbym, żeby zgłosiła się pani mniej więcej za tydzień, żebym mógł sprawdzić, jak goi się ręka. Będzie pani potrzebowała fizjoterapii, żeby w pełni odzyskać w niej władzę. Ale przede wszystkim powinna pani po prostu odpoczywać i niczym się za bardzo nie przejmować. Rozumie pani?

Już szykował się do wyjścia. Co innego mogła powiedzieć?

Mąż przyjechał po nią tuż przed podwieczorkiem. Pielęgniarki w czystych i wykrochmalonych fartuchach ustawiły się w rzędzie w recepcji na dole, by się z nią pożegnać. Nadal czuła się dziwnie słaba i niepewnie stała na nogach. Była wdzięczna mężowi, że podsunął jej ramię.

– Dziękuję za opiekę nad żoną. Proszę przesłać rachunek do mojego biura – powiedział do oddziałowej.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odrzekła kobieta, ściskając mu rękę i posyłając Jennifer promienny uśmiech. – Wspaniale jest widzieć pana żonę znowu w formie. Wygląda pani cudownie, pani Stirling.

– Czuję się... znacznie lepiej. Dziękuję. – Miała na sobie długi kaszmirowy płaszcz i pasujący do niego toczek. Polecił przysłać jej trzy stroje do wyboru. Zdecydowała się na najbardziej stonowany. Nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Spojrzeni w stronę doktora Hargreavesa, który wystawił głowę z gabinetu.

– Moja sekretarka mówi, że na zewnątrz są jacyś dziennikarze. Przyszli do młodej Cochrane. Jeśli chcą państwo uniknąć zamieszania, chyba warto skorzystać z tylnego wyjścia.

– Tak będzie lepiej. Mógłby pan skierować tam mojego szofera?

Po tygodniach spędzonych w ciepłe szpitalnego oddziału powietrze na zewnątrz wydawało się wstrząsająco zimne. Starła się nadążyć za mężem, oddychała płytko i gwałtownie, a potem znalazła się na tylnym siedzeniu olbrzymiego czarnego samochodu, otoczona imponującą skórzaną tapicerką. Drzwi zamknęły się z eleganckim trzaśnięciem. Samochód z cichym warkotem ruszył ku londyńskim ulicom.

Spojrzała przez szybę na dziennikarzy, ledwie widocznych na frontowych schodach, i na opatulonych fotoreporterów porównujących obiektywy. Dalej, na ulicach środkowego Londynu roilo się od zabieganych ludzi z kołnierzami postawionymi dla osłony przed wiatrem, od mężczyzn w filcowych kapeluszach mocno nasuniętych na czoło.

– Kim jest ta młoda Cochrane? – spytała, odwracając się do męża.

Właśnie mamrotał coś do szofera.

– Kto?

– Ta młoda Cochrane. Wspomniał o niej doktor Hargreaves.

– Z tego, co wiem, była dziewczyną znanego piosenkarza. Niedawno uczestniczyli w wypadku drogowym...

– Pielęgniarki w szpitalu ciągle o niej mówiły.

Zdawało się, że stracił zainteresowanie.

– Odwiozę panią Stirling do domu, a potem pojedę do biura – powiedział do szofera.

– Co się z nim stało? – spytała.

– Z kim?

– Z Cochrane'em. Z tym piosenkarzem.

Mąż spojrzał na nią, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Zginął – powiedział. Potem znowu odwrócił się do szofera.

Powoli wchodziła po schodach do białego domu zdobionego sztukaterią, a gdy dotarła na górę, drzwi otworzyły się jak za sprawą czarów. Kierowca ostrożnie postawił jej walizkę w holu, po czym się wycofał. Stojący za nią mąż skinął do kobiety czekającej w holu, która najprawdopodobniej chciała ich powitać. Była w późnym średnim wieku, ciemne włosy spięła z tyłu w ciasny kok i miała na sobie granatowy dwuczęściowy kostium.

– Witamy w domu, proszę pani – powiedziała, wyciągając rękę. Uśmiechała się szczerze i mówiła z silnym akcentem. – Bardzo się wszyscy cieszymy, że wróciła pani do nas cała i zdrowa.

– Dziękuję – odrzekła Jennifer. Chciała się zwrócić do tej kobiety po imieniu, ale nie odważyła się o nie spytać.

Kobieta wzięła od nich płaszcze i zniknęła gdzieś w holu.

– Jesteś zmęczona? – Mąż pochylił głowę, żeby przyjrzeć się jej twarzy.

– Nie. Nie, nic mi nie jest. – Rozejrzała się wokół, żałując, że nie potrafi ukryć przerażenia wywołanego tym, że zupełnie nie poznaje tego domu.

– Muszę teraz jechać do biura. Zostaniesz sama z panią Cordozą?

Cordoza. Brzmiało to nie całkiem obco. Trochę jej ulżyło. Pani Cordoza.

– Poradzę sobie, dziękuję. Proszę, nie martw się o mnie.

– Wrócę o siódmej... jeśli na pewno wszystko w porządku... – Wyraźnie chciał już iść. Pochylił się, pocałował ją w policzek i po chwili wahania wyszedł.

Stała w holu i słuchała jego kroków cichnących na schodach za drzwiami, a potem stłumionego warkotu, gdy odjeżdżał jego wspaniały samochód. Nagle dom wydał jej się przepastny.

Dotknęła wykończonej jedwabiem tapety, spojrzała na wypolerowaną drewnianą podłogę, na oszałamiająco wysokie sufity. Precyzyjnymi, zdecydowanymi ruchami zdjęła rękawiczki. Potem pochyliła się, żeby spojrzeć na zdjęcia ustawione na stoliku w holu. Największe było zdjęcie ślubne, oprawione w zdobione, mocno wypolerowane srebro. Pozowała na nim w dopasowanej białej sukni, z twarzą do połowy przysłoniętą białym koronkowym welonem, a stojący obok mąż szeroko się uśmiechał. Naprawdę za niego wyszłam, pomyślała. A potem: wyglądam na bardzo szczęśliwą.

Nagle podskoczyła. Pani Cordoza podeszła od tyłu i stała za nią ze złożonymi rękami.

– Pomyślałam, że mogłabym zaparzyć pani herbaty. Pewnie chciałaby pani ją wypić w salonie. Rozpaliłam tam dla pani w kominku.

– Byłoby... – Jennifer spojrzała na rząd drzwi wzdłuż holu. Potem znowu przeniosła wzrok na zdjęcie. Dopiero po chwili odezwała się ponownie. – Pani Cordozo... czy mogłabym się wesprzeć na pani ramieniu? Tylko dopóki nie usiądę. Nie czuję się zbyt pewnie na nogach.

Potem nie umiała sobie wyjaśnić, dlaczego nie chciała, żeby kobieta zauważyła, jak słabo pamięta rozkład pomieszczeń we własnym domu. Po prostu wydawało jej się, że jeśli będzie udawała i nikt się nie zorientuje, to, co jest grą, w końcu stanie się prawdą.

Gospośnia przygotowała kolację: zapiekanekę z ziemniakami i drobną fasolą. Powiedziała Jennifer, że zostawiła ją w dolnym piekarniku. Z podaniem do stołu Jennifer musiała jednak poczekać na męża: bała się, że upuści ciężkie żeliwne

naczynie, bo jej prawa ręka nadal była słaba.

Samotną godzinę spędziła, chodząc po ogromnym domu, zapoznając się z nim, otwierając szuflady i studiując zdjęcia. Mój dom, powtarzała sobie bez końca. Moje rzeczy. Mój mąż. Parę razy wyłączała umysł i pozwalała, by nogi niosły ją tam, gdzie jej zdaniem były łazienka albo gabinet, i z zadowoleniem odkryła, że jakaś część niej nadal zna to miejsce. Spoglądała na książki w salonie, zauważając z rodzajem lekkiej satysfakcji, że choć mnóstwo elementów wydawało jej się obcych, byłyby w stanie wyrecytować w myślach fabułę wielu z nich.

Najwięcej czasu spędziła w swojej sypialni. Pani Cordoza rozpakowała jej walizkę i odłożyła wszystko na miejsce. Po otwarciu dwóch szaf wnękowych ukazała się olbrzymia ilość starannie ułożonych ubrań. Wszystkie doskonale na nią pasowały, nawet najbardziej znoszone buty. Jej szczotka do włosów, perfumy i pudry stały w rzędzie na toaletce. Zapachy spotykały się z jej skórą, wywołując przyjemne znajome uczucie. Kolory kosmetyków pasowały do niej: Coty, Chanel, Elizabeth Arden, Dorothy Gray – jej lustro otaczał mały batalion drogich kremów i maści.

Wysunęła szufladę i wydobyła z niej warstwy szyfonu, biustonosze i inną bieliznę uszytą z jedwabiu i koronki. Jestem kobietą, dla której wygląd ma znaczenie, zauważyła. Usiadła i wpatrzyła się w swoje odbicie w trójdzielny lustrze, a potem długimi, miarowymi ruchami zaczęła szczotkować włosy. Taka właśnie jestem, powtórzyła sobie kilka razy.

W tych nielicznych momentach, gdy przytłaczała ją obcość, zajmowała się drobnymi czynnościami: przekładała ręczniki w szafie na dole, wyjmowała z szafek talerze i kieliszki.

Mąż wrócił tuż przed siódmą. Czekala na niego w holu, świeżo umalowana i skropiona perfumami na szyi i ramionach. Zauważyła, że te pozory normalności sprawiły mu przyjemność. Wzięła od niego płaszcz, powiesiła go w szafie i spytała, czy ma ochotę na drinka.

– Byłoby cudownie. Dziękuję – powiedział.

Zawahała się z jedną dłonią na karafce.

Odwrócił się i zauważył jej niezdecydowanie.

– Tak, właśnie to, kochanie. Whisky. Na dwa palce, z lodem. Dziękuję.

Podczas kolacji siedział po jej prawej stronie przy gigantycznym wypolerowanym stole z mahoni, który w przeważającej części pozostał nienakryty. Nałożyła na talerze parujące jedzenie i postawiła je przed sobą i mężem. To moje życie, pomyślała, obserwując ruchy jego rąk. Tak spędzamy wieczory.

– Pomyślałem, że w piątek moglibyśmy zaprosić Moncrieffów na kolację. Miałabyś ochotę?

Zjadła mały kęs z widelca.

– Chyba tak.
– To dobrze. – Pokiwał głową. – Nasi przyjaciele się o ciebie dopytują. Chętnie zobaczą, że... znowu jesteś taka jak dawniej.

Zdobyła się na uśmiech.

– Byłoby... miło.
– Myślałem, że przez parę tygodni nie będziemy zbyt aktywni. Dopóki nie wrócisz do formy.

– Tak.

– Bardzo dobre. Sama ugotowałaś?

– Nie. To pani Cordoza.

– Aha.

Jedli w milczeniu. Piła wodę – doktor Hargreaves odradził jej alkohol – ale zazdrościła mężowi stojącej przed nim szklaneczki whisky. Miała ochotę rozmazać tę niepokojącą obcość, pozbawić ją ostrości.

– A co sływać... w biurze?

Nie podniósł głowy.

– Wszystko w porządku. W ciągu najbliższych paru tygodni będę musiał pojechać do kopalni, ale zanim to nastąpi, chcę mieć pewność, że sobie poradzisz. Oczywiście będziesz miała do pomocy panią Cordozę.

Na myśl o tym, że zostanie sama, poczuła lekką ulgę.

– Na pewno nic mi nie będzie.

– Pomyślałem, że potem moglibyśmy się wybrać na dwa tygodnie na Riwierę. Mam tam coś do załatwienia, a słońce może ci dobrze zrobić. Doktor Hargreaves mówił, że mogłoby pomóc na... blizny... – Zamilkł.

– Na Riwierę – powtórzyła jak echo. Nagle ujrzała brzeg morza skąpany w świetle księżyca. Śmiech. Brzęk kieliszków. Zamknęła oczy, pragnąc, żeby ten ulotny obraz nabrał ostrości.

– Pomyślałem, że tym razem moglibyśmy pojechać samochodem tylko we dwoje.

Obraz zniknął. Słyszała pulsowanie w uszach. Spokojnie, pomyślała. Wszystko wróci. Tak powiedział doktor Hargreaves.

– Tam zawsze wydajesz się szczęśliwa. Chyba trochę bardziej niż w Londynie. – Spojrzał na nią, a potem odwrócił wzrok.

Znowu poczuła, że poddaje ją jakiemuś sprawdzianowi. Zmusiła się, żeby przeżuć i połknąć.

– Jak uważasz – powiedziała cicho.

W jadalni zapadła cisza, jeśli pominąć powolne zgrzytanie jego sztućców na talerzu. Męczący dźwięk. Nagle jej porcja wydała się niemożliwa do zjedzenia.

– Właściwie to jestem bardziej zmęczona, niż myślałam. Bardzo by ci przeszkadzało, gdybym poszła na górę?

Wstał, gdy podniosła się z miejsca.

– Powinienem był powiedzieć pani Cordozie, żeby nakryła w kuchni. Pomóc ci wejść po schodach?

– Proszę, nie zwracaj sobie głowy. – Machnęła ręką, rezygnując z ramienia, które jej podsunał. – Po prostu jestem trochę zmęczona. Rano na pewno poczuję się o wiele lepiej.

Za piętnaście dziesiąta usłyszała, jak jej mąż wchodzi do pokoju. Leżała w łóżku dotkliwie świadoma otaczającej ją pościeli, światła księżycyca przenikającego przez długie zasłony, dalekich odgłosów ruchu ulicznego na placu, taksówek zwalniających, żeby wypluć pasażerów, uprzejmego pozdrowienia od kogoś wyprowadzającego psa. Nie ruszała się, czekając, aż coś wskoczy na swoje miejsce, aż łatwość, z jaką wpasowała się z powrotem w swoje fizyczne otoczenie, przesiąknie do jej umysłu.

A potem otworzyły się drzwi.

Nie włączył światła. Usłyszała ciche klekotanie drewnianych wieszaków, gdy odwiesił marynarkę, miękkie, głuche stuknięcie butów zsuwanych ze stóp. I nagle zeszytniała. Jej mąż – ten mężczyzna, ten obcy człowiek – zamierzał wejść do łóżka. Tak bardzo się skupiła na brnięciu przez kolejne chwile, że nie wzięła tego pod uwagę. W pewnym sensie oczekiwała, że będzie spał w pokoju gościnnym.

Przygryzła wargę i zacisnęła powieki, starając się oddychać powoli, jakby spała. Usłyszała, jak mąż wchodzi do łazienki, z kranu popłynęła woda, zaczęło się energiczne szczotkowanie zębów, a potem krótkie płukanie gardła. Wrócił boso na dywan, a już po chwili wślizgiwał się pod kołdrę, powodując zapadnięcie się materaca i skrzypienie protestującego stelaża. Leżał przez chwilę, a ona usilnie starała się równo oddychać. Och, proszę, jeszcze nie teraz, błagała w myślach. Prawie cię nie znam.

– Jenny? – odezwał się.

Poczuła jego rękę na biodrze, o mało się nie wzdrygnęła.

Nieśmiało przesunął dłoń.

– Jenny?

Przeciągle westchnęła, udając niewinne zamroczenie głębokiego snu. Poczuła, jak znieruchomiał, jego ręka zastygła, a potem, także z westchnieniem, osunął się ciężko na swoje poduszki.

Chciałbym być tym człowiekiem, który Cię uratuje, ale to po prostu niemożliwe [...] Po tym, jak dostaniesz ten list, nie będę więcej dzwonił, bo mogłoby Cię to przygnębić, a gdybym usłyszał, że płaczesz, nie byłby to wierny obraz Ciebie, bo w ciągu półtora roku nigdy nie widziałem, żebyś płakała, i nigdy wcześniej nie miałem takiej dziewczyny.

Z listu mężczyzny do kobiety

Moira Parker zobaczyła ponuro zaciśnięte zęby szefa, zdeterminowany krok, jakim przeszedł przez jej biuro do własnego, i pomyślała, że to chyba dobrze, że pan Arbuthnot, z którym był umówiony na wpół do trzeciej, jest już spóźniony. Najwyraźniej poprzednie spotkanie nie przebiegło dobrze.

Wstała, przyglądając spódnicy, i wzięła od niego płaszcz zmoczony deszczem podczas krótkiej drogi z samochodu do biura. Umieściła jego parasol w stojaku, a następnie poświęciła nieco dłuższą chwilę niż zwykle, by odwiesić płaszcz na haczyk. Pracowała u niego już wystarczająco długo, by wiedzieć, kiedy potrzebuje odrobiny samotności.

Nalała mu filiżankę herbaty – po południu zawsze pił herbatę, a rano dwie filiżanki kawy – pozbierała swoje dokumenty z wprawą zrodzoną z lat praktyki, a następnie zapukała do jego drzwi i weszła.

– Przypuszczam, że pan Arbuthnot utknął w korku. Ponoć stanął cały ruch na Marylebone Road.

Czytał listy, które wcześniej położyła mu na biurku do podpisu. Wyraźnie zadowolony, wyjął pióro z kieszeni na piersi i złożył autografy krótkimi, gwałtownymi pociągnięciami. Postawiła herbatę na biurku i dodała listy do swojej sterty dokumentów.

– Odebrałam bilety na pański lot do RPA i zorganizowałam transport z lotniska.

– To piętnastego.

– Tak. Przyniosę je, jeśli chce pan sprawdzić. Tu są statystyki sprzedaży z ubiegłego tygodnia. Najnowsze dane na temat płac są w tej teczce. A ponieważ nie byłam pewna, czy znajdzie pan czas, żeby zjeść lunch po spotkaniu z fabrykantami, pozwoliłam sobie zamówić panu kanapki. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

– To bardzo miło z twojej strony, Moiro. Dziękuję.

– Chciałby pan je zjeść teraz? Do herbaty?

Pokiwał głową i zdawkowo się do niej uśmiechnął. Bardzo się starała, żeby się nie zarumienić. Wiedziała, że inne sekretarki pokpiwają z jej przesadnej troski o szefa, a już szczególnie naśmiewają się z jej wymuskanych ubrań i nieco sztywnego sposobu bycia. Był to jednak mężczyzna, który lubił, by sprawy załatwiano, jak należy, a ona zawsze to rozumiała. Te głupiutkie dziewczyny, wiecznie z nosem w czasopismach, ze swoimi niekończącymi się plotkami w damskiej toalecie, nie pojmowały przyjemności nierozzerwalnie związanej z dobrze wykonaną pracą. Nie rozumiały satysfakcji płynącej z bycia niezastąpioną.

Przez chwilę się wahała, a potem wyjęła z teczki ostatni list.

– Była druga dostawa poczty. Pomyślałam, że powinien pan na to spojrzeć. To kolejny list dotyczący mężczyzny z Rochdale.

Zmarszczył brwi, co zabiło lekki uśmiech rozjaśniający mu twarz. Przeczytał list dwukrotnie.

– Ktoś jeszcze to widział?

– Nie, proszę pana.

– Dołącz go do pozostałych. – Popchnął kartkę w jej stronę. – To wszystko to tylko sianie niepokoju. Na pewno stoją za tym związki zawodowe. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Przyjęła to bez słowa. Skierowała się do drzwi, ale po chwili się odwróciła.

– Jeśli wolno spytać... Jak się czuje pana żona? Pewnie się cieszy, że znowu jest w domu.

– Żona czuje się dobrze, dziękuję. Już prawie... prawie całkiem wróciła do siebie – powiedział. – Powrót do domu bardzo jej pomaga.

Przełknęła ślinę.

– Bardzo się cieszę.

Skupił się już na czymś innym – przeglądał statystyki sprzedaży, które mu zostawiła. Z uśmiechem przyklejonym do ust Moira Parker przycisnęła dokumenty do piersi i pomaszerowała z powrotem do swojego biurka.

Starzy przyjaciele, powiedział. Nic nazbyt forsującego. Dwie z tych osób już widziała, odwiedziły ją w szpitalu, a potem jeszcze raz, gdy wróciła do domu. Yvonne Moncrieff, wysoka, ciemnowłosa kobieta tuż po trzydziestce, była jej przyjaciółką, odkąd zamieszkały po sąsiedzku przy Medway Square. Miała oschły, sardoniczny sposób bycia, mocno kontrastujący ze sposobem bycia drugiej przyjaciółki, Violet, którą Yvonne poznała w szkole i chyba akceptowała jej cięty dowcip i zabawne uwagi, biorąc je za coś oczywistego.

Początkowo Jennifer z trudem nadażała za wymianą zdań, szukała znaczenia w nazwiskach, którymi obie rzucały, ale w ich towarzystwie czuła się swobodnie. Jeśli chodzi o reagowanie na ludzi, nauczyła się ufać instynktowi: możliwe, że wspomnienia są przechowywane gdzieś indziej niż w umyśle.

– Szkoda, że ja nie mogę stracić pamięci – powiedziała Yvonne, gdy Jennifer wyznała, jak dziwnie się poczuła, obudziwszy się w szpitalu. – Poszłabym w stronę zachodzącego słońca. Zapomniałabym, że kiedykolwiek wyszłam za Francisa. – Wpadła, żeby zapewnić Jennifer, że wszystko jest w porządku. To miało być „spokojne” wieczorne przyjęcie, ale pod koniec popołudnia Jennifer była już prawie sparaliżowana z nerwów.

– Nie wiem, dlaczego tak panikujesz, kochana. Twoje przyjęcia są legendarne. – Przysiadła na łóżku, patrząc, jak Jennifer przymierza kolejne sukienki.

– Tak. Ale z jakiego powodu? – Spróbowała poprawić biust pod materiałem.

Wyglądało na to, że w szpitalu trochę schudła i przód nieatrakcyjnie odstawał.

Yvonne się roześmiała.

– Och, odpręż się. Nic nie musisz robić, Jenny. Wspaniała pani C. spisze się na medal. Dom wygląda pięknie. Ty zachwycająco. W każdym razie będziesz zachwycająca, jeśli w końcu wybierzesz jakąś cholerną sukienkę. – Zrzuciła buty i przeniosła długie, smukłe nogi na łóżko. – Nigdy nie pojmowałam twojego entuzjazmu dla przyjęć. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam chodzić na przyjęcia, ale całe to organizowanie. – Oglądała swoje paznokcie. – Przyjęcia są po to, żeby na nie chodzić, a nie żeby je wydawać. Tak mawiała moja matka i jeśli mam być szczerą, to nadal aktualne. Mogę sobie kupić parę nowych sukienek, ale kanapeczki i plany rozmieszczenia gości? Ohyda.

Jennifer nadała kształt dekoltowi i wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, odwracając się to w lewo, to w prawo. Podniosła rękę. Blizna była wypukła i wciąż wściekle różowa.

– Myślisz, że powinnam włożyć coś z długim rękawem?

Yvonne usiadła i spojrzała na nią.

– To boli?

– Boli mnie cała ręka i lekarz przepisał mi jakieś tabletki. Po prostu zastanawiam się, czy blizna nie będzie trochę za bardzo...

– Zwracała uwagi? – Yvonne zmarszczyła nos. – Długie rękawy byłyby chyba lepsze, kochana. Dopóki trochę to nie zblednie. Poza tym jest strasznie zimno.

Bezparonowa ocena przyjaciółki zdumiała Jennifer, ale jej nie uraziła. Była to pierwsza szczerą rzeczą, jaką jej powiedziano, odkąd wróciła do domu.

Zdjęła sukienkę, weszła do garderoby i przeglądała jej zawartość, dopóki nie znalazła futerałowej sukni z surowego jedwabiu. Zdjęła ją z wieszaka i obejrzała. Była bardzo krzykliwa. Od powrotu do domu Jennifer miała ochotę ukrywać się w tweedach, subtelnym szarościach i brązach, lecz zewsząd atakowały ją te wysadzane klejnotami sukienki.

– To takie rzeczy? – spytała.

– Jak to „takie rzeczy”?

Jennifer głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Takie, jakie kiedyś nosiłam? Tak kiedyś wyglądałam? – Przyłożyła sukienkę do ciała.

Yvonne wyjęła z torebki papierosa i zapaliła go, przyglądając się twarzy Jennifer.

– Próbujesz mi powiedzieć, że naprawdę niczego nie pamiętasz?

Jennifer usiadła na taborecie przed toaletką.

– Prawie niczego – przyznała. – Wiem, że cię znam. I wiem, że znam jego. Czuję to tutaj. – Poklepała się po sercu. – Ale... jest wiele luk. Nie pamiętam, co

myślałam o własnym życiu. Nie wiem, jak mam się zachowywać w stosunku do ludzi. Nie wiem... – Przygryzła wewnętrzną stronę wargi. – Nie wiem, kim jestem. – Niespodziewanie do jej oczu napłynęły łzy. Wysunęła szufladę, potem drugą, w poszukiwaniu chusteczki.

Yvonne odczekała chwilę. Potem wstała, podeszła i usiadła obok Jennifer na wąskim taborecie.

– W porządku, kochana, wszystko ci przypomnę. Jesteś urocza, zabawna i pełna *joie de vivre*. Masz doskonałe życie, bogatego, przystojnego męża, który cię uwielbia, i garderobę, za którą każda kobieta byłaby skłonna oddać życie. Zawsze masz idealną fryzurę. Twoja talia mieści się w męskiej dłoni. Na każdym przyjęciu jesteś duszą towarzystwa i mężowie nas wszystkich skrycie się w tobie podkochują.

– Och, nie rozśmieszaj mnie.

– Nie żartuję. Francis cię uwielbia. Ilekroć widzi ten twój kokietyjny uśmiezek, te jasne loczki, czuję, że zachodzi w głowę, dlaczego, na litość boską, ożenił się z tą chudą, zrzędliwą starą Żydówką. A jeśli chodzi o Billa...

– Billa?

– Męża Violet. Przed twoim ślubem dosłownie łąził za tobą jak zakochany kundel. Całe szczęście, że tak strasznie boi się twojego męża, bo inaczej już wiele lat temu uciekłyby z tobą pod pachą.

Jennifer wytarła oczy chusteczką.

– Jesteś bardzo miła.

– A skąd. Gdyby nie to, że jesteś taka fajna, musiałabym cię sprzątnąć. Ale masz szczęście. Lubię cię.

Siedziały razem kilka minut. Jennifer pocierała palcem u nogi jakieś miejsce na dywanie.

– Dlaczego nie mam dzieci?

Yvonne głęboko zaciągnęła się papierosem. Spojrzała na Jennifer i uniosła brwi.

– Kiedy ostatni raz o tym rozmawialiśmy, zauważyłaś, że aby mieć dzieci, mąż i żona powinni choć przez chwilę przebywać na tym samym kontynencie. Ten twój mąż strasznie dużo podróżuje. – Uśmiechnęła się znacząco i wypuściła idealne kółeczko z dymu. – Między innymi dlatego zawsze potwornie ci zazdrościłam.

Jennifer nieśmiało się roześmiała.

– Och – podjęła Yvonne – nic ci nie będzie, kochana. Powinnaś robić to, co zalecił ten niedorzecznie drogi lekarz, i przestać się zamartwiać. Pewnie za parę tygodni przydarzy ci się chwila olśnienia i wszystko sobie przypomnisz: obrzydliwego, chrapiącego męża, stan gospodarki, przerażający stan twojego rachunku u Harveya Nicholasa. Tymczasem ciesz się swoją niewinnością, dopóki

trwa.

– Chyba masz rację.

– A skoro już to stwierdziłyśmy, myślę, że powinnaś włożyć tę różową. Masz kwarcowy naszyjnik, który fantastycznie do niej pasuje. W tej szmaragdowej nie prezentujesz się najlepiej. Twój biust wygląda w niej jak dwa sflaczałe balony.

– Och, rzeczywiście jesteś moją przyjaciółką! – powiedziała Jennifer i obie się roześmiały.

Trzasnęły drzwi, a on rzucił teczkę na podłogę w holu. Chłodne powietrze z zewnątrz przylegało jeszcze do jego płaszcza i skóry. Zdjął szalik, pocałował Yvonne i przeprosił za spóźnienie.

– Zebranie księgowych. Wiecie, jak ci faceci od pieniędzy potrafią się rozgadać.

– Och, Larry, powinienes ich zobaczyć, jak się ze sobą spotkają. Nudzą mnie wtedy do nieprzytomności. Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat, a nadal nie odróżniam debetu od kredytu. – Yvonne spojrzała na zegarek. – Niedługo powinien tu być. Na pewno macha swoją czarodziejską różdżką nad jakąś niedającą mu spokoju kolumną cyfr.

Spojrzał na żonę.

– Jenny, wyglądasz prześlicznie.

– Prawda? Twoja żona zawsze potrafi się dobrze ubrać.

– Tak. Tak, to prawda. Racja. – Przesunął ręką po żuchwie. – Jeśli pozwolicie, pójdę się odświeżyć, zanim zjawi się reszta gości. Znowu będzie padał śnieg, słyszałem prognozę w radiu.

– Przygotujemy ci drinka – zawołała Yvonne.

Gdy drzwi otworzyły się po raz drugi, zmysły Jennifer były już przytępione mocnymi drinkami. Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie w kółko. Yvonne mi podpowie, co robić, jeśli będzie mi groził jakiś blamaż. To są moi przyjaciele. Przecież nie będą czekali na moje potknięcie. To kolejny krok, żeby znowu być sobą.

– Jenny, bardzo dziękujemy, że nas zaprosiłaś – powiedziała Violet Fairclough, ściskając gospodynię. Jej pulchna twarz prawie całkiem utonęła w turbanie. Zdjęła go z głowy i podała razem z płaszczem. Miała na sobie wydekoltowaną jedwabną sukienkę, która opinała jej obfite kształty niczym wypełniony powietrzem spadochron. Później Yvonne powiedziała, że żeby objąć Violet w tali, potrzeba by małej kompanii piechoty.

– Jennifer. Jak zwykle urocza. – Wysoki, rudy mężczyzna pochylił się, żeby ją pocałować.

Jennifer zdumiało niedopasowanie tej pary. Mężczyzny w ogóle nie pamiętała i wydawało jej się wręcz zabawne, że jest mężem małej Violet.

– Proszę, wchodźcie – powiedziała, odrywając od niego spojrzenie

i odzyskując panowanie nad sobą. – Mój mąż za chwilę zejdzie. Tymczasem pozwólcie, że zaproszę was na drinka.

– „Mój mąż”? – roześmiał się Bill. – Jesteśmy dzisiaj tacy oficjalni?

– No cóż... – bąknęła Jennifer. – Minęło tyle czasu, odkąd was wszystkich widziałam...

– Bestia. Masz być miły dla Jenny. – Yvonne pocałowała go na powitanie. – Nadal jest strasznie delikatna. Powinna leżeć na górze jak suchotniczka, a któreś z nas chodziłoby do niej co chwila i karmiło ją winogronami obranymi ze skórki. Uparła się jednak, że woli martini.

– I to jest Jenny, którą znamy i kochamy. – Pełen uznania uśmiech Billa trwał tak długo, że Jennifer dwa razy zerknęła na Violet, chcąc się upewnić, czy jej to nie uraziło. Wyglądało jednak na to, że wcale jej to nie przeszkadza: grzebała w torebce.

– Dałam wasz numer niani – powiedziała, podnosząc głowę. – Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu. Ta kobieta naprawdę do niczego się nie nadaje. Pewnie lada chwila zadzwoni i powie, że nie może znaleźć dołu od piżamy Fredericka albo coś w tym rodzaju.

Jennifer zauważyła, jak Bill przewraca oczami, i z konsternacją zdała sobie sprawę, że pamięta ten grymas.

Przy stole siedziało ich ośmioro, jej mąż i Francis u szczytów. Yvonne, Dominic, który piastował dość wysokie stanowisko w Horse Guards, oraz Jennifer zajmowali miejsca od strony okna, a Violet, Bill i Anne, żona Dominica, siedzieli naprzeciwko. Anne była wesoła, rechotała z dowcipów mężczyzn i miała w oku łagodny błysk typowy dla kobiet, które dobrze czują się w swojej skórze.

Jennifer przyłapała się na tym, że przygląda się, jak goście jedzą, z wnikliwością godną eksperta medycyny sądowej analizuje wszystko, co do siebie mówią, i poszukuje wskazówek dotyczących ich przeszłości. Zauważyła, że Bill rzadko spogląda na żonę, a jeszcze rzadziej się do niej zwraca. Violet zdawała się tego nie dostrzegać i Jennifer zastanawiała się, czy jest nieświadoma jego obojętności, czy po prostu stoicko ukrywa zażenowanie.

Yvonne, mimo wszystkich swoich dowcipnych narzekań na Francis, prawie nie odrywała od niego wzroku. Żartowała, żeby go rozbawić, dorzucając do tego wyzywający uśmiech. Właśnie tak to między nimi wygląda, pomyślała Jennifer. Yvonne nie chce mu pokazywać, jak wiele dla niej znaczy.

– Żałuję, że nie zainwestowałem w lodówki – mówił Francis. – Dziś rano napisali w gazecie, że w tym roku w Wielkiej Brytanii planuje się sprzedaż miliona sztuk. Miliona! Pięć lat temu było ich tylko... sto siedemdziesiąt tysięcy.

– W Ameryce jest pewnie dziesięć razy więcej. Podobno ludzie wymieniają je co dwa lata. – Violet nadziała na widelec kawałek ryby. – Poza tym są olbrzymie, dwa razy większe od naszych. Wyobrażacie sobie?

– W Ameryce wszystko jest większe. W każdym razie uwielbiają nam o tym mówić.

– Sądząc po Amerykanach, których zdarzyło mi się poznać, duże mają tam zwłaszcza ego – odezwał się Dominic. – Nie wiecie, co to nieznośny mądrała, dopóki nie spotkacie jankeskiego generała.

Anne się roześmiała.

– Biedny stary Dom poczuł się trochę dotknięty, kiedy tamten zaczął mu tłumaczyć, jak powinien prowadzić swój własny samochód.

– „A niech mnie, jakie małe domy. Jakie małe samochody. Jakie małe porcje...” – przedrzeźniał go Dominic. – Szkoda, że nie widzieli, jakie mieliśmy tu porcje w okresie reglamentacji. Oczywiście nie mają pojęcia...

– Dom postanowił trochę z niego zakpić i pożyczył od mojej matki Morrisa minora. Pojechał nim odebrać go z lotniska. Żałujcie, że nie widzieliście, jaką miał minę.

– „Takie mamy tu przydziały, bracie” – powiedziałem mu. „Dygnitarzy wozimy vauxhallem veloxem. Zapewnia dodatkowe siedem centymetrów na nogi”. Musiał dosłownie zgiąć się wpół, żeby wsiąść do środka.

– Wyłam ze śmiechu – wtrąciła Anne. – Nie wiem, jak to możliwe, że Dom nie wpakował się przez to w kłopoty.

– Jak interesy, Larry? Słyszałem, że mniej więcej za tydzień znowu wybierasz się do Afryki.

Jennifer patrzyła, jak jej mąż odchyła się od stołu.

– Dobrze. Właściwie to nawet bardzo dobrze. Właśnie podpisałem z pewnym producentem samochodów umowę na produkcję ściernej okładziny szczęk hamulcowych. – Położył nóż i widelec na talerzu.

– Czym konkretnie się zajmujesz? Nigdy do końca nie wiem, jak się nazywa ten nowomodny minerał, którego używacie.

– Violet, nie udawaj, że cię to interesuje – odezwał się Bill z drugiej strony stołu. – Violet rzadko interesuje się czymś, co nie jest różowe albo niebieskie i nie zaczyna zdania od słowa „mama”.

– Bill, kochany, może po prostu dlatego, że w domu brakuje jej stymulacji – odparowała Yvonne i mężczyźni z werwą zagwizdali.

Laurence Stirling zwrócił się do Violet:

– W zasadzie ten minerał wcale nie jest nowy – powiedział. – Znamy go od czasów rzymskich. Uczyłaś się o nich w szkole?

– Z całą pewnością. Tylko że teraz oczywiście nic nie pamiętam. – Roześmiała się piskliwie.

Laurence ściszył głos i wszyscy przy stole zamilkli, żeby go lepiej słyszeć.

– No cóż, już Pliniusz Starszy pisał, że na pewnym balu widział kawałek materiału wrzucony do ognia i po kilku minutach wydobyty w nienaruszonym

stanie. Niektórzy sądzili, że to czary, ale on wiedział, że chodzi o coś bardziej niezwykłego. – Wyjął pióro z kieszeni, pochylił się i napisał coś na adamaszkowej serwetce. Przesunął ją w stronę gości, żeby lepiej widzieli. – Nazwa chryzotyl, najbardziej rozpowszechniona postać, pochodzi od greckich słów *chrysos*, czyli złoto, i *tilos*, czyli włókno. Już w tamtych czasach ludzie wiedzieli, że ma ogromną wartość. Ja tylko, to znaczy moje przedsiębiorstwo, wydobywam go i znajduję mu rozmaite zastosowania.

– Gasisz pożary.

– Tak. – W zamyśleniu spojrzął na swoje dłonie. – Albo dbam o to, żeby w ogóle nie wybuchały.

W krótkiej ciszy, która potem zapadła, atmosfera gwałtownie się popsuła. Spojrzął na Jennifer, lecz szybko odwrócił wzrok.

– No więc gdzie są wielkie pieniądze, stary? Bo chyba nie w ogniodpornych obrusach.

– W częściach samochodowych. – Larry rozparł się na krześle i wszyscy zrelaksowali się razem z nim. – Mówi się, że w ciągu dziesięciu lat większość brytyjskich rodzin będzie miała samochód. To potwornie dużo okładzin ściernych. Poza tym prowadzimy rozmowy z liniami kolejowymi i lotniczymi. Ale możliwości zastosowania białego azbestu są wręcz nieograniczone. Rozszerzyliśmy ofertę, uwzględniając orywnowanie, budynki gospodarcze, blachy, izolacje. Niedługo będziemy wszędzie.

– Rzeczywiście, cudowny minerał.

Jennifer pomyślała, że gdy są tylko we dwoje, jej mąż nigdy nie zachowuje się tak swobodnie jak podczas rozmów z przyjaciółmi o interesach. On też musiał się czuć dziwnie. Odniosła poważne obrażenia i nawet teraz nie do końca była sobą. Przypomniało jej się, w jaki sposób Yvonne opisała ją po południu: uroczą, pewna siebie, kokietka. Czy tęsknił za tamtą kobietą? Być może poczuł, że jest obserwowany, bo odwrócił głowę i spojrzął jej w oczy. Uśmiechnęła się, a on po chwili odwzajemnił uśmiech.

– Wszystko widzę. Daj spokój, Larry. Nie wolno ci robić maślanych oczu do własnej żony. – Bill zaczął ponownie napełniać kieliszki.

– Z całą pewnością wolno mu robić maślane oczy do własnej żony – zaprotestował Francis. – Zwłaszcza po tym wszystkim, co jej się przydarzyło. Jak się czujesz, Jenny? Wyglądasz cudownie.

– Wszystko w porządku. Dziękuję.

– Powiedziałbym, że radzi sobie bardzo dobrze, wydając przyjęcie niespełna... ile? Tydzień po wyjściu ze szpitala.

– Gdyby Jenny nie zorganizowała przyjęcia, pomyślałbym, że coś jest bardzo nie w porządku, i to nie tylko z nią, ale z całym przeklętym światem. – Bill pociągnął solidny łyk wina.

– Straszna sprawa. Wspaniale jest cię widzieć w dawnej formie.
– Okropnie się martwiliśmy. Mam nadzieję, że doręczono ci kwiaty ode mnie – wtrąciła Anne.

Dominic położył serwetkę na stole.

– Jenny, pamiętasz cokolwiek z samego wypadku?

– Jeśli wolno zauważyć, pewnie wołałaby tego nie roztrząsać. – Laurence wstał, żeby przynieść kolejną butelkę wina z kredensu.

– Oczywiście. – Dominic przepraszająco uniósł dłoń. – Nie pomyślałem.

Jennifer zaczęła zbierać talerze.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Po prostu nie potrafię zbyt dużo powiedzieć. Prawie nic nie pamiętam.

– I dobrze – zauważył Dominic.

Yvonne przypaliła papierosa.

– Cóż, kochany Larry, im prędzej zajmiesz się tymi wszystkimi okładzinami ściernymi szczęk hamulcowych, tym będziemy bezpieczniejsi.

– I bogatsi – roześmiał się Francis.

– Och, Francis, kochany, czy naprawdę musimy kierować każdą rozmowę w stronę pieniędzy?

– Tak – odpowiedzieli chórem Francis i Bill.

Jennifer usłyszała ich śmiech, gdy podniósłszy stos brudnej porcelany, ruszyła w stronę kuchni.

– Dobrze poszło, prawda?

Siedziała przed toaletką, ostrożnie zdejmując kolczyki. Gdy zjawił się w sypialni, luzując krawat, zobaczyła jego odbicie w lustrze. Zrzucił buty i wszedł do łazienki, zostawiając otwarte drzwi.

– Tak – powiedziała. – Chyba tak.

– Jedzenie było wspaniałe.

– Och, to nie mnie należy się uznanie – odrzekła. – Wszystko przygotowała pani Cordoza.

– Ale ty ułożyłaś menu.

Łatwiej było się z nim nie spierać. Starannie ułożyła kolczyki w pudełeczku. Słyszała, jak umywalka wypełnia się wodą.

– Cieszę się, że ci smakowało.

Wstała i wyswobodziła się z sukienki, a potem odwiesiła ją na miejsce i zaczęła zdejmować pończochy.

Gdy zdjęła jedną, podniosła głowę i zobaczyła, że jej mąż stoi w drzwiach. Patrzył na jej nogi.

– Wyglądałaś dziś bardzo pięknie – powiedział cicho.

Gwałtownie zamrugnęła, zsuwając drugą pończochę. Ogromnie onieśmielona, sięgnęła do tyłu, żeby odpiąć pas. Lewa ręka wciąż była bezużyteczna – za słaba,

żeby dotrzeć do pleców. On zdążył już zdjąć koszulę, ale nadal miał na sobie spodnie od garnituru. Stał za nią, odsunął jej ręce i zajął się odpinaniem. Był tak blisko, że gdy rozsuwał kolejne haftki, czuła na plecach jego oddech.

– Bardzo pięknie – powtórzył.

Zamknęła oczy. To mój mąż, pomyślała. Uwielbia mnie. Wszyscy tak mówią. Jesteśmy szczęśliwi. Poczwała, jak jego palce delikatnie przebiegają po jej prawej ręce, dotknął ustami jej karku.

– Bardzo jesteś zmęczona? – zamruczał.

Wiedziała, że to jej szansa. Był dżentelmenem. Gdyby powiedziała, że tak, odsunąłby się, dałby jej spokój. Ale byli małżeństwem. Małżeństwem. Kiedyś musiała się z tym zmierzyć. I kto wie? Może gdyby wydawał jej się mniej obcy, odzyskałaby tę brakującą część siebie.

Odwróciła się w jego objęciach. Nie potrafiła spojrzeć mu w twarz, nie była w stanie go pocałować.

– Nie, jeśli... jeśli ty nie jesteś – szepnęła do jego klatki piersiowej.

Poczwała na skórze jego skórę, zacisnęła powieki, czekając, aż poczuje coś znajomego, może nawet pożądanie. Byli małżeństwem od czterech lat. Ile razy musieli to robić? A od jej powrotu do domu wykazywał tyle cierpliwości.

Poczwała na sobie jego ręce, już śmielsze. Odpinał jej biustonosz. Nadal miała zamknięte oczy, pamiętała, jak wyglądała jej ciało.

– Możemy zgasić światło? – spytała. – Nie chcę... myśleć o swojej ręce. O tym, jak wygląda.

– Oczywiście. Powinienem był się domyślić.

Usłyszała pstryknięcie przełącznika. Ręka wcale jej jednak nie przeszkadzała – nie chciała patrzeć na niego. Nie chciała być taka obnażona, bezbronna pod jego spojrzeniem. A potem byli już w łóżku, całował jej szyję, jego ręce i oddech były coraz szybsze. Położył się na niej, przyszpilając ją, a ona zarzuciła mu ręce na szyję, nie mając pewności, co powinna robić pod nieobecność jakichkolwiek uczuć, których mogłaby się spodziewać. Co się ze mną stało?, pomyślała. Co robiłam dawniej?

– Wszystko w porządku? – mruknął jej do ucha. – Nie sprawiam ci bólu?

– Nie – powiedziała. – Wcale.

Gdy całował jej piersi, wymknął mu się niski jęk rozkoszy.

– Zdejmij je – powiedział, ciągnąc za jej majtki.

Podniósł się, żeby mogła je zsunąć do kolan, a potem odrzucić na bok. I była odsłonięta. A może byśmy..., chciała powiedzieć, ale on już rozchyłał jej nogi, próbując niezdarnie do niej trafić. Nie jestem gotowa, pomyślała. Ale nie mogła tego powiedzieć. Teraz to byłoby niewłaściwe. Zatracił się w tym, zdesperowany, spragniony.

Skrzywiła się, unosząc kolana, starała się nie zeszywnieć. Potem był już

w niej, a ona w ciemności przygryzała policzek, starając się nie zwracać uwagi na ból i na to, że nie czuje niczego oprócz rozpaczliwego pragnienia, żeby to się skończyło i żeby z niej wyszedł. Jego ruchy nabierały prędkości i nagłości, jego ciężar ją miażdżył, czuła na ramieniu jego gorącą, wilgotną twarz. A potem przy akompaniamencie cichego krzyku, nutki bezbronności, której nie okazywał w żadnej innej dziedzinie swojego życia, było już po wszystkim i to coś zniknęło, zostawiając po sobie lepłą mokość między jej udami.

Tak mocno przygryzła wewnętrzną stronę policzka, że poczuła smak krwi.

Sturlał się z niej, nadal ciężko dysząc.

– Dziękuję – powiedział w ciemności.

Cieszyła się, że jej mąż nie może zobaczyć, jak z kołdrą podciągniętą pod brodę leży wpatrzona w pustkę.

– Nie ma za co – powiedziała cicho.

Odkryła, że wspomnienia rzeczywiście mogą być przechowywane w miejscach innych niż umysł.

Nie będziemy mieli miłych wspomnień... Nie chodzi o Ciebie, lecz o mnie.
Z pocztówki mężczyzny do kobiety

– Sylwetka przemysłowca. – Brzuch Dona Franklina groził wystrzeleniem z nad paska spodni. Guziki trzymały się z trudem, odsłaniając trójkąt bladej, owłosionej skóry. Don rozparł się w fotelu i odsunął okulary na czoło. – To polecenie naczelnego, O’Hare. Chce dostać czterostronicowy artykuł na temat cudownego minerału, żeby przyciągnąć reklamodawców.

– A czy ja wyglądam na znawcę kopalni i fabryk, do cholery? Jestem korespondentem zagranicznym, na litość boską.

– Byłeś – poprawił go Don. – Anthony, nie możemy znowu cię tam posłać, przecież wiesz. A ja potrzebuję tu kogoś, kto zna się na tej robocie. Nie możesz siedzieć z założonymi rękami i zajmować miejsca.

Anthony ciężko opadł na fotel po drugiej stronie biurka i wyjął papierosa.

Za redaktorem działu wiadomości, widocznym za szklaną ścianą biura, młodszy reporter Phipps wyrwał z maszyny do pisania trzy arkusze papieru i krzywiąc się w przypływie frustracji, wymienił je na nowe, wsunawszy w środek dwie kalki.

– Zdarzało ci się już robić podobne rzeczy. Możesz użyć swojego uroku.

– Więc to nawet nie ma być sylwetka. Raczej laurka. Zawołowana reklama.

– Facet ma drugą siedzibę w Kongu. Dużo wiesz o tym kraju.

– Dużo wiem o tym, jakiego rodzaju ludzie mają kopalnie w Kongu.

Don wyciągnął rękę po papierosa. Anthony podał mu go i przypalił.

– To nie takie straszne.

– Nie?

– Przeprowadzisz z nim wywiad w jego letniej rezydencji na południu Francji. Na Riwierze. Kilka dni w słońcu, parę homarów na koszt redakcji, może zauważysz gdzieś Brigitte Bardot... Powinieneś mi dziękować.

– Poślij Petersona. On uwielbia takie rzeczy.

– Peterson zajmuje się mordercą dzieci z Norwich.

– No to Murfetta. To lizus.

– Murfett poleciał do Ghany, żeby relacjonować zamieszanie w Aszanti.

– On? – Anthony nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Nie umiałby zrelacjonować bójki dwóch chłopaków w budce telefonicznej. Jak to możliwe, do cholery, że znalazł się w Ghanie? – Ściszył głos. – Poślij mnie z powrotem, Don.

– Nie.

– Nawet gdybym był na wpół szalonym alkoholikiem w pieprzonym domu wariatów, odwałabym lepszą robotę niż Murfett i dobrze o tym wiesz.

– Twój problem, O’Hare, polega na tym, że nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrze ci się powodzi. – Don pochylił się i ściszył głos. – Posłuchaj. Po prostu przestań zrzędzić i posłuchaj. Po twoim powrocie z Afryki dużo się o tobie

rozmawiało na górze. – Skinął w stronę biura redaktora naczelnego. – O tym, czy nie należałoby cię zwolnić. Całe to zajście... Martwili się o ciebie, człowieku. Mniejsza o to. Bóg jeden wie jak, ale zdobyłeś tu wielu przyjaciół, a niektórzy z nich są dość wpływowi. Wzięli pod uwagę wszystko, przez co przeszedłeś, i nie usunęli cię z listy płac. Nawet kiedy byłeś w... – Niezdarnie machnął ręką do tyłu. – No wiesz.

Anthony patrzył na niego ze spokojem.

– W każdym razie nie chcę, żebyś zajmował się czymś zanedo... stresującym. No więc weź się w garść, jedź do Francji i ciesz się, że trafiła ci się robota, której czasami towarzyszy jedzenie kolacji u podnóża gór w pieprzonym Monte Carlo. Kto wie? Może przy okazji upolujesz jakąś gwiazdkę.

Zapadło długie milczenie.

Anthony nie wyglądał na stosownie zadowolonego, więc Don zgasił papierosa.

– Naprawdę nie chcesz tego zrobić.

– Nie, Don. Wiesz, że nie chcę. Jeśli zacznę brać takie fuchy, znajdę się kilka małych kroków od działu narodzin, ślubów i nekrologów.

– Jezu. Krnąbrny z ciebie drań, O'Hare. – Don sięgnął po napisany na maszynie jednostronicowy tekst, który zerwał ze szpikulca na biurku. – No dobra, w takim razie weź to. Vivien Leigh wybiera się za Atlantyck. Rozbije obóz obok teatru, w którym gra Olivier. On ponoć nie chce z nią rozmawiać, a ona powtarza redaktorom rubryk towarzyskich, że nie wie dlaczego. Może byś się dowiedział, czy przypadkiem nie szykuje się rozwód? Przy okazji dorzuc jakiś ładny opis tego, co na siebie włożyła.

Znowu zapadła długa cisza. Za szklaną ścianą Phipps wyrwał z maszyny kolejne trzy strony, uderzył się w czoło i bezgłośnie zaklął.

Anthony zgasił papierosa i rzucił szefowi ponure spojrzenie.

– Pójdę się spakować – powiedział.

Ubierając się do kolacji, Anthony pomyślał, że bardzo bogaci ludzie mają w sobie coś, co zawsze budzi w nim chęć, żeby im trochę dopiec. Być może skłaniała go do tego nieodzowna pewność siebie mężczyzn, którym rzadko się sprzeciwiano. Napuszenie ludzi, których najbardziej prozaiczne opinie traktowano cholernie poważnie.

Początkowo Laurence Stirling wydał mu się mniej odrażający, niż Anthony się spodziewał. Był uprzejmy, udzielał przemyślanych odpowiedzi, miał dość oświecone poglądy w kwestii traktowania robotników. Kilka godzin później Anthony zrozumiał jednak, że Stirling należy do mężczyzn, którzy na pierwszym miejscu stawiają kontrolę. Mówił do ludzi, zamiast pozyskiwać od nich informacje. To, co znajdowało się poza jego kręgiem zainteresowań, mało go obchodziło. Był nudziarzem, wystarczająco bogatym i spełnionym, by nie musieć udawać kogoś

innego.

Anthony przyglądał marynarce, zastanawiając się, dlaczego w ogóle przyjął zaproszenie na tę kolację. Stirling powiedział mu o niej pod koniec wywiadu i zaskoczony Anthony musiał przyznać, że nie ma w Antibes innych znajomych ani żadnych planów oprócz szybkiego przekąszenia czegoś w hotelu. Później zaczął przypuszczać, że zaproszenie na kolację miało zagwarantować Stirlingowi jego przychyłność. Już gdy niechętnie je przyjmował, Stirling instruował szofera, by o wpół do ósmej odebrał go z Hôtel Cap. „Sam nie znalazłby pan domu” – powiedział. „Jest bardzo dobrze ukryty przed otoczeniem”.

A jakże, pomyślał Anthony. Stirling nie sprawiał wrażenia człowieka lubiącego przypadkowe kontakty z ludźmi.

Na widok czekającej przed hotelem limuzyny recepcjonista wyraźnie się ożywił. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem, którego nie było na niej w dniu przyjazdu Anthony’ego, pobiegł otworzyć drzwi.

Anthony go zignorował. Przywitał się z szoferem i usiadł z przodu, czym, jak sobie później uświadomił, wprowadził go w lekkie zakłopotanie. Z tyłu czułby się jednak jak oszust. Opuścił szybę, żeby ciepła śródziemnomorska bryza mogła muskać mu skórę, gdy długi, niski pojazd sunął drogami wybrzeża pachnącymi rozmarynem i tymiankiem. Jego spojrzenie przemykało po fioletowych wzgórzach. Przywykł do bardziej egzotycznego krajobrazu Afryki i zapomniał, jak piękne zakątki zdarzają się w Europie.

Zagał niezobowiązującą rozmowę – spytał kierowcę o okolicę, o to, kogo jeszcze wozi, jak wygląda życie zwykłego człowieka w tej części kraju. Nie mógł się powstrzymać: wiedza jest wszystkim. Czasami najlepsze tropy pochodzą od szoferów i innych osób służących ludziom władzy.

– Czy pan Stirling jest dobrym szefem? – spytał.

Oczy szofera gwałtownie pobiegły w jego stronę. Mężczyzna nie był już taki odprężony.

– Tak – powiedział tonem oznaczającym koniec rozmowy.

– Miło to słyszeć – odrzekł Anthony, a gdy dotarli do olbrzymiego białego domu, nie zapomniał wręczyć mężczyźnie hojnego napiwku. Patrząc, jak samochód znika w ogromnym budynku na tyłach posiadłości, gdzie najprawdopodobniej mieścił się garaż, poczuł lekki smutek. Tak małomówny człowiek jak on wolałby zjeść kanapkę i zagrać w karty z szoferem, niż prowadzić uprzejmą rozmowę ze znużonym bogaczem na Riwierze.

Osiemnastowieczny dom przypominał domy wszystkich zamożnych ludzi: był za duży i nieskazitelnie czysty, stan fasady wskazywał na ciągłą opiekę wieloosobowej służby. Wysypyany żwirem podjazd był szeroki i zadbane, otoczony wyniesionymi ścieżkami z kamiennych płyt, spomiędzy których nie śmiało wychynąć żaden chwast. Eleganckie okna lśniły między malowanymi okiennicami.

Szerokie kamienne schody prowadziły gości do ogromnego holu, który rozbrzmiewał echem rozmów innych uczestników przyjęcia, i były ozdobione postumentami podtrzymującymi wielkie bukiety kwiatów. Anthony powoli wszedł po schodach, czując, że kamień nadal trzyma ciepło po potwornym upale tego słonecznego dnia.

W kolacji uczestniczyło siedmioro innych gości: Moncrieffowie, przyjaciele Stirlingów z Londynu – żona otwarcie zmierzyła go wzrokiem – miejscowy burmistrz monsieur Lafayette z żoną i córką, gibką brunetką z mocno umalowanymi oczami i wyraźnie figlarną miną, oraz starszawi monsieur i madame Demarcier, ponoć zamieszkujący sąsiednią willę. Żona Stirlinga była schludną, ładną blondynką przywodzącą na myśl Grace Kelly. Zwykle takie kobiety nie miały nic ciekawego do powiedzenia, przez całe życie podziwiano ich urodę. Anthony liczył na to, że posadzą go obok pani Moncrieff. Nie miał jej za złe taksującego spojrzenia. Wiedział, że byłaby dla niego wyzwaniem.

– Więc pracuje pan w gazecie, panie O’Hare? – spytała go starszawa Francuzka.

– Tak. W Anglii. – Przy jego łokciu pojawił się służący z tacą zastawioną drinkami. – Ma pan coś bez alkoholu? Może tonik?

Mężczyzna kiwnął głową i zniknął.

– Jak się nazywa ta gazeta? – spytała.

– „Nation”.

– „Nation” – powtórzyła z wyraźnym rozczarowaniem. – Nie słyszałam o niej. Słyszałam o „The Times”. To najlepsza angielska gazeta, prawda?

– Podobno niektórzy tak uważają.

Boże, pomyślał. Niech przynajmniej jedzenie będzie smaczne.

Przy jego łokciu pojawiła się srebrna taca z wysoką szklanką wypełnioną lodem i tonikiem. Anthony starał się nie patrzeć na musujący kir, który pili pozostali. Zamiast tego spróbował wykorzystać trochę swojej szkolnej francuszczyzny w rozmowie z córką burmistrza, która odpowiedziała mu doskonałym angielskim z czarującym francuskim zaśpiewem. Za młoda, pomyślał, zauważając niezadowoloną minę burmistrza.

Gdy w końcu usiedli, ucieszył się, że przydzielono mu miejsce obok Yvonne Moncrieff. Była uprzejma, zabawna i zupełnie odporna na jego urok. Niech szlag trafi szczęśliwe mężatki, pomyślał. Po jego lewej stronie siedziała Jennifer Stirling, odwrócona w stronę innego rozmówcy.

– Często pan tu bywa, panie O’Hare? – Francis Moncrieff był wysokim, chudym mężczyzną, fizycznym ekwiwalentem swojej żony.

– Nie.

– Zwykle jest pan raczej związany z Londynem?

– Nie. W ogóle o nim nie piszę.

– Nie jest pan dziennikarzem finansowym?
– Jestem korespondentem zagranicznym. Piszę o... kłopotach w innych krajach.

– A Larry je wywołuje – roześmiał się Moncrieff. – O jakich sprawach pan pisze?

– Och, o wojnach, głodzie, chorobach. O samych wesołych rzeczach.

– Wątpię, żeby było w tym coś wesołego. – Starszawa Francuzka upiła łyk wina.

– Przez ostatni rok relacjonowałem kryzys w Kongu.

– Lumumba to wichrzyciel – wtrącił się Stirling – a Belgowie to tchórzliwi głupcy, jeśli im się wydaje, że po ich wyjeździe ten kraj nie pójdzie na dno.

– Uważa pan, że nie można powierzyć Afrykańczykom ich własnych spraw?

– Niespełna pięć minut temu Lumumba był bosym listonoszem w dżungli. W całym Kongu nie ma ani jednego wykształconego kolorowego. – Stirling zapalił cygaro i wypuścił kłęb dymu. – Jak po wyjeździe Belgów mieliby prowadzić banki albo zarządzać szpitalami? Ten kraj zmieni się w strefę wojenną. Moje kopalnie znajdują się przy granicy rodezyjsko-kongijskiej i już teraz musiałem ściągnąć dodatkową ochronę. Z Rodezji. Kongijczykom nie można już ufać.

Na chwilę zapadła cisza. W zuchwie Anthony'ego zaczął uporczywie drgać jakiś mięsień.

Stirling strząsnął popiół z cygara.

– No więc, panie O'Hare, gdzie dokładnie był pan w Kongu?

– Głównie w Léopoldville. I w Brazzaville.

– W takim razie pan wie, że nie sposób kontrolować kongijskiej armii.

– Wiem, że niepodległość to czas próby dla każdego kraju. I że gdyby generał Janssens wykazał więcej dyplomacji, można by ocalić wiele istnień ludzkich.

Stirling wpatrywał się w niego zza kłębów cygarowego dymu. Anthony czuł, że jest poddawany ponownej ocenie.

– A zatem pan także dał się wciągnąć w kult Lumumby. Kolejny naiwny liberał? – Stirling skwitował to lodowatym uśmiechem.

– Trudno uwierzyć, że warunki życia Afrykańczyków mogłyby się jeszcze pogorszyć.

– W takim razie się różnimy – odparł Stirling. – Ja uważam, że istnieją ludzie, dla których wolność może być niebezpiecznym podarunkiem.

W pomieszczeniu zapadła cisza. W oddali jakiś motor wjeżdżał na wzgórze. Madame Lafayette niespokojnie podniosła rękę, by przygładzić włosy.

– No cóż, ja niestety zupełnie się na tym nie znam – odezwała się Jennifer Stirling, starannie składając serwetkę na kolanach.

– To zbyt przygnębiające – oceniła Yvonne Moncrieff. – Są takie poranki, że

zwyczajnie nie jestem w stanie spojrzeć na gazety. Francis czyta strony o sporcie i finansach, a ja zostaję przy swoich magazynach. Często zupełnie pomijamy wiadomości.

– Moja żona uważa, że to, co nie dotarło na strony „Vogue’a”, w ogóle nie zasługuje na miano wiadomości – powiedział Moncrieff.

Atmosfera się rozluźniła. Znowu zaczęto rozmawiać, a kelnerzy napełnili kieliszki. Mężczyźni dyskutowali o rynku akcji i wydarzeniach na Riwierze – o napływie biwakowiczów, który skłonił starszawą parę do narzekania na „psucie wizerunku”, o niekończących się pracach budowlanych i o nowych, okropnych członkach British Bridge Clubu.

– Tym bym się za bardzo nie przejmował – powiedział Moncrieff. – Domki na plaży w Monte Carlo kosztują w tym roku pięćdziesiąt funtów tygodniowo. Nie sądzę, żeby wielbiciel kempingów byli skłonni tyle płacić.

– Słyszałam, że Elsa Maxwell zaproponowała pokrycie kamieni gumową pianką, żeby wygodniej było chodzić po plaży.

– Człowiek musi się tu zmagać z potwornymi trudnościami – zauważył cicho Anthony. Miał ochotę wyjść, ale na tym etapie kolacji było to niemożliwe. Czuł, że za bardzo się oddalił od miejsca, w którym był wcześniej, jakby wpadł do równoległego wszechświata. Jak mogli być tak obojętni na bałagan i horrory Afryki, skoro najwyraźniej zbudowali na niej swoje życie?

Przez chwilę się wahał, a potem skinął na kelnera i poprosił o odrobinę wina. Chyba nikt przy stole tego nie zauważył.

– Więc... napisze pan o moim mężu wspaniałe rzeczy, prawda? – Pani Stirling badawczo przyglądała się jego mankietowi. Postawiono przed nim drugie danie, talerz świeżych owoców morza, a ona odwróciła się w jego stronę. Poprawił serwetkę.

– Nie wiem. A powinienem? Naprawdę jest wspaniały?

– Według naszego drogiego przyjaciela, pana Moncrieffa, to światło przewodnie dobrych praktyk handlowych. Jego fabryki buduje się zgodnie z najwyższymi standardami. Obroty z roku na rok są coraz większe.

– Nie o to pytałem.

– Nie?

– Pytałem, czy jest wspaniały. – Wiedział, że zachowuje się zaczepnie, ale alkohol go obudził, wywołał mrowienie skóry.

– Panie O’Hare, chyba nie powinien pan pytać o to mnie. Żonie trudno zachować obiektywizm w takich sytuacjach.

– Och, z mojego doświadczenia wynika, że nikt nie jest bardziej brutalny i obiektywny niż żona.

– Proszę mówić dalej.

– Któż inny poznaje wszystkie wady męża w ciągu kilku tygodni po ślubie

i może je wymienić, po kolei i z pamięci, z zabójczą dokładnością?

– Zdaje się, że ma pan strasznie okrutną żonę. Pewnie bym ją polubiła.

– To raczej wyjątkowo mądra kobieta. – Patrzył, jak Jennifer Stirling wkłada do ust krewetkę.

– Naprawdę?

– Tak. Na tyle mądra, że zostawiła mnie wiele lat temu.

Podawała mu majonez. Nie wziął go, więc sama nałożyła porcję na jego talerz.

– Czy to oznacza, że nie był pan zbyt wspaniały, panie O’Hare?

– Jako mąż? Nie. Chyba nie byłem. Pod wszystkimi innymi względami jestem oczywiście niezrównany. I proszę mi mówić Anthony. – Zupełnie jakby podchwycił ich manierę, ich niedbale arogancki sposób mówienia.

– Zatem, Anthony, jestem pewna, że doskonale dogadałbyś się z moim mężem. Mam wrażenie, że ma o sobie podobne zdanie jak ty. – Jej spojrzenie skierowało się w stronę Stirlinga, a potem wróciło do Anthony’ego i zatrzymało się akurat na tak długo, by zdążył uznać, że gospodyni wcale nie musi być taka męcząca, jak wcześniej sądził.

Przy daniu głównym – zrazach wołowych ze śmietaną i leśnymi grzybami – odkrył, że Jennifer Stirling, z domu Verrinder, jest mężatką od czterech lat. Mieszkała głównie w Londynie, a jej mąż często podróżował za granicę do swoich kopalni. Na Riwierze spędzali zimowe miesiące, część lata i niektóre święta, gdy londyńska socjeta zaczynała ich nudzić. To wąskie grono, powiedziała, mierząc wzrokiem siedzącą naprzeciwko żonę burmistrza. Nie chciałby pan mieszkać na stałe gdzieś, gdzie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

Mówiła mu właśnie coś takiego, rzeczy, które powinny ją charakteryzować jako kolejną rozpieszczoną żonę bogatego mężczyzny. Zauważył też jednak coś innego: Jennifer Stirling była prawdopodobnie trochę zaniedbywana, bystrzejsza, niż wymagała jej pozycja, i nie zdawała sobie sprawy, do czego taki zestaw może doprowadzić za parę lat. Na razie jedynym sygnałem samoświadomości była odrobina smutku w jej oczach. Dała się porwać nieustannemu, lecz pozbawionemu znaczenia wirowi życia towarzyskiego.

Nie mieli dzieci.

– Słyszałam, że aby je mieć, dwoje ludzi musi przynajmniej przez chwilę przebywać w tym samym kraju.

Gdy to powiedziała, zaczął się zastanawiać, czy nie wysłała mu wiadomości. Wyglądała jednak niewinnie, cała ta sytuacja raczej ją bawiła, niż rozczarowywała.

– A ty masz dzieci, Anthony? – spytała.

– Ja... chyba gdzieś jedno zapodziałem. Mieszka z moją byłą żoną, która robi, co w jej mocy, żeby nie wywierał na nie złego wpływu.

Gdy tylko padły te słowa, wiedział, że jest pijany. Na trzeźwo nigdy by nie wspomniął o Phillipie.

Tym razem zobaczył w jej uśmiechu pewną powagę, jakby się zastanawiała, czy ma mu współczuć. Nie, błagał w myślach. Chcąc ukryć zakłopotanie, nalał sobie jeszcze kieliszek wina.

– To nic takiego. On...

– W jakim sensie może pan uchodzić za źródło szkodliwego wpływu, panie O’Hare? – spytała zza stołu Mariette, córka burmistrza.

– Przypuszczam, mademoiselle, że mogę raczej ulegać złemu wpływowi – powiedział. – Gdyby nie to, że już postanowiłem napisać ze wszech miar pochlebny artykuł o panu Stirlingu, pewnie i tak dałbym się do tego przekonać pod wpływem jedzenia i towarzystwa przy tym stole. – Zmilkł. – A czego byłoby trzeba, żeby sprowadzić na złą drogę panią, pani Moncrieff? – spytał. Wydawała się osobą, do której najbezpieczniej jest skierować takie pytanie.

– Och, nie trzeba by się za bardzo trudzić. Nikt nigdy nie starał się tego zrobić – powiedziała.

– Co za bzdury – odezwał się czule jej mąż. – Potrzebowałem całych miesięcy, żeby cię zdeprawować.

– Ty, kochanie, po prostu mnie kupiłeś. W przeciwieństwie do obecnego tu pana O’Hare’a nie byłeś ani przystojny, ani czarujący. – Posłała mu całusa. – Za to Jenny na pewno nie da się zepsuć. Nie sądzicie, że roztacza isticie przerażającą aurę dobroci?

– Każdego da się zdeprawować, to tylko kwestia ceny – stwierdził Moncrieff. – Nawet uroczą Jenny.

– Nie, Francis. Naszym prawdziwym światłem przewodnim prawości jest monsieur Lafayette – powiedziała Jennifer, a kąci jej ust figlarnie zadrgały. Wyglądała na lekko podpitą. – Przecież we francuskiej polityce nie istnieje nic takiego jak zepsucie.

– Kochanie, chyba brak ci rozeznania, żeby dyskutować o francuskiej polityce – wtrącił Laurence Stirling.

Anthony zauważył lekki rumieniec, który oblał jej policzki.

– Chciałam tylko powiedzieć...

– Ale nie mów – uciął lekko jej mąż. Zamrugła i utkwiała wzrok w talerzu.

Na chwilę zapadła cisza.

– Moim zdaniem ma pani rację, madame – zwrócił się rycersko monsieur Lafayette do Jennifer, odstawiając kieliszek. – Aczkolwiek mógłbym pani opowiedzieć, jakim fałszywym kundlem jest mój rywal w ratuszu... oczywiście za odpowiednią opłatą.

Goście się roześmiali. Stopa Mariette naciskała pod stołem na stopę Anthony’ego. Po jego drugiej stronie Jennifer Stirling cicho poleciła służbie zebrać talerze. Państwo Moncrieff byli pochłonięci rozmową po dwóch stronach monsieur Demarciera.

Jezu, pomyślał. Co ja robię wśród tych ludzi? To nie jest mój świat. Laurence Stirling z przejęciem opowiadał coś sąsiadowi. Głupiec, pomyślał Anthony, już wtedy świadom, że ze swoją utraconą rodziną, kończąca się karierą i brakiem pieniędzy sam może lepiej pasować do tego określenia. Wzmianka o synu, upokorzenie Jennifer Stirling i alkohol sprzysięgły się, by popsuć mu humor. Było na to tylko jedno lekarstwo: skinął na kelnera, prosząc o więcej wina.

Państwo Demarcier wyszli tuż po jedenastej, Lafayette'owie kilka minut później – poranne obowiązki w samorządzie, wyjaśnił burmistrz.

– Zaczynamy wcześniej niż wy, Anglicy. – Uścisnął dłonie gościom zgromadzonym na olbrzymiej werandzie, na którą przenieśli się na kawę i brandy. – Z wielkim zainteresowaniem przeczytam pański artykuł, monsieur O'Hare. Miło było pana poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę mi wierzyć. – Anthony zachwiał się, wstając. – Nigdy nie czułem się bardziej zafascynowany polityką samorządową.

Był już bardzo pijany. Słowa wydobywały się z jego ust, gdy jeszcze właściwie nie wiedział, co chce powiedzieć, i szybko mrugał, świadom tego, że ma niewielki wpływ na to, jak zostaną odebrane. Prawie w ogóle nie pamiętał, o czym rozmawiał przez ostatnią godzinę. Burmistrz przez chwilę patrzył mu w oczy. Potem cofnął rękę i odwrócił się.

– Papo, jeśli nie masz nic przeciwko temu, ja jeszcze zostanę. Na pewno któryś z tych miłych dżentelmenów odprowadzi mnie niedługo do domu. – Mariette znacząco spojrzała na Anthony'ego, który na potwierdzenie jej słów zamasyście kiwnął głową.

– Być może to ja będę potrzebował pani pomocy, mademoiselle. Nie mam bladego pojęcia, gdzie jesteśmy – powiedział.

Jennifer Stirling całowała na pożegnanie Lafayette'ów.

– Dopilnuję, żeby bezpiecznie wróciła do domu – powiedziała. – Bardzo dziękuję, że pan przyszedł. – Potem dodała po francusku coś, czego nie zrozumiał.

Wieczór zrobił się chłodny, ale Anthony prawie tego nie czuł. Był świadomy fal obmywających brzeg daleko w dole, brzęku kieliszków, strzępów rozmowy Moncrieffa i Stirlinga, którzy dyskutowali o rynkach akcji i możliwościach inwestowania za granicą, lecz nie zwracał na to wszystko większej uwagi, gdy wychylał wyborny koniak, który włożono mu do ręki. Przywykł do samotności w obcym miejscu, dobrze czuł się w swoim towarzystwie, ale tego wieczoru był rozchwiany, drażliwy.

Spojrzał na trzy kobiety, dwie brunetki i blondynkę. Jennifer Stirling wyciągnęła rękę, być może, żeby pokazać swoją biżuterię. Dwie pozostałe coś szeptały, przerywając rozmowę wybuchami śmiechu. Mariette od czasu do czasu zerknęła w jego stronę i uśmiechała się. Czy ten jej uśmiech nie był odrobinę

konspiracyjny? Siedemnaście lat, upominał się w myślach. Za młoda.

Słyszał świerszcze, śmiech kobiet, jakiś jazz wydobywający się z głębi domu. Zamknął oczy, potem je otworzył i spojrzał na zegarek. Jakimś cudem minęła godzina. Miał niepokojące poczucie, że mógł przysnąć. W każdym razie przyszła pora, żeby wyjść.

– Chyba – zaczął, zwracając się do mężczyzn i podźwigając się z fotela – powinienem już wracać do hotelu.

Laurence Stirling wstał. Palił ogromne cygaro.

– Wezwę szofera. – Odwrócił się w stronę domu.

– Nie, nie – zaprotestował Anthony. – Świeże powietrze dobrze mi robi. Bardzo dziękuję za... bardzo interesujący wieczór.

– Niech pan zadzwoni rano do mojego biura, jeśli będą panu potrzebne dodatkowe informacje. Będę tam do południa. Potem wyjeżdżam do Afryki. Chyba że chciałby mi pan towarzyszyć i zobaczyć kopalnie na własne oczy? Przydałby nam się taki znawca Afryki...

– Innym razem – powiedział Anthony.

Stirling pożegnał go krótkim, mocnym uściskiem ręki. Moncrieff poszedł za jego przykładem, ale potem przystawił palec do głowy i milcząco zsalutował.

Anthony odwrócił się i ruszył w stronę bramy ogrodowej. Ścieżkę oświetlały niskie latarnie umieszczone w rabatach. Przed sobą widział światła statków w czarnej nicości morza. Wietrzyk od strony werandy niósł ku niemu ściszone głosy.

– Interesujący gość – mówił Moncrieff tonem wskazującym, że myśli wręcz przeciwnie.

– Lepszy niż zadowolony z siebie sztywniak – mruknął pod nosem Anthony.

– Panie O'Hare? Mogłabym pójść razem z panem?

Odwrócił się chwiejnie. Mariette stała za nim, ściskając małą torebkę. Na ramiona zarzuciła rozpinany sweterek.

– Znam drogę do miasta, wzdłuż klifu biegnie ścieżka, którą możemy pójść. Sam pewnie by się pan zgubił.

Potknął się na nierównej ścieżce. Dziewczyna wsunęła mu pod łokieć szczupłą, opaloną rękę.

– Całe szczęście, że świeci księżyc. Przynajmniej będziemy widzieli swoje stopy – powiedziała.

Przeszli kawałek drogi w milczeniu. Anthony słyszał szuranie swoich butów na ziemi, swoje sporadyczne zduszone okrzyki, gdy potykał się o kępy dzikiej lawendy. Mimo ciepłego wieczoru i dziewczyny u boku tęsknił za czymś, czego nie był w stanie wyrazić słowami.

– Bardzo pan małomówny, panie O'Hare. Na pewno pan znowu nie zaśnie?

Dotarł do nich wybuch śmiechu od strony domu.

– Niech mi pani coś powie – odezwał się. – Lubi pani takie wieczory?

Wzruszyła ramionami.

– To ładny dom.

– „Ładny dom”. To pani najważniejsze kryterium oceny wieczoru, prawda, mademoiselle?

Uniosła brew, najwyraźniej wcale nie urażona zaczepną nutą w jego głosie.

– Proszę, niech mi pan mówi Mariette. Mam rozumieć, że panu się nie podobało?

– Przy takich ludziach – powiedział, mając świadomość, że zachowuje się jak agresywny pijak – mam ochotę wsadzić sobie rewolwer w usta i pociągnąć za spust.

Zachichotała, a on, zadowolony z jej wyraźnego poparcia, rozwinął tę myśl:

– Mężczyźni rozmawiają tylko o tym, co kto ma. Kobiety nie widzą niczego poza swoją cholerną biżuterią. Mają pieniądze i możliwości, żeby zrobić wszystko, zobaczyć wszystko, a mimo to żadne z nich nie ma zdania na temat niczego spoza ich własnego małego, wąskiego świata.

Znowu się potknął i Mariette mocniej ścisnęła go za rękę.

– Wolałbym spędzić noc, rozmawiając z nędzaczami przed Hôtel Cap. Tylko że tacy ludzie jak Stirling bez wątplenia kazaliby ich zwięzać i przenieść w jakies mniej rzucające się w oczy miejsce...

– Miałam wrażenie, że madame Stirling się panu spodobała – zbeształa go Mariette. – Podkochuje się w niej połowa mężczyzn na Riwierze. Podobno.

– Mała, rozpieszczona *tai-tai*. Można takie znaleźć w każdym mieście, mademois... Mariette. Ładna jak z obrazka, a w głowie ani jednej oryginalnej myśli.

Przez jakiś czas kontynuował swoją tyradę, zanim spostrzegł, że dziewczyna się zatrzymała. Wyczuwając jakąś zmianę atmosfery, spojrzął za siebie, a gdy obraz przestał się kołysać, kilka kroków za nimi na ścieżce zauważył Jennifer Stirling. Ścisnęła jego lnianą marynarkę, a jej jasne włosy wyglądały w blasku księżyca jak srebrne.

– Zapomniał pan tego – powiedziała, gwałtownie wyciągając rękę. Zacisnęła usta, jej oczy błyszczały w niebieskim świetle.

Podszedł i wziął marynarkę.

Jej głos przeciął nieruchome powietrze:

– Przykro mi, że tak pana rozczarowaliśmy, panie O'Hare, że nasz styl życia tak bardzo pana razi. Być może zyskalibyśmy pańską aprobatę, gdybyśmy byli ciemnoskórzy i ubodzy.

– Jezu – powiedział, po czym przełknął ślinę. – Przepraszam. Ja... jestem bardzo pijany.

– Najwyraźniej. Chyba mogę prosić, żeby bez względu na pańską opinię

o mnie i o moim zepsutym życiu nie atakował pan Laurence'a w gazecie.

Ruszyła z powrotem na wzgórze.

Gdy się skrzywił i cicho zaklął, dotarły do niego jej pożegnalne słowa niesione bryzą:

– Może gdy następnym razem stanie pan przed perspektywą znoszenia towarzystwa takich nudziarzy, prościej będzie zwyczajnie powiedzieć: „Nie, dziękuję”.

Nie pozwoliłabys mi trzymać się za rękę ani nawet za mały palec, moja
Brzoskwinko.

Z listu mężczyzny do kobiety

– Jeśli to pani nie przeszkadza, zacznę odkurzać.

Chwilę wcześniej usłyszała kroki zbliżające się od strony schodów i przysiadła na piętach.

Pani Cordoza z odkurzaczem w ręku zatrzymała się w drzwiach.

– Och! Pani rzeczy... Nie wiedziałam, że robi tu pani porządek. Pomóc pani?

Jennifer otarła czoło, przyglądając się zawartości swojej garderoby porzrzuconej na podłodze w sypialni.

– Nie, dziękuję, pani Cordozo. Proszę odkurzać. Układam tylko swoje rzeczy, żeby łatwiej mi było je znaleźć.

Gospośia zwlekała z odejściem.

– Jak pani sobie życzy. Kiedy skończę, wybiorę się na zakupy. Zostawiłam w lodówce zimne przekąski. Mówiła pani, żeby nie szykować na lunch niczego ciężkiego.

– Zimne przekąski w zupełności wystarczą. Dziękuję.

Potem znów została sama, stłumiony warkot odkurzacza stopniowo cichł w korytarzu. Jennifer wyprostowała się i podniosła pokrywę kolejnego pudełka z butami. Robiła to od kilku dni: przeprowadzała wiosenne porządki w samym środku zimy, w innych pokojach z pomocą pani Cordozy. Wyjmowała zawartość półek i szafek, oglądała ją, na nowo segregowała i porządkowała z przerażającą skutecznością, odciskając na swoich rzeczach swój ślad, zaznaczając swój sposób postępowania w domu, który wciąż uparcie odmawiał sprawiania wrażenia jej domu.

Zaczęła, żeby się czymś zająć – nie chciała zbyt intensywnie myśleć o tym, co czuje: że odgrywa rolę, którą przydziela jej całe otoczenie. Potem stało się to sposobem na zakotwiczenie w tym domu, na dowiedzenie się, kim jest, kim była. Odkryła listy, zdjęcia, wycinki z dzieciństwa, które ukazały jej nachmurzone dziecko z mysim ogonkiem siedzące na grubym białym kucyku. Rozszyfrowywała staranne zapiski z lat szkolnych, niepoważne żarciki w swojej korespondencji, i z ulgą zdała sobie sprawę, że pamięta całe fragmenty. Zaczęła szacować rozmiary przepaści między tym, kim kiedyś była – pełną życia, uwielbianą, może nawet rozpieszczoną istotą – a kobietą, którą zamieszkiwała teraz.

Wiedziała prawie wszystko, co można o sobie wiedzieć, ale nie złagodziło to nieustannego poczucia destabilizacji, znalezienia się w niewłaściwym życiu.

– Och, kochana, każdy się tak czuje. – Poprzedniego wieczoru, gdy Jennifer poruszyła ten temat po dwóch martini, Yvonne współczująco poklepała ją po ramieniu. – Nie zliczę, ile razy po przebudzeniu zdarzało mi się patrzeć na nieskazitelną cud, jakim jest mój chrapiący, śmierdzący, skacowany mąż, i myśleć:

Jak, na litość boską, mogło mi się to przytrafić?

Jennifer próbowała się roześmiać. Nikt nie chciał słuchać jej paplaniny. Nie miała innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z losem. Dzień po przyjęciu, zaniepokojona i przygnębiona, pojechała sama do szpitala i poprosiła doktora Hargreavesa, żeby zechciał jej wysłuchać. Przyjął ją natychmiast – co, jak przypuszczała, było oznaką nie tyle sumienności, ile zawodowej uprzejmości okazywanej żonie niezwykle zamożnego klienta. Jego reakcja, choć mniej nonszalancka niż odpowiedź Yvonne, w gruncie rzeczy oznaczała to samo.

– Uderzenie w głowę może mieć przeróżne skutki – powiedział, gasząc papierosa. – Niektórzy mają trudności z koncentracją, inni płaczą w niewłaściwych chwilach albo odczuwają długotrwałą złość. Moimi pacjentami bywają dżentelmeni, którzy stają się nietypowo agresywni. Depresja nie jest rzadką reakcją na to, przez co pani przeszła.

– Ale tu chodzi o coś więcej, panie doktorze. Naprawdę myślałam, że z czasem poczuję się bardziej... sobą.

– A nie czuje się pani sobą?

– Mam wrażenie, że wszystko jest nie tak, jak powinno. Nie na swoim miejscu. – Roześmiała się krótko i niepewnie. – Czasami zdaje mi się, że tracę rozum.

Pokiwał głową, jakby słyszał coś takiego już wiele razy.

– Jennifer, czas naprawdę leczy rany. Wiem, że to straszny banał, ale taka jest prawda. Nie staraj się dopasować do żadnych słusznych wzorców odczuwania. W przypadku urazów głowy naprawdę nie ma reguł. Przez jakiś czas możesz czuć się dziwnie, nie na miejscu, jak to ujęłaś. A tymczasem przepiszę ci tabletki, które na pewno pomogą. Nie roztrząsaj tego.

Już pisał. Zaczekała chwilę, przyjęła receptę, a potem wstała, żeby wyjść. „Nie roztrząsaj tego”.

Godzinę po powrocie do domu zaczęła robić porządki. Miała garderobę pełną ubrań. Miała orzechową szkatułkę na biżuterię, mieszczącą cztery porządne pierścionki z drogimi kamieniami, i drugą, z ogromną ilością sztucznej biżuterii. Odkładając ostatnie pudełko, stwierdziła, że jest posiadaczką dwunastu kapeluszy, dziewięciu par rękawiczek i osiemnastu par butów. Każde pudełko opatrzyła krótkim opisem – „czólenka na niskim obcasie”, „bordowe” i „na wieczór, zielony jedwab”. Brała do ręki każdy but, próbując wydobyć z niego jakieś wspomnienie z czasu, gdy miała go na nodze. Parę razy przemknął jej przez umysł ulotny obraz: jej stopa w zielonym jedwabiu, wysuwająca się z taksówki – w drodze do teatru? – lecz były frustrująco efemeryczne, znikwały, zanim zdążyła je zatrzymać.

„Nie roztrząsaj tego”.

Właśnie odkładała ostatnią parę butów do pudełka, gdy zauważyła książkę w miękkiej okładce. Był to tani romans historyczny wciśnięty między bibułkę

a bok pudełka. Spojrzała na okładkę, zastanawiając się, dlaczego nie jest w stanie przypomnieć sobie fabuły, skoro udawało jej się to w przypadku wielu książek stojących na regale.

Może ją kupiłam i mi się nie spodobała, pomyślała, przerzucając kilka pierwszych stron. Wyglądała dość tandetnie. Przeczyta kawałek wieczorem i być może, jeśli nie przypadnie jej do gustu, podaruje książkę pani Cordozie. Położyła ją na stoliku nocnym i strzepnęła kurz ze spódnicy. Miała teraz pilniejsze sprawy na głowie: musiała na przykład uprzątnąć bałagan i zadecydować, w co, na litość boską, ubierze się tego wieczoru.

W drugiej partii korespondencji były dwa. Tak podobne, jakby napisano je przez kalkę, pomyślała Moira, czytając je. Te same objawy, te same skargi. Przyszły z tej samej fabryki, w której wszyscy robotnicy zaczęli pracę blisko dwie dekady temu. Może rzeczywiście jakoś łączyło się to ze związkami zawodowymi, jak stwierdził jej szef, ale wydawało jej się trochę niepokojące, że sporadyczne krople takiej korespondencji sprzed kilku lat zmieniły się w wartką strużkę.

Podnosząc głowę, zobaczyła szefa wracającego z lunchu i zaczęła się zastanawiać, co mu powiedzieć. Żegnał się uściskiem ręki z panem Welfordem. Na ich twarzach widniały uśmiechy zadowolenia świadczące o udanym spotkaniu. Po króciutkim wahaniu zgarnęła oba listy z biurka do górnej szuflady. Postanowiła, że dorzuci je do pozostałych. Nie było sensu go martwić. Przecież i tak wiedziała, co by powiedział.

Na chwilę pozwoliła sobie zatrzymać na nim wzrok, gdy prowadził pana Welforda z sali posiedzeń ku windom, i wspomniała ich poranną rozmowę. Byli w biurze tylko we dwoje. Inne sekretarki rzadko zjawiały się przed dziewiątą, ale ona regularnie przychodziła godzinę wcześniej, by włączyć ekspres do kawy, wyłożyć gazety, sprawdzić, czy w nocy nie przyszły jakieś telegramy, i upewnić się, że biuro będzie działało bez zarzutu, jeszcze zanim wejdzie do niego szef. Na tym polegała jej praca. Zresztą wolała jeść śniadanie przy biurku: z jakiegoś powodu czuła się wtedy mniej samotna niż w domu po śmierci matki.

Skinął, wzywając ją do swojego gabinetu: stojąc, lekko uniósł rękę. Wiedział, że ona zauważy ten gest – zawsze była czujna, na wypadek gdyby czegoś potrzebował. Przyglądała spódnicy i ruszyła żwawym krokiem, spodziewając się, że coś jej podyktuje, poprosi o jakieś dane, ale zamiast tego podszedł do drzwi i cicho je za nią zamknął. Starła się powstrzymać drżenie podniecenia. Nigdy wcześniej nie zamknął za nią drzwi, ani razu w ciągu pięciu lat. Jej ręka nieświadomie zbliżyła się do włosów.

Podchodząc do niej, ściszył głos.

– Moiro, chodzi o sprawę, o której rozmawialiśmy przed kilkoma tygodniami.

Wpatrywała się w niego, sparaliżowana jego bliskością, niespodziewanym

obrotem sprawy. Pokręciła głową – trochę niemądrze, jak sobie później wyrzucała.

– O sprawę, o której rozmawialiśmy... – w jego głosie zabrzmiała nutka zniecierpliwienia – po wypadku mojej żony. Pomyślałem, że powinienem się upewnić. Nigdy nie było niczego...

Odzyskała zmysły, jej dłoń zatrzepotała przy kołnierzyku.

– Aha. Och, nie, proszę pana. Byłam dwa razy, tak jak pan prosił. I nie. Niczego nie było. – Odczekała chwilę, po czym dodała: – Absolutnie niczego. Jestem zupełnie pewna.

Pokiwał głową, jakby poczuł się uspokojony. Potem uśmiechnął się do niej jednym z tych swoich rzadkich, łagodnych uśmiechów.

– Dziękuję, Moiro. Wiesz, jak bardzo cię cenię, prawda?

Poczuła dreszcz zadowolenia.

Podszedł do drzwi i znowu je otworzył.

– Dyskrecja zawsze była jedną z twoich najbardziej imponujących cech.

Musiała głośno przełknąć ślinę, zanim odpowiedziała.

– Ja... Zawsze może pan na mnie polegać. Przecież pan wie.

– Co się z tobą dzieje, Moira? – spytała później jedna z maszynistek w damskiej toalecie.

Moira uświadomiła sobie, że nuci pod nosem. Starannie umalowała usta i skropiła się odrobiną perfum.

– Wyglądasz, jakby spotkało cię coś miłego – dodała tamta. – Może Mario z sortowni poczty zdołał wreszcie dobrać jej się do majtek. – W kabinie rozległ się nieprzyjemny rechot.

– Phyllis, gdybyś poświęcała pracy choć połowę tej energii, którą poświęcasz głupim plotkom, mogłabyś zostać kimś więcej niż tylko młodszą maszynistką – odparła Moira, wychodząc. Ale nawet chichot i gwizdy, które słyszała, wracając na swoje miejsce, nie zdołały przyćmić jej zadowolenia.

Na całym placu widać było bożonarodzeniowe światełka, wielkie białe żarówki w kształcie tulipanów. Rozwieszono je między wiktoriańskimi latarniami i ciągnęły się nierównymi spiralami wokół drzew na skraju parku.

– Z każdym rokiem coraz wcześniej – zauważyła pani Cordoza, odwracając się od dużego wykuszowego okna w salonie, gdy Jennifer weszła do środka. Właśnie zamierzała zaciągnąć zasłony. – Nie ma jeszcze nawet grudnia.

– Ale to bardzo ładne. – Jennifer wkładała kolczyk. – Pani Cordozo, czy mogłaby pani zapiąć ten guzik na moim karku? Chyba nie dam rady dosięgnąć. – Ręka się goiła, ale wciąż brakowało jej elastyczności, która umożliwiałaby ubieranie się bez czyjejś pomocy.

Starsza kobieta zbliżyła do siebie kołnierzyka, zapięła guzik obciągnięty granatowym jedwabiem i odsunęła się, czekając, aż Jennifer się odwróci.

– W tej sukience zawsze wyglądała pani uroczo – zauważyła.

Jennifer przywykła do takich chwil – do momentów, w których musiała powstrzymać się od pytania: „Naprawdę? Na przykład kiedy?”. Stała się biegła w sztuce ukrywania ich, w przekonywaniu całego świata, że doskonale wie, gdzie jest w nim jej miejsce.

– Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, kiedy miałam ją na sobie po raz ostatni – powiedziała po chwili, pogrążając się w zadumie.

– Na kolacji z okazji pani urodzin. Wybierała się pani do restauracji w Chelsea.

Jennifer miała nadzieję, że to wyzwoli jakieś wspomnienia. Jednak nie.

– Rzeczywiście – powiedziała, uśmiechając się przelotnie. – To był uroczy wieczór.

– Czy dzisiaj też jest jakaś szczególna okazja, proszę pani?

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad gymsem kominka. Włosy miała ułożone w delikatne jasne fale, oczy podkreślone umiejętnie roztartym proszkiem antymonowym.

– Och, nie, raczej nie. Zaprosili nas Moncrieffowie. Kolacja i tańce. To samo grono co zwykle.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, zostanę godzinę dłużej. Trzeba wykrochmalić pościel.

– Ale płacimy pani za tę dodatkową pracę? – spytała bez zastanowienia.

– O tak – powiedziała pani Cordoza. – Zawsze jesteście państwo bardzo hojni.

Laurence – nadal nie potrafiła nazywać go Larry, nawet jeśli wszyscy wokół właśnie tak do niego mówili – uprzedził, że nie uda mu się wyjść z pracy wcześniej, więc powiedziała, że pojedzie do jego biura taksówką i będą mogli wyruszyć stamtąd na spotkanie z przyjaciółmi. Wydawał się trochę niechętny, ale nalegała. W ciągu ostatnich paru tygodni starała się trochę częściej wychodzić z domu, by odzyskać niezależność. Chodziła na zakupy, raz z panią Cordozą, raz sama, przechadzała się wolnym krokiem po Kensington High Street, starając się, by nie przytłoczyły jej chmary ludzi, nieustanny hałas i potrącanie. Dwa dni wcześniej kupiła szal w domu towarowym nie dlatego, że jakoś szczególnie chciała go mieć albo że był jej potrzebny, lecz po to, by mogła wrócić do domu, osiągnąwszy jakiś cel.

– Pomóc pani?

Gospoia trzymała krótki rozkloszowany płaszczyk z szafirowego brokatu. Ujęła go za ramiona, żeby Jennifer mogła po kolei wsunąć ręce w rękawy. Podszewka była z jedwabiu, brokat odznaczał się przyjemną ciężkością. Jennifer odwróciła się, wywijając kołnierz.

– Co pani robi, kiedy pani od nas wychodzi?

Gospościa zamrugnęła, trochę zaskoczona.

– Co robię?

– To znaczy, dokąd pani idzie.

– Do domu – powiedziała pani Cordoza.

– Do... rodziny? – Spędziłam z tą kobietą tyle czasu, pomyślała. A nic o niej nie wiem.

– Moja rodzina jest w RPA. Córki są już dorosłe. Mam dwoje wnucząt.

– Oczywiście. Niech mi pani wybaczy, ale nadal nie pamiętam różnych rzeczy tak dobrze, jak można by oczekiwać. Nie przypominam sobie, żeby wspominała pani o mężu.

Kobieta spuściła wzrok na stopy.

– Umarł prawie osiem lat temu, proszę pani. – Jennifer milczała, więc pani Cordoza wyjaśniła: – Był kierownikiem kopalni w Transwalu. Pani mąż dał mi tę pracę, żebym mogła dalej wspierać rodzinę finansowo.

Jennifer poczuła się tak, jakby przyłapano ją na wścibstwie.

– Bardzo mi przykro. Jak już mówiłam, moja pamięć jest jeszcze trochę zawodna. Proszę, niech pani nie myśli, że...

Pani Cordoza pokręciła głową.

Policzki Jennifer oblały się rumieńcem.

– Jestem pewna, że w normalnych okolicznościach potrafiłabym...

– Nie trzeba, proszę pani. Widzę... – zaczęła ostrożnie gospościa – ...że jeszcze nie jest pani do końca sobą.

Stały tak i patrzyły na siebie. Starsza kobieta była wyraźnie przerażona swoją nadmierną poufnością.

Jennifer jednak wcale nie miała jej tego za złe.

– Pani Cordozo – powiedziała – czy według pani bardzo się zmieniłam od czasu wypadku? – Zauważyła, że kobieta szybko omiata jej twarz spojrzeniem, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Pani Cordozo?

– Może trochę.

– Powie mi pani, pod jakim względem?

Gospościa wydawała się skrepowana i Jennifer domyśliła się, że boi się udzielić szczerzej odpowiedzi. Nie mogła się już jednak powstrzymać.

– Proszę. Zapewniam panią, że tu nie ma dobrych ani złych odpowiedzi. Po prostu... Wszystko jest trochę dziwne, odkąd... Chciałabym lepiej zrozumieć, jaka byłam dawniej.

Kobieta trzymała przed sobą zaciśnięte dłonie.

– Chyba jest pani cichsza. Trochę mniej... towarzyska.

– Czy pani zdaniem byłam wcześniej szczęśliwsza?

– Proszę... – Starsza kobieta nerwowo skubała swój łańcuszek. – Ja nie... Naprawdę powinnam już iść. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pościel

wykrochmalę jutro.

Zanim Jennifer zdążyła się odezwać, gosposia zniknęła.

Restauracja Beachcomber w hotelu Mayfair należała do najmodniejszych miejsc w mieście. Gdy Jennifer weszła do środka, idąc tuż przed swoim mężem, zrozumiała dlaczego: zaledwie kilka metrów od chłodnej londyńskiej ulicy znalazła się na rajskiej plaży. Okrągły bar i sufit zdobiły bambusy. Podłoga była z trawy morskiej, a z krokwi zwisały sieci rybackie i boje. Z głośników wkomponowanych w klify ze sztucznego kamienia płynęła hawajska muzyka, ledwie słyszalna pośród hałasu wywoływanego przez piątkowy wieczorny tłum. Większość jednej ze ścian zajmował mural przedstawiający błękitne niebo i bezkresny biały piasek, a na teren baru wdzierало się olbrzymie popiersie kobiety zdjęte z dziobu jakiegoś statku. Właśnie tam zauważyli Billa, który usiłował zawiesić kapelusz na jednej z rzeźbionych piersi.

– Ach, Jennifer... Yvonne... znacie już Ethel Merman? – Sięgnął po swój kapelusz i pomachał do nich.

– Uważajcie – mruknęła Yvonne, wstając, żeby się z nimi przywitać. – Violet utknęła w domu, a Bill już zdążył się upić.

Gdy zaprowadzono ich do stolika, Laurence puścił rękę Jennifer. Yvonne usiadła naprzeciw niej, a potem machnęła wypielęgnowaną dłonią do Anne i Dominica, którzy właśnie się zjawili. Gdy Jennifer przechodziła obok Billa siedzącego na drugim końcu stolika, ten złapał ją i pocałował w rękę.

– Och, Billy, doprawdy, ale z ciebie drań. – Francis pokręcił głową. – Jeśli nie będziesz się pilnował, posłę samochód po Violet.

– Dlaczego Violet została w domu? – Jennifer pozwoliła, by kelner odsunął jej krzesło.

– Jedno z dzieci zachorowało i nie potrafiła zostawić go z nianią. – Yvonne zdołała wyrazić całą swoją opinię na temat takiej decyzji uniesieniem jednej pięknej brwi.

– Dlatego że dzieci są najważniejsze – zaintonował Bill. Puścił oko do Jennifer. – Najlepiej trzymać się od nich z daleka, moje panie. My, mężczyźni, potrzebujemy zaskakująco dużo uwagi.

– Zamówimy coś do picia? Co tu mają dobrego?

– Ja wezmę Mai Tai – powiedziała Anne.

– Ja Królewskiego Ananasa – powiedziała Yvonne, spoglądając na menu opatrzone wizerunkiem kobiety w hawajskiej spódniczce i napisem: „Lista trunków”.

– A ty, Larry? Niech zgadnę. Skorpion Bali Hai. To coś z kolcem w ogonie? – Bill złapał kartę drinków.

– Brzmi odrażająco. Napiję się whisky.

– W takim razie pozwólcie, że wybiorę coś dla uroczej Jennifer. Kochana

Jenny, co powiesz na Ukrytą Perłę? Albo Upadek Hawajskiej Dziewczyny? Pisziesz się?

Jennifer się roześmiała.

– Skoro polecasz, Bill.

– Ja wezmę Zbolałego Drania, bo właśnie nim jestem – oznajmił wesoło. – Dobra. Kiedy zaczynamy tańczyć?

Kilka drinków później podano jedzenie: wieprzowinę po polinezyjsku, krewetki w migdałach i stek z tłuczonym pieprzem. Jennifer, lekko podchmielona mocnymi drinkami, poczuła, że ledwie może coś przełknąć. Wokół narastał hałas. W rogu zaczął grać zespół, pary ruszyły na parkiet, a ludzie przy stolikach rywalizowali z tymi wszystkimi dźwiękami, żeby móc się nawzajem słyszeć. Oświetlenie przygasło, z kolorowych szklanych lampek na stolikach wydobywało się wirujące czerwone i złote światło. Jennifer zaczęła leniwie wodzić wzrokiem po twarzach przyjaciół. Bill ciągle rzucał jej spojrzenia, jakby zależało mu na jej aprobacie. Yvonne oparła rękę na ramieniu Francisa, opowiadając jakąś historię. Anne oderwała się od kolorowego drinka, którego piła przez słomkę, by roześmiać się na całe gardło. Do Jennifer znowu powoli zakradało się to uczucie, nieustępliwe niczym fale: świadomość, że powinna być gdzieś indziej. Miała wrażenie, że znajduje się w szklanej bańce, z dala od wszystkich wokół, i ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że za czymś tęskni. Za dużo wypiłam, zbeształa się. Głupia ze mnie dziewczyna. Napotkała spojrzenie męża i uśmiechnęła się do niego, mając nadzieję, że nie wygląda na tak znękaną, jak się czuje. Nie odwzajemnił uśmiechu. Jestem zbyt przezroczysta, pomyślała ponuro.

– No więc o co chodzi? – spytał Laurence, zwracając się do Francisa. – Co właściwie świętujemy?

– Czy potrzebujemy powodu, żeby się zabawić? – odezwał się Bill. Pił z ananasa Yvonne przez długą słomkę w paski. Chyba tego nie zauważyła.

– Chcemy się z wami podzielić pewną nowiną, prawda, kochanie? – powiedział Francis.

Yvonne rozparła się na krześle, sięgnęła do torebki i zapaliła papierosa.

– Ależ oczywiście.

– Zaprosiliśmy was tu dzisiaj, naszych najlepszych przyjaciół, żebyście pierwsi dowiedzieli się o tym, że... – Francis zerknął na żonę – ...za jakieś pół roku będziemy mieli małego Moncrieffa.

Na chwilę zapadła cisza. Anne wytrzeszczyła oczy.

– Urodzi się wam dziecko?

– Z pewnością nie zamierzamy go kupić. – Rozbawiona Yvonne wykrzywiła mocno umalowane usta. Anne już wstała i okrążyła stół, żeby uściskać przyjaciółkę.

– Och, to wspaniała wiadomość. Spryciarze.

Francis się roześmiał.

– Wierz mi, to nie było nic wielkiego.

– W każdym razie nic wielkiego nie czułam – oznajmiła Yvonne, a mąż dał jej kuksańca.

Jennifer wstała i okrążyła stolik, jakby kierował nią jakiś odruchowy impuls. Pochyliła się, żeby ucałować Yvonne.

– To naprawdę cudowna wiadomość – powiedziała, nie wiedząc, dlaczego nagle poczuła się jeszcze bardziej rozchwiana. – Gratulacje.

– Powiedziałabym ci wcześniej – Yvonne dotknęła jej dłoni – ale pomyślałam, że powinnam poczekać, aż poczujesz się trochę bardziej...

– Sobą. Tak. – Jennifer się wyprostowała. – Ale to naprawdę cudowne i bardzo się cieszę waszym szczęściem.

– Teraz wasza kolej. – Bill z przesadną powolnością pokazał palcem na nią i Laurence'a. Miał rozpięty kołnierzyk, poluzowany krawat. – Zostaliście już tylko wy. No, Larry, do roboty. Nie sprawiaj nam zawodu.

Wracając na miejsce, Jennifer poczuła, że się rumieni, i miała nadzieję, że w słabym świetle nikt tego nie zauważy.

– Wszystko w swoim czasie, Bill – wtrącił gładko Francis. – Zanim się zdecydowaliśmy, musiały minąć całe lata. Najpierw lepiej się wyszaleć.

– Co? – zdziwiła się Yvonne. – To my już poszaleliśmy?

Wszyscy się roześmiali.

– Otóż to. Nie ma pośpiechu.

Jennifer patrzyła, jak jej mąż wyjmuje cygaro z wewnętrznej kieszeni marynarki i z namysłem ostrożnie odcina końcówkę.

– Nie ma pośpiechu – powtórzył jak echo.

Siedzieli w taksówce, która miała ich zawieźć do domu. Yvonne stała na skutym lodem chodniku i machała im na pożegnanie, a Francis opiekuńczo ją obejmował. Dominic i Anne odjechali kilka minut wcześniej, a Bill wyśpiewywał serenady jakimś przechodniom.

– Yvonne przekazała wspianiałą wiadomość, prawda? – spytała Jennifer.

– Tak myślisz?

– No tak. A ty nie?

Patrzył przez szybę. Ulice miasta były niemal czarne, jeśli pominąć zdarzające się co jakiś czas latarnie.

– Tak – powiedział. – Dziecko to wspianiałą wiadomość.

– Bill strasznie się upił, nie uważasz? – Wyjęła lusterko z torebki i przyjrzała się swojemu odbiciu. Wreszcie przestało ją zaskakiwać.

– Bill – powiedział jej mąż, nadal wpatrując się w ulicę – jest głupcem.

Gdzieś w oddali dźwięczał alarm. Zamknęła torebkę i złożyła dłonie na kolanach, zastanawiając się usilnie, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

– A kiedy... Co pomyślałaś, kiedy to usłyszałaś?

Odwrocił się do niej. Jeden bok jego twarzy oświetlała lampa sodowa, drugi spowijała ciemność.

– Chodzi mi o Yvonne. W restauracji prawie tego nie skomentowałaś.

– Pomyślałam – odrzekł, a ona usłyszała w jego głosie bezbrzeżny smutek – że Francis Moncrieff to cholerny farciarz.

Podczas krótkiej drogi do domu nic już więcej nie mówili. Gdy dotarli na miejsce, zapłacił taksówkarzowi, ona zaś ostrożnie weszła po nierównych kamiennych schodach. Światło było włączone, rzucało bladożółtą poświatę na zaśniewaną powierzchnię. Na pograżonym w ciszy placu żaden inny dom nie był już oświetlony. Widząc ciężki i nierówny krok Laurence'a, uświadomiła sobie, że jej mąż jest pijany. Przez chwilę próbowała sobie przypomnieć, ile whisky wypił, ale jej się nie udało. W restauracji była pograżona we własnych myślach, zastanawiała się, jakie wrażenie robi na pozostałych. Czuła, że jej mózg buzuje z wysiłku, żeby wydawała się taka jak dawniej.

– Zrobić ci drinka? – spytała, gdy otworzyła drzwi i weszli do środka. Ich kroki odbijały się echem w holu. – Jeśli chcesz, mogę zaparzyć herbaty.

– Nie – powiedział, rzucając płaszcz na krzesło. – Chciałbym pójść do łóżka.

– W takim razie...

– I chciałbym, żebyś poszła razem ze mną.

Więc tak to miało wyglądać. Starannie powiesiła płaszcz w szafie w holu i poszła za nim na górę do sypialni. Nagle pożałowała, że nie wypila więcej. Chciałaby, żeby byli tacy beztroscy jak Dominic i Anne, którzy ze śmiechem przewracali się na siebie na ulicy. Ale jej mąż – teraz już to wiedziała – nie był typem skorym do śmiechu.

Budzik wskazywał za kwadrans drugą. Jej mąż rozebrał się, zostawiając stertę ubrań na podłodze. Nagle wydał jej się rozpaczliwie zmęczony i zaczęła mieć cichą nadzieję, że po prostu zaśnie. Gdy zsunęła buty, zdała sobie sprawę, że nie będzie w stanie odpiąć guzika przy kołnierzyku sukienki.

– Laurence?

– Co?

– Czy mógłbyś rozpiąć...? – Odwróciła się do niego plecami i starała się nie krzywić, gdy jego palce niezdarnie szarpały materiał. Oddech miał przesiąknięty whisky i gorzką wonią cygara. Pociągnął, kilkakrotnie zahaczając o włoski na jej karku, aż się wzdrygnęła.

– Niech to szlag – powiedział w końcu. – Urwałem go.

Zsunęła sukienkę z ramion, a on położył jej na dłoni guzik obciążony jedwabiem.

– Nic nie szkodzi – powiedziała, starając się nie mieć mu tego za złe. – Pani Cordoza na pewno będzie umiała to naprawić.

Już miała odwiesić sukienkę, ale złapał ją za rękę.

– Zostaw – powiedział. Przyglądał jej się, lekko kiwając głową, powieki miał opuszczone do połowy, a jego oczy zasnuwał cień. Pochylił głowę, ujął jej twarz i zaczął ją całować. Zamknęła oczy, czując, jak jego dłonie błędzą w dół jej szyi, po ramionach. Gdy stracił równowagę, obydwójce się zatoczyli. Potem pociągnął ją na łóżko, kładąc wielkie dłonie na jej piersiach i od razu przenosząc na nią ciężar swojego ciała. Przyjmowała jego pocałunki uprzejmie, starając się nie zwracać uwagi na obrzydzenie, jakie wywoływał w niej jego oddech.

– Jenny – mamrotał, oddychając coraz szybciej. – Jenny...

Może przynajmniej nie potrwa to zbyt długo.

Poczuła, że przestał. Otworzyła oczy i zobaczyła, że się jej przygląda.

– Co się dzieje? – spytał niewyraźnie.

– Nic.

– Wyglądasz, jakbym ci robił coś obrzydliwego. Tak się czujesz?

Był pijany, ale w jego twarzy dostrzegła coś jeszcze, jakąś gorycz, której nie mogła zrozumieć.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałam, żebyś odniósł takie wrażenie. – Podźwignęła się na łokciach. – Chyba po prostu jestem zmęczona. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Aha. Zmęczona.

Usiedli obok siebie. Przeczesał włosy palcami, cały emanował rozczarowaniem. Przytłoczyło ją poczucie winy, ale ku swojemu zawstydzeniu poczuła także ulgę. Gdy cisza stała się nie do zniesienia, wzięła go za rękę.

– Laurence... myślisz, że wszystko ze mną w porządku?

– W porządku? O co ci chodzi?

Poczuła, jak w gardle rośnie jej gula. Był jej mężem, z pewnością mogła mu się zwierzyć. Pomyślała przelotnie o Yvonne uwieszanej na Francisie, o spojrzeniach, które nieustannie wymieniali, świadczących o setce innych rozmów, w których nie uczestniczył nikt oprócz ich dwojga. Pomyślała o Dominicu i Anne zaśmiewających się w drodze do taksówki.

– Laurence...

– Larry! – wybuchnął. – Mów do mnie Larry. Nie rozumiem, dlaczego tego nie pamiętasz.

Szybko zbliżyła rękę do twarzy.

– Larry, przepraszam. Ja po prostu... nadal czuję się bardzo dziwnie.

– Dziwnie?

Skrzywiła się.

– Jakby czegoś mi brakowało. Jakby istniała jakaś układanka, do której brakuje mi części. Czy to okropnie niemądre? – Proszę, uspokój mnie, błagała go w myślach. Obejmij mnie. Powiedz, że naprawdę zachowuję się niemądrze, że

wszystko sobie przypomnę. Powiedz, że Hargreaves miał rację i to okropne uczucie minie. Kochaj mnie trochę. Bądź przy mnie, żebym w końcu poczuła, że tak powinno być. Po prostu mnie zrozum.

Kiedy jednak podniosła głowę, wpatrywał się w swoje buty leżące kilka kroków dalej na dywanie. Powoli pojęła, że jego milczenie nie zawiera w sobie pytań. Nie próbował niczego rozgryźć. Jego straszliwy bezruch miał w sobie coś mroczniejszego: ledwie skrywaną złość.

Jego głos zabrzmiał cicho i porażająco wyraźnie.

– A czego miałoby ci brakować, Jennifer?

– Niczego – zapewniła pospiesznie. – Zupełnie niczego. Jestem bardzo szczęśliwa. I... – Wstała i ruszyła do łazienki. – To nic. Jak powiedział doktor Hargreaves, niedługo mi przejdzie. Niedługo znowu będę sobą.

Gdy się obudziła, już go nie było, a pani Cordoza leciutko pukała do drzwi. Jennifer otworzyła oczy i poczuła złowrogi ból towarzyszący poruszaniu głową.

– Proszę pani? Przynieść pani filiżankę kawy?

– Byłoby bardzo miło. Dziękuję – wychrypiała.

Podźwignęła się powoli, mrużąc oczy w jasnym świetle. Była za piętnaście dziesiąta. Słyszała dobiegające z zewnątrz warkot silnika, głucho szuranie towarzyszące odśnieżaniu chodnika i świergot wróbli sprzecających się na drzewach. Ubrania rozrzucone po sypialni poprzedniego wieczoru jakimś cudem zniknęły. Leżała na poduszkach, pozwalając, by nocne wydarzenia kłuły jej świadomość.

Gdy przysłała do łóżka, odwrócił się od niej. Jego szerokie, silne plecy utworzyły barierę nie do pokonania. Czuła ulgę, ale towarzyszyło jej także coś bardziej dezorientującego. Teraz ogarnęło ją melancholijne znużenie. Będę musiała bardziej się postarać, pomyślała. Przestaną się przejmować swoimi uczuciami. Będę dla niego miłsza. Będę życzliwa. Wczoraj wieczorem go zraniłam i to wszystko przez to.

„Staraj się tego nie roztrząsać”.

Zapukała pani Cordoza. Przyniosła kawę i dwie cienkie grzanki na tacy.

– Pomyślałam, że jest pani głodna.

– Och, jaka pani miła. Przepraszam. Od kilku godzin powinnam być na nogach.

– Postawię to tutaj. – Gospośia ostrożnie położyła tacę na narzucie, a potem sięgnęła po filiżankę z kawą i postawiła ją na stoliku nocnym.

– Na razie będę na dole, żeby pani nie przeszkadzać. – Spojrzała przelotnie na obnażoną rękę Jennifer z blizną wyraźnie widoczną w jasnym świetle, po czym odwróciła wzrok.

Gdy wychodziła z pokoju, Jennifer zauważyła książkę – romans, który zamierzała przeczytać albo podarować gospośi. Pomyślała, że najpierw wypije

kawę, a potem zejdzie z książką na dół. Dobrze będzie naprawić relacje z panią Cordozą po ich dziwnej rozmowie poprzedniego wieczoru.

Jennifer upiła łyk kawy, sięgnęła po książkę i zaczęła przerzucać strony. Tego ranka ledwie widziała na oczy i nie była w stanie czytać. Ze środka wypadła jakaś kartka. Jennifer podniosła ją, kładąc książkę na stoliku nocnym. Powoli zaczęła czytać.

Najdroższa,
nie chciałaś mnie słuchać, gdy wychodziłaś w tak wielkim pośpiechu, ale wcale Cię nie odtrąciłem. Byłaś tak daleka od prawdy, że z trudem mogę to znieść.

Oto prawda: nie byłabyś pierwszą mężatką, z którą się kochałem. Znasz moją sytuację osobistą i szczerze mówiąc, te związki, jakiegokolwiek były, całkiem mi odpowiadały. Nie chciałem się angażować. Kiedy się poznaliśmy, wolałem myśleć, że z Tobą będzie podobnie.

Gdy jednak w sobotę zjawiłaś się w moim pokoju, wyglądałaś w tej sukience tak cudownie. A potem poprosiłaś, żebym odpiął Ci guzik na karku. I w chwili, gdy moje palce zetknęły się z Twoją skórą, zrozumiałem, że kochanie się z Tobą oznaczałoby katastrofę dla nas obojga. Najdroższa, nie masz pojęcia, jak byś się czuła z taką dwulicowością. Jesteś uczciwym, uroczym stworzeniem. Nawet jeśli teraz tego nie czujesz, istnieje przyjemność towarzysząca byciu porządnym człowiekiem. Nie chcę być mężczyzną odpowiedzialnym za zmienienie Cię w kogoś gorszego.

A ja? Już w chwili, w której na mnie spojrzałaś, wiedziałem, że jeśli to zrobimy, będę zgubiony. Że nie zdołam odsunąć Cię na bok, tak jak odsuwałem inne. Nie byłbym w stanie pozdrawiać Laurence'a uprzejmym skinieniem głowy, gdy mijalibyśmy się w jakiejś restauracji. Nigdy nie zadowolilibym się jedynie częstką Ciebie. Łudziłem się, że jest inaczej. Właśnie z tego powodu, Kochana, zapiąłem z powrotem ten przeklęty guzik. I dlatego od dwóch nocy nie mogę spać, nienawidząc siebie za jedyną przyzwoitą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Wybacz mi.

B.

Jennifer usiadła na łóżku, wpatrując się w jedno słowo, które kłuło ją w oczy. Laurence.

Laurence.

To mogło oznaczać tylko jedno.

List był adresowany do niej.

Nie chcę Cię zasmucać, ale bardzo mi wstyd z powodu tego, co między nami zaszło. Nie powinno było do tego dojść. Chcę być w porządku wobec wszystkich zaangażowanych w to stron, więc chyba nie powinniśmy się więcej widywać.

Z mejla (żonatego) mężczyzny do kobiety

Anthony O'Hare obudził się w Brazzaville. Nie do końca świadomy słońca przenikającego przez okiennice, gapił się na wiatrak leniwie obracający się nad jego głową i przez chwilę się zastanawiał, czy tym razem umrze. Jego głowa utknęła w imadle, a od skroni do skroni śmigwały strzały. Nerki rozrywał taki ból, jakby przez większość poprzedniej nocy ktoś z zapalem walił w nie młotkiem. W ustach czuł suchość i paskudny smak, a do tego trochę go mdliło. Ogarnęła go nieokreślona panika. Czyżby go postrzelono? Pobito w zamieszkach? Zamknął oczy, czekając na dźwięki ulicy za oknem, na sprzedawców jedzenia, na wszechobecne bzyczenie radioodbiorników, przy których zbierali się ludzie, by w kucki nasłuchiwać, gdzie tym razem szykują się kłopoty. Nie, to nie była kula. To była żółta febra. Tym razem na pewno go wykończy. Gdy ta myśl uformowała się w jego głowie, uświadomił sobie jednak, że nie słyszy żadnych kongijskich odgłosów: żadnych wrzasków za otwartym oknem, żadnej barowej muzyki, żadnych zapachów kwangi gotowanej w liściach bananowca. Żadnych strzałów. Żadnych krzyków w lingala albo suahili. Cisza. W oddali krzyczały mewy.

To nie Kongo. To Francja. Był we Francji.

Poczuł przelotną radość, dopóki ból nie nabrał wyrazu. Jakąś daleką, wciąż jeszcze analityczną częścią umysłu przypomniał sobie, co mówił lekarz specjalista: ostrzegał, że jeśli Anthony znowu sięgnie po alkohol, będzie gorzej. Doktor Robertson byłby zadowolony, widząc, jak trafne okazały się jego prognozy.

Gdy nabrał pewności, że może się poruszyć i nie narobi sobie wstydu, podźwignął się do pionu. Zsunął nogi z łóżka i niepewnie podszedł do okna, czując woń stęchłego potu i widząc puste butelki na stoliku nocnym, świadczące o tym, że miał za sobą długą noc. Leciutko odsunął zasłonę i zobaczył w dole połyskującą zatokę skąpaną w bladym świetle. Czerwone dachy na wzgórzach były z terakoty, nie przypominały zamalowanej rdzy kongijskich bungalów, a pod nimi mieszkali zdrowi, szczęśliwi ludzie tłoczący się nad brzegiem morza, gawędzący, chodzący, biegający. Biali ludzie. Zamożni ludzie.

Zmrużył oczy. Ta scenka była niewinna, idylliczna. Pozwolił zasłonie opaść z powrotem, chwiejnym krokiem poszedł do łazienki i z wymiotował, tuląc sedes i plując, cały nieszczęśliwy. Gdy wreszcie zdołał wstać, niepewnie wszedł pod prysznic i osunął się na ścianę. Ciepła woda obmywała go przez dwadzieścia minut, a on żałował, że nie może wyplukać tego, co przez niego przepływa.

Przestań, weź się w garść.

Ubrał się, zamówił kawę i kiedy poczuł się trochę pewniej, usiadł przy biurku. Była prawie za kwadrans jedenasta. Musiał przesłać artykuł – sylwetkę, nad którą pracował poprzedniego popołudnia. Spojrzał na nabazgrane notatki, przypominając sobie zakończenie wieczoru. Wspomnienia wracały do niego

opornie: Mariette przed hotelem z uniesioną twarzą, domagająca się pocałunku. Jego zdecydowana odmowa, mimo że jednocześnie mamrotał pod nosem, że jest głupcem: dziewczyna była atrakcyjna i miał ją na wyciągnięcie ręki. Chciał jednak poczuć odrobinę zadowolenia z powodu choćby jednej rzeczy, którą zrobił tego wieczoru.

Jezu. Jennifer Stirling, rozgoryczona i urażona, podająca mu marynarke. Przypadkiem usłyszała, jak bezmyślnie, nieuprzejmie ciska na nich wszystkich gromy. Co o niej powiedział? „Mała, rozpieszczona *tai-tai*... a w głowie ani jednej oryginalnej myśli”. Zamknął oczy. Pomyślał, że w strefach działań wojennych jest łatwiej. Bezpieczniej. W strefach działań wojennych zawsze wiadomo, kto jest wrogiem.

Przyniesiono kawę. Wziął głęboki oddech, a potem nalał sobie całą filiżankę. Podniósł słuchawkę i ze znużeniem poprosił telefonistkę, by połączyła go z Londynem.

Pani Stirling,

podły ze mnie wieprz. Chciałbym móc zrzucić winę na zmęczenie albo jakąś nietypową reakcję na owoce morza, ale obawiam się, że zawiniło połączenie alkoholu, którego nie powinienem był pić, z cholerycznym usposobieniem człowieka nieporadnego towarzysko. Może mi Pani zarzucić niewiele ponad to, co sam już zdażyłem o sobie wydedukować w godzinach większej trzeźwości.

Proszę pozwolić, żebym Panią przeprosił. Byłbym bardzo szczęśliwy, mogąc się zrehabilitować zaproszeniem Państwa na lunch przed moim powrotem do Londynu.

Skruszony

Anthony O'Hare

PS Załączam kopię raportu przesłanego do Londynu, by zapewnić Panią, że przynajmniej w tej kwestii zachowałem się honorowo.

Anthony złożył list i wsunął go do koperty, zakleił ją i odwrócił. Możliwe, że nadal był trochę pijany – nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek był w liście tak szczery.

W tym momencie przypomniał sobie, że nie zna adresu, pod który mógłby go wysłać. Przeklął cicho własną głupotę. Poprzedniego dnia przyjechał po niego szofer Stirlinga, a z drogi powrotnej pamiętał niewiele poza różnymi upokorzeniami.

Recepcja hotelu okazała się niezbyt pomocna.

– Stirling? – Konsjerż pokręcił głową.

– Zna go pan? Bogaty człowiek. Ważny – powiedział. Wciąż czuł kredowy smak w ustach.

– Monsieur – odrzekł znużony recepcjonista – tutaj wszyscy są bogaci i ważni.

Popołudnie było ciepłe, powietrze białe, niemal fosforyzujące pod bezchmurnym niebem. Zaczął iść, podążając trasą, którą poprzedniego wieczoru jechał samochód. Podróż zajęła niespełna dziesięć minut – czy znalezienie tego domu mogło być aż tak trudne? Zamierzał zostawić list pod drzwiami i odejść. Nie chciał myśleć o tym, co zrobi po powrocie do miasteczka: tego ranka jego ciało, przypomniawszy sobie o swoim długim związku z alkoholem, zaczęło cichą, perwersyjną mantrę pożądania. Piwa, domagało się. Wina. Whisky. Bolały go nerki i nadal trochę się trząsał. Kiwając na powitanie dwóm uśmiechniętym kobietom w kapeluszach przeciwsłonecznych, tłumaczył sobie, że spacer dobrze mu robi.

Niebo nad Antibes było palącym błękitem, widział rozsianych na plażach turystów smażących się na białym piasku. Przypomniał sobie, że na rondzie skręcili w lewo i zobaczył, że droga, wzdłuż której stały wille kryte ceramiczną dachówką, wiedzie na wzgórze. Tamtędy jechał. Słońce paliło mu kark i przenikało przez kapelusz. Zdjął marynarkę i idąc, zarzucił ją sobie na ramię.

Na wzgórzach za miastem sprawy zaczęły się komplikować. Skręcił w lewo przy kościele, który wyglądał jakby znajomo, i zaczął się wspinać na wzgórze. Sosny i palmy się przeredziły, a potem zupełnie znikły, pozbawiając go osłony. Żar odbijał się od białych skał i asfaltu. Czuł, jak napina się jego odsłonięta skóra, i wiedział, że wieczorem będzie spalona i piekąca.

Od czasu do czasu mijał go jakiś samochód, zraszając kamykami zarośnięte urwisko. Poprzedniego wieczoru podróż wydawała się taka krótka, przyspieszona zapachem dzikich ziół, chłodną bryzą zmierzchu. Teraz mnożyły się przed nim słupki milowe, a on powoli tracił pewność siebie. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że mógł zabłądzić.

Don Franklin byłby zachwycony, pomyślał, przystając, żeby wytrzeć głowę chusteczką. Anthony umiał się przedostać z jednego końca Afryki na drugi, przedrzeć się przez granice, a mimo to zgubił się podczas dziesięciminutowego spaceru po podwórku milionerów. Odsunął się, żeby przepuścić kolejny samochód, a potem mrużąc oczy, spojrzął w światło, bo pojazd zatrzymał się z cichym piskiem hamulców. Auto gwałtownie ruszyło do tyłu i stanęło przy nim.

Z daimlera SP250 wychyliła się Yvonne Moncrieff w okularach przeciwsłonecznych odsuniętych na czoło.

– Oszałał pan? – spytała wesoło. – Usmaży się pan tutaj.

Spojrzał w głąb samochodu i za kierownicą zobaczył Jennifer Stirling. Spoglądała na niego zza ogromnych ciemnych okularów, włosy miała związane z tyłu, minę niemożliwą do rozszyfrowania.

– Dzień dobry – przywitał się, zdejmując kapelusz. Nagle uświadomił sobie, że pot przesiąka przez jego pogniecioną koszulę i lśni mu od niego twarz.

– Panie O’Hare, na litość boską, co pan robi tak daleko od miasteczka? – spytała Jennifer. – Goni pan za jakimś gorącym tematem?

Zdjął z ramienia lnianą marynarkę, sięgnął do kieszeni i podał jej list.

– Ja... chciałem to pani dać.

– Co to jest?

– Przeprosiny.

– Przeprosiny?

– Za moją wczorajszą nieuprzejmość.

Nie poruszyła się, żeby wziąć kopertę.

– Mam ci je podać, Jennifer? – Yvonne Moncrieff spojrzała na nią wyraźnie zdezorientowana.

– Nie – odrzekła. – Może pan je przeczytać, panie O’Hare?

– Jennifer!

– Skoro pan O’Hare to napisał, z pewnością potrafi to także powiedzieć. – Jej twarz za okularami była niewzruszona.

Stał przez chwilę. Obejrzał się na pustą drogę i na skąpane w słońcu miasteczko w dole.

– Naprawdę wolałbym...

– W takim razie to żadne przeprosiny, prawda, panie O’Hare? – stwierdziła uroczo. – Nabazgrać kilka słów może każdy.

Yvonne Moncrieff patrzyła na dłonie, kręcąc głową. Nieprzezroczyście okulary przeciwsłoneczne Jennifer nadal były zwrócone w jego stronę, jego sylwetka odbijała się w ciemnych szklach.

Otworzył kopertę, wyjął kartkę i po chwili przeczytał jej list głosem, który na wzgórzu brzmiał nienaturalnie donośnie. Skończył i włożył kartkę z powrotem do kieszeni. W ciszy, która zapadła, urozmaiconej tylko cichym warkotem silnika, czuł się dziwnie zakłopotany.

– Mój mąż – powiedziała w końcu Jennifer – pojechał do Afryki. Dzisiaj rano.

– W takim razie będę zaszczycony, mogąc zaprosić na lunch panią i panią Moncrieff. – Spojrzał na zegarek. – Oczywiście byłby to już dość późny lunch.

– Ja dziękuję, kochana. Dziś po południu Francis chce mi pokazać jakiś jacht. Powiedziałam mu, że pomarzyć zawsze wolno.

– Podwieziemy pana do miasta, panie O’Hare – oznajmiła Jennifer, kiwając głową w stronę małego tylnego siedzenia. – Nie chcę ponosić odpowiedzialności za porażenie słoneczne i zatrucie alkoholowe najbardziej szanowanego korespondenta „Nation”.

Zaczekała, aż Yvonne wysiądzie, i przechyliła fotel, żeby Anthony mógł wsiąść, a następnie poszperała w schowku na rękawiczki.

– Proszę – powiedziała, rzucając mu chusteczkę. – A poza tym szedł pan

w przeciwną stronę. Nasz dom jest tam. – Pokazała odległe wzgórze otoczone drzewami.

Kąci jej ust lekko zadrżały – wystarczająco, by pomyślał, że chyba mu wybaczyła – i obie kobiety wybuchnęły śmiechem. Anthony O’Hare z ogromną ulgą włożył kapelusz na głowę i pomknęli wąską drogą z powrotem do miasteczka.

Gdy tylko wysadzili Yvonne przed Hôtel St Georges, samochód utknął w korku.

– Bądźcie grzeczni – powiedziała pani Moncrieff, machając im na pożegnanie. W jej głosie usłyszał wesołą niefrasobliwość osoby przekonanej, że alternatywny scenariusz nie wchodzi w rachubę.

Gdy zostali tylko we dwoje, atmosfera się zmieniła. Jennifer Stirling stała się milcząca, pozornie skupiona na drodze, na której dwadzieścia minut wcześniej wcale nie była tak skoncentrowana. Ukradkiem zerkał na jej lekko opalone ramiona, na jej profil, gdy wpatrywała się w długi rząd tylnych świateł. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest na niego bardziej zła, niż była skłonna przyznać.

– Jak długo pani mąż będzie w Afryce? – spytał, by przerwać milczenie.

– Prawdopodobnie tydzień. Rzadko spędza tam więcej czasu. – Na chwilę wychyliła się z samochodu, jakby chciała się dowiedzieć, co spowodowało korek.

– Krótki pobyt jak na tak daleką podróż.

– To opinia znawcy, panie O’Hare?

– Znawcy?

Uniosła brew.

– O Afryce wie pan wszystko. Tak pan powiedział wczoraj wieczorem.

– „Wszystko”?

– Na przykład, że większość mężczyzn, którzy robią tam interesy, to oszuści.

– Tak powiedziałem?

– Monsieur Lafayette’owi.

Anthony trochę głębiej zapadł się w fotel.

– Proszę pani... – zaczął.

– Och, niech się pan nie martwi. Laurence tego nie słyszał. Francis owszem, ale on rzadko prowadzi tam interesy, więc nie wziął tego za bardzo do siebie.

Samochody ruszyły.

– Zapraszam panią na lunch – powiedział. – Proszę, niech się pani zgodzi. Chciałbym móc pani pokazać, nawet jeśli miałyby to potrwać tylko pół godziny, że nie jestem kompletnym dupkiem.

– Myśli pan, że tak szybko skłoni mnie do zmiany zdania? – Znowu ten uśmiech.

– Jestem gotów spróbować, jeśli i pani jest gotowa. Proszę wybrać jakieś miłe miejsce.

Kelner przyniósł jej lemoniadę w wysokiej szklance. Upiła łyk, a potem rozparła się na krześle i powiodła wzrokiem po brzegu morza.

– Uroczy widok – powiedział.

– Tak – przyznała.

Włosy spływały jej z głowy niczym farba po puszcze, jedwabistymi, jasnymi falami, które kończyły się tuż nad ramionami. Nie była w jego typie. Podobały mu się kobiety o mniej konwencjonalnej urodzie, mające w sobie odrobinę czegoś mrocznego – kobiety, których urok był mniej oczywisty dla oka.

– Nie pije pan?

Spojrzał na szklankę.

– Właściwie to nie powinienem.

– Polecenie żony?

– Byłej żony – sprostował. – I nie. Lekarza.

– Więc poprzedni wieczór naprawdę był dla pana niezdolny.

Wzruszył ramionami.

– Rzadko spędzam czas w towarzystwie.

– Przypadkowy turysta.

– Przyznaję. Konflikt zbrojny wydaje mi się mniej przytłaczającą perspektywą.

Tym razem uśmiechnęła się powoli i filuternie.

– A więc jest pan Williamem Bootem – powiedziała. – Zagubionym w strefie działań wojennych socjety na Riwierze.

– Boot... – Na wzmiankę o nieporadnej fikcyjnej postaci z książki Waugha poczuł, że uśmiecha się szczerze pierwszy raz tego dnia. – Chyba miałyby pani prawo podsumować mnie znacznie gorzej.

Do restauracji weszła jakaś kobieta, tuląc do obfitego biustu pieska z oczami jak guziki. Szła między stolikami z rodzajem znużonej determinacji, jakby nie mogła sobie pozwolić na skupienie się na niczym innym, jak tylko na miejscu, do którego zmierzała. Gdy usiadła przy pustym stoliku kilka kroków od nich, cicho westchnęła z ulgą. Postawiła pieska na podłodze, gdzie stał z ogonem wciśniętym między nogi i trząśł się.

– No więc pani Stirling...

– Mówmy sobie po imieniu.

– Jennifer. Opowiedz mi o sobie – poprosił, pochylając się nad stolikiem.

– To ty miałaś opowiadać. A raczej pokazywać.

– Pokazywać?

– Że nie jesteś kompletnym dupkiem. Jeśli dobrze pamiętam, dałeś sobie pół godziny.

– Aha. Ile mi jeszcze zostało?

Spojrzała na zegarek.

- Jakies dziewięć minut.
- I jak mi idzie?
- Przecież nie możesz oczekiwać, że tak szybko się przed tobą odsłonię.

Potem zamilkli. On dlatego, że – było to do niego zupełnie niepodobne – nie wiedział, co powiedzieć; ona chyba żałowała swojego doboru słów. Anthony O'Hare pomyślał o ostatniej kobiecie, z którą był związany, o żonie dentysty, rudowłosej i ze skórą tak przejrzystą, że wołał jej się za bardzo nie przyglądać, by przypadkiem nie zobaczyć tego, co znajduje się pod spodem. Była zdruzgotana długotrwałą obojętnością męża. Anthony przypuszczał, że jej otwartość na jego awanse była przede wszystkim aktem zemsty.

- Co robisz w wolnym czasie, Jennifer?
- Boję się powiedzieć.

Uniósł brew.

– Tak rzadko robię coś wartościowego, że pewnie byłbyś bardzo zniesmaczony. – Sposób, w jaki to powiedziała, uświadomił mu, że wcale się nie boi.

- Prowadzisz dwa domy.

– Nie. Okresowo zatrudniamy służbę. A w Londynie pani Cordoza radzi sobie z prowadzeniem domu o wiele lepiej niż ja.

- No więc czym się zajmujesz?

– Wydaję bankiety, uroczyste kolacje. Dbam, żeby wszystko było piękne. Staram się być miła dla oka.

- Bardzo dobrze ci idzie.

- Och, jestem ekspertką. Wiesz, to wyjątkowa umiejętność.

Mógłby na nią patrzeć cały dzień. Miało to coś wspólnego z jej górną wargą, która lekko się unosiła ku delikatnej skórze pod nosem. Ta część twarzy miała specjalną nazwę i był pewny, że jeśli będzie na nią patrzył wystarczająco długo, to ją sobie przypomni.

– Robię to, do czego przygotowywano mnie od dziecka. Upolowałam bogatego męża i dbam, żeby był szczęśliwy.

Jej uśmiech zbladł. Być może mężczyzna bez jego doświadczenia by to przeoczył – lekkie napięcie wokół oczu, podejrzenie czegoś bardziej skomplikowanego, niż mogłaby sugerować wierzchnia warstwa.

– W zasadzie to mam ochotę się napić – powiedziała. – Będzie ci to bardzo przeszkadzało?

– Z całą pewnością powinnaś wypić drinka. Potraktuję to jako zapośredniczoną przyjemność.

– Zapośredniczoną – powtórzyła, unosząc rękę, żeby skinąć na kelnera. Zamówiła martini z mnóstwem lodu.

Niewinny drink, pomyślał. Nie chciała za wszelką cenę czegoś ukryć,

zatracić się w alkoholu. Poczul się trochę zawiedziony.

– Jeśli cię to pocieszy – powiedział lekkim tonem – ja umiem tylko pracować.

– Och, na pewno masz także inne umiejętności – odrzekła. – Mężczyźni wolą pracować, niż zajmować się innymi sprawami.

– Innymi sprawami?

– Bałaganem codziennego życia. Tym, że ludzie nie zachowują się tak, jak byśmy chcieli, i czują coś, czego wolelibyśmy, żeby nie czuli. W pracy można osiągać wyniki, być mistrzem w swojej dziedzinie. Ludzie robią to, co się im każe.

– Nie w moim świecie – roześmiał się.

– Ale możesz napisać artykuł i nazajutrz zobaczyć go w kiosku dokładnie w takiej postaci, w jakiej go stworzyłeś. Nie czujesz wtedy pewnej dumy?

– Kiedyś czułem. Po jakimś czasie ta duma słabnie. Ostatnio chyba nie zrobiłem zbyt wielu rzeczy, z których mógłbym być dumny. Wszystko, co piszę, jest ulotne. Następnego dnia można w tym podać rybę z frytkami.

– Więc po co tak harować?

Przełknął ślinę, odepchnął od siebie obraz syna. Nagle bardzo zapragnął się napić. Zmusił się do uśmiechu.

– Z tych wszystkich powodów, o których wspomniałaś. To o wiele prostsze, niż zajmowanie się całą resztą.

Ich spojrzenia się spotkały i w tym momencie szczerości Jennifer posmutniała. Zarumieniła się lekko i powoli zamieszała drinka wykałaczką.

– Zapośredniczona – powiedziała powoli. – Będziesz musiał mi powiedzieć, co dokładnie miałeś na myśli, Anthony.

Sposób, w jaki wymówiła jego imię, sygnalizował pewną poufałość. Coś obiecywał – powtórkę w jakiejś nieokreślonej przeszłości.

– Miałem na myśli... – Zaszło mu w ustach. – Przyjemność czerpaną z przyjemności drugiej osoby.

Gdy odwiozła go do hotelu, położył się na łóżku i prawie przez godzinę wpatrywał się w sufit. Potem zszedł do recepcji, poprosił o pocztówkę i napisał do syna, zastanawiając się, czy Clarissa zechce mu ją przekazać.

Po powrocie do pokoju znalazł liścik wsunięty przez szparę pod drzwiami:

Drogi Boocie,

wprawdzie jeszcze nie udało Ci się mnie przekonać, że nie jesteś dupkiem, ale chciałabym dać Ci drugą szansę. Z moich planów na dzisiejszą kolację nic nie wyszło. O ósmej będę jadła w Hôtel des Calypos przy rue St Jacques i przydałoby mi się towarzystwo.

Przeczytał to dwukrotnie, a potem pobiegł na dół i nadał telegram do Dona:

ZIGNORUJ POPRZEDNI TELEGRAM STOP ZOSTAJĘ ŻEBY PRACOWAĆ NAD SERIĄ O ŚMIETANCE TOWARZYSKIEJ NA RIWIERZE

STOP UWZGLĘDNIĘ RADY DOTYCZĄCE MODY STOP

Uśmiechnął się, złożył kartkę i przekazał ją dalej, wyobrażając sobie minę naczelnego, kiedy to przeczyta. Potem zaczął się zastanawiać, jak wyprać garnitur, żeby był gotowy na wieczór.

Podczas kolacji Anthony O'Hare był niezwykle czarujący. Taki, jaki powinien być poprzedniego wieczoru. Taki, jaki być może powinien być jako mąż. Dowcipny, uprzejmy, szarmancki. Jennifer nigdy nie była w Kongu – mąż powiedział, że to „nie dla niej” – i Anthony, być może dlatego, że odczuwał teraz przemożną potrzebę zaprzeczania Stirlingowi, postanowił rozkochać ją w tym kraju. Opowiadał jej o eleganckich, obsadzonych drzewami ulicach Léopoldville, o belgijskich osadnikach, którzy woleli po niebotycznych cenach sprowadzać tam produkty spożywcze, w puszkach albo mrożone, niż czerpać z najwspanialszego rolniczego rogu obfitości na świecie. Mówił jej o wstrząsie, jaki przeżyli mieszkający w tym mieście Europejczycy, gdy powstanie w koszarach zmusiło ich do ucieczki i szukania względnego bezpieczeństwa w Stanleyville.

Chciał, żeby zobaczyła go w najlepszym wydaniu, by patrzyła na niego z podziwem, a nie z miną wyrażającą politowanie i irytację. I stało się coś dziwnego: zgrywając czarującego, pogodnego nieznanego, poczuł, że na chwilę się nim staje. Pomyślał o matce. „Uśmiechaj się” – powtarzała mu, gdy był mały. Dzięki temu miał się poczuć szczęśliwszy. Wtedy jej nie wierzył.

Z kolei Jennifer zachowywała się bez troski. Jak przystało na kobietę umiejącą się odnaleźć w towarzystwie, więcej słuchała, niż mówiła, a gdy śmiała się z czegoś, co powiedział, czuł, jak wypełnia go radość, i pragnął skłonić ją do tego jeszcze raz. Z zadowoleniem zdał sobie sprawę, że przyciągają pełne podziwu spojrzenia ludzi wokół – „ta bardzo wesoła para przy stoliku numer szesnaście”. O dziwo, wcale jej nie peszyło, że jest widziana z mężczyzną niebędącym jej mężem. Być może tak funkcjonuje socjeta na Riwierze, pomyślał. To niekończący się duet towarzyski z żonami i mężami innych ludzi. Wolał nie dopuszczać innej ewentualności: że mężczyzny o jego pozycji, z jego klasy, nie można traktować jak zagrożenia.

Tuż po daniu głównym przy ich stoliku zjawił się jakiś wysoki mężczyzna w doskonale skrojonym garniturze. Pocałował Jennifer w oba policzki, a potem, gdy już wymienili uprzejmości, czekał, aż zostanie przedstawiony.

– Richardzie, kochany, to pan Boot – powiedziała z pełną powagą. – Pisze artykuł o Larrym do londyńskiej gazety. Uzupełniam szczegóły i staram się pokazać, że przemysłowcy i ich żony nie są aż takimi nudziarzami.

– Jenny, wątpię, żeby ktokolwiek mógł ci zarzucić nudziarstwo. – Mężczyzna wyciągnął rękę do Anthony'ego. – Richard Case.

– Anthony... ee... Boot. Z tego, co widzę, w socjecie Riwiery nie ma nic nudnego. Państwo Stirlingowie byli wspaniałymi gospodarzami – powiedział.

Postanowił, że będzie dyplomatą.

– Może pan Boot napisze także coś o tobie. Richard jest właścicielem hotelu na szczycie wzgórza. Tego ze wspaniałym widokiem. Jest w absolutnym epicentrum tutejszej socjety.

– Może zechciałby się pan u nas zatrzymać podczas następnej wizyty, panie Boot? – zaproponował mężczyzna.

– Z wielką przyjemnością, ale zanim zacznę się zastanawiać, czy będę mógł tu wrócić, zaczekam i przekonam się, czy panu Stirlingowi spodoba się to, co napisałem – odrzekł Anthony. Później pomyślał, że obydwójce dokładali starań, by co chwila wspominać o Laurensie, by cały czas pozostawał wśród nich, niewidoczny.

Tego wieczoru promieniała. Emanowała wibrującą energią, której, jak przypuszczał, nie wyczuwał nikt oprócz niego. Czy to ja tak na ciebie wpływam? zastanawiał się, patrząc, jak Jennifer je. A może po prostu czujesz ulgę, uwolniwszy się spod kurateli tego twojego nieprzystępnego męża? Pamiętając, jak Stirling ją upokorzył poprzedniego wieczoru, pytał Jennifer, co sądzi na temat rynków, pana Macmillana i królewskiego ślubu. Nie dopuszczał do tego, by po prostu zdała się na jego opinię. Nie była szczególnie świadoma, co dzieje się na świecie poza jej światem, ale wnikliwie analizowała ludzką naturę i była wystarczająco żywo zainteresowana tym, co miał do powiedzenia, by czuł się przyjemnie w jej towarzystwie. Przez chwilę myślał o Clarissie, o jej kąśliwych wypowiedziach na temat otaczających ją ludzi, o jej gotowości do doszukiwania się zniewag w najbardziej ulotnych gestach. Od lat nie przeżył tak udanego wieczoru.

– Niedługo powinnam iść – powiedziała, zerkając na zegarek. Podano kawę i srebrny talerzyk ze starannie ułożonymi ptifurkami.

Położył serwetkę na stoliku, czując ukłucie rozczarowania.

– Nie, nie możesz – powiedział, po czym pospiesznie dodał: – Nadal nie jestem pewny, czy udało mi się przyćmić tanto pierwsze wrażenie.

– Naprawdę? Och, chyba tak. – Odwróciła się i zobaczyła przy barze Richarda Case'a z przyjaciółmi. Pospiesznie uciekł spojrzeniem, jakby ich obserwował.

Przyjrzała się twarzy Anthony'ego. Jeśli poddawała go sprawdzianowi, wszystko wskazywało na to, że go zdał. Pochyliła się i spytała ściszym głosem:

– Umiesz wiosłować?

– Czy umiem wiosłować?

Zeszli na nabrzeże. Tam przyglądała się wodzie, jakby nie była pewna, czy pozna właściwą łódź, nie przeczytawszy dokładnie jej nazwy, i wreszcie pokazała mu małą jolkę. Wszedł do środka, a potem podał jej rękę, żeby mogła usiąść naprzeciwko. Bryza była ciepła, światła łodzi poławiających homary mrugały spokojnie w atramentowej ciemności.

– Dokąd płyniemy? – Zdjął marynarkę i położył ją obok siebie na siedzeniu, po czym sięgnął po wiosła.

– Och, po prostu wiosłuj w tę stronę. Powiem ci, kiedy dotrzemy na miejsce.

Wiosłował powoli, słuchając chlupotania fal o boki łódki. Siedziała naprzeciw niego z szalem luźno zarzuconym na ramiona. Odwróciła się, żeby lepiej widzieć, dokąd płyną.

Myśli Anthony’ego utknęły w martwym punkcie. W normalnych okolicznościach działałby strategicznie, planując pierwszy ruch, podniecony perspektywą czekającej go nocy. Jednak choć był z tą kobietą sam na sam, choć zaprosiła go na łódź na środku czarnego morza, nie był przekonany, czy wie, dokąd zmierza ten wieczór.

– Tutaj – powiedziała, pokazując palcem. – To ta.

– Mówiłaś o łodzi. – Wpatrywał się w olbrzymi, elegancki, biały jacht.

– To dość duża łódź – przyznała. – W zasadzie to nie jestem wielbicieleką jachtów. Bywam na nich zaledwie parę razy w roku.

Przywiązali jolkę i wspięli się na pokład. Poprosiła, żeby usiadł na ławce wyściełanej poduszkami, i kilka minut później wynurzyła się z kabiny. Zauważył, że pozbyła się butów. Starał się nie gapić na jej niezwykle małe stopy.

– Przygotowałam ci bezalkoholowy koktajl – powiedziała, podając mu kieliszek. – Nie byłam pewna, czy wytrzymasz kolejną porcję toniku.

Mimo odległości od portu było ciepło, a fale płynęły tak delikatnie, że jacht prawie się nie kołysał. Widział za nią światła portu, od czasu do czasu jakiś samochód wspinający się po nadmorskiej drodze. Pomyślał o Kongu i poczuł się jak ktoś, kogo ewakuowano z piekła do raju, który być może był jedynie wytworem jego wyobraźni.

Nalała sobie kolejne martini i zgrabnie podkurczyła nogi na ławce naprzeciw niego.

– Więc jak poznałaś swojego męża? – spytał.

– Mojego męża? Dalej pracujemy?

– Nie. Jestem zaintrygowany.

– Czym?

– Tym, w jaki sposób zdołał... – Zreflektował się. – Interesuje mnie, jak ludzie zaczynają być razem.

– Poznaliśmy się na balu. Przekazywał darowiznę rannym żołnierzom. Siedział przy tym samym stoliku co ja, zaprosił mnie na kolację i tyle.

– I tyle?

– To było bardzo nieskomplikowane. Kilka miesięcy później poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam.

– Byłaś bardzo młoda.

– Miałam dwadzieścia dwa lata. Rodzice byli zachwyceni.

- Dlatego że jest bogaty?
- Dlatego że uznali go za odpowiednią partię. Był solidnym człowiekiem i miał dobrą reputację.
- A dla ciebie te cechy są ważne?
- Czy nie są ważne dla każdego? – Bawiła się rąbkiem spódnicy, prostując go i wygładzając. – Teraz ja będę zadawała pytania. Jak długo byłeś żonaty, Boot?
- Trzy lata.
- Niezbyt długo.
- Dość szybko do mnie dotarło, że popełniliśmy błąd.
- Nie miała nic przeciwko temu, że się z nią rozwodzisz?
- To ona rozwiodła się ze mną.

Jennifer zmierzyła go wzrokiem, a on poczuł, jak wystawia mu wszystkie oceny, na jakie być może zasłużył.

- Nie byłem wiernym mężem – dodał, choć już gdy to mówił, nie miał pewności, dlaczego to robi.
- Pewnie tęsknisz za synem.
- Tak – powiedział. – Czasami się zastanawiam, czy zrobiłbym to, co zrobiłem, gdybym wiedział, jak bardzo będę za nim tęsknił.
- To dlatego pijesz?

Zdobył się na cierpki uśmiech.

– Niech pani nie próbuje mnie naprawić, pani Stirling. To hobby stanowczo zbyt wielu kobiet mających dobre intencje.

Spuściła wzrok na drinka.

- Kto powiedział, że chcę cię naprawiać?
- Roztaczasz taką... dobroczynną aurę. To mnie stresuje.
- Nie da się ukryć smutku.
- Skąd miałabyś o tym wiedzieć?
- Nie jestem głupia. Nikt nie dostaje wszystkiego. Wiem o tym równie dobrze jak ty.
- Twój mąż dostał.
- Miło, że tak mówisz.
- Nie mówię tego, żeby było miło.

Ich spojrzenia się spotkały, a potem ona odwróciła wzrok w stronę brzegu. Atmosfera stała się niemal bitewna, jakby w głębi ducha byli na siebie wściekli. Z dala od ograniczeń prawdziwego życia na łodzi coś się między nimi wyzwoliło. Pragnę jej, pomyślał, i prawie mu ulżyło, że jest w stanie poczuć coś tak zwyczajnego.

- Z iloma mężatkami spałeś? – Jej głos przeciął nieruchome powietrze. Omal nie zakrztusił się drinkiem.
- Chyba łatwiej powiedzieć, że tylko nieliczne z nich nie miały męża.

Zastanowiła się nad tym.

– Z nami jest łatwiej?

– Tak.

– A dlaczego te kobiety z tobą sypiają?

– Nie wiem. Może dlatego, że są nieszczęśliwe.

– I ty je uszczęśliwiasz.

– Przez chwilę chyba tak.

– Czy w związku z tym nie jesteś żigolakiem? – Znowu ten uśmiech błędzący w kącikach jej ust.

– Nie, po prostu kimś, kto lubi się kochać z mężatkami.

Tym razem odniósł wrażenie, że cisza przenika go aż do kości. Przerwałby ją, gdyby miał choć nikłe pojęcie, co powiedzieć.

– Nie zamierzam się z panem kochać, panie O’Hare.

Dwa razy odtworzył te słowa w myślach, zanim nabrał pewności, co usłyszał. Dochodząc do siebie, pociągnął kolejny łyk drinka.

– Nie szkodzi.

– Naprawdę?

– Nie. – Zmusił się do uśmiechu. – Nie naprawdę. Ale będzie musiało tak zostać.

– Nie jestem wystarczająco nieszczęśliwa, żeby się z tobą przespać.

Boże, kiedy na niego spojrzała, poczuł się tak, jakby mogła zobaczyć wszystko. Nie był pewny, czy to mu się podoba.

– Odkąd wyszłam za mąż, nigdy nawet nie pocałowałam innego mężczyzny. Ani jednego.

– To godne podziwu.

– Nie wierzysz.

– Owszem, wierzę. To rzadkość.

– Teraz uważasz, że jestem straszną nudziarą. – Wstała i podeszła do krawędzi jachtu, a gdy dotarła na mostek, odwróciła się do niego. – Czy te twoje mężatki się w tobie zakochują?

– Trochę.

– Smutno im, kiedy od nich odchodzisz?

– Skąd wiesz, że to nie one odchodzą ode mnie?

Czekała.

– Nie potrafię powiedzieć, czy się zakochują – dodał w końcu – bo zazwyczaj rzadko z nimi potem rozmawiam.

– Ignorujesz je?

– Nie. Często wyjeżdżam za granicę. Raczej nie spędzam dużo czasu w jednym miejscu. Poza tym mają swoich mężów, swoje życie... Wątpię, żeby któraś z nich kiedykolwiek zamierzała się rozwieść. Jestem tylko... odskocznią.

- Kochałeś którąś z nich?
- Nie.
- Kochałeś żonę?
- Tak mi się wydawało. Teraz nie jestem pewny.
- Czy kiedykolwiek kogoś kochałeś?
- Mojego syna.
- Ile ma lat?
- Osiem. Byłaby z ciebie dobra dziennikarka.
- Naprawdę nie możesz ścierpieć, że nie robię niczego pożytecznego, prawda? – Wybuchnęła śmiechem.
- Myślę, że chyba się marnujesz, wiodąc takie życie, jakie wiesz.
- Doprawdy? A co niby miałabym robić? – Podeszła do niego. Zobaczyła światło księżyca odbijające się od jej bladej skóry, granatowy cień w zagłębieniu jej szyi. Zrobiła kolejny krok i ściszyła głos, mimo że nikogo nie było w pobliżu.
- Co przed chwilą powiedziałeś, Anthony? „Nie próbuj mnie naprawić?”
- Dlaczego miałbym cię naprawiać? Mówisz, że nie jesteś nieszczęśliwa. – Oddech uwiązał mu w gardle. Była teraz tak blisko, badawczo patrzyła mu w oczy. Czuł się jak pijany, zmysły wyostrzyły mu się, jakby każda jej cząstka bezlitośnie odciskała się na jego świadomości. Wciągnął jej zapach. Kwiatowy, orientalny.
- Myślę – powiedziała powoli – że to, co mi dzisiaj powiedziałeś, mówisz wszystkim swoim mężatkom.
- Mylisz się – zaprzeczył. Wiedział jednak, że ma całkowitą rację. Ostatkiem sił powstrzymał się od zmiżdżenia tych ust, od roztarcia ich swoimi. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był aż tak podniecony.
- Myślę – powiedziała – że moglibyśmy się nawzajem okropnie unieszczęśliwić.
- Gdy to mówiła, coś głęboko w jego wnętrzu lekko się osunęło, jakby zostało pokonane.
- Myślę – odrzekł powoli – że bardzo bym tego chciał.

Zostaję w Grecji, nie wracam do Londynu, dlatego że mnie przerażasz, ale w dobrym sensie.

Z pocztówki mężczyzny do kobiety

Kobiety znowu pukały. Widziała je z okna swojej sypialni: jedna ciemnowłosa, druga z nieprawdopodobnie rudymi włosami. Siedziały w oknie na pierwszym piętrze w rogu budynku. Gdy obok przechodził jakiś mężczyzna, który okazał się na tyle niemądry, by spojrzeć w górę, pukały w szybę, machały i uśmiechały się.

Doprowadzały Laurence'a do furii. Na początku roku toczyła się sprawa przed Sądem Najwyższym, w której sędzia przestrzegł kobiety przed takim zachowaniem. Laurence powiedział, że tego rodzaju nagabywanie, choć mogło się wydawać dyskretne, psuje wizerunek okolicy. Nie mógł pojąć, dlaczego, skoro łamią prawo, nikt nawet nie kiwnie cholernym palcem.

Jennifer te kobiety nie przeszkadzały. Wyglądały jak uwięzione za szkłem. Kiedyś nawet do nich pomachała, ale odpowiedziały jej tępym spojrzeniem, i pospiesznie odeszła.

Pomijając ten szczegół, w jej codzienności ustalił się nowy rytm. Wstawała razem z Laurence'em, przygotowywała mu kawę i grzankę, a gdy golił się i ubierał, przynosiła z holu gazetę. Często budziła się wcześniej od niego, układała włosy i malowała się, by podczas krzątania się w szlafroku po kuchni wyglądać przyjemnie dla oka i godnie w tych nielicznych chwilach, gdy podnosił głowę znad gazety. Z jakiegoś powodu łatwiej było zacząć dzień, nie słysząc, jak wzdycha z rozdrażnieniem.

Wstawał od stołu, pozwalał, by pomogła mu włożyć płaszcz, i zwykle chwilę po ósmej jego szofer dyskretnie pukał do frontowych drzwi. Machała na pożegnanie, dopóki samochód nie zniknął za rogiem.

Jakieś dziesięć minut później witała się z panią Cordozą i starsza kobieta parzyła dzbanek herbaty, rzucając czasami jakąś uwagę na temat zimna. Analizowały przygotowaną przez panią domu listę spraw, które należało wykonać danego dnia. Oprócz zwykłych zadań, takich jak odkurzenie, ścieranie kurzów i pranie, często zdarzało się trochę szycia (od mankietu koszuli Laurence'a mógł odpaść guzik) lub jakaś para butów wymagała czyszczenia. Mogła zaistnieć potrzeba, by pani Cordoza przejrzała zawartość bielizniarki, sprawdzając ją i ponownie układając, albo by wypolerowała komplet srebrnych sztućców, siedząc przy usłanym gazetami stole w kuchni i słuchając przy tym radia.

Jennifer tymczasem kąpała się i ubierała. Mogła wpaść z sąsiedzką wizytą do Yvonne i wypić razem z nią kawę, zabrać matkę na lekki lunch albo złapać taksówkę i pojechać do centrum miasta na małe bożonarodzeniowe zakupy. Zawsze pamiętała, żeby wrócić wczesnym popołudniem. Wtedy zazwyczaj znajdowała jakieś nowe zajęcie dla pani Cordozy: wyprawę autobusem po materiał na zasłony, poszukiwanie określonego rodzaju ryby, która mogłaby zasmakować

Laurence'owi. Raz dała gosposi wolne popołudnie, byleby tylko zapewnić sobie parę godzin samotności w domu, zdobyć czas na poszukiwanie kolejnych listów.

W ciągu dwóch tygodni, które upłynęły, odkąd odkryła pierwszy z nich, znalazła jeszcze dwa. One także były zaadresowane na skrytkę pocztową, ale bez wątplenia wysłano je do niej. Ten sam charakter pisma, ten sam namiętny, bezpośredni sposób wyrażania się. Słowa zdawały się powtarzać jak echo jakiś dźwięk ukryty głęboko w jej sercu. Opisywały wydarzenia, które, choć ich nie pamiętała, rezonowały niczym wibrowanie ogromnego dzwonu długo po tym, jak przestanie bić.

Wszystkie były podpisane literą B. Czytała je po wielokroć, aż słowa wyryły się w jej duszy.

Najdroższa Dziewczyno,

jest czwarta rano. Nie mogę spać, wiedząc, że on dziś do Ciebie wraca. To droga do zatracenia, ale leżę tu i wyobrażam sobie, jak kładzie się obok Ciebie z tą swoją licencją na dotykanie Cię, obejmowanie Cię, i zrobiłbym wszystko, żeby samemu mieć taką swobodę.

Tak bardzo się na mnie rozzłościłaś, kiedy zastałaś mnie z drinkiem w Alberto's. Nazwałaś to dogadaniem sobie i obawiam się, że zareagowałem w niewybaczalny sposób. Mężczyźni robią sobie krzywdę, kiedy atakują, i – choć moje słowa mogły zabrznieć okrutnie i głupio – chyba wiesz, że Twoje zraniły mnie bardziej. Kiedy wyszłaś, Felipe powiedział, że jestem głupcem. I miał rację.

Piszę Ci o tym, bo chcę, żebyś wiedziała, że zamierzam być lepszym człowiekiem. Ha! Ledwo mogę uwierzyć, że piszę coś tak banalnego. Ale to prawda. Przy Tobie chcę być lepszą wersją samego siebie. Siedziałem tu wiele godzin, gapiąc się na butelkę whisky, a potem, niespełna pięć minut temu, wreszcie wstałem i wylałem całą jej przeklętą zawartość do zlewu. Będę lepszym człowiekiem dla Ciebie, Kochanie. Chcę żyć dobrze, pragnę, żebyś była ze mnie dumna. Jeśli wszystko, co nam dano, to godziny i minuty, chcę być w stanie odcisnąć każdą z nich w pamięci z wyjątkową wyrazistością, żeby później móc je wspominać w takich chwilach jak ta, gdy nawet moja dusza wydaje się szerniała.

Przyjmuj go, jeśli musisz, Ukochana, ale go nie kochaj. Proszę, nie kochaj go.

Twój samolubny

B.

Przy ostatnich linijkach do jej oczu napłynęły łzy. „Ale go nie kochaj. Proszę, nie kochaj go”. Teraz wszystko wydawało jej się już trochę jaśniejsze: nie uroiła sobie dystansu, który wyczuwała między sobą a Laurence'em. Był to skutek jej zakochania się w kimś innym. Te listy były namiętne: ten mężczyzna otwierał

się przed nią w sposób, w jaki Laurence nigdy by nie potrafił. Gdy czytała jego słowa, czuła mrowienie skóry, jej serce galopowało. Rozpoznawała te słowa, a mimo to pozostawały wielką zagadką.

Jej umysł kipiał od pytań. Czy romans trwał długo? Niedawno? Czy spała z tym mężczyzną? Czy to dlatego kontakty z mężem tak ją paraliżowały?

I najbardziej niepojęta rzecz: kto był jej kochankiem?

Z zabójczą wnikliwością przeanalizowała trzy listy, szukając jakichś wskazówek. Nie przypominała sobie nikogo o imieniu zaczynającym się na B, z wyjątkiem Billa i księgowego Laurence'a noszącego imię Bernard. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że nigdy nie była w nim zakochana. Czy B. odwiedził ją w szpitalu w okresie, gdy nie panowała nad umysłem, gdy nie rozróżniała ludzi wokół siebie? Czy obserwował ją teraz z daleka? Czekał, aż się z nim skontaktuje? Musiał gdzieś istnieć. Miał klucz do rozwiązania wszystkich zagadek.

Dzień po dniu wyteęzała wyobraźnię, próbując odzyskać swoje dawne ja: znowu stać się kobietą skrywającą sekrety. Gdzie tamta Jennifer schowała listy? Gdzie były tropy prowadzące do jej innego, tajemnego życia? Dwa listy znalazła w książkach, trzeci starannie złożony w zwiniętej pończosze. Wszystkie były w miejscach, do których jej mężowi nie przysłoby do głowy zajrzeć. Byłam sprytna, pomyślała. A potem z lekkim zażenowaniem: byłam dwulicowa.

– Mamo – spytała pewnego razu podczas lunchu, jedząc kanapkę na najwyższym piętrze John Lewis – kto prowadził, kiedy miałam wypadek?

Matka gwałtownie podniosła głowę. W restauracji wokół nich roilo się od klientów obładowanych torbami na zakupy i ciężkimi płaszczami, atmosfera w sali była gęsta od rozmów i pobrzękiwania sztućców.

Rozejrzała się i dopiero potem odwróciła do Jennifer, jakby pytanie zadane przez córkę było wręcz wywrotowe.

– Kochanie, czy naprawdę musimy do tego wracać?

Jennifer sączyła herbatę.

– Tak mało wiem o tym, co się wydarzyło. Może byłoby mi łatwiej, gdybym zdołała połączyć ze sobą fragmenty.

– Omal nie zginęłaś. Naprawdę nie chcę o tym myśleć.

– Ale co się stało? To ja prowadziłam?

Matka wpatrywała się w talerz.

– Nie pamiętam.

– A jeśli prowadził ktoś inny, to co się z nim stało? Skoro ja byłam ranna, on pewnie też.

– Nie wiem. Skąd miałabym wiedzieć? Przecież to Laurence zajmuje się swoim personelem, prawda? Przypuszczam, że kierowca nie odniósł większych obrażeń. Gdyby wymagał leczenia, śmiem twierdzić, że Laurence by za nie zapłacił.

Jennifer pomyślała o szoferze, który wioził ich po jej wyjściu ze szpitala: o zmęczonym sześćdziesięciokilkulatku z eleganckim wąsikiem i łysiejącą głową. Nie wyglądał na kogoś, kto doświadczył poważnego urazu, ani na kogoś, kto mógłby być jej kochankiem.

Matka odsunęła od siebie niedojedzoną kanapkę.

– Dlaczego nie spytasz o to męża?

– Spytam. – Ale wiedziała, że tego nie zrobi. – On nie chce, żebym to roztrząsała.

– No cóż, kochanie, myślę, że ma całkowitą rację. Chyba powinnaś skorzystać z jego rady.

– Wiesz, dokąd jechałam?

Starsza kobieta była już nieco rozdrażniona jej pytaniami.

– Nie mam pojęcia. Pewnie na zakupy. Słuchaj, to się stało gdzieś w pobliżu Marylebone Road. Z tego, co mi wiadomo, uderzyłaś w autobus. Albo autobus uderzył w ciebie. To wszystko było takie okropne, kochana Jenny, że nie potrafiliśmy myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żebyś wydobrzała. – Jej zaciśnięte usta utworzyły wąską kreskę, sygnalizując Jennifer, że rozmowa dobiegła końca.

Jakaś kobieta w kącie sali, opatulona ciemnozielonym płaszczem, patrzyła w oczy mężczyźnie, który obrysowywał jej profil palcem. Jennifer zobaczyła, jak przygryza koniuszek jego palca. Swobodna poufałość tego gestu podziałała na Jennifer niczym lekkie porażenie prądem. Chyba nikt inny nie zauważył tej pary.

Pani Verrinder wytarła usta serwetką.

– Kochanie, właściwie jakie to ma znaczenie? Wypadki samochodowe się zdarzają. Im więcej jest samochodów, tym bardziej wydają się niebezpieczne. Wątpię, żeby połowa ludzi na drogach umiała prowadzić. Nie to co twój ojciec. Z niego był naprawdę ostrożny kierowca.

Jennifer nie słuchała.

– W każdym razie doszłaś już do siebie, prawda? Wszystko w porządku?

– Tak. – Jennifer promiennie uśmiechnęła się do matki. – W najlepszym porządku.

Gdy teraz wychodzili z Laurence'em na kolację albo na drinka, przyglądała się szerokiemu gronu znajomych w nowy sposób. Gdy jakiś mężczyzna zatrzymał na niej wzrok dłużej, niż powinien, nie potrafiła oderwać od niego oczu. Czy to on? Czy w uprzejmym pozdrowieniu krył się jakiś podtekst? Czy to był znaczący uśmiech?

Jeśli B. było pierwszą literą przezwiska, istniały trzy możliwości. Jack Amory, szef przedsiębiorstwa produkującego części zamienne do samochodów, który nie miał żony i ostentacyjnie całował ją w rękę, ilekroć się spotkali. Robiąc to jednak, prawie puszczał oko do Laurence'a, i nie potrafiła ocenić, czy to podwójny

blef.

Był też Reggie Carpenter, kuzyn Yvonne, który czasami uzupełniał komplet gości podczas kolacji. Miał ciemne włosy i zmęczone, choć wesołe oczy. Był młodszy niż nadawca listów, którego sobie wyobrażała, ale jednocześnie czarujący i zabawny, a do tego, gdy nie było Laurence'a, zawsze robił wszystko, żeby siedzieć obok niej.

Poza tym był oczywiście Bill. Bill, który opowiadał dowcipy, jakby zależało mu na rozbawieniu wyłącznie jej, który ze śmiechem deklarował, że ją uwielbia, nawet w obecności Violet. Zdecydowanie coś do niej czuł. Ale czy ona mogłaby do niego żywić jakieś uczucia?

Zaczęła przywiązywać większą wagę do swojego wyglądu. Regularnie chodziła do fryzjera, kupowała nowe sukienki, stała się bardziej rozmowna. Jak z aprobatą powiedziała Yvonne, „bardziej przypominała dawną siebie”. Po wypadku przez długie tygodnie chowała się za przyjaciółkami, ale teraz zadawała pytania, sondowała je uprzejmie, acz z pewną determinacją, szukając w zbroi szczeliny mogącej doprowadzić do jakichś odpowiedzi. Czasami wplatała w rozmowę jakieś tropy, pytając, czy ktoś miałby ochotę na whisky, a potem obserwowała twarze mężczyzn, wypatrując znajomej iskierki. Ciągłe jednak był przy niej Laurence i przypuszczała, że nawet gdyby ktoś odebrał jej sygnał, to właściwie nie mógłby na niego zareagować.

Jeśli jej mąż zauważył tę wyjątkową intensywność jej rozmów z przyjaciółmi, to nigdy o niej nie wspomniał. W ogóle niewiele się odzywał. Od tamtej nocy, kiedy się pokłócili, ani razu nie spróbował jej dotknąć. Był uprzejmy, ale zdystansowany. Pracował do późna w gabinecie i często wychodził rano, zanim się obudziła. Kilka razy, mijając pokój gościnny, zauważyła pogniecioną narzutę świadczącą o tym, że spędził w samotności kolejną noc. Niemy wyrzut. Wiedziała, że powinno ją to zasmucać bardziej, niż zasmucało, ale coraz żarliwiej pragnęła, by wolność wróciła do jej prywatnego równoległego świata, gdzie mogłaby odtwarzać swój mityczny, namiętny romans, patrzeć na siebie oczami mężczyzny, który ją uwielbiał.

Powtarzała sobie, że B. nadal gdzieś tam jest. Że czeka.

– To jest do podpisu, a na szafie z dokumentami leżą prezenty, które przyszły dziś rano. Jest skrzynka szampana od Citroëna, kosz delikatesów od producentów cementu z Peterborough i pudełko czekoladek od zespołu księgowych. Wiem, że nie lubi pan tych z nadzieniem, więc może zechciałby pan poczęstować nimi pracowników biura. Elsie Machzynski za takimi przepada.

Nawet nie podniósł głowy.

– Dobrze.

Moira zauważyła, że myśli pana Stirlinga błędzą gdzieś bardzo daleko od bożonarodzeniowych prezentów.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, ale pozwoliłam sobie zorganizować bufet na przyjęcie bożonarodzeniowe. Uznał pan, że lepiej będzie je urządzić tutaj niż w restauracji, bo przedsiębiorstwo bardzo się rozrosło, więc poprosiłam dostawców o przygotowanie niewielkiego poczęstunku.

– Dobrze. Kiedy to będzie?

– Dwudziestego trzeciego. Po pracy. To piątek przed przerwą świąteczną.

– Tak.

Dlaczego wydawał się taki zmartwiony? Taki przygnębiony? Interesy szły lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Był popyt na ich produkty. Nawet gdyby doszło do zamrożenia kredytów, jak przewidywały gazety, Acme Mineral and Mining mogło się pochwalić jednym z najsolidniejszych zestawień bilansowych w kraju. Kłopotliwe listy przestały przychodzić, a te, które dostarczono w ubiegłym miesiącu, nadal leżały, nieprzeczytane przez szefa, w górnej szufladzie jej biurka.

– Poza tym pomyślałam, że chciałby pan...

Słyszając jakiś dźwięk na zewnątrz, Laurence Stirling gwałtownie podniósł głowę, a zaskoczona Moira odwróciła się, żeby zobaczyć, co go tak zainteresowało. Wtedy ją ujrzała: szła przez biuro, włosy miała ułożone w idealne fale, a jej głowę zdobił mały czerwony toczek w dokładnie tym samym odcieniu co buty. Skąd się tu wzięła? Pani Stirling rozejrzała się, jakby kogoś szukała, a potem podszedł do niej pan Stevens z księgowości, wyciągając rękę. Uściśnęła mu dłoń i zamieniła z nim kilka słów, po chwili zaś spojrzała na drugi koniec biura, w stronę gabinetu pana Stirlinga, w którym stała Moira. Pani Stirling uniosła dłoń w powitalnym geście.

Moira dotknęła swoich włosów. Niektóre kobiety zawsze wyglądały, jakby właśnie zeszły ze stron żurnala, i Jennifer Stirling była jedną z nich. Moirze wcale to nie przeszkadzało: wołała skupiać się na pracy, na ważniejszych osiągnięciach. Gdy jednak ta kobieta weszła do gabinetu, z cerą promieniejącą od zimna na zewnątrz, z dwoma ognistymi diamentowymi kolczykami błyszczącymi w uszach, trudno było nie poczuć, że Moira w porównaniu z nią wypada trochę nijako. Żona jej szefa przypominała idealnie zapakowany prezent bożonarodzeniowy, połyskliwą błyskotkę.

– Dzień dobry, pani Stirling – powitała ją uprzejmie Moira.

– Dzień dobry – odrzekła Jennifer.

– Co za niespodzianka. – Pan Stirling wstał, żeby powitać żonę, dość niezdarnie, ale być może w głębi ducha był zadowolony. Jak nielubiany uczeń, do którego podeszła szkolna ślicznotka.

– Mam wyjść? – Moira czuła się niezręcznie, stojąc między nimi. – Chyba powinnam...

– Och, nie, na pewno nie z mojego powodu. Przyszłam tylko na chwilę. – Odwróciła się do męża. – Przejeżdżałam obok i pomyślałam, że spytam, czy późno

dzisiaj wrócisz. Jeśli tak, mogłabym wpaść do Harrisonów. Zapraszają na grzane wino.

– Hm... Tak, wybierz się do nich. Jeśli skończę wcześniej, też tam wpadnę.

– Byłoby miło – powiedziała. Leciutko pachniała Niną Ricci. Tydzień wcześniej Moira skropiła się tymi perfumami w domu towarowym D.H. Evans, ale uznała, że są trochę za drogie. Teraz żałowała, że ich nie kupiła.

– Postaram się nie zjawić zbyt późno.

Nie wyglądało na to, żeby pani Stirling spieszyło się do wyjścia. Stała przed mężem, ale wydawała się bardziej zainteresowana biurem, mężczyznami siedzącymi przy biurkach. Przyglądała się wszystkiemu z pewnym skupieniem. Jakby widziała to miejsce po raz pierwszy.

– Minęło trochę czasu, odkąd byłeś tu po raz ostatni – powiedział Laurence.

– Tak – odrzekła. – Chyba tak.

Na chwilę zapadła cisza.

– Aha – odezwała się nagle Jennifer. – Jak się nazywają twoi szoferzy?

Zmarszczył brwi.

– Moi szoferzy?

Lekko wzruszyła ramionami.

– Pomyślałam, że mogłabym ci pomóc przygotować dla nich prezenty bożonarodzeniowe.

Wydawał się kompletnie zaskoczony.

– Prezenty bożonarodzeniowe? No cóż, Eric pracuje u mnie najdłużej. Zwykle daję mu butelkę brandy. O ile się nie mylę, robię tak od dwudziestu lat. Czasami zastępuje go Simon. Jest abstynentem, więc dorzucam mu coś ekstra do wypłaty. Nie wydaje mi się, żebyś musiała zaprzętać sobie nimi głowę.

Pani Stirling wydawała się dziwnie zawiedziona.

– Cóż, w każdym razie chciałabym ci jakoś pomóc. Kupię brandy – oznajmiła w końcu, ściskając torebkę.

– To bardzo... miło z twojej strony – powiedział.

Rozejrzała się po biurze, a potem znowu spojrzała na nich.

– Jesteś pewnie okropnie zajęty. Jak wspomniałam, byłam w pobliżu, więc postanowiłam wpaść. Miło było panią zobaczyć, pani... ee... – Jej uśmiech zniknął.

Moira poczuła się urażona lekceważeniem ze strony tej kobiety. Ile razy się spotkały w ciągu ostatnich pięciu lat? A ona nawet nie zadała sobie trudu, żeby zapamiętać jej nazwisko.

– Moiro – podpowiedział pan Stirling, gdy cisza stała się krępująca.

– Tak. Moiro. Oczywiście. Miło było znowu panią zobaczyć.

– Zaraz wracam. – Pan Stirling odprowadził żonę do drzwi. Moira patrzyła, jak wymieniają jeszcze kilka uwag, a potem pani Stirling lekko machnęła dłonią

w rękawiczce i wyszła.

Sekretarka wzięła głęboki oddech, starając się tym nie przejmować. Pan Stirling stał nieruchomo, gdy jego żona opuszczała budynek.

Zanim Moira zdążyła się powstrzymać, wycofała się z gabinetu szefa i szybkim krokiem podeszła do swojego biurka. Wyjęła kluczyk z kieszeni i otworzyła zamkniętą szufladę, a potem przetrząsała jej zawartość, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Wróciła do gabinetu pana Stirlinga wcześniej niż on.

Zamknął za sobą drzwi i spojrzał przez ścianę ze szkła, jakby myślał, że żona może wrócić. Wydawał się łagodniejszy, bardziej odprężony.

– A więc – zaczął, siadając – wspominałaś o przyjęciu bożonarodzeniowym. Coś zaplanowałaś. – Po jego ustach przemknął lekki uśmiech.

Oddech uwiązał jej w gardle. Musiała przełknąć ślinę, żeby móc normalnie mówić.

– Właściwie, panie Stirling, jest jeszcze jedna sprawa.

Wyjął jakiś list, gotowy go podpisać.

– No dobrze. Co takiego?

– To przyszło dwa dni temu. – Podała mu ręcznie zaadresowaną kopertę. – Na skrytkę pocztową, o której pan kiedyś wspomniał. – Milczał, więc dodała: – Miałam ją na oku, tak jak pan prosił.

Wpatrywał się w kopertę, a potem spojrzał na nią i tak gwałtownie zbladł, że wystraszyła się, że zaraz zemdleje.

– Jesteś pewna? To niemożliwe.

– Ale...

– Musiałaś pomylić numer.

– Zapewniam pana, że wyjęłam to z właściwej skrytki. Numer trzymaście. Podałam się za panią Stirling, tak jak pan... sugerował.

Rozdarł kopertę, a potem pochylił się nad biurkiem i przeczytał kilka linijek. Moira stała na drugim końcu gabinetu, żeby nie sprawiać wrażenia ciekawskiej, świadoma, że atmosfera w pomieszczeniu zgęstniała. Już bała się tego, co zrobiła.

Gdy podniósł głowę, wyglądał, jakby postarzał się o kilka lat. Chrząknął, a potem jedną ręką zmiął kartkę i z pewną siłą wyrzucił ją do kosza pod biurkiem. Wyglądał na wściekłego.

– Widocznie zabłądził gdzieś w systemie pocztowym. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Rozumiesz?

Zrobiła krok do tyłu.

– Tak, panie Stirling. Oczywiście.

– Zamknij skrytkę pocztową.

– Teraz? Nie zdążyłam jeszcze skończyć sprawozdania z kontroli...

– Dziś po południu. Zrób to, co konieczne. Po prostu ją zamknij. Zrozumiałaś?

– Tak, proszę pana. – Wsadziła teczkę pod pachę i wyszła z jego gabinetu. Wzięła torebkę i płaszcz i przygotowała się do wizyty na poczcie.

Jennifer zamierzała wrócić do domu. Była zmęczona, jej wyprawa do biura męża okazała się bezowocna i zaczął padać deszcz, skłaniając pieszych, by pędzili po chodniku z postawionymi kołnierzami i spuszczoneymi głowami. Stojąc jednak na schodach budynku, w którym pracował jej mąż, poczuła, że nie może wrócić do pogrążonego w ciszy domu.

Zeszła z chodnika i zaczęła zatrzymywać taksówki, machając dopóty, dopóki jedna z nich nie skręciła w jej stronę. Wsiadła, strzepując z płaszcza kropelki deszczu.

– Zna pan lokal o nazwie Alberto's? – spytała, gdy kierowca przechylił się w stronę dzielącej ich szyby.

– W której części Londynu? – spytał.

– Przykro mi, nie mam pojęcia. Myślałam, że może pan wie.

Zmarszczył brwi.

– Jest klub Alberto's w Mayfair. Mogę panią tam zawieźć, ale nie jestem pewny, czy będzie otwarty.

– Dobrze – powiedziała i usiadła wygodniej.

Dotarcie do klubu zajęło tylko piętnaście minut. Taksówka się zatrzymała i kierowca wskazał drugą stronę ulicy.

– To jedyny lokal o nazwie Alberto's, jaki znam – powiedział. – Nie jestem pewny, czy się pani spodoba.

Przetarła szybę rękawem i wyjrzała. Wejście do piwnicy otaczały metalowe barierki, schody znikwały poza polem widzenia. Na zniszczonym szyldzie widniała nazwa, a w olbrzymich donicach po obu stronach drzwi stały dwa wymęczone cisy.

– To tu?

– Myśli pani, że chodziło o to miejsce?

Zdobyła się na uśmiech.

– No cóż, zaraz się przekonam.

Zapłaciła mu i w lekkim deszczu stała na chodniku. Drzwi były uchylone, podparte kubłem na śmieci. Gdy weszła, uderzyła ją woń alkoholu, stęchłego dymu tytoniowego, potu i perfum. Zaczekała, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Szatnia po jej lewej stronie była pusta i nikt jej nie pilnował, na kontuarze stała butelka po piwie, a obok leżał pęk kluczy. Przeszła wąskim korytarzem, otworzyła dwuskrzydłowe drzwi i znalazła się w wielkiej pustej sali, w której zawieszono krzesła na okrągłych stolikach przed niewielką sceną. Między nimi lawirowała stara kobieta ciągnąca odkurzacz i mamrocząca coś pod nosem z wyraźnym niezadowoleniem. Pod jedną ze ścian urządzone bar. Stała za nim druga kobieta, która paliła papierosa i rozmawiała z mężczyzną układającym butelki na podświetlonych półkach.

– Zaczekaj – powiedziała do niego, zauważając Jennifer. – Czym mogę służyć, kochana?

Jennifer poczuła na sobie taksujące spojrzenie kobiety. Było nie do końca przyjazne.

– Już otwarte?

– A wygląda na otwarte?

Przycisnęła torebkę do brzucha, czując nagłą niepewność.

– Przepraszam. Przyjdę kiedy indziej.

– Kogo pani szuka? – spytał mężczyzna, prostując się. Miał ciemne, gładko zaczesane do tyłu włosy i bladą, opuchniętą twarz świadczącą o nadmiarze spożywanego alkoholu i niedoborze świeżego powietrza.

Wpatrywała się w niego, próbując ocenić, czy to, co czuje, to przebłysk pamięci.

– Czy my się... Widział mnie pan już tutaj? – spytała.

Wydawał się lekko rozbawiony.

– Jeśli mówi pani, że nie, to nie widziałem.

Kobieta przechyliła głowę.

– Mamy tu bardzo kiepską pamięć do twarzy.

Jennifer zrobiła kilka kroków w stronę baru.

– Znają państwo człowieka o imieniu Felipe?

– Co pani za jedna? – spytała ostro kobieta.

– Ja... to nieistotne.

– Po co pani Felipe?

Ich twarze stężały.

– Mamy wspólnego przyjaciela – wyjaśniła.

– W takim razie ten przyjaciel powinien być pani powiedzieć, że Felipe raczej trudno będzie teraz znaleźć.

Przygryzła wargę, zastanawiając się, ile może im wyjawić.

– Dawno tego kogoś nie...

– On nie żyje, proszę pani.

– Co?

– Felipe. Nie żyje. Lokal zmienił właściciela. Przychodzą tu różne typy i mówią, że był im coś winien, więc równie dobrze mogę pani od razu powiedzieć, że nic pani ode mnie nie dostanie.

– Nie przyszłam po...

– Jeśli nie może pani pokazać podpisu Felipe na wekslu, nic pani nie wskóra. – Kobieta zaczęła się przyglądać jej ubraniu i biżuterii z takim uśmiechem, jakby już się domyśliła, po co przyszła Jennifer. – Jego majątek, a raczej to, co z niego zostało, przejmie rodzina. Czyli między innymi żona – dodała złośliwie.

– Osobiście nie miałam z panem Felipe nic wspólnego. Przykro mi z powodu państwa straty – powiedziała półgębkiem Jennifer. Najszybciej, jak mogła, wyszła z klubu i wspięła się po schodach z powrotem ku szaremu światłu dnia.

Moira przetrząsała pudła ze świątecznymi dekoracjami, aż w końcu znalazła to, czego szukała, a potem posortowała i wyłożyła całą zawartość. Dwie lamety zawiesiła nad drzwiami. Prawie pół godziny siedziała przy biurku i naprawiała papierowe łańcuchy, które rozpadły się w ciągu roku, a potem przymocowała je nad biurkami jak girlandy. Do ściany przyczepiła kilka sznurków, na których zawiesiła bożonarodzeniowe kartki nadesłane przez kontrahentów. Nad lampami udrapowała połyskujące paski folii, starając się, by nie wisały zbyt blisko żarówek i nie stwarzały zagrożenia pożarowego.

Za oknem zrobiło się ciemniej, na całej ulicy rozbłyskiwały lampy sodowe. Powoli, w bardzo podobnej kolejności jak zwykle, pracownicy londyńskiego biura Acme Mineral and Mining opuszczali budynek. Najpierw Phyllis i Elsie, maszynistki, które zawsze wychodziły punktualnie o piątej, mimo że nie wykazywały tak rygorystycznej punktualności, przychodząc do pracy. Potem David Moreton z księgowości, a tuż po nim Stevens, który przed powrotem do domu zatrzymywał się w pubie na rogu, by wzmocnić się kilkoma szklaneczkami whisky. Reszta wychodziła w grupkach, owijając się szalikami i płaszczami. Mężczyźni zdejmowali je z wieszaków w kącie. Niektórzy machali jej na pożegnanie, mijając gabinet pana Stirlinga. Felicity Harewood, zajmująca się wypłatą pensji, mieszkała zaledwie jeden przystanek od Moiry przy Streatham, ale ani razu nie zaproponowała, żeby pojechały tym samym autobusem. W maju, gdy Felicity się u nich zatrudniła, Moira pomyślała, że byłoby całkiem miło mieć z kim porozmawiać w drodze do domu, wymienić się przepisami albo paroma uwagami na temat wydarzeń dnia w zadymionym budynku 274. Co wieczór Felicity wychodziła jednak, nawet nie patrząc w jej stronę. Raz, gdy znalazły się w tym samym autobusie, przez większość drogi siedziała z nosem w książce, ale Moira była niemal pewna, że tamta wie, iż dzielą je zaledwie dwa miejsca.

Pan Stirling wyszedł za kwadrans siódma. Przez większość popołudnia był rozkojarzony i zniecierpliwiony. Zadzwoił do menedżera fabryki, żeby zrugać go za nieobecności robotników spowodowane chorobą, i odwołał spotkanie zaplanowane na czwartą. Gdy wróciła z poczty, spojrzał na nią, jakby chciał się upewnić, czy zrobiła to, o co prosił, a następnie wrócił do pracy.

Moira przesunęła dwa wolne biurka w kąt pomieszczenia obok księgowości. Nakryła je świątecznymi obrusami i przypięła w rogach kawałki lamety. Za dziesięć dni miał tam stanąć bufet. Tymczasem można było tam kłaść prezenty od dostawców i umieścić bożonarodzeniową skrzynkę pocztową, przez którą pracownicy mieli sobie przysyłać świąteczne życzenia.

Skończyła tuż przed ósmą. Moira przyjrzała się pustemu biurku,

błyszczącemu i odświeżonemu dzięki jej staraniom, przyglądała spódnicę i wyobraziła sobie zadowolone miny kolegów, którzy rano zjawiają się w pracy.

Wiedziała, że nikt jej za to nie zapłaci, ale to właśnie te drobne gesty dawały jej najwięcej satysfakcji. Pozostałe sekretarki nie miały pojęcia, że praca osobistej asystentki to nie tylko pisanie prywatnej korespondencji i dbanie o porządek w papierach. Była to rola znacznie ważniejsza. Należało zadbać nie tylko o to, by praca w biurze przebiegała gładko, lecz także by zatrudnieni w nim ludzie czuli się częścią... no cóż, rodziny. Bożonarodzeniowa skrzynka na listy i wesołe dekoracje były tym, co ostatecznie spajało biuro w całość i czyniło z niego miejsce, do którego chętnie się przychodzi.

Mała choinka, którą ustawiła w kącie, dobrze się tam prezentowała. Nie było sensu ubierać jej w domu, gdzie nie patrzyłby już na nią nikt oprócz Moiry. Tutaj mogło ją podziwiać mnóstwo ludzi. A jeśli ktoś przypadkiem zauważy ślicznego aniołka na czubku albo uroczę świcidelka z oszronionymi kryształami, będzie mogła powiedzieć – jak gdyby nigdy nic, jakby przypomniawszy sobie o tym przypadku – że były to ulubione ozdoby choinkowe jej matki.

Moira włożyła płaszcz. Pozbierała swoje rzeczy, zawiązała szalik i starannie ułożyła pióro i ołówek na biurku, aby rano były gotowe. Z kluczami w ręce weszła do gabinetu pana Stirlinga, żeby zamknąć drzwi, a potem spojrzała na nie, szybkim krokiem weszła głębiej i sięgnęła po kosz stojący pod biurkiem.

Znalezienie napisanego odręcznie listu zajęło jej tylko chwilę. Prawie się nie wahała, wyjmując go stamtąd, a potem, jeszcze raz spojrzawszy przez szybę, żeby sprawdzić, czy nadal jest sama, rozprostowała kartkę na biurku i zaczęła czytać.

Zastygła w bezruchu.

A potem przeczytała jeszcze raz.

Zegar na zewnątrz wybił ósmą. Zaskoczona tym dźwiękiem, Moira wyszła z gabinetu pana Stirlinga, postawiła jego kosz przed drzwiami, żeby sprzątaczkę mogły go opróżnić, a potem przekręciła klucz w zamku. Położyła list na dnie szuflady swojego biurka, zamknęła ją i wrzuciła klucz do kieszeni.

Tym razem podróż autobusem do Streatham upłynęła jej w okamgnieniu. Moira Parker miała wiele do przemyślenia.

Doceniam to, co powiedziałaś. Mam jednak nadzieję, że gdy będziesz to czytała, uświadomisz sobie wielkoduszność [sic!] moich wyrzutów sumienia i żalu spowodowanego zarówno tym, jak Cię potraktowałem, jak i drogą, którą postanowiłem wybrać [...]. Mój związek z M. jest skazany na porażkę i zawsze taki był. Żałuję, że musiały upłynąć trzy lata, zanim zdałem sobie sprawę, że to, co zaczęło się jako wakacyjny romans, powinno być nim pozostać.

Z listu mężczyzny do kobiety

Spotykali się codziennie i siedzieli przed skąpanymi w słońcu kafejkami albo wyruszali jej małym daimlerem na spalone wzgórza, by jadać w miejscach wybieranych przypadkowo i bez wcześniejszego planu. Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie w Hampshire i Eaton Place, o kucykach, szkole z internatem, wąskim, wygodnym świecie, który tworzył jej rzeczywistość przed małżeństwem. Powiedziała mu, że już w wieku dwunastu lat się w nim dusiła, wiedząc, że będzie potrzebować szerszych ram, i że nigdy nie przypuszczała, iż przepastne połączenie Riwiery mogą oferować równie wąskie i inwigilowane grono towarzyskie, jak to, z którego się wywodziła.

Opowiedziała mu o chłopcu z wioski, w którym się zakochała, mając piętnaście lat, i o tym, jak jej ojciec, dowiedziawszy się o tym związku, zaprowadził ją do budynku gospodarczego i zlał szelkami.

– Za to, że się zakochałaś? – Opowiedziała tę historię lekkim tonem, a on starał się nie okazywać, jak bardzo nim to wstrząsnęło.

– Za to, że zakochałam się w niewłaściwym chłopcu. Och, zdaje się, że byłam trochę niesforna. Mówili, że przyniosłam hańbę całej rodzinie. Że brakuje mi moralnego kompasu, że jeśli nie będę się miała na baczności, żaden porządny mężczyzna nie zechce wziąć mnie za żonę. – Roześmiała się smutno. – Oczywiście to, że ojciec od lat miał kochankę, to była zupełnie inna sprawa.

– A potem pojawił się Laurence.

Uśmiechnęła się chytrze.

– Tak. Prawda, że mi się poszczęściło?

Mówił do niej tak, jak ludzie opowiadający skrywane przez całe życie tajemnice współpasażerom w pociągach: z niczym nieobarczoną poufałością opartą na obopólnym przekonaniu, że najprawdopodobniej nigdy więcej się nie spotkają. Opowiedział jej o trzyletnim przydziale w Afryce Środkowej, gdzie pracował jako stały korespondent „Nation”, o tym, jak początkowo z radością skorzystał z szansy ucieczki od nieudanego małżeństwa, ale nie zaopatrzył się w zbroję, która uchroniłaby go przed okropnościami, jakie tam zobaczył: droga Konga do niepodległości oznaczała śmierć tysięcy ludzi. Każdy wieczór spędzał w Klubie Zagranicznych Korespondentów w Léopoldville, znieczulając się za pomocą whisky albo, co gorsza, wina palmowego, aż w końcu horror tego, co widział, połączony z atakiem żółtej febry o mało go nie zabił.

– Miałem coś w rodzaju załamania – powiedział, siląc się na lekki ton – choć nikt nie był na tyle nieuprzejmy, by nazwać to w ten sposób. Zrzucili winę na żółtą febrę i robią wszystko, żebym więcej tam nie pojechał.

– Biedny Boot.

– Tak. Biedy ja. Zwłaszcza że moja była żona zyskała kolejny powód, żeby

zabronić mi kontaktów z synem.

– A ja myślałam, że chodzi o zwyczajną seryjną niewierność. – Nakryła jego dłoń swoją. – Przepraszam. Drocę się z tobą. Nie chcę, żeby brzmiało to banalnie.

– Nudzę cię?

– Przeciwnie. Nieczęsto spędzam czas z mężczyzną, który naprawdę chce ze mną rozmawiać.

Nie pił przy niej alkoholu i wcale mu go nie brakowało. Wyzwanie, jakie stanowiła, było adekwatnym substytutem alkoholu, a poza tym, będąc z nią, lubił panować nad tym, kim jest. Po ostatnich miesiącach w Afryce, bojąc się tego, co mógłby wyjawic, jakie słabości mógłby odsłonić, mówił niewiele, ale teraz poczuł, że chce się otworzyć. Lubił, jak na niego patrzyła, kiedy to robił – jakby nic, co mógł powiedzieć, nie było w stanie zmienić jej fundamentalnej opinii na jego temat, jakby nic, co wyjawiał, nie miało zostać później wykorzystane przeciwko niemu.

– Co się dzieje z byłymi korespondentami wojennymi, kiedy kłopoty zaczynają ich męczyć? – spytała.

– Zsyła się ich w ciemne zakamarki newsroomu i zanudzają wszystkich opowieściami o dniach swojej chwały – powiedział. – Albo zostają w terenie i giną.

– Do której grupy się zaliczasz?

– Nie wiem. – Spojrzał na nią. – Mnie kłopoty jeszcze nie męczą.

Z łatwością wtopił się w łagodne rytmy Riwiery: długie lunche, czas spędzany na świeżym powietrzu, niekończące się pogawędki z ludźmi, których znał zaledwie przelotnie. Polubił długie spacerowanie wczesnym rankiem – w porze, kiedy dawniej był martwy dla świata – rozkoszował się morską powiewem, przyjaznymi pozdrowieniami wymienianymi przez ludzi, którzy nie byli rozdrażnieni z powodu kaca i braku snu. Od lat nie czuł się tak swobodnie. Zbyszał telegramy Dona grożącego, że wyciągnie poważne konsekwencje, jeśli Anthony wkrótce nie przyśle jakiegoś dobrego materiału.

– Nie spodobała ci się sylwetka? – spytał.

– Tekst był w porządku, ale daliśmy go w dziale finansowym w zeszły wtorek i księgowość dopytuje, dlaczego cztery dni po jego napisaniu nadal generujesz koszty.

Zabrała go do Monte Carlo, lawirując samochodem na oszałamiających zakrętach górskich dróg, a on patrzył na jej szczupłe, silne ręce na kierownicy i wyobrażał sobie, jak po kolei i w nabożnym skupieniu wkłada sobie jej palce do ust. Zabrała go do kasyna i dzięki niej poczuł się jak bóg, gdy przemienił swoje kilka funtów w okazałą wygraną w ruletkę. Jadła małże w kawiarni nad brzegiem morza, wyjmując je z muszli delikatnie, lecz bezlitośnie, a jemu odjęło mowę. Przeniknęła do jego świadomości tak zupełnie, wchłaniając wszelką jasną myśl, że nie tylko nie potrafił się skupić na niczym innym, lecz także wszystko inne

przestało go interesować. W godzinach samotności jego umysł błądził po milionie możliwych scenariuszy, a on zastanawiał się ze zdumieniem, ile czasu minęło, odkąd był tak zaabsorbowany kobietą.

Wszystko dlatego, że była taka niezwykła, naprawdę nieosiągalna. Powinien był dać za wygraną wiele dni temu. Jego puls przyspieszał jednak, gdy wsuwano mu pod drzwi kolejny liścik z zapytaniem, czy nie zechciałby wybrać się z nią na drinka do Piazzzy albo może na krótką przejażdżkę do Menton.

Co złego mogło z tego wyniknąć? Skończył trzydzieści lat i nie pamiętał, kiedy po raz ostatni tyle się śmiał. Dlaczego miałby nie doświadczyć przez chwilę tego rodzaju radości, którą inni traktowali jak coś oczywistego? To wszystko było tak dalekie od jego codziennego życia, że wydawało się nierzeczywiste.

W piątek wieczorem dostał telegram oznajmiający mu to, czego spodziewał się od wielu dni: zarezerwowano mu bilet powrotny na sobotni pociąg i w poniedziałek rano był oczekiwany w redakcji „Nation”. Czytając to, poczuł rodzaj ulgi: ta sprawa z Jennifer Stirling dziwnie go dezorientowała. Normalnie nigdy nie poświęciłby tyle czasu i energii kobiecie, nie mając gwarancji namiętności. Myśl, że więcej jej nie zobaczy, była przygnębiająca, ale w głębi serca miał ochotę wrócić do dawnych zwyczajów, ponownie odkryć osobę, którą był.

Zdjął walizkę z wieszaka i położył ją na łóżku. Postanowił, że się spakuje, a potem prześle Jennifer liścik z podziękowaniem za czas, który wspólnie spędzili, i z propozycją, by zadzwoniła, gdyby kiedykolwiek miała ochotę zjeść z nim lunch w Londynie. Może gdyby zechciała się z nim skontaktować w stolicy, z dala od magii Riwiery, upodobniłaby się do całej reszty: do przyjemnego fizycznego urozmaicenia.

Gdy włożył buty do pudełka, zadzwonił recepcjonista: na dole czekała na niego jakaś kobieta.

– Blondynka?

– Tak, proszę pana.

– Mógłby ją pan poprosić do telefonu?

Usłyszał krótką eksplozję francuskiego, a potem jej głos, trochę zaspany, niepewny.

– Mówi Jennifer. Zastanawiałam się... czy moglibyśmy wyskoczyć na drinka.

– Z radością, ale musiałbym się ogarnąć. Wejdiesz na górę i zaczekasz?

Pospiesznie zrobił porządek w pokoju, posyłając porozrzucane rzeczy kopniakiem pod łóżko. Wkręcił kartkę do maszyny do pisania, jakby właśnie pracował nad artykułem, który przesłał godzinę temu. Włożył czystą koszulę, ale nie zdążył jej zapiąć. Słyszając ciche pukanie, otworzył drzwi.

– Co za urocza niespodzianka – powiedział. – Właśnie kończyłem pracę, ale

proszę, wejdz.

Stała skrzepowana w korytarzu. Na widok jego nagiego torsu odwróciła wzrok.

– Może wolałbyś, żebym zaczekała na dole?

– Nie. Proszę. To zajmie tylko chwilę.

Weszła i stanęła na środku pokoju. Miała na sobie jasnozłotą sukienkę bez rękawów ze stójką. Jej ramiona lekko się zaróżowiły w miejscu, gdzie musnęło je słońce, kiedy jechała samochodem. Rozpuszczone włosy były trochę zwichrzone, jakby jechała w pośpiechu.

Omiotła spojrzeniem usłane notesami łóżko i nie do końca spakowaną walizkę. Ta bliskość sprawiła, że na chwilę zamilkli. Ona pierwsza doszła do siebie.

– Nie zaproponujesz mi drinka?

– Wybacz. To nietakt z mojej strony. – Zadzwoił do recepcji po dzin z tonikiem, który dostarczono kilka minut później. – Dokąd jedziemy?

– Dokąd jedziemy?

– Zdążę się ogolić? – Wszedł do łazienki.

– Oczywiście. Śmiało.

Potem pomyślał, że zrobił to celowo, zmusił ją do bycia świadkiem tej intymnej czynności. Wyglądał lepiej: jego skóra straciła żółtawą bladość chorego człowieka, wygładziły się zmarszczki wokół oczu powstałe wskutek napięcia. Puścił ciepłą wodę i obserwował Jennifer w lusterku, pokrywając brodę pianą.

Była rozkojarzona, zmartwiona. Gdy ostrze sunęło po jego skórze, widział, jak krąży niczym niespokojne zwierzę.

– Wszystko w porządku? – zawołał, opłukując ostrze pod strumieniem wody.

– Tak. – Zdążyła już wypić połowę dzinu z tonikiem i nalała sobie następną porcję.

Skończył się golić, wytarł twarz ręcznikiem, spryskał ją odrobiną płynu po goleniu kupionego w *pharmacie*. Płyn miał ostry zapach z nutami cytrusów i rozmarynu. Anthony zapiął koszulę i poprawił kołnierzyk przed lusterkiem. Uwielbiał tę chwilę, spotkanie apetytu i możliwości. Czuł się dziwnie zwycięsko. Wyszedł z łazienki i zastał ją przy balkonie. Niebo ciemniało, światła na brzegu morza połyskiwały w zapadającym zmierzchu. W jednej ręce trzymała drinka, druga w lekko obronnym geście spoczywała na talii. Podeszedł do niej.

– Zapomniałem powiedzieć, że uroczo wyglądasz – zaczął. – Podobasz mi się w tym kolorze. Jest...

– Jutro wraca Larry.

Odsunęła się od balkonu i spojrzała mu w twarz.

– Dzwonił dziś po południu. We wtorek lecimy do Londynu.

– Rozumiem – powiedział. Miała na ramieniu maleńkie jasne włoski.

Morska bryza unosiła je i kładła z powrotem.

Gdy podniósł wzrok, ich spojrzenia się spotkały.

– Nie jestem nieszczęśliwa – powiedziała.

– Wiem.

Przyglądała mu się, jej urocze usta były poważne. Przygryzła wargę, a potem odwróciła się do niego plecami. Stała zupełnie nieruchomo.

– Górny guzik – powiedziała.

– Słucham?

– Sama go nie rozepnę.

Coś w nim rozbłysło. Poczuł niemal ulgę, że to się stanie, że kobieta, o której śnił, którą nocą wyczarowywał w swoim łóżku, wreszcie będzie jego. Jej dystans, jej opór prawie go obezwładniały. Pragnął wybawienia, które przychodzi wraz z wytryskiem, chciał poczuć wyczerpanie, ból towarzyszący ukojeniu wiecznie niezaspokojonej żądz.

Wziął od niej drinka, a jej dłoń podążyła ku włosom, by unieść je nad karkiem. Wypełnił milczące polecenie i zbliżył ręce do jej skóry. Zwykle był bardzo pewny siebie, ale tym razem jego palce poruszały się niezgrabnie, były grube i niezdarne. Obserwował je jakby z daleka, siłując się z obciążonym jedwabiem guzikiem, i kiedy go odpiął, zauważył, że drżą mu ręce. Zastygł i spojrzał na jej kark: był już obnażony i lekko pochylał się do przodu, jakby błagalnie. Miał ochotę przyłożyć do niego usta, już czuł smak tej bladej, lekko piegowatej skóry. Jego kciuk spoczywał tam czule, rozkoszując się wizją tego, co go czeka. Lekko westchnęła, reagując na jego dotyk, tak subtelnie, że bardziej to poczuł, niż usłyszał. I wtedy coś w nim zamarło.

Wpatrywał się w miejsce, w którym jej złote włosy spotykały się ze skórą, w szczupłe palce, które nadal je podtrzymywały. I z przerażającą pewnością zrozumiał, co się stanie.

Anthony O'Hare bardzo mocno zamknął oczy, a potem wyjątkowo wolno zapiął guzik z powrotem. Zrobił mały krok do tyłu.

Zawahała się, jakby próbowała pojąć, co zrobił, być może odnotowując brak jego dotyku.

Potem odwróciła się z ręką na karku, ustalając, co się stało. Spojrzała na niego, a jej twarz, początkowo zdumiona, oblała się rumieńcem.

– Przepraszam – zaczął – ale ja... nie mogę.

– Och... – Wzdrygnęła się. Jej dłoń pobiegła do ust i rumieniec rozlał się na szyję. – O Boże.

– Nie. Jennifer, nie rozumiesz. Tu nie chodzi o...

Przecisnęła się obok niego, łapiąc po drodze torebkę. A potem, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, już szamotała się z klamką i biegła korytarzem.

– Jennifer! – zawołał. – Jennifer! Pozwól mi wyjaśnić!

Zanim jednak dotarł do drzwi, jej już nie było.

Francuski pociąg brnął przez spaloną słońcem wieś ku Lyonowi, jakby postanowił dać Anthony'emu zbyt dużo czasu na rozmyślanie o tym, co zrobił źle, i o wszystkim, czego nie mógł zmienić, nawet gdyby chciał. Kilka razy w ciągu godziny myślał o tym, żeby zamówić dużą whisky w wagonie restauracyjnym. Patrzył, jak stewardzi poruszają się zwinnie po wagonie, nosząc kieliszki na srebrnych tacach w baletowym układzie pochylania się i kroczenia, i wiedział, że wystarczyłoby unieść palec, by zapewnić sobie pocieszenie. Później nie miał pojęcia, co go powstrzymało.

Wieczorem położył się na pościeli wysuniętej przez stewarda z pogardliwą zrećnością. Gdy pociąg z kłopotem jechał przez ciemność, włączył lampkę przy stoliku i wyjął z hotelu książkę w miękkiej okładce zostawioną przez innego podróżnika. Kilka razy przeczytał tę samą stronę, niczego nie przyswajając, i ostatecznie z niesmakiem odrzucił książkę na bok. Miał francuską gazetę, ale brakowało miejsca, żeby ją porządnie rozłożyć, a czcionka była za mała do czytania w słabym świetle. Przysnął, obudził się, a gdy znalazł się bliżej Anglii, przyszłość zawisła nad nim niczym wielka czarna chmura.

Wreszcie o brzasku znalazł długopis i kartkę. Nigdy nie pisał listu do kobiety, jeśli pominąć krótkie kartki z podziękowaniem wysyłane matce w zamian za różne drobne prezenty, listy do Clarissy dotyczące spraw finansowych oraz związane przeprosiny skierowane do Jennifer po wieczorze, kiedy się poznali. Teraz, zżerany przez dotkliwą melancholię, nękany zawstydzonym spojrzeniem Jennifer, wyzwolony myślą, że może jej już nigdy nie zobaczyć, zaczął pisać zupełnie spontanicznie, pragnąc się jedynie wytłumaczyć.

Najdroższa,

nie chciałaś mnie słuchać, gdy wychodziłaś w tak wielkim pośpiechu, ale wcale Cię nie odtrąciłem. Byłaś tak daleka od prawdy, że z trudem mogę to znieść.

Oto prawda: nie byłabyś pierwszą żoną, z którą się kochałem. Znasz moją sytuację osobistą i szczerze mówiąc, te związki, jakiegokolwiek były, całkiem mi odpowiadały. Nie chciałem się angażować. Kiedy się poznaliśmy, wołałem myśleć, że z Tobą będzie podobnie [...]

Właśnie z tego powodu, Kochana, zapiąłem z powrotem ten przeklęty guzik. I dlatego od dwóch nocy nie mogę spać, nienawidząc siebie za jedyną przyzwoitą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Wybacz mi.

B.

Starannie wsunął kartkę do kieszeni na piersi, a potem w końcu zasnął.

Don zgasił papierosa i uważnie przeglądał zapisaną na maszynie kartkę,

a młody skrępowany mężczyzna stojący obok jego biurka przestępował z nogi na nogę.

– Nie potrafisz napisać „bigamia”. Tam jest „i”, nie „j”. – Agresywnie przekreślił ołówkiem trzy linijki tekstu. – To wprowadzenie jest okropne. Masz faceta, który ożenił się z trzema kobietami o imieniu Hilda mieszkającymi w promieniu pięciu kilometrów od siebie. Wymarzona historia. A opisałeś ją tak, że wolałbym czytać fragment *Hansarda* poświęcony miejskiemu systemowi kanalizacji.

– Przepraszam, panie Franklin.

– Walić przeprosiny. Popraw to. Mieliśmy to dać w następnym numerze, a jest już za dwadzieścia czwarta. Co się z tobą dzieje, do cholery? „Bigamja”! Idź na lekcję do O’Hare’a. Spędza w Afryce tyle czasu, że i tak nie możemy stwierdzić, czy robi pieprzone błędy czy nie. – Rzucił kartkę młodemu człowiekowi, który pochwyił ją niezdarne i szybkim krokiem wyszedł z biura.

– No – cmoknął z niezadowoleniem Don. – To gdzie jest ten cholerny artykuł? *Sekrety sławnych i bogatych z Riwiery*?

– Pisz się – skłamał Anthony.

– Lepiej, żeby pisał się szybko. Zarezerwowałem na niego pół strony w sobotnim numerze. Dobrze się bawiłeś?

– Nieźle.

Don przechylił głowę.

– Tak. Na to wygląda. No. W każdym razie mam dobre wieści.

Okna w jego biurze były tak pokryte nikotyną, że każdy, kto je niechący musnął, brudził sobie rękaw na żółto. Anthony patrzył przez tę złotą zasłonę na newsroom. Od dwóch dni chodził z listem w kieszeni, szukając sposobu, żeby go jej przekazać. Ciągle widział jej twarz, falę przerażenia, gdy zdała sobie sprawę z tego, co uznała za swoją pomyłkę.

– Tony?

– Słucham.

– Mam dla ciebie wiadomość.

– A tak. Racja.

– Rozmawiałem z sekcją informacji zagranicznych. Chcą kogoś wysłać do Bagdadu. Żeby przyjrzał się temu facetowi z polskiej ambasady, który podaje się za jakiegoś superszpiega. Wielka sprawa, synu. Akurat na twoim podwórku. Będziesz mógł na parę tygodni wyrwać się z redakcji.

– Teraz nie dam rady.

– Potrzebujesz kilku dni?

– Muszę rozwiązać pewne sprawy osobiste.

– Mam powiedzieć Algierczykom, żeby wstrzymali się z zawieszeniem broni? W razie gdyby to kolidowało z twoimi prywatnymi planami? Jaja sobie

robisz, O'Hare?

– W takim razie wyślij kogoś innego. Przykro mi, Don.

Metronomiczne pstrykanie długopisu Dona stawało się coraz bardziej nierówne.

– Nie rozumiem. Cały czas przesiadujesz w redakcji, psiocząc, że powinieneś zbierać „prawdziwe” wiadomości w terenie, więc daję ci temat, za który Peterson odgryzłby sobie prawą rękę, a ty nagle wolisz siedzieć za biurkiem.

– Jak już powiedziałem, przykro mi.

Don rozdziawił usta. Zamknął je, ciężko wstał, przeszedł przez swoje biuro i zamknął drzwi. Potem wrócił na miejsce.

– Tony, to dobry temat. Powinieneś skakać z radości. Więcej, ty potrzebujesz tego tematu. Musisz im pokazać, że mogą na tobie polegać. – Wpatrywał się w niego. – Straciłeś apetyt? Chcesz mi powiedzieć, że wolisz się zajmować miękkimi tematami?

– Nie. Po prostu... Daj mi parę dni.

Don rozparł się w fotelu, zapalił papierosa i hałaśliwie wciągnął powietrze.

– Dobry Boże – powiedział. – Chodzi o kobietę.

Anthony milczał.

– Tak. Poznałeś jakąś kobietę. W czym problem? Nie możesz nigdzie wyjechać, dopóki jej nie przelecisz?

– Jest mężatką.

– A od kiedy ci to przeszkadza?

– To... jego żona. Żona Stirlinga.

– No i?

– I jest zbyt dobra.

– Dla niego? Nie mów.

– Dla mnie. Nie wiem, co robić.

Don wznosił oczy do nieba.

– Sumienie się odezwało, co? Zastanawiałem się, dlaczego tak paskudnie wyglądasz. – Pokręcił głową. Mówił, jakby w małym biurze był ktoś jeszcze. – Nie wierzę. Kto jak kto, ale O'Hare? – Pulchną ręką odłożył długopis na biurko. – W porządku. Oto plan. Spotkaj się z nią, zrób, co masz zrobić, i zapomnij o tym. Później wejdź na pokład samolotu, który odlataje jutro koło południa. Powiem w sekcji informacji zagranicznych, że poleciałeś dziś wieczorem. Pasuje ci to? Tylko napisz mi cholernie dobre artykuły.

– „Zapomnij o tym”? Ale z ciebie romantyk.

– Potrafisz to ładniej ująć?

Anthony dotknął listu w swojej kieszeni.

– Mam u ciebie dług wdzięczności – powiedział.

– Masz u mnie osiemdziesiąt trzy długie wdzięczności – mruknął Don.

Znalezienie adresu Stirlinga nie było trudne. Anthony przejrzał redakcyjny egzemplarz „Who’s Who” i zobaczył go na dole jego biogramu, pod „ż: Jennifer Louisa Verrinder, ur. 1934”. Tego wieczoru po pracy pojechał do Fitzrovii i zaparkował w miejscu oddalonym o kilka budynków od białego domu zdobionego sztukaterią.

Regencyjna willa w stylu Nasha z kolumnami po obu stronach frontowej werandy przywodziła na myśl drogi gabinet lekarza specjalisty przy Harley Street. Siedział w samochodzie i zastanawiał się, co ona robi za tymi firankami. Wyobraził sobie, jak czyta jakiś magazyn i być może patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem, myśląc o straconej chwili w pokoju hotelowym we Francji. Koło wpół do siódmej z domu wyszła kobieta w średnim wieku, opatulając się płaszczem i spoglądając w górę, jakby sprawdzała, czy nie zanosi się na deszcz. Zawiązała na włosach wodoodporną chustkę i szybkim krokiem ruszyła ulicą. Jakaś niewidzialna ręka zaciągnęła zasłony i parny wieczór ustąpił miejsca nocy, ale on dalej siedział w hillmanie, gapiąc się na dom z numerem trzydzieści dwa.

Gdy już zaczął przysypiać, w końcu otworzyły się frontowe drzwi. Usiadł prosto, a ona wyszła na ulicę. Było tuż przed dziewiątą. Miała na sobie białą sukienkę bez rękawów oraz niewielki szal na ramionach i ostrożnie schodziła po schodach, jakby nie do końca ufała swoim stopom. Potem pojawił się za nią Stirling, mówiący coś, czego Anthony nie mógł dosłyszeć. Kiwnęła głową. Następnie wsiedli do dużego czarnego auta. Gdy pojazd wyjechał na ulicę, Anthony uruchomił silnik. Włączył się do ruchu, oddzielony od Stirlingów jednym samochodem, i podążał za nimi.

Nie jechali daleko. Szofer zatrzymał się przed drzwiami kasyna w Mayfair, żeby ich wypuścić. Przyglądała sukienkę, a potem weszła do środka, zdejmując po drodze szal.

Upewniwszy się, że Stirling także wszedł do budynku, Anthony zatrzymał swojego hillmana za czarnym samochodem.

– Zaparkuj, dobrze? – zawołał do zdumionego portiera, rzucając mu kluczyki do swojego auta i wciskając do ręki dziesięcioszylingowy banknot.

– Czy mogę zobaczyć pańską kartę członkowską, sir? – zatrzymał go mężczyzna w uniformie kasyna, gdy Anthony szybkim krokiem szedł przez hol. – Pańska karta członkowska, sir.

Stirlingowie właśnie wchodzili do windy. Widział Jennifer za tłumem ludzi.

– Muszę z kimś porozmawiać. To zajmie dwie minuty.

– Sir, obawiam się, że nie mogę pana wpuścić bez...

Anthony sięgnął do kieszeni, wyjął całą zawartość – portfel, klucze do domu, paszport – i wcisnął ją w otwarte dłonie tego mężczyzny.

– Niech pan to weźmie, niech pan weźmie to wszystko. Obiecuję, że wrócę za dwie minuty.

Mężczyzna gapił się na niego z otwartymi ustami, a on przepchnął się przez tłum i wślizgnął do windy, akurat gdy zamykały się drzwi.

Stirling stał po prawej, więc Anthony nasunął kapelusz głęboko na twarz, przeszedł obok niego, pewny, że mężczyzna go nie zauważył, a potem cofał się, aż jego plecy natrafiły na ścianę.

Wszyscy stali zwrócenii do drzwi. Znajdujący się przed nim Stirling rozmawiał z kimś, kogo najwyraźniej znał. Anthony usłyszał, jak mamrocze coś o rynkach, kryzysie kredytowym, a ten drugi przyznaje mu rację. Słyszał łomotanie swojego serca i czuł, jak po plecach spływa mu pot. Jennifer stała, trzymając torebkę obiema dłońmi w rękawiczkach, twarz miała spokojną i tylko zbłąkany jasny kosmyk włosów wyslizgnął jej się z koka, potwierdzając, że ta kobieta jest człowiekiem, a nie jakąś niebiańską zjawą.

– Drugie piętro.

Drzwi się otworzyły, by wypuścić dwie osoby i wpuścić jedną. Pozostali pasażerowie przesunęli się uprzejmie, robiąc miejsce dla nowo przybyłego. Stirling nadal mówił, jego głos brzmiał nisko i dźwięcznie. Wieczór był ciepły i w małej przestrzeni windy Anthony miał dotkliwą świadomość otaczających go ciał, woni perfum, płynu do układania włosów i brylantyny, które wisały w lepkim powietrzu, oraz delikatnego podmuchu towarzyszącego zamykaniu drzwi.

Lekko podniósł głowę i wpatrzył się w Jennifer. Stała niespełna krok od niego, tak blisko, że wyczuwał ostrą nutę jej perfum i widział każdy najmniejszy pieg na jej ramionach. Gapił się dalej, aż w końcu nieznacznie odwróciła głowę i zobaczyła go. Jej oczy otworzyły się szerzej, policzki się zarumieniły. Jej mąż nadal był pochłonięty rozmową.

Spojrzała na podłogę, potem jej oczy przesunęły się z powrotem na Anthony'ego, a unoszenie się i opadanie jej piersi świadczyło o tym, jak bardzo nią wstrząsnął jego widok. Ich oczy się spotkały i w tych kilku cichych chwilach powiedział jej wszystko. Powiedział jej, że jest najbardziej niezwykłą osobą, jaką kiedykolwiek znał. Powiedział, że nieustannie nawiedza go na jawie i że każde uczucie, każde doświadczenie, jakie miał do tej pory, było płaskie i nieważne w porównaniu z doniosłością tego.

Powiedział jej, że ją kocha.

– Trzecie piętro.

Zamrugła i odsunęli się od siebie, ponieważ mężczyzna z tyłu przeprosił, precyzyjnie się między nimi i wyszedł z windy. Gdy przestrzeń się za nim zamknęła, Anthony sięgnął do kieszeni i wyjął list. Zrobił krok w prawo i podał jej go za marynarką człowieka, który akurat w tym momencie zakasłał, aż wszyscy lekko podskoczyli z zaskoczenia. Jej mąż kręcił głową w odpowiedzi na coś, co usłyszał od rozmówcy. Obaj mężczyźni cierpko się zaśmiali. Przez chwilę Anthony myślał, że Jennifer nie weźmie od niego listu, ale jej dłoń w rękawiczce ukradkiem

sięgnęła w jego stronę i po chwili koperta zniknęła w jej torebce.

– Czwarte piętro – powiedział boy hotelowy. – Restauracja.

Wszyscy z wyjątkiem Anthony'ego ruszyli do wyjścia. Stirling spojrzął w prawo, jakby przypominał sobie o obecności żony, i wyciągnął rękę – nie z czułością, zauważył Anthony, lecz aby ją ponaglić. Drzwi zamknęły się za nią i został sam. Boy zawołał: „parter!” i winda pojechała na dół.

Anthony właściwie nie spodziewał się odpowiedzi. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy listonosz nie dostarczył jakiejś przesyłki, i dopiero wychodząc z domu, spóźniony, znalazł na wycieracze dwa listy. Na wpół szedł, na wpół biegł po spalonym słońcem, zatłoczonym chodniku, omijając pielęgniarki i pacjentów wychodzących z olbrzymiego szpitala St Bartholomew's, a walizka objęła mu się o nogi. Miał być na Heathrow o wpół do trzeciej, już teraz nie miał pewności, czy zdąży. Na widok jej charakteru pisma przeżył coś w rodzaju wstrząsu, po którym nastąpiła panika, gdy zdał sobie sprawę, że jest już za dziesięć dwunasta, a on znajduje się na niewłaściwym końcu Londynu.

Postman's Park. W południe.

Taksówek oczywiście nie było. Część drogi pokonał metrem, a resztę biegiem. Jego koszula, starannie wyprasowana, przykleiła się do skóry, włosy oklapły na spoconym czole.

– Przepraszam – mruknął, gdy kobieta w sandałkach na wysokim obcasie cmoknęła z niezadowoleniem, zmuszona zejść mu z drogi. – Przepraszam.

Autobus się zatrzymał, wypluwając kłęby fioletowego dymu, i Anthony usłyszał, jak konduktor dzwoni dzwonkiem, sygnalizując odjazd. Przystanął, gdy fala pasażerów przelała się po chodniku. Starał się złapać oddech i spojrzął na zegarek. Był kwadrans po dwunastej. Całkiem możliwe, że już sobie poszła.

Co on wyrabiał, do cholery? Jeśli spóźni się na samolot, Don osobiście postara się o to, by przez następnych dziesięć lat pisał o złotych godach i innych rocznicach. Uznają to za jeszcze jeden dowód jego nieprzystosowania, argument przemawiający za tym, by kolejny dobry temat dać raczej Murfettowi albo Phippsowi.

Dysząc, pędził slalomem po King Edward Street, a potem znalazł się w maleńkiej oazie spokoju na środku miasta. Postman's Park był małym ogrodem stworzonym przez filantropa z czasów wiktoriańskich, by oddać cześć zwykłym bohaterom. Ciężko oddychając, ruszył ku jego centrum.

Ujrzał coś niebieskiego, lekko poruszający się niebieski rój. Gdy obraz przed jego oczami się uspokoił, ukazali mu się listonosze w niebieskich uniformach. Jedni spacerowali, inni leżeli na trawie, kilku siedziało na ławce przed lśniącymi porcelanowymi tablicami upamiętniającymi różne akty odwagi. Londyńscy listonosze, uwolnieni od rewirów i toreb, rozkoszowali się południowym słońcem w samych koszulach, jedząc kanapki, gawędząc, częstując się nawzajem

jedzeniem, zażywając relaksu na trawie w cętkowanym cieniu drzew.

Jego oddech się uspokoił. Anthony rzucił walizkę i poszukał chusteczki, wytarł czoło, a następnie powoli się obrócił, starając się dostrzec to, co znajdowało się za olbrzymimi paprociami i murem kościoła, w cienistej enklawie biurowców. Wypatrywał w parku szmaragdowej sukienki z klejnotami, błysku bladozłotych włosów, który ją wyróżniał.

Nie było jej.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po. Przyszła i poszła. Może zmieniła zdanie. Może Stirling znalazł ten przekłety list. Dopiero wtedy przypomniał sobie o drugiej kopercie, tej od Clarissy, którą wepchnął do kieszeni, wychodząc z domu. Wyjął ją teraz i pospiesznie przeczytał. Nigdy nie mógł patrzeć na jej charakter pisma, nie słysząc przy tym jej napiętego, rozczarowanego głosu albo nie widząc jej schludnych bluzek, podczas ich spotkań zawsze zapiętych pod szyję, jakby mógł zdobyć jakąś przewagę dzięki spojrzeniu na jej skórę.

Drogi Anthony,

chciałabym Cię kurtuazyjnie poinformować, że wychodzę za mąż.

Poczuł nieokreślony wstrząs zaborczości na myśl, że Clarissa mogłaby znaleźć szczęście u boku innego mężczyzny. Myślał, że w ogóle nie jest do tego zdolna.

Poznałam porządnego mężczyznę, właściciela sieci sklepów z zasłonami, który jest gotów przyjąć mnie i Phillipa. Jest dobry i mówi, że będzie go traktował jak własnego syna. Ślub odbędzie się we wrześniu. Trudno jest mi poruszać ten temat, ale chyba powinieneś się zastanowić, jak intensywne kontakty zamierzasz utrzymywać z synem. Chciałabym, żebyśmy mogli żyć jak normalna rodzina, i bardzo możliwe, że ciągłe nieregularne kontakty z Tobą utrudnią mu przystosowanie się.

Proszę, rozważ to i daj mi znać, co myślisz.

Nie będziemy potrzebowali Twojego dalszego wsparcia finansowego, ponieważ Edgar zapewni nam utrzymanie. Poniżej załączam nowy adres.

Pozdrawiam

Clarissa

Przeczytał to dwa razy, ale dopiero za trzecim pojął, co Clarissa mu proponuje: według niej Phillipa, jego syna, powinien wychowywać jakiś prawy handlarz zasłonami, który w przeciwieństwie do ojca nie będzie mu zagrażał „ciągłymi nieregularnymi kontaktami”. Ten dzień go przytłoczył. Nagle zapragnął alkoholu i po drugiej stronie ulicy, za bramą parku zauważył pub.

– Chryste – powiedział na głos. Oparł ręce na kolanach i spuścił głowę. Na chwilę zgiął się wpół, próbując pozbierać myśli, uspokoić łomoczące serce. Potem

westchnął i wyprostował się.

Stała przed nim. Miała na sobie białą sukienkę w ogromne czerwone róże i wielkie okulary przeciwsłoneczne. Odsunęła je na czoło. Na sam jej widok z jego piersi wyrwało się głośnie westchnienie ulgi.

– Nie mogę zostać – zaczął, gdy odzyskał głos. – Muszę lecieć do Bagdadu. Mój samolot odlatuje za... Nie mam pojęcia, jak zdążę...

Była taka piękna, przyćmiewała kwiaty na schludnych rabatach, olśniewała listonoszy, którzy przestali rozmawiać, żeby na nią patrzeć.

– Nie potrafię... – Pokręcił głową. – W listach mogę powiedzieć wszystko. Ale kiedy cię widzę, po prostu...

– Anthony – powiedziała, jakby się upewniała, że on naprawdę istnieje.

– Wrócę mniej więcej za tydzień – oznajmił. – Jeśli wtedy się ze mną spotkasz, będę mógł ci wszystko wytłumaczyć. Jest tyle...

Ona jednak podeszła i ująwszy jego twarz w dłonie w rękawiczkach, przyciągnęła go do siebie. Po niezwykle krótkim wahaniu jej usta spotkały się z jego ustami. Wargi miała ciepłe, uległe, lecz zaskakująco pożądlive. Anthony zapomniał o locie. Zapomniał o parku, o utraconym dziecku i byłej żonie. Zapomniał o temacie, który, jak sądził jego szef, powinien był go pochłonąć bez reszty. Zapomniał, że jak wynikało z jego doświadczenia, emocje są bardziej niebezpieczne niż broń. Zrobił to, czego żądała od niego Jennifer: oddał się jej i uczynił to z ochotą.

– Anthony – powtórzyła i w tym jednym słowie dała mu nie tylko siebie, lecz także nową, lepiej zredagowaną wersję jego przeszłości.

Koniec z nami i nas
Z esemesa kobiety do Jeanette Winterson

Znowu się do niej nie odzywał. Jak na tak skrytego mężczyznę Laurence Stirling potrafił być przewrotnie zmienny. Jennifer milcząco przyglądała się mężowi przy śniadaniu, gdy czytał gazetę. Mimo że zeszła na dół wcześniej niż on i przygotowała śniadanie, jakie lubił, w ciągu trzydziestu trzech minut, odkąd spojrział na nią po raz pierwszy tego ranka, nie wypowiedział ani słowa.

Zerknęła na szlafrok, sprawdziła fryzurę. Wszystko było na swoim miejscu. Blizna, która, jak Jennifer wiedziała, budziła w nim obrzydzenie, została ukryta pod rękawem. Co takiego zrobiła? Powinna była poczekać na górze i zejść razem z nim? Poprzedniego dnia wrócił do domu tak późno, że dźwięk otwieranych drzwi wejściowych obudził ją tylko na chwilę. Może powiedziała coś przez sen?

Melancholijne tykanie zegara odmierzało czas do godziny ósmej, zakłócone jedynie sporadycznym szeleszczeniem otwieranej i składanej na nowo gazety Laurence'a. Usłyszała kroki na schodach przed drzwiami, krótki brzęk, gdy listonosz wsunął korespondencję do skrzynki, a potem płaczliwy, podniesiony głos dziecka przechodzącego za oknem.

Próbowała rzucić jakąś uwagę na temat śniegu albo nagłówka o rosnących cenach paliw, lecz Laurence tylko westchnął, jakby go irytowała, więc nic więcej nie mówiła.

Mój kochanek by mnie tak nie traktował, powiedziała mu w myślach, smarując masłem kawałek grzanki. Uśmiechnąłby się, dotknął mojej talii, mijając mnie w kuchni. W zasadzie to pewnie nawet nie jedliby w kuchni: przyniosłby tacę różnych pyszności do łóżka, zaraz po przebudzeniu podałby jej kawę i wymienialiby wesołe, pełne okruszków pocałunki. W jednym z listów napisał:

Gdy jesz, bez reszty oddajesz się temu doświadczeniu. Obserwowałem Cię tamtego pierwszego wieczoru podczas kolacji i marzyłem o tym, żebyś mi także poświęcała tyle uwagi.

Głos Laurence'a przerwał jej zadumę.

– Moncrieffowie zapraszają dziś na drinka przed imprezą bożonarodzeniową w biurze. Pamiętasz, prawda?

– Tak. – Nie podniosła wzroku.

– Wrócę koło wpół do siódmej. Potem oczekuje nas Francis.

Poczuła, że zatrzymał na niej wzrok, jakby czekał jeszcze na jakąś odpowiedź, ale była zbyt uparta, żeby spróbować. A potem wyszedł, zostawiając ją w pograżonym w ciszy domu, z marzeniami o wyimaginowanym śniadaniu, o niebo lepszym niż to rzeczywiste.

Pamiętasz tamtą pierwszą kolację? Zachowałem się jak głupiec, a Ty o tym wiedziałaś. Byłaś jednak tak bezbrzeżnie, bezbrzeżnie czarująca, kochana J., nawet w obliczu mojej nieuprzejmości.

Tamtego wieczoru byłem zły. Teraz przypuszczam, że już wtedy się w Tobie zakochałem, ale my, mężczyźni, jesteśmy miążdżaco niezdolni do dostrzegania tego, co mamy przed nosem. Łatwiej było uznać moje skrępowanie za coś zupełnie innego.

Wydobyła już z kryjówek w całym domu siedem listów: siedem listów, które ukazywały miłość, jaką poznała, i osobę, jaką się wskutek tego stała. W tych odręcznie pisanych słowach ujrzała swoje niezliczone odbicia: impulsywne, namiętne, skore do wybuchów złości i do przebaczenia.

On wydawał się jej przeciwnym biegunem. Rzucił wyzwania, deklarował, obiecywał. Wnikliwie obserwował ją i to, co działo się wokół. Niczego nie ukrywał. Wydawała się pierwszą kobietą, którą naprawdę kochał. Czytając po raz kolejny jego listy, zastanawiała się, czy on też był pierwszym mężczyzną, którego naprawdę kochała.

Gdy na mnie patrzyłaś tymi bezkresnymi, eterycznymi oczami, zastanawiałem się, co takiego we mnie widzisz. Teraz wiem, że to niemądre wyobrażenie miłości. Nie mogliśmy się nie kochać, tak jak Ziemia nie mogłaby nie krążyć wokół Słońca.

Listy nie zawsze były opatrzone datą, lecz można je było ułożyć w pewnym porządku: ten przyszedł wkrótce po tym, jak się poznali, następny po jakiejś sprzeczce, trzeci po namiętym pojednaniu. Chciał, żeby odeszła od Laurence'a. Prosił ją o to kilkakrotnie. Najwyraźniej odmówiła. Dlaczego? Pomyślała o oziębłym człowieku w kuchni, o przytłaczającej ciszy w domu. Dlaczego nie odeszłam?

Obsesyjnie czytała tych siedem listów, szukając wskazówek, próbując odgadnąć tożsamość tego mężczyzny. Ostatni miał wrześnieową datę, napisał go kilka tygodni przed jej wypadkiem. Dlaczego się z nią nie skontaktował? Najwyraźniej nigdy do siebie nie telefonowali i nie spotykali się w żadnym określonym miejscu. Gdy zauważyła, że część listów przyszła na adres skrytki pocztowej, udała się na pocztę, żeby sprawdzić, czy pojawiły się kolejne. Skrytka została jednak wynajęta przez kogoś innego i nie było więcej listów.

Nabrała przekonania, że on się jakoś ujawni. Bo czy mężczyzna, który napisał te listy, którego emocje przesyciła taka niecierpliwość, mógłby po prostu siedzieć i czekać? Przestała myśleć, że to Bill. Nie dlatego, że nie potrafiła uwierzyć, że coś do niego czuła, lecz dlatego, że oszukiwanie Violet wydawało jej się nie w jej stylu, nawet jeśli mogło być w stylu jej męża. Pozostawali zatem Jack Amory i Reggie Carpenter. A Jack Amory właśnie ogłosił swoje zaręczyny z panną Victorią Nelson z Camberley w hrabstwie Surrey.

Gdy Jennifer kończyła układać włosy, do pokoju weszła pani Cordoza.

– Mogłaby pani wyprasować mi na wieczór tę granatową sukienkę z jedwabiu? – spytała Jennifer. Na jej bladej szyi spoczywał sznur brylantów.

Uwielbiał jej szyję:

Nie jestem w stanie na nią patrzeć i nie czuć chęci pocałowania Cię w kark.

– Położyłam ją na łóżku – dodała.

Pani Cordoza przeszła obok, żeby wziąć sukienkę.

– Zrobię to natychmiast, proszę pani – powiedziała.

Reggie Carpenter flirtował. Nie można określić tego inaczej. Kuzyn Yvonne opierał się o krzesło Jenny, wpatrywał się w jej usta, które psotnie drżały, jakby tylko oni dwoje zrozumieli jakiś żart.

Yvonne obserwowała ich, podając drinka Francisowi, który siedział kilka kroków dalej. Pochyliła się i mruknęła mężowi na ucho:

– Nie mógłbyś wziąć Reggiego do męskiego grona? Odkąd przyszła Jennifer, prawie siedzi jej na kolanach.

– Kochanie, próbowałem, ale pomijając zaciągnięcie go tu siłą, niewiele mogłem zrobić.

– W takim razie zajmij się Maureen. Wygląda, jakby za chwilę miała się rozplakać.

Od chwili, w której Yvonne otworzyła drzwi przed Stirlingami – Jennifer w futrze z nerek i chyba już wstawiona, on z ponurą miną – czuła mrowienie na skórze, jakby wiedziała, że stanie się coś okropnego. Między małżonkami panowało wyraźne napięcie, a potem Jennifer i Reggie przyczepili się do siebie w sposób, który prawdę mówiąc, działał jej na nerwy.

– Naprawdę wolałabym, żeby ludzie zostawiali swoje konflikty w domu – mruknęła.

– Dam Larry’emu dużą whisky. W końcu się rozkręci. Pewnie miał kiepski dzień w pracy. – Francis wstał, dotknął jej łokcia i odszedł.

Miniaturowe kielbaski leżały prawie nietknięte. Yvonne z westchnieniem podniosła talerz z przekąskami i przygotowała się do częstowania gości.

– Przegryź coś, Maureen.

Dwudziestojednoletnia dziewczyna Reggiego prawie jej nie zauważyła. W rdzawej wełnianej sukience wyglądała jak spod igły i siedziała sztywno na krześle, rzucając ponure spojrzenia na dwoje ludzi po jej prawej stronie, którzy zachowywali się tak, jakby zupełnie o niej zapomnieli. Jennifer siedziała rozparta w fotelu, a Reggie zgrabnie przycupnął na podłokietniku. Szepnął coś i obydwójce wybuchnęli śmiechem.

– Reggie? – odezwała się Maureen. – Nie mówiłeś przypadkiem, że wybieramy się do miasta na inne spotkanie?

– Och, nie ma pośpiechu – odrzekł lekceważąco.

– Byliśmy umówieni w Green Rooms, Bear. O wpół do ósmej, sam mówiłeś.

– Bear? – Jenny przestała się śmiać i spojrzała na Reggiego.

– To jego przezwisko – wyjaśniła Yvonne, podsuwając jej talerz. – Był

najbardziej nedorzecznie włochatym dzieckiem, jakie widział ten świat. Ciotka początkowo myślała, że urodziła niedźwiedzia*.

– Bear – powtórzyła Jenny.

– Tak. Nie można mi się oprzeć. Jestem mięciutki. I najszcześliwszy wtedy, gdy ktoś bierze mnie do łóżka... – Uniósł brew i przysunął się do niej.

– Reggie, pozwól na słówko.

– Nie kiedy masz taką minę, droga kuzynko. Yvonne myśli, że z tobą flirtuję, Jenny.

– Nie tylko Yvonne – wtrąciła oschle Maureen.

– Och, daj spokój, Mo. Nie bądź nudziarą. – Nadal żartował, ale w jego głosie zabrzmiała nutka rozdrażnienia. – Stanowczo za długo nie miałem okazji porozmawiać z Jenny. Po prostu nadrabiamy zaległości.

– Naprawdę minęło aż tyle czasu? – spytała niewinnie Jennifer.

– Och, całe wieki... – zapewnił żarliwie.

Yvonne zobaczyła, jak dziewczynie Reggiego rzednie mina.

– Maureen, kochana, pomogłabyś mi zrobić drinki? Bóg jeden wie, gdzie się podział mój beżużyteczny mąż.

– Jest tam. Obok...

– Chodź, Maureen. Tędy.

Dziewczyna poszła za nią do jadalni i wzięła od Yvonne butelkę crème de menthe. Biła od niej bezsilna furia.

– Co ta kobieta sobie wyobraża. Ma męża, prawda?

– Jennifer po prostu... Och, ona nie traktuje tego poważnie.

– Przymila się do niego! Spójrz na nią! Co by powiedziała, gdybym tak czarowała jej męża?

Yvonne zerknęła w stronę salonu, gdzie siedział Larry z miną wyrażającą powstrzymywaną dezaprobatę i jednym uchem słuchał tego, co miał do powiedzenia Francis. Pewnie nawet by nie zauważyła, pomyślała.

– Yvonne, wiem, że to twoja przyjaciółka, ale jak na mój gust straszna z niej suka.

– Maureen, wiem, że Reggie źle się zachowuje, ale nie wolno ci tak mówić o mojej przyjaciółce. Nie masz pojęcia, przez co ostatnio przeszła. A teraz podaj mi tę butelkę, dobrze?

– A przez co ja teraz przechodzę? To upokarzające. Wszyscy wiedzą, że jestem z Reggie, a ona owinęła go sobie wokół małego palca.

– Jennifer przeżyła straszny wypadek samochodowy. Niedawno wyszła ze szpitala. Jak już powiedziałam, po prostu spuszcza trochę pary.

– I przy okazji majtki.

– Mo...

– Upiła się. A poza tym jest stara. Ile ma lat? Ze dwadzieścia siedem?

Dwadzieścia osiem? Mój Reggie jest co najmniej trzy lata młodszy od niej.

Yvonne wzięła głęboki oddech. Zapaliła papierosa, poczęstowała dziewczynę drugim i zamknęła dwuskrzydłowe drzwi.

– Mo...

– To złodziejka. Próbuje mi go ukraść. Widzę to, nawet jeśli ty nie.

Yvonne ściszyła głos.

– Mo, kochana, musisz zrozumieć, że flirtowanie flirtowaniu nierówne. Reggie i Jenny dobrze się teraz bawią, ale żadne z nich nie pomyślałoby o zdradzie. Owszem, flirtują, ale robią to w pokoju pełnym ludzi, nie próbują się z tym kryć. Naprawdę myślisz, że jeśli byłoby w tym cokolwiek poważnego, zachowywałyby się tak w obecności Larry’ego? – Zabrzmiało to przekonująco nawet w jej własnych uszach. – Kochana, kiedy będziesz starsza, przekonasz się, że takie przekomarzanki to element życia. – Wrzuciła do ust orzech nerkowca. – Są jedną z wielkich pociągów po latach małżeństwa z tym samym mężczyzną.

Dziewczyna się skrzywiła, ale złość trochę jej minęła.

– Pewnie masz rację – powiedziała. – Ale nadal uważam, że prawdziwa dama nie powinna się tak zachowywać. – Otworzyła drzwi i wróciła do salonu. Yvonne wzięła głęboki oddech i poszła za nią.

Drinki sływały do gardeł, a rozmowy stawały się coraz głośniejsze i bardziej ożywione. Francis przyszedł do jadalni i przygotował więcej snowballi, a Yvonne zręcznie nabijała wisienki na wykałaczki, żeby udekorować kieliszki. Odkryła, że jeśli wypije więcej niż dwa porządne drinki, czuje się potwornie, więc zrobiła sobie jednego z blue curacao, a potem ograniczyła się do soku. Szampan zniknął w okamgnieniu. Francis wyłączył muzykę, mając nadzieję, że ludzie zrozumieją aluzję i sobie pójdą, ale Bill i Reggie włączyli ją z powrotem i próbowali namówić pozostałych do tańca. W pewnym momencie obaj mężczyźni trzymali Jennifer za ręce i tańczyli wokół niej. Francis był zajęty drinkami, więc Yvonne sama poszła do Laurence’a i usiadła obok niego. Przysięgła sobie, że wydobędzie z niego uśmiech.

Milczał, ale pociągnął długi łyk drinka, spojrzał na żonę i odwrócił wzrok. Biło od niego niezadowolenie.

– Robi z siebie idiotkę – mruknął, gdy cisza między nimi zaczęła się nadmiernie przedłużać.

Robi idiotę z ciebie, pomyślała Yvonne.

– Po prostu jest wesoła. Larry, to dla niej dziwny okres. Ona... próbuje się dobrze bawić.

Gdy na niego spojrzała, przyglądał jej się w skupieniu. Poczowała się trochę niezręcznie.

– Przecież sam mówiłeś, że zdaniem lekarza może nie do końca być sobą, prawda? – dodała. Powiedział jej to, gdy Jennifer była w szpitalu, a on jeszcze

rozmawiał z ludźmi.

Pociągnął kolejny łyk drinka, nie odrywając od niej oczu.

– Wiedziałaś, prawda?

– O czym?

Świdrował ją wzrokiem, szukając w jej źrenicach jakichś wskazówek.

– O czym, Larry?

Francis włączył rumbę. Tuż za nim Bill usilnie prosił Jennifer, żeby z nim zatańczyła, a ona zaklinała go, żeby przestał.

Laurence opróżnił szklaneczkę.

– O niczym.

Pochyliła się i dotknęła jego dłoni.

– To trudne dla was obojga. Jestem pewna, że potrzebujecie trochę czasu, żeby... – Przerwał jej kolejny wybuch śmiechu Jennifer. Reggie włożył sobie w zęby jeden z ciętych kwiatów i tańczył z nią spontaniczne tango.

Laurence delikatnie odsunął dłoń, gdy klapnął obok nich zdyszany Bill.

– Ten cały Reggie trochę przesadza, prawda? Yvonne, nie powinnaś z nim porozmawiać?

Nie odważyła się spojrzeć na Laurence'a, ale gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał spokojnie.

– Nie przejmuj się, Yvonne – powiedział, wpatrzony w jakiś punkt w oddali. – Sam się tym zajmę.

Tuż przed wpół do dziewiątej zastała Jennifer w łazience. Przyjaciółka stała oparta o marmurową umywalkę i poprawiała makijaż. Jej spojrzenie przesunęło się w stronę wchodzącej Yvonne, a potem przeniosło z powrotem na odbicie w lustrze. Yvonne zauważyła, że Jennifer jest zarumieniona. Niemal chwiała się na nogach.

– Napiałabyś się kawy? – spytała.

– Kawy?

– Zanim pójdziecie na imprezę w biurze Larry'ego.

– Myślę – orzekła Jennifer, niezwykle starannie obrysowując usta konturówką – że przed tym balem będę potrzebowała raczej mocnego drinka.

– Co ty wyrabiasz?

– Maluję usta. A myślałaś, że co...?

– Z moim kuzynem. Strasznie go prowokujesz. – Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała. Ale Jennifer chyba tego nie zauważyła.

– Kiedy po raz ostatni wychodziliśmy gdzieś z Reggie?

– Co?

– Kiedy po raz ostatni z nim wychodziliśmy?

– Nie mam pojęcia. Może latem, kiedy przyjechał odwiedzić nas we Francji.

– Co pije, kiedy nie pije drinków?

Yvonne wzięła głęboki oddech, żeby nad sobą zapanować.

- Jenny, kochana, nie uważasz, że powinnaś trochę przystopować?
- Co?
- Chodzi mi o Reggiego. Sprawiasz przykrość Larry’emu.
- Och, on ma w nosie, co ja robię – odrzekła lekceważąco. – Co pije Reggie?

Musisz mi powiedzieć. To bardzo ważne.

– Nie wiem. Whisky. Jenny, wszystko w porządku u was w domu? Między tobą a Larrym?

- Nie wiem, co masz na myśli.
- Pewnie to nie moja sprawa, ale Larry wydaje się okropnie nieszczęśliwy.
- Larry?
- Tak. Nie traktowałabym jego uczuć z taką nonszalancją, kochana.

Jenny odwróciła się do niej.

– Jego uczuć? Myślisz, że kogoś obchodzi, przez co przesłama?

– Jenny, ja tylko...

– Wszyscy mają to gdzieś. Oczekują, że sobie poradzę, będę siedziała cicho i grała kochającą żonę. Byleby tylko Larry nie miał smutnej miny.

– Ale jeśli chcesz znać moje zdanie...

– Nie, nie chcę go znać. Po prostu zajmij się swoimi sprawami, Yvonne. Naprawdę.

Obie kobiety stały nieruchomo. Powietrze wokół nich wibrowało, jakby wymierzono cios.

Yvonne poczuła, że w jej piersi narasta jakieś napięcie.

– Wiesz, Jennifer, to, że możesz mieć każdego mężczyznę w tym domu, nie oznacza, że musisz go mieć. – Jej głos brzmiał lodowato.

– Co?

Yvonne poprawiła ręczniki na wieszaku.

– Och, czasami te twoje numery małej bezradnej księżniczki zaczynają mnie nudzić. Jennifer, wiemy, że jesteś piękna. Wiemy, że nasi mężowie cię uwielbiają. Pomyśl dla odmiany o tym, co czują inni.

Wpatrywały się w siebie.

– Tak myślisz? Że zachowuję się jak księżniczka?

– Nie. Myślę, że zachowujesz się jak suka.

Jennifer wytrzeszczyła oczy. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili je zamknęła, schowała szminkę, wyprostowała się i rzuciła Yvonne mordercze spojrzenie. Potem wyszła.

Yvonne ciężko usiadła na klapie sedesu i wytarła nos. Wpatrywała się w drzwi łazienki, mając nadzieję, że otworzą się z powrotem, a gdy to nie nastąpiło, ukryła twarz w dłoniach.

Jakiś czas później usłyszała głos Francisca.

– Wszystko w porządku, staruszko? Zastanawiałem się, gdzie jesteś.

Kochanie?

Gdy podniosła głowę, zobaczył wyraz jej oczu i szybko przyklęknął, biorąc ją za rękę.

– Dobrze się czujesz? Chodzi o dziecko? Mam ci jakoś pomóc?

Mocno zadrżała i pozwoliła, by otoczył jej dłonie swoimi. Trwali w tej pozycji przez jakiś czas, słuchając muzyki i rozmów na dole, a potem piskliwego śmiechu Jennifer. Francis sięgnął do kieszeni i przypalił żonie papierosa.

– Dziękuję. – Wzięła go i mocno się zaciągnęła. Wreszcie znowu na niego spojrzała, a jej ciemne oczy były poważne.

– Franny, kochanie, obiecaj mi, że będziemy szczęśliwi, nawet gdy urodzi się dziecko.

– O co...?

– Po prostu mi obiecaj.

– Przecież wiesz, że nie mogę – powiedział, ujmując ją za policzek. – Zawsze szczyłem się tym, że dzięki mnie jesteś sponiewierana i nieszczęśliwa.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Zwierzę.

– Staram się, jak mogę. – Wstał i przyglądał zagniecenia spodni. – Słuchaj. Domyślam się, że jesteś wyczerpana. Pozbędę się tej zgrai i będziemy mogli zmyć się do łóżka. Co ty na to?

– Czasami dochodzę do wniosku – powiedziała z czułością, gdy podał jej rękę i wstała – że chyba jednak nie zmarnowałam tej porządnej obrączki, którą ci dałam.

Na dworze było zimno, a na chodniku wokół placu prawie pusto. Alkohol ją rozgrzał, kręciło jej się w głowie, była odurzona.

– Wątpię, żeby udało nam się tu złapać taksówkę – powiedział wesoło Reggie, stawiając kołnierz. – Co zamierzacie, moi drodzy? – W nocnym powietrzu jego oddech zmieniał się w parę.

– Larry ma szofera. – Jej mąż stał nieopodal przy krawężniku, wpatrując się w ulicę. – Ale wygląda na to, że szofer zniknął. – Nagle wydało jej się to niezwykle zabawne i musiała się bardzo starać, żeby przestać chichotać.

– Dałem mu wolny wieczór – mruknął Laurence. – Sam poprowadzę. Zaczekaj tu, pójdę po kluczyki. – Wszedł po schodach do domu.

Jennifer ciasno owinęła się futrem. Nie mogła oderwać wzroku od Reggiego. To był on. Bear. Na pewno on. Przez cały wieczór właściwie nie odstępował jej na krok. Była pewna, że wiele jego uwag zawierało ukryte wiadomości. „Stanowczo za długo nie miałem okazji porozmawiać z Jenny”. Powiedział to w szczególny sposób. Była pewna, że sobie tego nie uroiła. Pił whisky. Bear. Kręciło jej się w głowie. Za dużo wypiła, ale wcale się tym nie przejmowała. Musiała mieć pewność.

– Okropnie się spóźnimy – powiedziała ponuro dziewczyna Reggiego, a wtedy on rzucił Jennifer konspiracyjne spojrzenie.

Zerknął na zegarek.

– Och, pewnie już i tak sobie poszli. Na pewno jedzą teraz kolację.

– Więc co robimy?

– A któż to wie? – Wzruszył ramionami.

– Byłeś kiedyś w klubie Alberto’s? – spytała nagle Jennifer.

Usta Reggiego rozciągnęły się w powolnym i nieco przebiegłym uśmiechu.

– Przecież pani wie, że tak, pani Stirling.

– Naprawdę? – Serce zabiło jej mocniej. Dziwiła się, że nikt inny tego nie słyszy.

– Zdaje się, że widziałem cię w Alberto’s, kiedy byłem tam ostatnim razem. – Miał wesołą, wręcz figlarną minę.

– Tak, to był niezapomniany wieczór – wtrąciła rozdrażniona Maureen, wkładając ręce głęboko do kieszeni płaszcza. Spiorunowała Jennifer wzrokiem, jakby to była jej wina.

Och, jaka szkoda, że tu jesteś, pomyślała Jennifer, słysząc swój galopujący puls.

– Jedźcie z nami – zaproponowała nagle.

– Co?

– Na imprezę Laurence’a. Prawdopodobnie będzie śmiertelnie nudna, ale na pewno zdołacie ją trochę rozruszać. Obydwoje. Będzie mnóstwo drinków – dodała.

Reggie wydawał się zachwycony.

– Wpisz nas na listę – powiedział.

– Czy mam w tej sprawie coś do powiedzenia? – Niezadowolone Maureen było wypisane na całej jej twarzy.

– Daj spokój, Mo. Będzie fajnie. I tak siedzielibyśmy tylko we dwoje w jakiejś nudnej restauracji.

W oczach Maureen ukazała się rozpacz i Jennifer poczuła ukłucie wyrzutów sumienia, ale postanowiła nie zwracać na nie uwagi. Musiała poznać prawdę.

– Laurence? – zawołała. – Laurence, kochanie? Reggie i Maureen pojedą z nami. Prawda, że fajnie?

Laurence z kluczykami w ręku zawahał się na najwyższym stopniu schodów i szybko omiół ich wzrokiem.

– Cudownie – powiedział, schodząc powoli, po czym otworzył tylne drzwi dużego czarnego samochodu.

Wyglądało na to, że Jennifer nie doceniła potencjału pracowników Acme Mineral and Mining w dziedzinie hucznych obchodów Bożego Narodzenia. Być może sprawiły to świąteczne ozdoby, olbrzymia ilość jedzenia i picia albo nawet przedłużająca się nieobecność szefa – w każdym razie, gdy dotarli na miejsce,

impreza trwała już w najlepsze. Ktoś przyniósł gramofon, przygaszono światła, a biurka odsunięto na bok, tworząc parkiet, na którym tłum ludzi pisał i tańczył shimmy do piosenki Connie Francis.

– Larry! Nigdy nie wspominałeś, że masz takich imprezowych pracowników! – zawołał Reggie.

Jennifer zostawiła męża w drzwiach, a gdy wpatrywał się w obrazek, który miał przed sobą, dołączyła do roztańczonego grona. Jego odczucia malowały się na twarzy: nie poznawał swojego miejsca pracy, swojego królestwa, swojej oazy. Podwładni wymknęli się spod kontroli i bardzo mu się to nie podobało. Zobaczył, jak jego sekretarka wstaje z krzesła, na którym przesiadła pewnie cały wieczór, i coś do niego mówi. Kiwnął głową, siląc się na uśmiech.

– Drinki! – zawołała Jennifer, pragnąc się znaleźć jak najdalej od niego. – Przeciskaj się, Reggie! Zalejmy się!

Niejasno zdawała sobie sprawę z kilku zdziwionych spojrzeń, gdy mijała pracowników męża. Wielu z nich poluzowało krawaty i zarumieniło się od alkoholu i tańca. Wodzili wzrokiem od niej do Laurence'a.

– Dobry wieczór, pani Stirling.

Rozpoznała księgowego, z którym parę tygodni wcześniej rozmawiała w biurze, i uśmiechnęła się do niego. Twarz miał lśniąca od potu i obejmował ramieniem rozchichotaną dziewczynę w papierowej czapeczce.

– O, dobry wieczór! Mógłby nam pan pokazać, gdzie są drinki?

– Tam. Obok maszyn do pisania.

Przygotowano olbrzymią kadz ponczu. Napełniano jednorazowe kubki i podawano je nad głowami ludzi. Reggie wręczył jej kubek, a ona wypila zawartość jednym haustem, a potem się roześmiała, bo niespodziewana moc napoju wywołała kaszel i charkotanie. Potem tańczyła, zagubiona w morzu ciał, niejasno zdając sobie sprawę z uśmiechu Reggiego, z jego ręki od czasu do czasu dotykającej jej talii. Zobaczyła, jak Laurence obserwuje ją niewzruszenie, stojąc pod ścianą, a potem z wyraźną niechęcią daje się wciągnąć w rozmowę z jednym ze starszych, trzeźwiejszych mężczyzn. Nie chciała być w pobliżu męża. Marzyła, żeby pojechał do domu i zostawił ją na parkiecie. Nie widziała więcej Maureen. Możliwe, że dziewczyna wyszła. Kontury się rozmazywały, czas się rozciągnął i nabrał elastyczności. Dobrze się bawiła. Było jej gorąco, uniosła ręce nad głowę i poddała się muzyce, ignorując zaciekawienie innych kobiet. Reggie okręcił ją wokół, a ona wybuchnęła donośnym śmiechem. Boże, ależ chciało jej się żyć! Tu było jej miejsce. Po raz pierwszy nie czuła się obco w świecie, do którego, jak wszyscy uparcie twierdzili, należała.

Reggie wziął ją za rękę i jego dotyk podziałał na nią jak wstrząs elektryczny. Patrzył na nią znacząco, z sugestywnym uśmiechem. Bear. Coś do niej mówił, bezgłośnie poruszając ustami.

– Co? – Odsunęła od twarzy pukiel spoconych włosów.

– Gorąco tu. Muszę się jeszcze napić.

Jego dłoń na jej talii wydawała się wręcz radioaktywna. Jennifer ruszyła za nim przez tłum. Gdy obejrzała się za siebie, wypatrując Laurence'a, okazało się, że zniknął. Pewnie poszedł do gabinetu, pomyślała. W środku paliło się światło. Laurence bez wątplenia był bardzo niezadowolony. Nie znosił zabawy pod żadną postacią. W ciągu ostatnich tygodni zastanawiała się czasem, czy ona sama nie jest mu równie wstrętna.

Reggie wkładał jej do ręki następny papierowy kubek.

– Powietrza! – zawołał. – Potrzebuję trochę powietrza.

Po chwili znaleźli się w głównym holu tylko we dwoje. Było tam chłodno i cicho. Gdy zamknęli za sobą drzwi, dźwięki imprezy ucichły.

– Tędy – powiedział, prowadząc ją obok windy ku wyjściu ewakuacyjnemu. – Chodźmy na schody. – Chwilę siłował się z drzwiami, a potem byli już na chłodnym nocnym powietrzu i Jennifer wdychała je łapczywie, jakby chciała zaspokoić ogromne pragnienie. Poniżej widziała ulicę, czasami tylne światła jakiegoś samochodu.

– Cały jestem mokry! – Pociągnął się za koszulę. – I nie mam zielonego pojęcia, gdzie zostawiłem marynarkę.

Przyłapała się na tym, że wpatruje się w jego ciało, teraz wyraźnie widoczne pod wilgotnym materiałem, i z wysiłkiem odwróciła wzrok.

– Ale jest fajnie – mruknęła.

– Jeszcze jak. Nie widziałem tylko, żeby stary Larry tańczył.

– On nie tańczy – powiedziała, zastanawiając się, skąd może mieć tę pewność. – Nigdy.

Przez chwilę milczeli, wpatrując się w ciemność miasta. W oddali słychać było odgłosy ruchu ulicznego, a za nimi stłumione dźwięki imprezy. Była rozemocjonowana, z zapartym tchem czekała na to, co się wydarzy.

– Poczęstuj się. – Reggie wyjął z kieszeni paczkę papierosów i przypalił dla niej jednego.

– Ja nie... – urwała. Bo i cóż mogła wiedzieć? Może wypaliła setki papierosów. – Dziękuję – powiedziała. Niepewnie ujęła papierosa w dwa palce, wciągnęła dym i zakaszła.

Reggie się roześmiał.

– Przepraszam – powiedziała, uśmiechając się do niego. – Zdaje się, że jestem w tym beznadziejna.

– Mimo to pal. Zakręci ci się w głowie.

– Już kręci mi się w głowie. – Poczula, że lekko się rumieni.

– Założę się, że to wpływ mojego towarzystwa – powiedział z uśmiechem i podszedł do niej. – Zastanawiałem się, kiedy zostaniemy sami. – Dotknął

wewnętrznej strony jej nadgarstka. – Dość trudno jest mówić szyfrem, gdy wokół jest tyle ludzi.

Zastanawiała się, czy dobrze go zrozumiała.

– Tak – przyznała, gdy już zdołała wydobyć z siebie głos. Było w nim słysząc ulgę. – Boże, już wcześniej chciałam coś powiedzieć. To było takie trudne. Później ci opowiem, ale był taki okres... Och, obejmij mnie. Obejmij mnie, Bear. Obejmij.

– Z przyjemnością.

Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę, objął ją i przyciągnął do siebie. Nic nie mówiła, próbowała tylko poczuć, jak to jest być w jego ramionach. Zbliżył twarz, a ona zamknęła oczy, gotowa, wdychając męski zapach jego potu, czując niespodziewaną wąskość jego torsu, pragnąc się zatracić. Och, tak długo na ciebie czekałam, powiedziała mu w myślach, unosząc twarz.

Ich usta się spotkały i przez chwilę dała się porwać dotykowi jego warg. Pocałunek stał się jednak niezdarny, przytłaczający. Ich zęby zderzały się ze sobą, jego język tak gwałtownie wpychał się do jej ust, że musiała się odsunąć.

Wydawał się niezrażony. Zsunął ręce na jej pośladki, przysuwając ją tak blisko, że czuła napór jego ciała. Wpatrywał się w nią oczami zmaconymi pożądaniem.

– Chcesz poszukać pokoju hotelowego? Albo... może tutaj?

Patrzyła na niego. To musi być on, myślała. Wszystko na to wskazywało. Ale jak to możliwe, że B. wydawał się taki... taki niepodobny do tego, co pisał?

– Co się dzieje? – spytał, dostrzegając te wątpliwości w jej wyrazie twarzy. – Za zimno? A może nie chcesz iść do hotelu... bo to zbyt ryzykowne?

– Ja...

Coś tu było nie tak. Cofnęła się, uwalniając się z jego objęć.

– Przepraszam. Chyba nie... – Uniosła rękę do twarzy.

– Nie chcesz robić tego tutaj?

Zmarszczyła brwi. Potem spojrzała mu w oczy.

– Reggie, wiesz co znaczy eteryczny?

– E-te... Jak?

Zamknęła oczy i po chwili znowu je otworzyła.

– Muszę iść – mruknęła. Nagle poczuła się przerażająco trzeźwa.

– Przecież lubisz się zabawić. Lubisz odrobinę akcji.

– Lubię odrobinę czego?

– Przecież nie jestem pierwszy, no nie?

Zamrugła.

– Nie rozumiem.

– Och, Jennifer, nie zgrywaj niewiniątka. Widziałem cię, nie pamiętasz? Z tym twoim gachem. W Alberto's. Kleiłaś się do niego. Zrozumiałem, co chciałaś

wcześniej powiedzieć, wspominając o tym w obecności wszystkich.

– Z moim gachem?

Zaciągnął się papierosem, a potem gwałtownie zgasił go obcasem.

– Więc tak chcesz pogrywać, co? W czym rzecz? Nie nadaję się, bo nie rozumiem jakiegoś głupiego słowa?

– Z jakim mężczyzną? – Złapała go za rękaw, nie mogąc się powstrzymać. – O kim ty mówisz?

Ze złością odtrącił jej dłoń.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Nie – zaprotestowała. – Po prostu muszę wiedzieć, z kim mnie widziałeś.

– Jezu! Wiedziałem, że powinienem być pójść z Mo, kiedy miałem okazję.

Ona przynajmniej potrafi docenić mężczyznę. Nie zgrywa... cnotki – warknął.

Nagle jego twarz, zarumienioną i rozgniewaną, zalało światło. Jennifer gwałtownie się odwróciła i zobaczyła Laurence'a stojącego w drzwiach. Spojrzał na oświetlony spektakl z udziałem swojej żony i mężczyzny, który właśnie się od niej odsuwał. Reggie ze spuszczoną głową bez słowa przemknął obok Laurence'a z powrotem do budynku, wycierając usta.

Stała nieruchomo.

– Laurence, to nie to, co...

– Wejź do środka – powiedział.

– Ja tylko...

– Do środka. Już. – Mówił cicho i na pozór spokojnie. Po krótkiej chwili wahania ruszyła do przodu i weszła na klatkę schodową. Skierowała się do drzwi, szykując się do powrotu na imprezę. Nadal drżała, zdezorientowana i wstrząśnięta, ale gdy mijali windę, chwycił ją za nadgarstek i odwrócił.

Spojrzała na dłoń, którą trzymał, a potem na jego twarz.

– Nie myśl sobie, że możesz mnie upokarzać, Jennifer – powiedział cicho.

– Puść mnie!

– Mówię poważnie. Nie jestem jakimś głupcem, którego możesz...

– Puść! To boli! – Próbowała mu się wyrwać.

– Słuchaj. – W jego żuchwie pulsował mięsień. – Nie pozwolę na to. Rozumiesz? Nie pozwolę. – Zaciśnął zęby. Jego głos ociekał złością.

– Laurence!

– Larry! Mów do mnie Larry! – krzyknął, unosząc wolną rękę zaciśniętą w pięść. Nagle otworzyły się drzwi i wyszedł mężczyzna z księgowości. Śmiał się i obejmował ramieniem tę samą dziewczynę co wcześniej. Na widok sceny z udziałem szefa jego uśmiech zbladł.

– Ee... Właśnie szliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza, proszę pana – powiedział speszony.

W tej chwili Laurence puścił jej nadgarstek i Jennifer, korzystając z okazji,

przecisnęła się obok tej pary i zbiegła po schodach.

* Bear (*ang.*) – niedźwiedź.

Z wielu powodów Cię uwielbiam, ale z niektórych też nienawidzę. Chyba powinnaś wiedzieć, że coraz częściej myślę o tym, co mi w Tobie przeszkadza.

O tym, jak zabiłaś tego homara.

O tym, jak krzyczałaś i klaskałaś na krowy, żeby przepędzić je z drogi. Dlaczego nie mogliśmy po prostu poczekać, żeby przeszły? Nie musieliśmy iść do tego kina [...]

O tym, jak niestarannie kroisz warzywa.

O Twoim wiecznym malkontenctwie.

Musiałem nałożyć trzy warstwy farby, żeby zamalować Twój numer telefonu, który zapisałaś na ścianie czerwonym długopisem. Wiem, że i tak robiłem remont, ale to było straszne marnotrawstwo.

Z listu mężczyzny do kobiety

Anthony siedział na stołku barowym, trzymając w jednej ręce pusty kubek po kawie, i obserwował schody prowadzące na ulicę, wypatrując na nich szczupłych nóg. Czasami jakaś para schodziła po schodach do Alberto's, głośno komentując nietypowy o tej porze roku upał, przez który potwornie chciało się pić, i mijała znudzoną szatniarkę Sherrie, zgarbioną nad jakąś książką w miękkiej okładce. Spoglądał na twarze tych ludzi i odwracał się do baru.

Był kwadrans po siódmej. O wpół do siódmej, napisała. Jeszcze raz wyjął liścik z kieszeni, przyglądając go kciukiem, przyglądając się dużym, zamaszystym literom zapowiadającym jej przybycie. Z wyrazami miłości, J.

Korespondowali od pięciu tygodni. Jego listy trafiały do sortowni przy Langley Street, gdzie wynajęła skrytkę numer trzynaście – tę, której, jak wyznała pani na poczcie, nikt nigdy nie chciał. Widzieli się zaledwie pięć albo sześć razy i zwykle ich spotkania były krótkie – zbyt krótkie – ograniczone do nielicznych okazji, na które pozwalał harmonogram zajęć jego albo Laurence'a.

To, co nie zawsze mógł jej przekazać osobiście, zawierał jednak w listach. Pisał prawie codziennie i bez wstydu czy skrępowania mówił jej o wszystkim. Jakby pękła tama. Pisał jej, jak bardzo za nią tęskni, jak wyglądało jego życie za granicą, że do tej pory czuł ciągły niepokój, jakby nieustannie znajdował się w zasięgu rozmowy, którą toczono gdzieś indziej.

Wyliczył jej swoje wady – egoizm, upór, częsty brak czułości – i wyznał, że dzięki niej zaczął nad nimi pracować. Napisał, że ją kocha – wielokrotnie – rozkoszując się widokiem tych słów na kartce.

Jej listy były natomiast krótkie i rzeczowe. „Spotkajmy się tutaj”, mówiły. Albo „Nie o tej porze, przyjdź pół godziny później”. Lub po prostu „Tak. Ja też”. Początkowo bał się, że taka zwięzłość oznacza skąpość uczuć i trudno mu było połączyć osobę, którą przy nim była – serdeczną, czułą, przekorną, troszczącą się o jego dobro – ze słowami, które pisała.

Pewnego wieczoru, gdy zjawiała się bardzo spóźniona – jak się okazało, Laurence wrócił do domu wcześniej niż zwykle i była zmuszona wymyślić chorą przyjaciółkę, żeby w ogóle wyjść z domu – zastała go pijanego i opryskliwego przy barze.

– Miło, że wpadłaś – powiedział z sarkazmem, unosząc szklaneczkę. W ciągu dwóch godzin, kiedy na nią czekał, wypił cztery podwójne whisky.

Zdjęła chustkę z głowy i zamówiła martini, ale po chwili odwołała zamówienie.

– Już wychodzisz?

– Nie chcę cię oglądać w takim stanie.

Wypomniał jej brak wszystkiego, czego od niej potrzebował – czasu,

jakiegoś śladu na papierze, którego mógłby się trzymać – ignorując dłoń barmana Felipe, która spoczęła na jego ramieniu, żeby go uspokoić. Przerazało go to, co czuł, i miał ochotę ją za to ukarać.

– O co chodzi? Boisz się zostawić ślad, który mógłby zostać wykorzystany jako dowód przeciwko tobie?

Wypowiadając te słowa, nienawidził siebie, wiedział, że zrobił się paskudny i godny politowania, co wcześniej tak rozpaczliwie starał się przed nią ukryć.

Jennifer odwróciła się na pięcie i szybko weszła po schodach, ignorując wykrzykiwane przez niego przeprosiny i prośbę, żeby wróciła.

Następnego dnia rano zostawił w skrytce pocztowej jednowyrazową wiadomość i dwa długie, przesycone poczuciem winy dni później otrzymał odpowiedź.

Boocie, nie potrafię wyrażać uczuć na papierze. W ogóle niełatwo przychodzi mi ich wyrażanie. Ty zajmujesz się pisaniem zawodowo i delektuję się każdym słowem, które do mnie kierujesz. Ale nie oceniaj moich uczuć przez pryzmat tego, że nie odpowiadam w podobny sposób.

Obawiam się, że gdybym spróbowała pisać tak jak Ty, poczułbyś się srodze zawiedziony. Jak kiedyś wspomniałam, rzadko ktokolwiek pyta mnie o opinię – a już zwłaszcza w tak ważnej sprawie jak ta – i niełatwo mi wyrażać spontanicznie swoje zdanie. Wiedz, że jestem przy Tobie. Uwierz mi na podstawie moich działań, moich uczuć. To one są moją walutą.

Twoja

J.

Gdy to przeczytał, zapłakał ze wstydu i z ulgi. Potem przypuszczał, że choć o tym nie wspomniała, nadal czuje upokorzenie po tym, co zaszło w pokoju hotelowym, mimo że bardzo starał się ją przekonać do powodu, dla którego się z nią wtedy nie kochał. Bez względu na to, co mówił, prawdopodobnie wciąż była przekonana, że znaczy dla niego nie więcej niż wszystkie inne mężatki, z którymi się kiedyś spotykał.

– Twoja dziewczyna nie przyjdzie? – Felipe wślizgnął się na miejsce obok. Klub już się zapełnił. Stoliki rozbrzmiewały pogawędkami, w kącie grał pianista i miało upłynąć jeszcze pół godziny, zanim Felipe sięgnie po trąbkę. Nad głowami leniwie obracał się wiatrak, prawie w ogóle nie poruszając gęstym powietrzem. – Chyba nie zamierzasz znowu się nawalić, co?

– Piję kawę.

– Lepiej uważaj, Tony.

– Mówię ci, że to kawa.

– Nie chodzi mi o kawę. Pewnego dnia wdasz się w romans z niewłaściwą

kobietą. Pewnego dnia załatwi cię jakiś mąż.

Anthony podniósł rękę, prosząc o dolewkę.

– Felipe, pochlebia mi, że moje dobro leży ci na sercu, ale po pierwsze, zawsze starannie dobieierałem sobie partnerki. – Uśmiechnął się krzywo. – Wierz mi, trzeba mieć wiarę w swoją moc dyskrecji, żeby dopuścić do ust dentystę z wiertłem niespełna godzinę po tym, jak... hm... jak zabawiało się jego żonę.

Felipe nie zdołał powstrzymać śmiechu.

– Jesteś bezwstydnym, chłopie.

– Wcale nie. Bo po drugie, skończyłem z mężatkami.

– Odtąd tylko singielki, tak?

– Nie. Koniec z kobietami. To Ta Jedyna.

– Chciałeś powiedzieć jedna ze stu jeden. – Felipe zarechotał. – Następnym razem mi powiesz, że zacząłeś studiować Biblię.

Na tym polegała cała ironia: im więcej pisał i im bardziej starał się ją przekonać o prawdziwości swoich uczuć, tym bardziej zdawała się przypuszczać, że słowa są pozbawione znaczenia, że zbyt łatwo wychodzą mu spod pióra. Kilka razy droczyła się z nim z tego powodu – pod spodem wyczuwał jednak chłodne ostrze prawdy.

Jennifer i Felipe widzieli to samo: człowieka niezdolnego do prawdziwej miłości. Kogoś, kto pragnie tego, co nieosiągalne, tylko dopóki tego nie zdobędzie.

– Felipe, mój przyjacielu, pewnego dnia chyba cię zaskoczę.

– Tony, siedzisz tu tak długo, że niczym mnie już nie zaskoczysz. I popatrz, o wilku mowa. Oto twój prezent urodzinowy. W dodatku ładnie zapakowany.

Anthony podniósł głowę i zobaczył parę szmaragdowozielonych jedwabnych butów idących po schodach. Szła powoli, z jedną ręką na poręczy, tak jak za pierwszym razem, gdy obserwował, jak schodzi po schodach swojego domu, odsłaniając się cal po calu, aż w końcu jej twarz, zarumieniona i lekko wilgotna, znalazła się dokładnie naprzeciw niego. Na jej widok na chwilę zapało mu dech w piersiach.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała, całując go w policzek. Poczł ciepły powiew perfum, wilgoć jej policzków przenoszącą się na jego własne. Leciutko ścisnęła palcami jego palce. – Miałam... trudności z dostaniem się tu. Moglibyśmy gdzieś usiąść?

Felipe zaprowadził ich do boksu. Po drodze próbowała przygłodzić włosy.

– Myślałem, że już nie przyjdiesz – powiedział, gdy Felipe przyniósł jej martini.

– Matka Laurence'a złożyła nam jedną ze swoich niezapowiedzianych wizyt. Potrafi mówić bez przerwy. Siedziałam, nalewalam herbatę i miałam ochotę wrzeszczeć.

– Gdzie on teraz jest? – Sięgnął pod stół i wziął ją za rękę. Boże, uwielbiał

jej dotykać.

– W Paryżu. Pojechał na spotkanie z kimś z Citroëna w sprawie okładzin ściernych szcęk hamulcowych albo czegoś w tym rodzaju.

– Gdybyś była moja – powiedział Anthony – nie zostawiłbym cię samej ani na chwilę.

– Założę się, że mówisz to każdej dziewczynie.

– Przestań – powiedział. – Nie znoszę tego.

– Och, nie udawaj, że wszystkich najlepszych tekstów nie wypróbowałaś najpierw na innych kobietach. Znam cię, Boot. Sam mi o tym mówiłeś, pamiętasz?

Westchnął.

– Więc do tego prowadzi szczerość. Nic dziwnego, że nigdy wcześniej nie miałem na nią ochoty. – Poczuli, że przysunęła się bliżej, tak że znaleźli się tuż obok siebie. Oplotła jego nogi swoimi i wtedy się odprężył. Wypiła swoje martini, potem drugie i w tym przytulnym boksie, mając ją u boku, doświadczył przelotnego poczucia posiadania. Zespół zaczął grać, Felipe sięgnął po trąbkę, a gdy na nich patrzyła, z twarzą rozświetloną płomieniem świec i wypisaną na niej przyjemnością, obserwował ją ukradkiem, mając niepojętą pewność, że żadna inna kobieta nie będzie w stanie wywołać w nim takiego uczucia.

– Zatańczymy?

Na parkiecie były już inne pary, kołysały się w takt muzyki w prawie całkowitej ciemności. Prowadził ją, wdychając zapach jej włosów, czując jej ciało przytulone do swojego ciała, pozwalając sobie wierzyć, że są tylko oni dwoje, muzyka i miękkość jej skóry.

– Jenny?

– Tak?

– Pocałuj mnie.

Z każdym pocałunkiem od tamtego pierwszego w Postman's Park musieli się kryć: w jego samochodzie, w cichej uliczce na przedmieściach, na zapleczu restauracji. Widział, jak na jej ustach maluje się protest: „Tutaj? Przy tych wszystkich ludziach?”. Czekał, aż mu powie, że to zbyt wielkie ryzyko. Ale być może zauważyła coś w jego twarzy i jej oblicze złagodniało, jak zwykle, gdy znajdowała się zaledwie kilka milimetrów od niego. Uniosła rękę do jego policzka, a potem pocałowała go czule i namiętnie.

– Wiesz, jestem przy tobie naprawdę szczęśliwa – powiedziała cicho, potwierdzając, że wcześniej szczęśliwa nie była. Wplotła palce w jego dłoń. Zaborczo, zdecydowanie. – Nie mogę udawać, że uszczęśliwia mnie ta sytuacja, ale ty owszem, uszczęśliwiasz mnie.

– Więc od niego odejdz. – Słowa wydobyły się z jego ust, zanim zdążył się zastanowić.

– Co?

– Odejdź od niego. Zamieszkać ze mną. Zaproponowano mi pracę za granicą. Moglibyśmy po prostu zniknąć.

– Nie rób tego.

– Czego?

– Nie mów w ten sposób. Wiesz, że to niemożliwe.

– Dlaczego? – powiedział. Słyszał roszczeniową nutę w swoim głosie. – Dlaczego to niemożliwe?

– Bo... właściwie wcale się nie znamy.

– Owszem, znamy się. Wiesz, że tak.

Pochylił głowę i jeszcze raz ją pocałował. Tym razem stawiała lekki opór. Przytulił ją, położył dłoń na jej krzyżu i poczuł, jak się z nim stapia. Muzyka ucichła, jedną ręką uniósł jej włosy nad karkiem, czując wilgoć pod spodem, i zastygł. Miała zamknięte powieki i odrobinę przechyliła głowę, leciutko rozchylając usta.

Otworzyła niebieskie oczy, przeszła go wzrokiem, a potem uśmiechnęła się omdlewająco półuśmiechem świadczącym o pożądaniu. Jak często zdarza się mężczyźnie widzieć taki uśmiech? Nie był to wyraz akceptacji, czułości, zobowiązania. „No dobrze, kochanie, skoro naprawdę chcesz?”. Jennifer Stirling go pragnęła. Pragnęła go tak, jak on pragnął jej.

– Strasznie mi gorąco – powiedziała, nie odrywając od niego oczu.

– W takim razie powinniśmy zaczerpnąć świeżego powietrza. – Wziął ją za rękę i poprowadził między tańczącymi parami. Czuł, że Jennifer się śmieje, uczipiając się koszuli na jego plecach. Dotarli do względnego zacisza korytarza, gdzie stłumił jej śmiech pocałunkami, zatapiając palce w jej włosach, czując pod wargami jej ciepłe usta. Z rosnącym zapałem odwzajemniała jego pocałunki, nie wahając się, nawet gdy usłyszeli czyjeś kroki. Poczuł, że jej ręce sięgają mu pod koszulę i dotyk jej palców był tak intensywnie przyjemny, że na chwilę stracił głowę. Co robić? Co robić? Pocałunki stawały się coraz głębsze, bardziej nagłace. Wiedział, że jeśli jej nie posiadzie, eksploduje. Odsunął się, nie odrywając dłoni od jej twarzy, zobaczył jej oczy przepełnione tęsknotą. Jej zarumieniona skóra dała mu odpowiedź.

Spojrzał w prawo. W lepkiem sierpniowym upale szatnia pozostawała zbędna, więc Sherrie nadal była pogrążona w lekturze. Nie zwracała na nich uwagi, od lat otaczały ją rozochocone pary.

– Sherrie – powiedział, wyjmując z kieszeni dziesięcioszylingowy banknot – może zrobiłabyś sobie przerwę na herbatę?

Uniosła brew, a potem wzięła pieniądze i ześlizgnęła się ze stołka.

– Dziesięć minut – powiedziała bez ogródek.

A potem Jennifer, chichocząc, poszła za nim do szatni i wstrzymała oddech, gdy najdalej, jak się dało, zaciągał ciemną zasłonę w małej wnęce.

Tu ciemność była miękka i zupełna, w powietrzu błąkał się zapach tysięcy pozostawionych płaszczy. Wtuleni w siebie, chwiejnie weszli w głąb pomieszczenia, druciane wieszaki stukały jeden o drugi nad ich głowami jak szepczące czynele. Nie widział jej, ale naprzeciw siebie miał jej twarz, opierała się plecami o ścianę, całowała go coraz bardziej nagłaco, mamrocząc jego imię.

W pewnym sensie już nawet wtedy wiedział, że ta kobieta doprowadzi go do zguby.

– Każ mi przestać – szepnął, kładąc rękę na jej piersi, czując suchość w gardle, wiedząc, że byłby to jedyny możliwy hamulec. – Każ mi przestać.

Pokręciła głową w niemej odmowie.

– O Boże – mruknął.

A potem oszaleli, łapała powietrze płytkimi haustami, oplotła nogą jego nogę. Wsunął ręce pod jej sukienkę, prześlizgując się po jedwabiu i koronce bielizny. Czuł jej palce przeczesujące mu włosy, jedną rękę sięgającą w stronę jego spodni, i poczuł się lekko wstrząśnięty, jakby zakładał, że jej wrodzone poczucie przyzwoitości wyklucza taki apetyt.

Czas zwolnił bieg, powietrze wokół nich zamieniło się w próżnię, ich oddechy zmieszały się ze sobą. Tkaniny odepchnięto na bok, nogi stały się wilgotne, zaparł się jedną, by utrzymać Jennifer w górze. A potem – Boże – był już w niej i na chwilę wszystko się zatrzymało: jego oddech, ruchy, jego serce. Być może cały świat. Poczul na ustach jej rozchylone wargi, usłyszał, jak wciąga powietrze. A potem zaczęli się poruszać i był jednością, czuł tylko jedność, ogłuchł na stukot wieszaków, stłumioną muzykę za ścianą, niewyraźny okrzyk kogoś witającego się z przyjacielem na korytarzu. Tu byli tylko on i Jennifer, poruszali się powoli, potem szybciej, objęła go mocniej, przestała się już śmiać, jego usta dotykały jej skóry, słyszał jej oddech w swoim uchu. Czuł narastającą gwałtowność jej ruchów, czuł, jak znika w jakiejś odległej części siebie samej. Pewna wciąż jeszcze racjonalna częśćka jego umysłu wiedziała, że nie powinni robić hałasu. Gdy więc usłyszał okrzyk wzbierający w głębi jej gardła, gdy odchyliła głowę, powstrzymał ten dźwięk ustami, wchłaniając go razem z jej rozkoszą, i zrobił to z taką pewnością, że stała się jego własną.

Zapośredniczenie.

A potem się zachwiali, złapał go skurcz i Anthony postawił ją z powrotem na podłodze. Stali wtuleni w siebie, objęci, czuł łzy na jej policzkach, gdy drżała, wiotka w jego ramionach. Potem nie mógł sobie przypomnieć, co jej wtedy powiedział. „Kocham cię. Kocham cię. Nigdy mnie nie opuszczaj. Jesteś taka piękna”. Pamiętał, jak czule ocierał jej łzy, pamiętał jej szeptane zapewnienia, półśmiechy, jej pocałunki, pocałunki, pocałunki.

A potem, jak na końcu dalekiego tunelu, rozległo się wymowne pokasływanie Sherrie. Jennifer poprawiła ubranie, pozwoliła, by przyglądził jej

spódnicę, a potem poczuł dotyk jej dłoni i poprowadziła go z powrotem kilka kroków ku światłu, prawdziwemu światu. Nogi nadal miał jak z waty, jego oddech jeszcze się nie uspokoił, a on już żałował, że opuścił ten mroczny raj.

– To było piętnaście minut – powiedziała Sherrie, nie odrywając wzroku od książki, gdy Jennifer wyszła na korytarz. Jej sukienka wyglądała schludnie i tylko potargane włosy z tyłu głowy świadczyły o tym, co się przed chwilą stało.

– Skoro tak twierdzisz. – Podsunął dziewczynie następny banknot.

Jennifer odwróciła się do niego, nadal zarumieniona.

– Mój but! – zawołała, unosząc jedną nogę w pończosze. Wybuchnęła śmiechem, zasłaniając usta. Na widok jej figlarniej miny też miał ochotę się roześmiać – wcześniej obawiał się, że Jennifer nagle pograży się w myślach albo w wyrzutach sumienia.

– Pójdę po niego – zaoferował, wchodząc z powrotem do szatni.

– I kto powiedział, że rycerzy już nie ma? – mruknęła Sherrie.

Szukał po omacku szmaragdowego jedwabnego buta, przeczesując drugą ręką włosy, na wypadek gdyby wyglądały tak niedwuznacznie jak jej. Miał wrażenie, że w powietrzu unosi się ciężka woń seksu zmieszana z nutkami perfum. Och, nigdy nie czuł niczego podobnego. Na chwilę zamknął oczy, przywołując niedawne doznania, dotyk jej...

– O, dobry wieczór, pani Stirling!

Znalazł but pod przewróconym krzesłem i usłyszał głos Jennifer, krótką, stłumioną rozmowę.

Gdy wyszedł na korytarz, przy szatni zobaczył młodego mężczyznę. W kąciu ust trzymał papierosa i obejmował ramieniem ciemnowłosą dziewczynę, która z entuzjazmem klaskała w takt muzyki.

– Co słychać, Reggie? – Jennifer wyciągnęła rękę, a tamten krótko ją uścisnął.

Anthony zobaczył, jak spojrzenie młodego mężczyzny przesuwa się w jego stronę.

– Wszystko w porządku. Pan Stirling też tu jest?

Nawet nie mrugnęła okiem.

– Laurence wyjechał w interesach. To Anthony, nasz przyjaciel. Był bardzo miły i zaprosił mnie dzisiaj do klubu.

Ręka wysunęła się w jego stronę.

– Jak się pan miewa?

Uśmiech Anthony'ego wyglądał jak grymas.

Reggie nie ruszył się z miejsca. Popatrzył tylko na włosy Jennifer, na jej lekko zarumienione policzki i jego znaczące spojrzenie stało się nieprzyjemne. Skinął w stronę jej stóp.

– Chyba... zgubiłaś but.

– To moje buty do tańca. Oddałam je do szatni i wydano mi mieszaną parę. Jakie to niemądre. – Mówiła opanowanym, pewnym głosem.

Anthony podał jej but.

– Znalazłem – powiedział. – Tamten postawiłem pod płaszczem. – Sherrie siedziała obok niego bez ruchu, z nosem w książce.

Reggie znacząco się uśmiechnął, delektując się zamieszaniem, które wywołał. Anthony zastanawiał się przez chwilę, czy czeka, aż zaproponują mu drinka lub zaproszą go do swojego grona, ale jeśli liczył na jedno albo drugie, był skończonym idiotą.

Na szczęście towarzyszka Reggiego pociągnęła go za rękę.

– Reggie, chodź. Popatrz, przyszła Mel.

– Obowiązki wzywają. – Reggie pomachał i odszedł, lawirując między stolikami. – Miłego... tańczenia.

– Niech to cholera – szepnęła. – Cholera. Cholera. Cholera.

Skierował ją z powrotem na salę.

– Napijmy się.

Wślizgnęli się do swojego boksu, uniesienie sprzed dziesięciu minut było już odległym wspomnieniem. Młody mężczyzna od początku nie podobał się Anthony'emu, ale za tę stratę byłby gotów go walnąć.

Jennifer wypijała martini jednym haustem. W innych okolicznościach wydałoby mu się to zabawne. Teraz jednak świadczyło o jej niepokoju.

– Przestań się denerwować – powiedział. – Nic na to nie poradzisz.

– A co jeśli on powie...

– Odejdiesz od Laurence'a. Proste.

– Anthony...

– Jenny, nie możesz z nim być. Nie po czymś takim. Przecież wiesz.

Wyjęła puderniczkę i wytarła rozmazany tusz pod oczami. Wyraźnie niezadowolona z efektu, gwałtownie ją zamknęła.

– Jenny?

– Zastanów się, o co mnie prosisz. Straciłabym wszystko. Rodzinę... całe życie. Byłabym zhańbiona.

– Ale miałabyś mnie. Uszczęśliwiłbym cię. Sama tak mówiłaś.

– W przypadku kobiet to wygląda inaczej. Byłabym...

– Weźmiemy ślub.

– Naprawdę myślisz, że Laurence kiedykolwiek da mi rozwód? Myślisz, że pozwoliby mi odejść? – Spochmurniała.

– Wiem, że to nie jest mężczyzna dla ciebie. Ja nim jestem. – Milczała, więc dodał: – Jesteś z nim szczęśliwa? Takiego życia pragniesz? Chcesz być więźniem w złotej klatce?

– Nie jestem więźniem. Nie bądź śmieszny.

– Po prostu tego nie widzisz.

– Nie. To ty wolisz to widzieć w ten sposób. Larry nie jest złym człowiekiem.

– Nie widzisz tego, Jenny, ale będziesz przy nim coraz bardziej nieszczęśliwa.

– Więc jesteś nie tylko pismakiem, ale i wróżbitą?

Nadal był oszołomiony i dlatego zachował się lekkomyślnie.

– On cię zmiążdży, zniszczy wszystko, dzięki czemu jesteś sobą. Jennifer, ten facet to głupiec, niebezpieczny głupiec, a ty jesteś zbyt zaślepiona, żeby to dostrzec.

Gwałtownie spojrzała mu w oczy.

– Jak śmiesz? Jak śmiesz?

Zobaczył łzy w jej oczach i żar w jego wnętrzu się rozpląnął. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Chciał otrzeć jej policzki, ale zatrzymała jego dłoń.

– Nie – mruknęła. – Reggie mógłby zobaczyć.

– Przepraszam. Nie chciałem doprowadzić cię do łez. Proszę, nie płacz.

Siedzieli w przygnębiającej ciszy, gapiąc się na parkiet.

– To po prostu bardzo trudne – mruknęła. – Myślałam, że jestem szczęśliwa. Myślałam, że mam udane życie. I nagle zjawiłeś się ty i nic... nic już nie ma sensu. Wszystko, co sobie zaplanowałam: domy, dzieci, wakacje, przestało mi być potrzebne. Nie śpię. Nie jem. Ciągle o tobie myślę. Wiem, że o tym też nie będę w stanie zapomnieć. – Skinęła w stronę szatni. – Ale myśl o odejściu od męża – pociągnęła nosem – działa na mnie jak spojrzeń w przepaść.

– W przepaść?

Wydychała nos.

– Zapłaciłabym wysoką cenę za miłość do ciebie. Rodzice by się mnie wyrzekli. Wszystko bym straciła. A ja nic nie potrafię, Anthony. Nadaję się tylko do takiego życia, jakie teraz wiodę. Co jeśli nawet nie potrafiłabym prowadzić naszego domu?

– Myślisz, że to mnie obchodzi?

– Zaczęłoby. W końcu. Mała rozpieszczona *tai-tai*. Tak o mnie początkowo myślałeś i miałaś rację. Potrafię rozkochać w sobie mężczyznę, ale nie umiem nic poza tym.

Drżała jej dolna warga. Był na siebie wściekły i żałował, że kiedykolwiek tak ją nazwał. Siedzieli w milczeniu i pogrążeni w myślach patrzyli, jak Felipe gra.

– Zaproponowano mi pracę – powiedział w końcu. – W Nowym Jorku, przy ONZ.

Odwróciła się do niego.

– Wyjeżdżasz?

– Posłuchaj, od lat byłem w rozsypce. W Afryce zupełnie się pogubiłem.

Będąc w domu, nie mogłem się doczekać ponownego wyjazdu. Nigdzie nie potrafiłem zagrać miejsca, nie potrafiłem uwolnić się od poczucia, że powinienem być gdzieś indziej, robić coś innego. – Wziął ją za rękę. – A potem poznałem ciebie. Nagle widzę przed sobą przyszłość. Widzę sens w ustatkowaniu się, zbudowaniu życia w jednym miejscu. Praca przy ONZ byłaby w sam raz. Po prostu chcę z tobą być.

– Nie rozumiesz. Nie mogę.

– Co?

– Boję się.

– Tego, co mógłby zrobić? – Narastała w nim wściekłość. – Myślisz, że się go boję? Myślisz, że nie zdołałbym cię ochronić?

– Nie. Nie, jego się nie boję. Proszę, mów ciszej.

– Boisz się tych nedorzecznych ludzi, z którymi się zadajesz? Naprawdę ci zależy na ich opinii? To puści głupcy z...

– Przestań! Nie chodzi o nich!

– W takim razie o co? Czego się boisz?

– Boję się ciebie.

Usiłował zrozumieć.

– Przecież nigdy bym nie...

– Boję się tego, co do ciebie czuję. Boję się kochać kogoś aż tak bardzo. – Załamał jej się głos. Złożyła serwetkę i zaczęła ją obracać w szczupłych palcach. – Kocham go, ale inaczej. Bardzo go lubię i jednocześnie nim gardzę, ale przeważnie jest nam ze sobą całkiem dobrze i już się przystosowałam, i wiem, że mogę tak żyć. Rozumiesz? Wiem, że mogę tak żyć do końca moich dni i że nie będzie tak źle. Wiele kobiet ma gorzej.

– A ze mną?

Tak długo zwlekała z odpowiedzią, że prawie ponowił pytanie.

– Jeśli pozwolę sobie cię kochać, ta miłość mnie pochłonie. Nie będzie niczego oprócz ciebie. Żyłabym w ciągłym strachu, że zmienisz zdanie. A gdybyś je zmienił, umarłabym.

Wziął ją za ręce i uniósł je do swoich ust, nie zważając na jej ciche protesty. Pocałował jej opuszki. Pragnął wchłonąć ją całą. Pragnął owinąć się wokół niej i nigdy jej nie wypuścić.

– Jennifer, kocham cię – powiedział. – Nigdy nie przestanę cię kochać. Nigdy wcześniej nikogo nie kochałem i nigdy nie pokocham nikogo oprócz ciebie.

– Teraz tak mówisz – powiedziała.

– Bo to prawda. – Pokręcił głową. – Nie wiem, co jeszcze chciałabyś usłyszeć.

– Nic. Powiedziałaś wszystko. Mam twoje piękne słowa na papierze. – Odsunęła rękę i sięgnęła po martini. Gdy znowu się odezwała, zabrzmiało to, jakby

mówiła do siebie. – Ale to niczego nie ułatwia.

Odsunęła nogę od jego nogi. Sprawiała mu tym ból.

– Co ty mówisz? – Starał się zapanować nad głosem. – Kochasz mnie, ale nie ma dla nas nadziei?

Jej twarz lekko się wykrzywiła.

– Anthony, chyba obydwójce wiemy... – Nie dokończyła.

Nie musiała.

Arthur James nie jest już „w związku”.
Aktualizacja statusu na Facebooku
przesłana kobiecie przez mężczyznę (nazwisko zmienione)

Patrzyła, jak pani Stirling znika z imprezy firmowej, a pan Stirling, coraz bardziej zdenerwowany, w końcu z hukiem odstawia szklaneczkę i idzie za żoną na korytarz. Moira Parker niemal drżała z podniecenia, miała ochotę pójść za nim, zobaczyć, co się dzieje, ale starczyło jej samokontroli, by zostać tam, gdzie była. Chyba nikt inny nie zauważył jego wyjścia.

W końcu wrócił na imprezę. Obserwowała go za unoszącymi się i opadającymi głowami ludzi, samotnego jak rozbitek na bezludnej wyspie. Jego twarz zdradzała niewiele emocji, lecz Moira zauważyła na niej napięcie, którego nawet ona nigdy wcześniej nie widziała.

Co tam się stało? Co Jennifer Stirling robiła z tamtym młodym człowiekiem?

Rozbłysła w niej wręcz nieprzyzwoita iskierka zadowolenia, karmiąc jej wyobraźnię, aż ta zapłonęła. Być może coś sprawiło, że dostrzegł w swojej żonie samolubne stworzenie, którym naprawdę była. Moira wiedziała, że po ponownym otwarciu biura wystarczyłoby zaledwie kilka słów, by wzięto zachowanie tej kobiety na języki. Ale to by oznaczało, pomyślała z nagłą melancholią, że wezmą na języki także pana Stirlinga, a na myśl, że ten odważny, dostojny, stoicki mężczyzna mógłby się stać obiektem niepoważnych sekretarskich plotek, serce ścisnęło jej się w piersi. Jak mogłaby go upokorzyć w tym jedynym miejscu, gdzie powinien być uważany za lepszego od całej reszty?

Moira stała bezradnie na drugim końcu sali, bojąc się podjąć próbę pocieszenia szefa, lecz była tak daleka od imprezujących współpracowników, że równie dobrze mogłaby się znajdować w innym pomieszczeniu. Patrzyła, jak pan Stirling podchodzi do prowizorycznego baru i z grymasem na twarzy przyjmuje kubeczek czegoś, co wyglądało na whisky. Wychylił zawartość jednym haustem i poprosił o następny. Po trzecim kiwnął głową do ludzi wokół i poszedł do swojego gabinetu.

Moira zaczęła się przeciskać przez tłum. Była za piętnaście jedenasta. Muzyka ucichła i ludzie powoli wychodzili. Ci, którzy zostali, wyraźnie zamierzali jeszcze gdzieś pójść, znaleźć się z dala od oczu kolegów i koleżanek z pracy. Za wieszakiem na płaszcze Stevens całował tę rudą maszynistkę, jakby nikt nie mógł ich tam zobaczyć. Spódnica podjechała dziewczynie do połowy uda i jego pulchne palce gmerały przy cielistych podwiązkach wystawionych teraz na widok publiczny. Moira uświadomiła sobie, że goniec, który poszedł pomóc Elsie Machzynski złapać taksówkę, już nie wrócił, i zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć później Elsie, by dać jej do zrozumienia, że to zauważyła, nawet jeśli całej reszcie to umknęło. Czy wszyscy oprócz niej mieli obsesję na punkcie spraw cielesnych? Czy oficjalne pozdrowienia, uprzejme codzienne rozmowy były jedynie przykrywką dla bachicznej natury, której ona nie miała?

– Idziemy do klubu Cat's Eye. Masz ochotę się przyłączyć, Moiro? Trochę się rozerwiesz.

– Och, nie będzie chciała – wtrąciła Felicity Harewood z takim lekceważeniem, że na krótką chwilę Moira zapragnęła zaskoczyć ich wszystkich i powiedzieć: „O, chętnie, właściwie to pójdę z wami z przyjemnością”. Tylko że w gabinecie pana Stirlinga paliło się światło. Moira postąpiła tak, jak postąpiłaby każda odpowiedzialna osobista asystentka dyrektora naczelnego. Została, żeby posprzątać.

Gdy skończyła, dochodziła pierwsza w nocy. Nie wszystko zrobiła sama: nowa dziewczyna z księgowości trzymała worek, gdy Moira zbierała puste butelki, a kierownik sprzedaży, wysoki mężczyzna z RPA, pomógł pozbierać papierowe kubki, głośno śpiewając w damskiej szatni. W końcu została tylko Moira, by wyszorować plamy na linoleum, które można było jeszcze wywabić, oraz usunąć za pomocą szczotki i szufelki chipsy i orzeszki jakimś cudem wdeptane w płytki na podłodze. Mężczyźni mogą przesunąć biurka na miejsce po przerwie świątecznej. Pomijając kilka szeleszczących serpentyn, biuro znów wyglądało prawie jak miejsce pracy.

Spojrzała na sponiewieraną choinkę. Ozdoby zostały potłuczone albo zaginęły, a z boków małej skrzynki pocztowej, prawie całkiem zmiażdżonej przez kogoś, kto na niej usiadł, żałośnie zwisała krepina. Moira cieszyła się, że jej matka nie żyje i nie może zobaczyć swoich drogocennych błyskotek tak niedbale porzrzucanych.

Gdy pakowała ostatnie przedmioty, kątem oka zobaczyła pana Stirlinga. Siedział w swoim skórzanym fotelu, twarz ukrył w dłoniach. Na stoliku obok drzwi została resztką alkoholu, a Moira pod wpływem jakiegoś impulsu naląła do kubka whisky na dwa palce. Przeszła przez biuro i zapukała. Nadal miał zawiązany krawat. Był oficjalny nawet o tej porze.

– Właśnie sprzątałam – powiedziała, gdy utkwiał w niej wzrok. Poczowała nagłe skrępowanie.

Spojrzał przez szybę, a ona uświadomiła sobie, że nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

– Bardzo miło z twojej strony, Moiro – odrzekł cicho. – Dziękuję. – Wziął od niej whisky i wypił, tym razem powoli.

Moira patrzyła na przygnębioną minę szefa, na jego drżące ręce. Stała obok rogu jego biurka, tym razem przekonana, że jej obecność w tym miejscu jest uzasadniona. Na jego biurku w schludnych stosikach leżały pisma, które zostawiła mu do podpisu poprzedniego dnia. Miała wrażenie, że to było wieki temu.

– Wypije pan jeszcze jednego? – spytała, gdy skończył. – W butelce trochę jeszcze zostało.

– Chyba mam już dość. – Zapadła przedłużająca się cisza. – Moiro, co ja

mam zrobić? – Pokręcił głową, jakby właśnie toczył jakiś wewnętrzny spór, którego nie mogła usłyszeć. – Daję jej wszystko. Wszystko. Nigdy jej niczego nie brakowało.

Mówił słabym, łamiącym się głosem.

– Podobno wszystko się zmienia. Kobiety pragną czegoś nowego... Bóg jeden wie czego. Czy wszystko musi się zmieniać?

– Nie wszystkie kobiety – powiedziała cicho. – Ogromna liczba kobiet uważa, że cudownie byłoby mieć męża, który zapewniłby im byt, o którego mogłyby dbać i któremu mogłyby stworzyć dom.

– Tak myślisz? – Jego oczy były zaczerwienione ze zmęczenia.

– Och, ja to wiem. Mężczyzna, któremu można podać drinka, kiedy wróci do domu, któremu można gotować i trochę nadszkakiwać. Jak dla mnie... to byłoby absolutnie urocze – ubarwiała.

– W takim razie dlaczego... – westchnął.

– Proszę pana – powiedziała nagle – jest pan cudownym szefem. Cudownym człowiekiem. Naprawdę – brnęła dalej. – Pana żona ma ogromne szczęście. Na pewno o tym wie. A pan nie zasługuje na... nie zasłużył pan sobie na... – Umilkła, bo nawet gdy to mówiła, wiedziała, że łamie jakiś niepisany kodeks. – Bardzo przepraszam – powiedziała, gdy milczenie po jej słowach stało się krępujące. – Nie chciałam nadużywać...

– Czy to źle – wszedł jej w słowo, mówiąc tak cicho, że z początku nie była pewna, co powiedział – że mężczyzna chce, by ktoś go przytulił? Czy staje się przez to mniej męski?

Poczuła, jak łyzy szczypią ją w oczy... a pod nimi poczuła coś jeszcze, coś przebieglejszego i cwańszego. Przysunęła się trochę i lekko objęła go ramieniem. Och, jak dobrze było go dotknąć! Był wysoki i barczysty, marynarka tak pięknie leżała mu na ramionach. Wiedziała, że będzie wspominać tę chwilę do końca swoich dni. Ta jego bliskość, możliwość dotknięcia go... Omal nie zemdląła z rozkoszy.

W żaden sposób jej nie powstrzymał, więc pochyliła się lekko i z zapartym tchem położyła głowę na jego ramieniu. Gest pocieszenia, solidarności. A więc to takie uczucie, pomyślała błogo. Zapragnęła, tylko przez chwilę, by ktoś zrobił im zdjęcie w tej intymnej pozie. Potem szef podniósł głowę, a ona poczuła nagłe ukłucie niepokoju oraz wstydu.

– Bardzo przepraszam... Pójdę po... – Stała prosto, krztusząc się własnymi słowami. Jego ręka spoczywała już jednak na jej dłoni. Ciepła. Bliska.

– Moiro – powiedział. Miał przymknięte oczy, głos ochrypły z rozpaczy i pożądania. Jego dłonie znalazły się na jej twarzy, przechyliły ją, pociągnęły w dół, ku swojej, a jego usta z rozpaczą i determinacją szukały jej ust. Wyrwał jej się dźwięk, zduszony okrzyk wyrażający wstrząs i zachwyt, a potem odwzajemniła

pocałunek. Był zaledwie drugim mężczyzną, z którym się całowała, i ten drugi przypadek, ubarwiony latami nieodwzajemnionej tęsknoty, daleko wykraczał poza to, co było przedtem. Nastąpiły w niej małe eksplozje: jej krew pędziła z zawrotną prędkością, a serce usiłowało wyrwać się z piersi.

Poczuła, jak pan Stirling sadza ją na biurku, jego mamrotanie stało się ochryple i nagłace, jego ręce były na jej kołnierzyku, na jej piersiach, jego ciepły oddech na jej obojczyku. Nie miała doświadczenia i nie za bardzo wiedziała, co zrobić z rękami, z nogami, ale przywarła do niego, pragnąc go zadowolić, zagubiona w nowych doznaniach. Uwielbiam cię, mówiła mu w myślach. Weź ode mnie, co chcesz.

Oddając się przyjemności, wiedziała jednak, że jakaś część jej musi pozostać wystarczająco świadoma, żeby to zapamiętać. Nawet gdy ją objął, gdy w nią wszedł, gdy miała zadartą spódnicę, a jego kałamarz nieprzyjemnie wpijał jej się w ramię, wiedziała, że nie stanowi żadnego zagrożenia dla Jennifer Stirling. Wszystkie Jennifer tego świata na zawsze miały pozostać najwyższym trofeum, a takie kobiety jak ona mogły o tym tylko pomarzyć. Lecz Moira Parker miała pewną przewagę: doceniała mężczyznę w sposób, w jaki Jennifer Stirling i inne kobiety, które dostawały wszystko na tacy, nie byłyby w stanie go docenić. Wiedziała, że nawet jedna krótka noc może być najcenniejszą ze wszystkich cennych rzeczy i że jeśli to miał być najbardziej doniosły moment jej życia uczuciowego, to jakaś część jej powinna zachować wystarczającą przytomność, by gdzieś go bezpiecznie zarejestrować. Dzięki temu będzie mogła przeżywać to wszystko ponownie w te niekończące się wieczory, gdy znowu będzie sama.

Kiedy przyszedł, siedziała w ogromnym salonie w przedniej części domu. Miała na sobie tweedowy rozkloszowany płaszcz malinowego koloru i kapelusz, torebka z czarnej lakierowanej skóry i pasujące do niej rękawiczki spoczywały schludnie na jej kolanach. Usłyszała nadjeżdżający samochód, zobaczyła, jak gasną reflektory za oknem, i wstała. Lekko odchyliła zasłonę i patrzyła, jak jej mąż siedzi za kierownicą, pozwalając myślom płynąć w takt cichnącego silnika.

Spojrzała na stojące z tyłu walizki, a potem odsunęła się od okna.

Wszedł do środka i rzucił płaszcz na krzesło w holu. Usłyszała, jak kluczyki wpadają do miski, którą postawili w tym celu na stoliku, a potem rozległ się stukot czegoś, co się przewróciło. Zdjęcie ślubne? Przed drzwiami do salonu chwilę się wahał. W końcu je otworzył i zastał ją w środku.

– Myślę, że powinnam odejść. – Zobaczyła, jak jego wzrok podąża w stronę spakowanej walizki u jej stóp, tej, którą miała, wychodząc ze szpitala wiele tygodni wcześniej.

– Myślisz, że powinnas odejść.

Wzięła głęboki oddech. Wypowiedziała słowa, które ćwiczyła od dwóch godzin.

– Żadne z nas nie jest w tym związku zanadto szczęśliwe. Obydwoje o tym wiemy.

Minął ją, podszedł do barku i nalał sobie whisky na trzy palce. Widząc, jak trzyma karafkę, zaczęła się zastanawiać, ile wypił, odkąd pojechała do domu. Wziął szklaneczkę ze rżniętego szkła, podszedł z nią do fotela i ciężko usiadł. Podniósł wzrok i przez kilka minut patrzył jej w oczy. Z trudem zdołała wytrzymać to spojrzenie.

– Więc... – zaczął – masz na oku coś innego? Coś, co cię uszczęśliwi? – Jego głos brzmiał sarkastycznie, nieprzyjemnie. Alkohol coś w nim wyzwolił. Ona jednak się nie bała. Cieszyła się wolnością wynikającą z przekonania, że nie będzie obecny w jej przyszłości.

Wpatrywali się w siebie jak walczący, którzy toczą niełatwy bój.

– Ty wiesz, prawda? – powiedziała.

Wypił trochę whisky, nie odrywając oczu od jej twarzy.

– O czym, Jennifer?

Wzięła oddech.

– Że kocham kogoś innego. I że to nie jest Reggie Carpenter. To nigdy nie był on. – Mówiąc, gmerała przy torebce. – Zrozumiałam to dziś wieczorem. Reggie był pomyłką, odejściem od prawdy. Ale ty ciągle jesteś na mnie zły. Odkąd wyszłam ze szpitala. Bo wiesz, tak samo jak ja, że kocha mnie ktoś inny, ktoś, kto nie boi się mi o tym mówić. Dlatego nie chciałeś, żebym zadawała pytania. Dlatego moja matka, i cała reszta, tak bardzo mnie namawiała, żebym po prostu żyła dalej. Nie chcieliście, żebym pamiętała. Nie chcieliście.

Chyba myślała, że jej mąż eksploduje ze złości. On jednak pokiwał głową. Po chwili uniósł kieliszek w toaście, a ona wstrzymała oddech.

– No więc... o której zjawi się ten twój kochanek? – Spojrzał na zegarek, a następnie na jej bagaż. – Zakładam, że po ciebie przyjedzie.

– On... – Przełknęła ślinę. – To... to nie tak.

– Więc jesteś z nim gdzieś umówiona.

Był taki spokojny. Prawie jakby dobrze się bawił.

– Niedługo będę. Tak.

– Niedługo – powtórzył. – Skąd ta zwłoka?

– Bo... nie wiem, gdzie on jest.

– Nie wiesz, gdzie on jest. – Laurence wychylił whisky. Wstał z wysiłkiem i nalał sobie następną.

– Nie pamiętam, przecież wiesz. Powoli wszystko wraca i nie mam jeszcze jasnego obrazu sytuacji, ale wiem, że tu – wskazała gestem salon – z jakiegoś powodu jest mi źle. Jest mi źle, dlatego że kocham kogoś innego. Więc bardzo mi przykro, ale muszę odejść. To słuszna decyzja. Dla nas obojga.

Pokiwał głową.

– Czy mogę spytać, co takiego ma ten dżentelmen, twój kochanek, czego ja nie mam?

Za oknem zamrugła latarnia.

– Nie wiem – przyznała. – Wiem tylko, że go kocham. A on kocha mnie.

– Och, wiesz, tak? I co jeszcze wiesz? Gdzie on mieszka? Jak zarabia na życie? Jak zapewni utrzymanie kobiecie o tak wyrafinowanych gustach? Kupi ci nowe sukienki? Zapewni gosposię? Bizuterię?

– Te rzeczy mnie nie obchodzą.

– Dawniej bardzo cię obchodziły.

– Zmieniłam się. Wiem tylko, że on mnie kocha, i tak naprawdę jedynie to się liczy. Możesz ze mnie drwić do woli, Laurence, ale nie wiesz...

Zerwał się z miejsca, a ona się cofnęła.

– O, Jenny, o twoim kochanku wiem wszystko – wrzasnął. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki zmiętą kopertę i zaczął nią wymachiwać. – Naprawdę chcesz wiedzieć, co ci się przydarzyło? Naprawdę chcesz wiedzieć, gdzie jest twój kochanek? – Wokół fruwały kropelki śliny, a jego oczy płonęły żądzą mordy.

Zamarła i oddech uwiązał jej w gardle.

– Nie po raz pierwszy ode mnie odchodzisz. O nie. Wiem o tym, tak samo jak wiem o nim, dlatego że po wypadku znalazłem w twojej torebce list.

Zobaczyła na kopercie znajomy charakter pisma i nie była w stanie oderwać od niego oczu.

– To od niego. Prosi, żebyś się z nim spotkała. Chce, żebyście razem uciekli. Ode mnie. Tylko we dwoje. By zacząć nowe życie. – Skrzywił się, trochę ze złości, trochę ze smutku. – Już sobie przypominasz, kochanie? – Rzucił w nią listem, a ona złapała kopertę drżącymi palcami. Otworzyła i przeczytała:

Moja Najdroższa i Jedyna Miłości,

mówiłem szczerze. Doszedłem do wniosku, że jedynym wyjściem z naszej sytuacji jest podjęcie przez któreś z nas odważnej decyzji [...]

Zamierzam przyjąć tę posadę. W piątek kwadrans po siódmej wieczorem będę na czwartym peronie na Paddington [...]

– Coś ci to mówi, Jenny?

– Tak – szepnęła. Przez jej umysł przemknęły obrazy. Ciemne włosy. Pognieciona lniana marynarka. Mały park pełen mężczyzn ubranych na niebiesko.

Boot.

– Tak, znasz go? Tak, wszystko sobie przypomniałaś?

– Tak, przypominam sobie... – Prawie go widziała. Był już tak blisko.

– Najwidoczniej nie wszystko.

– O czym ty...?

– Jennifer, on nie żyje. Zginął w wypadku. Ty przeżyłaś, a twój przyjaciel

zginął. Według policji to była śmierć na miejscu. Więc nikt na ciebie nie czeka. Nikogo nie ma na stacji Paddington. Nie ma już nikogo, kogo mogłabyś pamiętać, do cholery.

Salon zaczął wirować. Słyszała, jak jej mąż mówi, ale słowa straciły sens, nie były zakorzenione w żadnym znaczeniu.

– Nie – powiedziała, trzęsąc się.

– Och, obawiam się, że tak. Pewnie mógłbym gdzieś znaleźć policyjne raporty, jeśli naprawdę potrzebujesz dowodu. My, ja i twoi rodzice, z oczywistych powodów zadbaliliśmy, żeby twoje nazwisko nie znalazło się w gazetach. Ale o jego śmierci poinformowano.

– Nie. – Odepchnęła go i zaczęła rytmicznie uderzać go pięściami w tors. Nie, nie, nie. Nie chciała go dłużej słuchać.

– Zginął na miejscu.

– Przestań! Przestań tak mówić! – Rzuciła się na niego gwałtownie, nie panując nad sobą, krzycząc. Słyszała swój głos jakby z oddali, miała niejasną świadomość, że jej pięści spadają mu na twarz, klatkę piersiową, a potem jego silniejsze ręce chwyciły ją za nadgarstki i unieruchomiły.

Był niewzruszony. Tego, co powiedział, nie sposób było cofnąć.

Boot zginął.

Opadła na fotel i Laurence w końcu ją puścił. Miała wrażenie, że się skurczyła, jakby salon urósł i ją pochłoniął. „Moja Najdroższa i Jedyna Miłości”. Spuściła głowę, żeby widzieć tylko podłogę, a łzy spływały jej po nosie i kapwały na drogi dywan.

Po dłuższej chwili podniosła głowę i spojrzała na niego. Miał zamknięte oczy, jakby ta scena była dla niego zbyt nieprzyjemna.

– Skoro wiedziałeś – zaczęła – skoro zauważyłeś, że zaczynam sobie przypominać, dlaczego... dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy?

Złość już mu minęła. Siedział w fotelu naprzeciwko i nagle wydał jej się zrezygnowany.

– Bo miałem nadzieję... Kiedy zdałem sobie sprawę, że niczego nie pamiętasz, miałem nadzieję, że zdołamy to przezwyciężyć. Że będziemy mogli po prostu żyć dalej, jakby to się w ogóle nie wydarzyło.

„Moja Najdroższa i Jedyna Miłości”.

Nie miała dokąd iść. Boot nie żył. Przez cały ten czas był martwy. Czuli się niemądra, osamotniona, jakby wyobraziła sobie to wszystko w przypiływie dziewczęcej słabości.

– Poza tym – głos Laurence’a przerwał ciszę – nie chciałem, żebyś musiała dźwigać poczucie winy związane ze świadomością, że gdyby nie ty, ten człowiek nadal mógłby żyć.

Wtedy to poczuła. Ból tak ostry, jakby wbito ją na pal.

– Bez względu na to, co o mnie myślisz, Jennifer, uznałem, że będziesz szczęśliwsza, jeśli się o tym nie dowiesz.

Czas mijał. Potem nie potrafiła określić, czy były to godziny, czy minuty. Po chwili Laurence wstał. Nalał sobie i wypił kolejną szklaneczkę whisky – z taką łatwością, jakby to była woda. Potem starannie odstawił szkło na srebrną tacę.

– Więc co teraz będzie? – spytała smutno.

– Idę do łóżka. Jestem skonany. – Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. – Proponuję, żebyś zrobiła to samo.

Po jego wyjściu jeszcze przez jakiś czas siedziała w salonie. Słyszała, jak on ciężko porusza się na piętrze, docierały do niej odgłosy jego zmęczonych, pijanych kroków i skrzypienie łóżka, gdy się kładł. Był w głównej sypialni. W jej sypialni.

Jeszcze raz przeczytała list. Czytała o przyszłości, która nie miała już być jej udziałem. O miłości, bez której nie potrafiła żyć. Czytała słowa mężczyzny, który kochał ją bardziej, niż nawet on sam umiał wyrazić, mężczyzny, za którego śmierć niechcący ponosiła odpowiedzialność. Wreszcie zobaczyła jego twarz: ożywioną, pełną nadziei i miłości.

Jennifer Stirling osunęła się na podłogę, skuliła z listem przyciśniętym do piersi i zaczęła cicho płakać.

Drogi J. [...] Wiem, że zachowałam się jak jędza i przepraszam. Wiem, że jutro wracasz do domu, ale nie będę mogła się z Tobą zobaczyć. Biorę ślub z Davidem w *** i nie będziemy się więcej spotykać. W głębi serca Cię kocham, ale z drugiej strony Davida kocham jeszcze bardziej. Pa, G. xxx

Z listu kobiety do mężczyzny

Zobaczył ich przez okno w kawiarni, częściowo zaparowane, mimo że był to wieczór pod koniec lata. Jego syn siedział przy stoliku najbliższej szyby i machając nogami, czytał menu. Anthony przystanął na chodniku, patrząc na jego dłuższe niż poprzednim razem kończyny i zauważając brak krągłości, które charakteryzowały go jako dziecko. Widział już zarys mężczyzny, na jakiego może wyrosnąć. Poczł, jak serce ściska mu się w piersi. Włożył paczkę pod pachę i wszedł do środka.

Kawiarnię wybrała Clarissa, był to ogromny, gwarny lokal, w którym kelnerki nosiły staromodne uniformy i białe fartuszki. Nazwała go herbaciarnią, jakby słowo „kawiarnia” wprawiało ją w zakłopotanie.

– Phillip?

– Tatuś?

Stanął obok stolika, odnotowując z przyjemnością uśmiech, który na jego widok pojawił się na ustach chłopca.

– Witaj, Clarisso – dodał.

Od razu zauważył, że jest mniej zagniewana. Przez kilka ostatnich lat widział w jej twarzy napięcie, które budziło w nim poczucie winy, ilekroć się spotykali. Tym razem spojrzała na niego z pewnym zaciekawieniem, tak jak patrzy się na coś, co może się odwrócić i ugryźć: badawczo i z dystansem.

– Bardzo dobrze wyglądasz – powiedział.

– Dziękuję – odrzekła.

– A ty urosłeś – zwrócił się do syna. – Mój Boże, przybyło ci chyba z piętnaście centymetrów w dwa miesiące.

– W trzy. W tym wieku to normalne. – Usta Clarissy ułożyły się w grymas lekkiej dezaprobaty, którą tak dobrze znał. Na chwilę przypomniały mu się usta Jennifer. Wątpił, żeby kiedykolwiek widział na nich ten wyraz. Być może nie pozwalała na to ich budowa.

– A u ciebie... wszystko w porządku? – spytała, nalewając mu filiżankę herbaty i przesuwając ją w jego stronę.

– W najlepszym, dziękuję. Ciężko pracuję.

– Jak zwykle.

– Tak. A co u ciebie, Phillipie? Dobrze ci idzie w szkole?

Jego syn siedział z nosem w menu.

– Odpowiedz ojcu.

– W porządku.

– Cieszę się. Nadal zbierasz dobre oceny?

– Mam tu jego świadectwo. Pomyślałam, że będziesz chciał zobaczyć. – Pogrzebała w torebce i podała mu je.

Anthony z niespodziewaną dumą przeczytał powtarzające się pochwały

„dobrego charakteru” Phillipa i jego „szczerych starań”.

– Jest kapitanem drużyny piłkarskiej. – Nie była w stanie stłumić zadowolenia w swoim głosie.

– Dobrze się spisałeś. – Poklepał syna po ramieniu.

– Codziennie wieczorem odrabia lekcje. Pilnuję tego.

Phillip unikał jego wzroku. Czy Edgar zdążył już wypełnić dziurę w kształcie ojca, która, jak obawiał się Anthony, istniała w życiu Phillipa? Czy grał z nim w krykieta? Czytał mu książki? Anthony poczuł narastające przygnębienie i upił duży łyk herbaty, próbując wziąć się w garść. Skinął na kelnerkę i zamówił talerz ciast.

– Największy, jaki macie. Świątujemy zbliżające się urodziny – powiedział.

– Nie będzie chciał jeść kolacji – powiedziała Clarissa.

– Przecież to tylko ten jeden raz.

Odwróciła się, jakby ugryzienie się w język wymagało od niej wielkiego wysiłku.

Kawiarniany gwar wokół nich zdawał się narastać. Ciasta przyniesiono na piętrowej srebrnej paterze. Zobaczył, jak spojrzenie jego syna przesuwają się w ich stronę, i skinął, zachęcając chłopca, żeby się poczęstował.

– Zaproponowano mi nową pracę – powiedział, gdy milczenie stało się zbyt krępujące.

– Dla „Nation”?

– Tak, ale w Nowym Jorku. Ich człowiek przy ONZ odchodzi na emeryturę i spytali, czy chciałbym na rok zająć jego miejsce. Zapewniają mieszkanie w samym sercu miasta. – Gdy Don mu o tym powiedział, nie mógł uwierzyć własnym uszom. To świadczyło, jak bardzo w niego wierzą, oznajmił Don. Jeśli się sprawdzi, to kto wie, może za rok znów ruszy w teren.

– Bardzo fajnie. – Wzięła mały kawałek ciasta z kremem i położyła go sobie na talerzu.

– Trochę mnie to zaskoczyło, ale to dobra okazja.

– Tak. No cóż. Zawsze lubiłeś podróże.

– To nie będzie podróż. Będę pracował w mieście.

Gdy Don o tym wspomniał, Anthony odczuł niemal ulgę. Pomyślał, że to rozwiąże wszystkie jego dylematy. Miałby lepszą pracę, a Jennifer mogłaby wyjechać razem z nim, zaczęliby nowe życie... i choć starał się o tym nie myśleć, wiedział, że jeśli nie zechce z nim wyjechać, będzie miał dokąd uciec. Londyn był już z nią nierozzerwalnie związany: wszędzie znajdowały się miejsca naznaczone ich wspólnymi chwilami.

– W każdym razie będę przyjeżdżał kilka razy w roku. Pamiętam, co mówiłaś, ale chciałbym pisać listy.

– No nie wiem...

– Chciałbym pisać Phillipowi o tym, jak tam żyję. Może nawet mógłby mnie odwiedzić, kiedy trochę podrośnie.

– Edgar uważa, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli powstrzymamy się od komplikowania sytuacji. On nie lubi... zamieszania.

– Edgar nie jest ojcem Phillipa.

– Jest nim w większym stopniu, niż ty kiedykolwiek byłeś.

Spiorunowali się wzrokiem.

Ciasto Phillipa leżało na środku talerzyka, a on siedział z dłońmi wsuniętymi pod uda.

– W każdym razie lepiej o tym teraz nie rozmawiajmy. Phillip ma urodziny. – Zdobył się na weselszy ton. – Domyślam się, że chciałbyś zobaczyć swój prezent.

Jego syn milczał. Chryste, pomyślał Anthony. Dlaczego mu to robimy? Sięgnął pod stolik i wyjął ogromną prostokątną paczkę.

– Jeśli chcesz, możesz poczekać z otwarciem do wielkiego dnia, ale mama powiedziała mi, że... że jutro wszyscy razem wychodzicie, więc pomyślałem, że chyba wolałbyś zrobić to teraz.

Podał synowi prezent. Phillip wziął go i niepewnie spojrzął na matkę.

– Chyba możesz go otworzyć już dzisiaj, jutro nie będziesz miał za dużo czasu – powiedziała, próbując się uśmiechnąć. – Przepraszam was na chwilę, muszę przypudrować nos. – Patrzył, jak idzie między stolikami, i zastanawiał się, czy te rozmowy przygnębiają ją równie mocno jak jego. Może poszła poszukać automatu telefonicznego, z którego mogłaby zadzwonić do Edgara i poskarżyć się na nierozsądnego byłego męża.

– No, dalej – zachęcił chłopca. – Otwórz.

Uwolnwszy się spod kurateli matki, Phillip trochę się ożywił. Rozdarł szary papier, a potem, widząc, co kryje się pod spodem, znieruchomiał zdjęty trwogą.

– To kolejka marki Hornby – powiedział Anthony. – Najlepsza, jaką można kupić. Flying Scotsman. Słyszałeś o niej?

Phillip kiwnął głową.

– W komplecie jest kawał torów. Nakłoniłem sprzedawcę, żeby dorzucił mały dworzec i jakieś ludziki. Są w tym worku. Myślisz, że dasz radę to złożyć?

– Poproszę Edgara, żeby mi pomógł.

To było jak mocne kopnięcie w zębra. Anthony z wysiłkiem wytrzymał ból. W końcu to nie była wina chłopca.

– Tak – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Na pewno pomoże.

Przez chwilę milczeli. Potem Phillip wyciągnął rękę, złapał swój kawałek ciasta i wepchnął go do ust, bezmyślnie ulegając przyjemnemu łakomstwu. Potem wybrał następny, z czekoladą, i konspiracyjnie puścił oko do ojca, po czym posłał ciasto w ślad za pierwszym kawałkiem.

– Więc jednak się cieszysz ze spotkania ze swoim staruszkiem?

Phillip przysunął się i położył głowę na klatce piersiowej Anthony'ego. Ojciec objął go ramieniem i mocno przytulił, wdychając zapach jego włosów i czując instynktowne przyciąganie, na które tak bardzo starał się nie zwracać uwagi.

– Już lepiej się czujesz? – spytał chłopiec, kiedy się odsunął. Brakowało mu zęba z przodu.

– Słucham?

Phillip zaczął wyjmować silnik z pudełka.

– Mama mówiła, że nie byłeś sobą i dlatego do mnie nie pisałeś.

– Tak. Już jest lepiej.

– Co się stało?

– W... Afryce działy się nieprzyjemne rzeczy. Rzeczy, które mnie przygnębiały. Rozchorowałem się, a poza tym zachowywałem się dość niemądrze i za dużo piłem.

– Rzeczywiście, trochę niemądrze.

– Tak. To prawda. Więcej tego nie zrobię.

Clarissa wróciła do stolika. Ze zdziwieniem zauważył, że ma zaróżowiony nos i czerwone oczy. Próbował się uśmiechnąć. Odpowiedziała mu bladym uśmiechem.

– Prezent mu się podoba – powiedział.

– Mój Boże. Rzeczywiście, taki prezent to nie byle co. – Spojrzała na lśniący silnik, na wyraźną radość syna, i dodała: – Mam nadzieję, że powiedzialesz „dziękuję”, Phillipie.

Anthony nałożył na talerz kawałek ciasta i podał jej, a następnie wziął jeden dla siebie i siedzieli tak razem w pełnej napięcia reprodukcji życia rodzinnego.

– Pozwól mi do niego pisać – odezwał się Anthony po jakimś czasie.

– Anthony, próbuję zacząć nowe życie – szepnęła. – Staram się zacząć od nowa. – Jej głos brzmiał niemal błagalnie.

– To tylko listy.

Wpatrywali się w siebie nad plastikowym stolikiem. Obok ich syn obracał koła swojego nowego pociągu, wesoło nucąc pod nosem.

– Czy zwykły list może komuś zaszkodzić?

Jennifer otworzyła gazetę, którą zostawił Laurence, wygładziła ją na stole w kuchni i przewróciła stronę. Za otwartymi drzwiami widziała męża. Przeglądał się w lustrze w holu i poprawiał krawat.

– Nie zapomnij o dzisiejszej kolacji w Henley. Zaproszono też żony, więc lepiej zacznij się zastanawiać, w co się ubierzesz.

Milczała, więc dodał cierpko:

– Jennifer? To dziś wieczorem. Impreza odbędzie się w namiocie.

– Jestem pewna, że cały dzień to wystarczająco dużo czasu na wybranie sukienki – odrzekła.

Stała w drzwiach. Widząc ją za gazetą, zmarszczył brwi.

– Po co zawracasz sobie głowę?

– Czytam gazetę.

– Przecież to nie w twoim stylu. Nie dostarczono twoich żurnali?

– Po prostu... pomyślałam, że mogłabym spróbować trochę poczytać. Zobaczyć, co się dzieje na świecie.

– Nie widzę tam niczego, co mogłoby cię zainteresować.

Spojrzała na panią Cordozę, która zmywała naczynia przy zlewie, udając, że nie słyszy.

– Czytałam – powiedziała powoli – o procesie *Kochanka lady Chatterley*. Właściwie to dość fascynujące. – Raczej poczuła, niż zobaczyła jego niezadowolenie, wciąż wpatrywała się w gazetę. – Naprawdę nie rozumiem, dlaczego wszyscy robią wokół tego tyle zamieszania. To tylko książka. Z tego, co wiem, zwyczajny romans.

– No cóż, chyba niewiele z tego zrozumiałaś. To ohydna lektura. Moncrieff czytał i mówi, że jest wywrotowa.

Pani Cordoza energicznie szorowała patelnię. Zaczęła nucić pod nosem. Za kuchennym oknem wzmógł się wiatr, przeganiając kilka rdzawych liści.

– Powinniśmy móc to ocenić osobiście. Jesteśmy dorośli. Ci, którzy uważają, że mogłoby ich to obrazić, nie muszą czytać.

– Tak. No cóż. Tylko nie dziel się swoimi nieprzemyślanymi opiniami o takich sprawach przy dzisiejszej kolacji, dobrze? W tym gronie raczej niechętnie słucha się kobiet rozprawiających o rzeczach, o których nie mają pojęcia.

Zanim Jennifer odpowiedziała, wzięła oddech.

– Być może poproszę Francisa, żeby pożyczył mi swój egzemplarz. Wtedy chyba będę wiedziała, o czym mówię. Co ty na to? – Zacisnęła zęby, w jej policzku pulsował mały mięsień.

Laurence odpowiedział lekceważącym tonem, sięgając po teczkę.

– Od kilku dni jesteś rano nieznośna. Mam nadzieję, że wieczorem postarasz się być trochę miłsza. Jeśli tak wpływa na ciebie czytanie gazet, to chyba każę je dostarczać do biura.

Nie wstała z krzesła, żeby jak dawniej pocałować go w policzek. Przygryzła wargę i dalej wpatrywała się w gazetę, dopóki odgłos zamykanych drzwi nie zasygnalizował, że jej mąż wyszedł do pracy.

Od trzech dni prawie nie spała i nie jadła. W nocy przeważnie leżała rozbudzona, czekając, aż z ciemności nad jej głową spadnie jakiś grom. Przez cały czas była w głębi duszy wściekła na Laurence'a. Nagle ujrzała go oczami Anthony'ego i poczuła, że zgadza się z jego miażdżącą oceną. Potem nienawidziła

Anthony'ego, przez którego czuła coś takiego do własnego męża, i jeszcze bardziej rozwścieczało ją to, że nie może mu o tym powiedzieć. Nocą przypominała sobie dłonie Anthony'ego na swoim ciele, jego usta, wyobrażała sobie, że robi z nim rzeczy, które w świetle dnia wywoływały rumieniec na jej twarzy. Pewnego razu, rozpaczliwie pragnąc przewyciężyć ten zamęt, pojednać się z mężem, obudziła go, przesunęła na niego jedną bladą nogę i całowała, aż zupełnie oprzytomniał. Był jednak zbulwersowany. Spytał, co, na litość boską, w nią wstąpiło, i prawie ją z siebie zepchnął. Potem odwrócił się do niej plecami, a ona, upokorzona, cicho płakała w poduszkę.

W ciągu tych bezsennych godzin nie tylko zmagала się z toksycznym płomieniem pożądania i poczucia winy, lecz także roztrząsała niezliczone możliwości: mogłaby odejść, jakoś znieść wyrzuty sumienia, utratę pieniędzy i cierpienie rodziny. Mogłaby mieć romans, znaleźć jakiś poziom, na którym istniałaby razem z Anthonym równoległe do codziennego życia u boku męża. Z pewnością nie tylko lady Chatterley robiła takie rzeczy. W ich kręgu towarzyskim roilo się od opowieści o tym, kto kogo ma. Mogła też z tym skończyć i być dobrą żoną. Jeśli jej małżeństwo nie było udane, to dlatego, że za słabo się starała. Ale przecież można to naprawić: pisano tak we wszystkich magazynach dla kobiet. Mogła być trochę miłsza, trochę bardziej kochająca, ładniej się prezentować. Mogła, jak mawiała jej matka, przestać sądzić, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

Dotarła na początek kolejki.

– Zdamę jeszcze to nadać popołudniową pocztą? – spytała. – I czy może pani sprawdzić moją skrytkę? Na nazwisko Stirling, numer trzynaście.

Nie przychodziła tu od wieczoru w Alberto's, tłumacząc sobie, że tak będzie lepiej. Ta sprawa – nie śmiała nazywać jej romansem – nabrała zbyt wielkiego rozpędu. Musieli trochę wyhamować, żeby móc rozsądniej myśleć. Jednak rano, po nieprzyjemnej wymianie zdań z mężem, jej postanowienie upadło. Pospiesznie napisała list przy sekretarzyku w salonie, gdy pani Cordoza odkurzała. Błagała go, żeby zrozumiał. Nie wiedziała, co robić, nie chciała go ranić... ale nie mogła bez niego żyć:

Jestem mężatką. Mężczyzna odchodzący od żony to jedno, ale kobieta odchodząca od męża? W tym momencie nie widzisz w moim postępowaniu nic złego. We wszystkim, co robię, dostrzegasz tylko to, co najlepsze. Wiem, że nadejdzie dzień, kiedy to się zmieni. Nie chcę, żebyś widział we mnie coś, czym pogardzasz u całej reszty.

List był chaotyczny, zagmatwany, litery niestaranne i krzywe.

Pracownica poczty wzięła go od niej i wróciła z innym.

Serce znów zatrzepotało jej w piersi na widok jego charakteru pisma. Jego słowa były tak pięknie dobrane, że mogłaby recytować sobie w ciemności całe

fragmenty listu jak poezję. Z niecierpliwością otworzyła kopertę, nadal stojąc przy kontuarze, przesunawszy się tylko, by można było obsłużyć następną osobę w kolejce. Tym razem jednak słowa brzmiały trochę inaczej.

Jeśli ktokolwiek zauważył przejmujący bezruch blondynki w niebieskim płaszczu – to, że gdy skończyła czytać list, wyciągnęła rękę, by przytrzymać się kontuaru – był prawdopodobnie zbyt zajęty własnymi paczkami i formularzami, by baczniej jej się przyjrzeć. Zmiana w jej zachowaniu była jednak uderzająca. Jennifer stała tam jeszcze przez chwilę, a potem drżącą dłonią wrzuciła list do torebki i powoli, lekko chwiejnym krokiem, wyszła na słońce.

Przez całe popołudnie snuła się po ulicach centralnego Londynu, z rozkojarzeniem oglądając sklepowe witryny. Nie była w stanie wrócić do domu, więc czekała, aż odzyska jasność umysłu na zatłoczonych chodnikach. Kilka godzin później, gdy przestąpiła próg, gosposia stała w holu z dwiema sukienkami przewieszonymi przez ramię.

– Nie powiedziała pani, co zamierza włożyć na kolację. Wyprasowałam te dwie sukienki, w razie gdyby pani uznała, że któraś z nich może się nadać. – Słońce zalewało hol brzoskwiniowym światłem końca lata, a Jennifer stała w drzwiach. Gdy je za sobą zamknęła, powrócił szary półmrok.

– Dziękuję. – Minęła panią Cordozę i weszła do kuchni. Zegar wskazywał prawie piątą. Czy on już się pakuje?

Dłoń Jennifer zacisnęła się na liście w jej kieszeni. Przeczytała go trzy razy. Sprawdziła datę: rzeczywiście miał na myśli dzisiejszy wieczór. Jak mogła podjąć taką decyzję w tak krótkim czasie? Jak w ogóle mógł to zrobić? Przekląła się za to, że nie poszła na pocztę wcześniej i teraz nie miała czasu, by błagać go o zmianę zdania.

Nie jestem taki silny jak Ty. Kiedy Cię poznałem, myślałem, że jesteś bezbronną kruszyną, którą powinienem chronić. Teraz wiem, że bardzo się co do nas pomyliłem. To Ty jesteś silna, Ty potrafisz wytrzymać w świecie, który dał nam szansę na wielką miłość, i pogodzić się z tym, że nigdy tej miłości nie zaznamy.

Proszę, żebyś nie potępiała mnie za moją słabość. Będę mógł to wytrzymać jedynie gdzieś, gdzie nigdy Cię nie zobaczę, gdzie nigdy nie będzie mnie prześladowało niebezpieczeństwo ujrzenia Cię razem z nim. Muszę być gdzieś, gdzie okoliczności będą wymazywały Cię z moich myśli minuta po minucie, godzina po godzinie. Tutaj to niemożliwe.

W jednej chwili była na niego wściekła, że próbuje ją zmusić do działania. W następnej ogarniał ją potworny strach, że on wyjedzie. Jak by się czuła ze świadomością, że nigdy więcej go nie zobaczy? Jak mogłaby dalej trwać w tym życiu, po tym jak pokazał jej alternatywę?

Zamierzam przyjąć tę posadę. W piątek kwadrans po siódmej wieczorem

będę na czwartym peronie na Paddington i nic na świecie nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej, niż gdybyś znalazła odwagę, by wyjechać razem ze mną.

Jeśli się nie zjawisz, będę wiedział, że cokolwiek do siebie czujemy, to za mało. Nie będę miał do Ciebie pretensji, Kochana. Wiem, że przez ostatnie tygodnie żyłaś w nieznośnym stresie, i sam dotkliwie odczuwam jego ciężar. Nie zniósłbym myśli, że mógłbym Cię unieszczęśliwić.

Była z nim zbyt szczerą. Nie powinna była wyznawać, że ma mętlik w głowie, że nie może spać. Gdyby nie wiedział, że jest tak przygnębiona, nie czułby potrzeby podejmowania takich działań.

Wiedz, że moje serce i moje nadzieje spoczywają w Twoich rękach.

I jeszcze to: ta ogromna czułość. Anthony, który nie był w stanie znieść myśli, że mogłaby coś stracić, który chciał ją chronić przed najgorszymi z jej uczuć, proponował jej dwa najłatwiejsze wyjścia: pojechać razem z nim albo przykładowie zostać przy mężu ze świadomością, że Anthony nadal ją kocha. Cóż więcej mógł zrobić?

Jak miała podjąć tak doniosłą decyzję w tak krótkim czasie? Myślała o tym, żeby pojechać do niego do domu, ale nie wiedziała, gdzie właściwie mieszka. Myślała, żeby pójść do redakcji gazety, ale bała się, że zobaczy ją ktoś z rubryki towarzyskiej, że wzbudzi ciekawość albo, co gorsza, wprawi go w zakłopotanie. Zresztą co by mogła powiedzieć, żeby zmienił zdanie? Wszystko, co napisał, było prawdą. Nie istniało inne rozwiązanie. Nie było sposobu, żeby naprawić tę sytuację.

– Aha. Dzwonił pan Stirling i mówił, że przyjedzie po panią mniej więcej za kwadrans siódma. Ma małe opóźnienie w pracy. Przesłał szofera po swój smoking.

– Tak – powiedziała, nieobecna myślami. Nagle zrobiło jej się gorąco, złapała się poręczy.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

– Nic mi nie jest.

– Wygląda pani na zmęczoną. – Pani Cordoza ostrożnie ułożyła sukienki na krześle w holu i wzięła od Jennifer płaszcz. – Przygotować pani kąpiel? Jeśli pani chce, w międzyczasie mogłabym zaparzyć herbatę.

Odwróciła się do gosposi.

– Tak. Chyba tak. Za kwadrans siódma? – Ruszyła po schodach.

– Proszę pani? A sukienki? Którą pani wybiera?

– Och. Nie wiem. Niech pani sama zadecyduje.

Leżała w wannie, prawie nie czując ciepła wody, znieczulona tym, co się miało wydarzyć. Jestem dobrą żoną, powtarzała sobie. Dziś wieczorem pójdę na kolację, będę dowcipna i wesoła, nie będę perorować o sprawach, o których nie mam pojęcia.

Co napisał kiedyś Anthony? Że istnieje przyjemność towarzysząca byciu

porządnym człowiekiem. „Nawet jeśli teraz tego nie czujesz”.

Wyszła z wanny. Nie była w stanie się odprężyć. Potrzebowała czegoś, co oderwie ją od tych myśli. Nagle pożałowała, że nie może połknąć jakichś proszków i zasnąć na następne dwie godziny. A nawet na następne dwa miesiące, pomyślała ponuro, sięgając po ręcznik.

Otworzyła drzwi łazienki i na łóżku zobaczyła rozłożone przez panią Cordozę dwie sukienki: z lewej leżała ta granatowa, którą miała na sobie wieczorem w dniu urodzin Laurence’a. Spędzili wesoły czas w kasynie. Bill wygrał wielką sumę w ruletkę i uparł się, żeby postawić wszystkim szampana. Za dużo wypła, kręciło jej się w głowie, nie była w stanie jeść. Teraz, w zaciszu pokoju, przypomniała sobie inne fragmenty tego wieczoru, które posłusznie usunęła z wcześniejszych relacji. Przypomniało jej się, jak Laurence skrytykował ją za wydawanie zbyt dużej ilości pieniędzy na żetony. Przypomniało jej się, jak mruknął, że przynosi mu wstyd – aż Yvonne w uroczy sposób powiedziała mu, żeby nie był takim zrzędą. „On cię zmiażdży, zniszczy wszystko, dzięki czemu jesteś sobą”. Przypomniała sobie, jak rano stał w drzwiach do kuchni. „Po co zawracasz sobie głowę?”, „Mam nadzieję, że wieczorem postarasz się być trochę miłsza”.

Spojrzała na drugą sukienkę na łóżku, tę ze stójką i bez rękawów. Była uszyta z bladego brokatu. Miała ją na sobie w wieczór, gdy Anthony O’Hare odmówił kochania się z nią.

Poczuła się tak, jakby ustąpiła gęsta mgła. Zrzuciła z siebie ręcznik i szybko się ubrała. Potem zaczęła rzucać różne rzeczy na łóżko. Bieliznę. Buty. Rajstopy. Co, na litość boską, należy spakować, gdy wyjeżdża się na zawsze?

Trzęsły jej się ręce. Prawie bezwiednie zdjęła walizkę z górnej półki w garderobie i otworzyła ją. Z zapamiętaniem wrzucała do niej różne rzeczy, bojąc się, że jeśli na chwilę przestanie i pomyśli, co robi, nie będzie w stanie tego dokończyć.

– Wybiera się pani dokądś? Pomóc się pani pakować? – Pani Cordoza stała w drzwiach za jej plecami, trzymając filiżankę herbaty.

Spłoszona Jennifer dotknęła gardła. Odwróciła się, częściowo zasłaniając sobą walizkę.

– Nie... nie. Po prostu chcę zawieźć trochę ubrań do pani Moncrieff. Dla jej siostrzenicy. Rzeczy, które mi się znudziły.

– W pralni też jest trochę rzeczy. Wspominała pani, że już na panią nie pasują. Mam je przynieść?

– Nie. Mogę to zrobić sama.

Pani Cordoza spojrzała na łóżko.

– Ale to przecież pani złota sukienka. Uwielbia ją pani.

– Pani Cordozo, proszę, czy pozwoli mi pani zrobić porządek we własnej

garderobie? – warknęła.

Gospośia się wzdrygnęła.

– Bardzo przepraszam, pani Stirling – powiedziała i wycofała się urażona, nie mówiąc już nic więcej.

Jennifer zaczęła płakać, szloch wyrывał jej się z ust brzydkimi falami. Wpełzła na narzutę, złapała się za głowę i wyła, nie wiedząc, co powinna zrobić – wiedziała jedynie, że w każdej sekundzie wahania ważą się jej losy. Usłyszała głos matki, ujrzała jej przerażoną minę na wieść o hańbie, jaką jej córka przyniosła rodzinie, szepty świętoszkowatego oburzenia w kościele. Ujrzała życie, które sobie zaplanowała, dzieci, które z pewnością wydobyłyby z Laurence’a więcej ciepła, zmusiłyby go, żeby trochę złagodniał. Ujrzała szereg wynajmowanych klitek, Anthony’ego całym dniami zajętego pracą, samą siebie wystraszoną w obcym kraju bez niego, brzydko ubraną. Zobaczyła, jak się nią nudzi, jak jego spojrzenie kieruje się w stronę jakiejś innej mężatki.

„Nigdy nie przestanę Cię kochać. Nigdy wcześniej nikogo nie kochałem i nigdy nie pokocham nikogo oprócz ciebie”.

Gdy podniosła się z łóżka, obok stała pani Cordoza.

Wytarła oczy, nos i już chciała przeprosić, że na nią warknęła, ale zobaczyła, że starsza kobieta pakuje jej walizkę.

– Dorzuciłam pani buty na płaskim obcasie i brązowe spodnie. Nie trzeba ich za często prac.

Jennifer wpatrywała się w nią, ciągle jeszcze czkając.

– Jest tu też bielizna i koszula nocna.

– Ale... ja przecież...

Pani Cordoza nie przerwała pakowania. Wyjmowała ubrania z walizki, przekładała je bibułką i wkładała z powrotem z taką samą nabożną dbałością, z jaką można by się troszczyć o noworodka. Jennifer zahipnotyzował widok jej rąk, przyglądających, przesuwających.

– Pani Stirling – powiedziała gospośia, nie podnosząc głowy – nigdy wcześniej pani o tym nie mówiłam. W RPA po śmierci męża zwykle pokrywa się szyby w oknach popiołem. Gdy umarł mój mąż, nie zrobiłam tego. Przeciwnie, umyłam je do połysku.

Upewniwszy się, że Jennifer zaczęła jej słuchać, wróciła do składania ubrań. Potem zajęła się butami, umieszczając je podeszwa przy podeszwie w cienkiej bawełnianej torbie starannie ułożonej na dnie walizki. Spakowała białe tenisówki i szczotkę do włosów.

– W młodości naprawdę kochałam męża, ale to nie był dobry człowiek. Z biegiem lat coraz mniej przejmował się tym, jak mnie traktuje. Kiedy nagle zmarł, Boże przebacz mi, poczułam się, jakby ktoś mnie uwolnił. – Zawahała się, spoglądając na wypełnioną do połowy walizkę. – Gdyby ktoś dał mi szansę wiele

lat temu, odeszłabym od niego. Myślę, że moje życie mogłoby się potoczyć inaczej.

Umieściła na wierzchu ostatnie złożone ubrania i zamknęła walizkę, zatrzasnąwszy klamry po obu stronach rączki.

– Jest wpół do siódmej. W razie gdyby pani zapomniała, pan Stirling powiedział, że będzie za kwadrans siódma. – Nie mówiąc już nic więcej, wyprostowała się i wyszła z pokoju.

Jennifer spojrzała na zegarek, a potem narzuciła na siebie resztę ubrań. Przebiegła przez pokój i wsunęła stopy w stojącą najbliżej parę butów. Podeszła do toaletki, pogrzebała w głębi szuflady w poszukiwaniu awaryjnej gotówki na zakupy, którą zawsze trzymała w pończosze, po czym wrzuciła banknoty do kieszeni razem z garścią pierścionków i naszyjników ze szkatułki. Następnie chwyciła walizkę i zataszczyła ją na dół.

Pani Cordoza już trzymała jej płaszcz przeciwdeszczowy.

– Największe szanse na złapanie taksówki będą na New Cavendish Street. Doradziłabym Portland Place, ale zdaje się, że tamtędy jeździ szofer pana Stirlinga.

– New Cavendish Street.

Żadna z kobiet się nie poruszyła. Być może oszołomiło je to, co zrobiły. Jennifer podeszła do pani Cordozy i spontanicznie ją uściskała.

– Dziękuję. Jestem...

– Poinformuję pana Stirlinga, że o ile mi wiadomo, poszła pani na zakupy.

– Tak. Tak, dziękuję.

Znalazła się na zewnątrz, a otaczające ją wieczorne powietrze nagle wydało jej się przepelnione możliwościami. Ostrożnie zeszła po schodach, wypatrując na placu znajomego żółtego światełka taksówki. Kiedy dotarła na chodnik, ruszyła biegiem w głąb miejskiego zmierzchu.

Czuła wszechogarniającą ulgę – nie musiała dłużej być panią Stirling, ubierać się, zachowywać i kochać w określony sposób. Oszołomiona, zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, kim ani gdzie może być za rok, i na tę myśl prawie się roześmiała.

Na ulicach roiło się od przechodniów, w zapadającym mroku latarnie budziły się do życia. Jennifer biegła, walizka obijała jej się o nogi, łomotało jej serce. Była już prawie za kwadrans siódma. Wyobraziła sobie, jak Laurence wchodzi do domu i woła ją z rozdrażnieniem, a pani Cordoza zawiązuje chustkę na głowie i mówi, że pani, jak się zdaje, od dłuższego czasu jest na zakupach. Upłynie z pół godziny, zanim jej mąż zacznie się poważnie niepokoić, a do tego czasu ona będzie już na peronie.

Biegnę do ciebie, Anthony, mówiła do niego w myślach, a bańka, która rosła w jej piersi, mogła być podnieceniem, strachem albo odurzającą mieszanką ich obu.

Niekończący się ruch ludzi na peronie uniemożliwiał obserwację. Płynęli przed nim, zasłaniając się nawzajem i odsłaniając, tak że nie wiedział już, czego wypatruje. Anthony stał przy żelaznej ławce, walizki czekały u jego stóp, i po raz tysięczny zerkał na zegarek. Było już prawie piętnaście po siódmej. Gdyby Jennifer postanowiła przyjść, z pewnością już by się zjawiła, prawda?

Spojrzał na tablicę informacyjną, a potem na pociąg, który miał go zawieźć na Heathrow. Człowieku, weź się w garść, powtarzał sobie. Przyjdzie.

– Czekam na pociąg odjeżdżający kwadrans po siódmej? – Obok stanął konduktor. – Niedługo odjazd, proszę pana. Jeśli to pański pociąg, radzę wsiadać.

– Czekam na kogoś.

Spojrzał w stronę bramki. Stała tam jakaś staruszka, szukając dawno zgubionego biletu. Kręciła głową w sposób, który sugerował, że jej torebka nie po raz pierwszy połknęła jakiś ważny dokument. Dwaj bagażowi stali i rozmawiali. Nikt inny się nie zbliżał.

– Pociąg nie będzie czekał, proszę pana. Następny jest za piętnaście dziesiąta, jeśli to panu pomoże.

Zaczął krążyć między dwiema żelaznymi ławkami, starając się nie patrzeć więcej na zegarek. Pomyślał o jej twarzy tamtego wieczoru w Alberto's, kiedy wyznała mu miłość. Nie było w tym żadnego wyrachowania, jedynie szczerość. Nie zniżyłaby się do kłamstwa. Nie śmiał myśleć, jak by to było budzić się obok niej co rano, czuć niezmaconą radość z bycia kochanym przez nią, móc swobodnie odwzajemniać jej miłość.

List, który jej wysłał, i zawarte w nim ultimatum niosły ze sobą pewne ryzyko, ale tego wieczoru zrozumiał, że miała rację: to, co ich łączyło, nie mogło trwać w dotychczasowej postaci. Sama siła ich uczuć przemieniłaby się w coś trującego. Zaczęliby mieć do siebie żal za swoją niezdolność do zrobienia tego, czego tak bardzo pragnęli. W najgorszym razie, powtarzał sobie bez końca, przynajmniej zachował się honorowo. Ale z jakiegoś powodu nie wierzył w najgorszy scenariusz. Ona przyjdzie. Każdy jej gest mówił mu, że to robi.

Znowu spojrzał na zegarek i przecesał włosy palcami, pospiesznie wodząc wzrokiem po niezliczonych pasażerach przechodzących przez bramkę.

– Ten wyjazd dobrze ci robi – powiedział mu Don. – Będziesz się trzymał z dala od kłopotów. Zastanawiał się, czy jego przełożony nie odczuł w głębi ducha ulgi, wysyłając go na drugi koniec świata.

Może i tak, odpowiedział mu w myślach, odsuwając się, by przepuścić grupę zaaferowanych biznesmenów, którzy minęli go i weszli do pociągu. Mam piętnaście minut, żeby się o tym przekonać.

Ledwie mogła w to uwierzyć. Zaraz po tym, jak dotarła na New Cavendish Street, zaczęło padać. Niebo najpierw przybrało błotnistopomarańczową barwę, potem zrobiło się czarne. Jak za sprawą jakiegoś cichego polecenia, wszystkie

taksówki były zajęte. Każdy czarny kształt, który widziała, miał zgaszone żółte światełko, a w środku siedział jakiś spowity mrokiem pasażer, będący już w drodze do swojego celu. Mimo to machała. „Nie rozumiecie, jakie to pilne?” – miała ochotę na nich krzyknąć. „Od tego kursu zależy moje życie!”.

Rozpadało się na dobre, z nieba lały się strugi deszczu przypominające burzę w tropikach. Wokół wystrzeliły parasolki. Ich ostre koniuszki kłuły ją, gdy przestępowała z nogi na nogę na krawężniku. Wkrótce była wilgotna, a potem zupełnie mokra.

Gdy wskazówka minutowa zegarka zbliżyła się do siódmej, niejasny dreszcz podniecenia zmienił się w grudę czegoś przypominającego strach. Nie zdąży dotrzeć na czas. Lada chwila Laurence zacznie jej szukać. Pieszko nie miała szans, nawet gdyby porzuciła walizkę.

Lęk wzbierał w niej jak morze, a samochody z pluskiem przejeżdżały obok, posyłając strumienie wody na nogi nieuważnych ludzi.

Na widok mężczyzny w czerwonej koszuli wpadła na pewien pomysł. Zaczęła biec, przeciskając się między ludźmi, którzy stali jej na drodze. Tym razem nie przejmowała się, jakie robi wrażenie. Pędziła znajomymi ulicami, aż znalazła tę, której szukała. Zostawiła walizkę na szczycie schodów i z rozwianymi włosami zbiegła do pogrążonego w ciemności klubu.

Felipe stał przy barze i polerował kieliszki. Poza tym nie było nikogo oprócz Sherrie, tej szatniarki. Bar wydawał się zastygły w przytłaczającym bezruchu, mimo że w tle cicho płynęła muzyka.

– Nie ma go tu, proszę pani – Felipe nawet nie podniósł głowy.

– Wiem. – Była tak zdyszana, że mówienie przychodziło jej z trudem. – Ale to bardzo ważne. Ma pan samochód?

Spojrzenie, które jej rzucił, nie było przyjazne.

– Może i mam.

– Mógłby mnie pan podrzucić na dworzec? Na Paddington?

– Chce pani, żebym panią podwiózł? – Spojrzał na jej mokre ubranie i na włosy przyklejone do głowy.

– Tak. Tak! Zostało mi tylko piętnaście minut. Proszę.

Przyjrzał się jej. Zauważyła stojącą przed nim dużą i do połowy opróżnioną szklaneczkę szkockiej.

– Proszę! Nie zwracałabym się do pana, gdyby to nie było bardzo ważne. – Pochyliła się. – Mam się spotkać z Tonym. Niech pan spojrzy, mam pieniądze... – Pogrzebała w kieszeni w poszukiwaniu banknotów. Były mokre.

Sięgnął za drzwi za swoimi plecami i wyjął kluczyki.

– Nie chcę pani pieniędzy.

– Dziękuję, och, dziękuję – powiedziała z zapartym tchem. – Szybko. Zostało niespełna piętnaście minut.

Jego samochód stał kawałek od klubu i zanim tam dotarli, on też był przemoczony. Nie otworzył przed nią drzwi. Szarpnęła za nie i ze stęknieniem wrzuciła ociekającą wodą walizkę na tylne siedzenie.

– Proszę! Jedźmy już! – powiedziała, odsuwając mokre strąki włosów z twarzy, ale on siedział nieruchomo za kierownicą i najwyraźniej nad czymś się zastanawiał. Boże, proszę, tylko nie bądź pijany, błagała go w myślach. Proszę, nie mów mi teraz, że nie umiesz prowadzić, że zabrakło ci paliwa, że zmieniłeś zdanie. – Proszę. Zostało bardzo mało czasu. – Starła się stłumić niepokój w swoim głosie.

– Zanim panią zawiozę, chciałbym coś powiedzieć.

– Słucham.

– Muszę... Tony to dobry człowiek, ale...

– Wiem, że był żonaty. Wiem o jego synu. Wiem wszystko – zniecierpliwiła się.

– Jest bardziej wrażliwy, niż wygląda.

– Co?

– Proszę nie złamać mu serca. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby tak się zakochał. Jeśli nie jest pani pewna, jeśli myśli pani, że jest choć cień szansy, że wróci pani do męża, proszę tam nie jechać.

Deszcz bębnił o dach małego samochodu. Wyciągnęła rękę, położyła ją na jego ramieniu.

– Nie... Nie jestem taka, jak pan myśli. Naprawdę. – Spojrzał na nią z ukosa. – Ja... po prostu chcę z nim być. Poświęcam dla niego wszystko. Chcę tylko jego. Anthony'ego – powiedziała i słysząc te słowa, zapragnęła roześmiać się ze strachu i niepewności. – A teraz proszę, niech pan jedzie!

– Dobrze – odrzekł, zawracając tak gwałtownie, że aż rozległ się pisk opon. – Dokąd? – Skierował samochód w stronę Euston Road, wciskając przycisk uruchamiający wycieraczki. Pomyślała przelotnie o umytych na błysk oknach pani Cordozy, a potem wyjęła list z koperty.

Moja Najdroższa i Jedyna Miłości,
mówiłem szczerze. Doszedłem do wniosku, że jedynym wyjściem z naszej sytuacji jest podjęcie przez któreś z nas odważnej decyzji [...]

Zamierzam przyjąć tę posadę. W piątek kwadrans po siódmej wieczorem będę na czwartym peronie na Paddington [...]

– Peron czwarty – zawołała. – Mamy jednaście minut. Myśli pan, że...

Część druga

NIE CHCĘ CIĘ NIE PRZYJEŹDŹAJ
Z telegramu mężczyzny do wojennej narzeczonej

Lato 1964

Pielęgniarka posuwała się powoli przez oddział, pchając wózek zastawiony równymi rządkami papierowych kubków z tabletkami w jaskrawych kolorach.

– Boże, znowu? – mruknęła kobieta leżąca na łóżku 16c.

– Chyba nie będzie pani robiła scen? – Pielęgniarka postawiła kubek z wodą na stoliku obok łóżka.

– Jeśli połknę tego jeszcze więcej, zacznę grzechotać.

– Tak, ale przecież musimy zbić to ciśnienie, prawda?

– Musimy? Nie wiedziałam, że to zaraźliwe...

Jennifer przycupnęła na krześle obok łóżka. Podniosła kubek i podała go Yvonne Moncrieff, której nabrzmiały brzuch wznosił się pod kocem niczym kopuła, osobliwie oddzielony od reszty ciała.

Yvonne westchnęła. Wrzuciła tabletki do ust, posłusznie połknęła, a potem z sarkazmem uśmiechnęła się do młodej pielęgniarki, która popchnęła wózek w stronę następnej pacjentki.

– Jenny, kochana, zorganizuj ucieczkę. Chyba nie wytrzymam tu kolejnej nocy. Te jęki i postękiwania, nie uwierzyłybyś.

– Myślałam, że Francis chciał cię umieścić na prywatnym oddziale.

– Nie odkąd szacują, że spędzę tu całe tygodnie. Wiesz, jaki jest ostrożny, gdy chodzi o wydawanie pieniędzy. „Kochanie, jaki to ma sens, skoro możemy otrzymać całkiem porządną opiekę za darmo? Poza tym będziesz mogła gawędzić z innymi paniami”. – Prychnęła, przechylając głowę w stronę ogromnej piegowatej kobiety na sąsiednim łóżku. – Tak, bo mam mnóstwo wspólnego z Lilo Lil. Trzynaścioro dzieci! Trzynaścioro! Myślałam, że jesteśmy okropni z tą naszą trójką w cztery lata, ale, mój Boże, okazałam się zwykłą amatorką.

– Przywiozłam ci jeszcze kilka magazynów. – Jennifer wyjęła je z torebki.

– Och, „Vogue”. Kochana jesteś, ale muszę cię prosić, żebyś zabrała go z powrotem. Miną miesiące, zanim zdołam się wcisnąć w cokolwiek, co jest na tych stronach, i tylko będzie mi się chciało płakać. Następnego dnia po tym, jak ten brzdąc wreszcie się ze mnie wydostanie, mam przymiarkę nowego pasa wyszczuplającego... Opowiedz mi coś ciekawego.

– Ciekawego?

– Jakie masz plany na resztę tygodnia? Nie wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy tkwisz tu całymi dniami, wielka jak wieloryb, wciskają ci pudding mleczny i zastanawiasz się, co, do diabła, dzieje się na świecie.

– Och... właściwie to same nudy. Wieczorem idziemy na drinka w jakiejś ambasadzie. Naprawdę wolałabym zostać w domu, ale Larry nalega, żebym mu towarzyszyła. W Nowym Jorku była konferencja o ludziach chorujących po

kontakcie z azbestem i Laurence chce im powiedzieć, że ten cały Selikoff, który ma z tym wszystkim coś wspólnego, to według niego wicherzyciel.

– Ale drinki, sukienki wieczorowe...

– W zasadzie to miałam ochotę usiąść i poczytać *The Avengers*. Jest za gorąco, żeby się stroić.

– Uf. Nawet mi nie mów. Czuję się, jakby zamknięto mnie tu w moim własnym małym piekarniku. – Poklepała się po brzuchu. – A, wiedziałam, że miałam ci o czymś powiedzieć. Wczoraj wpadła Mary Odin. Mówiła, że Katherine i Tommy Houghtonowie postanowili się rozwieść. I nigdy nie zgadniesz, co zamierzają zrobić.

Jennifer pokręciła głową.

– Hotelowy rozwód. Ponoć zgodził się, że zostanie „przyłapany” w hotelu z jakąś kobietą, żeby sprawa odbyła się bez przedłużania. Ale to nie jest nawet połowa historii.

– Nie?

– Mary twierdzi, że kobieta, która zgodziła się zostać z nim sfotografowana, to tak naprawdę jego kochanka. Ta, która słała mu te listy. Biedna stara Katherine myśli, że płaci komuś za przysługę. Jeden z listów miłosnych chce wykorzystać jako dowód. On ponoć jej wmawiał, że nakłonił do napisania tych listów przyjaciółkę, żeby dodać sprawie autentyczności. Przyznasz, że to najpaskudniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałaś?

– Przyznaję.

– Modlę się, żeby Katherine nie wpadła mnie odwiedzić. Na pewno w końcu bym jej wszystko wygadała. Biedaczka. I wiedzą wszyscy oprócz niej.

Jennifer sięgnęła po magazyn i zaczęła go przeglądać, życzliwie rzucając uwagi na temat jakiegoś przepisu albo jakiejś sukienki. Nagle poczuła, że przyjaciółka wcale jej nie słucha.

– Dobrze się czujesz? – Położyła rękę na narzucie. – Podać ci coś?

– Zrób coś dla mnie i miej oczy otwarte, dobrze? – Głos Yvonne brzmiał spokojnie, ale jej spuchnięte palce nerwowo wybijały rytm na prześcieradle.

– Co masz na myśli?

– Francisca. Miej oko na niespodziewanych gości. Gości płci żeńskiej. – Zdecydowanie odwróciła głowę w stronę okna.

– Och, jestem pewna, że Francis...

– Jenny? Po prostu zrób to dla mnie, dobrze?

Na chwilę zapadła cisza. Jennifer przyglądała się zbłąkanej nitce na swojej spódnicy.

– Oczywiście.

– A poza tym – Yvonne zmieniła temat – daj mi znać, w co się dziś ubierzesz. Jak już mówiłam, dosłownie nie mogę się doczekać, żeby znów włożyć

cywilne ubranie. Wiesz, że moje stopy urosły o dwa numery? Jeśli sytuacja się pogorszy, wyjdę stąd w kaloszach.

Jennifer wstała i sięgnęła po torebkę, którą zostawiła na oparciu krzesła.

– Byłabym zapomniała. Violet mówiła, że wpadnie do ciebie po podwieczorku.

– O Boże. Znowu czekają mnie najświeższe doniesienia o okropnych kłopotach Fredericka z kupą.

– Przyjdę jutro, jeśli mi się uda.

– Baw się dobrze, kochana. Wiele bym dała, żeby być na takim przyjęciu, zamiast tu tkwić i słuchać przynudzania Violet. – Yvonne westchnęła. – Podaj mi tę „Queen”, zanim wyjdiesz, dobrze? Co sądzisz o fryzurze Jean Shrimpton? Trochę podobna do tej, którą miałaś na tamtej koszmarnej kolacji u Maisie Barton-Hulme.

Jennifer weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi, zrzucając szlafrok na podłogę. Rozłożyła ubranie na wieczór: luźną sukienkę z surowego jedwabiu z dużym okrągłym dekoltem w kolorze dobrego clareta i z jedwabnym szalem. Zamierzała upiąć włosy i włożyć kolczyki z rubinami, które dostała od Laurence’a na trzydzieste urodziny. Narzekał, że rzadko je nosi. Uważał, że skoro wydaje na nią pieniądze, powinna przynajmniej pokazywać to swoim wyglądem.

Gdy to zostało ustalone, postanowiła moczyć się w wannie, aż przyjdzie pora pomalować paznokcie. Następnie zamierzała się ubrać i przed powrotem Laurence’a dokończyć się malować. Zakręciła krany i przecierając zaparowane szkło, spojrzała na swoje odbicie w lusterku szafki z lekarstwami. Wpatrywała się w siebie, dopóki nie zaparowało z powrotem. Potem otworzyła szafkę i przesuwała brązowe fiołki na górnej półce, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Połknęła dwie tabletki valium, popijając je wodą z kubka na szczyteczki do zębów. Spojrzała na pentobarbital, ale uznała, że to za dużo, jeśli chce coś wypić. A zdecydowanie chciała.

Gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, sygnalizujące, że pani Cordoza wróciła z parku, weszła do wanny i zanurzyła się w kojącej wodzie.

Laurence zadzwonił i powiedział, że znowu się spóźni. Siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, a Eric, szofer, jechał gorącymi, suchymi ulicami, aż wreszcie zatrzymał się przed biurem jej męża.

– Zaczeka pani w samochodzie?

– Tak, dziękuję.

Patrzyła, jak młody mężczyzna żwawo wchodzi po schodach i znika w holu. Nie miała już ochoty wchodzić do biura męża. Gdy nalegał, od czasu do czasu zjawiała się na oficjalnych imprezach i żeby życzyć pracownikom wesołych świąt Bożego Narodzenia, ale nie czuła się tam swobodnie. Jego sekretarka przyglądała jej się z rodzajem zaciekawienia zaprawionego pogardą, jakby Jennifer jakoś ją

skrzywdziła. Może i tak. Ostatnio często miała trudności z określeniem, co zrobiła źle.

Drzwi się otworzyły i Laurence wyszedł z budynku tuż przed szoferem, ubrany w ciemnoszary tweedowy garnitur. Nieważne, że temperatura przekraczała dwadzieścia stopni, Laurence Stirling zawsze nosił to, co uważał za stosowne. Nowe trendy w modzie męskiej wydawały mu się niepojęte.

– Ach. Jesteś. – Wślizgnął się na miejsce obok niej, przynosząc ze sobą powiew ciepłego powietrza.

– Tak.

– W domu wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku.

– Zgłosił się chłopak do mycia schodów?

– Zaraz po twoim wyjściu.

– Chciałem skończyć o szóstej, te cholerne połączenia transatlantyckie. Zawsze dzwonią później, niż zapowiadali.

Pokiwała głową. Wiedziała, że jej odpowiedź nie jest wymagana.

Włączyli się w wieczorny ruch uliczny. Po drugiej stronie Marylebone Road widziała zielony miraż Regent's Park i leniwe, roześmiane grupki dziewczyn idących w jego stronę po połyskliwych chodnikach, przystających, żeby coś do siebie krzyczeć. Niedawno zaczęła czuć się staro, jak matrona, w porównaniu z tymi nienoszącymi pasa wyszczuplającego laleczkami w krótkich, mało subtelnym spódniczkach i ze śmiałym makijażem. Wyglądały, jakby w ogóle ich nie obchodziło, co pomyślą inni. Przyszło jej do głowy, że dzieli je pewnie zaledwie dziesięć lat, ale równie dobrze mogłaby należeć do pokolenia swojej matki.

– O, włożyłaś tę sukienkę. – W jego głosie brzmiała wyraźna dezaprobata.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że ci się nie podoba.

– Nie budzi we mnie żadnych emocji. Po prostu myślałem, że zechcesz się ubrać w coś, w czym wyglądałabyś mniej... jak szkielet.

To nie miało końca. Choć myślała, że na zawsze zamknęła swoje serce w porcelanowej skorupie, wciąż potrafił znaleźć sposób, żeby się przez nią przebić.

Przełknęła ślinę.

– Jak szkielet. Dziękuję. Wątpię, żebym zdołała teraz coś na to poradzić.

– Nie rób scen. Ale mogłabyś trochę bardziej dbać o wygląd. – Spojrzał na nią przelotnie. – I używać trochę więcej tego czegoś, co nakładasz na twarz. – Pokazał miejsca pod jej oczami. – Wyglądasz na zmęczoną. – Rozparł się na siedzeniu i zapalił cygaro. – No, Eric, gazu. O siódmej chcę być na miejscu.

Samochód wyrwał do przodu z posłusznym warkotem. Jennifer patrzyła na zatłoczone ulice i milczała.

Uprzejma. Opanowana. Spokojna. Takimi słowami opisywali ją jej

przyjaciele, przyjaciele Laurence'a i jego partnerzy w interesach. Pani Stirling, wzór kobiecych cnót, zawsze doskonale przygotowana, nigdy nieulegająca emocjom i piskliwym histeriom jak inne, gorsze żony. Czasami, słysząc to, Laurence mówił: „Idealna żona? Gdyby tylko znali prawdę, co, kochanie?”. Mężczyźni stojący obok uprzejmie się śmiali i ona także się uśmiechała. Takie wieczory często kończyły się źle. Czasami, gdy przyłapywała Yvonne i Francisa na wymianie przelotnych spojrzeń po którejś z ostrzejszych uwag Laurence'a albo gdy widziała rumieniec na twarzy Billa, przypuszczała, że ich związek rzeczywiście może być obiektem dyskretnych spekulacji. Nikt jej jednak nie wypytywał. Prywatne życie mężczyzny było przecież prywatne. Byli dobrymi przyjaciółmi – stanowczo zbyt dobrymi, żeby się wtrącać.

– A oto i uroczą pani Stirling. Wspaniale pani wygląda. – Attaché z RPA wziął ją za rękę i ucałował ją w policzki.

– Nie jak szkielec? – spytała niewinnie.

– Słucham?

– Nie, nic. – Uśmiechnęła się. – Sebastianie, wyglądasz olśniewająco. Małżeństwo wyraźnie ci służy.

Laurence poklepał młodszego kolegę po plecach.

– Mimo wszystkich moich ostrzeżeń, co?

Obaj mężczyźni się roześmiali. Sebastian Thorne, nadal roztaczający blask człowieka, który idealnie dobrał się ze swoją drugą połową, promieniał dumą.

– Jennifer, jeśli chciałabyś się przywitać z moją żoną, Pauline jest tam. Wiem, że nie może się doczekać waszego spotkania.

– Pójdę do niej – powiedziała, ciesząc się niezmiernie z tak szybkiej dyspensy. – Wybaczcie.

Od wypadku minęły cztery lata. Cztery lata, w ciągu których Jennifer zmagala się ze smutkiem, poczuciem winy, z utratą ukochanego, którego nie do końca pamiętała, i podejmowała rozpaczliwe próby, by uratować swoje małżeństwo.

Kilka razy, gdy pozwoliła myślom popłynąć w tę stronę, uznała, że kiedy znalazła tamte listy, ogarnęło ją jakieś szaleństwo. Przypomniała sobie swoje rozpaczliwe starania o poznanie tożsamości Boota, swój błąd i lekkomyślne zwrócenie się w stronę Reggiego i czuła się prawie, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Teraz już nie pamiętała tamtej namiętności. Nie potrafiła sobie wyobrazić tak intensywnego pragnienia. Długo była cierpliwa. Zdradziła Laurence'a i mogła jedynie mieć nadzieję, że zdoła się zrehabilitować. Przynajmniej tyle miał prawo od niej oczekiwać. Przyłożyła się do tego zadania i wyparła myśli o wszystkich innych mężczyznach. Listy, te, które pozostały, od dawna leżały w pudełku po butach ukrytym w głębi garderoby.

Żałowała, że od razu się nie domyśliła, że złość Laurence'a będzie tak

destrukcyjna i trwała. Prosiła o zrozumienie, o drugą szansę, a on czerpał wręcz perwersyjną przyjemność z przypominania jej o tym, jak bardzo go uraziła. Nie lubił mówić o jej zdradzie wprost – oznaczałoby to przecież utratę kontroli, a już wiedziała, że Laurence lubi być postrzegany jako człowiek panujący nad wszystkimi aspektami swojego życia – lecz dawał jej do zrozumienia, codziennie i na niezliczone sposoby, że jest niedoskonała. Krytykował jej ubrania. Sposób prowadzenia domu. Jej niezdolność do uszczęśliwienia go. Czasami przypuszczała, że będzie ją karał przez resztę życia.

Mniej więcej od roku był mniej wybuchowy. Domyśliła się, że wziął sobie kochankę. Wcale jej to nie przeszkadzało. W zasadzie odczuła ulgę. Mniej od niej wymagał, rzadziej ją karał. Jego uszczypliwości wydawały się wręcz zdawkowe, jakby nie chciał zawracać sobie głowy zrywaniem z przyzwyczajeniem.

Tabletki pomagały, tak jak powiedział doktor Hargreaves. Nawet jeśli czuła się po nich dziwnie wypompowana, uważała, że warto zapłacić taką cenę. Owszem, jak często wypominał jej Laurence, bywała nudna. Owszem, być może nie błyszczała już na uroczystych kolacjach, ale dzięki tabletkom przestała płakać w nieodpowiednich momentach i rano łatwiej wstawało jej się z łóżka. Przestała się obawiać jego humorów i mniej się przejmowała, gdy przychodził do niej w nocy. Co najważniejsze, nie osłabiał jej już ból z powodu wszystkiego, co straciła albo za co ponosiła odpowiedzialność.

Nie. Jennifer Stirling dostojnie kroczyła przez życie z idealną fryzurą i makijażem, z uroczym uśmiechem na twarzy. Życzliwa, opanowana Jennifer, która wydawała najlepsze przyjęcia, prowadziła piękny dom, знаła wszystkich najciekawszych ludzi. Idealna żona dla mężczyzny o jego pozycji.

Poza tym mogła liczyć na pewne rekompensaty. Pozwalał jej na nie.

– Jestem przeszczęśliwa, że mamy własny dom. Czy po ślubie nie czułaś się podobnie?

– Nie sięgam pamięcią aż tak daleko. – Spojrzała na Laurence'a, który rozmawiał z Sebastianem i z jedną ręką zbliżoną do ust pykał swoje nieodłączne cygaro. Wiatraki leniwie wirowały nad głowami, a kobiety obwieszone drogimi kamieniami stały pod nimi w grupkach, od czasu do czasu delikatnie wycierając szyje batystowymi chusteczkami.

Pauline Thorne wyjęła portfelik ze zdjęciami ich nowego domu.

– Zdecydowaliśmy się na nowoczesne meble. Sebastian powiedział, że mogę wybrać, co zechcę.

Jennifer pomyślała o własnym domu, o ciężkim mahoniu i pompatycznym wystroju. Podziwiała czyste, białe krzesła na zdjęciach – tak gładkie, że mogłyby być skorupkami jajek – kolorowe dywany, nowoczesne dzieła sztuki na ścianach. Laurence uważał, że jego dom powinien go odzwierciedlać. Miał być wspaniały, wypełniony historią. Patrząc na zdjęcia Pauline, zrozumiała, że według niej jest

raczej pompatyczny i nijaki. Duszny. Upomniła się w myślach, że nie powinna być niemiła. Wiele osób byłoby zachwyconych, mogąc mieszkać w takim domu.

– W przyszłym miesiącu będzie o nim artykuł w „Your House”. Matka Seba dosłownie go nie znosi. Twierdzi, że ilekroć wchodzi do naszego salonu, ma wrażenie, że porwą ją kosmici. – Dziewczyna się roześmiała, a Jennifer uśmiechnęła. – Kiedy powiedziałam, że chyba przekształcę jeden z pokoi w pokój dziecięcy, odparła, że sądząc po reszcie wystroju, moje dziecko prawdopodobnie wykluje się z plastikowego jaja.

– Staracie się o dzieci?

– Jeszcze nie. I jeszcze bardzo długo nie będziemy... – Położyła dłoń na ramieniu Jennifer. – Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale dopiero wróciliśmy z miesiąca miodowego. Przed wyjazdem matka przeprowadziła ze mną Tę Rozmowę. No, wiesz: o tym, że muszę się oddać Sebowi i że to może być „trochę nieprzyjemne”.

Jennifer zamrugła.

– Naprawdę myślała, że przeżyję traumę. Ale wcale tak nie jest, prawda?

Jennifer upiła łyk drinka.

– Och, czy zachowuję się bardzo niedyskretnie?

– Ani trochę – odrzekła uprzejmie. Przypuszczała, że na jej twarzy maluje się przerażająca konsternacja. – Napijesz się jeszcze, Pauline? – spytała, gdy odzyskała głos. – Zdaje się, że mój kieliszek jest już pusty.

Usiadła w damskiej toalecie i otworzyła torebkę. Odkręciła brązową fiolkę i zażyła kolejne valium. Tylko jedna tabletkę, potem być może jeszcze jeden drink. Siedziała na klapie sedesu, czekając, aż jej serce znów zacznie bić normalnie. Otworzyła puderniczkę, żeby przypudrować nos, który wcale nie wymagał przypudrowania.

Gdy się oddaliła, Pauline wydawała się niemal urażona, jakby jej zwierzenia spotkały się z niechęcią. Była młoda, podekscytowana, zachwycona tym, że wpuszczono ją do nowego dorosłego świata.

Zastanawiała się ze smutkiem, czy kiedykolwiek czuła coś takiego do Laurence’a. Czasami mijała ich zdjęcie ślubne w korytarzu i miała wrażenie, że patrzy na obcych ludzi. Przeważnie starała się nie zwracać na to uwagi. Jeśli była w złym humorze – Laurence mówił, że często jej się to zdarza – miała ochotę wrzasnąć na tę ufną, naiwną dziewczynę, powiedzieć jej, żeby w ogóle nie wychodziła za mąż. Teraz mnóstwo kobiet z tego rezygnowało. Robiły kariery i miały własne pieniądze, i nie czuły się w obowiązku zważać na wszystko, co mówią albo robią, a co mogłoby urazić rzekomo tego jedyne go mężczyznę, którego zdanie się liczyło.

Starała się nie wyobrazić sobie Pauline Thorne za dziesięć lat, gdy pełne uwielbienia słowa Sebastiana już dawno odejdą w niepamięć, gdy obowiązki

związane z pracą, dziećmi, zabieganiem o pieniądze albo zwykła monotonia codziennej rutyny przyćmią jej blask. Nie, nie powinna być taka zgorzkniała. Niech się dziewczyna nacieszy życiem. Może jej historia potoczy się inaczej.

Wzięła głęboki oddech i poprawiła makijaż ust.

Gdy wróciła na przyjęcie, zobaczyła, że Laurence podszedł do innej grupki. Stała w drzwiach, patrząc, jak jej mąż się pochyla, by przywitać się z młodą kobietą, której nie rozpoznawała. Uważnie słuchał tego, co ta kobieta mówi, i kiwał głową. Znowu coś powiedziała i wszyscy mężczyźni się roześmiali. Laurence zbliżył usta do jej ucha i coś mruknął, a kobieta z uśmiechem pokiwała głową. Pewnie wydaje jej się absolutnie czarujący, pomyślała Jennifer.

Była za kwadrans dziesiąta. Miała ochotę wyjść, ale wiedziała, że nie powinna naciskać na męża. Wyjdą, gdy będzie gotowy.

Kelner właśnie zmierzał w jej stronę. Podsunął jej srebrną tacę zastawioną kieliszkami szampana.

– Proszę pani?

Nagle odniosła wrażenie, że dom znalazł się niemożliwie daleko.

– Dziękuję – powiedziała i wzięła kieliszek.

Właśnie wtedy go zobaczyła, częściowo zasłoniętego jakimś palmami w donicach. Początkowo patrzyła na niego, błędząc gdzieś myślami, i tylko jakaś odległa część jej umysłu zauważyła, że kiedyś знаła kogoś, kto miał włosy stykające się z kołnierzykiem dokładnie w taki sposób. Dawniej – może rok temu, może więcej – widywała go wszędzie, jak zjawę, jego tors, jego włosy, jego uśmiech przeszczepione innym mężczyznom.

Jego towarzysz zarechotał, kręcąc głową, jakby błagał, żeby nic więcej nie mówił. Unieśli kieliszki w toastcie. A potem się odwrócił.

Serce Jennifer zamarło. Pokój znieruchomiał, a potem się przechylił. Nie poczuła, jak kieliszek wypada jej z palców, miała tylko niejasną świadomość brzęku, który odbił się echem w olbrzymim atrium, krótkiej przerwy w rozmowach i zwawych kroków kelnera spieszącego w jej stronę, żeby posprzątać. Usłyszała, jak stojący kawałek dalej Laurence mówi coś z lekceważeniem. Stała jak wryta, aż kelner położył dłoń na jej ramieniu, prosząc, żeby się odsunęła.

Sala znowu wypełniła się rozmowami. Muzyka grała dalej. I gdy tak na niego patrzyła, mężczyzna z ciemnymi włosami też na nią spojrział.

Drobna rada: kiedy następnym razem zaangażujesz się w związek z samotną matką, nie czekaj miesiącami, aż przedstawi cię swojemu dziecku.

Nie zabieraj tego dziecka na mecze. Nie udawaj szczęśliwej rodziny w pizzeriach. Nie mów, jak fajnie jest być razem – by potem się ewakuować, dlatego że, jak powiedziałeś ***, NIGDY NIE BYŁEŚ PEWNY, CZY ONA CI SIĘ PODOBA.

Z pocztówki kobiety do mężczyzny

– Czy ja wiem. Myślałem, że skończyłeś z tą częścią świata. Po co miałbyś tam znowu jechać?

– To ważna sprawa, a ja nadaję się do tej roboty lepiej niż ktokolwiek inny.

– Dobrze ci idzie przy ONZ. Góra jest zadowolona.

– Ale centrum wydarzeń jest teraz w Kongu, Don, przecież wiesz.

Mimo ogromnych zmian, które tam zaszły, mimo awansowania Dona Franklina ze stanowiska szefa działu wiadomości na redaktora naczelnego, jego biuro i on sam niewiele się zmienili, odkąd Anthony O'Hare wyjechał z Anglii. Co roku Anthony przyjeżdżał odwiedzić syna i pokazać się w newsroomie i za każdym razem szyby w oknach były trochę bardziej pożółkłe od nikotyny, a wielkie sterty wycinków prasowych piętrzyły się coraz chaotyczniej. „Tak lubię” – odpowiadał Don, jeśli ktoś go o to pytał. „Zresztą dlaczego miałoby mi zależeć na dobrym widoku na tą żalostną zgrają?”

Obskurne, zawałone papierzyskami biuro Dona było jednak wyjątkiem. W „Nation” zachodziły zmiany. Strony gazety były śmielsze i jaśniejsze, skierowane do młodszego czytelnika. Pojawiły się działy wypełnione radami dotyczącymi makijażu i dyskusjami na temat najnowszych trendów muzycznych, listami o zapobieganiu ciąży i kolumnami towarzyskimi szczegółowo opisującymi pozamałżeńskie romanse różnych ludzi. W redakcji oprócz mężczyzn z podwiniętymi rękawami pracowały dziewczyny w krótkich spódniczkach obsługujące fotokopiarke i stojące w grupkach na korytarzu. Gdy Anthony je mijał, przerywały rozmowy, by otaksować go wzrokiem. Londynki stały się odważniejsze. Podczas wizyt w mieście rzadko bywał sam.

– Obaj o tym wiemy. Nikt nie ma tu takiego doświadczenia z Afryką jak ja. Poza tym jako zakładników bierze się już nie tylko pracowników amerykańskiego konsulatu, ale wszystkich białych. Z kraju docierają przerażające wieści: przywódców Simby nie obchodzi, co robią rebelianci. Daj spokój, Don. Chcesz mi wmówić, że Phipps nadaje się do tej roboty lepiej niż ja? Albo MacDonald?

– Nie wiem, Tony.

– Wierz mi, Amerykanom wcale się nie podoba, że ich misjonarza, Carlsona, traktuje się jak kartę przetargową. – Pochylił się. – Krążą pogłoski o akcji ratunkowej... Często pada nazwa Dragon Rouge.

– Tony, wątpię, czy naczelny chciałby tam teraz kogokolwiek posłać. Ci rebelianci są szaleni.

– Kto ma lepsze kontakty niż ja? Kto wie więcej ode mnie o Kongu i ONZ? Spędziłem w tym labiryncie cztery lata, Don, cztery cholerne lata. Musisz mnie tam wysłać. Ja muszę się tam znaleźć. – Czuł, jak opór Dona słabnie. Autorytet zdobyty przez Anthony'ego w ciągu lat spędzonych poza newsroomem i jego władzony

wizerunek dodawały wagi jego argumentom. Od czterech lat sumiennie relacjonował polityczną działalność zawilej Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Przez pierwszy rok myślał w zasadzie tylko o tym, żeby wstać rano i wykonać swoją robotę. Cały czas gnębiło go jednak uporczywe przekonanie, że prawdziwe historie, a nawet jego życie, rozgrywają się gdzieś daleko od miejsca, w którym się znajduje. Teraz Kongu, od zamachu na Lumumbę balansującemu na krawędzi, groził rozpad, a syreni śpiew tego państwa, niegdyś zaledwie nucenie w oddali, brzmiał bardziej nagłaco.

– Teraz toczy się tam inna gra – powiedział Don. – To mi się nie podoba. Chyba powinniśmy zaczekać z posyłaniem kogokolwiek do tego kraju, aż sytuacja trochę się tam uspokoi.

Don jednak wiedział równie dobrze jak Anthony, że właśnie tak wygląda relacjonowanie konfliktów: zalety i wady tej roboty są dokładnie określone. Czułeś przypływ adrenaliny, przepełniały cię wesołość, rozpacz i poczucie koleżeństwa. Równie dobrze mogło cię to zniszczyć, a każdy, kto tam był, miał potem trudności z cieszeniem się przyziemnym znojem „normalnego” życia w domu.

Anthony codziennie rano wykonywał telefony, przeglądał gazety w poszukiwaniu nielicznych doniesień, którym udało się wydostać z rejonu konfliktu, i interpretował wydarzenia. Wiedział, że szykuje się coś wielkiego: czuł to w kościach. Musiał się tam znaleźć, poczuć ten smak, przelać go na papier. Przez cztery lata był na wpół martwy. Musiał się tam znaleźć, by znowu poczuć, że żyje.

Anthony pochylił się nad biurkiem.

– Słuchaj, Philmore powiedział, że naczelny poprosił konkretnie o mnie. Chcesz mu sprawić zawód?

Don zapalił kolejnego papierosa.

– Oczywiście, że nie. Ale jego tu nie było, kiedy ty... – Zgasił papierosa na krawędzi przepelnionej popielniczki.

– Więc o to chodzi? Boisz się, że znowu nawalę?

Pełen zakłopotania śmiech Dona powiedział mu wszystko, co musiał wiedzieć.

– Nie piję od lat. Nos też mam czysty. Zaszczepiłem się przeciwko żółtej febrze, jeśli to cię martwi.

– Po prostu myślę o tobie, Tony. To ryzykowne. Słuchaj. A twój syn?

– On nie ma tu znaczenia. – Jeśli Anthony’emu się poszczęściło, dostawał od syna dwa listy rocznie. Clarissa oczywiście myślała tylko o Phillipie, któremu rzekomo było lepiej bez zakłóceń w postaci zbyt częstych kontaktów twarzą w twarz. – Pozwól mi tam pojechać na trzy miesiące. Do końca roku będzie po sprawie. Wszyscy tak mówią.

– Czy ja wiem...

– Czy kiedykolwiek nie dotrzymałem terminu? Czy nie przesyłałem ci dobrego materiału? Don, na litość boską, potrzebujesz mnie tam. Gazeta mnie tam potrzebuje. To musi być ktoś, kto wie, jak się tam poruszać. Człowiek z kontaktami. Wyobraź to sobie. – Przesunął dłonią po wymaginanym nagłówku. – „Nasz człowiek w Kongu relacjonuje uwolnienie białych zakładników”. Słuchaj, Don, zrób to dla mnie, a potem pogadamy.

– Nadal nie potrafisz usiedzieć na miejscu, co?

– Wiem, gdzie powinienem być.

Don wydał policzki jak ludzka wersja chomika, a potem głośno wypuścił powietrze.

– W porządku. Porozmawiam z górą. Nie mogę niczego obiecać... ale z nią porozmawiam.

– Dziękuję. – Anthony wstał, żeby wyjść.

– Tony.

– Co?

– Dobrze wyglądasz.

– Dzięki.

– Mówię poważnie. Miałbyś ochotę wyskoczyć dziś na drinka? Ty, ja i paru starych kumpli? Miller jest w mieście. Moglibyśmy machnąć kilka piw... mrożonej herbaty, coca-coli czy czego tam.

– Obiecałem Douglasowi Gardinerowi, że pójdę z nim na jakąś imprezę.

– Tak?

– W ambasadzie RPA. Muszę podtrzymywać znajomości.

Zrezygnowany Don pokręcił głową.

– Z Gardinerem, mówisz? Przekaż mu, że moim zdaniem nie ma pojęcia o pisaniu.

Cheryl, sekretarka działu wiadomości, stała obok szafy z materiałami papierniczymi i gdy mijał ją w drodze powrotnej, puściła do niego oko. Naprawdę puściła do niego oko. Anthony O'Hare zastanawiał się, czy pod jego nieobecność nie zmieniło się więcej, niż przypuszczał.

– Puściła do ciebie oko? Tony, stary, masz szczęście, że cię nie wciągnęła do tej przeklętej szafy.

– Dougie, nie było mnie tylko kilka lat. Przecież to ciągle ten sam kraj.

– Nie. – Douglas rozglądał się po sali. – Nie, już nie, stary. Teraz Londyn jest w centrum wszechświata. Tu dzieje się wszystko, bracie. Równość kobiet i mężczyzn to tylko jedna z wielu zmian.

Musiał przyznać, że Douglas ma rację. Miasto zmieniło się nawet z wyglądu: zniknęło wiele spokojnych ulic, eleganckie, zaniedbane fasady i echa powojennego niedostatku. Zastąpiły je podświetlane szyldy, butiki dla kobiet noszące takie nazwy jak Party Girl i Jet Set, zagraniczne restauracje i wieżowce. Przyjeżdżając

do Londynu, za każdym razem czuł się bardziej obco: zniknęły znajome punkty orientacyjne, a te, które zostały, tkwiły teraz w cieniu Post Office Tower albo innych przykładów futurystycznej biegłości architektów. Jego dawny blok zrównano z ziemią i zastąpiono czymś brutalnie modernistycznym. Klub jazzowy Alberto's zmienił się w jakiś rockandrollowy lokal. Nawet ubrania były bardziej kolorowe. Starsze pokolenie, wciąż trwające przy brzązie i granacie, z jakiegoś powodu wyglądało bardziej wiekowo i ponuro, niż wskazywał jego wiek.

– Więc... brakuje ci pracy w terenie?

– E, nie. Przecież kiedyś wszyscy będziemy musieli odłożyć swoje blaszane hełmy, prawda? W tej robocie są ładniejsze kobiety, to na pewno. A co słychać w Nowym Jorku? Co sądzisz o Johnsonie?

– Kennedy to on nie jest, bez dwóch zdań... Więc czym się teraz zajmujesz? Brylujesz w wytwornym towarzystwie?

– Od twojego wyjazdu wiele się zmieniło, Tony. Ludzie już nie chcą żon ambasadorów i kompromitujących ploteczek. Nastaly czasy gwiazd muzyki pop: Beatlesów i Cilli Black. Pochodzenie przestało się liczyć. W kolumnie towarzyskiej zapanował egalitaryzm.

Brzęk tłuczonego kieliszka odbił się echem w wielkiej sali balowej. Dwaj mężczyźni przerwali rozmowę.

– Oho! Ktoś wypił o jednego za dużo – zauważył Douglas. – Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Panie nadal nie potrafią trzymać drinków.

– Mam wrażenie, że gdybym zaczął pić z pewnymi dziewczynami z redakcji, skończyłbym pod stołem. – Anthony zadrżał.

– Nadal trzymasz się z dala od kieliszka?

– Już ponad trzy lata.

– W tej robocie długo byś nie wytrzymał. Nie tęsknisz za łykiem czegoś mocniejszego?

– Każdego cholernego dnia.

Douglas przestał się śmiać i wpatrywał się w coś za jego plecami. Anthony zerknął przez ramię.

– Chcesz z kimś porozmawiać? – Uprzejmie się odsunął.

– Nie. – Douglas zmrużył oczy. – Wydawało mi się, że ktoś na mnie patrzy. Ale chyba chodzi o ciebie. Znasz ją?

Anthony się odwrócił i w jego umyśle zapanowała pustka. Potem ta świadomość uderzyła go z brutalną nieuchronnością kuli do rozbiórek. Przecież to jasne, że ona tu jest. Jedyna osoba, o której starał się nie myśleć. Jedyna osoba, której miał nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć. Przyleciał do Anglii na niespełna tydzień i prozę. Spotkał ją już pierwszego wieczoru.

Spojrzał na ciemnoczerwoną sukienkę, na niemal idealną postawę, która odróżniała ją od wszystkich innych kobiet w sali. Gdy ich oczy się spotkały,

odniósł wrażenie, że się zachwiała.

– Jednak nie. Nie mogło jej chodzić o ciebie – powiedział Douglas. – Patrz, idzie na balkon. Wiem, kto to jest. Nazywa się... – Pstryknął palcami. – Stirling. Jest żoną tego, no, jak mu tam, Stirlinga. Tego azbestowego magnata. – Przechylił głowę. – Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy do niej podeszli? Może będzie z tego jakiś materiał. Kilka lat temu brylowała w socjocie. Pewnie i tak będą woleli dać jakiś artykuł o Elvisie Presleyu, ale nigdy nic nie wiadomo...

Anthony przelknął ślinę.

– Jasne. – Poprawił kołnierzyk, wziął głęboki oddech i poszedł za przyjacielem przez tłum w stronę balkonu.

– Pani Stirling?

Patrzyła w dół na ruchliwą londyńską ulicę, odwrócona do niego plecami. Jej włosy tworzyły misterną konstrukcję z lśniących loków, a na szyi miała rubiny. Odwróciła się powoli, jej dłoń uniosła się do ust.

To musiało nastąpić, pomyślał. Może ujrzenie jej tutaj, to przymusowe spotkanie, pomoże mu wreszcie o niej zapomnieć. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Czy przeprowadzą jakąś uprzejmą rozmowę? Może przeprosi i szybko od niego odejdzie. Czy wstydziła się tego, co się między nimi wydarzyło? Miała poczucie winy? Czy zakochała się w kimś innym? Myśli wirowały mu w głowie.

Douglas wyciągnął do niej rękę, a ona uściśniła mu dłoń, ale nie odrywała oczu od Anthony'ego. Jej twarz straciła kolor.

– Pani Stirling? Jestem Douglas Gardiner z „Expressu”. Zdaje się, że latem poznaliśmy się w Ascot.

– Ach, tak – powiedziała. Drżał jej głos. – Przepraszam – szepnęła. – Ale... Ale...

– Dobrze się pani czuje? Strasznie pani zbladła.

– Bo... Właściwie to trochę mi słabo.

– Mam pójść po pani męża? – Douglas ujął ją pod łokieć.

– Nie! – zawołała. – Nie. – Wzięła oddech. – Poprosiłabym tylko o szklanekę wody, jeśli byłby pan tak uprzejmy.

Douglas rzucił mu przelotne spojrzenie. „I co ty na to?”

– Tony... zostań chwilę z panią Stirling, dobrze? Zaraz wracam.

Douglas zszedł z balkonu i gdy zamknął za sobą drzwi, tłumiąc muzykę, zostali tylko we dwoje. Wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi, przerażającymi oczami. Jakby nie była w stanie nic powiedzieć.

– To aż takie straszne? Znowu mnie zobaczyć? – W jego głosie lekko zabrzmiała ostra nuta. Nie mógł na to nic poradzić.

Zamrugła, odwróciła się, znowu na niego spojrzała, jakby chciała sprawdzić, czy naprawdę jest obok niej.

– Jennifer? Chciałabyś, żebym sobie poszedł? Przepraszam. Nie

zamierzałem cię niepokoić. Po prostu Dougie...

– Powiedzieli... powiedzieli, że ty... Że zginąłeś – wykrztusiła.

– Że zginąłem?

– W wypadku. – Pociła się, jej skóra była blada i woskowa. Przez chwilę się zastanawiał, czy rzeczywiście nie zemdleje. Podszedł do niej i podprowadził ją do balustrady, zdejmując marynarkę, żeby mogła na niej usiąść. Gwałtownie opuściła głowę i chowając ją w dłoniach, cicho jęknęła.

– Nie, to nie możesz być ty. – Zupełnie jakby mówiła do siebie.

– Co? Nie rozumiem. – Przez chwilę się zastanawiał, czy nie oszalała.

Podniosła głowę.

– Jechaliśmy samochodem. Był wypadek... To nie możesz być ty! To niemożliwe. – Spuściła wzrok na jego dłonie, jakby myślała, że za chwilę wyparują.

– Wypadek? – Ukląkł obok niej. – Jennifer, po raz ostatni widziałem cię w klubie, nie w samochodzie.

Kręciła głową, wyraźnie nie mogąc tego pojąć.

– Napisałem do ciebie list...

– Tak.

– ...prosząc, żebyś ze mną wyjechała.

Pokiwała głową.

– I czekałem na dworcu. Nie pojawiłaś się. Uznałem, że postanowiłaś nie jechać. Potem dostałem od ciebie list, w którym wielokrotnie podkreślałaś, że jesteś mężatką.

Zdołał to powiedzieć z takim spokojem, jakby nie miało to większego znaczenia niż czekanie na starego przyjaciela. Jakby jej nieobecność nie wypaczyła jego życia, jego szczęścia, na całe cztery lata.

– Ale ja do ciebie jechałam.

Wpatrywali się w siebie.

Znowu ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona zadrżały. Wstał, spoglądając za nią na oświetloną salę balową, i położył rękę na jej ramieniu. Wzdrygnęła się jak oparzona. Widział zarys jej pleców pod sukienką i oddech uwiązał mu w gardle. Nie był w stanie trzeźwo myśleć. Prawie w ogóle nie był w stanie myśleć.

– Przez cały ten czas – spojrzała na niego ze łzami w oczach – przez cały ten czas... jednak żyłeś.

– Uznałem... że po prostu nie chciałaś ze mną wyjechać.

– Spójrz! – Podciągnęła rękaw, odsłaniając nierówną, wybrzuszoną srebrną kreskę biegnącą wzdłuż ramienia. – Straciłam pamięć. Na całe miesiące. Nadal niewiele pamiętam z tego okresu. Powiedział mi, że zginąłeś. Powiedział...

– I nie widziałaś mojego nazwiska w gazecie? Prawie codziennie coś w niej publikuję.

– Nie czytam gazet. Już nie. Po co miałabym to robić?

Do Anthony'ego zaczęły docierać wszystkie konsekwencje jej słów i lekko zakręciło mu się w głowie. Odwróciła się do drzwi balkonowych, teraz już częściowo zaparowanych, potem przetarła oczy palcami. Podał jej chusteczkę, a ona wzięła ją z wahaniem, jakby nadal bała się go dotknąć.

– Nie mogę tu dłużej siedzieć – powiedziała, odzyskując panowanie nad sobą. Tusz do rzesz zostawił czarną smugę pod jej okiem i Anthony musiał się powstrzymać, żeby jej nie zetrzeć. – Będzie się zastanawiał, gdzie się podziewam. – Stres wyźłobił wokół jej oczu nowe zmarszczki, wilgoć na jej skórze ustąpiła miejsca jakiemuś napięciu. Dziewczęcość zniknęła, zastąpiona nową, subtelną świadomością. Nie był w stanie oderwać od niej oczu.

– Jak mogę się z tobą skontaktować? – spytał.

– Nie możesz. – Lekko pokręciła głową, jakby próbowała odzyskać jasność umysłu.

– Zatrzymałem się w Regencie – powiedział. – Zadzwon jutro. Sięgnął do kieszeni i napisał coś na wizytówce.

Wzięła ją i utkwiała w niej wzrok, jakby chciała wyryć szczegóły w swojej pamięci.

– Proszę bardzo. – Nagle wyrósł między nimi Douglas. Podał jej szklankę wody. – Pani mąż rozmawia z jakimiś ludźmi tuż obok drzwi. Jeśli pani chce, mogę go zawołać.

– Nie... nie, nic mi nie będzie. – Upiła łyk wody. – Bardzo panu dziękuję. Anthony, muszę już iść.

Sposób, w jaki wymówiła jego imię. Anthony. Zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. Była tu, dzieliły go od niej zaledwie centymetry. Kochała go, rozpaczała po jego stracie. Tamtego wieczoru do niego jechała. Poczuł się tak, jakby rozpacz czterech minionych lat nagle wyparowała.

– Więc państwo się znają?

Anthony słyszał, jakby z oddali, że Douglas coś mówi, widział, jak wykonuje gest w stronę drzwi. Jennifer sączyła wodę, nie odrywając oczu od jego twarzy. Wiedział, że najbliższe godziny upłyną mu na przeklinaniu bogów, którzy postanowili się zabawić, kierując ścieżki ich życia w przeciwne strony, i na rozpaczaniu nad straconym czasem. Teraz jednak czuł wyłącznie wzbierającą radość, że zwrócono mu coś, co, jak sądził, przypadło na zawsze.

Musiła już iść. Wstała, przygładziła włosy.

– Jak... wyglądam?

– Wyglądasz...

– Wygląda pani cudownie, pani Stirling. Jak zawsze. – Douglas otworzył drzwi.

Tak lekki uśmiech, a mówił Anthony'emu tyle, że rozdzierał mu serce.

Mijając go, wyciągnęła szczupłą dłoń i dotknęła jego ramienia tuż nad łokciem. A potem weszła do zatłoczonej sali balowej.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Douglas uniósł brew.

– Tylko mi nie mów, że to jedna z twoich zdobyczy – powiedział. – Ty szczwany lisie. Naprawdę zawsze dostawałeś to, czego chciałeś.

Anthony nadal wpatrywał się w drzwi.

– Nie – odrzekł cicho. – Nie zawsze.

Podczas krótkiej drogi do domu Jennifer milczała. Laurence zaproponował podwiezienie koledze z branży, którego nie знаła, a to oznaczało, że mogła cicho siedzieć, gdy mężczyźni rozmawiali.

– Oczywiście Pip Marchant stosował swoje stare sztuczki, cały kapitał wpakował w jedno przedsięwzięcie.

– Jest zakładnikiem fortuny. Jego ojciec był taki sam.

– Przypuszczam, że gdyby pogrzebać w tym drzewie genealogicznym wystarczająco głęboko, można by dotrzeć do bańki spekulacyjnej na akcjach Kompanii Mórz Południowych.

– Myślę, że nawet do kilku baniek! I wszystkie byłyby wypełnione gorącym powietrzem.

W dużym czarnym samochodzie powietrze było gęste od dymu cygar. Laurence rozgadał się i emanował pewnością siebie, co często mu się zdarzało, gdy otaczali go inni biznesmeni albo gdy zaprawił się whisky. Prawie go nie słuchała, pochłonięta nowymi informacjami. Samochód sunął przez miasto, a ona patrzyła na spokojne ulice, widząc nie piękno otoczenia, pojedyncze osoby wlekące się do domu, lecz twarz Anthony'ego. Jego brązowe oczy, gdy się w nią wpatrywał, jego twarz trochę bardziej pomarszczoną, ale chyba i przystojniejszą, bardziej odprężoną. Nadal czuła ciepło jego dłoni na plecach.

„Jak mogę się z tobą skontaktować?”

Żył przez te ostatnie cztery lata. Żył, oddychał, sączył kawę i pisał na maszynie. Żywy. Mogła do niego pisać, mogła z nim rozmawiać. Mogła do niego pojechać.

Przełknęła ślinę, starając się zapanować nad gwałtownymi emocjami, które niebezpiecznie wzbierały w jej sercu. Wiedziała, że przyjdzie pora, by pomyśleć o wszystkim, co do tego doprowadziło – do jej obecności tutaj, teraz, w tym samochodzie z mężczyzną, który nie czuł już potrzeby, by choć odnotować jej obecność. Ale jeszcze nie teraz. Jej krew buzowała. On żyje, śpiewała.

Samochód skręcił w Upper Wimpole Street. Martin podniósł się z miejsca kierowcy i otworzył drzwi pasażera. Biznesmen wysiadł, pykając cygaro.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Larry. Będiesz w tym tygodniu w klubie? Postawię ci kolację.

– Nie mogę się doczekać.

Mężczyzna ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom wejściowym, które otworzyły się, jakby ktoś na niego czekał. Laurence patrzył, jak kolega znika, a potem zwrócił się do szofera:

– Do domu, Ericu – poprosił. Rozparł się na siedzeniu.

Poczuła na sobie jego spojrzenie.

– Jesteś bardzo milcząca. – Zawsze mówił to z niezadowoleniem.

– Naprawdę? Chyba nie miałam nic do dodania do waszej rozmowy.

– Tak. No cóż. Ogólnie rzecz biorąc, to był całkiem niezły wieczór. –

Pokiwał głową.

– Tak. Całkiem niezły.

Przykro mi, ale muszę z Tobą zerwać. Nie przejmuj się, to nie Twoja wina. Dave powiedział, że chciałby z Tobą spróbować, jeśli nie mam nic przeciwko temu. Ale proszę Cię, nie rób tego, bo wtedy nadal musiałbym Cię widywać.

Esemeś mężczyzny do kobiety

W Twoim hotelu w południe. J.

Anthony wpatrywał się w list złożony tylko z jednej linijki tekstu.

– Dziś rano dostarczono to osobiście – Cheryl, sekretarka działu wiadomości, stała przed nim, trzymając ołówek między palcem wskazującym a środkowym. Jej krótkie i zdumiewająco jasne włosy były tak gęste, że przez chwilę się zastanawiał, czy nie nosi peruki. – Nie wiedziałam, czy mam do ciebie dzwonić, ale Don powiedział, że przyjdiesz.

– Tak. Dziękuję. – Starannie złożył liścik i wsadził go do kieszeni.

– Ładniutka.

– Co... moja marynarka?

– Twoja nowa dziewczyna.

– Bardzo zabawne.

– Mówię poważnie. Ale moim zdaniem ma jak dla ciebie stanowczo za dużo klasy. – Usiadła na krawędzi biurka, przypatrując mu się zza niemożliwie czarnych rzęs.

– Rzeczywiście, ma jak dla mnie stanowczo za dużo klasy. I nie jest moją dziewczyną.

– A tak, zapomniałam. Dziewczyne masz w Nowym Jorku. Ta jest mężatką, prawda?

– To stara przyjaciółka.

– Ha! Też mam takich starych przyjaciół. Porywasz ją ze sobą do Afryki?

– Nie wiem, czy jadę do Afryki. – Odchylił się na krześle i splótł dłonie za głową. – A ty jesteś bardzo wścibska.

– To redakcja gazety, gdybyś nie zauważył. Wścibstwo to nasza praca.

Prawie nie spał, jego zmysły były nadwrażliwe na wszystko wokół. O trzeciej dał sobie spokój i poszedł do hotelowego baru, gdzie sączył kolejne kawy i analizował w myślach ich rozmowę, szukając sensu w tym, co zostało powiedziane. Nad ranem zdusił nagłą potrzebę, by wsiąść do taksówki, pojechać na plac i siedzieć przed jej domem dla przyjemności towarzyszącej poczuciu, że ona jest w środku, na wyciągnięcie ręki.

„Jechałam do ciebie”.

Cheryl nadal mu się przyglądała. Zabębnił palcami w biurko.

– Tak – powiedział. – No cóż. Moim zdaniem ludzie stanowczo za bardzo interesują się cudzymi sprawami.

– Więc jednak jest sprawa. Wiesz, że redaktorzy robią o to zakłady.

– Cheryl...

– Z samego rana spływa niewiele tekstów. Co jest w tym liściku? Gdzie się spotkacie? W jakimś miłym miejscu? Czy ona za wszystko płaci? Bo najwyraźniej

jest dziana?

– Dobry Boże!

– No cóż, w takim razie nie ma zbyt wielkiego doświadczenia w romansowaniu. Powiedz jej, że kiedy następnym razem będzie chciała zostawić liścik miłosny, powinna najpierw zdjąć obrączkę.

Anthony westchnął.

– Młoda damo, marnujesz się na stanowisku sekretarki.

Ściszyła głos do szeptu.

– Jeśli mi zdradzisz, jak ona się nazywa, podzielę się z tobą wygraną. To niezła sumka.

– Na litość boską, wyślijcie mnie do Afryki. W porównaniu z tobą jednostka armii kongijskiej do spraw przesłuchań to pestka.

Roześmiała się gardłowo i wróciła do pisania na maszynie.

Rozłożył liścik. Sam widok tego zamaszystego charakteru pisma przeniósł go z powrotem do Francji, do liścików wsuwanych pod drzwi w czasie sielskiego tygodnia milion lat temu. W głębi duszy wiedział, że Jennifer się z nim skontaktuje. Nagle podskoczył na krześle, bo do redakcji wszedł Don.

– Tony. Naczelnny prosi na słówko. Na gorze.

– Teraz?

– Nie. We wtorek za trzy tygodnie. Tak, teraz. Chce z tobą porozmawiać o twojej przyszłości. I nie, niestety nie zamierza cię wylać. Chyba próbuje ocenić, czy wysłać cię znowu do Afryki. – Don szturchnął go w ramię. – Halo? Ogłuchłeś? Powinieneś wygładać jak ktoś, kto wie, co robi.

Anthony prawie go nie słyszał. Było już piętnaście po jedenastej. Naczelnny nie lubił się spieszyć i wydawało się całkiem możliwe, że ich rozmowa potrwa z dobrą godzinę. Wstał i odwrócił się do Cheryl.

– Blondyna, wyświadczyć mi przysługę. Zadzwoń do mojego hotelu. Powiedz, że o dwunastej przyjdzie do mnie Jennifer Stirling i poproś, żeby ktoś jej przekazał, że się spóźnię, ale żeby nie wychodziła. Będę na pewno. Ona nie może wyjść.

Uśmiech Cheryl był podszyty zadowoleniem.

– Pani Jennifer Stirling?

– Jak już mówiłem, to moja stara przyjaciółka.

Anthony zauważył, że Don ma na sobie tę samą koszulę co wczoraj. Zawsze miał na sobie tę samą koszulę co wczoraj. Poza tym kręcił głową.

– Jezu. Znowu ta cała Stirling? Jak duży jest ten twój apetyt na kłopoty?

– To tylko przyjaciółka.

– A ja jestem Twiggy. Daj spokój. Idź i wyjaśnij Wielkiemu Białemu Wodzowi, dlaczego ma ci pozwolić, żebyś złożył się w ofierze rebeliantom z Simby.

Stwierdził z ulgą, że Jennifer nadal czeka. Od umówionej pory upłynęło

ponad pół godziny. Siedziała przy niewielkim stoliku w niezwykle frymuśnym salonie, gdzie gipsowe gzymsy przypominały lukier na przesadnie udekorowanym bożonarodzeniowym cieście, a większość pozostałych stolików zajmowały starszawe wdowy reagujące przerażonymi, ściszonymi okrzykami na podłość współczesnego świata.

– Zamówiłam herbatę – powiedziała, gdy usiadł naprzeciwko niej i przeprosił po raz piąty. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Miała rozpuszczone włosy. Włożyła czarny sweter i dopasowane płowe spodnie. Była chudsza niż kiedyś. Przypuszczał, że taka panuje teraz moda.

Starał się zapanować nad oddechem. Tyle razy wyobrażał sobie tę chwilę, widział, jak bierze ją w ramiona, przeżywał ich namiętne ponowne spotkanie. Teraz był jednak nieco zaskoczony jej opanowaniem i tym oficjalnym otoczeniem.

Przyszła kelnerka z wózkiem, z którego zdjęła dzbanek herbaty, mlecznik, kilka starannie pokrojonych kanapeczek z białego pieczywa, filiżanki, spodeczki i talerzyki. Uświadomił sobie, że pewnie zmieściłby w ustach cztery takie kanapeczki naraz.

– Dziękuję.

– Nie... słodysz? – Zmarszczyła brwi, jakby próbowała sobie przypomnieć.

– Nie.

Sączyli herbatę. Kilka razy otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale nic się z nich nie wydobywało. Raz po raz rzucał jej ukradkowe spojrzenia, zauważając drobne szczegóły. Znajomy kształt jej paznokci. Jej nadgarstki. Sposób, w jaki regularnie unosiła górną część ciała, jakby jakiś odległy głos nakazywał jej siedzieć prosto.

– Wczoraj byłam w wielkim szoku – powiedziała wreszcie, stawiając filiżankę na spodeczku. – I... muszę cię przeprosić za swoje zachowanie. Pewnie pomyślałeś, że jestem bardzo dziwna.

– To było całkowicie zrozumiałe. Nie co dzień widzi się kogoś, kto powstał z martwych.

Lekki uśmiech.

– Właśnie.

Ich oczy się spotkały, ale tylko na chwilę. Pochyliła się i dołała herbaty.

– Gdzie teraz mieszkasz?

– Byłem w Nowym Jorku.

– Przez cały czas?

– W zasadzie nie miałem powodu, żeby wracać.

Znowu zapadło krępujące milczenie, które po chwili przerwała.

– Dobrze wyglądasz. Bardzo dobrze.

Miała rację. Nie można było mieszkać w sercu Manhattanu i pozostawać obdartusem. W tym roku wrócił do Anglii z garderobą składającą się z dobrych

garniturów i z mnóstwem nowych przyzwyczajęń: goleniem na gorąco, pucowaniem butów, abstynencją.

– A ty wyglądasz uroczo, Jennifer.

– Dziękuję. Na długo przyjechałeś do Anglii?

– Pewnie nie. Chyba znowu wyjadę za granicę. – Obserwował jej twarz, chcąc zobaczyć, jakie wrażenie robi na niej ta wiadomość. Ona jednak tylko sięgnęła po mleko. – Nie – powiedział, unosząc dłoń. – Dziękuję.

Jej ręka zastygła, jakby sprawiła sobie zawód, zapominając, że on nie pije herbaty z mlekiem.

– Jakie plany ma w związku z tobą gazeta? – Położyła kanapeczkę na talerzu, który następnie postawiła przed nim na stoliku.

– Chcieliby, żebym tu został, ale ja wolę znowu jechać do Afryki. Sytuacja w Kongu mocno się skomplikowała.

– Czy przypadkiem nie jest tam teraz bardzo niebezpiecznie?

– Nie o to chodzi.

– Chcesz być w centrum wydarzeń.

– Tak. Dzieją się tam ważne rzeczy. Poza tym myśl o siedzeniu za biurkiem mnie przeraża. Te ostatnie lata były... – Starał się znaleźć określenie, którego mógłby bezpiecznie użyć. „Lata spędzone w Nowym Jorku uchroniły mnie przed utratą zmysłów? Pozwoliły żyć z dala od ciebie? Powstrzymały mnie od rzucenia się na granat w jakimś obcym kraju?” – ...pożyteczne – dokończył wreszcie. – Naczelnicy zobaczył mnie chyba w innym świetle. Ale teraz chciałbym już coś zmienić. Wrócić do tego, co robię najlepiej.

– I nie mógłbyś zaspokoić tej potrzeby w jakimś bezpieczniejszym miejscu?

– A wyglądam na kogoś, kto chciałby segregować spinacze albo oddawać się papierologii?

Uśmiechnęła się lekko.

– Co z twoim synem?

– Prawie go nie widuję. Jego matka woli, żebym trzymał się z daleka. – Upił łyk herbaty. – Pobyt w Kongu niewiele by zmienił, skoro komunikujemy się tylko listownie.

– To musi być bardzo trudne.

– Tak. To prawda, jest.

W kącie zaczął grać kwartet smyczkowy. Obejrzała się na chwilę przez ramię, dzięki czemu mógł swobodnie jej się przyjrzeć: temu profilowi, leciutkiemu wydęciu górnej wargi. Poczul jakiś ucisk i z bolesnym ukłuciem uświadomił sobie, że już nigdy nie pokocha nikogo tak, jak kochał Jennifer Stirling. Cztery lata wcale go nie wyzwoliły i dziesięć kolejnych pewnie też nie zdoła. Gdy znowu się do niego odwróciła, czuł, że nie może się odezwać, bo w przeciwnym razie zdradzi wszystko, odsłoni swoje wnętrze jak śmiertelnie ranny człowiek.

– Podobało ci się w Nowym Jorku? – spytała.
– Chyba ułożyło mi się tam lepiej, niż gdybym został w Londynie.
– Gdzie mieszkałeś?
– Na Manhattanie. Znasz Nowy Jork?
– Nie na tyle, żeby mieć pojęcie, o czym mówisz – przyznała. – A czy...
znowu się ożeniłeś?

- Nie.
 - Masz dziewczynę?
 - Spotykam się z kimś.
 - Z Amerykanką?
 - Tak.
 - Ma męża?
 - Nie. To dość zabawne.
- Nawet nie drgnęła.
- To coś poważnego?
 - Jeszcze nie zdecydowałem.
- Pozwoliła sobie na uśmiech.
- Nic się nie zmieniłeś.
 - Ty też.
 - Ależ tak – odrzekła cicho.

Miał ochotę jej dotknąć. Miał ochotę zrzucić z tego przekłętego stolika wszystkie naczynia, wyciągnąć ręce i ją przytulić. Nagle poczuł wściekłość, ograniczony tym niedorzecznym miejscem, jego oficjalną atmosferą. Poprzedniego wieczoru zachowywała się dziwnie, ale jej gwałtowne emocje były przynajmniej prawdziwe.

– A ty? Dobrze ci się żyje? – spytał, gdy zobaczył, że Jennifer nie zamierza się odezwać.

Upiła łyk herbaty. Prawie jak w letargu.

– Czy dobrze mi się żyje? – Zastanowiła się. – Dobrze i źle. Na pewno nie różnię się od innych.

– I nadal wypoczywasz na Riwierze?

– Jeśli mogę tego uniknąć, to nie.

Z mojego powodu?, miał ochotę spytać. Najwyraźniej niczego nie zamierzała mówić z własnej woli. Gdzie się podziało jej poczucie humoru? Namiętność? To nieustanne wrażenie, że za chwilę coś w niej eksploduje – czy to niespodziewany śmiech, czy deszcz pocałunków. Wydawała się przyklapnięta, pogrzebana pod lodem dobrych manier.

Kwartet smyczkowy w kącie ucichł przed następną częścią utworu. W Anthonym narastała frustracja.

– Jennifer, po co mnie tu zaprosiłaś?

Uświadomił sobie, że wygląda na zmęczoną, ale i rozgorączkowaną, skórę na jej kościach policzkowych rozjaśniały czerwone plamki.

– Wybacz – ciągnął – ale nie mam ochoty na kanapkę. Nie mam ochoty tu siedzieć i słuchać tych przeklętych instrumentów smyczkowych. Jeśli cokolwiek zyskałem w ciągu ostatnich czterech lat, w czasie których właściwie byłem martwy, to z pewnością prawo do niesiedzenia przy herbacie i nieprowadzenia uprzejmej rozmowy.

– Ja... po prostu chciałam cię zobaczyć.

– Wiesz, kiedy wczoraj zobaczyłem cię na drugim końcu sali, nadal byłem na ciebie wściekły. Przez cały ten czas myślałem, że wybrałaś jego, ten styl życia, zamiast mnie. Układałem w głowie argumenty, jakie ci przedstawię, wyrzucałem ci, że nie odpowiedziałaś na moje ostatnie listy...

– Proszę, przestań. – Uniosła dłoń, żeby mu przerwać.

– A potem się spotkaliśmy i powiedziałaś, że próbowałaś ze mną wyjechać. I muszę ponownie przemyśleć wszystko, w co wierzyłem przez ostatnie cztery lata, wszystko, co uważałem dotąd za prawdę.

– Anthony, nie rozmawiajmy o tym, co mogło się wydarzyć... – Położyła ręce na stoliku jak ktoś odkładający karty. – Ja... po prostu nie mogę.

Siedzieli naprzeciwko siebie, nienagannie ubrana kobieta i spięty mężczyzna. W przypiływie wisielczego humoru pomyślał, że robią wrażenie tak nieszczęśliwych, że wszyscy wokół biorą ich pewnie za małżeństwo.

– Powiedz mi coś – poprosił. – Dlaczego jesteś w stosunku do niego taka lojalna? Dlaczego zostałaś z kimś, kto najwyraźniej nie potrafi cię uszczęśliwić?

Spojrzała mu w oczy.

– Chyba dlatego, że byłam taka nielojalna.

– Myślisz, że on jest lojalny wobec ciebie?

Przez chwilę wytrzymywała jego spojrzenie, a potem zerknęła na zegarek.

– Muszę już iść.

Skrzywił się.

– Przepraszam. Nic więcej nie powiem. Po prostu muszę wiedzieć...

– To nie twoja wina. Naprawdę. Jestem umówiona.

Zreflektował się.

– Oczywiście. Wybacz. To ja się spóźniłem. Przepraszam, że zmarnowałem twój czas. – Nie zdołał stłumić złości w swoim głosie. Przeklinał naczelnego, który pozbawił go tej cennej półgodziny, przeklinał samego siebie za zmarnowanie szans i za zbliżenie się do czegoś, co nadal mogło go sparzyć.

Wstała, żeby wyjść, i zjawił się kelner, żeby pomóc jej włożyć płaszcz. Zawsze znajdzie się ktoś, kto jej pomoże, pomyślał mimochodem Anthony. Była właśnie taką kobietą. Sam nie był w stanie się ruszyć, utknął przy stoliku.

Czyżby źle ją zrozumiał? Czyżby tylko sobie uroił intensywne emocje

towarzyszące im w tym krótkim czasie, który razem spędzili? Zasmucała go myśl, że to już koniec. Czy skalanie wspomnienia o czymś doskonałym, zastąpienie go czymś niezrozumiałym i rozczarowującym, nie jest straszne?

Kelner przytrzymał płaszcz. Wsunęła ręce do rękawów, jedną po drugiej, pochyliła głowę.

– To wszystko?

– Przepraszam, Anthony. Naprawdę muszę już iść.

Wstał.

– O niczym nie porozmawiamy? Po tym wszystkim? Czy ty w ogóle o mnie myślałaś?

Zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Jennifer po raz piętnasty spryskała zaczerwienione, opuchnięte oczy zimną wodą. Jej odbicie w lustrze w łazience ukazywało kobietę pokonaną przez życie. Kobietę tak bardzo oddaloną od *tai-tai* sprzed pięciu lat, że równie dobrze mogłaby należeć do innego gatunku, a już z pewnością do innego rodzaju ludzi. Przesunęła palcami po cieniach wokół oczu, po nowych zmarszczkach na czole i zaczęła się zastanawiać, co widział Anthony, kiedy na nią patrzył.

„On cię zmiążdzy, zniszczy to wszystko, dzięki czemu jesteś sobą”.

Otworzyła szafkę z lekarstwami i spojrzała na równy rząd brązowych fiolek. Nie mogła mu powiedzieć, że przed ich spotkaniem tak bardzo się bała, że wzięła podwójną dawkę valium. Nie mogła mu powiedzieć, że słyszała go jak przez mgłę, że była tak oderwana od tego, co robiła, że z trudem trzymała łyżeczkę do herbaty. Nie mogła mu powiedzieć, że będąc tak blisko niego, widząc każdą zmarszczkę na jego dłoniach i wdychając zapach jego wody kolońskiej, czuła się dosłownie sparaliżowana.

Jennifer odkręciła ciepłą wodę i strumień popędził ku odpływowi, odbijając się od porcelany i zostawiając ciemne ślady na jej jasnych spodniach. Wzięła valium z górnej półki i odkręciła zakrętkę.

To Ty jesteś silna. Ty potrafisz wytrzymać w świecie, który dał nam szansę na wielką miłość, i pogodzić się z tym, że nigdy tej miłości nie zaznamy.

Nie taka sprytna, jak myślałeś, Boot.

Usłyszała głos pani Cordozy na dole i zamknęła drzwi do łazienki na zamek. Oparła ręce o krawędź umywalki. Czy dam radę?

Uniosła fiolkę i wsypała jej zawartość do odpływu, patrząc, jak woda unosi małe białe tabletki. Odkręciła następną, prawie nie sprawdzając, co jest w środku. Jej „mali pomocnicy”. Wszyscy je biorą, powiedziała beztrudno Yvonne, gdy siedząc w kuchni, Jennifer odkryła, że nie może przestać płakać. Lekarze bardzo chętnie wypisywali recepty. Tabletki miały ją trochę wyciszyć. Tak mnie wyciszyły, że nic nie zostało, pomyślała, i sięgnęła po następną fiolkę.

W końcu półka była pusta. Jennifer wpatrywała się w swoje odbicie

w lustrze, gdy ostatnie tabletki z bulgotem zniknęły jej z oczu.

W Stanleyville źle się działo. Z „Nation” przysłała wiadomość, w której informowano Anthony’ego, że kongijscy rebelianci, samozwańcza armia Simba, zaczęli spędzać kolejnych białych zakładników do hotelu Victoria, biorąc odwet na siłach rządowych i ich białych najemnikach. „Pakuj walizki. Poruszająca historia” – napisano. „Naczelnicy wydał specjalne zezwolenie na twój wyjazd. Z prośbą, żebyś nie dał się zabić/pojmać”.

Anthony po raz pierwszy nie pobiegł do redakcji, żeby sprawdzić najnowsze doniesienia. Nie zadzwonił do swoich kontaktów w ONZ ani w wojsku. Leżał na hotelowym łóżku, rozmyślając o kobiecie, która kochała go na tyle mocno, żeby zostawić męża, a potem zniknęła na cztery lata.

Zaskoczyło go pukanie do drzwi. Wyglądało na to, że sprzątaczką chce sprzątać co pół godziny. Miała denerwujący zwyczaj pogwizdywania przy pracy, więc nigdy nie mógł do końca zignorować jej obecności.

– Proszę przyjść później – zawołał i przekręcił się na bok.

Czy to po prostu wstrząs związany z ujrzaniem go żywym doprowadził ją do takiego stanu, że dosłownie przed nim drżała? Czy dziś zdała sobie sprawę, że uczucia, które kiedyś do niego żywiła, wyparowały? Czy po prostu działała machinalnie, podejmując go tak, jak każdy podjąłby starego przyjaciela? Zawsze miała nienaganne maniery.

Znowu pukanie, nieśmiałe. Chyba jeszcze bardziej denerwujące, niż gdyby dziewczyna po prostu otworzyła drzwi i weszła. Wtedy przynajmniej mógłby na nią nakrzyczeć. Wstał i podeszedł do drzwi.

– Naprawdę wolałbym...

Stała przed nim Jennifer. Miała pasek ciasno oplatający talię i jasne oczy.

– Codziennie – powiedziała.

– Słucham?

– Każdego miesiąca. Każdego dnia. Każdej godziny. – Na chwilę zamilkła, po czym dodała: – Co najmniej raz w ciągu godziny. Przez cztery lata.

Na korytarzu było pusto.

– Anthony, myślałam, że nie żyjesz. Płakałam po tobie. Płakałam po życiu, które miałam nadzieję wieść u twojego boku. Bez końca czytałam twoje listy, aż wreszcie się rozpadły. Kiedy uwierzyłam, że zginąłeś przeze mnie, nienawidziłam siebie tak bardzo, że z trudem brnęłam przez każdy dzień. Gdyby nie... – Zreflektowała się. – I nagle, na przyjęciu, na które nawet nie miałam ochoty iść, zobaczyłam ciebie. Ciebie. A ty pytasz, po co chciałam się z tobą spotkać? – Wzięła głęboki oddech, jakby próbowała się uspokoić.

Na drugim końcu korytarza rozległy się kroki. Wyciągnął rękę.

– Wejdz – powiedział.

– Nie mogłam siedzieć w domu. Musiałam coś powiedzieć, zanim znowu

wyjedziesz. Musiałam ci powiedzieć.

Odsunął się i przeszła obok niego, wchodząc do olbrzymiej sypialni z szerokim łóżkiem. Pokażne rozmiary pokoju i jego przyzwoita lokalizacja świadczyły o mocniejszej pozycji Anthony'ego w gazecie. Cieszył się, że tym razem zostawił porządek, wyprana koszula wisiała na oparciu krzesła, pod ścianą stała lepsza para butów. Okno było otwarte, wpuszczało do środka hałas ulicy, więc podszedł, żeby je zamknąć. Położyła torebkę na krześle, powiesiła na nim swój płaszcz.

– To postępowanie – wyjaśnił skrepowany. – Za pierwszym razem zameldowali mnie w schronisku przy Bayswater Road. Masz ochotę na drinka? – Gdy usiadła przy stoliku, poczuł dziwne onieśmienie. – Zadzwoń po coś? Może po kawę? – ciągnął.

Boże, pragnął jej dotknąć.

– Nie spałam – powiedziała, pocierając z żalem twarz. – Kiedy cię zobaczyłam, nie byłam w stanie trzeźwo myśleć. Próbowalam to wszystko pojąć. Nic z tego nie rozumiem.

– Czy tamtego popołudnia cztery lata temu byłeś w samochodzie z Felipe?

– Felipe? – Nie wiedziała, o kogo chodzi.

– Z moim przyjacielem z Alberto's. Mniej więcej w czasie, kiedy wyjechałem, zginął w wypadku samochodowym. Rano przejrzałem wycinki. Wspominano o jakiejś nieznannej z nazwiska pasażerke. Tylko w ten sposób potrafię to wszystko wyjaśnić.

– Nie wiem. Już ci mówiłam, że niektórych rzeczy nadal nie pamiętam. Gdyby nie to, że znalazłam twoje listy, ciebie też mogłabym sobie nie przypomnieć. Mogłabym nie wiedzieć...

– Ale kto ci powiedział, że zginąłem?

– Laurence. Nie patrz tak. On wcale nie jest okrutny. Chyba naprawdę tak myślał. – Zaczekała chwilę. – Widzisz, on wiedział, że... kogoś miałam. Przeczytał twój ostatni list. Widocznie po wypadku dodał dwa do dwóch...

– Mój ostatni list?

– Ten, w którym prosiłeś, żebym przyszła na dworzec. Miałam go ze sobą, kiedy doszło do wypadku.

– Nie rozumiem... To wcale nie był mój ostatni list...

– Och, lepiej nie... – przerwała mu. – Proszę... Jest już za...

– W takim razie co?

Wpatrywała się w niego w skupieniu.

– Jennifer, ja...

Podeszła tak blisko, że nawet w słabym świetle widział każdy najmniejszy pieg na jej twarzy, każdą rzęsę zwiężającą się w czarny punkcik wystarczająco ostry, by przebić mężczyźnie serce. Była przy nim, a mimo to znajdowała się

gdzieś daleko, jakby podejmowała jakąś decyzję.

– Boot – powiedziała miękko – jesteś na mnie zły? Nadal?

Boot.

Przełknął ślinę.

– Jak mógłbym być na ciebie zły?

Podniosła rękę i obrysowała palcami jego twarz. Opuszki miała tak delikatne, że ledwie go dotykały.

– Zrobiliśmy to?

Wpatrywał się w nią.

– Przedtem? – Zamrugła. – Nie pamiętam. Znam tylko twoje słowa.

– Tak – załamał mu się głos. – Tak, zrobiliśmy to. – Poczul na skórze jej chłodne palce i przypomniał sobie jej zapach.

– Anthony – mruknęła i w sposobie, w jaki wypowiedziała jego imię, była słodczy, nieznośna czułość świadcząca o całej miłości i całej stracie, którą też odczuwał.

Oparła się o niego i usłyszał westchnienie, które przebiegło przez jej ciało, a potem poczul na ustach jej oddech. Powietrze wokół nich zastygło. Ich usta się spotkały i coś wyrwało mu się z piersi. Usłyszał swój zduszony okrzyk, a potem z przerażeniem zdał sobie sprawę, że do oczu napłynęły mu łzy.

– Przepraszam – szepnął zawstydzony. – Przepraszam. Nie wiem... dlaczego...

– Wiem – powiedziała. – Wiem.

Oplotła mu szyję rękami, scałowała łzy z jego policzków, mrużąc do niego. Trzymali się w objęciach, szczęśliwi, zrozpaczeni, żadne z nich nie było w stanie uwierzyć w to, co się dzieje. Czas stał się bezkształtną plamą, pocałunki były coraz bardziej nagłace, łzy wysychały. Zdjął jej sweter przez głowę i stał, niemal bezradnie, gdy rozpiniała guziki jego koszuli. A potem zdarła ją z niego z uśmiechem, ich ciała się zetknęły i znaleźli się na łóżku, spleceni ze sobą, gwałtowni, wręcz niezdarni w pośpiechu.

Całował ją, wiedząc, że próbuje jej przekazać głębię swoich uczuć. Gdy się w niej zatracił, gdy jej włosy muskały mu twarz i tors, gdy jej usta dotykały jego skóry, gdy czuł na sobie jej palce, był przekonany, że istnieją ludzie, którzy są dla siebie jak brakujące części jednej całości.

Ożyła pod nim, rozpałała go. Całował bliznę biegnącą wzdłuż jej ramienia, ignorując jej wzdrygnięcie się i opory, dopóki nie przyjęła tego, co próbował jej powiedzieć: ta srebrzysta fałda była dla niego piękna, świadczyła o tym, że Jennifer go kocha. Że chciała z nim wyjechać. Całował ją, bo nie miała w sobie niczego, co chciałby ulepszyć, nie miała w sobie niczego, czego by nie wielbił.

Patrzył, jak narasta w niej pożądanie, jakby to był ich wspólny dar, patrzył na nieskończone różnicowanie wyrazów jej twarzy, widział ją odsłoniętą,

pochłoniętą jakąś prywatną walką, a gdy otworzył oczy, poczuł się szczęśliwy.

Gdy doszedł, zapłakał jeszcze raz, bo jakaś część jego zawsze wiedziała, nawet jeśli wolał w to nie wierzyć, że musi istnieć coś, co potrafi wywołać takie uczucia. A otrzymanie tego przekraczało jego najśmielsze nadzieje.

– Znam cię – mruzczała. Czuł lepkość jej skóry, czuł jej łzy na swojej szyi. – Naprawdę cię znam.

Przez chwilę nie był w stanie mówić i tylko wpatrywał się w sufit, czując chłód powietrza wokół, jej wilgotne nogi przytulone do jego nóg.

– O, Jenny – powiedział. – Dzięki Bogu.

Gdy znów zaczęła spokojnie oddychać, oparła się na łokciu i spojrzała na niego. Coś się w niej zmieniło: jej twarz wypogodniała, z oczu zniknęło napięcie. Zamknął ją w ramionach i przytulił tak mocno, że ich ciała były jak zespawane. Poczuł, że znowu robi się twardy, a ona się uśmiechnęła.

– Chcę coś powiedzieć – zaczął – ale nic nie wydaje się wystarczająco... doniosłe.

Jej uśmiech był cudowny: widział w nim zaspokojenie, miłość i ironiczne zdziwienie.

– Jeszcze nigdy się tak nie czułam – powiedziała.

Spojrzeli na siebie.

– A może i czułam? – spytała.

Kiwnął głową. Spojrzała w dal.

– W takim razie... dziękuję.

Roześmiał się, a ona ze śmiechem padła na jego ramię.

Cztery lata rozwiały się w nicłość. Wyraźnie ujrzał swoją nową drogę przez życie. Zostanie w Londynie. Zerwie z Evą, dziewczyną z Nowego Jorku. Była słodka, promienna i wesoła, ale już wiedział, że każda kobieta, z którą się spotykał w ciągu ostatnich czterech lat, była marną imitacją tej, która leżała obok niego. Jennifer odejdzie od męża. Anthony się nią zaopiekuje. Nie zaprzepaszcza szansy po raz drugi. Nagle ujrzał ją ze swoim synem, we troje na jakimś rodzinnym wyjściu, i przyszłość zajaśniała nieprzeczuwaną dotąd nadzieją.

Przerwała jego strumień myśli, w wielkim skupieniu całując go w pierś, w ramię, w szyję.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedział, przesuwając ją tak, że jej nogi splotły się z jego nogami, a jej usta znalazły się o kilka centymetrów od jego ust – że będziemy musieli to zrobić jeszcze raz. Żebyś na pewno sobie przypomniała.

Nie odpowiedziała, tylko zamknęła oczy.

Tym razem kochał się z nią powoli. Przemawiał do jej ciała za pomocą własnego. Czuł, jak jej opory słabną, jej serce bije tuż przy jego sercu, naśladując lekkie bębnienie. Milion razy wypowiedział jej imię, byleby tylko skorzystać z tego luksusu. Szeptem powiedział jej wszystko, co kiedykolwiek do niej czuł.

Gdy wyznała mu miłość, zrobiła to tak żarliwie, że zaparło mu dech. Reszta świata zwolniła i zamknęła się, aż zostali tylko we dwoje – płatanina pościeli i kończyn, włosów i cichych okrzyków.

– Jesteś niezwykła... – Patrzył, jak Jennifer otwiera oczy i nieśmiało zdaje sobie sprawę, gdzie jest. – Robiłbym to z tobą sto razy dla samej przyjemności obserwowania twojej twarzy.

Milczała, a on stał się zachłanny.

– Zapośredniczona przyjemność – powiedział nagle. – Pamiętasz?

Potem nie był pewny, jak długo tak razem leżeli, jakby każde pragnęło wchłonąć to drugie przez skórę. Słyszał dźwięki ulicy, sporadyczne kroki na korytarzu, czyjś głos w oddali. Czuł rytm jej oddechu na swojej piersi. Pocałował ją w czubek głowy, zatopił palce w jej poplątanych włosach. Spłynął na niego idealny spokój, docierający aż do kości. Jestem w domu, pomyślał. To jest to.

Poruszyła się w jego ramionach.

– Zamówmy coś do picia – powiedział, całując ją w obojczyk, w brodę, w miejsce, w którym jej żuchwa spotykała się z uchem. – Uczcijmy to. Dla mnie herbata, dla ciebie szampan. Co ty na to?

Wtedy to zobaczył: niechciany cień, jej myśli przesuwające się w stronę czegoś znajdującego się poza tym pokojem.

– Och – powiedziała, siadając. – Która godzina?

Spojrzał na zegarek.

– Dwadzieścia po czwartej. Czemu pytasz?

– O nie! O wpół do muszę być na dole. – Wstała z łóżka i pochyliła się, żeby pozbierać ubrania.

– Zaraz! Dlaczego musisz być na dole?

– Pani Cordoza.

– Kto?

– Ma tam czekać moja gosposia. Umówiłam się na zakupy.

– Spóźnij się. Czy zakupy naprawdę są takie ważne? Jennifer, musimy porozmawiać, zastanowić się, co zrobimy. Muszę powiedzieć naczelnemu, że jednak nie jadę do Konga.

Nieelegancko naciągała na siebie ubranie, jakby liczyła się tylko szybkość. Biustonosz, sweter. Ciało, które przed chwilą wziął i uczynił swoim, zniknęło z widoku.

– Jennifer? – Wyślizgnął się z łóżka, sięgnął po spodnie, zapiął pasek. – Nie możesz tak po prostu wyjść.

Była odwrócona do niego plecami.

– Mamy przecież tyle spraw do omówienia. Trzeba się zastanowić, jak to rozstrzygniemy.

– Nie ma czego rozstrzygać. – Otworzyła torebkę, wyjęła szczotkę

i zaatakowała swoje włosy krótkimi, gwałtownymi ruchami.

– Nie rozumiem.

Gdy się do niego odwróciła, zobaczył, że coś zasnuło jej twarz, jakby przysłonił ją parawan.

– Anthony, przykro mi, ale... nie możemy się więcej spotykać.

– Co?

Wyjęła puderniczkę i zaczęła wycierać rozmazany tusz pod oczami.

– Nie możesz tak mówić po tym, co właśnie zrobiliśmy. Nie możesz tego tak po prostu przekreślić. Co się dzieje, do diabła?

Była niewzruszona.

– Poradzisz sobie. Jak zwykle. Słuchaj... muszę już iść. Bardzo mi przykro.

Zabrała torebkę i płaszcz. Zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi.

Ruszył za nią i otworzył je gwałtownie.

– Jennifer, nie rób tego! Nie zostawiaj mnie znowu! – Jego głos odbił się echem w pustym już korytarzu, odskakując od drzwi innych pokoi. – To nie jest żadna gra! Nie zamierzam znowu czekać czterech lat!

Stał osłupiały, aż w końcu zaklął, wziął się w garść i pędem wrócił do pokoju, gdzie pospiesznie włożył koszulę i buty.

Złapał marynarkę i z łomoczącym sercem wybiegł na korytarz. Pędził po schodach po dwa stopnie naraz, aż znalazł się w holu. Zobaczył, jak otwierają się drzwi windy i Jennifer wychodzi, zwawo stukając obcasami na marmurowej podłodze, opanowana, spokojna, milion kilometrów od miejsca, w którym była zaledwie kilka minut wcześniej. Już miał ją zawołać, gdy usłyszał okrzyk:

– Mamusiu!

Jennifer przykucnęła z rozpostartymi ramionami. Szła do niej jakaś kobieta w średnim wieku prowadząca dziecko, które wyrwało się i pobiegło przed siebie. Dziewczynka padła w ramiona Jennifer, poszybowała w górę i w rozbrzmiewającej echem sali zaświergotał jej głos:

– Idziemy do Hamlejsa? Pani Cordoza powiedziała, że tak.

– Tak, kochanie. Zaraz tam pójdziemy. Muszę tylko coś załatwić w recepcji.

Postawiła dziecko i wzięła je za rączkę. Gdy szła w stronę kontuaru, coś kazało jej się odwrócić. Być może spowodowała to intensywność jego spojrzenia. Zobaczyła go. W jej oczach dostrzegł cień przeprosin i poczucia winy.

Odwróciła się, szybko coś napisała, a potem postawiła torebkę na kontuarze. Zamieniła kilka słów z recepcjonistą, po czym odeszła, wychodząc przez szklane drzwi na popołudniowe słońce. Obok szła paplająca dziewczynka.

Implikacje tego, co zobaczył, zatopiły się w Anthonym jak stopa w ruchomych piaskach. Zaczekał, aż Jennifer zniknie, a potem, niczym mężczyzna budzący się ze snu, przerzucił marynarkę przez ramię.

Już miał odejść, lecz podbiegł do niego recepcjonista.

– Panie Boot? Ta pani prosiła, żeby to panu przekazać.
Wcisnął mu do ręki liścik.
Anthony otworzył karteczkę opatrzoną logo hotelu.
Wybacz mi. Po prostu musiałam wiedzieć.

Nie odczuwamy w swoim sercu potrzeby zamążpójścia, wysoce sobie cenimy życie w pojedynkę.

Z listu królowej Elżbiety I do księcia Eryka XIV Wazy

Moira Parker podeszła do maszynistek i wyłączyła radio tranzystorowe, które balansowało na stercie książek telefonicznych.

– Ej! – zaprotestowała Anne Jessop. – Słuchałam tego.

– Słuchanie głośnej muzyki w biurze jest niestosowne – oznajmiła zdecydowanie Moira. – Pan Stirling nie chce, żeby przeszkadzał mu taki hałas. To miejsce pracy. – Interweniowała już czwarty raz w tym tygodniu.

– Raczej dom pogrzebowy. Och, Moira, daj spokój. Puśćmy chociaż po cichu. Dzięki temu czas płynie szybciej.

– Czas płynie szybciej dzięki ciężkiej pracy.

Usłyszała pogardliwy śmiech i trochę wyżej uniosła głowę.

– Powinnyście wiedzieć, że w Acme Mineral and Mining awansuje się wyłącznie dzięki profesjonalnej postawie.

– I luźnej gumce w majtkach – mruknął ktoś za jej plecami.

– Co proszę?

– Nic, panno Parker. Mamy przełączyć na *Wojenne przeboje*? Czy wtedy będzie pani zadowolona? „Rozwiesimy pranie na linii Zygfyda...” – Maszynistki znowu wybuchnęły śmiechem.

– Przekażę to panu Stirlingowi. Może same go spytajcie, co by wolał.

Idąc przez biuro, słyszała niesympatyczne pomruki, ale postanowiła nie zwracać na nie uwagi. Standardy personelu obniżały się proporcjonalnie do rozwoju firmy. Teraz nikt już nie szanował przełożonych, etyki pracy ani osiągnięć pana Stirlinga. Wracając do domu metrem, dość często była w tak kiepskim humorze, że docierała do Elephant and Castle, jeszcze zanim zdążyła zająć myśli szydełkowaniem. Czasami miała wrażenie, że tylko ona i pan Stirling – no, może jeszcze pani Kingston z księgowości – wiedzą, jak należy się zachowywać.

A te ubrania! Maszynistki nazywały się laleczkami i to określenie wydawało jej się porażająco trafne. Stroiły się i fiokowały, były bezmyślne i dziecinne, więcej czasu poświęcały na rozmyślanie o tym, jak wyglądają, o przeróżnych spódniczkach i niedorzecznym makijażu oczu, niż o listach, które powinny były przepisywać. Wczoraj po południu musiała odesłać aż trzy pisma. Literówki, pominięte daty, a nawet „z pozdrowieniami” tam, gdzie wyraźnie napisała „z poważaniem”. Gdy zwróciła im uwagę, Sandra wzniosła oczy ku górze, nie przejmując się tym, że Moira to widzi.

Moira westchnęła, włożyła radio pod pachę i wiedząc, że w porze lunchu drzwi do gabinetu pana Stirlinga rzadko bywają zamknięte, popchnęła je i weszła do środka.

Naprzeciwno jej szefa siedziała Marie Driscoll – i to nie na krześle, z którego korzystała Moira podczas zapisywania dyktowanych treści, lecz na jego

biurku. Ten widok wprawił Moirę w takie zdumienie, że dopiero po chwili sobie uświadomiła, iż pan Stirling cofnął się gwałtownie, gdy tylko weszła.

– Ach, to ty, Moiro.

– Przepraszam, panie Stirling. Nie wiedziałam, że ktoś u pana jest. – Rzuciła dziewczynie surowe spojrzenie. Co ona sobie wyobraża, na litość boską? Czy wszyscy poszaleli? – Ja... przyniosłam radio. Dziewczyny słuchają go nedorzecznie głośno. Pomyślałam, że jeśli będą musiały wytłumaczyć się przed panem, może się opamiętają.

– Rozumiem. – Usiadł w fotelu.

– Obawiałam się, że panu przeszkadzają.

Zapadła przedłużająca się cisza. Marie nie wstała, żeby wyjść, i tylko skubała spódnicę, która kończyła się w połowie uda. Moira czekała, aż dziewczyna sobie pójdzie.

Odezwał się jednak pan Stirling.

– Dobrze, że przyszedłeś. Chciałem zamienić z tobą słówko na osobności. Panno Driscoll, czy może pani zostawić nas na chwilę samych?

Z wyraźnym ociąganiem dziewczyna opuściła nogi na podłogę i dumnym krokiem minęła Moirę, mierzając ją wzrokiem. Używa za dużo perfum, pomyślała Moira. Drzwi się zamknęły i zostali tylko we dwoje. Tak, jak lubiła.

Po tamtym pierwszym razie pan Stirling kochał się z nią jeszcze dwukrotnie. No, może „kochał się” było lekką przesadą: przy obu okazjach był bardzo pijany, a rzecz trwała krócej i wydawała się bardziej mechaniczna niż za pierwszym razem. Nazajutrz nie wspomniał o tym ani słowem.

Mimo starań, by dać mu do zrozumienia, że nie zostanie odrzucony – zostawiała mu na biurku przygotowane w domu kanapki, czesała się wyjątkowo ładnie – więcej do tego nie doszło. Wiedziała jednak, że jest dla niego kimś wyjątkowym, delectowała się tą świadomością, gdy współpracownicy rozmawiali o szefie w stołówce. Rozumiała, ile stresu przysparza mu taka dwulicowość, i choć żałowała, że sytuacja nie wygląda inaczej, szanowała go za tę godną podziwu powściągliwość. Przy tych rzadkich okazjach, gdy Jennifer Stirling zjawiała się w biurze, Moira nie czuła się już onieśmielona wspaniałością tej kobiety. „Gdybyś była dobrą żoną, nie musiałby zwracać się do mnie”. Pani Stirling nie potrafiła docenić tego, co miała.

– Usiądź, Moiro.

Przycupnęła na krześle o wiele obyczajniej niż ta cała Driscoll, starannie układając nogi, i nagle pożałowała, że nie włożyła czerwonej sukienki. Podobała mu się w niej, wspomniał o tym kilkakrotnie. Za drzwiami usłyszała śmiech i mimochodem zaczęła się zastanawiać, czy maszynistki nie zdobyły innego radia.

– Powiem tym dziewczynom, żeby popracowały nad swoim zachowaniem – mruknęła. – Na pewno strasznie panu przeszkadza ten hałas.

Wyglądał, jakby jej nie słyszał. Przekładał jakieś papiery na biurku. Gdy podniósł głowę, unikał jej wzroku.

– Przenoszę Marie z efektem natychmiastowym...

– Och, myślę, że to bardzo dobra...

– ...na stanowisko mojej osobistej asystentki.

Na chwilę zapadła cisza. Moira starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest niezadowolona. Pracy rzeczywiście jest więcej, tłumaczyła sobie. Uznał, że przyda się druga para rąk, to zrozumiała.

– Ale gdzie będzie siedziała? – spytała. – W sekretariacie nie ma miejsca na drugie biurko.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Pewnie mógłby pan przenieść Maisie...

– To nie będzie konieczne. Postanowiłem trochę cię odciążyć. Przenoszę cię do... maszynistek.

Na pewno się przesłyszała.

– Do maszynistek?

– Zaznaczyłem w księgowości, że będziesz zarabiała tyle, ile dotychczas, więc ta zmiana powinna być dla ciebie raczej korzystna, Moiro. Będziesz miała trochę więcej czasu na życie poza biurem. Trochę więcej czasu dla siebie.

– Ale ja nie chcę czasu dla siebie.

– Nie róbmy z tego powodu zamieszania. Jak powiedziałem, będziesz zarabiała tyle, ile dotąd, i będziesz najstarsza stażem wśród maszynistek. Dopilnuję, żeby wszyscy o tym pamiętali. Jak mówiłaś, potrzebny jest tam ktoś kompetentny, kto zaprowadzi wśród nich porządek.

– Ale nie rozumiem... – Wstała i tak mocno ścisnęła radio, że pobiełały jej knykie. W jej piersi narastała panika. – Co takiego zrobiłam? Dlaczego odbiera mi pan stanowisko?

Wyglądał na poirytowanego.

– Nie zrobiłaś nic złego. Każda organizacja czasami przenosi pracowników na inne stanowiska. Czasy się zmieniają i chcę tu wprowadzić trochę świeżości.

– Trochę świeżości?

– Marie jest wystarczająco kompetentna.

– Marie Driscoll będzie wykonywała moje obowiązki? Przecież ona nie ma pojęcia, jak funkcjonuje to biuro. Nie zna rodezyjskiego systemu płac ani numerów telefonów, nie wie, jak rezerwuje się bilety lotnicze. Nie zna zasad segregacji dokumentów. Pół dnia spędza w damskiej toalecie, poprawiając makijaż. W dodatku się spóźnia! Bez przerwy! Tylko w tym tygodniu dwa razy musiałam jej udzielić reprimendy. Widział pan jej kartę zegarową? – Słowa wylewały jej się z ust.

– Na pewno wszystkiego się nauczy. To tylko posada sekretarki, Moiro.

– Ale...

– Naprawdę nie mam czasu, żeby dłużej o tym dyskutować. Proszę, jeszcze dziś po południu przenieś swoje rzeczy, a jutro rano zaczniemy pracę w nowej konfiguracji.

Sięgnął do pudełka z cygarami, sygnalizując koniec rozmowy. Moira wstała, wyciągając rękę, żeby przytrzymać się krawędzi biurka. W gardle wzbierała jej żółć, w uszach dudniła krew. Miała wrażenie, że za chwilę runie na nią całe biuro, cegła po cegle.

Włożył cygaro do ust i usłyszała ostry szcęk obcinacza, gdy odciął końcówkę.

Powoli podeszła do drzwi, a otwierając je, usłyszała w sekretariacie nagłą ciszę, która uświadomiła jej, że reszta pracowników wcześniej niż ona wiedziała, co się święci.

Zobaczyła nogi Marie Driscoll rozciągnięte na swoim biurku. Długie, patykowate kończyny w rajstopach o niedorzecznym kolorze. Kto, na litość boską, przychodzi do pracy w szafirowych rajstopach i oczekuje, że będą go traktować poważnie?

Chwyciła leżącą na biurku torebkę i chwiejnym krokiem ruszyła do toalety, czując na sobie ciekawskie spojrzenia, a złośliwe, pozbawione współczucia uśmieшки wwierały się w tył jej niebieskiego rozpinanego swetra.

– Moira, graj twoją piosenkę! *Can't Get Used To Losing You...**

– Och, Sandro, nie bądź podła.

Nastąpił kolejny głośny wybuch śmiechu, a potem zamknęły się za nią drzwi szatni.

Jennifer stała na środku małego ponurego placu zabaw, patrząc, jak zmarznięte nianie gawędzą przy swoich wózkach Silver Cross, słuchając okrzyków dzieci, które zderzały się ze sobą i przewracały jak kręgle.

Pani Cordoza zaproponowała, że przyprowdzi Esmé, ale Jennifer zapragnęła świeżego powietrza. Od czterdziestu ośmiu godzin nie wiedziała, co ze sobą zrobić, jej ciało nadal było uwrażliwione jego dotykiem, jej umysł nie pozbierał się jeszcze po tym, co zrobiła. Ogrom tego, co straciła, omal jej nie przytłoczył. Nie mogła się znieczulić za pomocą valium, musiała to przetrwać. Córka miała jej przypominać, że podjęła słuszną decyzję. Miała mu tyle do powiedzenia. Nawet gdy sobie powtarzała, że nie chciała go uwieść, wiedziała, że to kłamstwo. Chciała zabrać kawałeczek Anthony'ego, jedno piękne, cenne wspomnienie, które będzie jej potem towarzyszyć. Skąd miała wiedzieć, że otwiera puszkę Pandory? A co gorsza, czy mogła przypuszczać, że tak go to zdruzgocze?

Tamtego wieczoru w ambasadzie wydawał się zupełnie poukładany. Na pewno nie cierpiał tak bardzo jako ona, nie czuł tego samego. Wierzyła, że jest silniejszy. Teraz jednak nie potrafiła przestać o nim myśleć – o jego bezbronności,

jego optymistycznych planach dla nich obojga. Ani o tym, jak na nią spojrział, kiedy szła przez hol w hotelu do swojego dziecka.

Słyszała jego głos, udreżony i zdezorientowany, odbijający się echem w korytarzu za jej plecami: „Jennifer, nie rób tego! Nie zamierzam znowu czekać czterech lat!”.

Wybacz mi, mówiła do niego w myślach tysiąc razy dziennie. Laurence nigdy nie pozwoliłby mi jej zabrać. A kto jak kto, ale ty nie możesz ode mnie wymagać, żebym ją zostawiła. Ty najlepiej powinieneś mnie zrozumieć.

Raz po raz wycierała kąciaki oczu, winiąc za łyzy gwałtowny wiatr albo kolejną drobinę piasku, która dostała się tam jakimś tajemniczym sposobem. Czuła się emocjonalnie obnażona, była dotkliwie świadoma najmniejszej zmiany temperatury, targały nią zmienne emocje.

Laurence nie jest złym człowiekiem, powtarzała sobie raz po raz. Na swój sposób jest dobrym ojcem. Co w tym dziwnego, że bycie miłym dla Jennifer przychodzi mu z trudem? Ilu mężczyzn zdołaloby wybaczyć żonie, że zakochała się w kimś innym? Czasami zastanawiała się, czy gdyby nie zaszła tak szybko w ciążę, nie znudziłby się nią i nie zwrócił jej wolności. Wątpiła w to jednak: może i Laurence już jej nie kochał, ale nie dopuściłby do siebie myśli, że mogłaby istnieć gdzieś indziej bez niego.

A ona jest moim pocieszeniem. Popchnęła huśtawkę, patrząc, jak nóżki córki szybują w górę, a sprężyste loczki powiewają na wietrze. To znacznie więcej, niż ma wiele kobiet. Jak kiedyś napisał Anthony, można czerpać pociechę ze świadomości, że postąpiło się słusznie.

– Mamo!

Dorothy Moncrieff zgubiła czapkę i Jennifer na chwilę pochłonęły poszukiwania. Dwie małe dziewczynki krążyły z nią wokół huśtawek i karuzeli, zaglądając pod ławki, aż w końcu zguba znalazła się na głowie jakiegoś innego dziecka.

– Nieładnie jest kraść – powiedziała z powagą Dorothy, gdy szły z powrotem przez plac zabaw.

– Tak – potwierdziła Jennifer – ale ten chłopiec chyba nie ukradł ci czapki. Pewnie nie wiedział, że jest twoja.

– Jeśli ktoś nie wie, co jest dobre, a co złe, to chyba jest głupi – oznajmiła Dorothy.

– Głupi – powtórzyła uradowana Esmé.

– No cóż, możliwe – powiedziała Jennifer. Poprawiła córce szalik i posłała dziewczynki z powrotem na plac zabaw, tym razem do piaskownicy, zaznaczając, że w żadnym wypadku nie wolno im obrzucać się piaskiem.

„Najdroższy Boocie” – napisała w kolejnym wyimaginowanym liście, który ułożyła w ciągu ostatnich dwóch dni. „Proszę, nie złość się na mnie. Wiedz, że

gdyby istniał jakikolwiek sposób, bym mogła z Tobą wyjechać, zrobiłabym to...”

Wiedziała, że nie wysłała żadnego listu. Cóż mogła mu napisać oprócz tego, co już powiedziała? Kiedyś mi wybaczy, tłumaczyła sobie. Będzie miał udane życie.

Starła się wyrzucić z umysłu oczywiste pytanie: jak będzie żyła? Jak zdoła dalej istnieć, wiedząc to, co już wie? Znowu poczerwieniały jej oczy. Wyjęła chusteczkę z kieszeni i ponownie je wytarła, odwracając się, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Może jednak złoży szybką wizytę u lekarza. Zgłosi się po małą pomoc, żeby jakoś przetrwać parę najbliższych dni.

Jej uwagę przykuła postać w tweedowym płaszczu idąca przez park w stronę placu zabaw. Kobieta szła przed siebie, stawiając kroki z dziwnie mechaniczną regularnością mimo grząskiego podłoża. Jennifer ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że to sekretarka jej męża.

Moira Parker podeszła prosto do niej i stanęła tak blisko, że Jennifer musiała zrobić krok do tyłu.

– Panna Parker?

Kobieta miała mocno zaciśnięte usta, jej oczy jaśniały determinacją.

– Pani gosposia powiedziała, że panią tu znajduję. Czy możemy zamienić dwa słowa?

– Hm... tak. Oczywiście. – Odwróciła się na chwilę. – Skarby? Dottie? Esmé. Będę kawałek dalej.

Dzieci podniosły główki, a po chwili wróciły do kopania.

Kobiety oddaliły się o kilka kroków i Jennifer stanęła w taki sposób, żeby widzieć dziewczynki. Obiecała niani Moncrieffów, że odprowadzi Dorothy o czwartej, a była już prawie za piętnaście. Rozciągnęła usta w uśmiechu.

– O co chodzi, panno Parker?

Moira sięgnęła do zniszczonej torebki i wydobyła z niej grubą teczkę.

– To dla pani – powiedziała szorstko.

Jennifer wzięła od niej teczkę. Otworzyła ją i natychmiast przytrzymała dokumenty ręką, żeby nie porwał ich wiatr.

– Niech pani tego nie zgubi. – Zabrzmiało to jak polecenie.

– Przepraszam... nie rozumiem. Co to jest?

– To lista ludzi, którym zapłacił za milczenie.

Jennifer zrobiła zdziwioną minę, więc Moira mówiła dalej:

– Międzybłoniak. Choroba płuc. To robotnicy, którym zapłacił, aby zataić fakt, że pracując dla niego, zapadli na śmiertelną chorobę.

Jennifer zbliżyła rękę do głowy.

– Słucham?

– Pani mąż. Na dole są ci, którzy już umarli. Ich rodziny musiały oficjalnie zrzec się roszczeń, żeby nie mogły domagać się pieniędzy za milczenie.

Jennifer usiłowała zrozumieć, co mówi ta kobieta.

– Umarli? Roszczenia?

– Skłonił ich do oświadczenia, że nie ponosi za to odpowiedzialności. I wszystkim zapłacił za milczenie. Afrykańczycy nie dostali prawie nic. Tutejsi robotnicy z fabryki byli drożsi.

– Przecież azbest jest nieszkodliwy. Tylko wichrzyciele w Nowym Jorku próbują obarczać go winą. Laurence sam mi o tym mówił.

Moira chyba jej nie słuchała. Przesunęła ręką po leżącej na wierzchu liście nazwisk.

– Są wymienieni w porządku alfabetycznym. Może pani porozmawiać z ich rodzinami, jeśli pani chce. Większość adresów jest na górze. On bardzo się boi, że mogłoby się to dostać w ręce dziennikarzy.

– To tylko związki zawodowe... Mówił mi...

– Inne przedsiębiorstwa mają ten sam problem. Podśledzałam parę rozmów, które prowadził przez telefon z Goodasbest z Ameryki. Finansują badania, które mają dowiedzieć, że azbest jest nieszkodliwy.

Kobieta mówiła tak szybko, że Jennifer zakręciło się w głowie. Spojrzała na dwoje dzieci obrzucających się garściami piasku.

– Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli ktoś to odkryje, pani mąż będzie zrujnowany – powiedziała znacząco Moira Parker. – Wie pani, w końcu i tak wszystko by się wydało. Na pewno. W końcu każde przestępstwo wychodzi na jaw.

Jennifer nieśmiało trzymała teczkę, jakby ona także mogła być skażona.

– Dlaczego mi to pani daje? Dlaczego, na litość boską, miałabym zrobić coś, co zaszkodzi mojemu mężowi?

Na twarzy Moiry Parker pojawił się inny wyraz, niemal poczucie winy. Jej usta zacisnęły się, tworząc cienką czerwoną kreskę.

– Dlatego. – Wyjęła pogniecioną kartkę i wcisnęła ją Jennifer do ręki. – To przyszło kilka tygodni po pani wypadku. Przed laty. On nie wie, że to zachowałam.

Jennifer rozłożyła kartkę. Wiatr targał listem, próbując wyrwać jej go z palców. Znała ten charakter pisma.

Zarzekałem się, że więcej się z Tobą nie skontaktuję. Ale minęło sześć tygodni, a ja wcale nie czuję się lepiej. Bycie daleko od Ciebie – tysiące kilometrów od Ciebie – nie przynosi żadnej ulgi. To, że nie dręczy mnie już Twoja bliskość ani nie muszę się codziennie stykać z dowodami swojej niezdolności zdobycia jedynej rzeczy, której naprawdę pragnę, nie zdołało mnie uleczyć. Jest jeszcze gorzej. Przyszłość jawi mi się jako ponura, pusta droga.

Nie wiem, co Ci próbuję powiedzieć, kochana Jenny. Chyba tylko to, że jeśli choć trochę czujesz, że podjęłaś niewłaściwą decyzję, te drzwi nadal są szeroko otwarte.

A jeśli uważasz, że Twoja decyzja była słuszna, wiedz przynajmniej, że

gdzieś na tym świecie jest mężczyzna, który Cię kocha, który wie, jaka jesteś wspaniała, mądra i dobra. Mężczyzna, który zawsze Cię kochał i ku swojej rozpaczy przypuszcza, że nigdy nie przestanie.

Twój B.

Jennifer wpatrywała się w list i czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Spojrzała na datę. Prawie cztery lata temu. Tuż po wypadku.

– Mówi pani, że Laurence to widział?

Moira Parker spojrzała na ziemię.

– Kazał mi zamknąć skrytkę pocztową.

– Wiedział, że Anthony żyje? – Trzęsła się.

– O tym nic mi nie wiadomo. – Moira Parker postawiła kołnierz. Udało jej się zrobić minę wyrażającą dezaprobatę.

Jennifer poczuła w sobie zimny głaz. Poczowała, jak wszystko wokół niego twardnieje.

Moira Parker zamknęła torebkę.

– W każdym razie niech pani z tym zrobi, co pani chce. Jak dla mnie mogą go nawet powiesić.

Nadal mamrotała pod nosem, gdy ruszyła z powrotem przez park. Jennifer osunęła się na ławkę, ignorując dzieci, które teraz wesoło wcierały sobie piasek we włosy. Jeszcze raz przeczytała list.

Odprowadziła Dorothy Moncrieff do domu, do niani, a potem poprosiła panią Cordozę, żeby poszła z Esmé do sklepu z cukierkami.

– Proszę jej kupić lizaka i może jeszcze ćwierć funta landrynek.

Stała przy oknie, patrząc, jak idą ulicą, każdy krok jej córki był małym niecierpliwym podskokiem. Gdy skręciły za róg, otworzyła drzwi gabinetu Laurence'a. Rzadko wchodziła do tego pomieszczenia, a Esmé nie miała tam wstępu, bo jej ciekawskie paluszki mogłyby poprzestawiać któreś z licznych wartościowych przedmiotów.

Potem nie była pewna, dlaczego w ogóle tam poszła. Nie znosiła tego pokoju: ponurych mahoniowych półek pełnych książek, których jej mąż nigdy nie czytał, unoszącego się w powietrzu zapachu cygara, trofeów i dyplomów za osiągnięcia, które wcale nie wydawały jej się osiągnięciami – *Biznesmen roku Okrągłego Stołu, Najlepszy Strzelec polowania na jelenie w Cowbridge, 1959, Trofeum Golfowe, 1962*. Rzadko korzystał z tego pomieszczenia: było pretensjonalnym miejscem, w którym, jak obiecywał swoim gościom płci męskiej, mogli się „schować” przed kobietami – azylem, w którym rzekomo odnajdował spokój.

Po obu stronach kominka stały dwa wygodne fotele z tylko nieznacznie wgłębionymi siedziskami. W ciągu ośmiu lat ogień w kominku nie palił się ani

razu. Do stojących na kredensie szklaneczek ze rżniętego szkła nigdy nie nalano whisky z umieszczonej obok karafki. Na ścianach wisiały rzędy zdjęć, na których Laurence ścisnął dłonie innych biznesmenów, goszczących w Londynie dygnitarzy, ministra handlu RPA, księcia Edynburga. Był to pokój do pokazywania innym ludziom, kolejny powód, dla którego mieli go podziwiać. „Laurence Stirling, ten cholerny farciarz”.

Jennifer stała w drzwiach obok wózka pełnego drogich kijów golfowych. W rogu tkwił stołek myśliwski. W jej piersi, dokładnie w tchawicy, skąd powietrze miało wpadać do płuc, uformował się ciasny i twardy supeł. Poczowała, że nie jest w stanie oddychać. Sięgnęła po kij golfowy i stanęła na środku pokoju. Wyrwał jej się cichy dźwięk, przypominający zduszony okrzyk pod koniec długiego wyścigu. Wysoko uniosła kij, jakby naśladowała idealny zamach, a potem z całej siły uderzyła w karafkę. Śmignęły kawałki szkła, a ona zamachnęła się jeszcze raz, w kierunku ścian. Zdjęcia rozpryskiwały się w ramach, wgniecione trofea spadały ze stojaków. Zamachnęła się na oprawione w skórę książki, na ciężkie szklane popielnice. Uderzała zaciekle, metodycznie, jej szczupłą postać napędzała złość, która wciąż w niej narastała.

Strąciła książki z regału, posłała w powietrze ramki stojące na gzymsie kominka. Uderzała kijem jak siekierą, roztrzaskując ciężkie georgiańskie biurko, które ze świstem runęło na bok. Machała, aż rozbolały ją ręce i całe jej ciało zrosił pot, a jej oddech zmienił się w krótkie, gwałtowne posapywanie. W końcu, gdy nie pozostało już nic, co można by zniszczyć, stanęła na środku pokoju, miażdżąc butami odłamki szkła, i odsuwając z czoła spocone włosy, spojrzała na swoje dzieło. „Uroczą pani Stirling, słodką pani Stirling. Zrównoważona, spokojna, przygaszona. Jej ogień już nie płonie”.

Jennifer Stirling wypuściła z rąk skrzywiony kij, który upadł jej pod nogi. Potem wytarła ręce w spódnice, podniosła mały odłamek szkła, a następnie zgrabnym ruchem rzuciła go na podłogę i wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Gdy Jennifer oznajmiła, że znowu wychodzą, pani Cordoza siedziała z Esmé w kuchni.

- Czy mała nie zje podwieczorka? Na pewno zgłodnieje.
- Nie chcę nigdzie iść – wtrąciła Esmé.
- Niedługo wrócimy, kochanie – powiedziała spokojnie Jennifer. – Pani Cordozo, dzisiaj ma już pani wolne.
- Ale...
- Naprawdę. Tak będzie najlepiej.

Ignorując zdumienie gosposi, wzięła córkę, spakowaną przed chwilą walizkę i cukierki w papierowej torebce. Po chwili była już na zewnątrz, schodziła po schodach i zatrzymywała taksówkę.

Zobaczyła go, już gdy otwierała dwuskrzydłowe drzwi. Stał przed swoim gabinetem i rozmawiał z jakąś młodą kobietą siedzącą za biurkiem. Usłyszała czyjeś pozdrowienie, usłyszała własną spokojną odpowiedź i poczuła niejasne zdziwienie, że jest w stanie prowadzić tak normalną wymianę zdań.

– Ależ ona wyrosła!

Jennifer spojrzała na swoją córkę, która głaskała swój sznur pereł, a potem na kobietę, która się odezwała.

– Sandra, prawda? – spytała.

– Tak, proszę pani.

– Czy nie sprawiłoby pani kłopotu, gdyby Esmé przez chwilę pobawiła się pani maszyną do pisania, podczas gdy ja wpadnę do męża?

Esmé była przeszczęśliwa, że pozwolono jej usiąść przy maszynie, gdzie zachwycały się nią panie, które natychmiast ją obstały, uradowane takim urozmaiceniem dnia pracy. Jennifer odsunęła włosy z twarzy i ruszyła do gabinetu męża. Weszła do sekretariatu, w którym stał jej mąż.

– Jennifer. – Uniósł brew. – Nie spodziewałem się ciebie.

– Mogę na słówko? – spytała.

– O piątej muszę wyjść.

– To nie potrwa długo.

Poprowadził ją do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i wskazał jej krzesło. Wydał się lekko poirytowany, gdy nie chciała usiąść, i ciężko opadł na swój skórzany fotel.

– No więc słucham.

– Co takiego zrobiłam, że tak mnie nienawidzisz?

– Proszę?

– Wiem o liście.

– O jakim liście?

– O tym, który cztery lata temu przechwyciłeś na poczcie.

– A, o tym – odrzekł z lekceważeniem. Miał minę człowieka, któremu wytknięto, że zapomniał coś kupić w warzywniaku.

– Wiedziałaś, ale pozwoliłeś mi myśleć, że on nie żyje. Pozwoliłeś mi myśleć, że nie żyje przeze mnie.

– Bo przypuszczałem, że tak jest. Poza tym to już przeszłość. Nie rozumiem, po co mielibyśmy znowu wywlekać tę historię. – Pochylił się i wyjął cygaro ze srebrnego pudełka na biurku.

Pomyślała o wgniecionym pudełku w jego gabinecie w domu, połyskującym odłamkami szkła.

– Rzecz w tym, Laurence, że codziennie mnie karałeś i pozwalałeś, żebym sama się karała. Co takiego ci zrobiłam, żeby sobie na to zasłużyć?

Wrzucił zapałkę do popielniczki.

– Doskonale wiesz, co zrobiłaś.
– Pozwoliłeś mi myśleć, że go zabiłam.
– To, co myślałaś, nie ma ze mną nic wspólnego. Zresztą, jak już powiedziałem, to przeszłość. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego...

– To nie jest przeszłość. Bo on wrócił.

Tym zdołała przykuć jego uwagę. Przypuszczała, że sekretarka podsłuchuje pod drzwiami, więc ściszyła głos.

– Tak, zgadza się. I odchodzę do niego. Oczywiście razem z Esmé.

– Nie bądź śmieszna.

– Mówię poważnie.

– Jennifer, żaden sąd na świecie nie dopuści do tego, żeby dziecko zostało z wiarołomną matką, z matką, która nie jest w stanie przetrwać dnia bez całej góry tabletek. Doktor Hargreaves zezna, ile ich zażywasz.

– Już ich nie biorę. Wyrzuciłam je.

– Naprawdę? – Znowu spojrzął na zegarek. – Gratulacje. Więc wytrzymałaś bez pomocy farmaceutycznej całe... dwadzieścia cztery godziny? Sąd z pewnością będzie pod wrażeniem. – Roześmiał się, zadowolony ze swojej odpowiedzi.

– Myślisz, że dokumenty dotyczące choroby płuc też zrobią na nim wrażenie?

Zauważyła nagłą sztywność jego żuchwy, błysk niepewności w oku.

– Co?

– Dała mi je twoja dawna sekretarka. Mam nazwiska wszystkich twoich pracowników, którzy zachorowali i umarli w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jak to się nazywa? – Wyraźnie wymówiła nowe słowo, podkreślając jego obce brzmienie: – Me-so-the-lio-ma. Międzybłoniak.

Jego twarz tak gwałtownie zbladła, jakby za chwilę miał zemdleć. Wstał, minął ją i podszedł do drzwi. Otworzył je, wyjrzał, a potem znowu starannie je zamknął.

– O czym ty mówisz?

– Laurence, mam wszystkie informacje. Mam nawet bankowe odcinki wpłat na konta tych ludzi.

Gwałtownie wysunął szufladę i pogrzebał w niej. Gdy się wyprostował, wydawał się wstrząśnięty. Zrobił krok w jej stronę, zmuszając ją do spojrzenia mu w oczy.

– Jennifer, jeśli mnie zrujnujesz, sama też będziesz zrujnowana.

– Naprawdę myślisz, że mnie to obchodzi?

– Nigdy nie dam ci rozwodu.

– W porządku – powiedziała, czując, jak jej determinacja umacnia się w obliczu jego niepokoju. – Tak zatem będzie. Zamieszkamy z Esmé gdzieś niedaleko i będziesz mógł ją odwiedzać. Będziemy małżeństwem tylko na

papierze. Zapewnisz mi odpowiednie uposażenie, żebym mogła ją wychowywać, a w zamian dopilnuję, by te dokumenty nigdy nie trafiły do szerszego obiegu.

– Próbujesz mnie szantażować?

– Och, Laurence, jestem o wiele za ciemna, żeby zrobić coś takiego, przecież sam wielokrotnie mi o tym przypominałeś przez te wszystkie lata. Nie, ja mówię ci tylko, jak będzie wyglądało moje życie. Możesz zatrzymać kochankę, dom, swoją fortunę i... reputację. Żaden z twoich kolegów biznesmenów nie musi o niczym wiedzieć. Ale moja noga nigdy więcej nie postanie w twoim domu.

Naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że jego żona wie o kochance. Zobaczyła, jak po jego twarzy rozlewa się bezsilna wściekłość zmieszana z dzikim lękiem. Potem przysłoniła je pojednawcza próba uśmiechu.

– Jennifer, jesteś zdenerwowana. Ponowne zjawienie się tego faceta musiało tobą wstrząsnąć. Może wrócisz do domu i porozmawiamy o tym później?

– Dałam komuś te papiery na przechowanie. Jeśli coś mi się stanie, ta osoba ma stosowne instrukcje.

Nigdy nie patrzył na nią z takim jadem. Mocniej ścisnęła torebkę.

– Ale z ciebie kurwa – powiedział.

– Przy tobie rzeczywiście nią byłam – odrzekła cicho. – To pewne, bo bynajmniej nie robiłam tego z miłości.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła jego nowa sekretarka. Spojrzenie, jakim omiotła ich oboje, dostarczyło Jennifer dodatkowych informacji. Dodało jej odwagi.

– To chyba wszystko, co chciałam ci powiedzieć. Pójdę już, kochanie – powiedziała. Podeszła do niego i pocałowała go w policzek. – Będziemy w kontakcie. Do widzenia, panno... – zawiesiła głos.

– Driscoll – usłyszała w odpowiedzi.

– Driscoll. – Uśmiechnęła się, patrząc jej w oczy. – Oczywiście.

Minęła dziewczynę, wzięła córkę za rękę i z łomoczącym sercem otworzyła dwuskrzydłowe drzwi, zastanawiając się, czy za chwilę nie usłyszy jego głosu i ścigających ją kroków. Pospiesznie zeszła po schodach do czekającej nadal taksówki.

– Dokąd jedziemy? – spytała Esmé, gdy Jennifer posadziła ją obok siebie. Dziewczynka rozprawiała się z garścią cukierków, które dostała od gromadki sekretarek.

Jennifer pochyliła się i otworzyła okienko, przekrzykując hałas ulicy w godzinach szczytu. Nagle poczuła się lekka, zwycięska.

– Proszę do hotelu Regent. Najszybciej, jak się da.

Później, wspominając tę dwudziestominutową jazdę taksówką, uświadamiała sobie, że patrzyła na zatłoczone ulice i na krzykliwe witryny sklepów oczami turysty, korespondenta zagranicznego, kogoś, kto widzi je po raz pierwszy.

Zauważyła tylko kilka szczegółów, wiedziała, że może ich już nigdy nie zobaczyć. Życie, jakie dotąd znała, dobiegło końca, i miała ochotę śpiewać.

Tak Jennifer Stirling pożegnała się z dawnym życiem, z czasami, w których chodziła po tych ulicach obładowana torbami pełnymi przedmiotów, które traciły dla niej znaczenie, gdy tylko wracała do domu. Właśnie w tym miejscu, niedaleko Marylebone Road, czuła codziennie, jak w jej wnętrzu zaciska się jakaś klamra, gdy zbliżała się do domu, który nie kojarzył jej się już z domem, lecz z miejscem odbywania pokuty.

Za szybą mignął plac z jej pograżonym w ciszy domem, świat, w którym żyła, wiedząc, że nie może wyrazić żadnej myśli ani wykonać żadnego działania, nie narażając się na krytykę ze strony człowieka, którego tak bardzo unieszczęśliwiła, że potrafił jedynie nieustannie karać ją milczeniem, ciągłymi zniewagami i atmosferą, w której cały czas było jej zimno, nawet w środku lata.

Dziecko może przed czymś takim ochronić, ale nie do końca. I choć to, co właśnie robiła, mogło ją zhańbić w oczach otoczenia, chciała pokazać córce, że można żyć inaczej. W sposób, który nie wymaga znieczulania się. W sposób, który nie oznacza konieczności przeproszania przez całe życie za to, kim się jest.

Zobaczyła okno, w którym kiedyś pokazywały się prostytutki. Dziewczyny pukające w szybę przeniosły się w jakieś inne miejsce. Mam nadzieję, że żyje się wam lepiej, powiedziała do nich w myślach. Mam nadzieję, że uwolniłyście się od tego, co was tam trzymało. Każdy zasługuje na taką szansę.

Esmé nadal jadła słodycze, obserwując ruchliwą ulicę przez drugą szybę. Jennifer objęła córkę ramieniem i przytuliła. Mała odwinęła kolejnego cukierka i włożyła go do ust.

– Dokąd jedziemy, mamusiu?

– Na spotkanie z przyjacielem, a potem czeka nas wielka przygoda, kochanie – odpowiedziała, przepełniona nagłym podnieceniem. Nie mam nic, pomyślała. Nic.

– Przygoda?

– Tak. Przygoda, która powinna była się zacząć już dawno, dawno temu.

Umieszczone na czwartej stronie doniesienia o negocjacjach rozbrojeniowych nie nadają się na temat dnia, pomyślał Don Franklin, podczas gdy jego zastępca szukał innych rozwiązań. Don był niepokieszony, że żona włożyła surową cebulę do jego kanapek z wątrobianką. Po cebuli zawsze cierpiał na niestrawność.

– Gdybyśmy przesunęli reklamę pasty do zębów, moglibyśmy dać w tym miejscu materiał o tańczącym księdzu – podsunął zastępca.

– To beznadziejna historia.

– Więc może recenzja teatralna?

– Jest już na osiemnastej stronie.

– Szefie, wszystkie oczy kierują się na zachód i południowy zachód.

Franklin pomasaował się po brzuchu i podniósł głowę, a wtedy zobaczył jakąś kobietę idącą szybkim krokiem przez redakcję. Miała na sobie czarny krótki trenz i prowadziła jasnowłose dziecko. Na widok małej dziewczynki w redakcji gazety Don poczuł się nieswojo, jakby zobaczył żołnierza w halce. Zupełnie tu nie pasowała. Kobieta przystanęła, żeby spytać o coś Cheryl, a Cheryl wskazała na niego.

Gdy kobieta podeszła, trzymał ołówek w kąciku ust.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę pomówić z Anthonym O’Hare’em – powiedziała.

– A kim pani jest?

– Jennifer Stirling. Anthony to mój przyjaciel. Właśnie byłam w jego hotelu, ale powiedzieli, że się wymeldował. – W jej oczach widać było lęk.

– To pani przyniosła ten liścik parę dni temu – przypomniała sobie Cheryl.

– Tak – potwierdziła kobieta. – To ja.

Zauważył, że Cheryl taksuje ją wzrokiem. Dziecko trzymało napoczętego lizaka, który zostawił lepki ślad na rękawie matki.

– Pojechał do Afryki.

– Słucham?

– Jest w Afryce.

Zupełnie znieruchomiała, dziecko też.

– Nie. – Załamał jej się głos. – To niemożliwe. Przecież jeszcze się nie zdecydował.

Don wyjął ołówek z ust i wzruszył ramionami.

– W świecie informacji wszystko dzieje się szybko. Wyjechał wczoraj, pierwszym samolotem. Przez najbliższych kilka dni będzie w podróży.

– Ale muszę z nim porozmawiać.

– Nie można się z nim skontaktować. – Widział, że Cheryl mu się przygląda.

Dwie inne sekretarki coś do siebie szeptały.

Kobieta zbladła.

– Z pewnością istnieje jakiś sposób, żeby do niego dotrzeć. Przecież wyjechał dopiero niedawno.

– Teraz może być wszędzie. To Kongo. Nie mają tam telefonów. Gdy nadarzy się okazja, przyśle telegram.

– Kongo? Ale dlaczego pojechał tak szybko, na litość boską? – jej głos ucichł do szeptu.

– Kto wie? – Spojrzał na nią wymownie. – Może chciał stąd uciec. – Czuł, że Cheryl specjalnie pałęta się w pobliżu, udając, że układa dokumenty z pobliskiej sterty.

Kobieta jakby straciła rozum. Jej dłoń uniosła się do twarzy. Przez jedną

okropną chwilę myślał, że się rozpłaczę. Jeśli istniało coś gorszego niż dziecko w newsroomie, to była to płacząca kobieta z dzieckiem w newsroomie.

Wzięła głęboki oddech i odzyskała panowanie nad sobą.

– Czy podczas najbliższej rozmowy mógłby pan go poprosić, żeby do mnie zadzwonił? – Sięgnęła do torebki, z której wyjęła papierową teczkę pełną dokumentów, a potem jeszcze kilka zniszczonych kopert. Zawahała się, ale po chwili wrzuciła je do środka. – I proszę mu to dać. Będzie wiedział, o co chodzi. – Napisała liścik, wyrwała karteczkę z kalendarzyka i wsunęła ją pod klapkę. Położyła teczkę na biurku przed Donem.

– Jasne.

Dotknęła jego ramienia. Na palcu miała pierścionek z brylantem wielkości pieprzonego Koh-i-noor.

– Dopilnuje pan, żeby to dostał? To naprawdę ważne. Rozpaczliwie ważne.

– Rozumiem. A teraz zechce pani wybaczyć, muszę wracać do pracy. To najbardziej pracowita pora dnia. Gonią nas terminy.

Jej twarz się wykrzywiła.

– Przepraszam. Proszę, niech pan po prostu dopilnuje, żeby to dostał. Błagam.

Don kiwnął głową.

Czekała, nie odrywając oczu od jego twarzy, być może próbując się upewnić, że mówił szczerze. Potem po raz ostatni spojrzała na redakcję, jakby chciała sprawdzić, czy O'Hare'a rzeczywiście tam nie ma, i wzięła córkę za rękę.

– Przepraszam, że zawracałam panu głowę.

Wydawała się mniejsza, niż kiedy przyszła. Powoli ruszyła w stronę drzwi, jakby nie miała pojęcia, dokąd iść. Parę osób zebrało się wokół biurka zastępcy i odprowadzało ją wzrokiem.

– Kongo – odezwała się po chwili Cheryl.

– Muszę przekazać czwartą stronę do druku. – Don uparcie wpatrywał się w biurko. – Dajmy tego tańczącego księdza.

Minęły prawie trzy tygodnie, zanim ktoś wpadł na to, żeby posprzątać na biurku adiustatora. Wśród starych korekt szpaltowych i ciemnych arkuszy kalki leżała zniszczona teczka.

– Kto to jest B.? – spytała tymczasowa sekretarka, otwierając ją. – To coś dla Bentnicka? Czy on przypadkiem nie odszedł z pracy dwa miesiące temu?

Cheryl, która właśnie wyklócała się przez telefon o jakieś koszty podróży, wzruszyła ramionami. Nie odwracając się, na chwilę zasłoniła słuchawkę dłonią.

– Jeśli nie wiesz, czyje to jest, skieruj to do archiwum. Daję tam wszystko, co wygląda na bezpieczne. Dzięki temu Don nie będzie mógł na ciebie nawrzeszczyć. – Zastanowiła się. – Chociaż nie, jednak będzie mógł. Ale nie za niewłaściwe skatalogowanie materiału.

Teczka wylądowała na wózku zmierzającym do archiwum, razem ze starymi numerami „Who’s Who” i *Hansardem*, po czym wchłonęły ją trzewia budynku.

I przeleżała tam blisko czterdzieści lat.

* Nie potrafię przywyknąć do tego, że cię straciłam.

Część trzecia

Ty i ja koniec
Esemes mężczyzny do kobiety

2003

Wtorek. Red Lion? Może być? John x

Czeka na niego dwadzieścia minut. W końcu zjawia się, zziębnięty i skruszony. Wywiad w radiu trochę się przedłużył. Wpadł przypadkiem na inżyniera dźwięku, z którym poznał się na studiach, i tamten chciał pogadać. Niegrzecznie byłoby tak po prostu sobie pójść.

Ale zmuszanie mnie do czekania w pubie nie jest niegrzeczne, odpowiada mi w myślach. Nie chce jednak popsuć atmosfery, więc tylko się uśmiecha.

– Wyglądasz uroczo – mówi, dotykając jej policzka. – Byłaś u fryzjera?

– Nie.

– Aha. W takim razie po prostu wyglądasz jak zwykle uroczo.

I po tym jednym zdaniu spóźnienie idzie w niepamięć.

Ma na sobie granatową koszulę i marynarkę koloru khaki. Kiedyś się z nim droczyła, mówiąc, że to pisarski uniform. Skromny, stonowany, drogi. Właśnie w takim stroju go sobie wyobraża, kiedy nie są razem.

– Jak było w Dublinie?

– W pędzie. W obłędzie. – Zdejmuje szalik. – Mam nową rzeczniczkę, Ros, która, jak się zdaje, czuje się w obowiązku zapłacić mi każdy kwadrans. Wyobraż sobie, że wydzieliła mi przerwy na toaletę.

Ellie się śmieje.

– Pijesz coś? – Przywołuje kelnera, zauważając jej pusty kieliszek.

– Białe wino. – Nie zamierzała pić więcej, stara się ograniczać alkohol, ale teraz, gdy już się zjawiał, w jej żołądku pojawiają się supły, które tylko alkohol jest w stanie poluzować.

Opowiada jej o swojej podróży, o sprzedanych książkach, zmianach na dublińskim nabrzeżu. Obserwuje go w milczeniu. Czytała gdzieś, że tak naprawdę widzimy drugiego człowieka w ciągu kilku pierwszych minut, że potem pozostaje tylko wrażenie zabarwione tym, co o nim myślimy. Pocieszało ją to o poranku, gdy budziła się ze spuchniętą twarzą po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu albo ze wzrokiem osłabionym brakiem snu. Dla mnie zawsze będziesz piękny, powiedziała mu w myślach.

– Więc masz dzisiaj wolne?

Z wysiłkiem wraca do rozmowy.

– Tak. Pracowałam w niedzielę, zapomniałaś? Ale i tak zamierzam wpaść do redakcji.

– Czym się teraz zajmujesz?

– Och, niczym szczególnym. Znalazłam interesujący list i chciałam poszperać w archiwum, żeby sprawdzić, czy nie ma ich więcej.

– List?

– Tak.

Unosi brew.

– W zasadzie nie ma o czym opowiadać. – Ellie wzrusza ramionami. – Jest stary. Z lat sześćdziesiątych. – Nie wie, dlaczego zachowuje taką powściągliwość, ale czułaby się dziwnie, pokazując mu nagie emocje zawarte na tej kartce. Obawia się, że mógłby jej przypisać jakieś ukryte intencje.

– Ach. Obowiązywało wtedy znacznie więcej ograniczeń. Uwielbiam pisać o tym okresie. Znacznie bardziej nadaje się do tworzenia napięcia.

– Napięcia?

– Między tym, czego chcemy, a tym, co nam wolno.

Ellie spogląda na swoje dłonie.

– No tak. Znam to na wylot.

– Przesuwanie granic... Te wszystkie sztywne normy zachowania.

– Powiedz to jeszcze raz. – Spogląda mu w oczy.

– Przestań – mruczy z uśmiechem. – Nie w restauracji. Niegrzeczna dziewczynka.

Moc słów. To zawsze na niego działa.

Czuje jego nogę na swojej. Po kolacji pójdą do niej i będzie go miała dla siebie co najmniej przez godzinę. To za mało, to zawsze jest za mało, ale na myśl o ich złączonych ciałach już teraz kręci jej się w głowie.

– Jesteś pewny... że chce ci się jeść? – pyta powoli.

– To zależy...

Długo patrzą sobie w oczy. Nie widzi w tym lokalu nikogo oprócz niego.

John przesuwa się na krześle.

– A, zanim zapomnę, od siedemnastego mnie nie będzie.

– Znowu jedziesz w trasę?

Jego nogi oplatają pod stołem jej nogi. Ellie usiłuje się skupić na tym, co mówi.

– Ci wydawcy naprawdę nie dają ci chwili wytchnienia.

– Nie – odpowiada neutralnym tonem. – Jadę na urlop.

Króciutka pauza. A potem to. Prawdziwy ból, coś jak uderzenie pięścią tuż pod żebrami. To zawsze jej najsłabsze miejsce.

– Fajnie. – Odsuwa nogi. – Dokąd się wybierasz?

– Na Barbados.

– Barbados! – Nie potrafi stłumić zdziwienia w swoim głosie. Barbados. Nie jakiś tam kemping w Bretanii. Nie jakiś tam domek kuzyna w skąpanym deszczem Devonie. Barbados nie kojarzy się z mozołem rodzinnych wakacji. Przywodzi na myśl luksus, białe piaski, żonę w bikini. Przywodzi na myśl atrakcyjną nagrodę, destynację sugerującą, że ich małżeństwo nadal ma wartość. Przywodzi na myśl, że

mogą uprawiać seks.

– Wątpię, żeby mieli tam internet. Telefonowanie też będzie trudne. Uprzedzam, żebyś wiedziała.

– Cisza radiowa.

– Coś w tym rodzaju.

Nie wie, co powiedzieć. W głębi duszy jest na niego wściekła, choć dobrze wie, że nie ma do tego prawa. Bo czy kiedykolwiek jej coś obiecywał?

– Tylko że coś takiego jak urlop z małymi dziećmi nie istnieje – mówi, upijając łyk drinka. – To najwyżej zmiana otoczenia.

– Naprawdę?

– Nie uwierzyłyabyś, ile rzeczy trzeba ze sobą ciągnąć. Cholerne wózki, krzeselka, pieluchy...

– Skąd miałabym wiedzieć.

Siedzą w milczeniu, dopóki kelner nie przynosi wina. John napełnia jej kieliszek i podaje jej. Cisza się przedłuża, staje się przytłaczająca, grozi katastrofą.

– Ellie, nic nie poradzę, że jestem żonaty – mówi w końcu. – Przykro mi, jeśli sprawia ci to ból, ale nie mogę nie pojechać na urlop dlatego, że...

– ...jestem zazdrosna – kończy za niego. Brzmi to okropnie. Jest na siebie wściekła, że siedzi naprzeciwko niego jak jakaś naburmuszona nastolatka. Nadal jednak stara się przetrwać ten urlop na Barbadosie, świadomość, że przez dwa tygodnie będzie usiłowała nie myśleć o tym, jak on kocha się z żoną.

Właśnie teraz powinnam odejść, myśli, sięgając po kieliszek. W takim momencie każda rozumna osoba zbiera resztki swojej godności, oznajmia, że zasługuje na coś lepszego, i idzie szukać kogoś, kto ofiaruje jej się w całości, a nie tylko podczas z trudem wyrwanych lunchów albo w udręczone, puste wieczory.

– Nadal chcesz, żebyśmy do ciebie poszli?

Uważnie jej się przygląda. Cała jego twarz wyraża przeprosiny, widnieje na niej świadomość tego, jak ją krzywdzi. Ten człowiek. To pole minowe.

– Tak – odpowiada.

W redakcjach gazet obowiązuje pewna hierarchia i archiwiści plasują się prawie na samym dole. Nie aż tak nisko jak personel stołówki czy ochroniarze, ale daleko im do felietonistów, redaktorów i reporterów, którzy tworzą sekcję działania, oblicze gazety. Są personelem pomocniczym, niewidocznym, niedocenianym, wykonującym polecenia ważniejszych osób. Wszystko wskazuje jednak na to, że nikt o tym nie poinformował faceta w koszulce z długim rękawem.

– Dzisiaj nie przyjmujemy zleceń – mówi, wskazując ręcznie napisaną notkę przyklejoną do czegoś, co kiedyś było kontuarem.

Przepraszamy, brak dostępu do arhiwum aż do poniedziałku. Na większość pytań można uzyskać odpowiedź online, więc prosimy zaczynać od poszukiwań w sieci. W nagłych wypadkach dzwonić pod numer 3223 i wybrać wewnętrzny.

Gdy Ellie podnosi głowę, już go nie ma.

Mogłaby się poczuć urażona, ale nadal myśli o Johnie i o tym, jak godzinę temu kręcił głową, wkładając koszulę.

– Rany – powiedział, wsuwając ją w spodnie. – Jeszcze nigdy nie uprawiałem seksu w złości.

– Nie krytykuj – zażartowała, czując chwilowe odprężenie. Leżała na narzucie, patrząc przez świetlik na szarą październikową chmurę. – Lepsze to niż brak seksu w złości.

– Podobało mi się. – Pochylił się i pocałował ją. – Nawet lubię, jak mnie wykorzystujesz. Jestem tylko narzędziem dającym ci przyjemność.

Rzuciła w niego poduszką. Miał to wyjątkowe spojrzenie, jego rysy złagodniały i nadal był przy niej, jak jakaś idea, jak jakieś wspomnienie tego, co przed chwilą między nimi zaszło. Był jej.

– Myślisz, że byłoby łatwiej, gdyby nie było nam ze sobą tak dobrze w łóżku? – spytała, odsuwając włosy z oczu.

– Tak. I nie.

Bo gdyby nie seks, w ogóle by cię tu nie było?

Podźwignęła się do pozycji siedzącej i nagle poczuła się skrępowana.

– No tak – powiedziała z werwą. Pocałowała go w policzek, a potem na dokładkę w ucho. – Muszę lecieć do redakcji. Jak będziesz wychodził, zamknij drzwi. – Podreptała do łazienki.

Czując jego zdziwienie, zamknęła za sobą drzwi i puściła zimną wodę, żeby strumień z szumem trafiał do odpływu. Usiadła na krawędzi wanny i słuchała, jak John idzie do salonu, być może po buty, a potem tuż za drzwiami rozległy się jego kroki.

– Ellie? Ellie?

Nie odpowiedziała.

– Ellie, wychodzę.

Czekała.

– Niedługo się odezwę, piękna. – Dwa razy stuknął w drzwi, a potem poszedł.

Gdy rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych, siedziała tak jeszcze prawie dziesięć minut.

Już ma wyjść, ale facet pojawia się znowu. Niesie dwa kołyszące się pudła pełne teczek. Za chwilę ma otworzyć tyłkiem drzwi i ponownie zniknąć.

– Nadal tu jesteś?

– Zrobiłeś błąd w słowie archiwum. Pokazuje na karteczkę z informacją.

Spogląda na nią.

– W dzisiejszych czasach bardzo trudno o dobrych pracowników. – Odwraca się do drzwi.

– Zaczekaj! Proszę! – Pochyla się nad kontuarem i macha teczką, którą jej dał. – Muszę przejrzeć gazety z lat sześćdziesiątych. I chciałam cię o coś spytać. Pamiętasz może, gdzie znalazłeś te materiały, które mi dałeś?

– Mniej więcej. A co?

– Bo... coś w nich znalazłam. List. Pomyślałam, że gdyby udało mi się znaleźć coś więcej, byłby z tego dobry artykuł.

Facet kręci głową.

– Teraz nie da rady. Przykro mi, ta przewodniczka nas wykańcza.

– Proszę, proszę, proszę! Muszę coś napisać do końca tygodnia. Wiem, że jesteś bardzo zajęty, ale wystarczyłoby, żebyś mi pokazał. Resztą zajmę się sama.

Ma potargane włosy, a do jego koszulki z długim rękawem poprzyczepiał się kurz. To nietypowy archiwista. Wygląda, jakby wolał surfować na książkach, zamiast układać je w stosy.

Wydyma policzki, kładzie ciężkie pudło na końcu kontuaru.

– No dobrze. Co to za list?

– Pokażę ci. – Wyciąga kopertę z kieszeni.

– Niezbyt wiele jak na początek – mówi, spoglądając na nią. – Numer skrytki pocztowej i inicjał.

Zachowuje się szorstko. Ellie żałuje, że zażartowała z jego literówki.

– Wiem. Po prostu pomyślałam, że gdybyś znalazł coś więcej, mogłabym...

– Nie mam czasu na...

– Przeczytaj go – namawia. – No, zrób to. Po prostu go przeczytaj... – Milknie, przypominając sobie, że nie pamięta, jak mu na imię. Pracuje tu od dwóch lat, a nie zna nazwiska żadnego z archiwistów.

– Rory.

– Jestem Ellie.

– Wiem, kim jesteś.

Ellie unosi brwi.

– Tu, na dole, lubimy móc powiązać twarz z nazwiskiem autora. Wierz mi lub nie, ale nawet ze sobą rozmawiamy. – Spogląda na list. – Jestem bardzo zajęty, a poza tym zwykle nie przechowujemy tu osobistej korespondencji. Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło w archiwum. – Oddaje jej list i patrząc jej w oczy, dorzuca: – W archiwum przez „ch”.

– To tylko dwie minuty. – Ponownie wciska mu list do ręki. – Proszę cię, Rory.

Bierze od niej kopertę, wyjmuje list i czyta. Powoli. Gdy kończy, patrzy na nią.

– Powiedz mi, że to cię nie zaintrygowało.

Rory wzrusza ramionami.

– Owszem, zaintrygowało. – Ellie się uśmiecha. – Jeszcze jak!

Rory podnosi część blatu i ze zrezygnowaną miną wpuszcza ją do środka.

– Za dziesięć minut położę tu gazety, których potrzebujesz. Wszystko, co jest luzem, wkładam do worków na śmieci i szykuję do wyrzucenia, ale niech ci będzie, wejdź. Możesz to przekopać i sprawdzić, czy uda ci się znaleźć coś interesującego. Tylko nie mów mojemu szefowi. I nie oczekuj ode mnie pomocy.

Ellie spędza w archiwum trzy godziny. Zapomina o gazetach z lat sześćdziesiątych i siedzi w zakurzonej kącie piwnicy, prawie nie zauważając mężczyzn, którzy przechodzą obok z pudłami opisanymi jako „Wybory ‘67”, „Wypadki kolejowe” albo „Czerwiec–lipiec 1982”. Przekopuje się przez worki na śmieci, rozdziela ryzy zakurzonego papieru, zatrzymując się na chwilę przy reklamach środków na przeziębienie, toników i dawno zapomnianych marek papierosów. Jej palce pokrywają się czernią kurzu i starej farby drukarskiej. Siedzi na odwróconej do góry nogami skrzynce, układa kartki w niechlujne sterty wokół siebie, szukając czegoś w formacie mniejszym niż A3, napisanego ręcznie. Tak bardzo ją to wciąga, że zapomina o zerkaniu na telefon i sprawdzaniu, czy nie przyszedł żaden esemes. Na chwilę zapomina nawet o godzinie, którą spędziła w domu z Johnem, a która normalnie odcisnęłaby się na jej wyobraźni na kilka dni.

U góry słychać krzątanie w tym, co zostało z newsroomu. Najnowsze wiadomości są przetrawiane i wypluwane, lista informacji zmienia się z każdą godziną, całe historie zapisuje się i odrzuca zgodnie z najnowszymi cyfrowymi zmianami w agencjach prasowych. W ciemnych korytarzach w piwnicy odnosi się wrażenie, że to wszystko mogłoby równie dobrze dziać się na innym kontynencie.

Prawie o wpół do szóstej zjawia się Rory z dwoma styropianowymi kubkami herbaty. Jeden podaje jej, a potem dmucha na swoją herbatę, opierając się o pustą szafę na dokumenty.

– Jak ci idzie?

– Kiepsko. Mnóstwo innowacyjnych toników wzmacniających albo wyników krykieta z jakichś tajemniczych oksfordzkich college’ów, ale żadnych przejmujących listów miłosnych.

– Od początku szanse były niewielkie.

– Wiem. Ale to było takie... – Unosi kubek do ust. – Sama nie wiem. Przeczytałam te słowa i one we mnie zostały. Chciałam się dowiedzieć, co się stało. Jak ci idzie pakowanie?

Siada na skrzynce kilka kroków dalej. Ręce ma czarne od kurzu, a na jego czole widać rozmazany brud.

– Prawie skończyłem. Nie mogę uwierzyć, że szef nie chciał pozwolić, żeby zajęli się tym zawodowcy.

Starszy archiwista pracuje w gazecie, odkąd każdy sięga pamięcią, i słynie z tego, że umie podać dokładną datę i numer poszukiwanej gazety na podstawie najbardziej oględnego opisu.

– Dlaczego?

Rory wzdycha.

– Bał się, że położą coś w niewłaściwym miejscu albo zgubią któreś z pudeł. Ciągłe mu powtarzam, że ostatecznie to wszystko i tak zostanie zarejestrowane cyfrowo, ale wiesz, jaki on ma stosunek do wydruków...

– Z jakiego okresu są te gazety?

– Gazety chyba z osiemdziesięciu lat, a poza tym są jeszcze wycinki i różne dokumenty mniej więcej z sześćdziesięciu. To przerażające, ale on potrafi znaleźć każdą z tych rzeczy.

Ellie zaczyna wkładać papiery z powrotem do worka na śmieci.

– Może powinnam mu powiedzieć o tym liście. Pewnie by wiedział, kto go napisał.

Rory gwizdże.

– Tylko jeśli jesteś gotowa się z nim rozstać. Szef nie znosi, gdy cokolwiek się stąd zabiera. Reszta musiała wynosić różne śmieci po jego wyjściu do domu, bo w przeciwnym razie musielibyśmy nimi wypełnić jeszcze kilka pomieszczeń. Gdyby się dowiedział, że dałem ci tę teczkę ze starociami, pewnie by mnie wylał.

Ellie się krzywi.

– W takim razie nigdy się nie dowiem – mówi w teatralny sposób.

– O czym?

– Jak potoczyły się losy mojej pary kochanków urodzonych pod nieszczęśliwą gwiazdą.

Rory się zastanawia.

– Odmówiła.

– Och, ale z ciebie romantyk.

– Miała za dużo do stracenia.

Ellie przechyla głowę i patrzy na niego.

– Skąd wiesz, że ten list był skierowany do kobiety?

– W tamtych czasach kobiety nie pracowały, prawda?

– Napisano go w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Trudno to uznać za czasy sufrażystek.

– Pokaż mi go. – Rory wyciąga rękę po list. – No dobrze, więc może miała pracę. Ale na pewno było tam coś o podróży pociągiem. Wydaje mi się, że kobieta raczej by nie napisała, że wyjeżdża podjąć nową pracę. – Czyta list jeszcze raz i pokazuje na jedną z linijek. – Prosi, żeby z nim pojechała. Kobieta nie prosiłaby mężczyzny, żeby z nią wyjechał. Nie w tamtych czasach.

– Masz bardzo stereotypowe wyobrażenie o mężczyznach i kobietach.

– Nie. Po prostu spędzam tu dużo czasu zanurzony w przeszłości. – Zatacza ręką dookoła. – A to naprawdę inny świat.

– Może wcale nie pisał do kobiety – droczy się z nim. – Może do innego

mężczyzny.

– Mało prawdopodobne. Homoseksualizm był wtedy jeszcze nielegalny, prawda? Pojawiłyby się jakieś odniesienia do dyskrecji albo czegoś w tym rodzaju.

– Przecież się pojawiły.

– To tylko zwykły romans – upiera się Rory. – To oczywiste.

– Skąd ta pewność? Lata doświadczeń?

– Ha! Nie moich. – Oddaje jej list i upija trochę herbaty.

Ma długie, prostokątnie zakończone palce. Palce robotnika, a nie archiwisty, myśli mimochodem Ellie. Tylko właściwie jak miałyby wyglądać dłonie archiwisty? – Więc nigdy nie romansowałeś z mężatką? – Spogląda na jego palec. – Albo jesteś żonaty i nigdy nie miałeś romansu?

– Nie. I nie. Nigdy nie miałem żadnego romansu. To znaczy z mężatką. Cenię sobie proste życie. – Kiwa głową w stronę listu, który Ellie wkłada z powrotem do torebki. – Takie historie nigdy nie kończą się dobrze.

– Dlaczego? Myślisz, że miłość, która nie jest prosta i oczywista, zawsze musi skończyć się tragicznie? – Słyszy defensywną nutę w swoim głosie.

– Tego nie powiedziałem.

– Owszem, powiedziałeś. A wcześniej powiedziałeś, że twoim zdaniem mu odmówiła.

Rory dopija herbatę, zgniata kubek i wrzuca go do worka na śmieci.

– Za dziesięć minut kończymy. Lepiej zabierz to, co może ci się przydać. Pokaż mi, czego nie zdążyłaś przejrzeć, a postaram się to odłożyć.

Gdy Ellie zbiera swoje rzeczy, Rory dodaje:

– I jeśli cię to interesuje, to rzeczywiście uważam, że mu odmówiła. – Ma nieprzenikniony wyraz twarzy. – Ale dlaczego miałyby to być najgorszy scenariusz?

I tak Cię kocham – nawet jeśli nie ma żadnej mnie, żadnej miłości ani
żadnego życia – kocham Cię.

Z listu Zeldy do Scotta Fitzgeralda

Ellie Haworth ma wymarzone życie. Często to sobie powtarza, budząc się rano z kacem po wypiciu zbyt dużej ilości białego wina, czując ból melancholii, w swoim idealnym mieszkanku, w którym nikt nie bałagani pod jej nieobecność. (W skrytości ducha marzy o kocie, ale boi się, że popadnie w banał). Pracuje jako reportażystka w ogólnokrajowej gazecie, ma łatwe do ułożenia włosy, ciało zaokrąglone i szczupłe w odpowiednich miejscach i jest wystarczająco ładna, żeby zwracać na siebie uwagę i wciąż udawać, że takie zainteresowanie jej uwłacza. Ma ostry język – zdaniem jej matki zbyt ostry – poczucie humoru, kilka kart kredytowych i mały samochód, z którym radzi sobie bez pomocy mężczyzny. Gdy spotyka znajomych ze szkoły i opowiada o swoim życiu, wyczuwa zazdrość: jeszcze nie osiągnęła wieku, w którym brak męża albo dzieci można postrzegać jako porażkę. Kiedy poznaje mężczyzn, widzi, jak odhaczają kolejne punkty na liście jej atutów – świetna praca, niezłe cycki, umie się zabawić – jakby była nagrodą do zdobycia.

Jeśli w głębi duszy zaczyna czuć, że to wymarzone życie trochę się rozmyło, że odkąd pojawił się John, straciła pazur, z którego słynęła niegdyś w redakcji, że związek, który dawniej dodawał jej energii, zaczął ją pochłaniać w sposób nie do końca godny pozazdroszczenia, woli się temu za bardzo nie przyglądać. To łatwe, gdy żyje się w otoczeniu podobnych ludzi, dziennikarzy i pisarzy, którzy ostro piją, ostro imprezują, mają byle jakie, katastrofalne romanse, a w domu nieszczęśliwych partnerów, którzy zmęczeni zaniedbaniem z ich strony też w końcu zaczynają z kimś romansować. Ellie jest jedną z nich, przedstawicielką tego gatunku, wiedzie życie z lśniących stron magazynów, życie, o którym marzyła, odkąd uświadomiła sobie, że chce pisać. Odnosi sukcesy, jest singielką, jest samolubna. Ellie Haworth jest tak szczęśliwa, jak tylko może. W zasadzie tak szczęśliwa, jak to w ogóle możliwe.

Zresztą nikt nie ma wszystkiego, myśli sobie, gdy czasami się budzi i próbuje sobie przypomnieć, kto wyśnił sen, w którym przyszło jej żyć.

– Sto lat, stara lafiryndo! – Gdy rozpędzona Ellie wbiega do kawiarni, Corinne i Nicky już na nią czekają, machają do niej i poklepują wolne siedzenie. – Chodź, chodź! Jesteś straaasznie spóźniona. Powinnyśmy być już w pracy.

– Przepraszam. Miałam lekką obsuwę przed wyjściem z domu.

Spoglądają na siebie, a ona wie, co podejrzewają: że była z Johnem. Postanawia przemilczeć, że tak naprawdę czekała na listonosza. Chciała się przekonać, czy John coś jej przysłał. Teraz jest jej głupio, że spóźniła się dwadzieścia minut na spotkanie z przyjaciółkami.

– Jakie to uczucie być starą? – Nicky obcięła włosy. Nadal są jasne, ale dla odmiany krótkie i lekko zwichrzone. Wygląda jak cherubinek. – Zamówiłam ci

latte z chudym mlekiem. Zakładam, że odtąd będziesz musiała uważać na kalorie.

– Trzydzieści dwa lata to przecież jeszcze nie starość. W każdym razie ciągle to sobie powtarzam.

– To mnie przeraża – mówi Corinne. – Z jakiegoś powodu trzydzieści jeden brzmi jak tuż po trzydziestce, właściwie prawie dwadzieścia parę. Ale trzydzieści dwa jest już złowieszczo bliskie trzydziestemu pięciu.

– A od trzydziestu pięciu już tylko mały krok do czterdziestu. – Nicky sprawdza fryzurę w lustrze za ławką.

– No więc wam też życzę sto lat – mówi Ellie.

– Aj! Nie przestaniemy cię kochać, nawet kiedy się pomarszczysz, będziesz sama i zaczniesz nosić wielkie majtasy w cielistym kolorze. – Stawiają na stoliku dwie papierowe torebki. – To są twoje prezenty. I nie, żadnego z nich nie można wymienić.

Wybrały doskonale, tak jak potrafią wybrać tylko wieloletnie przyjaciółki. Corinne kupiła jej kaszmirowe skarpetki w gołęzim kolorze, tak miękkie, że Ellie musi się powstrzymać, żeby natychmiast ich nie włożyć. Nicky dała jej voucher do obłądnie drogiego salonu piękności.

– Na przeciwstarzeniowy zabieg na twarz – mówi złośliwie. – Albo na botoks.

– A wszystkie wiemy, jakie masz podejście do zastrzyków.

Ellie przepełnia miłość i wdzięczność. Wielokrotnie zdarzało im się mówić, że są dla siebie jak nowa rodzina. Boją się, że dwie pozostałe pierwsze znajdą faceta, a one skończą same i opuszczone. Nicky ma nowego chłopaka, który, co niebywale, wydaje się obiecujący. Jest wypłacalny, miły i trzyma ją w ryzach akurat w takim stopniu, żeby nadal była nim zainteresowana. Nicky przez dziesięć lat uciekała od mężczyzn, którzy dobrze ją traktowali. Corinne właśnie zakończyła roczny związek. Mówi, że facet był miły, ale stali się dla siebie jak brat i siostra, a wolałaby, żeby „wzięli ślub i urodziło im się kilkoro dzieci, zanim to nastąpi”.

Nie rozmawiają poważnie o strachu, że mogą się spóźnić na statek, o którym tak chętnie napomykają ich matki i ciotki. Nie wspominają, że większość ich przyjaciół płci męskiej jest teraz w związkach z kobietami młodszymi od nich o dobrych pięć albo i dziesięć lat. Rzucają żarcikami o starzeniu się bez godności. Mają już upatrzonych gejów, którzy obiecują, że zrobią im dzieci „za dziesięć lat”, jeśli obydwójce będą singlami, choć żadna ze stron nie wierzy, że to możliwe.

– Co ci dał w prezencie?

– Kto? – pyta niewinnie Ellie.

– Pan autor poczytnych książek. A może spóźniłaś się właśnie przez to, co ci dał?

– Dostała już swój zastrzyk – rechocze Corinne.

– Obie jesteście obrzydliwe. – Ellie upija łyk kawy, która już ostygła. – Ja...

jeszcze się z nim nie widziałam.

– Ale gdzie cię zaprosi? – dopytuje Nicky.

– Chyba tak – odpowiada Ellie. Nagle ogarnia ją wściekłość, że tak jej się przyglądają, że już ją przejrzały. Jest wściekła na siebie, że nie wymyśliła dla Johna żadnego usprawiedliwienia. Jest wściekła na Johna, że potrzebuje usprawiedliwienia.

– Odezwał się w ogóle, El?

– Nie. Ale przecież jest dopiero wpół do dziewiątej... O Boże, o dziesiątej mam być na kolegium w redakcji, a nie mam nawet jednego dobrego pomysłu.

– Wiesz co, wal go. – Nicky przysuwa się do niej i ją przytula. – Same kupimy ci mały urodzinowy torcik, no nie, Corinne? Zaczekajcie, przyniosę jedną z tych muffinek z lukrem. Urządzimy sobie wczesny urodzinowy podwieczorek.

Właśnie wtedy rozlega się stłumiony dźwięk jej komórki. Otwiera ją.

Sto lat, piękna. Prezent później. X

– To on? – pyta Corinne.

– Tak. – Ellie się uśmiecha. – Prezent będzie później.

– Tak jak i on. – Nicky prycha, stojąc przy stole z lukrowaną muffinką. –

Dokąd cię zabiera?

– Hm... Nie napisał.

– Pokaż. – Nicky zabiera jej telefon. – Co to ma znaczyć, do diabła?

– Nicky... – W głosie Corinne słychać ostrzegawczą nutę.

– „Prezent później” i buziak. Cholernie mało to konkretne, prawda?

– Ona ma urodziny.

– Właśnie. I dlatego nie powinna być zmuszana do rozszyfrowywania głównianych kompromisowych esemesów od jakiegoś niewydarzonego gościa. Ellie... kochana... co ty wyrabiasz?

Ellie zamiera. Nicky złamała niepisaną zasadę, że nie mówią nic złego, bez względu na to, jak niemądre wydają się związki ich przyjaciółek: miały się wspierać, miały wyrażać zaniepokojenie między wierszami, nie miały mówić niczego w rodzaju: „Co ty wyrabiasz?”.

– Wszystko w porządku – mówi. – Naprawdę.

Nicky spogląda na nią.

– Masz trzydzieści dwa lata. Jesteś związana z tym mężczyzną, zakochana w nim, od blisko roku i wszystko, na co zasługujesz w dniu swoich urodzin, to jakiś marny esemes, który może oznaczać, choć niekoniecznie, że dostąpisz audiencji w jakimś niesprecyzowanym terminie? Czy kochanki nie powinny przynajmniej dostawać drogiej bielizny? Albo wyskakiwać czasem do Paryża?

Corinne się krzywi.

– Wybacz, Corinne, dla odmiany mówię, jak jest. Ellie, skarbie, kocham cię na zabój. Ale powiedz mi tak szczerze, co ty z tego masz?

Ellie spuszcza wzrok na kawę. Jej urodziny właśnie przestały być przyjemne.

– Kocham go – mówi po prostu.

– A czy on kocha ciebie?

Czuje nagłą nienawiść do Nicky.

– Czy on wie, że go kochasz? Możesz mu to normalnie powiedzieć?

Podnosi głowę.

– Nie mam więcej pytań – mówi Nicky.

W kawiarni zapada cisza. A może tylko Ellie ma takie wrażenie.

Niespokojnie przesuwają się na krześle.

Corinne nadal piorunuje Nicky wzrokiem, lecz ta tylko wzrusza ramionami i podnosi muffinkę.

– Mimo wszystko sto lat, no nie? Ma ktoś ochotę na drugą kawę?

Ellie wślizguje się za biurko i siada przed komputerem. Nic na nią nie czeka. Żaden liścik nie wzywa do recepcji po odbiór kwiatów. Nie ma czekoladek ani szampana. W skrzynce odbiorczej jest osiemnaście mejli, pomijając spam. Jej matka, która rok temu kupiła komputer i nadal kończy wykrzyknikiem każde napisane na nim zdanie, przesłała jej wiadomość, życząc wszystkiego najlepszego! i informując, że pies po nastawieniu biodra czuje się dobrze! oraz że operacja kosztowała więcej niż ta babci Haworth!!! Sekretarka naczelnej działu reportażu przysłała jej przypomnienie o porannym kolegium. A Rory, ten archiwista, napisał wiadomość z prośbą, żeby wpadła później, ale nie wcześniej niż o czwartej, bo do tej pory będą w nowym budynku. Nie ma nic od Johna. Nawet kiepsko zawołanego pozdrowienia. Ellie czuje lekkie przygnębienie, a potem się krzywi, bo widzi idącą w jej stronę Melissę, za którą podąża Rupert.

Dociera do niej, że ma kłopoty, i zaczyna grzebać w szufladach. Pozwoliła, by list tak bardzo ją zaabsorbował, że nie zdążyła znaleźć nic ciekawego w numerze z 1960 roku. Nie ma żadnych kontrastujących przykładów, o które prosiła Melissa. Przeklina się za to, że tak długo siedziała w kawiarni, przyglądając włosy, łapie najbliższą leżącą teczkę – żeby przynajmniej wyglądać, jakby panowała nad sytuacją – i biegnie na kolegium.

– No więc strony poświęcone zdrowiu mamy w zasadzie gotowe, prawda? Jest już tekst o artretyzmie? Chciałam umieścić obok okienko z alternatywnymi metodami leczenia. Są jacyś znani artretycy? Ożywiliby trochę zdjęcia. Wyglądają nudnawo.

Ellie przekłada papiery. Dochodzi jedenasta. Co by go kosztowało przesłać jakieś kwiaty? Gdyby naprawdę się bał, że sprawa wypłynie na jego rachunku karty kredytowej, mógłby zapłacić gotówką. Przecież już tak robił.

Może przestaje mu zależeć. Może ta wycieczka na Barbados to sposób na odnowienie więzi z żoną. Może powiedzenie Ellie o urlopie było tchórzliwym sposobem zakomunikowania jej, że żona jest dla niego ważniejsza. Ellie przewija

zapisane wiadomości w telefonie, próbując znaleźć w ich korespondencji moment wyraźnego ochłodzenia.

Niezły tekst o weteranach wojennych. X

Masz czas na lunch? Będę w twojej okolicy koło 12.30. J

Jesteś wyjątkowa. Dziś nie mogę rozmawiać. Prześlę esemesa z samego rana. X

Trudno stwierdzić jakąkolwiek zmianę tonu: jest tego tak niewiele. Ellie wzdycha, przygnębiona tokiem swoich myśli i zbyt szczerymi uwagami przyjaciółki. Co ona wyrabia, do diabła? Tak niewiele oczekuje. Dlaczego? Bo się boi, że jeśli poprosi o więcej, on poczuje się przyparty do muru i wszystko się posypie. Od początku znała sytuację. Nie może twierdzić, że ją zwodził. Ale jak bardzo może ograniczać swoje oczekiwania? Co innego, gdy wiesz, że ktoś namiętnie cię kocha i rozdzielają was jedynie okoliczności. Ale jeśli nie można sobie tego tłumaczyć w ten sposób...

– Ellie?

– Hm? – Podnosi głowę i widzi, że wpatruje się w nią dziesięć par oczu.

– Miałaś nam przedstawić swoje pomysły na poniedziałkowy numer. – Spojrzenie Melissy jest jednocześnie puste i wszystkowidzące. – Na artykuł porównujący „dawniej i dziś”.

– Tak – mówi Ellie, przerzucając kartki w teczce, żeby ukryć rumieniec. – Tak... No cóż, pomyślałam, że fajnie byłoby zacytować wprost teksty z dawnych numerów. Kiedyś był tu kącik porad, więc moglibyśmy porównać i skontrastować tamte i obecne problemy.

– Tak – mówi Melissa. – Właśnie o to cię prosiłam w ubiegłym tygodniu. Miałaś mi pokazać, co znalazłaś.

– Aha. Przepraszam. Gazety nadal są w archiwum. Archiwiści mają lekką paranoję i nie chcą niczego pogubić podczas przeprowadzki – jąka się.

– Dlaczego nie zrobiłaś kserówek?

– Bo...

– Ellie, wszystko odkładasz na ostatnią chwilę. Myślałam, że od kilku dni masz gotowy pomysł. – Głos Melissy brzmi lodowato. Pozostali spuszczaają wzrok, nie chcąc oglądać nieuchronnej egzekucji. – Chciałabyś, żebym dała to zadanie komuś innemu? Na przykład komuś, komu zależy na doświadczeniu zawodowym?

Ona wie, myśli Ellie, że od miesiący ta praca jest tylko cieniem na radarze mojego dnia. Wie, że myślami jestem gdzieś indziej – w rozmemłanym hotelowym łóżku albo w nieistniejącym domu swojej nieistniejącej rodziny, gdzie nieustannie prowadzę równoległą rozmowę z mężczyzną, którego tam nie ma. Liczy się dla mnie tylko on, i ona mnie przejrzała.

Melissa wpatruje się w sufit.

W nagłym przebłysku jasności umysłu Ellie uświadamia sobie niepewność

swojego położenia.

– Ale, ee... mam coś lepszego – oznajmia nagle. – Pomyślałam, że to spodoba ci się bardziej. – Wśród kartek leży koperta i Ellie podsuwa ją szefowej. – Próbowałam dowiedzieć się o tym czegoś więcej.

Melissa czyta krótki list i marszczy brwi.

– Wiemy, kto to napisał?

– Jeszcze nie, ale pracuję nad tym. Pomyślałam, że byłby z tego świetny artykuł, gdyby udało mi się dowiedzieć, co się z nimi stało. Czy ostatecznie stworzyli parę.

Melissa kiwa głową.

– Tak. Wygląda mi to na związek pozamałżeński. Skandal z lat sześćdziesiątych. Moglibyśmy zrobić z tego punkt wyjścia do rozważań o tym, jak zmieniła się moralność. Jak ci idą poszukiwania?

– Rozpuściłam wici.

– Dowiedz się, co się stało, czy spotkali się z ostracyzmem.

– Jeśli zostali w związkach małżeńskich, możliwe, że nie będą chcieli rozgłosu – zauważa Rupert. – W tamtych czasach nie traktowano tego tak lekko jak dzisiaj.

– Jeśli będzie trzeba, zagwarantuj im anonimowość – mówi Melissa – ale najlepiej byłoby zamieścić zdjęcia, przynajmniej z okresu, w którym napisano ten list. Wtedy trudniej byłoby ich zidentyfikować.

– Jeszcze ich nie znalazłam. – Podskórne napięcie podpowiada Ellie, że to był zły pomysł.

– Ale znajdziesz. Jeśli będzie trzeba, poproś o pomoc kóregoś z dziennikarzy informacyjnych. Oni potrafią wytropić różne fakty. I tak, chciałabym to mieć na przyszły tydzień. Ale najpierw zajmij się kącikami porad. Do końca dnia chcę mieć przykłady, które będzie można umieścić na rozkładówce. Okej? Spotkamy się jutro o tej samej porze. – Już idzie do drzwi, a jej idealnie ułożone włosy podskakują jak w reklamie szamponu.

– Oto i wielbicielka konkursów ortograficznych.

Spotyka go w stołówce. Gdy siada naprzeciwko, Rory wyjmuje z uszu słuchawki. Czyta przewodnik po Ameryce Południowej. Pusty talerz świadczy o tym, że już zjadł lunch.

– Rory, wpakowałam się w straszne kłopoty.

– Napisałaś antyestablishmentaryzm z łącznikiem?

– Wygadałam się przed Melissą Bickingham i teraz muszę wybebeszyć największą love story na łamach gazety.

– Powiedziałaś jej o liście?

– Dałam się zaskoczyć. Musiałam jej coś zaproponować. Patrzyła na mnie takim wzrokiem, że myślałam, że przeniesie mnie do działu nekrologów.

– No to zapowiada się ciekawie.

– Wiem. A najpierw mam przejrzeć wszystkie strony z poradami z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku i znaleźć ich moralny odpowiednik we współczesności.

– To proste zadanie, prawda?

– Ale czasochłonne, a mam mnóstwo innych spraw na głowie. Nawet pomijając konieczność ustalenia, jak potoczyły się losy naszych tajemniczych kochanków. – Uśmiechnęła się z nadzieją. – Pewnie nie mógłbyś mi pomóc?

– Przykro mi. Też się nie wyrabiam. Jak wrócę na dół, odkopię dla ciebie teczki z numerami z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego.

– Przecież to twoja praca – protestuje Ellie.

Rory się uśmiecha.

– Zgadza się. A pisanie i szukanie materiałów to twoja.

– Dzisiaj są moje urodziny.

– Zatem wszystkiego najlepszego.

– Och, strasznie jesteś życzliwy.

– A ty za bardzo przywykłaś do stawiania na swoim. – Uśmiecha się do niej, a potem Ellie patrzy, jak Rory zabiera swój przewodnik i MP3, salutuje jej i rusza do drzwi.

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się mylisz, myśli, gdy Rory znika za drzwiami.

Mam dwadzieścia pięć lat i dość dobrą pracę, ale nie jest wystarczająco dobra, żebym mógł robić wszystko, co bym chciał – żebym miał dom, samochód i żonę.

– Bo tę ostatnią oczywiście dostaje się w komplecie razem z domem i samochodem – mamrocze Ellie pochylona nad wyblakłą stroną gazety. Albo może po pralce. Może pralka powinna być ważniejsza.

Zauważyłem, że wielu moich przyjaciół się ożeniło i ich poziom życia znacznie się obniżył. Od trzech lat dość regularnie spotykam się z pewną dziewczyną i bardzo chciałbym wziąć z nią ślub. Poprosiłem, żeby zaczekała jeszcze trzy lata, żebyśmy mogli się pobrać i żyć na trochę lepszym poziomie, ale ona nie zamierza się na to zgodzić.

Trzy lata, zamyśla się Ellie. Wcale jej się nie dziwię. Raczej nie czuje, że darzysz ją wielką namiętnością.

Albo weźmiemy ślub w tym roku, albo w ogóle za mnie nie wyjdzie. Myślę, że to nierozsądna postawa, bo zwróciłem jej uwagę, że mielibyśmy dość niski standard życia. Myślicie, że jest jeszcze jakiś argument, który mógłbym dodać, żeby ją przekonać?

– Nie, kolego – mówi Ellie na głos, wsuwając kolejną stronę starej gazety pod pokrywę kserokopiarki. – Myślę, że wyraziłeś się bardzo jasno.

Wraca do biurka, siada i wyjmuje z teczki pomięty, odręcznie napisany list.

Moja Najdroższa i Jedyna Miłości [...] Jeśli się nie zjawisz, będę wiedział, że cokolwiek do siebie czujemy, to za mało. Nie będę miał do Ciebie pretensji, Kochana. Wiem, że przez ostatnie tygodnie żyłaś w nieznośnym stresie, i sam dotkliwie odczuwam jego ciężar. Nie zniósłbym myśli, że mógłbym Cię unieszczęśliwić.

Czyta te słowa jeszcze raz, i znowu. Są w nich namiętność i siła, nawet po tylu latach. Dlaczego ktokolwiek miałby znosić zadufane „zwróciłem jej uwagę, że mielibyśmy dość niski standard życia”, skoro można dostać „wiedz, że moje serce i moje nadzieje spoczywają w Twoich rękach”? Ellie ma nadzieję, że nieznaney dziewczynie autora pierwszego listu udało się od niego uciec.

Ellie mimochodem sprawdza skrzynkę mejlową, a potem esemesy. Ma trzydzieści dwa lata. Kocha kogoś, kto jest mężem innej kobiety. Przyjaciele zaczęli dawać jej do zrozumienia, że to śmieszne – że ona jest śmieszna – i Ellie ich nienawidzi, bo wie, że mają rację.

Przygryza koniuszek ołówka. Podnosi skserowaną kartkę i odkłada ją z powrotem.

Potem otwiera nową wiadomość na ekranie komputera i zanim zdąży porządnie się zastanowić, pisze:

Jedyny prezent, jaki naprawdę chcę dostać na urodziny, to dowiedzieć się, ile dla Ciebie znaczę. Musimy szczerze porozmawiać i pragnę móc Ci powiedzieć, co czuję. Muszę wiedzieć, czy mamy przed sobą jakąś przyszłość.

Dodaje:

Kocham Cię, John. Jeszcze nigdy nikogo tak nie kochałam i zaczynam od tego wariować.

Jej oczy wypełniły się łzami. Jej ręka przesuwana się w stronę „wyślij”. Otaczająca ją redakcja nagle się kurczy. Ellie ma niejasną świadomość, że Caroline, redaktorka działu zdrowia, rozmawia przez telefon przy sąsiednim biurku, że człowiek myjący okna kołysze się za szybą na uprząży, że gdzieś na drugim końcu sali redaktor działu informacji kłóci się z jednym ze swoich reporterów, że pod jej nogami brakuje płytki wykładzinowej. Nie widzi niczego oprócz mrugającego kursora, swoich słów, swojej przeszłości, obnażonych przed nią na ekranie.

Kocham Cię John. Jeszcze nigdy nikogo tak nie kochałam.

Jeśli to teraz zrobię, myśli, wreszcie zapadnie decyzja. To będzie mój sposób, żeby przejąć kontrolę. A jeśli nie dostanę takiej odpowiedzi, jaką chcę dostać, to to też będzie odpowiedź.

Delikatnie opiera palec wskazujący na „wyślij”.

I już nigdy nie dotknę tej twarzy, nie pocałuję tych ust, nie poczuję na sobie tych rąk. Nigdy nie usłyszę, jak mówi „Ellie Haworth”, jakby same te słowa były

cenne.

Dzwoni telefon na biurku.

Ellie podskakuje, spogląda na niego, jakby zapomniała, gdzie jest, a potem wyciera oczy dłonią. Siada prosto i podnosi aparat.

– Słucham.

– Hej, jubilatko – mówi Rory. – Zejdź do lochów w porze zamknięcia. Chyba coś dla ciebie mam. I przy okazji przynieś mi kawę. To cena za mój trud.

Ellie odkłada słuchawkę, odwraca się do komputera i wciska „delete”.

– No więc co znalazłeś? – Podaje mu nad kontuarem kubek kawy. Włosy Rory’ego są przyprószone kurzem i Ellie musi się powstrzymać, żeby nie zmierzić mu ich jak dziecku. Już raz potraktowała go protekcjonalnie, nie chce ryzykować, że znowu go urazi.

– Z cukrem? – pyta Rory.

– Bez – mówi. – Wydawało mi się, że nie słodzisz.

– Nie słodzę. – Pochyla się nad kontuarem. – Słuchaj... szef tu zagląda.

Muszę działać dyskretnie. O której kończysz?

– Niedługo – odpowiada. – Już prawie wszystko zrobiłam.

Rory drapie się po głowie. Kurz tworzy wokół niego chmurę.

– Czuję się jak ta postać z *Fistaszków*. Jak ona się nazywała?

Ellie kręci głową.

– Pig Pen. Ten gościu, wokół którego ciągle unosił się brud... Przenosimy pudła, których nie dotykano od dziesięcioleci. Bez względu na to, co mówi szef, wątpię, żebyśmy kiedykolwiek potrzebowali protokołów z posiedzeń parlamentu z tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku. Ale cóż. Black Horse? Za pół godziny?

– Masz na myśli ten pub?

– Tak.

– Możliwe, że będę miała inne plany... – Ellie ma ochotę spytać: „A nie możesz mi po prostu dać tego, co znalazłeś?”, ale nawet ona wie, że zabrzmiałoby to niewdzięcznie.

– To zajmie tylko dziesięć minut. Potem i tak jestem umówiony z przyjaciółmi. Ale nie ma sprawy. Jeśli wolisz, zaczekam z tym do jutra.

Ellie myśli o swojej komórce, milczącej i oskarżycielskiej w tylnej kieszeni. Jaką ma alternatywę? Pobiec do domu i czekać, aż zadzwoni John? Kolejny wieczór przed telewizorem i ze świadomością, że świat kręci się bez niej?

– A co tam. Chętnie wyskoczę na szybkiego drinka.

– Pół piwa z lemoniadą. Jak szaleć, to szaleć.

– Piwo z lemoniadą! Ha! Do zobaczenia w pubie.

Rory się uśmiecha.

– Będę tym gościem z teczką opatrzoną napisem „ściśle tajne”.

– Ach tak? A ja będę tą dziewczyną, która krzyczy: „Kup mi porządnego drinka, zgredzie! Dziś są moje urodziny”.

– Nie będziesz miała czerwonego goździka w butonierce? Żebym mógł cię zidentyfikować?

– Żadnego identyfikowania. Dzięki temu łatwiej mi będzie uciec, jeśli mi się nie spodobaś.

Rory z uznaniem kiwa głową.

– Rozsądne podejście.

– Nawet nie piśniesz słowem o tym, co znalazłeś?

– To będzie urodzinowa niespodzianka!

Po tych słowach Rory znika w drzwiach redakcji za dwuskrzydłowymi drzwiami.

W damskiej toalecie jest pusto. Ellie myje ręce, zauważając, że teraz, gdy dni budynku są już policzone, firma nie zwraca sobie głowy napełnianiem pojemnika na mydło i automatu z tamponami. Przypuszcza, że za tydzień będą musieli zacząć przynosić awaryjną rolkę papieru.

Sprawdza makijaż, maluje rzęsy i nakłada korektor na worki pod oczami. Maluje też usta, ale po chwili ściera szminkę. Wygląda na zmęczoną i wmawia sobie, że w łazience jest ostre światło, że to nie jest nieuchronny skutek postarzenia się o rok. Potem siada obok umywalki, wyjmuje telefon z torebki i pisze esemesa.

Tylko sprawdzam – czy „później” to znaczy dziś wieczorem?

Staram się zaplanować resztę dnia. E

Nie brzmi to natrętnie, zaborczo ani nawet rozpaczliwie. Sugeruje, że jest kobietą mającą wiele możliwości i wiele do zrobienia, ale daje do zrozumienia, że w razie potrzeby stawia go na pierwszym miejscu. Ellie zastanawia się jeszcze przez pięć minut, upewniając się, że nadała swoim słowom odpowiedni ton, a potem wysyła wiadomość.

Odpowiedź przychodzi prawie natychmiast. Serce podskakuje jej w piersi – jak zawsze, gdy wie, że to on.

Na razie trudno powiedzieć. Zadzwoń później, jeśli dam radę. J

Nagle ogarnia ją wściekłość. To wszystko?, ma ochotę krzyknąć. Mam urodziny, a ciebie stać najwyżej na „Zadzwoń później, jeśli dam radę”?

Nie zwracaj sobie głowy. Mam własne plany

– odpisuje, dźgając palcami małe klawisze.

I po raz pierwszy od miesiący Ellie Haworth wyłącza telefon i wkłada go z powrotem do torebki.

Pracuje nad artykułem o poradach dłużej, niż zamierzała, robi wywiad z kobietą, której dziecko cierpi na młodzieńczą postać artretyzmu, i gdy dociera do Black Horse, Rory już tam jest. Zauważa go na drugim końcu sali, już nie ma kurzu we włosach. Przeciska się do niego przez tłum, przeprasząc ludzi, których trąca

łokciami i popycha, i już ma go przeprosić za spóźnienie, gdy zauważy, że nie jest sam. Siedzący obok niego ludzie nie wyglądają znajomo, nie są z redakcji. On siedzi pośród nich i się śmieje. Widząc go w takim wydaniu, w innym kontekście, Ellie wpada w zakłopotanie. Odwraca się, żeby zebrać myśli.

– Hej, Ellie!

Przykleja uśmiech do twarzy i odwraca się z powrotem.

Rory podnosi rękę.

– Już myślałem, że nie przyjdiesz.

– Coś mnie zatrzymało. Przepraszam. – Dołącza do grupy i wita się.

– Pozwól, że postawię ci drinka. Ellie ma urodziny. Czego się napijesz?

Ellie przyjmuje lawinę życzeń od ludzi, których nie zna, dziękując za nie kilkoma speszonymi uśmiechami i żałując, że się tu znalazła. Pogawędki nie wchodziły w zakres umowy. Przez chwilę zastanawia się, czy nie wyjść, ale Rory jest już przy barze i kupuje jej drinka.

– Białe wino – mówi, wracając z kieliszkiem. – Kupiłbym szampana, ale...

– Już i tak za bardzo stawiam na swoim.

Rory się śmieje.

– No właśnie.

– Mimo to dziękuję.

Przedstawia ją przyjaciółom, rzucając imionami, które Ellie od razu zapomina.

– No więc... – zagaduje go nieśmiało.

– Od razu przechodzisz do rzeczy. Wybaczcie nam na chwilę – mówi do znajomych, po czym obydwójce idą w kąt, gdzie jest puściej i ciszej. Stoi tam tylko jedno krzesło i Rory zachęca ją, żeby usiadła, a sam kuca obok. Otwiera plecak i wyjmując teczkę z napisem „Azbest/studia przypadków: objawy”.

– I twoim zdaniem ma to związek ze sprawą, bo...?

– Cierpliwości – mówi, podając jej teczkę. – Myślałem o liście, który ostatnio znaleźliśmy. Był wśród mnóstwa papierów o azbeście, prawda? No więc na dole jest cała masa materiałów o azbeście i pozwach grupowych, głównie z kilku ostatnich lat. Ale postanowiłem pogrzebać trochę głębiej i znalazłem znacznie starsze materiały. Pochodzą mniej więcej z tego samego okresu co te, które ci dałem poprzednim razem. Chyba ktoś musiał je wyjąć z tej pierwszej teczki. – Przerzuca kartki palcami znawcy. – No i – kończy, wyjmując plastikową koszulkę na dokumenty. – Znalazłem to.

Serce zamiera jej w piersi. Dwie koperty. Ten sam charakter pisma. Ten sam adres, skrytka na pocztę przy Langley Street.

– Przeczytałeś je?

Rory się uśmiecha.

– A wyglądałam na bardzo powściągliwego? Oczywiście, że przeczytałem.

- Mogę?
- Śmiało.

Pierwszy został po prostu opatrzony nagłówkiem „środa”.

Rozumiem Twoje obawy, że zostaniesz opacznie zrozumiana, ale zapewniam Cię, że są nieuzasadnione. Owszem, tamtego wieczoru w Alberto's zachowałem się jak głupiec i nigdy nie będę w stanie myśleć o swoim wybuchu bez poczucia wstydu, ale to nie Twoje słowa go wywołały. Wywołał go ich brak. Nie rozumiesz, Jenny, że mam skłonność do dostrzegania tego, co najlepsze, w Twoich wypowiedziach, w Twoich czynach? Ale tak jak natura nie znosi próżni, tak samo nie znosi jej ludzkie serce. Jestem głupcem pozbawionym pewności siebie, a ponieważ chyba obydwójce nie wiemy, co tak naprawdę oznacza ta sytuacja, i nie potrafimy mówić o tym, dokąd może ona zmierzać, pozostaje mi tylko otucha w postaci tego, co może ona oznaczać. Muszę po prostu usłyszeć, że dla Ciebie jest ona tym samym, co dla mnie: krótko mówiąc, wszystkim.

Jeśli te słowa nadal przepełniają Cię trwogą, ułatwię Ci sprawę. Odpowiedz mi po prostu jednym słowem: tak.

Na drugiej kartce jest data, ale nie ma wstępu. Charakter pisma, choć znajomy, jest niewyraźny, jakby słowa zostały napisane, zanim autor zdążył je przemyśleć.

Zarzekałem się, że więcej się z Tobą nie skontaktuję. Ale minęło sześć tygodni, a ja wcale nie czuję się lepiej. Bycie daleko od Ciebie – tysiące kilometrów od Ciebie – nie przynosi żadnej ulgi. To, że nie dręczy mnie już Twoja bliskość ani nie muszę się codziennie stykać z dowodami swojej niezdolności zdobycia jedynej rzeczy, której naprawdę pragnę, nie zdołało mnie uleczyć. Jest jeszcze gorzej. Przyszłość jawi mi się jak ponura, pusta droga.

Nie wiem, co Ci próbuję powiedzieć, kochana Jenny. Chyba tylko to, że jeśli choć trochę czujesz, że podjęłaś niewłaściwą decyzję, te drzwi nadal są szeroko otwarte.

A jeśli uważasz, że Twoja decyzja była słuszna, wiedz przynajmniej, że gdzieś na tym świecie jest mężczyzna, który Cię kocha, który wie, jaka jesteś wspaniała, mądra i dobra. Mężczyzna, który zawsze Cię kochał i ku swojej rozpaczyp przypuszcza, że nigdy nie przestanie.

Twój B.

- Jenny – mówi Rory. Ellie się nie odzywa. – Nie pojechała z nim.
- Tak. Miałaś rację.

Rory otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale chyba zauważyła w jej twarzy coś, co nakazuje mu zmienić zdanie.

Ellie wypuszcza powietrze z płuc.

- Nie wiem dlaczego – mówi – ale trochę mnie to zasmuciło.

– Ale poznałaś odpowiedź. I dostałaś wskazówkę w postaci imienia. O ile rzeczywiście chcesz napisać ten artykuł.

– Jenny. – Zamyśla się. – Niewiele jak na początek.

– Ale to drugi list znaleziony w teczce z materiałami o azbeście, więc może ma z nimi jakiś związek. Może warto przejrzeć obie te czki. Sprawdzić, czy znajdzie się coś jeszcze.

– Masz rację. – Bierze od niego teczkę, starannie wkłada list z powrotem do plastikowej koszulki i wsuwa to wszystko do torebki. – Dzięki – mówi. – Naprawdę. Wiem, że jesteś teraz zajęty, i doceniam twoją pomoc.

Przygląda jej się tak, jak ktoś mógłby przeglądać dokumenty, szukając informacji. John, myśli Ellie, zawsze patrzy na nią z czymś w rodzaju czułych przeprosin za to, kim są, za to, kim się stali.

– Naprawdę wyglądasz na zasmuconą.

– Och... po prostu uwielbiam szczęśliwe zakończenia. – Ellie zmusza się do uśmiechu. – Chyba kiedy powiedziałeś, że coś znalazłeś, myślałam, że wszystko dobrze się skończyło.

– Nie przejmuj się aż tak bardzo – mówi Rory, dotykając jej ramienia.

– Nie, wcale się nie przejmuję – zapewnia szorstko Ellie – ale artykuł wypadłby znacznie lepiej, gdybym mogła go zakończyć wysoką nutą. Może nawet Melissa nie będzie chciała, żebym pisała o historii, która źle się kończy. – Odsuwa kosmyk włosów z twarzy. – Wiesz, jaka ona jest... „Niech to będzie pozytywne... Czytelnicy mają dość nieszczęść po przeczytaniu stron z aktualnymi wydarzeniami”.

– Mam wrażenie, że popsułem ci urodziny – mówi Rory, gdy idą przez pub. Musi przystanąć i krzyknąć jej to do ucha.

– Nie przejmuj się – woła w odpowiedzi. – Takie zakończenie idealnie pasuje do reszty tego dnia.

– Przyłącz się do nas – proponuje Rory, łapiąc ją za łokieć. – Idziemy na łyżwy. Ktoś się wykruszył, więc został nam wolny bilet.

– Jeździecie na łyżwach?

– To świetna zabawa.

– Mam trzydzieści dwa lata! Nie mogę jeździć na łyżwach!

Teraz to on nie wierzy własnym uszom.

– Aha... Jasne. – Ze zrozumieniem kiwa głową. – Przecież nie możemy cię zmuszać, żebyś rozstała się z balkonikiem.

– Myślałam, że łyżwy są dla dzieci. Dla nastolatków.

– W takim razie ma pani bardzo ubogą wyobraźnię, panno Haworth. Dopij drinka i przyłącz się do nas. Zabaw się trochę. Chyba że naprawdę nie możesz zmienić planów.

Ellie gmera w torebce w poszukiwaniu telefonu. Kusi ją, żeby go włączyć.

Nie ma jednak ochoty czytać nieuniknionych przeprosin Johna. Nie chce, żeby reszta wieczoru upływała jej pod znakiem jego nieobecności, jego słów, jej tęsknoty za nim.

– Jeśli złamię nogę – mówi – będziesz musiał przez sześć tygodni wozić mnie do pracy i z powrotem.

– To mogłoby być ciekawe, bo nie mam samochodu. Zgodzisz się na noszenie na barana?

Nie jest w jej typie. Sarkastyczny, trochę drażliwy, pewnie z kilka lat młodszy od niej. Ellie przypuszcza, że zarabia znacznie mniej od niej i pewnie nadal wynajmuje z kimś mieszkanie. Możliwe, że nawet nie ma prawa jazdy. Ale to prawdopodobnie najlepsza oferta, jaką dostanie za piętnaście siódma w dniu swoich trzydziestych drugich urodzin, a Ellie uznaje pragmatyzm za niedocenianą cnotę.

– Jeśli czyjaś łyżwa odetnie mi palce, będziesz musiał siedzieć przy moim biurku i pisać na komputerze.

– Do tego potrzeba tylko jednego palca. Albo nosa. Boże, wy, pismaki, zachowujecie się jak prawdziwe primadonny – mówi. – No dobra, ludzie. Dopijajcie drinki. Z tego, co widzę na biletach, mamy tam być o wpół do.

Gdy jakiś czas później Ellie wychodzi ze stacji metra, uświadamia sobie, że boki bolą ją nie od jeżdżenia na łyżwach – choć nie przewracała się z taką częstotliwością, odkąd uczyła się chodzić – lecz dlatego, że przez blisko dwie godziny prawie bez przerwy się śmiała. Na lodowisku było komicznie i wspaniale, a stawiając pierwsze udane kroki na lodzie, zdała sobie sprawę, że rzadko doświadcza przyjemności zatracenia się w prostej aktywności fizycznej.

Rory radził sobie świetnie, podobnie jak większość jego przyjaciół. „Przychodzimy tu w każdą zimę – powiedział, pokazując sezonowe lodowisko oświetlone reflektorami i otoczone biurkami. – Otwierają je w listopadzie i jesteśmy tu chyba co dwa tygodnie. Po kilku drinkach idzie łatwiej. Człowiek bardziej się odpręża. No, chodź... Ruszaj nogami. Tylko trochę się pochyl”. Jechał przed nią tyłem z rozpostartymi ramionami, żeby miała się czego trzymać. Gdy się przewracała, śmiał się bezlitośnie. Czuła się swobodnie, robiąc to w towarzystwie człowieka, na którego opinii tak mało jej zależy: gdyby była z Johnem, przejmowałaby się, że od chłodu czerwienieje jej nos.

Cały czas by się zastanawiała, kiedy będzie musiał iść.

Dotarli do jej drzwi.

– Dzięki – mówi do Rory'ego. – Dzisiejszy wieczór zapowiadał się bardzo nieciekawie, a ostatecznie świetnie się bawiłam.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić, po tym jak zepsułem ci urodziny tym listem.

– Jakoś to przeżyję.

– Kto by pomyślał? Ellie Haworth ma serce.

– To tylko podłe plotki.

– Wiesz, nie jesteś taka zła – mówi, a w jego oczach igra uśmiech. – Jak na staruszkę.

Ellie ma ochotę spytać, czy chodzi mu o jazdę na łyżwach, ale nagle onieśmiela ją to, co mogłaby usłyszeć.

– A ty jesteś przeuroczy.

– Ty bardziej... – Rory zerka przez ramię w stronę stacji metra.

Ellie zastanawia się przez chwilę, czy powinna go zaprosić na górę. Już teraz jest jednak pewna, że nic by z tego nie wyszło. Jej głowa, jej mieszkanie, jej życie – to wszystko jest wypełnione Johnem. Nie ma miejsca dla tego mężczyzny. Może tak naprawdę żywi do niego siostrzane uczucia i tylko trochę dezorientuje ją to, że w zasadzie jest całkiem niebrzydki.

Rory znowu jej się przygląda i Ellie ma niepokojące wrażenie, że wszystko, o czym przed chwilą myślała, jest teraz wypisane na jej twarzy.

– Lepiej już pójdę – mówi Rory, kiwając ręką w stronę przyjaciół.

– Tak – odpowiada. – Ale jeszcze raz ci dziękuję.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia w pracy. – Całuje ją w policzek, a potem się odwraca i powoli biegnie na stację.

Ellie odprowadza go wzrokiem. Czuje się dziwnie osamotniona.

Wchodzi po kamiennych schodach i sięga po klucz. Przeczyta nowy list i przejrzy papiery w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Będzie produktywna. Dobrze spożytkuje energię. Nagle czuje czyjąś rękę na ramieniu i podskakuje, tłumiąc krzyk.

Tuż za nią na schodach stoi John z butelką szampana i niedorzecznie wielkim bukietem kwiatów pod pachą.

– Nie ma mnie tu – mówi. – Jestem w Somerset i wygłaszam wykład dla grupy pozbawionych talentu pisarzy, w której jest co najmniej jeden nieuleczalny nudziarz. – Stoi przed nią, a ona próbuje zapanować nad oddechem. – Możesz coś powiedzieć... pod warunkiem, że to nie będzie „idź sobie”.

Ellie milczy.

John kładzie kwiaty i szampana na schodach i bierze ją w ramiona. Jego pocałunek jest ciepły jak wnętrze jego samochodu.

– Siedziałem tu blisko pół godziny. Już się bałem, że w ogóle nie zamierzasz wrócić do domu.

Wszystko w niej topnieje. Ellie wypuszcza torebkę, czuje jego skórę, jego ciężar, jego wielkość i pozwala sobie paść mu w ramiona. John bierze jej zimną twarz w ciepłe dłonie.

– Sto lat – mówi, gdy w końcu się od siebie odsuwają.

– Somerset? – pyta lekko zamroczone Ellie. – Czy to znaczy, że...?

– Mam wolną całą noc.

Są jej trzydzieste drugie urodziny, jej ukochany zjawił się z szampanem i kwiatami i zamierza spędzić całą noc w jej łóżku.

– No to mogę wejść? – pyta.

Ellie marszczy brwi, jakby chciała powiedzieć: „naprawdę musisz pytać?”, a potem bierze kwiaty i szampana i rusza na górę.

We wtorek nie mam czasu. Szczerze mówiąc, już wcale się nie cieszę na te nasze spotkania [...] Myślę, że powiedzenie tego otwarcie jest trochę mniej obraźliwe niż spotkanie się i uznanie, że nie powinniśmy się więcej widywać.

Z mejla mężczyzny do kobiety

– Ellie? Pozwól na słówko.

Ellie wsuwa torebkę pod biurko. Jej skóra nadal jest wilgotna po prysznicu, który wzięła niespełna pół godziny wcześniej, myśli nadal krążyć gdzieś indziej. Głos Melissy dobiegający z przeszklonego gabinetu to trudny, brutalny powrót do prawdziwego życia.

– Oczywiście. – Kiwa głową i uprzejmie się uśmiecha. Ktoś zostawił na jej biurku kawę. Jest letnia, bo najwyraźniej stoi tam już od jakiegoś czasu. Pod spód wsunięto liścik zaadresowany do Jayne Torvill. Tylko jedno słowo: „Lunch?”.

Ellie nie ma czasu tego analizować. Zrzuca z siebie płaszcz i wchodzi do gabinetu Melissy, zauważając z wielkim zaniepokojeniem, że naczelną nadal stoi. Ellie przysiadła na krześle i czeka, aż Melissa powoli okrąży biurko i usiądzie. Jej przełożona ma na sobie czarne dzinsy z atłasowym połyskiem i czarny golf, a do tego jest posiadaczką wyrzeźbionych ramion i brzucha kogoś, kto codziennie poświęca kilka godzin na pilates. Nosi biżuterię, którą na stronach o modzie określa się mianem „odważnej”, co, jak przypuszcza Ellie, jest tylko wyszukany sposób na powiedzenie „duża”.

Melissa lekko wzdycha i zaczyna się w nią wpatrywać. Jej oczy mają zdumiewająco fioletowy kolor i Ellie zastanawia się przez chwilę, czy szefowa nie nosi kolorowych soczewek kontaktowych. Mają dokładnie taką barwę jak jej naszyjnik.

– Ellie, wolałabym nie przeprowadzać tej rozmowy, ale nie mam innego wyjścia.

– Słucham.

– Dochodzi za piętnaście jedenasta.

– Aha. No tak, bo...

– Cieszy mnie, że nasz dział uważa się za bardziej wyluzowaną część „Nation”, ale chyba, ogólnie rzecz biorąc, wszyscy wiemy, że chcę widzieć moich ludzi przy biurkach najpóźniej za piętnaście dziesiąta.

– Tak, ale...

– Lubię, gdy moi redaktorzy przychodzą na kolegia przygotowani. Mają czas na przeczytanie najnowszych gazet, przejrzenie stron internetowych, rozmowę, zainspirowanie innych i pozwolenie, żeby inni też ich zainspirowali. – Obraca się lekko w fotelu, sprawdza skrzynkę pocztową. – Ellie, udział w kolegium to przywilej. Szansa, o której marzy mnóstwo innych autorów. Trudno mi pojąć, jak możesz być profesjonalnie przygotowana, skoro wpadasz do redakcji zaledwie kilka minut wcześniej. – Ellie czuje mrowienie na skórze. – A do tego z mokrymi włosami.

– Melisso, bardzo cię przepraszam. Musiałam zaczekać na hydraulika i...

– Daj spokój, Ellie – odpowiada cicho naczelna. – Wolałabym, żebyś nie obrażała mojej inteligencji. I obawiam się, że jeśli nie jesteś w stanie mnie przekonać, że hydraulik przychodzi do ciebie prawie co drugi dzień, muszę dojść do wniosku, że traktujesz tę pracę niezbyt poważnie.

Ellie przełyka ślinę.

– Nasza obecność w sieci oznacza, że w tej gazecie nie sposób się już ukryć. Pracę każdego dziennikarza można ocenić nie tylko przez pryzmat jakości tego, co zamieszcza w wersji papierowej, lecz także po zainteresowaniu, jakie jego artykuły budzą online. Twoje wyniki, Ellie – spogląda na leżącą przed nią kartkę – spadły o blisko czterdzieści procent w ciągu roku.

Ellie nie jest w stanie wydusić z siebie słowa. Czuje suchość w gardle. Inni redaktorzy i dziennikarze zbierają się przed drzwiami Melissy, ściskając wielkie notesy i styropianowe kubki. Patrzy, jak spoglądają na nią przez szybę – jedni zaciekawieni, inni nieco zakłopotani – jakby wiedzieli, co dzieje się w środku. Przez chwilę się zastanawia, czy jej wyniki w pracy nie są przypadkiem tematem rozmów, i czuje upokorzenie.

Melissa pochyła się nad biurkiem.

– Kiedy cię zatrudniłam, byłaś głodna. Wyprzedzałaś wszystkich o krok. To dlatego wybrałam cię z niezliczonej liczby reporterów regionalnych, którzy szczerze mówiąc, sprzedaliby własne babki, żeby znaleźć się na twoim miejscu.

– Melisso, ja...

– Ellie, nie chcę wiedzieć, co się dzieje w twoim życiu. Nie chcę wiedzieć, czy masz problemy osobiste, czy umarł ci ktoś bliski, czy toniesz w długach. Niezwykle interesuje mnie nawet to, czy jesteś poważnie chora. Po prostu chcę, żebyś wykonywała pracę, za którą ci płacą. Już pewnie zauważyłaś, że gazety są bezlitosne. Jeśli nie piszesz dobrych artykułów, reklamodawcy nas omijają i spada sprzedaż. Gdy tak się dzieje, wylatujemy z pracy, jedni szybciej niż drudzy. Czy wyraziłam się jasno?

– Bardzo jasno, Melisso.

– To dobrze. Nie widzę potrzeby, żebyś uczestniczyła dzisiaj w kolegium. Doprowadź się do porządku i zobaczymy się jutro. Jak ci idzie z tym artykułem o listach miłosnych?

– Dobrze. – Ellie wstaje, starając się sprawiać wrażenie osoby, która wie, co robi.

– Cieszę się. Jutro będziesz mogła mi pokazać efekty swojej pracy. Wychodząc, powiedz, proszę, pozostałym, że mogą już wejść.

Tuż po wpół do pierwszej Ellie zbiega z czwartego piętra do archiwum. Nadal jest przybita, radość poprzedniego wieczoru poszła w zapomnienie. Archiwum wygląda jak opustoszały magazyn. Na półkach obok kontuaru nic już nie leży. Ktoś zerwał karteczkę z literówką i zostały po niej tylko dwa kawałki

taśmy klejącej. Za drugimi drzwiami wahadłowymi słysząc szuranie przesuwanych mebli. Szef archiwistów przebiega palcem po liście cyfr. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa.

– Jest Rory?

– Jest zajęty.

– Może mu pan powiedzieć, że nie dam rady pójść z nim na lunch?

– Nie wiem, gdzie dokładnie jest.

Ellie zaczyna się niepokoić, że Melissa zauważy jej nieobecność przy biurku.

– Ale chyba będzie pan się z nim widział? Chciałam mu powiedzieć, że muszę wyjść w związku z artykułem. Może mu pan przekazać, że wpadnę pod koniec dnia?

– Może powinna pani zostawić mu liścik.

– Ale mówił pan, że nie wie, gdzie on jest.

Archiwista podnosi głowę i marszczy brwi.

– Przykro mi, ale to ostatni etap naszej przeprowadzki. Nie mam czasu, żeby przekazywać wiadomości. – Wydaje się zniecierpliwiony.

– Dobrze. Pójdę do kadr i zmarnuję trochę ich czasu, prosząc o jego numer telefonu, dobrze? Tylko po to, żeby nie wystawić go do wiatru i nie zmarnować jego czasu.

Archiwista podnosi dłoń.

– Przekażę mu, jeśli go zobaczę.

– Och, niech pan nie robi sobie kłopotu. Przepraszam, że zawracałam panu głowę.

Powoli odwraca się do niej i mierzy ją spojrzeniem, które jej matka mogłaby określić jako staromodne.

– Panno Haworth, takim ludziom jak pani pracownicy archiwów mogą się wydawać mało istotni, ale jestem już w takim wieku, że chyba nie nadaję się na redakcyjnego chłopca na posyłki. Proszę mi wybaczyć, jeśli utrudnia to pani życie towarzyskie.

Nagle przypomina jej się, jak Rory mówił, że wszyscy archiwiści potrafią powiązać twarz z nazwiskiem autora. Nie wie, jak się nazywa ten człowiek.

Rumieni się i znika za drzwiami wahadłowymi. Jest na siebie wściekła, że zachowała się jak zrzędliva nastolatka i jest wściekła na starszego mężczyznę, który okazał się tak nieskory do współpracy. Wścieka się, bo surowa ocena Melissy przekreśliła jej szansę na wesoły lunch na mieście w dniu, który zaczął się tak dobrze. John był u niej prawie do dziewiątej. Powiedział, że pociąg z Somerset przyjeżdża dopiero za piętnaście jedenasta, więc nie ma sensu się spieszyć. Podała mu jajecznicę na grzance – chyba jedyną potrawę, jaką umie przyrządzić – a kiedy jadł, siedziała szczęśliwa na łóżku, podkradając kąski z jego talerza.

Wcześniej tylko raz spędzili ze sobą całą noc, na samym początku związku,

gdy twierdził, że ma obsesję na jej punkcie. Poprzednia noc przypominała tamten okres: John był czuły i delikatny, jakby zbliżający się urlop uwrażliwił go na jej uczucia.

Nie rozmawiali o tym: jeśli ostatni rok czegoś ją nauczył, to właśnie tego, żeby żyć tu i teraz. Zagłębiała się w każdej minucie, nie chcąc jej psuć rozmyślaniami o konsekwencjach. Wiedziała, że upadek nastąpi – zawsze następował – ale zwykle udawało jej się zebrać wystarczająco wiele wspomnień, by trochę go zamortyzować.

Stoi na schodach, myśląc o jego obejmujących ją nagich, piegawatych ramionach, o jego śpiącej twarzy na poduszce. Było idealnie. Idealnie. Jakiś cichy głosik w jej głowie podsuwa pytanie, czy pewnego dnia John, jeśli tylko dobrze się nad tym zastanowi, zda sobie sprawę, że całe ich życie mogłoby tak wyglądać.

Od poczty przy Langley Street dzieli ją krótka jazda taksówką. Przed wyjściem z redakcji nie zapomina powiedzieć o tym sekretarce Melissy.

– To numer mojej komórki, w razie gdybym była potrzebna – mówi, ścisząc głos z profesjonalną uprzejmością. – Wrócę mniej więcej za godzinę.

Mimo pory lunchu na poczcie nie ma tłoku. Ellie ustawia się na początku nieistniejącej kolejki i posłusznie czeka, aż elektroniczny głos zawoła: „Zapraszamy do okienka numer sześć”.

– Czy mogę z kimś porozmawiać o skrytkach pocztowych?

– Proszę zaczekać. – Kobieta znika, a potem wraca i wskazuje jej drzwi na końcu sali. – Niech pani podejdzie do Margie.

Jakaś młoda kobieta wysuwa głowę zza drzwi. Ma plakietkę z imieniem, gruby złoty łańcuszek z krucyfiksem i buty na tak wysokim obcasie, że Ellie zaczyna się zastanawiać, jak ona w ogóle może na nich stać, a co dopiero przepracować cały dzień. Kobieta się uśmiecha i Ellie przez chwilę myśli o tym, jak rzadko uśmiechają się do siebie ludzie w mieście.

– To zabrzmiało trochę dziwnie – zaczyna – ale czy można się jakoś dowiedzieć, kto wynajmował skrytkę pocztową wiele lat temu?

– Zwykle skrytki dość często zmieniają właścicieli. Jaki okres ma pani na myśli?

Ellie nie jest pewna, ile jej wyjawic, ale Margie ma miłą twarz, więc Ellie przyjmuje jej poufale ton. Sięga do torebki i wyciąga listy starannie umieszczone w przezroczystej plastikowej koszulce.

– To trochę dziwna sprawa. Znalazłam te listy miłosne. Były kierowane na adres tutejszej skrytki pocztowej i chciałabym je zwrócić.

Margie wydaje się zaintrygowana. To pewnie miła odmiana od wypłat zasiłków i zwrotów produktów z katalogów.

– Skrytka pocztowa numer trzynaście. – Ellie pokazuje kopertę.

Po twarzy Margie widać, że coś jej to mówi.

– Trzynaście?

– Kojarzy ją pani?

– O tak. – Margie zaciska usta, jakby się zastanawiała, ile wolno jej powiedzieć. – Ta skrytka należy do jednej osoby od, och, blisko czterdziestu lat. Ale samo w sobie nie jest to jakoś szczególnie niezwykle.

– A co jest?

– To, że nie przyszedł do niej żaden list. Ani jeden. Wiele razy kontaktowaliśmy się z właścicielką, proponując, żeby ją zamknęła. Ona jednak nie chce. Jeśli woli marnować pieniądze, to jej sprawa. – Spogląda na kopertę. – To listy miłosne? Och, jakie to smutne.

– Poda mi pani jej nazwisko? – Ellie czuje ucisk w żołądku. Ta historia może być jeszcze lepsza, niż przypuszczała.

Kobieta kręci głową.

– Przykro mi, nie mogę. Ochrona danych osobowych i tak dalej.

– Och, proszę! – Ellie wyobraża sobie minę, jaką zrobiłaby Melissa, gdyby udało jej się opisać „zakazaną miłość, która przetrwała czterdzieści lat”. – Proszę. Nie ma pani pojęcia, jakie to dla mnie ważne.

– Przykro mi. Naprawdę. Nie chcę stracić pracy.

Ellie klnie pod nosem i spogląda przez ramię na kolejkę, która nagle się utworzyła. Margie oddala się w stronę drzwi.

– Mimo to dziękuję – mówi Ellie, przypominając sobie o dobrych manierach.

– Nie ma za co.

Z tyłu płacze małe dziecko, próbując wydostać się z wózka.

– Proszę zaczekać. – Ellie gmera w torebce.

– Tak?

– Czy mogłabym – zaczyna z uśmiechem – no wie pani, zostawić w tej skrytce list?

Droga Jennifer,

proszę mi wybaczyć, że wtrącam się w nie swoje sprawy, ale przypadkiem znalazłam osobistą korespondencję, która, jak sędzę, należy do Pani, i chciałabym ją Pani zwrócić.

Można się ze mną skontaktować pod poniższym numerem telefonu.

Z pozdrowieniami

Ellie Haworth

Rory spogląda na kartkę. Siedzą w pubie naprzeciwko redakcji. Jest ciemno, mimo że wieczór dopiero się zaczął, i w świetle lamp sodowych nadal widać zielone ciężarówki firm przeprowadzkowych przed główną bramą. Mężczyźni w kombinezonach kursują tam i z powrotem po szerokich schodach przed

wejściem. Od tygodni są niemal stałym elementem krajobrazu.

– Co? Myślisz, że powinnam była do niej napisać w innym tonie?

– Nie. – Rory siedzi obok niej na ławce z jedną stopą opartą o nogę stolika.

– No więc o co chodzi? Masz taką dziwną minę.

Uśmiecha się.

– Nie wiem, mnie nie pytaj. Nie jestem dziennikarzem.

– Daj spokój. Co znaczy ta mina?

– No... bo czy nie masz wrażenia, że to trochę...

– Jakie?

– Bo ja wiem... To bardzo osobista sprawa. A ty zamierzasz poprosić tę kobietę, żeby publicznie prała swoje brudy.

– Może się ucieszy z tej szansy. Może go odnajdzie. – W jej głosie pobrzmiewa nutka wyzywającego optymizmu.

– Albo ma męża i przez ostatnie czterdzieści lat próbowali zapomnieć o tamtym romansie.

– Wątpię. A zresztą skąd wiesz, że to brudy? Może są teraz razem. Może ta historia dobrze się skończyła.

– I od czterdziestu lat wynajmuje skrytkę pocztową? Nie, to nie miało szczęśliwego zakończenia. – Rory oddaje jej list. – Może nawet jest psychicznie chora.

– Och, więc wytrwałe czekanie na ukochaną osobę oznacza, że jesteś szalony. Jasne.

– Wynajmowanie skrytki pocztowej przez czterdzieści lat, mimo że nie trafił do niej ani jeden list, raczej nie wydaje się do końca normalne.

Ellie przyznaje, że jest w tym trochę racji. Ale myśl o Jennifer i pustej skrytce pocztowej zawładnęła jej wyobraźnią. Co ważniejsze, nie ma lepszego materiału na porządny artykuł.

– Zastanowię się nad tym – mówi. Nie wspomina mu, że po południu napisała niezły tekst.

– Więc dobrze się wczoraj bawiłaś? – pyta Rory. – Nie jesteś za bardzo obolała?

– Co?

– Mówię o jeżdżeniu na łyżwach.

– A. Trochę się poobijałam. – Rozprostowuje nogi, czując napięcie w udach, i lekko się rumieni, gdy przypadkiem dotyka go kolanem. Nagle zaczęli mieć swoje prywatne żarciki. Ona jest Jayne Torvill, on skromnym archiwistą, który ma wypełniać jej polecenia. Rory pisze do niej esemesy pełne błędów: „Czy mondra pani morze puźniej pujść na drinka z archiwistom?”.

– Słyszałem, że mnie szukałaś.

Spgląda na niego i widzi, że Rory znowu się uśmiecha.

– Twój szef jest strasznie opryskliwy. – Krzywi się. – Naprawdę. Zachował się, jakbym prosiła, żeby złożył w ofierze swojego pierworodnego, a przecież próbowałam tylko przekazać ci wiadomość.

– Jest w porządku – mówi Rory, marszcząc nos. – Po prostu się stresuje. Bardzo. To jego ostatni projekt przed emeryturą. Musi przenieść czterdzieści tysięcy dokumentów, a do tego jeszcze te, które są skanowane i przechowywane cyfrowo.

– Rory, wszyscy jesteśmy zajęci.

– Po prostu chce zostawić materiały w idealnym porządku. Jest ze starej szkoły, no wiesz, dla dobra papieru zrobi wszystko. Lubię go. To przedstawiciel wymierającego gatunku.

Ellie myśli o Melissie, jej zimnym spojrzeniu i wysokich obcasach, i dochodzi do wniosku, że trudno nie przyznać mu racji.

– Wie o tym miejscu wszystko, co można wiedzieć. Powinnaś z nim kiedyś porozmawiać.

– Tak. Bo najwidoczniej bardzo mnie polubił.

– Na pewno polubi, jeśli będziesz dla niego miła.

– Tak jak dla ciebie?

– Nie. Powiedziałem „miła”.

– Będziesz się starał o jego stanowisko?

– Ja? – Rory podnosi szklankę do ust. – Nie. Chcę podróżować. Po Ameryce Południowej. To miała być tylko praca na wakacje. Tak się jakoś złożyło, że trwa od półtora roku.

– Pracujesz tu od półtora roku?

– Chcesz powiedzieć, że mnie nie zauważyłaś? – Udaje urażonego, a ona znowu się rumieni.

– Po prostu... to dziwne, że natknęłam się na ciebie dopiero teraz.

– Ech, wy, pismaki, widzicie tylko to, co chcecie. A my jesteśmy niewidzialnymi trutniami istniejącymi jedynie po to, by wypełniać wasze polecenia.

Rory się uśmiecha. Nie mówi tego złośliwie, ale Ellie wie, że w jego słowach tkwi ziarno nieprzyjemnej prawdy.

– No więc jestem samolubnym, nieczułym pismakiem, ślepym na potrzeby prawdziwych ludzi pracy i podłym dla starych, porządnych mężczyzn z chwalebną etyką zawodową – mówi w zamyśleniu.

– Mniej więcej tak. – Po chwili Rory przygląda jej się uważniej i jego twarz się zmienia. – Co zamierzasz zrobić, żeby się zrehabilitować?

Ellie ma zaskakujące trudności ze spojrzeniem mu w oczy. Gdy zastanawia się, co odpowiedzieć, słyszy swoją komórkę.

– Przepraszam – mamrocze, grzebiąc w torebce. Klika na mały symbol

koperty.

Chciałem się tylko przywitać. Jutro wyjeżdżam na urlop, skontaktuję się po powrocie, trzymaj się Jx

Jest zawiedziona. „Przywitać się” po czułych słowach, które szeptał poprzedniego wieczoru? Po ich gorącej randce? On chce się „przywitać”?

Czyta esemesa jeszcze raz. Wie, że John nigdy nie mówi wiele w esemesach. Już na początku powiedział, że to zbyt ryzykowne, bo żona mogłaby coś przeczytać, zanim zdążyłby usunąć obciążającą wiadomość. Poza tym „trzymaj się” ma pewien urok, prawda? Johnowi zależy, by wszystko było u niej w porządku. Uspokajając się, Ellie myśli o tym, jak bardzo upiększa te jego esemesy, doszukując się wielkiej głębi w nielicznych słowach, które do niej kieruje. Ellie wierzy, że ponieważ łączy ich bardzo silna więź, taka oględność jest w porządku, ona rozumie, co John naprawdę chce jej powiedzieć. Czasami jednak, na przykład dzisiaj, wątpi, czy jego słowa zawierają coś więcej niż tylko krótką informację.

Jak odpowiedzieć? Przecież nie może napisać: „Udanego urlopu”, skoro chciałyby, żeby ten urlop był okropny, żeby jego żona dostała zatrucia pokarmowego, dzieci nieustannie jęczały, a pogoda okropnie się popsowała, uziemiając ich wszystkich w ponurym budynku. Chciałyby, żeby tam siedział i za nią tęsknił, tęsknił, tęsknił...

Też się trzymaj x

Gdy podnosi głowę, widzi, że Rory wpatruje się w ciężarówkę firmy przeprowadzkowej, jakby udawał, że nie jest zainteresowany tym, co dzieje się obok niego.

– Przepraszam – mówi Ellie, wkładając telefon z powrotem do torebki. – To z pracy. – Już kiedy to mówi, wie, dlaczego ukrywa przed nim prawdę. Mógłby być jej przyjacielem, właściwie to nim jest. Dlaczego nie miałyby mu powiedzieć o Johnie?

– Jak myślisz, czemu już nikt nie pisze takich listów miłosnych? – pyta, wyjmując jeden z nich. – To znaczy, owszem, pisze się esemesy, mejle i tak dalej, ale nikt już nie używa takiego języka, prawda? Nikt już nie wyraża uczuć tak jak nasz nieznany kochanek.

Ciężarówka odjechała. Front budynku, w którym mieści się siedziba redakcji, jest odsłonięty i pusty, drzwi w świetle lamp sodowych przypominają ciemną paszczę. W głębi niej została jeszcze część pracowników wprowadzających ostatnie zmiany na pierwszej stronie.

– Może jednak ktoś je pisze – mówi Rory, a na jego twarzy nie widać już tamtej chwilowej czułości. – Albo jest mężczyzną i nie ma pojęcia, co należy teraz mówić.

Siłownia przy Swiss Cottage nie jest już blisko domu żadnej z nich, sprzęt

regularnie się psuje, a recepcjonistka jest tak opryskliwa, że zastanawiają się, czy przypadkiem nie umieściła jej tam konkurencja, ale ani Ellie, ani Nicky nie jest w stanie przejść przez niekończący się proces rezygnowania z członkostwa i szukania nowej siłowni. Tutaj mają swoje cotygodniowe miejsce spotkań. Minęło kilka lat, odkąd sapały obok siebie na rowerkach albo podporządkowywały się zaleceniom wzgardliwych dwudziestoletnich trenerów osobistych. Teraz po zdawkowym przepłynięciu paru basenów siadają na czterdzieści minut w jacuzzi albo w saunie, żeby pogadać, wmawiając sobie, że to „dobre dla cery”.

Nicky zjawia się spóźniona: przygotowuje się do konferencji w RPA i coś ją zatrzymało. Żadna z przyjaciółek nigdy nie komentuje spóźnienia: przyjmują, że to się zdarza, że nikomu nie robi się wyrzutów z powodu niedogodności wynikających z jego pracy. Poza tym Ellie nadal nie do końca wie, czym właściwie zajmuje się Nicky.

– Będzie tam gorąco? – Poprawia ręcznik na gorącej ławce w saunie, a Nicky przeciera oczy.

– Chyba tak. Ale nie jestem pewna, czy będę miała czas się tym nacieszyć. Moja nowa szefowa to pracoholiczka. Miałam nadzieję, że potem wezmę tydzień urlopu, ale ona twierdzi, że nie może się bez mnie obyć.

– Jaka jest?

– Och, w porządku, nie dorabia sobie na drutach pary jąder ani nic w tym rodzaju. Ale naprawdę dużo pracuje i nie rozumie, dlaczego reszta z nas miałyby postępować inaczej. Szkoda, że nie ma już starego Richarda. Uwielbiałam nasze długie piątkowe lunchy.

– Nie znam nikogo, kto miałby teraz porządną przerwę na lunch.

– Pomijając was, pismaków. Myślałam, że ciągle chodzicie na zakrapiane lunchy z jakimiś wtykami.

– Ha. Nie kiedy szefowa siedzi mi na ogonie. – Ellie relacjonuje poranne spotkanie z Melissą i Nicky współczująco mruży oczy.

– Lepiej uważaj – mówi. – Wygląda na to, że ma cię na oku. Dobrze ci idzie z tym artykułem? Udobruchasz ją nim?

– Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. Poza tym dziwnie się czuję, wykorzystując taki materiał. – Ellie drapie się w stopę. – Te listy są urocze. I naprawdę głębokie. Gdyby ktoś napisał do mnie taki list, nie chciałabym, żeby stał się własnością publiczną.

Mówiąc to, słyszy głos Rory’ego i uświadamia sobie, że już nie wie, co o tym wszystkim myśleć. Nie była przygotowana na to, jaką niechęć wzbudzi w niej plan opublikowania tych listów. Przywykła, że wszyscy w „Nation” rozumują w podobny sposób: gazeta przede wszystkim, stara szkoła.

– Na twoim miejscu powiększyłabym je i umieściła na billboardach. Nie znam już nikogo, kto dostawałby listy miłosne – mówi Nicky. – Dostawała je moja

siostra, kiedy w latach dziewięćdziesiątych jej narzeczony wyjechał do Hongkongu. Przynajmniej dwa tygodniowo. Kiedyś mi jeden pokazała. – Prycha. – Większość z nich była o tym, jak bardzo tęskni za jej tyłkiem.

Przestają się śmiać, gdy do sauny wchodzi jakaś kobieta. Wymieniają przyjazne uśmiechy i kobieta zajmuje miejsce na najwyższej półce, starannie rozkładając pod sobą ręcznik.

– A, w ubiegły weekend widziałam Douga.

– Co u niego? Zapłodnił już Lenę?

– Pytał o ciebie. Martwi się, że cię zdenerwował. Powiedział, że mieliście małą wymianę zdań.

Ellie zaczynają szczytać oczy od potu zmieszanego z resztkami tuszu do rzęs.

– Och, nic się nie stało. Po prostu... – Spogląda na kobietę na górnej półce. – On żyje w innym świecie.

– W takim, w którym nikt nie miewa romansów.

– Zaczął mnie trochę... krytykować. Poróżniliśmy się w kwestii żony Johna.

– Co z nią?

Ellie z zakłopotaniem przesuwają się na ręczniku.

– Mną się nie przejmujcie – dobiega z góry głos trzeciej kobiety. – Wszystko usłyszane w tym miejscu zostaje w tym miejscu. – Śmieje się i uprzejmie odpowiadają jej uśmiechem.

Ellie ścisza głos.

– Chodziło o to, jak bardzo powinnam brać pod uwagę jej uczucia.

– Zdaje się, że to zadanie Johna.

– Tak. Ale wiesz, jaki jest Doug. Najmilszy Człowiek na Świecie. – Ellie odsuwa włosy z twarzy. – Nicky, on ma rację, ale przecież ja jej nie znam. Wydaje mi się nierzeczywista. No więc dlaczego miałabym się nią przejmować? Ma coś, na czym bardzo, bardzo mi zależy, coś, co by mnie uszczęśliwiło. I chyba nie może być w nim aż tak zakochana, skoro nie przywiązuje wagi do tego, czego on potrzebuje i chce, prawda? Przecież gdyby byli szczęśliwi, nie byłby ze mną, prawda?

Nicky kręci głową.

– Bo ja wiem. Po urodzeniu dziecka moja siostra przez pół roku nie mogła dojść do siebie.

– Jego najmłodsze dziecko ma prawie dwa lata. – Ellie czuje, że Nicky drwiąco wzrusza ramionami. To nieodłączna wada dobrych przyjaciół. Nigdy nie pozwalają, żeby coś ci uszło płazem.

– Wiesz, Ellie – mówi Nicky, kładąc się na ławce i wsuwając ręce pod głowę. – Z punktu widzenia moralności byłoby mi to obojętne, ale nie wydajesz się szczęśliwa.

Defensywne napięcie.

– Jestem szczęśliwa.

Nicky unosi brew.

– No dobrze, jestem szczęśliwsza i jednocześnie bardziej nieszczęśliwa, niż kiedykolwiek z kimkolwiek byłam, jeśli cokolwiek z tego rozumiesz.

W przeciwieństwie do swoich dwóch najlepszych przyjaciółek Ellie nigdy nie mieszkała z mężczyzną. Do trzydziestki zaliczała mężaidzieci – to zawsze było jedno słowo – do kategorii spraw, którymi zamierzała się zająć na późniejszym etapie życia, długo po zrobieniu kariery, tak samo jak piciem z umiarem i pobieraniem emerytury. Nie chciała skończyć jak niektóre dziewczyny z jej szkoły, wyczerpane i pchające wózki w wieku dwudziestu kilku lat, zależne finansowo od mężów, którymi zdawały się pogardzać.

Jej poprzedni chłopak narzekał, że przez większość ich związku próbował za nią nadażyć, gdy biegła z miejsca na miejsce, „warcząc w komórkę”. Jeszcze bardziej wkurzało go to, że jej wydawało się to zabawne. Odkąd jednak skończyła trzydziestkę, bawiło ją to trochę mniej. Gdy odwiedzała rodziców w Derbyshire, wyraźnie starali się unikać pytań o chłopaków – tak bardzo, że zmieniło się to w kolejną formę nacisku. Ellie mówi im i innym ludziom, że dobrze jej samej. I to była prawda, dopóki nie poznała Johna.

– On jest żonaty, skarbie? – pyta obca kobieta zza kłębów pary.

Ellie i Nicky wymieniają ukradkowe spojrzenia.

– Tak – odpowiada Ellie.

– Jeśli to cię pocieszy, zakochałam się w żonatym mężczyźnie i w przyszły wtorek będziemy mieli czwartą rocznicę ślubu.

– Gratulacje – mówią chórem, choć Ellie ma świadomość, że to dziwne słowo w takich okolicznościach.

– Jesteśmy bardzo szczęśliwi. Oczywiście córka przestała się do niego odzywać, ale to nic. Jesteśmy szczęśliwi.

– Ile minęło czasu, zanim odszedł od żony? – pyta Ellie, siadając.

Kobieta związuje włosy w kucyk. Nie ma piersi, myśli Ellie, a mimo to zostawił dla niej żonę.

– Dwanaście lat – odpowiada. – Potem było już za późno na dzieci, ale jak już mówiłam, nie żałuję. Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

– To dobrze – mówi Ellie, gdy kobieta schodzi na dół. Szklane drzwi się otwierają, wpuszczając zimne powietrze, a potem Ellie i Nicky zostają tylko we dwie w gorącej, spowitej półmrokiem kabinie.

Na chwilę zapada cisza.

– Dwanaście lat – odzywa się Nicky, wycierając twarz ręcznikiem. – Dwanaście lat, brak kontaktu z córką i bezdzietność. Założę się, że od razu poczułaś się lepiej.

Dwa dni później dzwoni telefon. Jest piętnaście po dziewiątej i Ellie jest już w redakcji. Stoi przy biurku, żeby szefowa mogła zobaczyć, że przyszła i pracuje. O której Melissa przychodzi do pracy? Wszystko wskazuje na to, że zjawia się pierwsza i wychodzi ostatnia, a mimo to zawsze jest nienagannie uczesana i umalowana, a elementy jej stroju są starannie dobrane. Ellie przypuszcza, że o szóstej rano ma spotkanie z prywatnym trenerem, a potem czesze się w jakimś ekskluzywnym salonie. Czy Melissa ma jakieś życie prywatne? Ktoś kiedyś wspomniał o córeczce, ale Ellie trudno w to uwierzyć.

– Redakcja – mówi, patrząc pustym wzrokiem na przeszklony gabinet. Melissa rozmawia przez telefon, chodząc tam i z powrotem, i jedną ręką poprawia włosy.

– Czy dodzwoniłam się do Ellie Haworth? – Wytworny głos, relikty minionej epoki.

– Tak, to ja.

– Zdaje się, że przesłała mi pani list. Nazywam się Jennifer Stirling.

Co takiego zrobiłam? W czwartek powiedziałeś, że nie chcesz mnie stracić. To twoje słowa, nie moje. A potem nic. Myślałam nawet, że miałeś wypadek! S***** powiedziała, że już ci się to zdarzało, ale nie chciałam jej wierzyć, a teraz czuję się jak kretynka.

Z listu kobiety do mężczyzny

Idzie żwawo, pochylając głowę przed zacinającym deszczem, przeklinając się za to, że nie pomyślała o zabraniu parasolki. Taksówki suną w cieniu aerodynamicznym autobusów z zaparowanymi szybami, oblewając chodniki pełnymi wdzięku łukami wody. Jest w St John's Wood w mokre sobotnie popołudnie i stara się nie myśleć o białych piaskach na Barbadosie, o szerokiej piegowatej dłoni rozsmarowującej krem z filtrem na kobiecych plecach. Ten obraz wdiera się do jej głowy z druzgoczącą częstotliwością, i to od sześciu dni, odkąd John wyjechał. Paskudna pogoda wydaje się jakimś kosmicznym żartem z niej samej.

Szara bryła okazałego budynku wznosi się nad szerokim, obsadzonym drzewami chodnikiem. Potykając się, Ellie wchodzi po kamiennych schodach, wciska przycisk z numerem osiem i czeka, niecierpliwie przeskakując z jednej przemoczonej nogi na drugą.

– Słucham. – Głos brzmi czysto, nie tak staro, jak sobie wyobrażała. Dziękuje Bogu, że Jennifer Stirling zaproponowała spotkanie właśnie tego dnia: myśl o całej sobocie bez pracy, bez przyjaciół, którzy nagle są czymś zajęci, napawała ją przerażeniem. Znowu ta piegowata ręka.

– Tu Ellie Haworth. Przyszłam w sprawie listów.

– Ach. Proszę wejść. Mieszkam na czwartym piętrze. Pewnie będzie pani musiała trochę poczekać na windę. Jest okropnie powolna.

Rzadko wchodzi do takich budynków i prawie nie zna tej okolicy. Jej przyjaciele mieszkają w nowo wybudowanych mieszkaniach z maleńkimi pokoikami i podziemnymi parkingami albo w dwupoziomowych lokalach upchniętych niczym torty w wiktoriańskich szeregowcach. Ten budynek pachnie jednak starymi pieniędzmi i obojętnością na modę. Przywodzi jej na myśl słowo „matrona” – mogłoby się przydać Johnowi – i Ellie się uśmiecha.

Podłogę w holu pokrywa ciemnoturkusowa wykładzina. To kolor innej epoki. Mosiężna poręcz biegnąca wzdłuż czterech marmurowych stopni jest mocno wytarta wskutek częstego polerowania. Przez chwilę Ellie myśli o przestrzeni wspólnej w swoim bloku, w której piętrzą się sterty pozostawionej korespondencji i niedbale porzuconych rowerów.

Winda dostojnie zmierza na czwarte piętro, skrzypiąc i klekocząc, aż w końcu Ellie wychodzi na wyłożony płytkami korytarz.

– Halo? – Zauważa otwarte drzwi.

Potem nie jest pewna, czego się spodziewała: zgarbionej staruszki z kaprawymi oczami, być może opatulonej jakimś ładnym szalem w domu pełnym porcelanowych zwierzątek. Jennifer Stirling nie jest taką kobietą. Może i przekroczyła sześćdziesiątkę, ale jest szczupła i nadal wyprostowana, i tylko siwe

włosy, obcięte na zaczesanego na bok boba, podpowiadają jej prawdziwy wiek. Ma na sobie granatowy kaszmirowy sweterek i przewiązany paskiem wełniany żakiet oraz dobrze skrojone spodnie, raczej od Driesa van Notena niż z Marksa & Spencera. Wokół szyi zawiązała szmaragdową apaszkę.

– Panna Haworth?

Wyczuwa, że kobieta, zanim postanowiła się odezwać, obserwowała ją i być może poddawała ocenie.

– Tak. – Ellie wyciąga rękę. – Proszę mi mówić Ellie.

Twarz kobiety lekko się odpręża. Bez względu na to, na czym polegał ten test, Ellie chyba go zdała – przynajmniej na razie.

– Proszę, wejdz. Przyjechałeś z daleka?

Ellie wchodzi do mieszkania. Tu też jej domysły się nie potwierdzają. Nie ma żadnych bibelotów w kształcie zwierząt. Pomieszczenie jest olbrzymie, jasne i skąpo umeblowane. Na podłodze z jasnego drewna leżą dwa ogromne perskie dywany, a dwa obite adamaszkiem chesterfieldy stoją naprzeciw siebie po obu stronach szklanego stolika do kawy. Nieliczne pozostałe meble tworzą eklektyczną i wyjątkową mieszankę: fotel, który, jak Ellie przypuszcza, jest drogi, nowoczesny i pochodzi z Danii, oraz mały zabytkowy stolik intarsjowany orzechem włoskim. Zdjęcia rodziny, małych dzieci.

– Piękne mieszkanie – mówi Ellie, która nigdy jakoś szczególnie nie przejmowała się wystrojem wnętrza, ale teraz nagle już wie, jak chciałaby mieszkać.

– Ładne, prawda? Wprowadziłam się w... chyba w sześćdziesiątym ósmym. Wtedy był to dość zaniedbany stary blok, ale pomyślałam, że mojej córce dobrze by się tu dorastało, skoro już musi mieszkać w mieście. Z tamtego okna widać Regent's Park. Mogę wziąć twój płaszcz? Napijesz się kawy? Wyglądasz na strasznie przemoczoną.

Ellie siada, a Jennifer Stirling znika w kuchni. Na ścianach pomalowanych na najjaśniejszy kremowy odcień wisi kilka dzieł sztuki współczesnej. Gdy Jennifer Stirling wraca, Ellie przygląda się jej i uświadamia sobie, że wcale jej nie dziwi, iż ta kobieta wzbudziła tak wielką namietność u nieznanego autora listów.

Część zdjęć na stoliku przedstawia nedorzecznie piękną młodą kobietę pozującą jak do portretu Cecila Beatona. Na innych, być może wykonanych kilka lat później, spogląda ona na noworodka, a na jej twarzy widać wyczerpanie, trwogę i szczęście charakteryzujące ponoć wszystkie świeżo upieczone matki – jej włosy, mimo że właśnie urodziła, są starannie ułożone.

– To bardzo miło z twojej strony, że zadałeś sobie tyle trudu. Muszę powiedzieć, że twój list mnie zaintrygował. – Przed Ellie stoi filiżanka, a Jennifer Stirling siedzi naprzeciwko, mieszając swoją kawę maleńką srebrną łyżeczką zakończoną ziarnkiem kawy z czerwonej emalii. Jezu, myśli Ellie. W talii jest szczuplejsza ode mnie.

– Jestem ciekawa, co to za korespondencja. Wątpię, żebym przez te wszystkie lata omyłkowo coś wyrzuciła. Zwykle korzystam z niszczarki. Mój księgowy podarował mi jedno z tych piekielnych urządzeń na ostatnie Boże Narodzenie.

– Właściwie to nie ja znalazłam te listy. Mój przyjaciel porządkował archiwum gazety „Nation” i natknął się na pewną teczkę.

Zachowanie Jennifer Stirling ulega nagłej zmianie.

– A w środku było to.

Ellie sięga do torebki i ostrożnie wyjmuje plastikową koszulkę z trzema listami miłosnymi. Obserwuje twarz patrzącej na nie pani Stirling.

– Przesłałabym je pocztą – ciągnie – ale...

Jennifer Stirling nabożnie bierze listy w obie dłonie.

– Nie byłam pewna... co... No cóż, nie byłam pewna, czy w ogóle chciałyby je pani zobaczyć.

Jennifer milczy. Ellie czuje nagłe skrępowanie i upija łyk kawy. Nie wie, jak długo tak siedzi, sącząc ją, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu odwraca wzrok.

– Och, ależ oczywiście, że bym chciała.

Ellie patrzy na Jennifer i widzi jej odmienioną twarz. Starsza kobieta w zasadzie nie płacze, ale jej zmrużone oczy przywodzą na myśl osobę targaną silnymi emocjami.

– Zakładam, że je przeczytałaś.

Ellie czuje, że się rumieni.

– Przepraszam. Znajdowały się w teczce z zupełnie innymi materiałami. Nie przypuszczałam, że znajdę właściciela. Wydały mi się piękne – dodaje skrępowana.

– Tak, są piękne. No cóż, Ellie Haworth, w moim wieku niewiele rzeczy mnie zaskakuje, ale tobie się dzisiaj udało.

– Nie przeczyta ich pani?

– Nie muszę. Wiem, co w nich jest.

Dawno temu Ellie nauczyła się, że najważniejszą cechą dziennikarza jest umiejętność wycucia, kiedy należy milczeć. Teraz jednak czuje się coraz bardziej nieswojo, patrząc na starszą kobietę, która w pewnym sensie zniknęła z pokoju.

– Przepraszam, jeśli panią zdenerwowałam – odzywa się nieśmiało, gdy milczenie staje się nieznośne. – Nie byłam pewna, co zrobić, bo przecież nie wiedziałam nic o pani...

– ...sytuacji życiowej – kończy Jennifer Stirling. Uśmiecha się i Ellie znowu myśli o tym, jaką uroczą ma twarz. – To bardzo dyplomatycznie z twojej strony. Ale te listy nikogo już nie postawią w kłopotliwym położeniu. Mój mąż zmarł wiele lat temu. To jedna z tych cech starości, o których nikt nie wspomina. – Uśmiecha się cierpko. – Że mężczyźni umierają o wiele wcześniej.

Przez jakiś czas wsłuchują się w deszcz i w odgłosy hamowania autobusów

za oknem.

– Powiedz mi coś, Ellie – odzywa się pani Stirling. – Dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, żeby mi zwrócić te listy?

Ellie zastanawia się, czy wspomnieć o artykule. Instykt jej podpowiada, że nie powinna.

– Dlatego że nigdy nie czytałam czegoś podobnego?

Jennifer Stirling uważnie jej się przygląda.

– A poza tym... ja też mam kochanka – mówi, nie do końca wiedząc, dlaczego to robi.

– „Kochanka”?

– On jest... żonaty.

– Ach. Więc te listy do ciebie przemówiły.

– Tak. One i cała ta historia. To, że pragnie się kogoś, kogo nie można mieć. I że nigdy nie jest się w stanie powiedzieć, co naprawdę się czuje. – Mówi ze spuszczoną głową, patrząc na kolana. – Mężczyzna, z którym się związałam, John... W zasadzie nie wiem, co on o tym wszystkim myśli. Nie rozmawiamy o tym, co się między nami dzieje.

– Zdaje się, że pod tym względem nie jest wyjątkiem – zauważa pani Stirling.

– Ale pani kochanek nim był. Boot.

– Tak. – Jennifer Stirling znowu pogrąża się we wspomnieniach. – On mówił mi wszystko. Dziwnie jest dostać taki list. Wiedzieć, że jest się tak bardzo kochanym. On zawsze świetnie posługiwał się słowami.

Deszcz na chwilę zmienia się w ulewę i bębni w szyby, a ludzie za oknem uciekają z krzykiem.

– Może to zabrzmie dziwnie, ale mam lekką obsesję na punkcie pani romansu. Rozpaczliwie chciałam się dowiedzieć, czy doszło do pojednania. Muszę o to spytać... Czy kiedykolwiek się państwo zeszli?

Współczesne sformułowania brzmią źle, niestosownie i nagle Ellie czuje się niepewnie. Myśli, że w jej pytaniach jest coś nieeleganckiego. Przesadziła.

Gdy już ma przeprosić i wyjść, odzywa się Jennifer Stirling.

– Napijesz się jeszcze kawy, Ellie? – pyta. – Chyba nie ma sensu, żebyś wychodziła w taką pogodę.

Jennifer Stirling siedzi na obitej jedwabiem kanapie, trzymając na kolanach wystygłą kawę, i opowiada historię młodej zamężnej kobiety na południu Francji oraz jej męża, który, jak to ujęła, prawdopodobnie wcale nie był gorszy od innych mężów z tamtych lat. W dużej mierze był człowiekiem swoich czasów, w którym zduszono umiejętność wyrażania emocji – były oznaką słabości, czymś niestosownym. Opowiada też historię jego przeciwieństwa, opryskliwego, zadufanego w sobie, pełnego namiętności i zniszczonego człowieka, który zakłócił

jej wewnętrzny spokój już pierwszego wieczoru, kiedy poznała go na uroczystej kolacji w świetle księżyca.

Ellie siedzi jak urzeczona, w jej głowie powstają obrazy. Stara się nie myśleć o dyktafonie, który włączyła w torebce. Nie czuje się już jednak nieelegancko. Pani Stirling opowiada ze swadą, jakby od dziesięcioleci pragnęła podzielić się z kimś tymi wydarzeniami. Mówi, że przez lata znajdowała różne elementy tej historii, a Ellie, choć nie do końca rozumie to, co słyszy, nie chce jej przerywać, by poprosić o wyjaśnienie.

Jennifer Stirling opowiada o tym, jak w jej wspaniałym życiu coś się popsuło, o bezsennych nocach, poczuciu winy, przerażającym, nieodpartym przyciąganiu ze strony kogoś zakazanego, o okropnej świadomości, że prowadzi nie takie życie, jakie powinna. Mówi, a Ellie obgryza paznokcie, zastanawiając się, czy John myśli podobnie, siedząc teraz na jakiejś dalekiej, skąpanej w słońcu plaży. Jak może kochać swoją żonę i robić z nią to, co robi? Jak może nie czuć tego przyciągania?

Historia staje się bardziej ponura, głos cichszy. Jennifer opowiada o wypadku na mokrej drodze, o śmierci niewinnej mężczyzny i o czterech latach, przez które żyła w małżeństwie jak lunaticzka, trzymając się wyłącznie dzięki pigułkom i narodzinom córki.

Milknie, sięga do tyłu i podaje Ellie zdjęcie w ramce. Wysoka blondynka w szortach i obejmujący ją mężczyzna. U jej bosych stóp dwoje dzieci i pies. Wygląda to jak reklama Calvina Kleina.

– Esmé jest pewnie tylko trochę starsza od ciebie – mówi. – Mieszka w San Francisco z mężem lekarzem. Są bardzo szczęśliwi. O ile mi wiadomo – dodaje z cierpkim uśmiechem.

– Wie o tych listach? – Ellie ostrożnie odkłada zdjęcie na stolik do kawy, starając się nie zazdrościć Esmé fantastycznych genów i najwyraźniej idealnego życia.

Pani Stirling waha się przez chwilę, zanim znowu zaczyna mówić.

– Nigdy nikomu o tym nie opowiadałam. Która córka chciałaby usłyszeć, że jej matka nie kochała jej ojca, lecz kogoś innego?

Potem opowiada o przypadkowym spotkaniu po latach, o ogromnym wstrząsie wywołanym odkryciem, że była tam, gdzie powinna.

– Potrafisz to pojąć? Tak długo czułam, że jestem w niewłaściwym miejscu... i nagle zjawia się Anthony. Poczulałam... – puka się w mostek – że jestem w domu. Że to on.

– Tak – mówi Ellie. – Siedzi na krawędzi kanapy. Twarz Jennifer Stirling jaśnieje. Nagle Ellie widzi w niej młodą dziewczynę, którą kiedyś była. – Znam to uczucie.

– Okropne było oczywiście to, że choć go znalazłam, nie mogłam z nim być.

W tamtych czasach rozwód traktowano zupełnie inaczej niż dziś. Jak coś potwornego. Mieszano człowieka z błotem. Wiedziałam, że jeśli spróbuję odejść, mąż mnie zniszczy. I nie mogłam zostawić córki. On, Anthony, musiał się rozstać z własnym dzieckiem i potem chyba nigdy nie doszedł do siebie.

– Więc nie odeszła pani od męża? – Ellie czuje rozczarowanie.

– Odeszłam, dzięki tej teczce, którą znalazłaś. Miał taką śmieszna starą sekretarkę, pannę Jakaśtam. – Krzywi się. – Nigdy nie pamiętałam jej nazwiska. Przypuszczam, że się w nim podkochała. A potem z jakiegoś powodu dała mi broń, która mogła go zniszczyć. Wiedział, że dopóki mam te dokumenty, nie może mi nic zrobić.

Opisuje spotkanie z sekretarką o zapomnianym nazwisku, szok męża, gdy wyjawiała mu, co wie.

– Dokumenty o azbeście. – W mieszkaniu Ellie wydawały się takie nieszkodliwe, upływ czasu i perspektywa przyćmiły ich moc.

– Wtedy oczywiście nikt nie wiedział o azbeście. Uważaliśmy go za cudowny materiał. Przeżyłam ogromny wstrząs, gdy odkryłam, że przedsiębiorstwo Laurence'a zniszczyło tak wiele istnień ludzkich. Dlatego po jego śmierci założyłam fundację. Żeby pomagać ofiarom. Spójrz. – Sięga do sekretarzyka i wyjmuję ulotkę. Jest na niej szczegółowy schemat pomocy prawnej dla osób cierpiących na międzybłoniaka wskutek wykonywanej pracy. – Zostało niewiele pieniędzy, ale nadal oferujemy pomoc prawną. Zaprzyjaźnieni prawnicy świadczą usługi za darmo, tutaj i za granicą.

– Nadal korzysta pani z pieniędzy męża?

– Tak. Na tym polegała nasza umowa. Zachowałam jego nazwisko i stałam się jedną z tych żon samotniczek, które nigdy nie towarzyszą mężom na żadnych imprezach. Wszyscy zakładali, że wycofałam się z życia towarzyskiego, żeby wychowywać córkę. Widzisz, w tamtych czasach nie było w tym nic niezwykłego. A on zjawiał się na spotkaniach towarzyskich z kochanką. – Jennifer się śmieje, kręcąc głową. – Obowiązywały wtedy przedziwne podwójne standardy.

Ellie wyobraża sobie siebie pod rękę z Johnem na premierze jakiejś książki. Zawsze starannie unikał dotykania jej w miejscach publicznych, w żaden sposób nie zdradzał, że coś ich łączy. Miała cichą nadzieję, że zostaną przyłapani, gdy się całują, albo że ich namiętność jest tak widoczna, że staną się obiektem złośliwych plotek.

Podnosi wzrok i napotyka spojrzenie Jennifer Stirling.

– Jeszcze kawy, Ellie? Zakładam, że nigdzie ci się nie spieszy.

– Nie. Chętnie się napiję. Chcę się dowiedzieć, jak zakończyła się ta historia. Twarz Jennifer się zmienia. Jej uśmiech blednie. Na chwilę zapada cisza.

– Znowu pojechał do Konga – mówi. – Jeździł w najbardziej niebezpieczne miejsca. Białego człowieka bez przerwy spotykało tam coś złego, a on nie był

w najlepszej formie... – Ellie ma wrażenie, że te słowa nie są już skierowane do niej. – Mężczyźni często są o wiele wrażliwsi, niż się wydają, prawda?

Ellie przyswaja te informacje, starając się nie czuć gorzkiego rozczarowania, które w niej wywołują. To nie twoje życie – powtarza sobie z przekonaniem. To nie musi być twoja tragedia.

– Jak się nazywał? Domyślałam się, że nie Boot.

– Nie. To był taki nasz mały żart. Czytałaś Evelynę Waughę? Tak naprawdę nazywał się Anthony O’Hare. W sumie dziwnie się czuję, opowiadając ci o tym po tylu latach. Był miłością mojego życia, a mimo to nie mam żadnych jego zdjęć, tylko garść wspomnień. Gdyby nie listy, mogłabym pomyśleć, że to wszystko mi się uroiło. Dlatego jestem ci taka wdzięczna, że mi je przyniosłaś.

W gardle Ellie formuje się gruda.

Dzwoni telefon, wyrywając je z zamyślenia.

– Wybacz, proszę – mówi Jennifer. Wychodzi na korytarz, podnosi słuchawkę i Ellie słyszy, jak odbiera połączenie. Jej głos znowu brzmi spokojnie, jest przesycony profesjonalnym dystansem. – Tak – mówi. – Tak, nadal się tym zajmujemy. Kiedy postawiono diagnozę?... Bardzo mi przykro...

Ellie zapisuje imię i nazwisko w notesie i wsuwa go z powrotem do torebki. Sprawdza, czy rozmowa się zapisała, czy dyktafon nadal jest włączony. Zadowolona siedzi jeszcze kilka minut, spoglądając na rodzinne zdjęcia, i uświadamia sobie, że Jennifer nieprędko do niej wróci. Ponaglanie kogoś, kto najwyraźniej zapadł na chorobę płuc, nie wydaje się w porządku. Wrywa kartkę z notesu, zapisuje coś na niej i sięga po płaszcz. Podchodzi do okna. Niebo się przetaiło i kałuże na chodniku połyskują na niebiesko. Potem podchodzi do drzwi i staje w progu, unosząc karteczkę.

– Przepraszam na chwilę. – Jennifer zasłania słuchawkę dłonią. – Tak mi przykro – mówi. – To pewnie zajmie trochę czasu. – Jej ton sugeruje, że nie dokończą dziś rozmowy. – Ktoś musi złożyć wniosek o odszkodowanie.

– Możemy jeszcze kiedyś porozmawiać? – Ellie podsuwa jej karteczkę. – Tu są moje namiary. Naprawdę chciałabym się dowiedzieć...

Jennifer kiwa głową, skupiona już na rozmowie telefonicznej.

– Tak. Oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić. I jeszcze raz dziękuję, Ellie.

Ellie rusza do wyjścia i zaczyna wkładać płaszcz. Gdy Jennifer zbliża słuchawkę do ucha, odwraca się jednak.

– Proszę mi tylko powiedzieć jedno, tak krótko. Co pani zrobiła, kiedy Boot znowu wyjechał?

Jennifer Stirling opuszcza słuchawkę. Trzeźwo i spokojnie spogląda na Ellie.

– Pojechałam za nim.

Nie mieliśmy żadnego romansu. Jeśli będziesz próbowała twierdzić coś innego, wyraźnie oznajmię, że to tylko wytwór twojej wyobraźni.

Z listu mężczyzny do kobiety, 1960

– Przepraszam, czy podać pani drinka?

Jennifer otworzyła oczy. Prawie od godziny trzymała się podłokietników, gdy samolot linii BOAC wierzgał w drodze do Kenii. Nigdy nie lubiła latać, a nieustanne turbulencje wywoływały napięcie na pokładzie, tak że nawet starzy afrykańscy wyjadacze zaciskali zęby przy każdym szarpnięciu. Skrzywiła się, gdy jej pupa oderwała się od siedzenia, a z tyłu samolotu rozległ się jęk przerażenia. Palone w pośpiechu papierosy utworzyły w kabinie zasłonę dymną.

– Tak – powiedziała. – Poproszę.

– Należę pani podwójnego – powiedziała stewardesa, puszczając do niej oko. – Czeka nas wyboista droga.

Pierwszą połowę wypła jednym haustem. Po podróży, która trwała już blisko czterdzieści osiem godzin, szczypały ją oczy. Przed wyjazdem spędziła w Londynie kilka bezsennych nocy, goniąc za swoimi myślami, zastanawiając się, czy to, co chce zrobić, jest szalone, jak myśleli chyba wszyscy wokół.

– Może się pani poczęstuje? – Siedzący obok biznesmen podsunął jej puszkę, uchylając wieczko. Miał gigantyczne dłonie, palce przypominały suszone kiełbaski.

– Dziękuję. To miętówki? – spytała.

Uśmiechnął się pod gęstym białym wąsem.

– Och, nie. – Mówił z wyraźnym afrykanerskim akcentem. – To na nerwy. Później mogą się pani przydać.

Cofnęła rękę.

– Nie, dziękuję. Ktoś mi kiedyś powiedział, że turbulencje nie są czymś, czego należy się bać.

– Miał rację. Bardziej niebezpieczne są turbulencje na ziemi.

Nie roześmiała się i przez chwilę się jej przyglądał.

– Dokąd się pani wybiera? Na safari?

– Nie. Muszę złapać samolot do Stanleyville. W Londynie powiedziano mi, że nie dostanę się tam bezpośrednio.

– Do Konga? A czego pani tam szuka?

– Próbuję odnaleźć przyjaciela.

– W Kongu? – spytał z niedowierzaniem.

– Tak.

Patrzył na nią, jakby była szalona. Wyprostowała się lekko, na chwilę wypuszczając podłokietniki.

– Nie czyta pani gazet?

– Czasami, ale ostatnio nie. Byłam... bardzo zajęta.

– Bardzo zajęta? Paniusiu, lepiej od razu wracaj prosto do Anglii. – Cicho się

roześmiał. – Jestem pewny, że nie dotrzesz do Konga.

Odwróciła się od niego, by spojrzeć przez szybę na chmury i pokryte śniegiem góry w dole. Przez chwilę zastanawiała się, czy jest choć cień szansy, że w tym momencie on znajduje się dziesięć tysięcy stóp niżej. Nie ma pan pojęcia, jak daleko udało mi się już dotrzeć, odpowiedziała w myślach.

Dwa tygodnie wcześniej Jennifer Stirling chwiejnym krokiem wyszła z redakcji „Nation”, stanęła na schodach, trzymając córkę za pulchną rączkę, i uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co robić. Zerwał się wiatr, pędząc liście wzdłuż rynsztoków, a ich chaotyczna trasa odzwierciedlała jej własną. Jak Anthony mógł zniknąć? Dlaczego nie zostawił jej żadnej wiadomości? Przypomniała sobie jego cierpienie w hotelowym holu i obawiała się, że zna odpowiedź. W jej głowie unosiły się słowa tego grubego dziennikarza. Cały świat zdawał się kołysać i przez moment miała wrażenie, że zemdleje.

Po chwili Esmé zaczęła marudzić, że chce siusiu. Nagłąca prośba dziecka wyrwała Jennifer z zamyślenia i skierowała ku sprawom praktycznym.

Zameldowała się w Regencie, w tym samym hotelu, w którym mieszkał niedawno Anthony, jakby po cichu wierzyła, że jeśli wróci, łatwiej mu będzie ją tam znaleźć. Musiała wierzyć, że chciałby ją znaleźć, chciałby się dowiedzieć, że w końcu jest wolna.

Do dyspozycji gości pozostawał jedynie apartament na czwartym piętrze i od razu się na niego zdecydowała. Laurence nie śmiałyby wyklócać się o pieniądze. I gdy zadowolona Esmé siedziała przed wielkim telewizorem, od czasu do czasu odrywając się od ekranu, żeby poskakać na wielkim łóżku, Jennifer przez resztę wieczoru chodziła tam i z powrotem, gorączkowo myśląc, próbując znaleźć sposób, by przekazać wiadomość człowiekowi znajdującemu się gdzieś w głębi Afryki.

Wreszcie, gdy Esmé zasnęła obok niej, skulona pod hotelową kołdrą, z kciukiem w buzi, Jennifer leżała, patrząc na nią i wsłuchując się w odgłosy miasta, walcząc ze łzami bezsilności i zastanawiając się, czy gdyby postarała się wystarczająco mocno, mogłaby w jakiś sposób przesłać mu wiadomość telepatycznie. „Boot. Proszę, usłysz mnie. Musisz do mnie wrócić. Sama nie dam rady”.

Większość drugiego i trzeciego dnia poświęciła Esmé, zabierając ją do Muzeum Historii Naturalnej i na podwieczorek w Frotnum & Mason. Kupiły na Regent Street trochę ubrań – była za słabo zorganizowana, żeby dostarczyć te, które ze sobą zabrały, do hotelowej pralni – a na kolację jadły kanapki z pieczonym kurczakiem zamawiane przez room service i dostarczane na srebrnej tacy. Czasami Esmé pytała o panią Cordozę albo tatusia i Jennifer zapewniała ją, że już wkrótce się z nimi zobaczą. Była córce wdzięczna za potok małych, przeważnie możliwych do spełnienia próśb, za rutynę narzucaną przez podwieczorki, kąpiele i kładzenie się spać. Gdy jednak dziewczynka zasnęła, Jennifer zamykała drzwi sypialni

i przepełniała ją czarna rozpacz. Co ona zrobiła? Z każdą mijającą godziną coraz bardziej uświadamiała sobie ogrom – i daremność – swoich działań. Odrzuciła dotychczasowe życie, przeniosła się z córką do hotelu – i po co?

Jeszcze dwukrotnie dzwoniła do „Nation”. Rozmawiała z tym opryskliwym, brzuchatym mężczyzną. Znała już jego głos, nieuprzejmy ton. Powiedział, że owszem, przekaże wiadomość, gdy tylko O’Hare się odezwie. Za drugim razem miała wyraźne wrażenie, że nie mówi szczerze.

– Przecież już na pewno dotarł do celu. Czy wszyscy dziennikarze nie są w tym samym miejscu? Czy ktoś nie mógłby przekazać mu wiadomości?

– Nie jestem jego osobistym sekretarzem. Powiedziałem, że przekażę mu pani wiadomość, i zrobię to, ale tam trwa wojna. Zdaje się, że ma inne sprawy na głowie.

I odłożył słuchawkę.

Apartament w hotelu stał się dla niej czymś w rodzaju bańki, zjawiali się tam tylko boye z room service’u i sprzątaczkę. Nie śmiała do nikogo zadzwonić: do rodziców, przyjaciół. Nie wiedziała jeszcze, jak im to wszystko wytłumaczyć. Z trudem udawało jej się cokolwiek przełknąć, prawie nie spała. W miarę jak traciła pewność siebie, narastał w niej niepokój.

Nabierała przekonania, że nie poradzi sobie sama. Jak przetrwa? Nigdy niczego nie robiła samodzielnie. Laurence dopilnuje, żeby została odizolowana. Rodzice ją wydziedziczą. Zwalczyła potrzebę zamówienia drinka, który mógłby stłumić poczucie katastrofy. I z każdym mijającym dniem cichutki głosik odbijający się echem w jej głowie brzmiał coraz wyraźniej: Zawsze możesz wrócić do Laurence’a. Czy taka kobieta jak ona, która potrafiła jedynie pełnić funkcję ozdobną, miała inne wyjście?

Miotła się w tej surrealistycznej kopii zwykłego życia i płynął dzień za dniem. Szóstego dnia zadzwoniła do domu, domyślając się, że Laurence będzie w pracy. Po drugim dzwonku odebrała pani Cordoza i wyraźny niepokój tej kobiety zawstydził Jennifer.

– Gdzie pani jest? Przyniosę pani rzeczy. Proszę mi pozwolić zobaczyć się z Esmé. Tak bardzo się martwię.

Jennifer poczuła dojmującą ulgę.

W ciągu godziny gospoia przysłała do hotelu z walizką. Pan Stirling powiedział jej tylko, że przez kilka dni w domu nikogo nie będzie.

– Poprosił, żebym posprzątała w gabinecie. A kiedy tam zajrzałam... – na chwilę dotknęła twarzy. – Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Wszystko w porządku. Naprawdę. – Jennifer nie potrafiła się zdobyć na wyjaśnienie, co się stało.

– Zrobię wszystko, żeby pani pomóc – ciągnęła pani Cordoza – ale on chyba nie...

Jennifer położyła rękę na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku, pani Cordozo. Proszę mi wierzyć, byłoby wspaniale, gdyby mogła pani tu z nami być. Ale to raczej trudne. Poza tym wkrótce, gdy wszystko trochę się uspokoi, Esmé będzie musiała pójść do domu, żeby odwiedzić ojca, więc chyba będzie lepiej dla wszystkich, jeśli pani się nią tam zajmie.

Esmé pokazała pani Cordozie swoje nowe rzeczy i wdrapała jej się na kolana, żeby się przytulić. Jennifer zamówiła herbatę i obie kobiety uśmiechnęły się skrzępowane, gdy nalewała ją gosposi, zamieniając się z nią rolami.

– Bardzo dziękuję, że pani przyszła – powiedziała Jennifer, gdy pani Cordoza wstała, żeby wyjść. Wiedząc, że za chwilę już jej nie będzie, Jennifer poczuła, że coś traci.

– Proszę tylko, żeby dała mi pani znać, co pani postanowi – odrzekła pani Cordoza, wkładając płaszcz. Spokojnie wpatrywała się w Jennifer, a jej zaciśnięte usta wyrażały niepokój.

Powodowana nagłym impulsem, Jennifer podeszła i ją uścisnęła. Pani Cordoza objęła ją i mocno przytuliła, jakby chciała dodać Jennifer sił i rozumiała, jak bardzo ona tego potrzebuje. Przez chwilę stały tak na środku pokoju. Potem gosposia, chyba trochę zawstydzona, odsunęła się. Miała zaczerwieniony nos.

– Nie zamierzam wrócić – oznajmiła Jennifer, słysząc, jak jej słowa z niespodziewaną siłą uderzają w nieruchome powietrze. – Znajdę miejsce, w którym będziemy mogli żyć. Ale nie wrócę.

Starsza kobieta pokiwała głową.

– Zadzwoń jutro. – Napisała coś na hotelowej papeterii. – Może mu pani powiedzieć, gdzie jesteśmy. Chyba będzie najlepiej, jeśli się dowie.

Tamtego wieczoru, gdy położyła Esmé spać, obdzwoiła wszystkie gazety z Fleet Street, pytając, czy mogłaby przesłać wiadomość ich korespondentom, w razie gdyby natknęli się na Anthony'ego w środkowej Afryce. Zadzwoiła do wuja, który, jak sobie przypomniła, kiedyś tam pracował, i spytała, czy pamięta nazwy tamtejszych hoteli. Zadzwoiła do dwóch, jednego w Brazzaville i drugiego w Stanleyville, i zostawiła wiadomości w recepcjach.

– Proszę pani – powiedział ponuro jeden z recepcjonistów – nie mamy tu białych gości. W naszym mieście jest niebezpiecznie.

– Proszę – odrzekła – niech pan zapamięta jego nazwisko. Anthony O'Hare. Niech pan go nazwie Boot. Będzie wiedział, co to znaczy.

Wysłała do gazety kolejny list z prośbą o to, by mu go przekazano:

Przepraszam. Proszę, wróć do mnie. Jestem wolna i czekam na Ciebie.

Zostawiła go w recepcji, powtarzając sobie, że potem ruszy w drogę. Nie powinna była myśleć o tym, czy dotarł do celu, wyobrażać sobie przez kilka następnych dni i tygodni, dokąd trafił. Zrobiła, co mogła, a teraz przyszła pora

skupić się na budowaniu nowego życia, by było gotowe, gdy jedna z jej licznych wiadomości dotrze do celu.

Pan Grosvenor znowu się uśmiechał. Miała wrażenie, że to odruchowy, zastygły na twarzy grymas i starała się nie zwracać na niego uwagi. Minęło już jedenaście dni.

– Będzie pani łaskawa złożyć podpis w tym miejscu – wskazał jej wypielęgnowanym palcem – i w tym. Potem oczywiście będziemy potrzebowali podpisu pani męża. – Znowu się uśmiechnął, a jego usta lekko zadrżały.

– Och, w takim razie będzie pan musiał mu to wysłać – odparła. Siedzieli w kawiarni hotelu Regent i wokół roiło się od kobiet, emerytowanych dżentelmenów i różnych osób, które deszczowe środowe popołudnie zniechęciło do zakupów.

– Słucham?

– Nie mieszkam już z mężem. Komunikujemy się listownie.

To zamknęło mu usta. Przestał się uśmiechać i złapał leżące na kolanach dokumenty, jakby próbował na nowo poukładać myśli.

– Z tego, co pamiętam, podałam już panu jego adres domowy. Jest tutaj – wskazała jeden z listów w teczce. – Będziemy mogły się wprowadzić w przyszły poniedziałek, prawda? Ja i moja córka mamy już dość mieszkania w hotelu.

Pani Cordoza zabrała Esmé na huśtawki. Teraz przychodziła już codziennie w porze, gdy Laurence był w pracy.

– Bez was w tym domu jest tak niewiele do zrobienia – powiedziała.

Jennifer widziała, jak starsza kobieta promienieje, trzymając Esmé w ramionach, i czuła, że pani Cordoza zdecydowanie woli być z nimi w hotelu niż sama w pustym domu przy placu.

Pan Grosvenor zmarszczył brwi.

– Aha, pani Stirling, jeśli można wiedzieć... Mówi pani, że nie będzie zajmowała tej posiadłości razem z panem Stirlingiem? Właściciel jest szanowanym dżentelmenem. Był przekonany, że wynajmuje nieruchomość rodzinie.

– Wynajmuje ją rodzinie.

– Ale właśnie pani powiedziała...

– Proszę pana, za ten krótki okres będziemy płacili dwadzieścia cztery funty tygodniowo. Jestem kobietą zamężną. Taki człowiek jak pan z pewnością się ze mną zgodzi, że to, jak często i czy w ogóle mój mąż będzie tu mieszkał, nie powinno obchodzić nikogo poza nami.

Pojednawczo uniósł dłoń, a nad jego kołnierzykiem pojawił się rumieniec. Zaczął nieskładnie przeproszać.

– Chciałem tylko...

Przerwała mu jakaś kobieta, nagłaco wołająca Jennifer po imieniu. Pani Stirling odwróciła się i zobaczyła Yvonne Moncrieff maszerującą przez zatłoczoną

salę. Yvonne rzuciła mokrą parasolkę zaskoczonemu kelnerowi.

– Więc tutaj jesteś!

– Yvonne, ja...

– Gdzie się podziewałaś? Nie miałam zielonego pojęcia, co się dzieje. W ubiegłym tygodniu wyszłam ze szpitala, a ta twoja przeklęta gosposia nie chciała mi nic powiedzieć. Potem dowiaduję się od Francisa... – Zamilkła, uświadamiając sobie, jak daleko dociera jej głos. W kawiarni zapadła cisza i wszyscy wokół niecierpliwie się im przyglądali.

– Wybacz nam pan, panie Grosvenor? Zdaje się, że już skończyliśmy – powiedziała Jennifer.

Mężczyzna już stał. Zgarnął swoją teczkę i właśnie zamykał ją zdecydowanym ruchem.

– Dziś po południu dostarczę te dokumenty panu Stirlingowi. I będę z panią w kontakcie. – Ruszył w stronę holu.

Gdy zniknął, Jennifer położyła rękę na ramieniu przyjaciółki.

– Przepraszam – powiedziała. – Mam ci wiele do wyjaśnienia. Znajdziesz czas, żeby wstąpić na górę?

Yvonne Moncrieff spędziła cztery tygodnie w szpitalu: dwa przed urodzeniem małej Alice i dwa po. Gdy wróciła do domu, była tak ogłuszona zmęczeniem, że minął kolejny tydzień, zanim zdała sobie sprawę, że minęło mnóstwo czasu, odkąd po raz ostatni widziała Jennifer. Dwa razy pukała do jej drzwi, lecz słyszała tylko, że pani Stirling nie ma w domu. Po tygodniu postanowiła ustalić, co się dzieje.

– Twoja gosposia ciągle tylko kręciła głową i powtarzała, że powinnam porozmawiać z Larrym.

– Pewnie zabronił jej cokolwiek mówić.

– O czym? – Yvonne rzuciła płaszcz na łóżko i usiadła w jednym z foteli. – Dlaczego mieszkasz w hotelu, na litość boską? Pokłóciłaś się z Larrym?

Yvonne miała podkrążone oczy, ale jej fryzura wyglądała nienagannie. Przyjaciółka już teraz wydawała się Jennifer dziwnie odległa, jak relikwiny poprzedniego życia.

– Odeszłam od niego – powiedziała.

Wielkie oczy Yvonne wpatrywały się w nią badawczo.

– Przedwczoraj wieczorem Larry się u nas upił. Bardzo się upił. Myślałam, że chodzi o interesy, więc zostawiłam mężczyzn samych i poszłam położyć się razem z małą. Kiedy przyszedł Francis, już prawie spałam, ale podobno Larry mi powiedział, że masz kochankę i postradałaś zmysły. Myślałam, że to mi się przyśniło.

– No cóż – odrzekła powoli Jennifer. – To po części prawda.

Yvonne zasłoniła usta dłonią.

– O Boże, tylko nie Reggie.

Jennifer pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Nie. – Westchnęła. – Yvonne, strasznie mi ciebie brakowało. Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać... – Opowiedziała przyjaciółce całą historię, pomijając pewne szczegóły, ale wyjawiając jej większość prawdy. W końcu to była Yvonne. Proste słowa odbijające się echem w nieruchomym pokoju zdawały się przeczyć ogromowi tego, przez co przeszła w ciągu ostatnich tygodni. Wszystko się zmieniło. Wszystko. – Znajdę go – zakończyła z naciskiem. – Wiem, że mi się uda. Po prostu muszę mu to wytłumaczyć.

Yvonne słuchała w skupieniu i Jennifer nagle uświadomiła sobie, jak bardzo stęskniła się za jej cierpką, pozbawioną ogródek obecnością.

W końcu Yvonne nieśmiało się uśmiechnęła.

– Na pewno ci wybaczy – powiedziała.

– Co?

– Larry. Jestem pewna, że ci wybaczy.

– Larry? – Jennifer opadła na oparcie.

– Tak.

– Ale ja nie chcę, żeby mi wybaczył.

– Jenny, nie możesz tego zrobić.

– On ma kochankę.

– Och, z łatwością się jej pozbędziesz! To tylko jego sekretarka, na litość boską. Powiedz mu, że chcesz zacząć wszystko od nowa. Powiedz, że on też powinien.

Jennifer z trudem wydobyła z siebie słowa.

– Ale ja go nie chcę, Yvonne. Nie chcę być jego żoną.

– Wolisz czekać na jakiegoś dziennikarza playboya bez grosza przy duszy, nie mając nawet pewności, czy w ogóle do ciebie wróci?

– Tak.

Yvonne sięgnęła do torebki, zapaliła papierosa i wydmuchnęła długą smugę dymu w stronę środka pokoju.

– A co z Esmé?

– Jak to, co z Esmé?

– Jak sobie poradzi, dorastając bez ojca?

– Będzie miała ojca. Cały czas będzie się z nim widywała. Spędzi z nim nawet najbliższy weekend. Napisałam do niego, a on się zgodził.

– Wiesz, że dzieci rozwiedzionych rodziców są okropnie prześladowane w szkole. Córnka Allsopów jest w fatalnym stanie.

– Nie rozwodzimy się. Nikt w szkole nie musi o niczym wiedzieć.

Yvonne nadal z determinacją zaciągała się papierosem.

Jennifer odezwała się łagodniejszym tonem.

– Proszę, postaraj się zrozumieć. Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy z Laurence'em mieszkać osobno. Społeczeństwo się zmienia. Nie musimy tkwić w pułapce czegoś, co... Jestem pewna, że beze mnie Laurence będzie o wiele szczęśliwszy. Poza tym nic nie musi się zmienić. Naprawdę. Nadal możemy się przyjaźnić. Myślałam nawet, że mogłybyśmy spotkać się razem z dziećmi w tym tygodniu. Na przykład zabrać je do muzeum madame Tussaud. Wiem, że Esmé marzy o tym, żeby zobaczyć Dottie...

– Do muzeum madame Tussaud?

– Albo do Kew Gardens. Tylko że przy takiej pogodzie...

– Przestań. – Yvonne uniosła elegancką dłoń. – Po prostu przestań. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Mój Boże. Naprawdę jesteś najbardziej samolubną kobietą, jaką kiedykolwiek znałam.

Zgasiła papierosa, wstała i sięgnęła po płaszcz.

– Czym dla ciebie jest życie, Jennifer? Jakąś bajką? Myślisz, że reszta z nas też czasami nie ma dość mężów? Dlaczego miałybyś się tak zachowywać i oczekiwać, że będziemy ci towarzyszyć, podczas gdy ty będziesz się włóczyła, jakbyś... jakbyś nie miała męża? Jeśli chcesz żyć w stanie moralnej degeneracji, nie ma sprawy. Ale masz dziecko. Męża i dziecko. I nie możesz oczekiwać, że reszta z nas będzie się godziła na takie zachowanie.

Jennifer otworzyła usta.

Yvonne się odwróciła, jakby nie była w stanie dłużej na nią patrzeć.

– I nie tylko ja będę miała takie zdanie. Radzę, żebyś bardzo starannie przemyślała swój następny ruch. – Zarzuciła płaszcz na ramię i wyszła.

Trzy godziny później Jennifer podjęła decyzję.

W południe na lotnisku w Embakasi roіło się od ludzi. Jennifer zabrała walizkę z rozklekotanego pasa bagażowego, dopchała się do toalety, spryskała twarz zimną wodą i przebrała się w czystą bluzkę. Spięła włosy. W upale jej kark zdążył pokryć się warstewką potu. Gdy wyszła na zewnątrz, bluzka przykleiła jej się do pleców już po kilku sekundach.

Na lotnisku panował tłok, ludzie stali w nierównych kolejkach albo w grupach, krzycząc do siebie, zamiast rozmawiać. Przez chwilę czuła się sparaliżowana, patrzyła, jak afrykańskie kobiety w kolorowych ubraniach taszcza na głowach walizki i olbrzymie torby na pranie przewiązane sznurkami. W kątach palili nigeryjscy biznesmeni. Ich skóra lśniła. Wśród ludzi siedzących na podłodze biegały dzieci. Jakaś kobieta przeciskała się z małym wózkiem, sprzedając napoje. Tablica odlotów informowała, że kilka kursów jest opóźnionych i nie dawała żadnej wskazówki co do tego, kiedy mogą się odbyć.

W przeciwieństwie do wnętrza budynku na zewnątrz było spokojnie. Wypogodziło się i skwar wypalił resztki wilgoci, ukazując Jennifer fioletowe góry w oddali. Na pasie startowym było pusto, nie licząc samolotu, który niedawno

wylądował. Zamiatał pod nim niespiesznie jakiś samotny człowiek. Po drugiej stronie lśniącego nowoczesnego budynku założono mały ogródek skalny porośnięty kaktusami i sukulentami. Jennifer podziwiała starannie ułożone głązy i zastanawiała ją, że ktoś zadał sobie tyle trudu w tak chaotycznym miejscu.

Punkty sprzedaży biletów linii lotniczych BOAC i East African Airways były zamknięte, więc przycisnęła się z powrotem w głąb tłumu, zamówiła w barze kawę, zajęła stolik i usiadła, otoczona cudzymi walizkami, plecionymi koszami i złowrogo wyglądającym kogucikiem, któremu przywiązano skrzydła do korpusu za pomocą szkolnego krawata.

Co mu powie? Wyobrażała sobie Anthony'ego w jakimś klubie dla zagranicznych korespondentów, być może wiele kilometrów od centrum wydarzeń, gdzie dziennikarze spotykali się przy drinkach, rozmawiając o tym, co przyniósł dzień. Czy będzie pił? Mówił jej, że to mały, zamknięty świat. Gdy dotrze do Stanleyville, na pewno spotka kogoś, kto go zna. Kogoś, kto będzie umiał jej powiedzieć, gdzie on jest. Wyobraziła sobie, jak wyczerpana dociera do klubu. Ten obraz powracał do niej przez ostatnich kilka dni, dodając jej sił. Wyraźnie widziała go stojącego pod obracającym się wiatrakiem, być może gawędzącego z kolegą, a potem ze zdumieniem wytrzeszczającego oczy na jej widok. Rozumiałaby to zaskoczenie: od ostatnich czterdziestu ośmiu godzin sama z trudem rozpoznawała się w lustrze.

Nic w dotychczasowym życiu nie przygotowało jej na to, co zrobiła. Nic nie wskazywało, że w ogóle jest do tego zdolna. A mimo to, odkąd tylko wspięła się na pokład samolotu, mimo całego strachu, doznawała osobliwego upojenia, jakby właśnie o to chodziło: jakby tak wyglądało prawdziwe życie. I w tej krótkiej chwili intensywnych emocji czuła dziwną więź z Anthonym O'Hare'em.

Postanowiła, że go znajdzie. Objęła kontrolę nad wydarzeniami, zamiast pozwalać, by wlekły ją za sobą. Chciała decydować o swojej przyszłości. Odegnęła myśli o Esmé, tłumacząc sobie, że warto to wszystko zrobić, żeby móc jej przedstawić Anthony'ego.

Wreszcie za kontuarem BOAC usiadł młody mężczyzna w eleganckim bordowym uniformie. Zostawiła kawę na stoliku i prawie do niego pobiegła.

– Potrzebuję biletu do Stanleyville – powiedziała, szukając pieniędzy w torebce. – Na najbliższy lot. Chce pan zobaczyć mój paszport?

Młody mężczyzna wpatrywał się w nią zdziwiony.

– Nie, proszę pani – powiedział, energicznie kręcąc głową. – Nie ma żadnych lotów do Stanleyville.

– Mówiono mi, że obsługują państwo bezpośrednie połączenie.

– Bardzo mi przykro. Wszystkie loty do Stanleyville zostały zawieszane. – Wpatrywała się w niego z niemą frustracją, aż powtórzył swoje słowa, po czym powlekła walizkę do stanowiska linii EAA. Dziewczyna za kontuarem zareagowała

na jej prośbę tak samo.

– Nie, proszę pani. Z powodu problemów w kraju nikt tam nie lata. – Każde „r” wymawiała z wibracją. – Najwyżej stamtąd przylatuje.

– A kiedy znowu zaczniecie tam latać? Muszę jak najszybciej dostać się do Konga.

Dwoje członków personelu milcząco wymieniło spojrzenia.

– Nie ma żadnych lotów do Konga – powtórzyli.

Nie po to przebyła tak daleką drogę, żeby zniechęciły ją tępe spojrzenia i odmowy. Nie mogę teraz z niego zrezygnować.

Mężczyzna na zewnątrz nadal zamiatał płytę lotniska wysłużoną miotłą.

Wtedy zauważyła białego człowieka idącego zwawym krokiem przez terminal. Miał wyprostowaną postawę funkcjonariusza służby cywilnej, niósł skórzaną teczkę. Pot utworzył ciemny trójkąt na plecach jego kremowej lnianej marynarki.

Zobaczył ją w tej samej chwili, w której ona zobaczyła jego. Skręcił w jej stronę.

– Pani Ramsey? – Wyciągnął rękę. – Nazywam się Alexander Frobisher, jestem z konsulatu. Gdzie są pani dzieci?

– Nie. Jestem Jennifer Stirling.

Zamknął usta i patrzył na nią, jakby nie był pewny, czy przypadkiem się nie pomyliła. Miał opuchniętą twarz, przez co być może wyglądał na starszego, niż był.

– Potrzebuję jednak pańskiej pomocy, panie Frobisher – podjęła. – Muszę się dostać do Konga. Nie wie pan może, czy jedzie tam jakiś pociąg? Na lotnisku mówią, że nikt tam nie lata. W zasadzie to niewiele można się tu dowiedzieć. – Czowała, że jej twarz także łśni od potu, że włosy zaczęły przyklejać się do czoła.

Gdy odpowiedział, zabrzmiało to tak, jakby próbował coś wytłumaczyć osobie niespełna rozumu.

– Pani...

– Stirling.

– Pani Stirling, nikt nie jedzie do Konga. Nie słyszała pani, że...

– Tak, wiem, że jest tam niebezpiecznie. Ale muszę kogoś znaleźć. To pewien dziennikarz, który przybył tam jakieś dwa tygodnie temu. To bardzo ważne. Nazywa się...

– Proszę pani, w Kongu nie ma już dziennikarzy. – Zdjął okulary i skierował ją w stronę okna. – Ma pani pojęcie, co tam się dzieje?

– Niewielkie. No cóż, właściwie to żadne. Przyleciałam z Anglii. Mam za sobą męczącą podróż.

– Do wojny przystąpiły już rządy Stanów Zjednoczonych, nasz i inne. Jeszcze trzy dni temu trwał kryzys, ponieważ trzystu pięćdziesięciu białym

zakładnikom, w tym kobietom i dzieciom, grodziła egzekucja z rąk rebeliantów z Simby. Belgijskie oddziały toczą z nimi walkę na ulicach Stanleyville. Dotarły do nas wieści o śmierci blisko stu cywilów.

Prawie go nie słuchała.

– Ale ja mogę zapłacić... Zapłacę, ile będzie trzeba. Muszę się tam dostać.

Wziął ją za ramię.

– Proszę pani, powtarzam, że nie dotrze pani do Konga. Nie ma pociągów, samolotów ani transportu drogowego. Oddziały przybywają drogą powietrzną. Nawet gdyby znalazł się jakiś transport, nie mógłbym zezwolić obywatelowi Wielkiej Brytanii, w dodatku kobiecie, na wjazd do strefy działań wojennych. – Zapisał coś w notesie. – Znajdę jakieś miejsce, w którym będzie pani mogła poczekać, i pomogę pani kupić bilet na lot powrotny. Afryka to nie miejsce dla samotnej białej kobiety. – Westchnął ze znużeniem, jakby właśnie dołożyła mu obowiązków.

Zastanowiła się.

– Ile osób zginęło?

– Nie wiemy.

– Macie ich nazwiska?

– Na razie dysponuję tylko bardzo pobieżną listą. Daleko jej do kompletności.

– Proszę. – Serce prawie zamarło jej w piersi. – Proszę, niech pan mi ją pokaże. Muszę wiedzieć, czy...

Wyjął z teczki pogniecioną kartkę z listą nazwisk napisanych na maszynie.

Przejrzała ją. Była tak zmęczona, że ułożone w porządku alfabetycznym nazwiska zlewały się ze sobą. Harper. Hambro. O'Keefe. Lewis. Jego nazwiska nie było.

Nie ma go tu.

Podniosła wzrok na Frobishera.

– Ma pan nazwiska tych, których wzięto jako zakładników?

– Proszę pani, nie mamy pojęcia, ilu brytyjskich obywateli było w ogóle w mieście. Niech pani spojrzy. – Wyjął następną kartkę i podał jej, pacnąwszy wolną ręką komara, który wylądował mu na karku. – To ostatni komunikat przesłany lordowi Walstonowi.

Zaczęła czytać. Zdania ruszyły na nią szturmem:

Pięć tysięcy zabitych w samym Stanleyville [...]. Szacujemy, że na obszarze opanowanym przez rebeliantów nadal przebywa dwudziestu siedmiu obywateli Wielkiej Brytanii [...]. Mimo że możemy dość dokładnie wskazać tereny zamieszkałe przez brytyjskich obywateli, nie jesteśmy w stanie określić, kiedy zostaną one odbite.

– W mieście są oddziały belgijskie i amerykańskie. Odzyskują Stanleyville.

Trzymamy w gotowości samolot Beverly, żeby ratował tych, którzy chcą zostać uratowani.

– Jak mogę sprawdzić, czy on tam jest?

Podrapał się po głowie.

– To niemożliwe. Najwidoczniej wiele osób nie chce, żebyśmy je uratowali.

Niektórzy wolą zostać w Kongu. Może mają swoje powody.

Nagle pomyślała o grubym dziennikarzu. „Kto wie? Może chciał stąd uciec”.

– Jeśli pani przyjaciel chce się wydostać, to się wydostanie – podsumował.

Wytarł twarz chusteczką. – Jeśli chce zostać, bardzo możliwe, że zniknie. W Kongu o to nietrudno.

Już miała coś powiedzieć, ale przez lotnisko przetoczył się cichy szmer, bo od strony hali przylotów nadeszła jakaś rodzina. Najpierw dwoje małych dzieci. Milczących, z zabandażowanymi rękami i głowami, z przedwcześnie postarzałymi buziemi. Blondynka ściskająca niemowlę wyglądała na przerażoną. Miała brudne włosy i twarz naznaczoną napięciem. Na ich widok znacznie starsza kobieta wyrwała się mężowi, z płaczem przebiegła przez barierkę i zaczęła ich wszystkich przytulać. Prawie się nie poruszyli. Potem młoda matka osunęła się na kolana i zaczęła płakać, a jej usta ułożyły się w wielkie „O” bólu. Głowa opadła na pulchne ramię starszej kobiety.

Frobisher włożył dokumenty z powrotem do teczki.

– Ramseyowie. Pani wybacz. Muszę się nimi zaopiekować.

– Byli tam? – spytała, patrząc, jak dziadek sadza sobie dziewczynkę na ramionach. – Widzieli masakrę?

Twarze tych dzieci, unieruchomione jakimś nieznanym wstrząsem, zmieniły jej krew w lodowatą wodę.

Rzucił jej surowe spojrzenie.

– Pani Stirling, proszę, niech pani już idzie. Wieczorem będzie lot East African Airways. Jeśli nie ma pani w mieście dobrze ustosunkowanych przyjaciół, gorąco namawiam, żeby wróciła nim pani do kraju.

Powrót do domu zajął jej dwa dni. A potem zaczęło się nowe życie. Yvonne dotrzymała słowa. Przestała się z nią kontaktować, a raz, gdy Jennifer przypadkiem wpadła na Violet, przyjaciółka była tak skrepowana, że rozmawianie z nią wydawało się nie w porządku. Jennifer przejęła się tym mniej, niż mogłaby się spodziewać: Yvonne i Violet należały do dawnego życia, które przestała już uważać za własne.

Pani Cordoza prawie codziennie odwiedzała je w nowym mieszkaniu, szukając pretekstu, by spędzać czas z Esmé albo pomagać w prowadzeniu domu, i Jennifer poczuła, że bardziej zależy jej na towarzystwie dawnej gosposi niż starych przyjaciół. Pewnego deszczowego popołudnia, gdy Esmé spała, opowiedziała pani Cordozie o Anthonym, a pani Cordoza wyjawiała jej trochę

więcej o swoim mężu. Potem z rumieńcem na twarzy wspomniała o pewnym miłym człowieku, który przesłał jej kwiaty z restauracji dwie ulice dalej.

– Nie zamierzałam go zachęcać – zaznaczyła cicho, wpatrując się w żelazko – ale skoro wszystko...

Laurence komunikował się za pomocą liścików, traktując panią Cordozę jak pośłańca.

W najbliższą sobotę chciałbym zabrać Esmé na wesele kuzyna w Winchester. Postaram się, by o siódmej wieczorem była w domu.

Jego liściki były zdystansowane, oficjalne, wyważone. Czasami po ich przeczytaniu Jennifer zastanawiała się, jak mogła poślubić tego mężczyznę.

Co tydzień chodziła na pocztę przy Langley Street, żeby sprawdzić, czy jest coś w skrytce pocztowej. Co tydzień wracała do domu, starając się nie czuć przygnębienia po przeczącej odpowiedzi pracownicy poczty.

Wprowadziła się do wynajętego mieszkania, a gdy Esmé poszła do szkoły, została wolontariuszką w miejscowym Biurze Porad Obywatelskich, jedynej organizacji, która zdawała się nie przejmować jej brakiem doświadczenia. Jej przełożona powiedziała, że nauczy się, pracując.

– I proszę mi wierzyć, to będzie szybka nauka – dodała.

Niespełna rok później zaproponowano jej płatną posadę w tym samym biurze. Doradzała ludziom w praktycznych sprawach, mówiąc na przykład, jak gospodarować pieniędzmi, jak rozwiązywać spory dotyczące najmu – bardzo często zdarzali się nieuczciwi właściciele – jak sobie radzić z rozpadem rodziny.

Na początku wycieńczała ją niekończąca się litania problemów, wielki mur ludzkiej niedoli, który rósł w jej gabinecie, ale stopniowo, nabierając pewności siebie, uświadomiła sobie, że nie ona jedna narobiła w życiu bałaganu. Spojrzała na swoją sytuację z nowej perspektywy i cieszyła się, że jest tu, gdzie jest, gdzie wylądowała, oraz czuła pewną dumę, gdy ktoś wracał, by powiedzieć, że mu pomogła.

Dwa lata później znów przeprowadziły się z Esmé, tym razem do dwupokojowego mieszkania w St John's Wood, kupionego za pieniądze Laurence'a i spadek, który dostała po ciotce. Tygodnie zmieniały się w miesiące, a potem w lata, a ona pogodziła się z tym, że Anthony O'Hare nie wróci. Nie odpowiedział na jej wiadomości. Przeżyła wstrząs, gdy gazety opisały szczegóły masakry w hotelu Victoria w Stanleyville. Potem w ogóle przestała je czytać.

Zadzwoiła do „Nation” jeszcze tylko raz. Odebrała sekretarka, a gdy podała jej swoje nazwisko, przez chwilę licząc na to, że tym razem zastanie Anthony'ego, usłyszała w tle:

– To znowu ta cała Stirling?

I po chwili:

– Czy to nie z nią nie chciał rozmawiać?

Odłożyła słuchawkę.

Minęło siedem lat, zanim ponownie zobaczyła męża. Esmé miała pójść do szkoły z internatem mieszczącej się w imponującym budynku z czerwonej cegły w Hampshire, otoczonym nieformalną atmosferą ukochanego wiejskiego domu. Jennifer wzięła wolne popołudnie, żeby ją tam zawieźć. Pojechały jej nowym mini. Miała na sobie bordowy kostium i trochę się obawiała, że Laurence skomentuje to w jakiś nieprzyjemny sposób – nigdy mu się nie podobała w tym kolorze. Proszę, nie rób tego przy Esmé – błagała go w myślach. Bądźmy dla siebie uprzejmi.

Mężczyzna siedzący w korytarzu zupełnie jednak nie przypominał Laurence'a, którego znała. Początkowo nawet go nie rozpoznała. Miał poszarzałą skórę, zapadnięte policzki. Wyglądał, jakby postarzał się o dwadzieścia lat.

– Cześć, tatusiu. – Esmé uściskała ojca.

Kiwnął głową do Jennifer, ale nie wyciągnął ręki.

– Witaj – powiedział.

– Witaj. – Starła się nie dać po sobie poznać, że jest wstrząśnięta.

Spotkanie trwało krótko. Dyrektorka szkoły, młoda kobieta o dyskretnie taksującym spojrzeniu, nie wspomniała o tym, że mieszkają pod innymi adresami. Może zdarza się to częściej niż kiedyś, pomyślała Jennifer. W tym tygodniu w jej gabinecie zjawiły się cztery kobiety zamierzające odejść od mężów.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby Esmé była tu szczęśliwa – powiedziała pani Browning. Jennifer pomyślała, że kobieta ma życzliwe spojrzenie. – Zawsze jest lepiej, jeśli dziewczęta same decydują się na szkołę z internatem, a Esmé, jak rozumiem, ma tu już przyjaciółki, więc z pewnością szybko się zaaklimatyzuje.

– Uwielbia książki Enid Blyton – powiedziała Jennifer. – Chyba jej się wydaje, że ciągle urządzi się tu uczy o północy.

– Och, zdarzają się. Szkolny sklepik działa w piątkowe popołudnia w zasadzie tylko w tym celu. Zwykle przymykamy na to oko, o ile dziewczęta za bardzo nie dokazują. Chcemy, żeby mieszkanie w internacie dobrze im się kojarzyło.

Jennifer się odprężyła. Szkołę wybrał Laurence, ale jej obawy okazały się nieuzasadnione. Wiedziała, że przez kilka następnych tygodni będzie jej ciężko, ale przywykła do okresowych nieobecności Esmé, gdy córka przebywała u Laurence'a, a poza tym mogła się zająć pracą.

Pani dyrektor wstała i wyciągnęła rękę.

– Dziękuję. Oczywiście w razie jakichkolwiek problemów będziemy do państwa dzwonić.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Laurence zaczął kaszleć. Był to ostry, suchy kaszel, na którego dźwięk Jennifer zacisnęła zęby. Chciała coś powiedzieć, ale uniósł dłoń, jakby prosił, żeby tego nie robiła. Powoli zeszli po schodach, ramię

przy ramieniu, jakby wcale nie żyli osobno. Mogłaby iść dwa razy szybciej, ale wydawało jej się, że byłoby to okrutne, zważywszy na jego ciężki oddech i wyraźny dyskomfort. W końcu, nie mogąc tego dłużej znieść, zatrzymała przechodzącą dziewczynę i poprosiła o szklankę wody. Dziewczyna wróciła po kilku minutach, a Laurence ciężko usiadł na mahoniowym krześle w wyłożonym boazerią korytarzu, żeby się napić.

Jennifer odważyła się na niego spojrzeć.

– Czy to...? – spytała.

– Nie. – Odetchnął głęboko i z bólem. – Podobno to przez cygara. Zdaję sobie sprawę, że to ironia losu.

Usiadła obok niego.

– Powinnaś wiedzieć, że obie macie zapewniony byt.

Spojrzała na niego z ukosa, ale chyba pogrążył się w myślach.

– Wychowaliśmy dobre dziecko – powiedział w końcu.

Widzieli przez okno, jak Esmé rozmawia na trawniku z dwiema innymi dziewczynami. Jak na komendę wszystkie trzy puściły się biegiem po trawie. Podskakiwały im spódnice.

– Przepraszam – powiedziała, odwracając się z powrotem do męża. – Za wszystko.

Odstawił szklankę i podźwignął się z krzesła. Stał przez chwilę, odwrócony do niej plecami, skupiony na dziewczętach za oknem, a potem odwrócił się do niej i nie patrząc jej w oczy, lekko kiwnął głową.

Widziała, jak sztywno wychodzi z budynku i idzie z podskakującą Esmé przez trawnik do samochodu, w którym czekała jego przyjaciółka. Potem ich córka energicznie machała, gdy prowadzony przez szofera daimler oddalał się po podjeździe.

Dwa miesiące później Laurence już nie żył.

Nienawidzę cię i wiem że nadal mnie lubisz ale ja cię nie lubię nie obchodzi mnie co mówią twoi głupi kumple przez ciebie dotykam twoich rąk z głupich powodów przypadkiem mówisz że mnie przytulałeś już nigdy przenigdy cię nie polubię NIENAWIDZĘ CIĘ NIENAWIDZĘ CIĘ BARDZIEJ NIŻ KOGOKOLWIEK NA TYM CHOLERNYM ŚWIECIEEEEE wolałabym pójść na randkę z pajakiem albo ze szczurem niż z tobą taki jesteś brzydki i gruby!!!

Z mejla kobiety do mężczyzny

Padało przez cały wieczór, ciemnoszare chmury mknęły nad panoramą miasta, dopóki nie pochłonęła ich noc. Nieustanna ulewa zatrzymała ludzi w domach, przykrywając ulice, tak że było słychać jedynie sporadyczny szum opon na mokrej nawierzchni, bulgotanie w przepelnionych rynsztokach albo żwawe kroki kogoś wracającego do domu.

Na sekretarce nie nagrały się żadne wiadomości, żadna migająca koperta nie informuje o esemesie w komórce. Mejle dotyczą wyłącznie pracy albo reklamują odpowiednik viagry, a jeden z nich, przysłany przez matkę, zawiera szczegółowy opis powrotu psa do zdrowia po nastawieniu biodra. Ellie siedzi po turecku na kanapie, sączy trzeci kieliszek czerwonego wina i po raz kolejny czyta listy, które skserowała przed zwróceniem ich do archiwum. Minęły cztery godziny, odkąd wyszła od Jennifer Stirling, ale w jej głowie wciąż kłębią się myśli. Widzi nieznanego Boota, lekkomyślnego i ze złamanym sercem, który przebywa w Kongu, gdy trwa tam rzeź białych Europejczyków.

– Czytałam doniesienia o morderstwach, o hotelu pełnym ofiar w Stanleyville – powiedziała Jennifer – i płakałam ze strachu.

Ellie wyobraża sobie, jak pani Stirling co tydzień chodzi na pocztę, na próżno czekając na list, który nigdy nie przyjdzie. Łza kapie jej na rękaw i Ellie pociąga nosem, wycierając ją.

Ich romans coś znaczył, myśli. On był mężczyzną, który otworzył się przed ukochaną kobietą, starał się ją zrozumieć i chronić, nawet przed nią samą. Gdy się okazało, że nie może jej mieć, przeniósł się na drugi koniec świata i najprawdopodobniej poświęcił życie. A ona oplakuje go od czterdziestu lat. Co ma Ellie? Wspaniały seks, mniej więcej raz na dziesięć dni, i garść niezobowiązujących mejli. Ma trzydzieści dwa lata, jej kariera stoi pod znakiem zapytania, przyjaciele wiedzą, że emocjonalnie jest na straconej pozycji, i z każdym dniem trudniej jest jej przekonać samą siebie, że właśnie takie życie sobie wymarzyła.

Jest piętnaście po dziewiątej. Wie, że nie powinna więcej pić, ale jest zła, przygnębiona, nic jej nie obchodzi. Nalewa sobie kolejny kieliszek, płacze i jeszcze raz czyta ostatni list. Tak jak Jennifer czuje, że zna te słowa na pamięć. Budzą w niej mnóstwo emocji.

Bycie daleko od Ciebie – tysiące kilometrów od Ciebie – nie przynosi żadnej ulgi. To, że nie dręczy mnie już Twoja bliskość ani nie muszę się codziennie stykać z dowodami swojej niezdolności zdobycia jedynej rzeczy, której naprawdę pragnę, nie zdołało mnie uleczyć. Jest jeszcze gorzej. Przyszłość jawi mi się jak ponura, pusta droga.

Sama już prawie zakochała się w tym mężczyźnie. Wyobraża sobie Johna,

słyszy, jak wypowiada te słowa, i alkohol sprawia, że dwie postacie zlewają się w jedną. Jak można zmienić swoje nieciekawe życie w coś niezwykłego? Z pewnością warto mieć dość odwagi, by kochać? Wyjmuje z torebki komórkę, pod skórę wpełza jej coś mrocznego i śmiałego. Odchyła klapkę i wysyła esemesa, niezdarnie przesuwał palcami po przyciskach:

Proszę, zadzwoń. Tylko raz. Muszę usłyszeć twój głos. X

Wciska „wyślij” i już wie, że popełniła ogromny błąd. John będzie wściekły. Albo w ogóle nie odpowie. Nie jest pewna, co gorsze. Ellie ukrywa twarz w dłoniach i płacze nad nieznanym Bootem, nad Jennifer, nad przegapionymi szansami i zmarnowanym życiem. Płacze nad sobą, bo nikt nigdy nie pokocha jej tak, jak on kochał Jennifer, i dlatego że przypuszcza, iż właśnie niszczy coś, co mogłoby być całkiem dobrym, nawet jeśli zwyczajnym, życiem. Płacze, dlatego że jest pijana i siedzi we własnym mieszkaniu, a mieszkanie samemu ma tylko nieliczne zalety, wśród których znajduje się możliwość nieskrępowanego płakania w dowolnym momencie.

Zaskakuje ją dzwonek domofonu. Podnosi głowę i nasłuchuje w bezruchu. Dzwonek rozlega się po raz drugi. Przez krótką, szaloną chwilę zastanawia się, czy to nie John, który zareagował na jej wiadomość. Zelektryzowana pędzi do lustra w korytarzu, gorączkowo przecierając czerwone plamy na twarzy, i podnosi słuchawkę domofonu.

– Słucham.

– No dobrze, mądrało. Jak się pisze „niezapowiedziany gość”?

Ellie mruga.

– Rory.

– Nie, na pewno nie tak.

Ellie przygryza wargę i opiera się o ścianę. Na chwilę zapada cisza.

– Jesteś zajęta? Właśnie przechodziłem obok. – Wydaje się wesoły, rozentuzjasmowany. – No dobra... jechałem odpowiednią linią metra.

– Wejdz. – Ellie odkłada słuchawkę i spryskuje twarz zimną wodą, starając się stłumić rozczarowanie, bo przecież to nie mógł być John.

Słyszy, jak Rory wbiega po schodach po dwa stopnie naraz, a potem otwiera drzwi, które zostawiła uchylone.

– Przyszedłem wyciągnąć cię na drinka. A! – Spogląda na pustą butelkę wina, a potem o ułamek sekundy dłużej patrzy na jej twarz. – Za późno.

Ellie zdobywa się na mało przekonujący uśmiech.

– To nie był wspaniały wieczór.

– Aha.

– Jeśli wolisz iść sam, nie ma sprawy.

Rory ma szary szalik. Chyba z kaszmiru. Ellie nigdy nie miała swetra z kaszmiru. Jak to możliwe, że dożyła trzydziestego drugiego roku życia i nigdy nie

miała swetra z kaszmiru?

– Chyba nie byłabym teraz dobrym towarzystwem – stwierdza Ellie.

Rory znowu patrzy na butelkę po winie.

– No cóż, Haworth – mówi, zdejmując szalik – jak dotąd nigdy mnie to nie zniechęcało. Może nastawię wodę w czajniku?

Rory krząta się, szukając w jej maleńkiej kuchni torebek z herbatą, mleka i łyżeczek. Ellie myśli o Johnie, który zaledwie w zeszłym tygodniu robił dokładnie to samo, i jej oczy znowu wypełniają się łzami. Potem Rory siada i stawia przed nią kubek, a gdy Ellie pije, on z nietypową dla siebie wylewnością opowiada o tym, jak mu minął dzień. Właśnie był na drinku z przyjacielem, który zaproponował trasę na przełaj przez Patagonię. Ten przyjaciel – znają się od dziecka – stał się dla Rory'ego kimś w rodzaju podróżnika rywala.

– Znasz ten typ. Mówisz, że wybierasz się do Peru, a on na to: „Och, zapomnij o Machu Picchu, ja spędziłem trzy noce z Pigmejami w dżungli Atacanta. Gdy skończyło nam się mięso pawiana, nakarmili mnie jednym ze swoich kuzynów”.

– Fajnie. – Ellie siedzi skulona na kanapie, obejmując dłońmi kubek.

– Uwielbiam go, ale nie jestem pewny, czy wytrzymam z nim pół roku.

– Na tyle zamierzasz wyjechać?

– Mam nadzieję.

Zalewa ją kolejna fala smutku. Jasne, Rory to nie John, ale miło było mieć pod ręką kogoś, kto czasami wyciągnie ją wieczorem na miasto.

– No więc co się stało? – pyta ją.

– Och... mam za sobą dziwny dzień.

– Jest sobota. Myślałem, że takie dziewczyny jak ty chodzą w sobotę na ploteczki przy brunchu i kupują buty.

– W takim razie nie jestem stereotypowa. Poszłam odwiedzić Jennifer Stirling.

– Kogo?

– Tę kobietę od listów.

Jest wyraźnie zaskoczony. Pochyla się.

– O rany. Naprawdę do ciebie zadzwoniła. I co?

Nagle Ellie znowu zaczyna płakać, łzy płyną jej po policzkach.

– Przepraszam – mamrocze, szukając chusteczki. – Przepraszam, nie wiem, dlaczego tak głupio się zachowuję.

Czuje jego dłoń na swoim ramieniu, czuje, jak Rory ją obejmuje. Pachnie pubem, dezodorantem, czystym powietrzem i wiatrem.

– Ej – mówi miękko głosem. – Ej... to do ciebie niepodobne.

Skąd wiesz?, myśli. Nikt nie wie, co jest do mnie podobne. Nie jestem pewna, czy sama wiem.

– Opowiedziała mi o wszystkim. O całym romansie. Och, Rory, to taka rozdzierająca historia. Bardzo się kochali i ciągle się mijali, aż w końcu on zginął w Afryce i nigdy więcej go nie zobaczyła. – Ellie tak bardzo płacze, że trudno ją zrozumieć.

Rory ją przytula i pochyla głowę, żeby lepiej słyszeć.

– Tak cię zasmuciła rozmowa ze starszą panią? Nieudany romans sprzed czterdziestu lat?

– Musiałbyś przy tym być. Musiałbyś to słyszeć. – Opowiada mu część historii i wyciera oczy. – Ta kobieta jest taka piękna, pełna wdzięku i smutku...

– Też jesteś piękna, pełna wdzięku i smutku. No dobrze, może nie wdzięku.

Ellie opiera głowę na jego ramieniu.

– Nigdy nie przypuszczałem, że mogłabyś... Nie zrozum mnie źle, Ellie, ale mnie zaskoczyłaś. Nigdy bym nie przypuszczał, że te listy tak cię poruszą.

– Chodzi nie tylko o listy. – Pociąga nosem.

Rory czeka. Opadł już na oparcie, ale jego ręka nadal lekko spoczywa na jej karku. Ellie uświadamia sobie, że nie chce, żeby ją cofnął.

– No więc...? – Jego głos brzmi miękko, pytająco.

– Boję się...

– Czego?

Ellie ścisza głos i szepcze:

– Boję się, że nikt mnie nigdy tak nie pokocha.

Pod wpływem alkoholu stała się lekkomyślna. Jego spojrzenie łagodnieje, usta lekko wykrzywiają się w dół, jakby chciał wyrazić współczucie. Przypatruje jej się, gdy ona pobieżnie wyciera oczy. Przez chwilę Ellie ma wrażenie, że ją pocałuje, ale zamiast tego Rory sięga po list i czyta na głos:

Dziś wieczorem w drodze do domu natrafiłem na kłótnię przed pubem. Szarpali się dwaj mężczyźni podjudzani przez pijanych kibiców i nagle wciągnął mnie ten hałas i chaos, przekleństwa i fruujące butelki. W oddali zawyła policyjna syrena. Mężczyźni rozbiegli się na wszystkie strony, samochody hamowały z piskiem i stawały w poprzek ulicy, żeby ominąć bijących się. A ja byłem w stanie myśleć tylko o tym, jak zagina się kącik Twoich ust, kiedy się śmiejesz. I odniosłem niezwykle wrażenie, że właśnie w tej chwili też o mnie myślisz.

Może brzmi to dziwacznie, może akurat myślałaś o teatrze, o kryzysie ekonomicznym albo o tym, czy kupić nowe zasłony. Ale nagle, w samym środku tej małej szalonej scenki, zdałem sobie sprawę, że posiadanie kogoś, kto Cię rozumie, kto Cię pragnie, kto widzi w Tobie lepszą wersję Ciebie, to najwspanialszy dar. Nawet jeśli nie jesteśmy razem, świadomość, że jestem dla Ciebie tym jedynym, niesie mi pokrzepienie.

Zamknęła oczy, słuchając głosu Rory'ego cicho recytującego te słowa.

Wyobraża sobie, jak musiała czuć się Jennifer, wiedząc, że jest kochana, uwielbiana, pożądana.

Nie jestem pewny, czym sobie na to zasłużyłem. Nawet teraz nie do końca to wiem. Lecz sama szansa rozmyślenia o Twojej pięknej twarzy, o Twoim uśmiechu i świadomość, że jakaś ich część może należeć do mnie, to prawdopodobnie jedyna wspaniała rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła.

Słowa ucichły. Ellie otwiera oczy i widzi wpatrzonego w nią Rory'ego.

– Jak na taką bystrą kobietę – mówi Rory – jesteś wyjątkowo tępa.

Wyciąga rękę i kciukiem ociera jej łzę.

– Nie wiesz... – zaczyna Ellie. – Nie rozumiesz...

– Chyba wiem wystarczająco dużo. – Zanim Ellie ma szansę się odezwać, całuje ją. Ellie zwleka przez chwilę i znowu pojawia się ta piegowata, dręcząca ją dłoń. Dlaczego miałabym być lojalna wobec kogoś, kto pewnie uprawia w tym momencie dziki wakacyjny seks?

Potem czuje już tylko dotyk ust Rory'ego, jego dłonie ujmujące jej twarz, i też go całuje, z premedytacją tłumiąc wszystkie myśli. Jej ciało jest po prostu wdzięczne za obejmujące je ramiona, za te pocałunki. Wymaż to wszystko, błaga go w myślach. Napisz to na nowo. Przesuwa się na kanapie, czując niejasne zdziwienie, że mimo całej swojej rozpaczliwej tęsknoty może tak bardzo pożądać innego mężczyzny. A potem nie jest już w stanie myśleć o niczym więcej.

Budzi się i widzi czyjeś ciemne rzęsy. Ale ciemne rzęsy, myśli w ciągu tych paru sekund, zanim wszystko jej się przypomina. Rzęsy Johna są karmelowe. Ma jedną białą, niedaleko zewnętrznego kącika lewego oka, i Ellie jest przekonana, że nikt oprócz niej tego nie zauważył.

Śpiewają ptaki. Za oknem jakiś samochód uparcie zwiększa obroty. Na jej nagim biodrze spoczywa czyjaś dłoń. Jest zaskakująco ciężka, a gdy Ellie się przesuwają, dłoń na chwilę napina się na jej tyłku, jakby odruchowo nie chciała jej wypuścić. Ellie wpatruje się w te ciemne rzęsy, przypominając sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru.

Ona i Rory na podłodze przed kanapą. Gdy powiedziała, że jest jej zimno, przyniósł kołdrę. Jego gęste i miękkie włosy w jej dłoniach, jego ciało, zaskakująco umięśnione, nad jej ciałem, jej łóżko, jego głowa znikająca pod kołdrą. Ellie czuje niewyraźny dreszcz świadomości, ale nie potrafi jeszcze ocenić, co o tym sądzi.

John.

Esemes.

Kawa, myśli, chwytając się czegoś bezpiecznego. Kawa i croissanty. Wyślizguje się z objęć Rory'ego, nie odrywając wzroku od jego uśpionej twarzy. Podnosi jego rękę i delikatnie kładzie ją na prześcieradle. Rory się budzi, a ona zamiera. Widzi, jak jej skrępowanie przez chwilę odbija się w jego oczach.

– Cześć – mówi Rory głosem ochryplym z niewyspania. O której wreszcie

zasnęli? O czwartej? Piątej? Ellie pamięta, jak chichotali, widząc, że za oknem robi się jasno. Rory masuje sobie twarz, ciężko opiera się na łokciu. Włosy sterczą mu z jednej strony, brodę ma lekko zarosniętą i szorstką. – Która godzina?

– Dochodzi dziewiąta. Skoczę po jakąś porządną kawę. – Ellie wycofuje się w stronę drzwi, świadoma swojej nagości w zbyt jasnym poranku.

– Jesteś pewna? – woła za nią. – Nie wolisz, żebym ja poszedł?

– Nie, nie. – Ellie wskakuje w dzinsy, które znajduje za drzwiami do salonu. – Poradzę sobie.

– Ja poproszę czarną.

Słyszy, jak Rory opada z powrotem na poduszki, mamrocząc coś o głowie.

Jej majtki leżą wsunięte pod odtwarzacz DVD. Podnosi je pospiesznie i wkłada do kieszeni. Wciąga przez głowę koszulkę, otula się kurtką i nie zatrzymując się przed lustrem, schodzi po schodach. Idzie zwawym krokiem do pobliskiej kawiarni i sięga po komórkę.

Obudź się. Odbierz.

Po chwili stoi już w kolejce. Nicky odbiera po trzecim sygnale.

– Ellie?

– O Boże, Nicky. Zrobiłam coś strasznego. – Ścisza głos, żeby nie usłyszała jej rodzina, która weszła tuż za nią. Ojciec milczy, matka usiłuje zagonić dwoje małych dzieci do stolika. Ich blade, poszarzałe twarze świadczą o bezsennej nocy.

– Zaczekaj. Jestem w siłowni. Wyjdę na zewnątrz.

W siłowni? W niedzielę o dziewiątej rano? Ellie słyszy głos Nicky na tle ulicznego gwaru.

– W jakim sensie strasznego? Jak morderstwo? Gwałt na nieletnim? Chyba nie zadzwoniłaś do żony tego jak mu tam i nie poinformowałaś jej, że jesteś jego kochanką?

– Przespałam się z tym gościem z pracy.

Chwila ciszy. Ellie podnosi wzrok i widzi, że baristka wpatruje się w nią, unosząc brwi. Zasłania telefon dłonią.

– Poproszę dwa duże americano, jedno z mlekiem, a do tego croissanty. Dwa... nie, trzy.

– Z tym archiwistą?

– Tak. Zjawił się wczoraj wieczorem. Byłam pijana i naprawdę parszywie się czułam, a wtedy on przeczytał na głos jeden z tych listów miłosnych i... sama nie wiem...

– No i?

– No i przespałam się z innym facetem!

– Było strasznie?

Roześmiane oczy Rory'ego. Jego głowa pochylona nad jej piersiami. Pocałunki. Niekończące się pocałunki.

– Nie. Było... całkiem dobrze. Naprawdę dobrze.

– Więc w czym problem?

– Przecież powinnam sypiać z Johnem.

Baristka wymienia spojrzenia z Wycieńczonym Ojcem. Ellie uświadamia sobie, że obydwójce są zniecierpliwieni.

– Sześć funtów sześćdziesiąt trzy – mówi dziewczyna z lekkim uśmiechem.

Ellie sięga do kieszeni po drobne i wyjmuje wczorajsze majtki. Wycieńczony Ojciec wymownie pokasłuje – a może to tłumiony śmiech. Ellie przeprasza, oblewając się rumieńcem, płaci i przechodzi na koniec kontuaru, czekając na kawę ze spuszczoną głową.

– Nicky...

– Och, Ellie, na litość boską. Sypiasz z żonatym facetem, który prawie na pewno nadal sypia z żoną. Niczego ci nie obiecuje, rzadko gdziekolwiek cię ze sobą zabiera, nie zamierza odejść od żony...

– Tego nie wiesz.

– Wiem. Przykro mi, skarbie, ale byłabym gotowa postawić na to mój obrzydliwy, za mały i obciążony ogromną hipoteką dom. Więc jeśli mi mówisz, że właśnie zaliczyłaś wspaniały seks z miłym facetem, który nie ma zobowiązań, lubi cię i najwyraźniej chce spędzać z tobą czas, to nie zamierzam błagać cię o prozac. Jasne?

– Jasne – odpowiada cicho.

– A teraz wracaj do mieszkania, obudź go i zafunduj sobie dziki, gorący seks, a jutro rano pójdziemy z Corinne na kawę i wszystko nam opowiesz.

Ellie się uśmiecha. Jak miło jest się cieszyć, że się kogoś ma, zamiast wiecznie tego kogoś usprawiedliwiać.

Myśli o Rorym, który leży w jej łóżku. O Rorym z bardzo długimi rzęsami i miękkimi ustami. Czy wspólny poranek byłby aż taki straszny? Bierze kawę i wraca do domu, zaskoczona tym, jak szybko przebiera nogami.

– Nie ruszaj się! – woła, wchodząc po schodach i zrzucając buty. – Niosę ci śniadanie do łóżka. – Stawia kawę na podłodze przed łazienką i na chwilę zagląda do środka. Wyciera resztki tuszu spod oczu i spryskuje twarz zimną wodą, a potem skrapia się perfumami. Po namyśle otwiera tubkę pasty do zębów i odgryza kawałek wielkości ziarnka grochu, po czym rozciera go w ustach.

– Żebyś już nie myślał, że jestem pozbawioną serca, samolubną wykorzystywaczką mężczyzn. I żebyś był mi winny kawę w pracy. Oczywiście jutro wrócę do swojego bezdusznego, samolubnego ja.

Wychodzi z łazienki, przystaje, żeby podnieść kawę i z uśmiechem wchodzi do sypialni. Łóżko jest puste, kołdra odrzucona na bok. Rory na pewno nie poszedł do łazienki, bo przed chwilą sama w niej była.

– Rory? – mówi, zwracając się do cichego pomieszczenia.

– Tutaj.

Jego głos dobiega z salonu. Ellie idzie korytarzem.

– Miałaś czekać w łóżku – beszta go. – Trudno to nazwać śniadaniem w łóżku, skoro...

Rory stoi na środku pokoju i wkłada marynarkę. Jest ubrany, w butach, nie ma już potarganych włosów.

Ellie zatrzymuje się na progu. Rory nie patrzy w jej stronę.

– Co ty robisz? – Unosi kawę. – Myślałam, że zjemy razem śniadanie.

– Tak. Ale chyba lepiej już pójść.

Ellie czuje, jak robi jej się zimno. Coś tu nie gra.

– Dlaczego? – pyta, siląc się na uśmiech. – Nie było mnie raptem piętnaście minut. Naprawdę masz jakieś spotkanie w niedzielę dwadzieścia po dziewiątej?

Rory wpatruje się w swoje stopy, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu kluczy. Znajduje je i zaczyna obracać w dłoni. Gdy wreszcie na nią spogląda, jego twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Kiedy cię nie było, ktoś dzwonił. Zostawił wiadomość. Nie chciałem podsłuchiwać, ale w tak małym mieszkaniu to raczej niemożliwe.

Ellie czuje, jak coś zimnego i twardego zagnieżdża się na dnie jej żołądka.

– Rory, ja...

Unosi dłoń.

– Kiedyś ci mówiłem, że nie lubię komplikacji. Między innymi, hm, sypiania z kimś, kto sypia z kimś innym. – Przechodzi obok niej, nie zwracając uwagi na kawę. – Na razie, Ellie.

Ellie słyszy, jak na klatce schodowej cichną jego kroki. Rory nie trzaska drzwiami, ale zamyka je w sposób, który wydaje się nieprzyjemnie ostateczny. Ellie jest oszołomiona. Ostrożnie stawia kawę na stole, a po chwili podchodzi do sekretarki i wciska „play”.

Pokój wypełnia się niskim i melodyjnym głosem Johna.

– Ellie, nie mogę długo rozmawiać. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Nie jestem pewny, co miałaś wczoraj na myśli. Ja też za tobą tęsknię. Tęsknię za nami. Ale słuchaj... proszę, nie przysyłaj mi esemesów. To... – Krótkie westchnienie. – Napiszę do ciebie, jak tylko wrócimy... jak wrócę do domu. – Dźwięk odkładanej słuchawki.

Ellie czeka, aż te słowa wybrzmiają w jej pogrążonym w ciszy mieszkaniu, a potem opada na kanapę i zamiera w bezruchu. Obok stygnie kawa.

Szanowny Panie B.

Re: Al. T. 48

...podsumowując, jak rozumiem, dom zostanie nabyty na Pana nazwisko i do pańskiego powrotu czternastego b.m. nie będę przysyłał żadnej dalszej korespondencji do podpisu na Pana adres zameldowania.

List omyłkowo otwarty przez kobietę

Do: Phillip O'Hare, phillipohare@thetimes.co.uk

Od: Ellie Haworth, elliehaworth@thenation.co.uk

Proszę wybaczyć, że kontaktuję się z Panem w taki sposób, ale mam nadzieję, że jako kolega dziennikarz mnie Pan zrozumie. Próbuję znaleźć Anthony'ego O'Hare'a, który, jak mi się wydaje, byłby mniej więcej w wieku Pańskiego ojca, a w maju wspomniał Pan na łamach „Timesa”, że Pański ojciec nosi takie samo nazwisko.

Anthony O'Hare, którego szukam, spędził na początku lat sześćdziesiątych jakiś czas w Londynie oraz długo przebywał za granicą, zwłaszcza w środkowej Afryce, gdzie prawdopodobnie zginął. Wiem o nim niewiele ponad to, że miał syna, który nosił takie imię jak Pan.

Jeśli Pan nim jest albo wie coś o losach Anthony'ego, czy mógłby się Pan ze mną skontaktować? Mamy wspólną znajomą, która знаła go przed laty i bardzo chciałaby się dowiedzieć, co się z nim stało. Rozumiem, że szanse są niewielkie, bo to dość popularne nazwisko, ale będę wdzięczna za każdą pomoc.

Pozdrawiam

Ellie Haworth

Nowa siedziba redakcji znajduje się w części Londynu, którą Ellie widziała po raz ostatni, kiedy była tam tylko bezładna zbieranina obskurnych magazynów urozmaicona nieładnymi barami z jedzeniem na wynos, jakiego nie kupiłaby nawet w obliczu śmierci głodowej. Wszystko, co znajdowało się wtedy na tych niespełna dwóch kilometrach kwadratowych, zostało zrównane z ziemią i zmiecione, a zapchane ulice ustąpiły miejsca ogromnym, nienagannie utrzymanym placom, metalowym słupkom i paru lśniącem biurowcom, z których część nosi jeszcze czepki rusztowań, w których przyszły na świat.

Przyszli tu w ramach wycieczki zorganizowanej, by zapoznać się ze swoim nowym miejscem pracy, z nowymi komputerami i siecią telefoniczną przed ostateczną poniedziałkową przeprowadzką. Ellie idzie za kolegami z działu przez różne redakcje, a młody mężczyzna z podkładką z klipsem i identyfikatorem z napisem „koordynator przeprowadzki” opowiada im o obszarach produkcji, centrach informacji i toaletach. Gdy zapoznaje ich z kolejnymi nowymi pomieszczeniami, Ellie obserwuje zróżnicowane reakcje swojego zespołu, podniecenie młodszych pracowników, którym podobają się eleganckie, modernistyczne wnętrza. Melissa najwyraźniej była tu już kilkakrotnie, bo od czasu do czasu dorzuca jakąś informację, która jej zdaniem została pominięta.

– Tu nie ma gdzie się schować! – żartuje Rupert, rozglądając się po

przestronnej, niezagraconej sali.

Ma rację. Gabinet Melissy, usytuowany w południowo-wschodnim rogu, jest cały ze szkła i roztacza się z niego widok na „centrum” działu reportażu. Poza tym żaden z dziennikarzy nie ma własnego gabinetu, co wyraźnie nie podoba się niektórym kolegom Ellie.

– A to jest miejsce, w którym będziecie pracować. – Wszyscy redaktorzy mają siedzieć przy jednym wielkim owalnym stole. Z jego środka wyrastają kable prowadzące jak pępowiny do komputerów z płaskimi ekranami.

– Kto gdzie siedzi? – pyta jedna z felietonistek.

Melissa zagląda do swojej listy.

– Pracuję nad tym. Nie wszystko jest jeszcze postanowione. Ale Rupert będzie siedział tutaj. Arianna tutaj. Tim na tym krześle. Edwina... – Szefowa wskazuje kolejne miejsca.

Ellie przypominają się mecze netballu w szkole. Ulga, gdy zostało się wybranym z tłumu i przydzielonym do którejś z drużyn. Tylko że teraz prawie wszystkie miejsca są zajęte, a ona nadal stoi.

– Melisso? – zdobywa się na odwagę. – A gdzie jest moje miejsce?

Melissa patrzy na inne biurko.

– Kilka osób będzie zajmowało wspólne stanowisko pracy. Nie ma sensu, żeby każdemu przydzielać miejsce na stałe. – Mówiąc to, nie patrzy na Ellie.

Ellie czuje, jak zaciskają jej się palce u nóg.

– Chcesz powiedzieć, że nie dostanę własnego stanowiska?

– Nie, chcę powiedzieć, że część osób będzie miała wspólne miejsce pracy.

– Przecież jestem tu codziennie. Nie rozumiem, jak to ma działać. – Powinna wziąć Melissę na bok, spytać, dlaczego Arianna, która pracuje z nimi zaledwie od miesiąca, miałaby dostać własne biurko, a ona nie. Powinna stłumić lekki ból w swoim głosie. Powinna się zamknąć. – Nie rozumiem, dlaczego jako jedyna reportażystka...

– Jak już powiedziałam, Ellie, nie wszystko jest jeszcze ustalone. Zawsze znajdzie się dla ciebie jakieś miejsce. No dobrze. Chodźmy do działu informacji. Oczywiście będą się przeprowadzali w tym samym dniu co my...

I rozmowa dobiega końca. Ellie uświadamia sobie, że jej akcje spadły znacznie niżej, niż przypuszczała. Napotyka spojrzenie Arianny i nowa dziewczyna szybko odwraca wzrok. Ellie udaje, że sprawdza w komórce, czy przypadkiem nie przyszły kolejne nieistniejące esemesy.

Archiwum nie mieści się już pod ziemią. Nowe „centrum informacji” jest dwa piętra wyżej, ulokowane w atrium wokół kolekcji ogromnych i podejrzanie egzotycznych roślin w donicach. Na środku jest wyspa, za którą zauważa zrzędlivego szefa archiwistów, który rozmawia cicho ze znacznie młodszym mężczyzną. Ellie wpatruje się w półki, starannie podzielone na część cyfrową

i papierową. Wszystkie napisy w nowych biurach są małymi literami, co, jak przypuszcza, przyprawiło głównego adiustatora o wrzody.

Nie mogłoby się to bardziej różnić od zakurzonych pomieszczeń dawnego archiwum wypełnionego stęchłą wonią starych gazet i pustymi zakamarkami. Ellie ogarnia nagła tęsknota.

Właściwie to nie jest pewna, dlaczego tu przyszła. Chyba tylko dlatego, że czuje jakieś magnetyczne przyciąganie do Rory'ego, być może chce się przekonać, czy choć trochę jej wybaczył, albo porozmawiać z nim o decyzji Melissy dotyczącej przydziału biurka. Uświadamia sobie, że jest on jedną z niewielu osób, z którą może o tym pomówić. Zauważa ją archiwista.

– Przepraszam – mówi Ellie, podnosząc dłoń. – Tylko się rozglądam.

– Jeśli szuka pani Rory'ego – odpowiada – jest jeszcze w starym budynku. – Nie mówi tego nieprzyjaznym tonem.

– Dziękuję. – Ellie stara się wyrazić coś w rodzaju przeprosin. Z jakiegoś powodu bardzo nie chce zrażać do siebie kolejnej osoby. – Wspaniale to wygląda. Wykonaliście... świetną robotę.

– Już prawie skończyliśmy – mówi zadowolony archiwista. Gdy się uśmiecha, wygląda młodziej, ma mniej zniekaną twarz. Widać na niej coś, czego wcześniej nie zauważyła: ulgę, ale i życzliwość. Oceniając ludzi, można się bardzo pomylić, myśli Ellie.

– Pomóc pani w czymś?

– Nie. Ja tylko...

Mężczyzna znowu się uśmiecha.

– Jak już powiedziałem, Rory jest w starym budynku.

– Dziękuję. To ja już... nie będę panu przeszkadzała. Widzę, że jest pan zajęty.

Podchodzi do stolika, bierze skserowany przewodnik dla osób korzystających z archiwum, po czym starannie go składa, wsuwa do torebki i wychodzi.

Przez całe popołudnie siedzi przy swoim wkrótce już dawnym biurku, raz po raz wpisując nazwisko „Anthony O'Hare” do wyszukiwarki. Robiła to już wielokrotnie i ciągle zaskakuje ją liczba Anthony'ów, którzy żyją albo żyli na tym świecie. W serwisach społecznościowych jest mnóstwo nastoletnich Anthony'ów, inni już dawno spoczywają na pensylwańskich cmentarzach, a domorośli genealodzy ślęczą nad ich losami. Jeden jest lekarzem i pracuje w RPA, inny to pisarz fantasy korzystający z self-publishingu, jeszcze inny został napadnięty w pubie w Swansea. Ellie przygląda się każdemu z nich, sprawdzając wiek i tożsamość, tak na wszelki wypadek.

Odzywa się jej telefon, sygnalizując nadejście esemesa. Ellie widzi imię Johna i ku swojemu zdziwieniu czuje chwilowe rozczarowanie, że to nie Rory.

– Kolegium.

Przy biurku stoi sekretarka Melissy.

Wybacz, że ostatnio nie mogłem za długo rozmawiać. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że za Tobą tęsknię. Nie mogę się doczekać spotkania. Jx

– Tak. Wybacz – mówi Ellie. Sekretarka nadal stoi obok niej. – Przepraszam. Już idę.

Ellie jeszcze raz czyta esemesa, rozkładając na czynniki pierwsze każde zdanie, chcąc się upewnić, że tym razem nie ulegnie pokusie nadinterpretacji. Ale widzi to wyraźnie: „Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że za Tobą tęsknię”.

Zgarnia swoje papiery i z zarumienionymi policzkami wchodzi do gabinetu Melissy tuż przed Rupertem. To ważne, żeby nie zjawić się na końcu. Nie chce być jedyną dziennikarką, która nie ma się gdzie podziąć ani w gabinecie Melissy, ani poza nim.

Siedzi w milczeniu, gdy reszta analizuje artykuły na następny dzień i ocenia ich postępy. Upokorzenie, które czuła rano, ustąpiło. Nie onieśmiela jej nawet to, że Arianna namówiła na wywiad aktorkę słynącą z samotniczego trybu życia. W jej głowie pobrzmiwają słowa, które niespodziewanie skierowano w jej stronę: „Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że za Tobą tęsknię”.

Co to znaczy? Nie śmie mieć nadziei, że jej marzenia się spełnią. Opalona żona w bikini zniknęła na dobre. Widmowa piegowata dłoń masująca jej ciało ustąpiła miejsca pobielającym z frustracji knykciom. Ellie wyobraża sobie, jak John i jego żona kłócą się przez cały urlop, który w głębi duszy obydwójce traktowali jak ostatnią szansę ocalenia małżeństwa. Ellie widzi, jaki jest wyczerpany i wściekły i jak go ucieszył jej esemes, mimo że ostrzegwał, by nie wysyłała kolejnych.

Nie rób sobie nadziei, upomina się w myślach. To mogło być tylko chwilowe ożywienie. Pod koniec urlopu wszyscy mają dość partnerów. Może po prostu chciał się upewnić, że nadal jest wobec niego lojalna. Ale nawet gdy Ellie to sobie tłumaczy, wie, w którą wersję woli wierzyć.

– Ellie? Co z tą historią o listach miłosnych?

Boże.

Przekłada kartki ułożone na kolanach i przyjmuje pewny ton głosu.

– Udało mi się zebrać znacznie więcej informacji. Znalazłam tę kobietę. Na pewno można by napisać artykuł o tej historii.

– Dobrze. – Melissa elegancko unosi brwi, jakby Ellie pozytywnie ją zaskoczyła.

– Tylko że... – Ellie przełyka ślinę. – ...nie jestem pewna, czy powinniśmy to wykorzystać. To wszystko wydaje się... bardzo osobiste.

– Obydwójce żyją?

– Nie. On zginął. W każdym razie ona tak uważa.

– No to zmień jej nazwisko. Nie widzę problemu. Korzystasz z listów, które

prawdopodobnie zapomniała.

– Och, wątpię, żeby je zapomniała. – Ellie starannie dobiera słowa. – Przeciwnie, mam wrażenie, że doskonale je pamięta. Myślę, że lepiej byłoby ich użyć jako punktu wyjścia do analizy języka miłości. No wiesz, napisać o tym, jak listy miłosne zmieniły się przez lata.

– I pominąć same listy.

– Tak. – Mówiąc to, Ellie czuje olbrzymią ulgę. Nie chce upubliczniać listów Jennifer. Widzi ją, jak siedzi na kanapie i z ożywieniem opowiada historię, którą skrywała przez dziesiątki lat. Nie chce pogłębiać jej poczucia straty. – Może udałoby mi się znaleźć inne przykłady.

– Na wtorek.

– Przecież na pewno są jakieś książki, opracowania...

– Mamy publikować coś, co już opublikowano?

W gabinecie zapada cisza. Jakby Ellie i Melissa Buckingham znalazły się w toksycznej bańce. Ellie ma świadomość, że nic, co zrobi, nie zdoła już zadowolić tej kobiety.

– Poświęciłaś temu tyle czasu, ile większość dziennikarzy potrzebowałaby na wysmarowanie artykułu na dwa tysiące słów. – Melissa stuka w biurko końcówką długopisu. – Po prostu to napisz, Ellie. – Jej głos jest lodowaty i zmęczony. – Napisz to, nie wymieniaj jej z nazwiska, a pewnie nigdy się nie dowie, że chodziło o jej listy. A biorąc pod uwagę, ile czasu pochłonął ci ten temat, zakładam, że efekt twojej pracy będzie niesamowity.

Posyła reszcie zebranych promienny uśmiech.

– No dobrze. Przejdźmy dalej. Nie dostałam jeszcze listy z działu Zdrowie. Ma ją ktoś?

Zauważa go, wychodząc z budynku. Rory wymienia jakiś żarcik z ochroniarzem Ronaldem, lekko zbiega po schodach i znika. Pada deszcz, a on ma na plecach mały plecak i pochyla głowę dla ochrony przed zimmem.

– Cześć – mówi Ellie, podbiegając do niego.

Spogląda na nią.

– Cześć – mówi neutralnym tonem. Idzie na stację metra i nie zwalnia kroku, gdy dociera do schodów prowadzących na dół.

– Tak się zastanawiałam... miałbyś ochotę na szybkiego drinka?

– Jestem zajęty.

– Dokąd jedziesz? – Ellie musi podnieść głos, żeby mógł ją usłyszeć wśród donośnego tupania. To wiktoriańska akustyka podziemnej sieci.

– Do nowego budynku.

Otoczają ich pasażerowie. Fala ludzi idących po schodach prawie unosi ją w powietrzu.

– O rany. Robisz straszne nadgodziny.

– Nie. Po prostu pomagam szefowi przy paru ostatnich sprawach, żeby nie wyeksploatował się do reszty.

– Widziałam go dzisiaj. – Rory nie odpowiada, więc Ellie dodaje: – Był dla mnie miły.

– No. Tak. To miły człowiek.

Udaje jej się za nim nadażyć, ale w końcu docierają do bramki biletowej. Rory staje z boku, by przepuścić innych ludzi.

– To naprawdę niemądre – mówi Ellie. – Codziennie przechodzisz obok człowieka, nie mając pojęcia...

– Słuchaj, Ellie, czego ty ode mnie chcesz?

Ellie przygryza wargę. Ludzie wokół rozstępują się jak woda. Mają słuchawki w uszach, niektórzy głośno cmokają z niezadowoleniem na widok żywych przeszkód na swojej drodze. Ellie poprawia włosy, które zdążyły już zmoknąć.

– Chciałam cię tylko przeprosić. Za tamten poranek.

– Nie ma sprawy.

– Właśnie że jest. Ale... Słuchaj, to, co się stało, nie ma z tobą nic wspólnego. Naprawdę cię lubię. Po prostu muszę się...

– Wiesz co? Nie interesuje mnie to. Nic się nie stało, Ellie. Nie roztrząsajmy tego.

Przechodzi przez bramkę. Ellie też. Zanim się odwrócił, zauważyła jego minę i wyglądała strasznie. Teraz ona czuje się strasznie.

Ustawia się za nim na ruchomych schodach. Na jego szarym szaliku widnieją małe perełki wody, a ona zdusza w sobie odruchową chęć strzepnięcia ich.

– Rory, naprawdę cię przepraszam.

Rory wpatruje się w swoje buty. Spogląda na nią chłodno.

– Żonaty, nie?

– Co?

– Twój... przyjaciel. Od razu można się było domyślić po tym, co powiedział.

– Nie patrz tak na mnie.

– Jak?

– Nie zamierzałam się zakochać.

Z jego ust wydobywa się krótki, nieprzyjemny śmiech. Dotarli na dół. Rory schodzi z ruchomych schodów i rusza szybkim krokiem, a ona, chcąc za nim nadażyć, musi co chwila podbiegać. W tunelu czuć stęchlizną i paloną gumą.

– Naprawdę nie zamierzałam.

– Bzdura. Podjęłaś decyzję. Każdy ją podejmuje.

– Więc nigdy nie dałeś się porwać uczuciom, nigdy nie czułeś takiego

przyciągania?

Patrzy na nią.

– Oczywiście, że czułem. Ale jeśli poddanie się impulsowi oznacza, że kogoś zranię, to się wycofuję.

Jej twarz płonie.

– Ależ ty jesteś cudowny.

– Nie jestem. Ale trudno cię uznać za ofiarę okoliczności. Pewnie wiedziałaś, że jest żonaty, i mimo to postanowiłaś w to brnąć. Mogłaś powiedzieć nie.

– Widzę to inaczej.

Z sarkazmem podnosi głos.

– „To było silniejsze od nas”. Zdaje się, że te listy miłosne wpłynęły na ciebie bardziej, niż myślisz.

– Och, gratuluję, panie praktyczny. Fajnie, że potrafisz włączać i wyłączać emocje, kiedy tylko chcesz. Owszem, wpakowałam się w to świadomie. Czy to niemoralne? Tak. Nierozsądne? No cóż, sądząc po twojej reakcji, najwidoczniej tak. Ale przez chwilę czułam coś magicznego i... i nie martw się, do dzisiaj za to płacę.

– Tylko że tu nie chodzi wyłącznie o ciebie, prawda? Ellie, każde działanie ma konsekwencje. Moim zdaniem ludzie dzielą się na tych, którzy to rozumieją i podejmują decyzje, mając tę świadomość, i na tych, którzy po prostu wybierają to, co jest akurat przyjemne.

– Boże! Masz pojęcie, jak pompatycznie to brzmi? – Ellie już krzyczy, prawie nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia przechodzących obok ludzi, którzy wypełniają tunele linii District i Circle.

– Tak.

– I w twoim świecie nikomu nie wolno popełnić błędu?

– Tylko raz – odpowiada. – Wolno popełnić błąd tylko raz.

Rory wpatruje się w dal, zaciskając zęby, jakby próbował ocenić, ile może powiedzieć. Potem odwraca się do niej.

– Wiesz, byłem po drugiej stronie. Kochałem kogoś, kto poznał kogoś innego i nie mógł mu się oprzeć. To było „silniejsze od nich”. Dopóki oczywiście jej nie rzucił. A ja przyjąłem ją z powrotem do swojego życia i zraniła mnie po raz drugi. No więc tak, mam swoje zdanie na ten temat.

Zamurowało ją. Wokół panuje hałas, a nadjeżdżający pociąg przynosi ze sobą powiew gorącego, wzburzonego powietrza. Pasażerowie ruszają naprzód.

– Wiesz co? – Rory podnosi głos, żeby mogła go usłyszeć w tym zgiełku. – Nie potępiam cię za to, że zakochałaś się w tym mężczyźnie. Kto wie? Może to miłość twojego życia. Może jego żonie rzeczywiście byłoby lepiej bez niego. Może naprawdę jesteście sobie pisani. Ale mnie mogłaś odmówić. – Nagle Ellie zauważa

w jego twarzy coś, czego się nie spodziewała, coś urażonego i bezbronno. – Właśnie tego nie potrafię zrozumieć. Mogłaś mi odmówić. Tak byłoby lepiej.

Wskakuje lekko do zatłoczonego wagonu, gdy już zamykają się drzwi. Pociąg odjeżdża z ogłuszającym piskiem.

Ellie patrzy, jak Rory stoi w oświetlonym oknie, dopóki pociąg nie znika jej z oczu. Lepiej dla kogo?

Cześć, Mała,

myślałem o Tobie przez cały weekend. Jak Ci się podoba na uniwerku? Barry mówi, że wszystkie laski, które idą na studia, w końcu znajdują sobie kogoś innego, ale powiedziałem mu, że gada głupoty. Po prostu jest zazdrosny. We wtorek umówił się z tą dziewczyną z agencji nieruchomości i wystawiła go już po daniu głównym. Po prostu powiedziała, że idzie do toalety, i nie wróciła!!! Mówił, że czekał dwadzieścia minut, zanim zrozumiał, co się stało. Wszyscy w Feathers ryczeliśmy ze śmiechu. [...]

Szkoda, że Cię tu nie ma, Mała. Bez Ciebie wieczory się dłużą. Napisz niedługo. Clive XX

Ellie siedzi na łóżku, trzymając na kolanach zakurzone pudełko, a wokół leży porozkładana korespondencja z czasów, kiedy była nastolatką. Położyła się o wpół do dziesiątej i rozpaczliwie stara się znaleźć jakiś sposób, żeby ocalić artykuł o listach miłosnych dla Melissy, nie opisując osobistych spraw Jennifer. Myśli o Clivie, swojej pierwszej miłości, synu chirurga drzewnego. Chodzili do tego samego liceum. Zadręczali się jej wyjazdem na studia, przysięgali, że to nie wpłynie na ich związek. Po jej wyjeździe do Bristolu przetrwali jakieś trzy miesiące. Ellie pamięta, jak pojawienie się jego poobijanego mini na parkingu przed akademikiem zmieniło się przerażająco szybko z czegoś wspaniałego – z sygnału, by skropiła się perfumami i pobiegła korytarzem – w nagłą konsternację, gdy poczuła, że nic już do niego nie czuje i ma jedynie wrażenie, jakby ciągnął ją z powrotem ku życiu, którego już nie chciała.

Drogi Clivie,

przez większość nocy zastanawiałam się, jak to zrobić, żeby żadne z nas nie musiało cierpieć. Ale nie ma prostego sposobu, by

Drogi Clivie,

bardzo trudno jest napisać taki list. Ale muszę Ci powiedzieć, że

Drogi Clivie,

naprawdę mi przykro, ale nie chcę, żebyś więcej do mnie przyjeżdżał. Dzięki za miłe chwile. Mam nadzieję, że nadal będziemy się kumplować.

Ellie

Przesuwa palcem po przekreślonych wersjach tworzących równy stosik wśród innej korespondencji. Gdy dostał ostatni list, przejechał trzysta czterdzieści

kilometrów tylko po to, żeby osobiście nazwać ją suką. Pamięta, że o dziwo wcale jej to nie dotknęło, może dlatego, że żyła już czymś innym. Na uniwersytecie poczuła woń nowego życia, oddalonego od małego miasteczka jej dzieciństwa, oddalonego od wszystkich Clive'ów i Barrych, od sobotnich wieczorów w pubie i od życia, w którym wszyscy nie tylko cię znali, lecz także wiedzieli, co robiłaś w szkole, czym zajmują się twoi rodzice, i pamiętali, jak zsunęła ci się spódnica, gdy śpiewałaś w chórze. Tak naprawdę można się było stworzyć na nowo jedynie z dala od domu. Odwiedzając rodziców, nadal czuje się lekko stłamszona całą tą wspólną przeszłością.

Dopija herbatę i zastanawia się, co teraz robi Clive. Pewnie się ożenił, myśli, i pewnie jest szczęśliwy. Był sympatycznym gościem. Pewnie ma dzieci, a najważniejszym punktem jego weekendu wciąż pozostaje sobotni wieczór w pubie z chłopakami, których zna od czasów szkoły.

Teraz Clive'owie tego świata oczywiście nie piszą listów. Wysyłają esemesy. Wszystko w porządku, mała? Zastanawia się, czy zakończyłaby tamten związek przez komórkę.

Siedzi nieruchomo. Rozgląda się, patrząc na swoje puste łóżko i na stare listy rozrzucone na kołdrze. Od nocy spędzonej z Rorym nie czytała listów Jennifer. Jakoś nieprzyjemnie kojarzą się z jego głosem. Przypomina sobie, jaką miał minę na stacji metra. „Mogłaś mi odmówić”. Przypomina sobie twarz Melissy i stara się nie myśleć o tym, że może zostać zmuszona do powrotu do dawnego życia. Że może jej się nie udać. Naprawdę. Ma wrażenie, że balansuje nad przepaścią. Nadchodzi zmiany.

A potem słyszy sygnał komórki. Niemal z ulgą sięga po nią nad łóżkiem, przyciskając kolanem stertę pastelowej papeterii.

Nie odpowiadasz?

Czyta jeszcze raz i pisze:

Przepraszam. Myślałam, że mam nie pisać.

Sytuacja się zmieniła. Teraz możesz pisać, co chcesz.

Powtarza te słowa w ciszy małego pokoju, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Czy takie rzeczy naprawdę się zdarzają poza komediami romantycznymi? Czy takie sytuacje, przez wszystkich odradzane, naprawdę mogą przynieść coś dobrego? Wyobraża sobie, jak w nieokreślonej przyszłości siedzi w kawiarni, mówiąc do Nicky i Corrine: „Tak, oczywiście, że się do mnie wprowadzi. Dopóki nie znajdziemy czegoś większego. Co drugi weekend będą u nas jego dzieci”. Wyobraża sobie Johna wracającego wieczorem, rzucającego teczkę, witającego się z nią w korytarzu długim pocałunkiem. To tak mało prawdopodobny scenariusz, że aż kręci jej się w głowie. Czy właśnie tego chce? Beszta się za chwile zwątpienia. Oczywiście, że tak. Przecież w przeciwnym razie nie czułaby tego, co od dawna czuje.

„Teraz możesz pisać, co chcesz”.

Tylko spokojnie, myśli. Możliwe, że sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Poza tym już wiele razy cię zawiódł.

Przysuwa dłoń do klawiatury i jej palce zastygają nad nią niezdecydowane.

Dobrze, ale nie w ten sposób. Cieszę się, że będziemy mogli porozmawiać.

Po zastanowieniu dodaje:

Trochę trudno mi to wszystko ogarnąć. Ale też za Tobą tęskniłam. Zadzwoń, jak tylko wrócisz. E xx

Już ma odłożyć telefon na szafkę nocną, gdy znów rozlega się dźwięk przychodzącego esemesa.

Nadal mnie kochasz?

Na chwilę oddech więźnie jej w gardle.

Tak.

Wysyła odpowiedź prawie bez zastanowienia. Czeka parę minut, ale John nie odpisuje. Ellie, nie mając pewności, czy to ją cieszy, czy smuci, kładzie się na poduszkach i długo patrzy przez okno na czarne, puste niebo, obserwując samoloty, które z milczącym mruganiem suną przez ciemność ku nieznanym celom.

Bardzo się starałam, żebyś choć trochę mnie zrozumiał podczas tej podróży z Padwy do Mediolanu, ale zachowywałeś się jak rozpuszczone dziecko i nie potrafiłam dalej Cię ranić. Teraz mam odwagę tylko dlatego, że jestem daleko. Zatem – i wierz mi, że dla mnie to także zaskoczenie – niedługo wychodzę za mąż.

Z listu Agnes von Kurowsky do Ernesta Hemingwaya

Rory czuje czyjąś dłoń na ramieniu i wyjmuje z ucha słuchawkę.

– Przerwa na herbatę.

Kiwa głową, wyłącza muzykę i wkłada odtwarzacz MP3 do kieszeni. Ciężarówki już pojechały, zostały tylko małe samochody dostawcze należące do gazety, które kursują tam i z powrotem z zapomnianymi pudłami i małymi ładunkami rzeczy niezbędnych do przetrwania redakcji. Jest czwartek. W niedzielę zostaną spakowane ostatnie kartony, przetransportowane ostatnie kubki i filiżanki. W poniedziałek „Nation” zacznie nowe życie w nowej siedzibie, a ten budynek będzie szykowany do rozbiórki. Za rok o tej porze na jego miejscu wyrośnie jakaś budowla z błyszczącego szkła i metalu.

Rory zajmuje miejsce z tyłu vana, obok szefa, który wpatruje się zamyślony w starą fasadę budynku z czarnego marmuru. Na szczycie schodów robotnicy zdejmują z cokołu metalowy symbol gazety – gołębia pocztowego.

– Dziwny widok, prawda?

Rory dmucha na herbatę.

– Pewnie dziwnie się pan czuje po tylu latach.

– Właściwie to nie. Wszystko się kiedyś kończy. Jakaś część mnie nawet nie może się doczekać, kiedy zajmę się czymś innym.

Rory upija łyk.

– Dziwnie jest tak spędzać dni wśród historii innych ludzi. Mam wrażenie, że moja własna historia stanęła w miejscu.

Zupełnie jakby obraz przemówił. To takie nieprawdopodobne. Tak niesamowicie fascynujące. Rory odstawia herbatę i słucha.

– Nie kusi pana, żeby samemu coś napisać?

– Nie. – Ton jego szefa brzmi lekceważąco. – Nie jestem pisarzem.

– Co będzie pan robił?

– Nie wiem. Może wyruszę w podróż... na przykład z plecakiem, tak jak ty.

Obaj się uśmiechają na taką myśl. Przez długie miesiące pracowali razem w milczeniu, rzadko wspominając o czymkolwiek innym niż doraźne potrzeby. Teraz zbliżający się szybko koniec ich zadania rozwiązał im języki.

– Mój syn uważa, że powinienem tak zrobić.

Rory nie potrafi stłumić zaskoczenia w swoim głosie.

– Nie wiedziałem, że ma pan syna.

– I synową. Oraz trzy bardzo niegrzeczne wnuki.

Rory czuje, że powinien zmodyfikować opinię o szefie. To człowiek wyglądający na samotnika i wyobrażenie go sobie w roli rodzinnego faceta wymaga wysiłku.

– A pana żona?

– Zmarła dawno temu.

Mówi to zwyczajnym tonem, ale Rory i tak jest skrepowany, jakby przekroczył jakąś granicę. Gdyby Ellie tu była, myśli, od razu by spytała, na co umarła.

Gdyby Ellie tu była, Rory wolałby się zaszyć w jakimś odległym zakątku archiwum, niż z nią rozmawiać. Chce o niej zapomnieć. Nie zamierza o niej myśleć. Nie zamierza myśleć o jej włosach, jej śmiechu, o tym, jak marszczy brwi, kiedy się koncentruje. O tym, jak się czuł, kiedy jej dotykał: była zaskakująco uległa. Zaskakująco bezbronna.

– No więc kiedy wyruszasz w tę twoją podróż?

Rory otrząsa się z zamyślenia i w jego ręku ląduje książka, a potem następna. Archiwum przypomina Tardis z *Doktora Who*: rzeczy pojawiają się nie wiadomo skąd.

– Wczoraj złożyłem wypowiedzenie. Muszę jeszcze tylko zarezerwować loty.

– Będziesz tęsknił za swoją dziewczyną?

– To nie jest moja dziewczyna.

– Po prostu robi dobre wrażenie, co? Myślałem, że ją lubisz.

– Lubiłem.

– Sądziłem, że dobrze się dogadujecie.

– Ja też.

– No więc w czym problem?

– Jest... bardziej skomplikowana, niż wygląda.

Starszy mężczyzna cierpko się uśmiecha.

– Nie znam żadnej kobiety, która by nie była.

– Tak... Ale ja nie lubię komplikacji.

– Rory, nie ma czegoś takiego jak życie bez komplikacji. W końcu wszyscy musimy iść na kompromisy.

– Nie ja.

Archiwista unosi brew. Na jego twarzy widnieje lekki uśmiech.

– No co? – mówi Rory. – Co? Chyba nie zamierza pan dać mi wykładu jak z reklamy Werther's Original o przegapionych szansach i o tym, jak pan żałuje, że nie postępował pan w życiu inaczej? – Jego głos brzmi głośniejsz, opryskliwiej, niż zamierzał, ale nie może się powstrzymać. Zaczyna przekładać pudła z jednej strony vana na drugą. – Zresztą to i tak byłoby bez sensu. Przecież wyjeżdżam. Nie potrzebuję komplikacji.

– No tak.

Rory spogląda na niego z ukosa i znowu zauważa ten uśmiech.

– Tylko niech pan się teraz nie robi sentymentalny. Wolę pana zapamiętać jako starego ponuraka.

Stary ponurak chichocze.

– Gdzieżbym śmiał. Chodź. Sprawdźmy jeszcze raz dział mikrofiszek i spakujmy sprzęt do parzenia herbaty. Potem postawię ci lunch. A później będziesz mógł pomilczeć o tym, co zaszło między tobą i tą dziewczyną, na której, jak widać, w ogóle ci nie zależało.

Chodnik przed budynkiem, w którym mieszka Jennifer Stirling, poszarzał w zimowym słońcu. Zamiatacz ulic posuwa się wzdłuż krawężnika, zręcznie zbierając śmieci szczypcami. Ellie zastanawia się, kiedy po raz ostatni widziała zamiatacza ulic w swojej części Londynu. Być może sprzątanie uznano za syzyfową pracę: przy głównej ulicy stoją rzędy restauracji z daniami na wynos i tanich piekarni, torebki w czerwono-białe paski powiewają wesoło w całej dzielnicy, opowiadając o kolejnej lunchowej orgii tłuszczów nasyconych i cukru.

– Mówi Ellie. Ellie Haworth – krzyczy do domofonu, gdy odzywa się Jennifer. – Zostawiłam pani wiadomość. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

– Ellie. – Głos Jennifer brzmi serdecznie. – Właśnie wychodzę.

Gdy winda niespiesznie sunie w dół, Ellie myśli o Melissie. Rano nie mogła spać i przyjechała do „Nation” tuż po wpół do ósmej. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby ocalić artykuł o listach miłosnych. Ponowne przeczytanie listów Clive’a uświadomiło jej, że za nic w świecie nie chce wrócić do dawnego życia. Postara się, żeby ten artykuł był dobry. Wydobędzie od Jennifer Stirling resztę informacji i jakoś je pozmienia. Znowu jest dawną sobą: skupioną, zdeterminowaną. Czuje się lepiej, nie myśląc o tym, jak strasznie skomplikowało się jej życie prywatne.

Z zaskoczeniem odkryła, że Melissa jest już w pracy. Poza tym w redakcji było pusto, pomijając milczącą sprzątaczkę, która apatycznie ciągnęła odkurzacz między pozostałymi biurkami. Drzwi Melissy były uchylone.

– Wiem, skarbie, ale zawiezie cię Nina. – Melissa przysunęła rękę do włosów i niespokojnie obracała w palcach lśniący kosmyk. Włosy prześlizgiwały się między szczupłymi palcami, oświetlone nisko wiszącym zimowym słońcem, ciągnięte, obracane, wypuszczane.

– Nie, mówiłam ci w niedzielę wieczorem. Pamiętasz? Nina cię zawiezie, a potem po ciebie przyjedzie... Wiem... Wiem... ale mamusia musi pracować. Przecież wiesz, że muszę pracować, kochanie... – Usiadła, na chwilę opierając głowę na dłoni, tak że Ellie musiała wyteńczyć słuch, żeby zrozumieć jej słowa.

– Wiem, wiem. Ale przyjdę następnym razem. Przecież pamiętasz, jak mówiłam, że mamy przeprowadzkę. I że to bardzo ważne. I że mamusia nie może...

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Daisy, kochanie, daj mi Ninę, dobrze?... Wiem. Po prostu daj mi na chwilę Ninę... Tak, potem jeszcze porozmawiamy, ale daj... – Podniosła wzrok i zobaczyła Ellie przed gabinetem. Ellie szybko się odwróciła, zawstydzona tym, że

przyłapano ją na podsłuchiwanie, i sięgnęła po swoją komórkę, jakby prowadziła jakąś równie ważną rozmowę. Gdy znów podniosła głowę, drzwi Melissy były zamknięte. Z daleka trudno było to stwierdzić, ale jej szefowa chyba płakała.

– Co za niespodzianka. – Jennifer Stirling ma na sobie śnieżnobiałą lnianą koszulę i džinsy w kolorze indygo.

Chcę nosić džinsy, kiedy będę po sześćdziesiątce, myśli Ellie.

– Mówiła pani, że mogę jeszcze przyjść.

– Oczywiście, że możesz. Muszę przyznać, że w ubiegłym tygodniu, zrzucając z serca ten ciężar, czułam grzeszną przyjemność. Poza tym przypominasz mi trochę moją córkę, a dość rzadko się spotykamy. Niestety nie mieszka w pobliżu.

Ellie czuje nedorzeczną przyjemność, że porównano ją do kobiety ze zdjęcia przypominającego reklamę Calvina Kleina. Stara się nie myśleć o tym, po co tu przyszła.

– Jeśli nie przeszkadzam...

– Ależ skąd. Pod warunkiem, że głędzenie starej kobiety nie zanudzi cię na śmierć. Właśnie szłam na spacer po Primrose Hill. Chciałabyś się przyłączyć?

Idą, trochę rozmawiają o okolicy, o miejscach, w których obie mieszkały, o butach Ellie, które rzekomo bardzo podobają się pani Stirling.

– Mam okropne stopy – mówi. – Kiedy byłam w twoim wieku, codziennie katowałyśmy je chodzeniem na wysokich obcasach. Twojemu pokoleniu musi być o wiele wygodniej.

– Tak, ale moje pokolenie nigdy nie wyglądało tak jak pani. – Ellie przypomina sobie zdjęcie Jennifer jako świeżo upieczonej matki, umalowanej i w nienaganej fryzurze.

– Och, właściwie to nie miałyśmy innego wyjścia. Żyłyśmy w okropnej tyranii. Laurence, mój mąż, nie pozwoliłby nikomu zrobić mi zdjęcia, gdybym nie była w nienaganej formie.

Dziś Jennifer wydaje się weselsza, mniej przytłoczona wspomnieniami. Idzie żwawym krokiem, jak o wiele młodsza kobieta, i czasami Ellie musi podbiec, żeby za nią nadążyć.

– Coś ci powiem. Kilka tygodni temu poszłam na dworzec po gazetę i stała przede mną dziewczyna. Miała na sobie coś, co wyglądało jak spodnie od piżamy, i te wielkie buty z owczej skóry. Jak one się nazywają?

– Uggsy.

– Właśnie. – Głos Jennifer brzmi wesoło. – Coś paskudnego. Patrzałam, jak kupuje karton mleka i jak sterczą jej włosy z tyłu głowy i strasznie zazdrościłam jej wolności. Gapiłam się na nią jak jakaś wariatka. – Śmieje się na to wspomnienie. – Danushka, która prowadzi ten kiosk, spytała potem, co ta nieszczęsna dziewczyna mi zrobiła... Patrząc wstecz, mam wrażenie, że byliśmy bardzo uciśnione.

– Mogę zadać pani pytanie?

Kąciki ust Jennifer lekko się unoszą.

– Przypuszczam, że i tak je zadasz.

– Czy kiedykolwiek żałuje pani tego, co się stało? To znaczy, że miała pani romans.

– Pytasz, czy żałuję, że zraniłam męża?

– Chyba tak.

– Czy to... zwykła ciekawość? Czy może próba rozgrzeszenia?

– Nie wiem. Pewnie jedno i drugie. – Ellie przygryza paznokciec. – Chyba mój... John... zamierza odejść od żony.

Na chwilę zapada cisza. Są u bram Primrose Hill i Jennifer przystaje.

– Ma dzieci?

Ellie nie patrzy jej w oczy.

– Tak.

– To wielka odpowiedzialność.

– Wiem.

– I jesteś trochę wystraszona.

Ellie znajduje słowa, których nie była w stanie powiedzieć nikomu innemu.

– Chciałabym mieć pewność, że postępuję słusznie. Że to będzie warte całego bólu, jaki spowoduję.

Co takiego ma w sobie ta kobieta, że nie sposób zataić przed nią prawdy? Ellie czuje na sobie jej wzrok i naprawdę pragnie rozgrzeszenia. Przypomina sobie słowa Boota: „Przy Tobie chcę być lepszą wersją samego siebie”. Chce być lepsza. Nie chce spacerować i cały czas się zastanawiać, które fragmenty rozmowy z Jennifer zrabuje i opíše w gazecie.

Wygląda na to, że po latach słuchania o cudzych problemach Jennifer nabrała mądrej neutralności. Gdy w końcu się odzywa, Ellie czuje, że jej rozmówczyni starannie dobiera słowa.

– Na pewno coś wymyślicie. Musicie tylko szczerze porozmawiać. Szczerze do bólu. Co wcale nie oznacza, że usłyszysz to, co byś chciała. Właśnie o tym sobie przypomniałam, kiedy tydzień temu po twoim wyjściu jeszcze raz przeczytałam listy od Anthony’ego. Żadne z nas nie prowadziło gierek. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie spotkałam nikogo, z kim mogłabym być aż tak szczerą.

Wzdycha, gestem zaprasza Ellie, żeby przeszła przez bramę. Ruszają ścieżką, która prowadzi na szczyt wzgórza.

– Ale dla takich ludzi jak my nie ma rozgrzeszenia, Ellie. Może się okazać, że poczucie winy będzie odgrywało w twojej przyszłości o wiele większą rolę, niżbyś chciała. Nie bez powodu mówi się o ogniu namiętności, a gdy chodzi o romanse, ten ogień parzy nie tylko dwoje głównych zainteresowanych. Nadal czuję się winna z powodu bólu, którego przysporzyłam Laurence’owi... Wtedy się

przed sobą usprawiedliwiałam, ale teraz wiem, że to, co się wydarzyło... zraniło nas oboje. Jednak... największe wyrzuty sumienia miałam z powodu Anthony'ego.

– Miała mi pani opowiedzieć resztę tej historii.

Uśmiech Jennifer blednie.

– No cóż, Ellie, tu nie ma szczęśliwego zakończenia. – Opowiada o nieudanej wyprawie do Afryki, o długich poszukiwaniach, nietypowym milczeniu mężczyzny, który dawniej bez przerwy wyznawał jej swoje uczucia, oraz o tym, jak w końcu zaczęła w Londynie nowe życie, sama.

– I to wszystko?

– W wielkim skrócie.

– I przez cały ten czas nigdy... Nie poznała pani innego mężczyzny?

Jennifer Stirling znowu się uśmiecha.

– Niezupełnie. Jestem człowiekiem. Ale nigdy nie zaangażowałam się emocjonalnie w żaden związek. Po Boocie... w zasadzie nie chciałam być blisko z nikim innym. Dla mnie istniał tylko on. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Poza tym była Esmé. – Uśmiecha się szerzej. – Dziecko to naprawdę cudowne pocieszenie.

Dotarły na szczyt wzgórza. Poniżej rozciąga się cały północny Londyn. Oddychają głęboko, wodząc wzrokiem po dalekim horyzoncie, w oddali nikną odgłosy ruchu ulicznego, nawoływania ludzi wyprowadzających psy i zbłąkanych dzieci.

– Czy mogę spytać, dlaczego tak długo wynajmowała pani tę skrytkę pocztową?

Jennifer opiera się o żelazną ławkę i zastanawia się nad odpowiedzią.

– Pewnie wyda ci się to dość niemądre, ale widzisz, dwa razy się minęliśmy, w obu przypadkach zabrakło nam kilku godzin. Uznałam, że powinnam skorzystać z każdej szansy. Zamknięcie tej skrytki byłoby chyba przyznaniem, że to naprawdę koniec.

Ze smutkiem wzrusza ramionami.

– Co roku powtarzałam sobie, że pora przestać. Powoli mijały lata, a ja nie zauważałam, ile się ich nazbierało. Z jakiegoś powodu nie zwracałam uwagi na upływ czasu. Chyba sobie wmawiałam, że to całkiem nieszkodliwa słabość.

– Więc to naprawdę był jego ostatni list? – Ellie wykonuje gest w stronę St John's Wood. – Naprawdę nigdy więcej nie dostała pani od niego żadnej wiadomości? Jak mogła pani żyć ze świadomością, że nie wie pani, co się z nim stało?

– Z mojego punktu widzenia istniały dwie możliwości. Albo zginął w Kongu, czego w tamtym czasie nie byłam w stanie wziąć pod uwagę, albo, jak przypuszczałam, bardzo go zraniłam. Uznał, że nigdy nie odejdę od męża, może nawet, że zagrałam na jego uczuciach, i chyba dużo by go kosztowało zbliżenie się

do mnie po raz drugi. Niestety, dopiero poniewczasie zdałam sobie sprawę, jak dużo.

– Nigdy nie próbowała go pani odnaleźć? Zatrudnić prywatnego detektywa? Zamieścić ogłoszenia w gazecie?

– Och, tego bym nie zrobiła. Zresztą wiedział, gdzie mnie znaleźć. Otwarcie wyznałam swoje uczucia. I musiałam uszanować to, co czuł on. – Ponuro wpatruje się w Ellie. – Wiesz, nie da się kogoś zmusić, żeby znowu cię pokochał. Bez względu na to, jak bardzo tego pragniesz. Czasami niestety po prostu... kończy się czas.

Na górze wiatr wieje mocniej: wpycha się w przestrzeń między kołnierzykiem a szyją, wykorzystuje najmniejszy odsłonięty skrawek ciała. Ellie wkłada ręce do kieszeni.

– Jak pani myśli, co by się z wami stało, gdyby znów panią odnalazł?

Po raz pierwszy oczy Jennifer Stirling wypełniają się łzami. Wpatruje się w panoramę miasta i leciutko kręci głową.

– Wiesz, młodzi nie mają monopolu na złamane serca. – Powoli rusza z powrotem i Ellie nie widzi już jej twarzy. Zanim Jennifer ponownie się odzywa, chwila milczenia wyciska w sercu Ellie małą łzę. – Już dawno się nauczyłam, że gdybanie to bardzo niebezpieczna gra.

Spotkajmy się – Jx

Korzystamy z komórek? X

Mam ci wiele do powiedzenia. Po prostu musimy się spotkać. Les Percivals przy Derry Street. Jutro o 13 x

Percivals?!? To nie w twoim stylu

Ach. Ostatnio jestem pełen niespodzianek Jx

Ellie siedzi przy stole nakrytym lnianym obrusem, przegląda notatki, które zrobiła w metrze, i w głębi serca wie, że nie może opisać tej historii, lecz jeśli tego nie zrobi, jej kariera w „Nation” dobiegnie końca. Dwa razy myślała o tym, żeby wrócić biegiem do mieszkania w St John’s Wood i zdać się na łaskę starszej kobiety, wyjaśnić sytuację i błagać, by wyraziła zgodę na opublikowanie swojej nieszczęśliwej historii miłosnej. Za każdym razem widzi jednak twarz Jennifer Stirling, słyszy jej głos: „Wiesz, młodzi ludzie nie mają monopolu na złamane serca”.

Wpatruje się w lśniące oliwki w białym ceramicznym naczyniu na stole. Nie ma apetytu. Jeśli nie napisze tego artykułu, Melissa ją przeniesie. Jeśli go napisze, chyba na zawsze zmieni się jej opinia na temat tego, co robi i kim jest. Znowu żałuje, że nie może porozmawiać z Rorem. On na pewno by wiedział, co powinna zrobić. Gnębi ją nieprzyjemne uczucie, że pewnie nie byłoby to to, co chciałyby zrobić, ale wie, że miałby rację. Myśli wirują jej w głowie, argument i kontrargument. Jennifer Stirling pewnie nawet nie czyta „Nation”. Pewnie nigdy

się nie dowie, co zrobiłaś. Melissa szuka pretekstu, żeby się ciebie pozbyć. Naprawdę nie masz wyboru.

A potem sardoniczny głos Rory'ego: „Chyba żartujesz”.

Ellie czuje ucisk w żołądku. Nie pamięta, kiedy po raz ostatni była odprężona. Do głowy przychodzi jej myśl: jeśli zdoła się dowiedzieć, co się stało z Anthonym O'Hare'em, Jennifer na pewno jej wybaczy, prawda? Może przez jakiś czas będzie zła, ale ostatecznie na pewno zrozumie, że Ellie dała jej wyjątkowy prezent. Dostarczyła jej gotową odpowiedź. Postanawia go znaleźć. Nawet jeśli to potrwa dziesięć lat, dowie się, co się z nim stało. To marne pocieszenie, ale trochę poprawia jej humor.

Będę za pięć minut. Jesteś? Jx

Tak. Stolik na parterze. Schłodzony kieliszek już czeka.

Ex

Nieświadomie dotyka włosów. Nadal nie ma pojęcia, dlaczego John nie chciał pójść od razu do jej mieszkania. Dawny John zawsze wolał iść prosto do niej. Jakby nie potrafił z nią normalnie rozmawiać, a nawet na nią patrzeć, dopóki nie pozbędzie się nagromadzonego napięcia. W pierwszych miesiącach ich związku jej to pochlebiało, a potem zaczęło ją trochę denerwować. Teraz jakaś mała cząstka jej zastanawia się, czy spotkanie w restauracji oznacza, że wreszcie zaczną się pokazywać publicznie. Wydaje jej się, że wszystko uległo radykalnej zmianie i być może ten nowy John chce coś zamanifestować. Zauważa elegancko ubranych ludzi przy sąsiednich stolikach i na samą myśl czuje, jak zaciskają jej się palce u nóg.

– Co się tak denerwujesz? – powiedziała rano Nicky. – Przecież dostaniesz to, czego chciałaś, prawda?

– Wiem. – Zadzwoiła do niej o siódmej, dziękując Bogu, że nadal ma przyjaciół, którzy rozumieją, że miłosa sytuacja wyjątkowa to uzasadniony powód, by dzwonić do kogoś o tak wczesnej porze. – Po prostu...

– Nie jesteś pewna, czy nadal go chcesz.

– Nie! – Ellie zmarszczyła brwi. – Oczywiście, że chcę! Po prostu wszystko tak szybko się zmienia, że nie mam czasu się nad tym zastanowić.

– To lepiej się zastanów. Całkiem możliwe, że zjawi się w restauracji z dwiema walizkami i parką rozwrzeszczanych dzieci. – Z jakiegoś powodu ta myśl bardzo rozbawiła Nicky i przyjaciółka chichotała, aż Ellie trochę się zirytowała.

Ellie miała wrażenie, że Nicky nadal nie wybaczyła jej tego, że – jak to ujęła – „spieprzyła sprawę” z Rorym. Wielokrotnie powtarzała, że Rory wydawał się fajnym facetem. „Kimś, z kim chętnie poszłabym do pubu”. W domyśle: Nicky za żadne skarby nie poszłaby do pubu z Johnem. Nigdy by mu nie wybaczyła, że należy do mężczyzn zdradzających żony.

Ellie spogląda na zegarek i kiwa na kelnera, prosząc o następny kieliszek

wina. John spóźnia się już dwadzieścia minut. W innych okolicznościach byłaby wściekła, ale tym razem tak się denerwuje, że nie jest pewna, czy przypadkiem nie zwymiotuje na sam jego widok. Tak, byłoby to wspaniałe powitanie. Po chwili podnosi wzrok i widzi, że obok stolika stoi jakaś kobieta.

Najpierw myśli, że to kelnerka, a potem zaczyna się zastanawiać, dlaczego nie przyniosła jej wina. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że kobieta nie tylko ma na sobie granatowy płaszcz, a nie kelnerski uniform, lecz także przygląda jej się trochę zbyt intensywnie, jak ktoś, kto za chwilę zamierza zacząć śpiewać w autobusie.

– Witaj, Ellie.

Ellie mruga.

– Przepraszam – mówi, przerzuciwszy w myślach całą listę poznanych niedawno osób i nie znalazłszy nikogo pasującego. – Czy my się znamy?

– Och, chyba tak. Mam na imię Jessica.

Jessica. Ellie ma w głowie pustkę. Ładna fryzura. Zgrabne nogi. Chyba lekkie zmęczenie. Opalenizna. I nagle w jej świadomości następuje eksplozja. Jessica. Jess.

Kobieta widzi jej zaskoczenie.

– Tak, myślałam, że możesz mnie skojarzyć po imieniu. Bo pewnie wołałaś nie wiązać go z twarzą, prawda? Wołałaś za często o mnie nie myśleć. Przypuszczam, że to, że John ma żonę, było ci trochę nie na rękę.

Ellie nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Ma niejasną świadomość, że inni klienci restauracji spoglądają w jej stronę, czując jakieś dziwne wibracje przy stoliku numer piętnaście.

Jessica Armour przegląda esemesy w znajomo wyglądającej komórce. Lekko podnosi głos i czyta:

– „Dzisiaj czuję się naprawdę fatalnie. Wyrwij się z domu. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale się wyrwij. Nie pożałujesz”. Hmm, a tu jest jeszcze lepszy: „Powinnam spisywać wywiad z żoną posła, ale ciągle wracam myślami do ubiegłego wtorku. Niegrzeczny chłopczyk!”. O, i mój ulubiony: „Byłam w Agent Provocateur. Zdjęcie w załączniku...” – Gdy kobieta znowu patrzy na Ellie, głos jej drży z ledwie tłumionej wściekłości. – Dość trudno z tym konkurować, kiedy ma się pod opieką dwoje chorych dzieci i trzeba doglądać remontu. Ale tak, to było we wtorek, dwunastego. Pamiętam ten dzień. Przyniósł mi bukiet kwiatów, żeby przeprosić za spóźnienie.

Ellie otworzyła usta, lecz nie wydobywa się z nich ani słowo. Czuje mrowienie na skórze.

– Zajrzałam do jego komórki na urlopie. Zastanawiałam się, do kogo dzwonił z baru, a potem znalazłam twoją wiadomość. „Proszę, zadzwoń. Tylko raz. Muszę usłyszeć twój głos. X”. – Śmieje się, ale wcale nie jest jej wesoło. – Jakie to

wzruszające. On myśli, że mu ją ukradli.

Ellie ma ochotę schować się pod stołem. Ma ochotę się skurczyć i wyparować.

– Chciałabym mieć nadzieję, że skończysz jako nieszczęśliwa, samotna kobieta. Ale tak naprawdę liczę na to, że pewnego dnia będziesz miała dzieci, Ellie Haworth. Wtedy się dowiesz, co to jest bezbronność. I jakie to uczucie, kiedy musisz walczyć i nieustannie zachowywać czujność, żeby twoje dzieci mogły wychowywać się w domu z ojcem. Pomyśl o tym, kiedy następnym razem będziesz kupowała przezroczystą bieliznę, żeby zabawić mojego męża, dobrze?

Jessica Armour przechodzi między stolikami do wyjścia. Być może w restauracji zapadła cisza, ale Ellie nie jest w stanie tego stwierdzić, bo dzwoni jej w uszach. W końcu czerwona, z trzęsącymi się rękami, kiwa na kelnera, prosząc o rachunek.

Gdy mężczyzna podchodzi, Ellie mamrocze, że musi wyjść w pilnej sprawie. Nie jest pewna, co wygaduje. Ma wrażenie, że jej głos przestał należeć do niej.

– Rachunek? – mówi.

Kelner wykonuje gest w stronę drzwi. Uśmiecha się współczująco.

– Nie trzeba. Tamta pani już zapłaciła.

Ellie wraca do redakcji, nie zauważając samochodów, potrącających ją przechodniów, pełnych wyrzutu spojrzeń sprzedawców „Big Issue”. Ma ochotę znaleźć się w swoim małym mieszkanku i zamknąć drzwi na klucz, ale jej niepewna sytuacja w pracy oznacza, że to niemożliwe. Idzie przez redakcję, czując na sobie spojrzenia ludzi, w głębi serca pewna, że wszyscy wiedzą o jej hańbie, widzą to, co widziała Jessica Armour, jakby ją prześwietlali, jakby była przezroczysta.

– Wszystko w porządku, Ellie? Jesteś strasznie blada. – Rupert wychyla się zza monitora. Ktoś przykleił do tylnej części ekranu karteczkę z napisem „do wyrzucenia”.

– Boli mnie głowa. – Głos więźnie jej w gardle.

– Terri ma tabletki. Ta dziewczyna ma tabletki na wszystko – dodaje w zamyśleniu Rupert i znowu znika za monitorem.

Ellie siada przy biurku i włącza komputer, żeby przejrzeć mejle. Znajduje go.

Zgubiłem telefon. Kupię nowy w porze lunchu. Prześlę ci nowy numer. Jx

Ellie patrzy na godzinę. Wiadomość przyszła, gdy ona rozmawiała z Jennifer Stirling. Zamyka oczy i znowu widzi obraz, który pływa jej przed oczami od godziny: zaciśnięte zęby Jessiki Armour, jej przerażające spojrzenie, sposób, w jaki kołysały się jej włosy, gdy mówiła – jakby je zelektryzowały jej złość i ból. Jakaś mała część Ellie wie, że polubiłaby tę kobietę, może nawet poszłyby razem na drinka. Gdy znowu otwiera oczy, nie chce widzieć słów Johna, nie ma ochoty

oglądać odbitej w nich wersji samej siebie. Jakby zbudziła się z wyjątkowo wyrazistego snu, który śniła przez rok. Wie, jak wielki popełniła błąd. Usuwa jego wiadomość.

– Proszę. – Rupert stawia na jej biurku kubek z herbatą. – Może poczujesz się lepiej.

Rupert nigdy nikomu nie robi herbaty. Dawniej inni dziennikarze z działu reportażu zakładali się o to, czy w końcu pofatyguje się do stołówki, i zawsze było wiadomo, że nie. Ellie nie wie, czy powinna być wzruszona tym rzadkim aktem sympatii czy zacząć się zastanawiać, dlaczego uznał, że taka życzliwość jest jej potrzebna.

– Dzięki – mówi, biorąc herbatę.

Dopiero gdy Rupert wraca na swoje miejsce, Ellie zauważa w skrzynce inne znajome nazwisko: „Phillip O’Hare”. Serce zamiera jej w piersi i upokorzenia z ostatnich godzin na chwilę idą w zapomnienie. Klika wiadomość i widzi, że przysłał ją Phillip O’Hare pracujący w „The Times”.

Cześć. Pani mejl trochę mnie zaskoczył. Może Pani do mnie zadzwonić?

Ellie wyciera oczy. Powtarza sobie, że praca to lekarstwo na wszystko. Teraz liczy się tylko praca. Dowie się, co się stało z kochankiem Jennifer, a Jennifer wybaczy jej to, co Ellie zamierza zrobić. Będzie musiała.

Wybiera numer widniejący na dole wiadomości. Po drugim sygnale odbiera jakiś mężczyzna. W tle słychać znajomy gwar newsroomu.

– Cześć – mówi nieśmiało. – Nazywam się Ellie Haworth. Przysłał mi pan mejla.

– A, tak. Ellie Haworth. Niech pani chwilkę zaczeka. – Ma głos mężczyzny po czterdziestce. Trochę podobny do głosu Johna. Ellie odpędza tę myśl, słysząc słowa stłumione dłonią zasłaniającą słuchawkę, a potem mężczyzna znów się do niej odzywa. – Przepraszam. Terminy. Niech pani posłucha, dziękuję, że pani zadzwoniła... Chciałem tylko coś sprawdzić. Napisała pani, że gdzie panie pracuje? W „Nation”?

– Tak. – Zaszło jej w ustach. Zaczyna się jąkać. – Ale chcę pana zapewnić, że jego nazwisko nie musi wystąpić w materiale, nad którym pracuję. Chcę się tylko dowiedzieć, co się z nim stało. Robię to w imieniu przyjaciółki, która...

– W „Nation”?

– Tak.

Na chwilę zapada cisza.

– I mówi pani, że chce się pani czegoś dowiedzieć o moim ojcu?

– Tak – potwierdza Ellie coraz słabszym głosem.

– I jest pani dziennikarką?

– Przepraszam – mówi Ellie. – Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Tak, jestem dziennikarką. Podobnie jak pan. Chce pan powiedzieć, że wolałby nie

udzielać informacji konkurencyjnej gazecie? Przecież powiedziałam, że...

– Mój ojciec nazywa się Anthony O'Hare.

– Tak. Właśnie o niego...

Mężczyzna na drugim końcu linii zaczyna się śmiać.

– Ale nie specjalizuje się pani w dziennikarstwie śledczym?

– Nie.

Upływa chwila, zanim udaje mu się nad sobą zapanować.

– Proszę pani, mój ojciec pracuje w „Nation”. W tej samej gazecie co pani.

Od ponad czterdziestu lat.

Ellie zastyga bez ruchu. Prosi, żeby powtórzył.

– Nie rozumiem – mówi, wstając. – Przejrzałam listę naszych autorów.

Przejrzałam wiele list. Niczego nie znalazłam. Tylko pana nazwisko w „The Times”.

– Dlatego że on nie pisze.

– No więc co...

– Mój ojciec pracuje w archiwum. Od... ech... od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego.

[...] tak czy inaczej uprawianie z tobą seksu i zdobycie stypendium
Somerseta Maughama po prostu nie idą ze sobą w parze.
Z listu mężczyzny do kobiety

– I proszę mu to dać. Będzie wiedział, o co chodzi. – Napisała liścik, wyrwała karteczkę z kalendarzyka i wsunęła ją pod klapkę. Położyła teczkę na biurku przed Donem.

– Jasne.

Dotknęła jego ramienia. Na palcu miała pierścionek z brylantem wielkości pieprzonego Koh-i-noor.

– Dopilnuje pan, żeby to dostał? To naprawdę ważne. Rozpaczliwie ważne.

– Rozumiem. A teraz zechce pani wybaczyć, muszę wracać do pracy. To najbardziej pracowita pora dnia. Gonią nas terminy.

Jej twarz się wykrzywiła.

– Przepraszam. Proszę, niech pan po prostu dopilnuje, żeby to dostał. Błagam.

Don kiwnął głową.

Czekała, nie odrywając oczu od jego twarzy, być może próbując się upewnić, że mówił szczerze. Potem po raz ostatni spojrzała na redakcję, jakby chciała sprawdzić, czy O'Hare'a rzeczywiście tam nie ma, i wzięła córkę za rękę.

– Przepraszam, że zawracałam panu głowę.

Wydawała się mniejsza, niż kiedy przyszła. Powoli ruszyła w stronę drzwi, jakby nie miała pojęcia, dokąd iść. Parę osób zebrało się wokół biurka zastępcy i odprowadzało ją wzrokiem.

– Kongo – odezwała się po chwili Cheryl.

– Muszę przekazać czwartą stronę do druku. – Don uparcie wpatrywał się w biurko. – Dajmy tego tańczącego księdza.

Cheryl dalej świdrowała go wzrokiem.

– Dlaczego jej powiedziałaś, że pojechał do Konga?

– A miałem powiedzieć prawdę? Że prawie zapił się na śmierć?

Cheryl obracała długopis w ustach. Jej wzrok popłynął w stronę drzwi obrotowych.

– Ale wyglądała tak smutno.

– I słusznie, psia krew. To przez nią ma te wszystkie kłopoty.

– Ale nie możesz...

– Ostatnią rzeczą, jakiej ten chłopak potrzebuje, jest to, żeby znowu zaczęła mącić w jego życiu – huknął Don. – Rozumiesz? Wyświadczam mu przysługę. – Złapał liścik, wyrwał go z teczki i wyrzucił do kosza.

Cheryl zatknęła długopis za ucho, posłała szefowi surowe spojrzenie i wolnym krokiem wróciła za swoje biurko.

Don wziął głęboki oddech.

– No dobra, czy możemy przestać się zajmować pieprzonym życiem

uczuciowym O'Hare'a i dopracować tę cholerną historię o tańczącym księdzu? Słyszysz mnie ktoś? Dajcie mi tu jakiś materiał, tylko szybko, bo inaczej gazeciarze będą jutro nosili sterty pustych stron.

W sąsiednim łóżku kaszłał jakiś człowiek. To nie miało końca: powściągliwy, rwany rytm, jakby coś mu uwięzło w głębi gardła. Kaszłał nawet przez sen. Anthony O'Hare zepchnął ten dźwięk w dalekie zakątki swojej świadomości, jak wszystko inne. Znał już te sztuczki. Wiedział, co zrobić, żeby wszystko zniknęło.

– Panie O'Hare, ma pan gościa.

Odgłos odsuwanych zasłon, wlewające się do środka światło. Ładna szkocka pielęgniarka. Chłodne dłonie. Każde słowo, które do niego kierowała, wypowiadała takim tonem, jakby za chwilę miała go czymś obdarować. „A teraz dam panu mały zastrzyk, panie O'Hare”. „Zawołać kogoś, żeby pomógł panu dojść do łazienki, panie O'Hare?”. „Ma pan gościa, panie O'Hare?”.

Gościa? Na chwilę wezbrała w nim nadzieja, ale potem usłyszał za zasłoną głos Dona i przypomniał sobie, gdzie jest.

– Mną się nie przejmuj, skarbie.

– Nie mam najmniejszego zamiaru – odrzekła sztywno.

– Polegujesz sobie, co? – Gdzieś obok jego stóp pojawiła się rumiana twarz wielkości księżycy.

– Zabawne. – Powiedział w poduszkę, podźwigając się do pozycji siedzącej. Bolało go całe pieprzone ciało. Zamrugał. – Muszę się stąd wydostać.

Rozjaśnił mu się obraz. W nogach łóżka stał Don z założonymi rękami opartymi na brzuchu.

– Słuchaj, synu, nigdzie się nie wybierasz.

– Nie mogę tu zostać. – Miał wrażenie, że głos wydobywa się prosto z jego klatki piersiowej. Trzeszczał i skrzypiał jak drewniane koło w koleinie.

– Kiepsko z tobą. Zanim gdziekolwiek pójdziesz, chcą ci zbadać wątrobę. Napędziłeś nam wszystkim stracha.

– Co się stało? – Niczego nie pamiętał.

Don się zawahał, być może zastanawiał się, ile mu powiedzieć.

– Nie pojawiłeś się na ważnej rozmowie u Marjorie Spackman. Nie dałeś znaku życia do szóstej wieczorem, więc zacząłem mieć złe przeczucia. Przekazałem stery Michaelowi i pojechałem do twojego hotelu. Znalazłem cię na podłodze, w niezbyt pięknym stanie. Wyglądałeś gorzej niż teraz, a to nie byle co.

Mignął mu jakiś obraz. Bar w hotelu Regent. Zaniepokojone spojrzenie barmana. Ból. Podniesione głosy. Niekończąca się, rozkołysana droga powrotna do pokoju. Trzymanie się ścian, chwiejne wchodzenie po schodach. Odgłos spadających przedmiotów. Potem nic.

– Wszystko mnie boli.

– I powinno. Bóg jeden wie, co ci zrobili. Wczoraj wieczorem wyglądałeś jak poduszka na igły.

Igły. Nagłałe głosy. Ból. O Jezu, ból.

– O’Hare, co się z tobą dzieje, do cholery?

Człowiek na sąsiednim łóżku znowu zaczął kaszleć.

– To przez tę kobietę? Odrzuciła cię? – Rozmawiając o uczuciach, Don czuł fizyczny dyskomfort. Przejawiało się to pod postacią podskakującej nogi i w tym, jak przesuwał dłonią w tę i we w tę po łysiejącej głowie.

Nie wspominaj o niej. Nie każ mi myśleć o jej twarzy. – To nie takie proste.

– Więc o co tu chodzi, do cholery? Żadna kobieta nie jest warta... tego. – Don odruchowo machnął ręką nad łóżkiem.

– Po prostu... chciałem zapomnieć.

– No to idź i przerzuć nogę przez jakąś inną babkę. Przez taką, którą możesz mieć. Zapomnisz o niej. – Liczył, że powiedzenie tego na głos sprawi, że rzeczywiście tak się stanie.

Milczenie Anthony’ego trwało akurat tyle, żeby podziałało jak zaprzeczenie.

– Niektóre kobiety oznaczają kłopoty – dodał Don.

„Wybacz mi. Po prostu musiałam wiedzieć”.

– Jak ćmy do płomienia. Wszyscy to przerabialiśmy.

„Wybacz mi”.

Anthony pokręcił głową.

– Nie, Don. To nie tak.

– Gdy chodzi o ciebie, to zawsze jest „nie tak”...

– Ona nie może od niego odejść, bo on nie pozwoli jej zabrać dziecka. – Głos Anthony’ego, nagle wyraźny, przeciął szpitalną salę. Człowiek na sąsiednim łóżku na chwilę przestał kaszleć. Anthony patrzył, jak do jego szefa docierają implikacje tego zdania, jak na jego twarz powoli wypełza współczucie.

– Aha. Ciężka sprawa.

– Tak.

Noga Dona znów zaczęła podrygiwać.

– To nie znaczy, że musiałeś próbować zapić się na śmierć. Wiesz, co powiedzieli? Że żółta febra spieprzyła ci wątrobę. Spieprzyła, O’Hare. Jeszcze jedna taka popijawa i...

Anthony poczuł nieskończone znużenie. Odwrócił głowę na poduszce.

– Bez obaw. To już się nie powtórzy.

Po powrocie ze szpitala Don przez pół godziny siedział przy biurku i myślał. Praca w newsroomie szła powoli, jak co dzień, uspiiony olbrzym niechętnie budzący się do życia: dziennikarze rozmawiali przez telefon, informacje trafiały na listę newsów i wypadały z niej, kształtowano i planowano strony, na biurku w studiu technicznym leżała makieta pierwszej z nich.

Rozmasował zuchwę dłonią, odwrócił się i zawołał w stronę biurka sekretarek:

– Blondyna, daj mi tu numer tego całego Stirlinga. Tego od azbestu.

Cheryl się nie odezwała. Kilka minut później podała mu numer spisany z redakcyjnego egzemplarza „Who’s Who”.

– Jak on się czuje?

– A jak myślisz? – Kilka razy stuknął długopisem w blat, nadal głęboko pogrążony w myślach. Potem podszedł do jej biurka, sięgnął po słuchawkę i poprosił telefonistkę, żeby połączyła go z numerem Fitzroy 2286.

Zanim się odezwał, parę razy chrząknął jak człowiek nieprzywykły do korzystania z telefonu.

– Chciałbym rozmawiać z panią Stirling.

Czuł na sobie wzrok Cheryl.

– Mogę zostawić wiadomość?... Co? Nie będzie? Aha. Rozumiem. – Chwila milczenia. – Nie, to nic ważnego. Przepraszam za kłopot. – Odłożył słuchawkę.

– Co się stało? – Cheryl stała tuż obok. W nowych butach na obcasie była od niego wyższa. – Don?

– Nic. – Wyprostował się. – Zapomnij, że cokolwiek mówiłem. Przynies mi kanapkę z bekonem, dobrze? I nie zapomnij o sosie HP. Bez niego jej nie zjem.

Zgniół karteczkę z numerem i wyrzucił ją do kosza stojącego u jego stóp.

Smutek był większy, niż gdyby ktoś umarł. W nocy przychodził falami, nieubłaganymi i zdumiewająco silnymi, wydręczał go. Widział ją, ilekroć zamykał oczy, jej senne powieki w chwilach przyjemności, jej poczucie winy i bezradność, gdy zauważyła go w hotelowym holu. Jej twarz powiedziała mu, że są zgubieni i że ona już wie, co zrobiła, mówiąc mu o tym.

I miała rację. Początkowo czuł złość, że rozbudziła w nim nadzieję, nie wyjawiając prawdy o swojej sytuacji. Że z taką bezwzględnością wtargnęła z powrotem do jego serca, mimo że nie mieli szans. Jak szło to powiedzenie? Nadzieja matką głupich.

Kłębiły się w nim uczucia. Wybaczył jej. Nie było czego wybaczać. Zrobiła to, bo tak jak on nie mogła tego nie zrobić. Oraz dlatego, że była to jedyna cząstka Anthony’ego, na jaką mogła mieć nadzieję. Oby wspomnienie tych chwil dodawało ci sił, Jennifer, bo mnie tylko zniszczyło.

Próbował zdusić w sobie świadomość, że tym razem naprawdę nic mu nie zostało. Czuł fizyczne osłabienie, zaszkodziło mu jego własne zgubne zachowanie. Jego przenikliwy umysł został uprowadzony, przytomna część jego ja była w strzępach i bił w niej jedynie miarowy puls utraty, ten sam nieubłagany rytm, który słyszał tamtego dnia w Léopoldville.

Nigdy nie będzie należała do niego. Ich historia dobiegła końca i ona nigdy nie będzie jego. Jak miał żyć z tą świadomością?

W pierwszych godzinach dnia roztrząsał tysiące rozwiązań. Zażąda, by Jennifer się rozwiodła. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by dać jej szczęście z dala od dziecka, uczyni to siłą swojej woli. Wynajmie najlepszego adwokata. Da jej więcej dzieci. Stanie twarzą w twarz z Laurence'em – w śmielszych wyobrażeniach rzucał mu się do gardła.

Anthony od lat cenił sobie męskie towarzystwo i nawet w takich chwilach jakaś obecna głęboko w nim męska część siłą rzeczy myślała o tym, jak musi się czuć Laurence, wiedząc, że jego żona kocha innego. I potem miałby jeszcze oddać dziecko człowiekowi, który mu ją ukradł. Rozstanie z synem okaleczyło Anthony'ego, a przecież nigdy nie kochał Clarissy tak, jak kochał Jennifer. Pomyślał o swoim smutnym, milczącym dziecku, o nieustannym bólu poczucia winy i wiedział, że gdyby zgotował coś takiego innej rodzinie, wszelkie szczęście, jakie by zyskał, spoczywałoby na ciemnym strumieniu smutku. Jedną rodzinę już rozbił. Nie mógł ponosić odpowiedzialności za rozbitcie drugiej.

Zadzwoił do swojej dziewczyny w Nowym Jorku i powiedział jej, że nie wraca. Słuchał jej zdumionej reakcji i ledwie tłumionego płaczu, mając jedynie niejasne poczucie winy. Nie mógł tam wrócić. Nie mógł się zanurzyć w miarowych miejskich rytmach nowojorskiego życia, w dniach odmierzanych kursowaniem do siedziby ONZ, bo teraz to wszystko byłoby zabarwione Jennifer. Wszystko byłoby zabarwione Jennifer, jej zapachem, jej smakiem, tym, że ona gdzieś tam jest, żyje, oddycha, bez niego. W pewnym sensie świadomość, że pragnęła go równie mocno jak on jej, jeszcze pogarszała sprawę. Nie potrafił w sobie wzbudzić koniecznej złości na nią, odpędzić od siebie myśli o niej.

„Wybacz mi. Po prostu musiałam wiedzieć”.

Musiał znaleźć się gdzieś, gdzie nie miałby czasu na myślenie. By przetrwać, musiał znaleźć się gdzieś, gdzie mógłby myśleć tylko o przetrwaniu.

Don przyjechał po niego dwa dni później po południu, gdy szpital zgodził się go wypuścić z poprawnymi wynikami badań wątroby i złowieszczymi przestrogami dotyczącymi tego, co go czeka, jeśli znów odważy się pić.

– Dokąd jedziemy? – Patrzył, jak Don wkłada jego małą walizkę do bagażnika samochodu i czuł się jak uchodźca.

– Do mnie.

– Co?

– Tak zarządziła Viv. – Don nie patrzył Anthony'emu w oczy. – Uważa, że potrzebujesz domowych wygod.

Myślisz, że nie można zostawić mnie samego.

– Ja chyba nie...

– To nie podlega dyskusji – powiedział Don, siadając za kierownicą. – Ale nie miej do mnie pretensji o jedzenie. Moja żona zna sto jeden sposobów na spalenie krowy i o ile zauważyłem, nadal eksperymentuje.

Oglądanie współpracowników w domowym środowisku zawsze wprawiało Anthony'ego w zakłopotanie. Mimo że znał Viv z wielu imprez służbowych – rudowłosą i równie pełną życia, jak Don był ponury – sam Don jawił mu się jako postać fizycznie zamieszkująca „Nation”. Był tam zawsze. Gabinet ze stertami kartek, ręcznie robionymi notatkami i mapami chaotycznie poprzipinanymi do ścian był jego naturalnym siedliskiem. Don w domu w aksamitnych kapciach, z nogami opartymi na wyściełanej kanapie, Don poprawiający bibeloty albo przynoszący mleko był czymś sprzecznym z prawami natury.

Mimo to przebywanie w jego domu okazało się w pewnym sensie odprężające. Naśladujący styl epoki Tudorów bliźniak na przedmieściach Londynu był wystarczająco duży, by Anthony nie czuł się przez nikogo przytłoczony. Dzieci dorosły i wyprowadziły się, i nic oprócz oprawionych w ramkę zdjęć nie przypominało Anthony'emu o jego porażce w roli rodzica.

Viv powitała go całusami w oba policzki i nie wspomniała o tym, gdzie był.

– Pomyślałam, chłopcy, że po południu będziecie chcieli pograć w golfa – powiedziała.

I grali. Donowi szło tak beznadziejnie, że potem Anthony zdał sobie sprawę, iż była to chyba jedyna męska rozrywka, jaką zdołali wymyślić jego gospodarze, która nie wiązała się z piciem. Don nie wspomniał o Jennifer. Anthony czuł jednak, że nadal się o niego martwi. Jego szef często powtarzał, że Anthony doszedł już do siebie, że wrócił do normalności, cokolwiek to miało znaczyć. Do obiadu i kolacji nie podawano wina.

– Więc jaki jest plan? – Siedział na jednej z kanap. W oddali słychać było Viv zmywającą naczynia i śpiewającą do radia w kuchni.

– Jutro wracasz do pracy – powiedział Don. Masował się po brzuchu.

Praca. Miał ochotę spytać, na czym będzie polegała. Ale się nie odważył. Już raz zawiódł „Nation” i bał się usłyszeć, że tym razem mu tego nie wybaczą.

– Rozmawiałem ze Spackman.

Chryste, zaczyna się.

– Tony, ona o niczym nie wie. Nikt u góry nie wie.

Anthony zamrugał.

– Wiemy tylko my w redakcji. Ja, Blondyna, paru redaktorów. Kiedy trafiłeś do szpitala, musiałem do nich zadzwonić i powiedzieć, że biorę wolne. Nie puszcza pary z ust.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– To bez znaczenia. W każdym razie. – Don zapalił papierosa i wydmuchnął długą smugę dymu. Spojrzał na Anthony'ego prawie z poczuciem winy. – Obydwoje ze Spackman jesteśmy zgodni, że powinniśmy wysłać cię w teren.

Anthony dopiero po chwili pojął sens jego słów.

– Do Konga?

– Jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty.

Kongo.

– Ale muszę mieć pewność... – Don zgasił papierosa w popielniczce.

– W porządku.

– Pozwól mi dokończyć. Muszę mieć pewność, że będziesz o siebie dbał.

Nie mogę się zamartwiać.

– Żadnego alkoholu. Żadnej lekkomyślności. Po prostu... muszę wykonać swoją robotę.

– Właśnie o to mi chodziło. – Ale Don mu nie wierzył. Anthony widział to w jego rzucanym z ukosa spojrzeniu. – Czułbym się odpowiedzialny – dodał po chwili szef.

– Wiem.

Spryciarz z tego Dona. Anthony nie był jednak w stanie go uspokoić. Bo niby jak? Nie był pewny, jak przebrnie przez następne pół godziny, a co dopiero jak będzie się czuł w sercu Afryki.

Zanim odpowiedź stała się przytłaczająca, znów zabrzmiał głos Dona.

– Za chwilę zaczyna się mecz. – Zgasił papierosa. – Chelsea z Arsenalem. Co ty na to? – Podźwignął się ciężko z fotela i włączył ustawione w kącie mahoniowe pudło telewizora. – Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Nie możesz więcej zachorować na tę cholerną żółtą febrę. Podobno po przejściu takiej choroby, jaką przeszedłeś, człowiek się na nią uodparnia.

Anthony wpatrywał się tępo w czarno-biały ekran.

A jak się uodpornić na całą resztę?

Byli w gabinecie redaktora działu zagranicznego. Paul de Saint, wysoki patrycjuszowski typ z zaczesanymi do tyłu włosami i miną romantycznego poety, studiował mapę rozłożoną na biurku.

– Centrum wydarzeń jest w Stanleyville. Wzięto tam jako zakładników co najmniej ośmiuset cudzoziemców, wielu w hotelu Victoria, i jeszcze z tysiąc osób w okolicy. Jak na razie starania dyplomatów o ich uwolnienie nie przyniosły skutku. Wśród rebeliantów wybucha tak wiele konfliktów, że sytuacja zmienia się z każdą godziną i trudno uzyskać trafny obraz. Bardzo to wszystko zagmatwane, O'Hare. Jeszcze z pół roku temu powiedziałbym, że żaden biały człowiek nie powinien się tam obawiać o swoje bezpieczeństwo, bez względu na to, co się dzieje między tubylcami. Teraz boję się, że obrali sobie za cel właśnie *les colons*. Docierają do nas przerażające historie. Żadnej nie możemy przelać na papier. – Na chwilę zamilkł. – Gwałt to tylko część tego wszystkiego.

– Jak się tam dostanę?

– To pierwszy z naszych problemów. Rozmawiałem z Nichollsem i wygląda na to, że najlepiej będzie pojechać przez Rodezję, albo Zambię, jak teraz nazywają północną część tego kraju. Nasz człowiek próbuje tam wyznaczyć trasę lądową, ale

mnóstwo dróg uległo zniszczeniu i potrwa to wiele dni.

Gdy de Saint omawiał z Donem aspekty logistyczne, Anthony popadł w zadumę i z pewną wdzięcznością zauważył, że nie tylko upłynęło całe pół godziny, kiedy ani razu o niej nie pomyślał, lecz także że wydarzenia w Kongu zaczynają go wciągać. Czuł nerwowe wyczekiwanie kielkujące w żołądku i fascynowały go wyzwania związane z przedostaniem się na wrogi obszar. Nie bał się. Czego miałby się bać? Czy mogło go spotkać coś gorszego?

Przejrzał dokumenty, które przyniósł mu zastępca de Santa. Tło polityczne. Wspieranie rebeliantów przez komunistów, które tak rozsierdziło Amerykanów, egzekucja amerykańskiego misjonarza Paula Carlsona. Czytał sporządzone na miejscu raporty na temat działań rebeliantów i zaciskał zęby. Cofnęły go do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku i do krótkich, chaotycznych rządów Lumumby. Czytał je jakby z daleka. Miał wrażenie, że człowiek, który tam wtedy był – tak zdruzgotany tym, co zobaczył – zmienił się nie do poznania.

– Więc jutro zarezerwujemy bilety do Kenii, tak? Mamy w Sabenie człowieka, który da nam znać, czy są jakieś loty do Konga. W przeciwnym razie wylądujesz na lotnisku Salisbury i przedostaniesz się przez granicę z Rodezją. Zgoda?

– Wiemy, którzy korespondenci już tam są?

– Dociera do nas niewiele informacji. Przypuszczam, że komunikacja jest utrudniona. Ale Oliver zamieścił dzisiaj artykuł w „Mail” i słyszałem, że „Telegraph” szykuje na jutro coś wielkiego.

Drzwi się otworzyły. Cheryl wyglądała na zaniepokojoną.

– Właśnie rozmawiamy, Cheryl – zdenerwował się Don.

– Przepraszam – powiedziała – ale przyszedł twój syn.

Minęło kilka sekund, zanim Anthony zauważył, że Cheryl zwraca się do niego.

– Mój syn?

– Zaprowadziłam go do gabinetu Dona.

Anthony wstał, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Przepraszam na chwilę – powiedział i poszedł za Cheryl przez newsroom.

I wtedy to poczuł: wstrząs, którego doznawał przy tych nielicznych okazjach, gdy widywał Phillipa, rodzaj instynktownego szoku na widok tego, jak bardzo jego syn urósł od ostatniej wizyty. Jego rośnięcie było nieustannym wyrzutem pod adresem nieobecnego ojca.

W ciągu sześciu miesięcy Phillip urósł o kilka centymetrów, przechylił się w stronę okresu dojrzewania, ale jeszcze się w nim nie zanurzył. Zgarbiony przypominał znak zapytania. Gdy Anthony wszedł do gabinetu, chłopiec podniósł wzrok. Był blady, miał zaczerwienione oczy.

Anthony stał, próbując odgadnąć powód smutku wymalowanego na bladej

twarży syna, i gdzieś w głębi ducha zastanawiał się: czy to znowu przeze mnie? Dowiedział się, co zrobiłem? Czy wydaję mu się beznadziejny?

– Chodzi o mamę – powiedział Phillip. Gwałtownie zamrugął i wytarł nos dłonią.

Anthony podszedł do niego. Chłopiec się wyprostował i z niespodziewaną siłą rzucił mu się w ramiona. Anthony czuł, jak go ściska, dłonie Phillipa trzymały go za koszulę, jakby już nigdy nie zamierzały go wypuścić, i pozwolił, by jego ręka delikatnie opadła na głowę chłopca, którego chudym ciałem wstrząsał szloch.

Deszcz tak głośno bębnił w dach samochodu Dona, że prawie zagłuszał myśli. Prawie, ale nie do końca. W ciągu dwudziestu minut, przez które przedzierali się przez zatłoczoną Kensington High Street, obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu i poza tym słychać było jedynie, jak Don gorączkowo zaciąga się papierosem.

– Wypadek – powiedział Don, wpatrując się w rząd czerwonych tylnych świateł. – Musiał być poważny. Powinniśmy zadzwonić do newsroomu. – Nie zadał sobie jednak trudu, by przystanąć obok budek telefonicznych.

Anthony milczał, więc Don przechylił się w stronę radia i gmerał przy nim, dopóki nie poległ w starciu z zakłóceniami. Przyjrzał się koniuszkowi papierosa i zaciągnął się, rozżarzając go.

– De Saint mówi, że mamy czas do jutra. Później trzeba będzie czekać cztery dni na kolejny planowy lot. – Jego ton sugeruje, że należy podjąć jakąś decyzję. – Mógłbyś pojechać, a jeśli jej się pogorszy, ściągniemy cię z powrotem.

– Już jej się pogorszyło. – Nowotwór Clarissy postępował zatrwajająco szybko. – Mówią, że nie przeżyje dwóch tygodni.

– Przeklęty autobus. Patrz, zajmuje dwa pasy. – Don opuścił szybę i wyrzucił papierosa na mokrą ulicę. Strzepnął krople z rękawa i podniósł ją z powrotem. – A tak w ogóle jaki jest ten jej mąż? Nic dobrego?

– Widziałem go tylko raz.

„Nie mogę z nim mieszkać. Proszę, tato, nie zmuszaj mnie, żebym u niego mieszkał”.

Phillip trzymał się jego paska jak człowiek uczepony tratwy ratunkowej. Anthony czuł ciężar tych palców jeszcze długo po tym, jak wreszcie odwiózł go do domu w Parsons Green.

– Bardzo mi przykro – powiedział do Edgara. Handlarz zasłonami, starszy, niż Anthony się spodziewał, podejrzliwie zmierzył go wzrokiem, jakby w jego słowach kryła się jakaś zniewaga.

– Nie mogę jechać. – Słowa same wyszły z jego ust. Wypowiedziawszy je, poczuł niemal ulgę. Jakby po latach nadziei na ułaskawienie wreszcie wydano na niego wyrok śmierci.

Don westchnął. Być może melancholijnie, być może z ulgą.

– To twój syn.

– To mój syn.

„Tak, oczywiście, możesz ze mną zamieszkać” – obiecał Phillipowi. „Oczywiście, że możesz. Wszystko będzie dobrze”. Wypowiadał te słowa, ale nie do końca rozumiał, z czego rezygnuje.

Samochody znowu ruszyły, początkowo w żółtym tempie, a potem z prędkością pieszego.

Zanim Don znów się odezwał, zdążyli dotrzeć do Chiswick.

– Wiesz, O’Hare, to może się udać. Może to taki dar. Bóg jeden wie, co spotkałoby cię w Afryce.

Don spojrzał na niego z ukosa.

– Kto wie? Może jak chłopak trochę się uspokoi... znowu będziesz mógł wyjechać w teren. Zostałby u nas. Viv by się nim zajęła. Spodobałoby mu się. Bóg mi świadkiem, że brakuje jej dzieci. Chryste. – Do głowy przyszła mu jakaś myśl. – Będziesz musiał poszukać jakiegoś cholernego domu. Koniec z pomieszkiwaniem w hotelach.

Pozwolił, by Don rozwodził się nad jego nowym wspaniałym życiem przypominającym historie z gazet, obiecującym, pokrzepiającym. Dobry mąż i ojciec starał się poprawić mu humor, ukryć to, co stracił, uciszyć bęben nadal bijący w mroczniejszych rejonach jego duszy.

Dostał dwa tygodnie urlopu okolicznościowego, żeby znalazł sobie jakieś lokum oraz przeprowadził syna przez śmierć matki i ponure formalności związane z pogrzebem. Phillip więcej przy nim nie płakał. Wyraził uprzejme zadowolenie z małego szeregowego domu w południowo-zachodnim Londynie – usytuowanego blisko jego szkoły i domu Dona i Viv, która z lubością wcieliła się w rolę przyszłej cici. Teraz siedział obok swojej żalostnej walizki, jakby czekał na dalsze instrukcje. Edgar nie zadzwonił, żeby spytać, jak się czuje.

Przypominało to dzielenie domu z obcą osobą. Phillip starał się go zadowolić, jakby się bał, że ojciec go odeśle. Anthony dokładał starań, by wyrazić swoje zadowolenie z powodu ich wspólnego życia, lecz w głębi duszy czuł się tak, jakby kogoś oszukał, jakby dostał coś, na co nie zasłużył. Ogarniała go potworna niemoc w obliczu przytłaczającego smutku chłopca i usiłował jakoś funkcjonować mimo własnego.

Zaczął przyspieszony kurs praktycznych umiejętności. Znosił ich ubrania do pralni samoobsługowej, siedział obok Phillipa u fryzjera. W kuchni potrafił najwyżej ugotować jajko, więc co wieczór chodzili do baru na końcu ulicy na olbrzymie, solidne posiłki składające się ze steku, cynaderek w cieście i rozgotowanych warzyw, puddingów na parze pływających w bladym sosie custard. Apatycznie przesuwali jedzenie na talerzach, ale Phillip co wieczór oznajmiał, że było „przepyszne” i dziękował, jakby taki posiłek był wielkim

rarytasem. Po powrocie do domu Anthony stał przed drzwiami pokoju syna, zastanawiając się, czy powinien wejść do środka, czy też zwrócenie uwagi na smutek chłopca tylko pogorszy sprawę.

W niedzielę byli zapraszani do domu Dona, gdzie Viv serwowała na obiad pieczeń ze wszystkimi dodatkami, a potem, gdy już sprzątnęła ze stołu, nalegała, by grali w gry planszowe. Patrząc, jak zagadywany przez nią Phillip się uśmiecha, jak Viv wesoło i uparcie wciąga go do zabawy, jak włącza go do tej dziwnej, rozrośniętej rodziny, Anthony czuł ból w sercu.

Wsiadając do samochodu, zauważył, że gdy Phillip machał do Viv posyłającej im całusy z okna, po jego policzku spływała samotna łza. Chwycił kierownicę, sparaliżowany tak wielką odpowiedzialnością. Nie wiedział, co powiedzieć. Co mógł zaoferować Phillipowi, skoro nadal co godzina zastanawiał się nad tym, czy nie byłoby lepiej, gdyby z nich dwojga przeżyła Clarissa, a nie on?

Tego wieczoru siedział przy kominku, oglądając pierwsze doniesienia telewizyjne z uwolnienia zakładników w Stanleyville. Ich niewyraźne postacie wynurzały się z wojskowego samolotu i tworzyły na asfalcie grupki wstrząśniętych ludzi. „Elitarne belgijskie oddziały potrzebowały tylko kilku godzin, by odbić miasto. Nadal jest za wcześnie, by podać liczbę ofiar, lecz pierwsze doniesienia wskazują, że w czasie kryzysu zginęło co najmniej stu Europejczyków. Los wielu innych pozostaje nieznanym”.

Wyłączył telewizor. Ekran hipnotyzował go jeszcze długo po zniknięciu białej kropki. W końcu poszedł na górę i zawahał się przed drzwiami syna, słysząc charakterystyczny dźwięk tłumionego płaczu. Było piętnaście po dziesiątej.

Anthony na chwilę zamknął oczy, a gdy je otworzył, popchnął drzwi. Zaskoczony syn drgnął i schował coś pod kołdrą.

Anthony włączył światło.

– Synu?

Cisza.

– Co się dzieje?

– Nic. – Chłopiec opanował się, wytarł twarz. – Wszystko w porządku.

– Co tam masz? – Mówił miękko głosem. Usiadł na łóżku. Phillip był zgrzany i miał mokre policzki. Widocznie płakał od kilku godzin. Anthony poczuł się przytłoczony swoją rodzicielską niekompetencją.

– Nic.

– No, pokaż. – Delikatnie odsunął kołdrę. Zobaczył małe, oprawione w srebrną ramkę zdjęcie Clarissy. Jej dłonie dumnie spoczywały na ramionach syna. Szeroko się uśmiechała.

Chłopiec zadrżał. Anthony wziął zdjęcie i kciukiem startł łzy ze szkła. Mam nadzieję, że Edgar wywoływał taki uśmiech na twojej twarzy, powiedział do niej w myślach.

– To piękne zdjęcie. Chciałbyś je postawić gdzieś na dole? Na przykład na gzymsie kominka? Gdzieś, gdzie będziesz mógł na nie patrzeć, kiedy tylko będziesz chciał?

Czuł na twarzy badawcze spojrzenie Phillipa. Może syn szykował się na jakąś kąśliwą uwagę, jakąś resztkową dawkę niechęci, lecz Anthony nie odrywał oczu od kobiety na zdjęciu, od jej promiennego uśmiechu. Nie widział jej. Widział Jennifer. Widział ją wszędzie. Już zawsze miał ją wszędzie widzieć.

Weź się w garść, O’Hare.

Oddał zdjęcie synowi.

– Wiesz... w smutku nie ma nic złego. Naprawdę. Można się smucić, gdy straciło się ukochaną osobę. – Czuł, że powinien to ubrać we właściwe słowa.

Głos mu się załamał, głęboko w nim coś wezbrało i poczuł w piersi ból towarzyszący powściągnięciu tych emocji.

– Mnie też jest smutno – powiedział. – Bardzo smutno. Utrata kogoś, kogo się kocha, jest... właściwie nie do zniesienia. Rozumiem to. – Przytulił syna, ścisząc głos do szeptu. – Ale bardzo się cieszę, że tu ze mną jesteś, bo myślę... myślę, że razem zdołamy przez to przejść. Jak sądzisz?

Phillip oparł głowę na jego piersi i chudą ręką objął go w pasie. Anthony poczuł, jak oddech syna się uspokaja i przytulił go. Siedzieli tak spowici milczeniem, pogrążeni w myślach w prawie zupełnej ciemności.

Nie wziął pod uwagę, że tydzień, w którym miał wrócić do pracy, wypadł w połowie roku szkolnego. Viv bez wahania zaproponowała, że zaopiekuje się Phillipem, ale do środy miała być u siostry, więc na pierwsze dwa dni Anthony musiał zorganizować coś innego.

– Może posiedzieć z nami w redakcji – powiedział Don. – Zakrzątnie się przy dzbanku z herbatą.

Wiedząc, co Don sądzi na temat wprowadzania życia rodzinnego do „Nation”, Anthony był mu wdzięczny. Rozpaczliwie pragnął wrócić do pracy, odzyskać jakąś namiastkę normalnego życia. Phillip przystał na ten pomysł ze wzruszającą skwapliwością.

Anthony usiadł przy nowym biurku i przejrzał poranną prasę. Nie było wolnych etatów w dziale informacji krajowych, więc został reporterem do zadań specjalnych. Przypuszczał, że ten tytuł honorowy ma go utwierdzić w przekonaniu, iż pewnego dnia znów nim będzie. Upił łyk redakcyjnej kawy i skrzywił się, czując znajomy, paskudny smak. Phillip chodził od biurka do biurka, proponując herbatę. Koszula, którą rano uprasował mu Anthony, bielila się na jego chudych plecach. Nagle – w przyływie wdzięczności – poczuł się jak w domu. Właśnie tu zaczynało się jego nowe życie. Wszystko miało się ułożyć. Poradzą sobie. Starał się nie spoglądać w stronę działu informacji zagranicznych. Na razie nie chciał wiedzieć, kogo wysłano do Stanleyville zamiast niego.

– Masz. – Don rzucił mu „Timesa” z artykułem zakreślonym na czerwono. – Napisz nam coś szybko na temat wystrzelenia rakiety kosmicznej przez Amerykanów. O tej porze nie zdobędziesz żadnych świeżych wypowiedzi ze Stanów, ale damy krótki tekst na ósmej stronie.

– Ile słów?

– Dwieście pięćdziesiąt. – Don powiedział to przeprasającym tonem. – Później poszukam czegoś lepszego.

– W porządku.

Naprawdę było w porządku. Jego syn się uśmiechał, nosząc zastawioną tacę z niemal przesadną ostrożnością. Spojrzał w stronę ojca i Anthony z aprobatą pokiwał głową. Był dumny z syna, dumny z jego odwagi. To, że miał kogoś, kogo mógł kochać, naprawdę wydawało mu się darem.

Anthony przysunął maszynę do pisania, wsunął kalkę między arkusze papieru. Jedna dla naczelnego, jedna dla redaktorów, jedna do jego archiwum. Te rutynowe działania niosły ze sobą coś w rodzaju uwodzicielskiej przyjemności. Napisał u góry swoje nazwisko, słuchając przyjemnego dla ucha stukania stalowych literek uderzających w papier.

Dwukrotnie przeczytał artykuł w „Timesie” i zrobił w notesie kilka zapisków. Poszedł na dół do redakcyjnego archiwum i wydobył materiały na temat misji kosmicznych, przejrzał najnowsze wycinki. Zrobił jeszcze kilka notatek. Potem ułożył palce na klawiszach maszyny.

I nic.

Jakby dłonie odmówiły współpracy.

Napisał jedno zdanie. Brzmiało nijako. Wyrwał kartki z maszyny, włożył nowe.

Napisał następne zdanie. Znow brzmiało nijako. Napisał kolejne. Pomyślał, że je poprawi. Ale słowa uparcie odmawiały podporządkowania się jego woli. Owszem, zdanie jak zdanie, ale na pewno nie nadawało się do gazety o ogólnokrajowym zasięgu. Przypomniał sobie piramidową zasadę dziennikarstwa: najważniejsze informacje w pierwszym zdaniu, potem te mniej istotne. Tylko nieliczni czytali artykuły do końca.

Nie szło mu.

Piętnaście po dwunastej zjawił się Don.

– Wysmażyłeś już ten tekst?

Anthony siedział na krześle, trzymał się za brodę, a na podłodze piętrzyła się sterta pogniecionych kartek.

– O’Hare? Jesteś gotowy?

– Nie dam rady, Don. – Głos miał zachrypnięty z niedowierzania.

– Co?

– Nie dam rady. Nie potrafię pisać. Zapomniałem, jak to się robi.

– Nie bądź śmieszny. Co to ma być? Blokada pisarska? Za kogo ty się uważasz? Za F. Scotta Fitzgeralda? – Sięgnął po pomiętą kartkę i wygładził ją na biurku. Sięgnął po następną, przeczytał raz, drugi. – Dużo przeszedłeś – powiedział w końcu. – Pewnie potrzebujesz urlopu. – Mówił bez przekonania. Anthony właśnie wrócił z urlopu. – Przypomnisz sobie – powiedział. – Tylko nic nie mów. Nie denerwuj się. Każę to napisać Smithowi. A dzisiaj wyluzuj. Przypomnisz sobie.

Anthony spojrział na syna, który ostrzył ołówki dla działu nekrologów. Po raz pierwszy w życiu miał obowiązki. Po raz pierwszy w życiu powinien był zarabiać na utrzymanie. Dłoń Dona na ramieniu wydała mu się bardzo ciężka.

– Tylko co, do diabła, zrobię, jeśli sobie nie przypomnę?

irlandzki chłopak uganiający się za dziewczyną z san diego jest jak próba złapania fali jedną ręką [...] to niemożliwe [...] czasem trzeba po prostu pożeglować dalej.

Z esemesa mężczyzny do kobiety

Ellie nie śpi do czwartej nad ranem. Nie jest to jednak męczarnia: pierwszy raz od wielu miesięcy wszystko wydaje jej się jasne. Cały wczesny wieczór spędza przy telefonie, przytrzymując go między szyją a ramieniem, i wpatruje się w ekran komputera. Wysyła wiadomości, prosi o przysługę. Wyłudza, nakłania, nie przyjmuje odmowy. Gdy już ma to, czego potrzebuje, siada w piżamie przy biurku, spina włosy i zaczyna. Píše szybko, słowa z łatwością spływają jej z palców. Tym razem doskonale wie, co chce powiedzieć. Poprawia każde zdanie, dopóki nie jest z niego zadowolona. Żongluje informacjami tak, by nadać im jak największą moc. Czytając to, co napisała, raz zaczyna płakać, a kilka razy głośno się śmieje. Rozpoznaje coś w sobie samej – być może kogoś, kogo na jakiś czas straciła. Na koniec drukuje artykuł w dwóch egzemplarzach i zapada w głęboki sen.

Śpi dwie godziny. O wpół do ósmej jest już w redakcji. Chce złapać Melissę, zanim przyjdą inni. Zmywa z siebie zmęczenie, wypija dwa podwójne espresso, starannie układa włosy. Kipi energią, krew buzuje jej w żyłach. Siedząc przy biurku, widzi, jak Melissa z drogą torebką przewieszoną przez ramię otwiera drzwi do redakcji. Gdy szefowa siada i zauważa, że ma towarzystwo, na jej twarzy maluje się ledwie skrywane zdziwienie.

Ellie dopija kawę. Wpada na chwilę do damskiej toalety, żeby sprawdzić, czy nie ma niczego na zębach. Włożyła śnieżnobiałą bluzkę, swoje najlepsze spodnie i buty na wysokim obcasie, dzięki czemu – jak by powiedzieli jej dowcipni przyjaciele – wygląda jak dorosła.

– Melisso?

– Cześć, Ellie. – W głosie zaskoczonej szefowej pobrzmiwa lekka przygana.

Ellie ją ignoruje.

– Mogę na słówko?

Melissa spogląda na zegarek.

– Tylko szybko. Za pięć minut mam rozmowę z naszym biurem w Chinach.

Ellie siada naprzeciw niej. W gabinecie Melissy nie ma już niczego poza nielicznymi materiałami potrzebnymi do dzisiejszego numeru. Oraz zdjęciem córki.

– Chodzi o ten artykuł.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie możesz tego napisać.

– Owszem, chcę.

Melissa reaguje, jakby się na to przygotowała, od razu zaczyna się denerwować.

– Ellie, naprawdę nie to chciałam usłyszeć. Czeka nas najbardziej pracowity weekend w historii tej gazety, a ty miałaś całe tygodnie, żeby się zorganizować.

Naprawdę nie poprawiasz swojej sytuacji, przychodząc do mnie na tym etapie i...

– Melisso... proszę. Ustaliłam tożsamość tego mężczyzny.

– No i? – Brwi Melissy unoszą się, tak jak potrafią się unieść tylko te profesjonalnie wymodelowane.

– On u nas pracuje. Nie możemy tego wykorzystać, bo to nasz pracownik.

Sprzątaczką ciągnącą odkurzacza przechodzi przed drzwiami Melissy i monotonny szum na chwilę zagłusza rozmowę.

– Nie rozumiem – mówi Melissa, gdy dźwięk cichnie.

– Autorem tych listów jest Anthony O'Hare.

Melissa patrzy na nią nierozumiejącym wzrokiem. Ellie uświadamia sobie ze wstydem, że jej szefowa też nie ma pojęcia, o kim mowa.

– Kierownik archiwum. Pracuje na dole. Pracował.

– Ten siwy?

– Tak.

– Aha. – Jest tak zaskoczona, że na chwilę zapomina o złości na Ellie. –

O rany – mówi po chwili. – Kto by pomyślał.

– Właśnie.

Rozmyślają nad tym w niemal przyjemnej ciszy, aż w końcu Melissa, być może się reflektując, poprawia papiery na biurku.

– Może to i fascynujące, Ellie, ale nie rozwiązuje naszego poważnego problemu. Szykujemy jubileuszowy numer, który dziś wieczorem musi pójść do druku, a w miejscu, gdzie powinien się znaleźć najdłuższy reportaż, mamy wielką dziurę na dwa tysiące słów.

– Nie – mówi Ellie.

– Nie interesuje mnie ten twój pomysł z językiem miłości. Nie umieszczę odgrzewanych tekstów z książek w naszym...

– Nie – powtarza Ellie. – Napisałam to. Dwa tysiące całkiem oryginalnych słów. O tutaj. Daj mi znać, czy trzeba coś zmienić. Mogę wpaść za godzinę?

Zabiła jej klina. Podaje Melissie kartki i patrzy, jak szefowa przebiega wzrokiem po pierwszej stronie i jak w jej oczach pojawia się błysk – jak zawsze, gdy czyta coś interesującego.

– Co? Tak. W porządku. Niech będzie. Nie spóźnij się na kolegium.

Wychodząc z jej gabinetu, Ellie musi się powstrzymać, żeby nie skakać z radości. Nie jest to takie trudne – wysokie obcasy skutecznie uniemożliwiają tak żywą reakcję.

Napisała do niego mejla poprzedniego wieczoru i zgodził się bez sprzeciwu. To nie jest miejsce w jego stylu – on woli puby z jedzeniem i eleganckie, dyskretne restauracje. W Giorgio's naprzeciwko „Nation” serwują jajka, frytki i bekon nieznanego pochodzenia za niecałe trzy funty.

Gdy Ellie dociera na miejsce, on siedzi już przy stoliku, dziwnie

wyobcowany wśród budowlańców w swojej marynarce od Paula Smitha i w miękkiej, jasnej koszuli.

– Przepraszam – mówi, jeszcze zanim Ellie siada. – Tak bardzo mi przykro. Zabrała mi telefon. Myślałem, że go zgubiłem. Przechwyciła parę mejli, których nie usunąłem, dowiedziała się, jak się nazywasz... i w ogóle...

– Byłaby z niej dobra dziennikarka.

Przez chwilę wydaje się rozkojarzony, przywołuje kelnerkę i zamawia następną kawę. Myślami jest gdzie indziej.

– Tak. Tak, chyba tak.

Ellie siedzi i spokojnie przygląda się mężczyźnie naprzeciwko, mężczyźnie, który nawiedzał ją w snach. Opalenizna nie zdołała przysłonić cieni pod oczami. Ellie przez chwilę się zastanawia, co zaszło poprzedniego wieczoru.

– Ellie, chyba powinniśmy przystopować. Tak na parę tygodni.

– Nie.

– Co?

– To koniec, John.

Nie jest tak zaskoczony, jak myślała, że będzie.

Zastanawia się nad jej słowami i w końcu odpowiada.

– Chcesz... Mówisz, że chcesz to zakończyć?

– Spójrzmy prawdzie w oczy: kiepska z nas love story.

Wbrew sobie jest skonsternowana, gdy John nie zaprzecza.

– Ellie, naprawdę mi na tobie zależy.

– Ale niewystarczająco. Nie interesuję cię ja, moje życie. Nasze życie.

Chyba nic o mnie nie wiesz.

– Wiem wszystko, co powinienem...

– Jak się nazywał mój pierwszy zwierzak?

– Co?

– Alf. To był chomik. Gdzie się wychowywałam?

– Nie wiem, dlaczego zadajesz mi te pytania.

– Czego w ogóle ode mnie chciałeś, pomijając seks?

John się rozgląda. Budowlańcy przy stoliku za nimi podejrzenie ucichli.

– Jak się nazywał mój pierwszy chłopak? Jaka jest moja ulubiona potrawa?

– To niedorzeczne. – John zaciska usta i robi minę, której jeszcze nigdy u niego nie widziała.

– Nie. Interesuje cię we mnie tylko to, jak szybko mogę się rozebrać.

– Naprawdę tak myślisz?

– Czy kiedykolwiek obchodziło cię, co czuję? Przez co przechodzę?

Poirytowany unosi ręce.

– Jezu Chryste, Ellie, nie rób z siebie ofiary. Nie zachowuj się, jakbym był jakimś podłym uwodzicielem – mówi. – Czy kiedykolwiek rozmawiałaś ze mną

o uczuciach? Czy kiedykolwiek mówiłaś, że to nie jest to, czego pragniesz? Zgrywałaś nowoczesną kobietę. Seks na żądanie. Przede wszystkim kariera. Byłaś... – szuka odpowiedniego słowa – ...nieprzystępna.

To określenie dziwnie ją rani.

– Chciałam się chronić.

– I powinienem o tym wiedzieć dzięki osmozie? Gdzie tu szczerłość? –

Wydaje się naprawdę wstrząśnięty.

– Po prostu pragnęłam z tobą być.

– Ale chciałaś czegoś więcej... chciałaś związku.

– Tak.

Przygląda się jej, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Miałaś nadzieję, że odejdziesz od żony.

– Oczywiście, że tak. Kiedyś. Myślałam, że jeśli ci wyznam, co naprawdę czuję... zostawisz mnie.

Budowlańcy za nimi znowu zaczęli rozmawiać. Widząc ich ukradkowe spojrzenia, Ellie domyśla się, że ona i John są tematem ich rozmowy.

John przeczesuje palcami swoje jasne włosy.

– Ellie – mówi. – Przepraszam. Gdybym wiedział, że sobie z tym nie poradzisz, nigdy bym w to nie wszedł.

I tak wygląda prawda. Coś, co ukrywała przed sobą przez cały rok.

– To koniec, nie? – Ellie wstaje, szykując się do wyjścia. Świat się zawalił, ale ona, o dziwo, podnosi się z gruzów. Nadal stoi prosto. Nie krwawi. – Koniec z nami – mówi. – Tak naprawdę nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Biorąc pod uwagę, jak zarabiamy na życie, to zakrawa na ironię.

Po wyjściu z kawiarni zatrzymuje się, czując, jak skóra napina jej się w zetknięciu z zimnym powietrzem, a nozdrza wypełniają się zapachami miasta. Wyjmuje z torebki komórkę. Píše pytanie, wysyła je i nie czekając na odpowiedź, przechodzi przez ulicę. Nie ogląda się za siebie.

Melissa mija ją w holu, elegancko stukając obcasami na wypolerowanej marmurowej podłodze. Rozmawia z redaktorem naczelnym, ale na chwilę się od niego odwraca. Kiwa głową i jej włosy podskakują nad ramionami.

– Podobało mi się.

Ellie wypuszcza powietrze, choć nie wiedziała, że wstrzymuje oddech.

– Tak. Bardzo mi się podobało. Pierwsza strona niedzielного wydania.

Proszę o więcej.

Już po chwili stoi w windzie, znów pochłonięta rozmową, i zamykają się za nią drzwi.

W archiwum jest pusto. Ellie wchodzi przez drzwi wahadłowe i odkrywa, że w środku zostało tylko kilka zakurzonych regałów. Nie ma periodyków ani magazynów, nie ma zniszczonych tomów *Hansarda*. Słucha cykania w rurach

biegnących wzdłuż sufitu, a potem przechodzi nad kontuarem, zostawiając torebkę na podłodze.

Pierwsze pomieszczenie – to, w którym leżały pozszywane egzemplarze „Nation” z blisko stu lat, jest zupełnie puste, jeśli pominąć dwa kartonowe pudła w rogu. Wydaje się przepastne. Gdy Ellie zmierza w głąb archiwum, jej kroki niosą się echem nad wyłożoną płytkami podłogą.

Archiwum wycinków prasowych od A do M też jest puste, nie licząc regałów. W świetle wpadającym przez okna umieszczone prawie dwa metry nad ziemią widać połyskujące drobinki kurzu, które wirują wokół niej. Wprawdzie nie ma tu już gazet, ale powietrze przenika herbatnikowy zapach starego papieru. Ellie odnosi wrażenie, że słyszy wiszące w powietrzu echa dawnych artykułów, sto tysięcy głosów, które już umilkły. Losów odmienionych, zagubionych, poplątanych przez przeznaczenie. Schowanych w teczkach, do których być może nikt nie zajrzy przez kolejnych sto lat. Zastanawia się, ile jeszcze Anthony i Jennifer leży pogrzebanych wśród tych stron, czekając, aż jakiś wypadek albo zbieg okoliczności wydobędzie ich losy na światło dzienne. Wyściełane krzesło obrotowe w rogu opatrzone napisem „archiwum cyfrowe”. Ellie podchodzi do niego i przekręca je najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Nagle czuje nedorzeczne zmęczenie, jakby adrenalina, która napędzała ją przez ostatnich kilka godzin, właśnie wyparowała. Ciężko siada w ciepłe i cisy i po raz pierwszy, odkąd sięga pamięcią, zastyga bez ruchu. Wszystko w niej nieruchomieje. Długo wypuszcza powietrze z płuc.

Nie wie, ile czasu spała, zanim usłyszała odgłos otwieranych drzwi.

Anthony O’Hare trzyma jej torebkę.

– To należy do pani?

Ellie prostuje się na krześle, jest zdezorientowana i trochę kręci jej się w głowie. Przez chwilę nie wie, gdzie się znajduje.

– O Boże. Przepraszam. – Masuje sobie twarz.

– Niewiele można tu teraz znaleźć – mówi Anthony, podając jej torebkę. Spogląda na jej pogniecione ubranie, na zaspane oczy. – Wszystko jest już w nowym budynku. Przyszedłem tylko po ostatnie akcesoria do herbaty. I po to krzesło.

– Tak... wygodne. Aż nie chce się wstawać... Boże, która jest godzina?

– Za piętnaście jedenasta.

– Kolegium jest o jedenastej. Spokojnie. Kolegium jest o jedenastej – mamrocze Ellie, rozglądając się po pustym pomieszczeniu. Potem sobie przypomina, po co tu przyszła. Próbuje zebrać myśli, ale nie wie, jak powiedzieć temu człowiekowi to, co musi mu przekazać. Zerka na niego ukradkiem, dostrzegając za siwizną i melancholijnym spojrzeniem innego mężczyznę. Teraz widzi go przez pryzmat jego słów.

Przyciska do siebie torebkę.

– Ee... jest tu gdzieś Rory?

Rory będzie wiedział. Będzie wiedział, co zrobić.

Jego uśmiech jest jak milczące przeprosiny, stwierdzenie tego, co oboje już wiedzą.

– Obawiam się, że dzisiaj go nie ma. Pewnie jest w domu i się szykuje.

– Szykuje się?

– Na swoją wielką wyprawę. Chyba pani wie, że wyjeżdża?

– Miałam nadzieję, że tego nie zrobi. Jeszcze nie teraz. – Sięga do torebki i pisze liścik. – Pewnie... nie zna pan jego adresu?

– Jeśli zechce pani wejść do tego, co zostało z mojego biura, to go dla pani znajdę. Zdaje się, że ma wyjechać dopiero za jakiś tydzień.

Gdy Anthony O'Hare się odwraca, Ellie czuje, że oddech uwiązł jej w gardle.

– Panie O'Hare – mówi po chwili – właściwie to nie tylko z Rorym chciałam porozmawiać.

– Tak?

Ellie zauważa, jaki jest zdziwiony, że zapamiętała jego nazwisko. Wyjmuje z torebki teczkę i podaje mu ją.

– Znalazłam coś, co należy do pana. Kilka tygodni temu. Oddałabym wcześniej, ale po prostu... aż do wczoraj nie miałam pojęcia, że są pańskie. – Patrzy, jak Anthony otwiera listy. Jego twarz się zmienia, gdy rozpoznaje własny charakter pisma.

– Gdzie je pani znalazła? – pyta.

– Były tutaj – mówi nieśmiało, bojąc się tego, jak na niego wpłyną te informacje.

– Tutaj?

– Zakopane. W pańskim archiwum.

Anthony O'Hare rozgląda się, jakby puste półki mogły mu dostarczyć klucza do zrozumienia jej słów.

– Przepraszam. Wiem, że to... osobista korespondencja.

– Skąd pani wie, że to ja je napisałem?

– To długa historia. – Serce gwałtownie bije jej w piersi. – Ale musi pan o czymś wiedzieć. Jennifer Stirling odeszła od męża dzień po waszym spotkaniu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku. Przyjechała tu, do redakcji, i powiedziano jej, że wyjechał pan do Afryki.

Zastygł. Każdą cząstką siebie koncentruje się na jej słowach. Słucha w tak wielkim skupieniu, że prawie wibruje.

– Próbowала pana odnaleźć. Chciała panu powiedzieć, że jest... że jest wolna.

Ellie jest trochę przerażona wrażeniem, jakie jej informacje zdają się wywierać na Anthonym. Poblądł. Usiadł na krześle i ciężko oddycha. Ale ona nie może już przestać.

– To było... – zaczyna Anthony. Ma strapioną minę, zupełnie inną niż Jennifer, na której twarzy maluje się ledwie skrywana radość. – To było tak dawno temu.

– Jeszcze nie skończyłam – mówi Ellie.

Anthony czeka.

– Te listy to kopie. Oryginały musiałam zwrócić. Musiałam je oddać adresatce. – Pokazuje mu numer skrytki pocztowej. Drży jej dłoń – albo ze zdenerwowania, albo z podniecenia.

Dwie minuty przed zejściem do archiwum dostała esemesa:

Nie, nie jest żonaty. Co to za pytanie?

– Nie wiem, w jakiej jest pan obecnie sytuacji. Nie wiem, czy przypadkiem się okropnie nie narzucam. Być może popełniam potworny błąd. Ale to jest ten adres, panie O'Hare – mówi. – To adres, na który może pan napisać.

Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, że pisanie jest niebezpieczne, bo nie zawsze można zagwarantować, że nasze słowa zostaną odczytane w duchu, w którym je napisaliśmy. Dlatego napiszę wprost. Przepraszam. Bardzo przepraszam. Wybacz mi. Jeśli istnieje jakiś sposób, żebyś zmienił zdanie na mój temat, muszę o tym wiedzieć.

Z listu kobiety do mężczyzny

Droga Jennifer?

Czy to naprawdę Ty? Wybacz mi. Próbowałem to napisać z dziesięć razy, ale nie wiem jak.

Anthony O'Hare

Ellie porządkuje notatki na biurku, wyłącza monitor, zamyka torebkę i wychodzi z redakcji, żegnając się z Rupertem bezgłośnym ruchem ust. Siedzi pochylony nad wywiadem z pisarzem, który, jak narzekał przez całe popołudnie, jest nudny jak zmywarka do naczyń. Ellie wyraźnie poprosiła, żeby przez jakiś czas nie dawano jej tematów z działu literatury. Oddała artykuł o surogatkach, a nazajutrz ma lecieć do Paryża na wywiad z pracującą w organizacji dobroczynnej Chinką, której nie wolno wrócić do ojczyzny, bo wypowiedziała parę kontrowersyjnych uwag w brytyjskim filmie dokumentalnym. Ellie sprawdza adres, a potem pędzi na autobus. Wciskając się na wolne miejsce, analizuje w myślach zgromadzone dotąd informacje na temat tła wydarzeń, dzieląc je na akapity.

Później jest umówiona z Corinne i Nicky w restauracji, na którą nie stać żadnej z nich. Przyjdzie też Douglas. Gdy zadzwoniła poprzedniego dnia, zachował się uroczo – to niedorzeczne, że tak długo ze sobą nie rozmawiali. W ciągu kilku sekund stało się jasne, że Douglas wie, jak się skończył jej związek z Johnem. Corinne i Nicky mogłyby zrobić karierę w „Nations”, gdyby kiedykolwiek znudziła im się dotychczasowa praca.

– I nie przejmuj się, nie zamierzam cię zanudzać gadaniem o babskich uczuciach – dodaje Ellie, gdy Douglas zgadza się na spotkanie.

– Dzięki Bogu – mówi Douglas.

– Ale postawię ci kolację. W ramach przeprosin.

– Nie będzie przygodnego seksu?

– Tylko jeśli zaprosisz swoją dziewczynę. Wygląda lepiej od ciebie.

– Wiedziałem, że to powiesz.

Gdy Ellie się rozłącza, na jej twarzy widnieje uśmiech.

Drogi Anthony,

tak, to ja. Czymkolwiek jest to „ja” w porównaniu z dziewczyną, którą pamiętasz. Domyślam się, że już wiesz, że rozmawiała ze mną nasza zaprzyjaźniona dziennikarka. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co mi powiedziała.

Dziś rano w skrytce pocztowej znalazłam jednak Twój list. Na widok Twojego charakteru pisma czterdzieści lat jakby wyparowało. Czy to normalne? Czas, który minął, skurczył się i zniknął. Nie mogę uwierzyć, że trzymam w ręku list, który napisałeś zaledwie dwa dni temu. Nie mogę tego pojąć.

Ta dziennikarka trochę mi o Tobie opowiedziała. Siedziałam, zastanawiałam się i nie śmiałam myśleć, że będzie mi dane spotkać się z Tobą i porozmawiać.

Modlę się, żebyś był szczęśliwy.

Jennifer

To dobra strona pracy w gazecie: twoje notowania mogą nagle wystrzelić w górę z dwukrotnie większą prędkością, niż spadły. Wystarczą dwa dobre artykuły i stajesz się gwiazdą newsroomu, głównym tematem rozmów i obiektem podziwu. Twój artykuł będzie powielany w internecie, udostępniany wydaniom w Nowym Jorku, Australii, RPA. Artykuł spodobał się agencji. Dla czegoś takiego łatwo znaleźć rynek. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin zaczęły spływać mejle od czytelników dzielących się swoimi historiami. Zadzwoił jakiś agent, pytając, czy Ellie zebrałaby ich tyle, by mogła powstać książka.

Ellie ma pełne wsparcie Melissy. Jest pierwszą osobą, do której szefowa zwraca się na kolegiach, jeśli chce komuś powierzyć dobry temat na tysiąc słów. W tym tygodniu jej krótkie teksty dwa razy dotarły na pierwszą stronę. Dla dziennikarza to jak wygrana na loterii. Większa obecność na łamach gazety oznacza, że Ellie jest bardziej rozchwytywana. Wszędzie widzi materiał na artykuł. Działa jak magnes: zgłaszają się do niej ludzie, suną do niej tematy. O dziewiątej rano jest już za biurkiem i pracuje do wczesnego wieczoru. Tym razem wie, że nie może tego zmarnować.

Jej miejsce przy wielkim owalnym stole jest lśniące i białe, stoi na nim siedemnastocalowy monitor z matowym ekranem o wysokiej rozdzielczości, a na telefonie widnieje jej wyraźnie napisane nazwisko.

Rupert już nie proponuje jej herbaty.

Droga Jennifer,

przepraszam za tę opieszalą odpowiedź. Wybacz mi, proszę, bo wiem, że może Ci się to wydawać powściągliwością. Od lat nie przykładałem długopisu do kartki, chyba że po to, by zapłacić rachunek albo złożyć zażalenie. Chyba nie wiem, co powiedzieć. Od dziesięcioleci żyłem wyłącznie za pośrednictwem cudzych słów: rejestrowałem je, archiwizowałem, kopiowałem i kategoryzowałem. Dbałem o ich bezpieczeństwo. Przypuszczam, że już dawno zapomniałem własnych. Autor tamtych listów wydaje mi się teraz obcym człowiekiem.

Sprawiasz zupełnie inne wrażenie niż dziewczyna, którą widziałem w Regencie. A mimo to w każdym najlepszym sensie wyraźnie jesteś taka sama. Cieszę się, że u Ciebie wszystko dobrze. Cieszę się, że mam okazję Ci to powiedzieć. Poprosiłbym o spotkanie, ale obawiam się, że wydam Ci się zupełnie inny od człowieka, którego pamiętasz. Sam nie wiem.

Wybacz mi.

Anthony

Dwa dni wcześniej Ellie, po raz ostatni schodząc po schodach w starym budynku, usłyszała, jak ktoś, lekko sapiąc, woła ją po imieniu. Odwróciła się i zobaczyła na górze Anthony'ego O'Hare'a. Trzymał kartkę z jakimś adresem.

Wbiegła z powrotem na górę, by oszczędzić mu dalszych trudów.

– Tak sobie myślę, Ellie Haworth – powiedział głosem pełnym radości, niepokoju i żalu – że nie powinna pani do niego pisać. Chyba będzie lepiej, jeśli po prostu, no wie pani, pójdzie go pani odwiedzić. Osobiście.

Najdroższy Boocie,

głos we mnie eksplodował! Czuję się tak, jakbym przez pół wieku żyła, nie będąc w stanie mówić. Wszystko było minimalizowaniem strat, próbą wydarcia tego, co dobre, z tego, co wydawało się zniszczone, zrujnowane. Moją własną milczącą karą za to, co zrobiłam. A teraz... teraz? Mówiłam do tej nieszczęsnej Ellie Haworth, aż zupełnie zamilkła i tylko patrzyła na mnie osłupiała. Wyobrażałam sobie, jak się zastanawia: czy ta kobieta ma choć trochę godności? Jak to możliwe, że zachowuje się jak czternastolatka? Chcę z Tobą porozmawiać, Anthony. Chcę z Tobą rozmawiać, aż oboje ochrypniemy i nie będziemy w stanie wydobyć z siebie słowa. Mam do nadrobienia czterdzieści lat.

Jak możesz pisać, że nie wiesz? Nie, to na pewno nie strach. Jak możesz myśleć, że mógłbyś mnie rozczarować? Czy po tym wszystkim, co się wydarzyło, mogłabym czuć coś innego niż ogromną radość z powodu tego, że znowu mogę Cię zobaczyć? Nie jestem już blondynką, posiwiałam. Zmarszczki na mojej twarzy są wyraźne, nieodwracalne. Czasami coś mnie boli, grzechoczę od suplementów diety i moje wnuki nie mogą uwierzyć, że kiedykolwiek nie byłam stara.

Obydwoje się zestarzeliliśmy, Anthony. To prawda. I nie mamy przed sobą kolejnych czterdziestu lat. Jeśli nadal tu jesteś, jeśli jesteś gotów mi pozwolić, bym przysłoniła przechowywany przez Ciebie obraz dziewczyny, którą kiedyś znałeś, z radością odwiedzę Ci się tym samym.

Jennifer X

Jennifer Stirling stoi na środku pokoju ubrana w szlafrok, włosy z jednej strony głowy ma potargane.

– Spójrz na mnie – mówi zrozpaczona. – Co za straszycie. Zupełne straszycie. W nocy nie mogłam spać, a jakiś czas po piątej padłam, nie usłyszałam budzika i przegapiłam wizytę u fryzjera.

Ellie wpatruje się w nią. Pierwszy raz widzi Jennifer w takim stanie. Biję od niej niepokój. Bez makijażu jej skóra wygląda dziecięco, twarz wydaje się bezbronna.

– Ale... wygląda pani dobrze.

– Wiesz, wczoraj wieczorem zadzwoniłam do córki i trochę jej o tym

opowiedziałam. Nie mówiłam wszystkiego. Powiedziałam, że mam się spotkać z mężczyzną, którego kiedyś kochałam i nie widziałam go, odkąd byłam młoda. Czy to okropne kłamstwo?

– Nie – mówi Ellie.

– Wiesz, co mi przesała dziś rano? To. – Rzuca Ellie wydruk. To kopia artykułu z jakiejś amerykańskiej gazety. Opowiada o parze, która pobrała się po pięćdziesięcioletniej przerwie w związku. – I co niby miałabym z tym zrobić? Widziałas kiedyś coś równie niedorzecznego? – Głos drży jej ze zdenerwowania.

– O której się spotykacie?

– W południe. Na pewno nie zdążę się wyszykować. Powinnam to odwołać. Ellie wstaje i nastawia wodę na herbatę.

– Niech pani się ubierze. Zostało jeszcze czterdzieści minut. Zawiozę panią – mówi.

– Pewnie uważasz, że jestem śmieszna. – Jennifer Stirling po raz pierwszy nie wygląda jak najbardziej opanowana kobieta we wszechświecie. – Śmieszna, stara kobieta. Jak nastolatka przed pierwszą randką.

– Nie – mówi Ellie.

– Było w porządku, dopóki tylko pisaliśmy listy – mówi Jennifer, prawie jej nie słysząc. – Mogłam być sobą. Mogłam być kobietą, którą pamięta. Byłam taka spokojna i pocieszająca. A teraz... Jedyne, co mnie w tym wszystkim pocieszało, to świadomość, że gdzieś tam jest mężczyzna, który mnie kocha, który widzi we mnie to, co najlepsze. Nawet mimo naszego okropnego ostatniego spotkania wiedziałam, że widział we mnie coś, czego pragnął bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Co będzie, jeśli na mnie spojrzy i poczuje się zawiedziony? To będzie gorsze, niż gdybyśmy nigdy więcej się nie spotkali. Znacznie gorsze.

– Niech mi pani pokaże ten list – mówi Ellie.

– Nie jestem w stanie tego zrobić. Nie uważasz, że czasami lepiej jest czegoś nie robić?

– List, Jennifer.

Jennifer bierze go z kredensu, trzyma przez chwilę, a potem podaje go Ellie.

Najdroższa Jennifer,

czy starym mężczyznom wolno płakać? Siedzę tu, bez końca czytając Twój list, i nie mogę uwierzyć, że w moim życiu zaszła tak nieoczekiwana, wspaniała zmiana. Takie rzeczy zwykle się nie zdarzają. Nauczyłem się czuć wdzięczność za najzwyklejsze dary: za syna, jego dzieci, udane, choć spokojne życie. Przetrawianie. O tak, zawsze chodzi o przetrawianie.

A teraz Ty. Twoje słowa, Twoje emocje wzbudziły we mnie zachłanność. Czy możemy oczekiwać aż tak wiele? Czy odważę się jeszcze z Tobą spotkać? Parki były dla nas tak bezwzględne, że jakaś częśćka mnie nie wierzy w to spotkanie. Powali mnie choroba, potrafi autobus, pierwszy potwór w Tamizie

połknie mnie w całości. (Tak, życie nadal jawi mi się w formie nagłówków).

Przez ostatnie dwie noce słyszałem we śnie Twoje słowa. Słyszałem Twój głos i miałem ochotę śpiewać. Przypomniałem sobie rzeczy, które dawno wydawały się zapomniane. Uśmiecham się w nieodpowiednich momentach, napędzając stracha rodzinie i skłaniając bliskich do diagnozowania otępienia starczego.

Dziewczyna, którą widziałem wtedy po raz ostatni, była załamana. Świadomość, że zdołałaś dobrze pokierować swoim życiem, podważyła moją pesymistyczną wizję świata. To musi być dobre miejsce. Zaopiekowało się Tobą i Twoją córką. Nie wyobrażasz sobie, jak wielką sprawiło mi to radość. Zapośredniczoną. Nie mogę więcej pisać. Odważam się zatem nieśmiało zaproponować: Postman's Park. Czwartek. W południe?

Twój Boot X

Oczy Ellie napęłniły się łzami.

– Wie pani co? – mówi. – Naprawdę nie wydaje mi się, żeby miała pani powody do obaw.

Anthony O'Hare siedzi na ławce w parku, w którym nie był od czterdziestu czterech lat, trzyma gazetę, której nie przeczyta, i z pewnym zdziwieniem uświadamia sobie, że pamięta dokładnie każdy napis na pamiątkowej tabliczce.

MARY ROGERS, STEWARDESA ZE STELLI, POŚWIĘCIŁA ŻYCIE, ODDAJĄC SWOJE KOŁO RATUNKOWE I Z WŁASNEJ WOLI TONAĆ WRAZ ZE STATKIEM.

WILLIAM DRAKE STRACIŁ ŻYCIE, RATUJĄC PRZED POWAŻNYM WYPADKIEM W HYDE PARKU DAME, KTÓRA NIE BYŁA W STANIE ZAPANOWAĆ NAD KOŃMI, PONIEWAŻ ZŁAMAŁ SIĘ DYSZEL W JEJ POWOZIE.

JOSEPH ANDREW FORD URATOWAŁ SZEŚĆ OSÓB Z POŻARU PRZY GRAYS INN ROAD, LECZ DOKONUJĄC OSTATNIEGO BOHATERSKIEGO AKTU, SPŁONAŁ ŻYWCEM.

Siedzi tu od za dwadzieścia dwunasta. Teraz jest już siedem po.

Przysuwa zegarek do ucha i potrząsa nim. W głębi serca nie wierzył, że to nastąpi. Bo jak to możliwe? Jeśli spędziło się wystarczająco dużo czasu w archiwum gazety, rozumiało się, że te same historie powtarzają się w nieskończoność: wojny, głód, kryzysy finansowe, utraceni kochankowie, rozbite rodziny. Śmierć. Zawody miłosne. Tylko nieliczne historie kończą się szczęśliwie. Wszystko, co mnie spotkało, było darem, myśli z przekonaniem, gdy mijają kolejne minuty. To zdanie wydaje mu się boleśnie znajome.

Deszcz pada mocniej i mały park opustoszał. Tylko on siedzi pod wiatą. W oddali widzi główną ulicę, samochody tryskające strugami wody, ochlapujące

nieuważnych przechodniów.

Jest kwadrans po dwunastej.

Anthony O'Hare przypomina sobie wszystkie powody, dla których powinien być wdzięczny losowi. Jego lekarz jest zdumiony, że pacjent w ogóle jeszcze żyje. Anthony przypuszcza, że od dawna przywołuje jego historię, by ostrzec innych ludzi przed zniszczeniem wątroby. Jego dobra forma jest wyrzutem pod adresem lekarskiego autorytetu i całej medycyny. Przez chwilę zastanawia się, czy rzeczywiście nie wyruszyć w jakąś podróż. Nie chce znów jechać do Konga, ale w RPA mogłoby być ciekawie. Może jeszcze w Kenii. Po powrocie do domu ułoży jakiś plan. Będzie miał na czym się skupić.

Słyszy pisk hamulców autobusu, krzyk rozszoszczonego gońca rowerowego. Wystarczy, że wie, że go kochała. Że jest szczęśliwa. Musi mu to wystarczyć, prawda? Przecież jednym z darów podeszłego wieku jest podobno zdolność patrzenia na wszystko z dystansem. Kiedyś kochał kobietę, która, jak się okazało, kochała go bardziej, niż myślał. I tyle. To powinno mu wystarczyć.

Jest dwadzieścia dwie po dwunastej.

I gdy już ma wstać, włożyć gazetę pod pachę i ruszyć do domu, widzi, że obok bramy parku zatrzymuje się jakiś mały samochód. Czeka spowity półmrokiem małej wiaty.

Mija krótka chwila. Potem drzwi się otwierają i z wyraźnym świstem wystrzela z nich parasolka. Gdy jej czasa przesuwają się w górę, zauważa parę nóg, ciemny płaszcz przeciwdeszczowy. Postać pochyla się, by powiedzieć coś kierowcy, a następnie te nogi wchodzi do parku i ruszają wąską ścieżką prosto w kierunku wiaty.

Anthony O'Hare czuje, że wstaje, obciąga marynarkę i przygładza włosy. Nie potrafi oderwać oczu od tych butów, od charakterystycznej wyprostowanej sylwetki, widocznej mimo parasolki. Robi krok do przodu, nie mając pewności, co powiedzieć, co zrobić. Serce utkwilo mu gdzieś w pobliżu ust. W uszach słyszy śpiew. Nogi w ciemnych rajstopach zatrzymują się przed nim. Parasolka lekko się unosi. I oto ona, wciąż taka sama, zdumiewająco i niedorzecznie taka sama. Gdy ich oczy się spotykają, w kącikach jej ust igra uśmiech. Anthony nie jest w stanie wydobyć z siebie słowa. Może jedynie patrzeć, a jej imię dzwoni mu w uszach.

Jennifer.

– Witaj, Boot – słyszy.

Ellie siedzi w samochodzie i przeciera rękawem zaparowaną szybę po stronie pasażera. Zaparkowała przy Red Route, bez wątpienia ściągając na siebie gniew parkingowych bogów, ale nic jej to nie obchodzi. Nie jest w stanie się ruszyć.

Patrzy, jak Jennifer miarowym krokiem idzie ścieżką, widzi w jej ruchach lekkie wahanie świadczące o obawach. Starsza kobieta dwukrotnie nalegała, by

wróciły do domu, powtarzała, że są spóźnione, że wszystko przepadło, że to na nic. Ellie udawała, że nie słyszy. Śpiewała lalalalalalala, aż Jennifer Stirling z nietypową dla siebie szorstkością nazwała ją „upartą, niezdolną dziewczyną”.

Patrzy, jak Jennifer idzie przed siebie z parasolką, i boi się, że za chwilę odwróci się i ucieknie. Ta historia pokazała jej, że wiek nie chroni przed pułapkami miłości. Słyszała słowa Jennifer, oscylujące szaleńczo między triumfem a katastrofą, i słyszała własne niekończące się analizy słów Johna, znała swą rozpaczliwą potrzebę, by coś, co w tak oczywisty sposób było złe, okazało się dobre. Sama wyczarowywała sens i emocje ze słów, których znaczenia mogła się jedynie domyślać.

Ale Anthony O’Hare to istota innego rodzaju.

Znów przeciera szybę i widzi, jak Jennifer zwalnia, a po chwili przystaje. Wtedy on wynurza się z cienia, jakimś cudem wyższy niż dotąd. Pochyla się lekko, wychodząc na zewnątrz, i staje dokładnie naprzeciw niej. Patrzą na siebie, szczupła kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym i archiwista. Nawet z daleka widać, że nie zwracają uwagi na deszcz, na mały zadbane park, na zaciekawione spojrzenia ludzi wokół. Patrzą sobie w oczy i stoją, jakby mogli tak stać przez tysiąc lat. Jennifer upuszcza parasolkę i przechyla głowę – bardzo nieznacznie – po czym nieśmiało przysuwa rękę do jego twarzy. Ellie widzi, jak Anthony podnosi rękę i przykładą dłoń do jej policzka.

Patrzy jeszcze przez chwilę, a potem odsuwa się od szyby, pozwalając, by para zasłoniła jej widok. Przesuwa się na miejsce kierowcy, wydmuchuje nos i zapuszcza silnik. Najlepsi dziennikarze wiedzą, kiedy się wycofać.

Dom stoi przy ulicy, wzdłuż której ciągną się wiktoriańskie szeregowce, jego okna i drzwi ozdabia biała kamieniarka. Różnobarwne rolety i zasłony świadczą o wielu lokatorach. Ellie gasi silnik, wychodzi z samochodu i idzie do drzwi wejściowych, patrząc na nazwiska na dzwoneczkach. Na parterze widnieje tylko jego nazwisko. Trochę ją to zaskakuje. Nie przypuszczała, że ma całe mieszkanie. Ale co ona wie na temat jego życia poza gazetą? Nic.

Artykuł jest w dużej szarej kopercie opatrzonej jego nazwiskiem. Wpycha ją przez szparę w drzwiach, wywołując donośne stuknięcie klapki. Wraca do furtki i siada na ceglany słupku, który ją podtrzymuje. Podciąga szalik na twarz. Siedzenie dobrze jej teraz idzie. Odkryła przyjemność towarzyszącą tkwieniu w jednym miejscu i obserwowaniu otaczającego ją świata. A ten świat potrafi bardzo zaskakiwać.

Po drugiej stronie ulicy wysoka kobieta macha na pożegnanie nastolatki. Ten naciąga kaptur, wkłada słuchawki do uszu i ani razu nie ogląda się w jej stronę. Nieco dalej dwaj mężczyźni stoją oparci o otwartą maskę wielkiego samochodu. Rozmawiają, nie zwracając większej uwagi na znajdujący się pod nią silnik.

– Zrobiłaś błąd w słowie Ruaridh.

Ellie ogląda się przez ramię i widzi go opartego o framugę. W dłoni trzyma gazetę.

– Zrobiłam wiele błędów.

Ma na sobie tę samą koszulkę z długim rękawem, którą miał, kiedy się poznali. Jest miękka od wieloletniego używania. Ellie przypomina sobie, że podoba jej się to jego swobodne podejście do ubioru. Wie, jaka jest ta koszulka w dotyku.

– Niezły tekst – mówi Rory, unosząc gazetę. *Żegnaj, kochanie. Jak rozstawano się listownie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.* Widzę, że znowu jesteś gwiazdą działu reportażu.

– Na razie – odpowiada. – Właściwie to jeden z tych listów wymyśliłam sama. Też bym coś takiego napisała. Gdybym miała okazję.

Zachowuje się, jakby tego nie słyszał.

– I Jennifer pozwoliła ci wykorzystać ten pierwszy.

– Tak. Anonimowo. Była niesamowita. O wszystkim jej powiedziałam i zachowała się wspaniale.

Rory ma spokojną, pogodną twarz.

Słyszałeś, co powiedziałam?, pyta go w myślach.

– Przyznaję, chyba była lekko wstrząśnięta, ale po wszystkim, co się wydarzyło, raczej nie przejęła się tym, co zrobiłam.

– Wczoraj był u mnie Anthony. Zmienił się nie do poznania. Nie wiem, dlaczego do mnie wpadł. Chyba po prostu chciał z kimś pogadać. – Rory kiwa głową, przypominając sobie to spotkanie. – Miał na sobie nową koszulę i krawat. I był u fryzjera.

Ellie nie jest w stanie powstrzymać uśmiechu.

Rory w milczeniu przeciąga się na schodach i splata ręce nad głową.

– To, co zrobiłaś, było bardzo fajne.

– Mam nadzieję – odpowiada. – Miło będzie pomyśleć, że czyjaś historia skończyła się szczęśliwie.

Obok przechodzi jakiś staruszek z psem. Czubek jego nosa ma kolor czerwonych winogron. Wszyscy troje pozdrawiają się półgębkiem. Gdy Ellie podnosi wzrok, Rory patrzy na swoje stopy. Ellie przygląda mu się i zastanawia, czy widzi go po raz ostatni. Przepraszam, mówi do niego w myślach.

– Zaprosiłbym cię do środka – mówi Rory – ale właśnie się pakuję. Mam mnóstwo roboty.

Ellie podnosi rękę, starając się ukryć rozczarowanie. Schodzi ze słupka, czując, jak materiał spodni lekko zahacza o szorstką powierzchnię, i zarzuca torebkę na ramię. Zdrętwiały jej stopy.

– Więc... chciałaś coś? Pomijając oczywiście, no wiesz, zabawienie się w gazetę.

Robi się zimno. Ellie wkłada ręce do kieszeni. Rory przygląda jej się

wyczekująco, lecz ona boi się odezwać. Jeśli jej odmówi, na pewno będzie zdruzgotana. To dlatego minęło kilka dni, zanim odważyła się tu przyjść. Ale co ma do stracenia? Nigdy więcej go nie zobaczy.

Bierze głęboki oddech.

– Chciałam spytać... czy mógłbyś do mnie pisać.

– Pisać do ciebie?

– Kiedy cię nie będzie. Rory, spieprzyłam sprawę. Nie mam prawa o nic cię prosić, ale za tobą tęsknię. Naprawdę. I... i chciałabym móc myśleć, że to nie był koniec. Że moglibyśmy... – Przeszępuje z nogi na nogę, pociera nos. – ...korespondować.

– Korespondować.

– Tak... zwyczajnie. Pisałbyś mi, co robisz. Jak leci. Gdzie jesteś. – Brzmi to słabo nawet w jej własnych uszach.

Włożył ręce do kieszeni i spogląda na ulicę. Nie odpowiada. Milczenie jest równie długie jak ulica.

– Strasznie tu zimno – odzywa się w końcu.

W jej żołądku utkwiło coś ogromnego i ciężkiego. Ich historia dobiegła końca. Nie ma jej nic więcej do powiedzenia. Rory przeprasza ją oglądając się przez ramię.

– Wypuszczam całe ciepło z domu.

Ellie nie jest w stanie się odezwać. Wzrusza ramionami, jakby przyznawała mu rację, i sili się na uśmiech, który, jak podejrzewa, ma więcej wspólnego z grymasem. Kiedy się odwraca, znów jednak rozlega się jego głos.

– Chyba mogłabyś wejść i zrobić mi kawę, kiedy będę segregował skarpetki. W sumie to jesteś mi winna kawę, o ile dobrze pamiętam.

Gdy Ellie się odwraca, widzi, że jego twarz odtajała. Do ciepła wciąż brakuje kilku stopni, ale zdecydowanie są na nie szanse.

– Może przy okazji rzuciłabyś okiem na moją peruwiańską wizę. Sprawdziłabyś, czy nie zrobiłem żadnych błędów.

Zbiera się na odwagę i spogląda na niego – na jego stopy w skarpetkach i brązowe włosy, zbyt długie, by można je było okiełznać.

– Lepiej, żebyś nie pomylił Patallacta z Phuyupatmarca – mówi.

Rory wznosi oczy ku niebu i powoli kręci głową. Ellie wchodzi za nim do domu, próbując ukryć promienny uśmiech.

Podziękowania

Na początku każdego rozdziału tej książki znajduje się fragment prawdziwego ostatniego listu, mejla lub innego rodzaju korespondencji – wyjątkiem jest tylko ten zaczerpnięty z fabuły książki.

Większość z nich udostępniono mi uprzejmie w odpowiedzi na różne prośby, i we wszystkich przypadkach, w których fragmenty te nie były wcześniej publikowane, zataiłam tożsamość zarówno autora, jak i adresata, by chronić niewinne (i te mniej niewinne) osoby.

Pewni ludzie pomagali mi jednak zebrać te fragmenty i z pewnością się ucieszą, jeśli o nich wspomnę. Dziękuję (w przypadkowej kolejności) Brigid Coady, Suzanne Parry, Kate Lord Brown, Danucie Kean, Louise McKee, Suzanne Hirsh, Fionie Veacock oraz wszystkim życzliwym i wspianiałym osobom, które udostępniły własne ostatnie listy, lecz wolały zachować anonimowość.

Chciałabym także podziękować Jeanette Winterson, The Estate of F. Scott Fitzgerald i University Press of New England za pozwolenie na zamieszczenie w tej książce fragmentów korespondencji.

Jak zwykle dziękuję cudownemu zespołowi Hachette: mojej redaktorce Carolyn Mays oraz Francesce Best, Eleni Fostiropoulos, Lucy Hale, działowi sprzedaży i Hazel Orme, która posiada przerażające umiejętności adiutorskie.

Dziękuję też zespołowi Curtis Brown, zwłaszcza mojej agentce Sheili Crowley. Jestem również wdzięczna British Newspaper Library na Colindale, wspianiałemu źródłu dla wszystkich pisarzy pragnących zagłębić się w innym świecie.

Podziękowania należą się także moim rodzicom, Jimowi Moyesowi, Lizzie Sanders i Brianowi Sandersowi. Oraz forumowiczom Writersblock za nieustanne wsparcie, zachęty i marnowanie czasu.

Największe podziękowania składam rodzinie: Charlesowi, Saskii, Harry'emu i Lockiemu.

